TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

LIPIEC–SIERPIEŃ 1946

ROK II ZESZYT 7–8

TWÓRCZOŚĆ
LIPIEC—SIERPIEŃ
1946

8 000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 13151

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK II ZESZYT 7-8

LIPIEC—SIERPIEŃ 1946

TREŚĆ ZESZYTU

ANDRZEJ BOBKOWSKI: DOUCE FRANCE
MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI: KSIĘŻYC WSCHODZIŁ NAD GAMBUTEM
JAN DOBRACZYŃSKI: EL-ALAMAIN
KURT E. WOLFF: WIELKA PRZEMIANA
HENRY W. LONGFELLOW: PIEŚŃ O HAJAWACIE
STANISŁAW HELSZTYŃSKI: AMERYKAŃSKI PIEWCA MURZYNÓW
VACHEL LINDSAY: KONGO
JAN PAPUGA: SAFARI
JERZY ANDRZEJEWSKI — JERZY ZAGÓRSKI: ŚWIĘTO WINKELRIDA
TADEUSZ RÓŻEWICZ: LAMENT / NIEPOROZUMIENIE W TRAMWAJU / RÓŻA / OCZYSZCZENIE
PAWEŁ HERTZ: *** / PRAWDZIWY SMAK SNU / PRAWDZIWY SMAK WODY / PRAWDZIWY SMAK CHLEBA
JAN HULEWICZ: POLSKI RUCH WYDAWNICZY W WIELKIEJ BRYTANII W LATACH WOJNY 1940—1945
ANIELA MIKUCKA: CZYTELNICTWO MŁODZIEŻY KRAKOWSKIEJ
KAZIMIERZ WYKA: ROMANTYCZNA NOBILITACJA POWIEŚCI
WŁODZIMIERZ PIETRZAK: DROGI POLSKIEJ POWIEŚCI XIX W.
SPRAWOZDANIA
NOTY

ANDRZEJ BOBKOWSKI

DOUCE FRANCE

Tantost je resve, tantost je dicte en me promenant mes songes que voicy.
Montaigne

26 LIPIEC 1943

Wakacje... Wyjeżdżamy 2-go sierpnia do C... Zostajemy tam tydzień, po czym na rowerach do J..., gdzie zaszywamy się w oberży „Pod Białym Koniem" na resztę czasu. Wakacje...

Mam już bilety i dwa miejsca zarezerwowane w kącie. Była to cała ekspedycja. Notuję to dla pokolenia, które w jakąkolwiek podróż będzie się wybierać z tarasu swojego domku własnym helikopterem, albo w ogóle spędzać urlop w domu kładąc się do łóżka i połykając „geograficzną pastylkę" z etykietką „Miami", „Biarritz" lub „Cannes"; śpi się trzy tygodnie śniąc, że jest się na jednej z plaż albo u jakichś wód — zgodnie z przepisem lekarza, jeżeli ktoś byłby pedantem. To dla mniej zamożnych. Bogaci będą podróżować naprawdę. Uniknie się w ten sposób ścisku. Ale tymczasem nie doszliśmy jeszcze do tego i sam fakt kupna biletów jest tak urozmaicony, że podróż wydaje się już tylko niepotrzebnym dodatkiem. Można by właściwie mieć pretensję, że po tym wszystkim trzeba jeszcze wsiadać do pociągu, jechać, przesiadać się, nie otwierać drzwi podczas ruchu pociągu, nie pluć na podłogę itd.

Bilety należy kupować na tydzień naprzód. A zatem pojechałem przedwczoraj na dworzec Montparnasse i najpierw wszystko dobrze oglądnąłem. Ogonki do kasy są tak długie, że gdyby Paryż nie był tak rozległy; to ci ostatni z ogonka byliby już prawdopodobnie na wsi pod miastem. Cały Paryż wyjeżdża. W przyjaznej pogawędce z policjantem, pilnującym tego stada — zresztą spokojnego, ustaliłem dokładnie, gdzie ogonek do kasy zaczyna się ustawiać, w jakim kierunku itd. Następnie wybrałem hotel, z którego byłoby mi najbliżej do mety. Trzeba było teraz wygrać bitwę o pokój. Nie jest to takie proste. Dziś żaden hotelarz nie przyjmuje nikogo, kogo nie zna, lub kogo ktoś z jego znajomych nie polecił mu. Bez odpowiednich referencyj lepiej od razu iść pod most. System ten jest obroną hotelarzy przed kradzieżą pościeli, jednego z najcenniejszych artykułów „Nowej Europy". Ktoś prosi o pokój, płaci 50 franków i ulatnia się z całą pościelą. Fachowcy nie zapominają również

o firankach, serwecie i dywaniku. Małe 50 Frs. zamienia się z łatwością w wielkie 5.000. Toteż nieznajomy klient wzbudza w każdym „patronie" podejrzenie.

Wszedłem i zanim powiedziałem *bonjour* uśmiechnąłem się — ot tak swobodnie i naiwnie, trochę nieśmiało, z tym „słowiańskim urokiem", na który oni są tak czuli. Po czym miałem długą przemowę, pełną onieśmielenia, wytwornej francuszczyzny i modnych narzekań. Po dwóch minutach czułem, że go mam. Dyskretnie wsunięta paczka papierosów z gorącą prośbą o przyjęcie ich stworzyła ciepłą atmosferę i — pokój. Dalej mówiliśmy oczywiście o wojnie, o świętym jedzeniu i o departamentach, w których najlepiej się jada. Masło, jajka i mięso decydują obecnie o wyborze miejsca letniego wypoczynku. Paryż wyjeżdża, żeby jeść. Pożegnaliśmy się, jak starzy znajomi.

Wczoraj wieczorem spakowałem się w domu: pyjama, mydło, termos z kawą, pierwsze śniadanie i na wszelki wypadek drugie, sweter i książka. Namiotu nie zabrałem.

Spałem źle. Do późnej nocy słuchałem wszystkich możliwych komunikatów alianckich z Londynu. Ktoś od strony podwórza nie żałował głośnika. Widocznie chory na spleen okupacyjny. Nad ranem z ciężkiego półsnu obudziło mnie pianie koguta. Uwieszony w klatce przy jakimś oknie, symbol Francji obwieszczał świt. Czekałem, czy nie rozlegnie się gdzieś ryk krowy, ale nie. W tym Paryżu czwartego roku Nowej Ery wszystko możliwe. Ludzie hodują w śródmieściu króliki, kaczki, indyki, kury i gęsi, a pogoń za zbiegłym drobiem nie jest rzadkością nawet na Wielkich Bulwarach. Metrem przewozi się kozy, kartofle odważa się na automatycznych wagach na dworcach kolejki podziemnej; w mniejszych hotelach wiszą napisy: „Hodowanie drobiu w pokojach wzbronione". Jak za czasów Boileau i Le Roi Soleil.

Drzemię; zaterkotał budzik. Jestem zdenerwowany. Jak uda mi się dojść do kasy przed 5-tą? Wypijam kawę, skręcam papierosa i 20 minut przed 5-tą wyślizguję się z hotelu. Przeskoczyłem na drugą stronę ulicy i przemykałem pod murem. Na rowerach przejechało dwóch policjantów, ale nie zauważyli mnie. Z godziną policyjną nie ma żartów. Cicho i wolno doszedłem do miejsca, gdzie zaczyna się ustawiać ogonek — i nie byłem pierwszy. Byłem już tylko dwunasty. Ci przede mną, to zawodowcy. Sypiają gdzieś na samym dworcu, w im tylko znanych miejscach, wśród stosu wózków bagażowych, w jakichś załamaniach murów. Zarabiają w ten sposób, biorąc od biletu 150—200 Frs. Licząc przeciętnie trzy bilety dziennie, mają ok. 20.000 Frs. miesięcznie, czyli tyle, ile dyrektor wielkiej fabryki, plus cały dzień wolny. Bo kasy otwierają o 7-mej rano i kto jest pierwszy, ten już przed 8-mą może iść do domu. Jest to jeden z tych najbardziej może demoralizujących objawów tej wojny. Jak te setki tysiące ludzi zarabiających dzisiaj w ten sposób duże sumy potrafią po wojnie normalnie pracować i zarobkować? Jak wykorzenić z psychiki tego pokolenia ten zmysł kombinacji i liczenia na poboczne zarobki, na te poważne nieraz sumy „spadające z nieba"?

Ci tutaj rozmawiają fachowo. Na jakich liniach największy ruch, że noce

chłodne, ktoś wszczyna dyskusję, ile odstępnego powinno się brać za swoją kryjówkę, „ponieważ ja też mam zamiar zapłacić sobie wakacje. A wtedy ja będę odwalał burżuja i ty, François, będziesz stał dla mnie po bilet". Śmiechy. Nagle otoczyło nas kilku policjantów. Spojrzałem na zegarek. Za pięć 5-ta. Mają prawo zrobić kawał. Istotnie. „Niech każdy przygotuje 15 Frs. kary i na komisariat" — brzmi surowy rozkaz. *Adieu les vacances* — pomyślałem. — Zgromadzenie protestuje. Tymczasem policjanci śmieją się i popychają nas — pod wejścia do kas. To tylko żarty. Wybuchają śmiechy i ożywione rozmowy z „władzą". Francuzi skarżą się na swoją policję — tak — bo nie znają naszej. Tu większość policji sabotuje wszystkie nakazy władz, mające na celu prześladowanie obywateli. Przed „łapankami" Żydów mnóstwo z nich uprzedzono o niebezpieczeństwie, a nieraz zdarza się, że gdy przy sprawdzeniu dokumentów na ulicy ktoś pokaże fałszywą legitymację, policjant szepnie cicho: „Dobrze podrobiona — allez-y" uśmiecha się i puszcza dalej. Déat, filar kollaboracji, dowcipnie napisał w swoim „l'Oeuvre", że „nie jest się pewnym, czy większość policji jest pewna, ale jest się pewnym, że większość jest niepewna". Trudno o lepszy hołd.

Stajemy w porządku pod drzwiami. Dwie godziny czekania na otwarcie kas. Wybiła 5-ta i w tej samej chwili głęboką ciszą poranku targnęły stuki i tupoty. Wszystkie bramy domów wokoło dworca trzasnęły naraz, a z nich wystartowali zawodnicy. Słychać tupot i klekot drewnianych zelówek — już wpadają pierwsi, zadyszani, bez tchu. W przeciągu pięciu minut mam poza sobą przeszło dwieście osób. Teraz będzie spokój aż do przyjazdu pierwszego metra. W międzyczasie zjeżdżają się zawodnicy kolarze. Furkają rowery. Wyścig do końca, bo nawet od miejsca, w którym ustawiają rowery. Rzuca rower na ziemię lub opiera o mur i pędzi do ogonka. Jestem głęboko przekonany, że codziennie pada tutaj kilka rekordów kolarskich w sprincie.

Wtem tupot setek nóg. Gardziel metra, jak olbrzymi gejzer, wypluwa strugę ludzi. Pierwsze metro. Gęsta masa, wydobywająca się spod ziemi, płynie i zalewa długi podjazd. W przeciągu kilku minut mam poza sobą długi ogon, do 2000 ludzi. Ci będą stali tu do wieczora. Policjanci chodzą wokoło, rozstrzygają spory i kłócą się z tymi, co im po prostu wymyślają, nie mogąc wyładować swej wściekłości na kim innym. O żadnych protokołach o obrazę władzy nie ma oczywiście mowy. Wściekłość tego tłumu jest uzasadniona: każdemu z osobna zdawało się, że będzie „pierwszy" i teraz nie może zrozumieć, jakim cudem jest już tylu przed nim. I rozumieją to policjanci. Lepiej, że mu jeden z drugim nawymyśla, aniżeli gdyby trzeba było uśmierzać bójki...

Otwierają kasy. Policjant odlicza 15 osób i wpuszcza do sanktuarium. Podchodzę do kasy mojej linii Paris—Brest, proszę o dwa dobre miejsca (wciskając *mademoiselle* 20 Frs. w małą rączkę) i dostaję od razu dwa miejsca w kącie wraz z miłym uśmiechem na dokładkę. Tak jest teraz wszędzie. Wszyscy dają i wszyscy biorą. Nie są to łapówki. To są *cadeaux* — podarunki. Stwarzają one intymność, stosunek urzędnika do klienta zmienia się od razu w miłą znajomość i przy jakiejś innej sposobności idzie się już do znajomego.

Odchodzę od kasy i widzę, że tłum podśpiewuje i śmieje się, że policja z ożywieniem dyskutuje z ludźmi. Pytam się, o co chodzi. Słucham i nie wierzę. Policjanci z rannej służby przynieśli wielką nowinę, nowinę zupełnie niewiarygodną: Mussolini podał się do dymisji!! I nagle w ogonku, wśród śmiechów i hałasu, ktoś zaintonował na melodię Tarantelli skomponowaną na miejscu piosenkę: *Duce, Duce a démissionné, Duce, Duce on aura la paix...* Tłum podchwycił słowa i melodię i zdawało się, że pęknie z radości. Cała pogarda tego zawsze wolnego ludu, ludu dla którego wolność jest istotą życia — wszystko jedno jakiego, odezwała się w tej kpiarskiej piosence, wydrwiwającej „Cezara" faszyzmu. Nie było w tym nienawiści — czuło się jedynie zupełnie niemożliwą do opisania pogardę. Tę pogardę, jaką może mieć jedynie tłum dla błazna, którego jeszcze wczoraj musiał szanować pod grozą jako bóstwo. Równocześnie czuło się, że Mussoliniego nikt nigdy nie brał tutaj poważnie. Jestem pewny, że taka sama wiadomość o Hitlerze wywołałaby inną reakcję. Bo Hitler jest błaznem, ale niestety błaznem tragicznym, błaznem ponurym. Tłum podśpiewywał, a przechodzący obok Niemcy udawali, że nie rozumieją. Każdego z nich przeprowadzało tysiące szyderczych spojrzeń. Wyszedłem przed dworzec; lubię ten plac przed Gare Montparnasse. Słoneczny ranek. Wstąpiłem na kieliszek białego wina. Miałem ochotę usiąść na progu obok wielkiego kota i grzać się w słońcu. Siedzieć i patrzeć tym wzrokiem, co tylko patrzy i nie myśli. U Dupont'a naprzeciwko grał automatyczny gramofon i Danielle Darrieux śpiewała *Premier rendez-vous*, bulwarem mknęły kolorowe dziewczęta na rowerach, przebierając smukłymi nogami. Wziąłem kota na kolana i pochyliwszy się, szeptałem mu do ucha: mam bilety i Mussoliniego już nie ma.

29 LIPIEC.

Najpierw napisali, że Duce ustąpił z powodu złego stanu zdrowia. Ale w końcu nie dało się ukryć, iż został destytuowany przez Wielką Radę Faszystowską. Władzę objął król, Badoglio utworzył rząd i dziś rozwiązano partię faszystowską. Ludzie nie zdają sobie na ogół sprawy z zupełnie wyjątkowej doniosłości tego faktu. Patrzą na to jedynie z punktu widzenia strategicznego. Tymczasem nie dostrzegają w tym rzeczy najważniejszej — jednego z największych bankructw ideologicznych, jakie świat dotąd oglądał. To nie jest upadek rządu, takiego czy innego régime'u, to upadek idei, która przez 20 lat panowała we Włoszech, na której mniej albo więcej oparły się wszystkie niemal kraje Europy powojennej, która była natchnieniem dla Niemiec, dla Hiszpanii Franca, dla Turcji, dla nas. Zdawało się, że błyskawiczny upadek jej jest niemożliwy. Runęła w ciągu kilku godzin. Dzisiejszy dzień zmusi faszystów całego świata do krótkiego rachunku sumienia. To po prostu upadek religii — prawie to samo, co gdyby papież rozwiązał Kościół. A może nawet więcej ze względu na moment. Bankructwo idei, dla której setki tysięcy ludzi ginie od czterech lat.

Jak prorocze brzmią dzisiaj słowa tego wielkiego humanisty XX-ego wieku,

Guglielmo Ferrero, gdy wygnany przez faszyzm, pisał w r. 1926 w swym świetnym studium *Entre le passé et l'avenir*, że podczas gdy wszystkie prawie monarchie upadły po tamtej wojnie, to „jedynie faszyzm, zamiast obalić monarchię, uczynił z niej więźnia, zmuszając ją do podjęcia władzy absolutnej w nadziei, że będzie mógł się nią posłużyć: zobaczymy pewnego dnia, czy dobrze obliczył".

Dziś widzimy, że źle obliczył.

L'ÊTRE CLÉMENT, 2 SIERPIEŃ.

Leżę w łóżku, na nocnym stoliku pali się lampka. Reszta wielkiego pokoju tonie w półmroku. Pod ścianą czarny klęcznik, nad nim krucyfiks. Olbrzymia szafa bretońska z żelaznymi okuciami. W kącie stołek, a na nim mundur huzarów z lat 90-tych. Mundur męża Mme B. Okno jest uchylone, noc mglista, zmoczona całodziennym deszczem. Z drzew, z gałęzi dotykających szyb kapią wolno krople mgły i spadają z brzękiem na blachę framugi. W ogrodzie, w lesie za rzeką śmieją się sowy. Gdzieś spadła dojrzała gruszka i klapnęła o ziemię.

W tym domu, w tym pokoju, wśród ciszy i monotonnego stuku kropel, cały dzisiejszy dzień wydaje mi się dalekim wspomnieniem. Dzisiaj rano wyjechaliśmy z Paryża. Parę godzin drogi na rowerze, kolacja w jadalni, salon, przedsionek ze starą bronią, Mme B. — wszystko stało się snem, w którym trudno przypomnieć sobie rzeczywistość. Jestem pogrążony w letargu. Słucham kropel mgły, patrzę na pokój, na fotografie kobiet w krynolinach i mężczyzn w mundurach z tamtej epoki.

Pociąg odchodził o 9-ej. Oczywiście na dworcu ścisk, ale przebrnęliśmy szczęśliwie przez wszystkie przeszkody. W pociągu było już znośnie. Wychodzę kupić kilka tych pism, które są właściwie pismami niemieckimi po francusku, z tą różnicą, że łżą jeszcze bardziej, aniżeli prawdziwe niemieckie. Wracając z kiosku, zauważam, że do wszystkich pociągów idących w stronę wybrzeża doczepione są z tyłu platformy z działem przeciwlotniczym. Jedziemy z obroną. Na platformie zbudowany jest mały domek *für die Mannschaft*. Żołnierze gotują, suszy się bielizna. Jakiś Francuz przechodzi obok mnie i zapytuje, jak mi się podoba ten cyrk wędrowny. Odpowiadam mu, że wolę prawdziwy z prawdziwymi małpami. Ruszamy. Pogoda psuje się. Za Chartres burza z ulewnym deszczem. W Le Mans leje. W Sablé deszcz ustał. Dzień jest pochmurny i ciepły. Lubię taką pogodę. Drzemiemy. Po 1-ej dojeżdżamy do Angers. Wychodzimy z dworca.

Cichy placyk, na ulicach pusto, niebo pokryte szarymi chmurami. S p o k ó j. Wydaje się, że poza tym miastem nie ma świata. Paryż, gazety, wojna, *Wehrmachtsberichty* — przestają istnieć. Są ulice i uliczki, stary autobus kaszlący i krztuszący się, pusta kawiarnia z ogródkiem, małe bistro i kilku obywateli przy winie. Żadne sanatorium nie jest w stanie uspokoić najbardziej roztań-

czonych nerwów w tak krótkim czasie, jak francuska prowincja. Tu żyją jeszcze resztki tego życia zrównoważonego, tu żyje się w tej godzinie, jaką wydzwania stary zegar, a nie kilkanaście godzin lub dni naprzód. W tej jednostajności, pozornej monotonii istnienia, nie wygnano Czasu i nie zabito rozmaitości. Nic tu nie jest jednakowe, chociaż wszystko wydaje się takie same. Wszystko jest tajemniczo soczyste.

Kiedy pomyślę, że dziś już całe kontynenty jak Rosja, St. Zjednoczone i Ameryka Południowa stały się jednakowe, że dom zbudowany nad Atlantykiem jest taki sam, jak dom zbudowany nad Pacyfikiem, że miasto nad Dnieprem jest takie samo, jak miasto nad Wołgą — robi mi się smutno. Jeżeli Amerykanin szuka wytchnienia w Europie, to właśnie dlatego, że odnajduje tu różnorodność, że po kilku godzinach podróży jest rzeczywiście g d z i e i n d z i e j. Jestem na placu przed dworcem w Angers, przejadę przez szereg miasteczek i zajadę do domu Mme B. Co godzina będę gdzie indziej, pomimo że miasteczka francuskie z ich szarymi domami i rzędem okiennic wydają się jednakowe. Będę pił wino, które robią t y l k o tutaj, a za dwa tygodnie będę jadł masło o innym smaku, niż masło bretońskie lub normandzkie. Dawno czytana „Main Street" S. Lewisa zaczyna miarowo wyzgrzytywać mi w głowie: „Na zachód od Pittsburga, a czasem i na wschód, zawsze ten sam skład drzewa, ta sama stacja kolejowa, ten sam garaż Forda, ta sama mleczarnia, te same domy o kształtach pudełek, te same sklepy dwupiętrowe..." to samo, te same... i tak w nieskończoność.

Tu zaczynam darzyć czułą miłością ciasne uliczki z rynsztokami, niewygodne domki i stare meble. Głupstwem jest wyrzekać się postępu, ale zbrodnią jest zaśliniać się z zachwytu nad wielką fabryką czy czteromotorowym bombowcem, uważając je za szczyt geniuszu ludzkiego. Trzeba uznać, że człowiek potrafi bardzo wiele, uznać to za fakt zupełnie zwyczajny i wchłaniając postęp, równocześnie go dyscyplinować... Wartość zupełnie nieocenioną, zapomnianą i pogardzoną Spokoju i Ładu, może zacofanego, ale jakże wzbogacającego, czuję się tu, w ciche popołudnie; pijąc białe wino, wskakuję cały do kieliszka i rozpuszczam się. Jestem Spokojem.

Odbieramy z bagażu rowery. Dziwnym cudem zajechały cało i zdrowo. Ale to tylko dzięki temu, że połowę wiozłem ze sobą, odkręciwszy w Paryżu wszystko, co tylko można odkręcić. Tak zresztą robią teraz wszyscy. Jedynie bardzo naiwni nadają rower na bagaż z siodełkiem skórzanym, z oświetleniem, łańcuchem i pompką. Siedzę na chodniku i siodłam nasze konie.

Przez miasto idziemy na piechotę. Kocie łby i górzysto. Angers śpi, mieszkańcy snują się po ulicach, jak babie lato. Przesuwamy się pod murami i basztami ruin zamku. Wyrasta czarny i pokryty pleśnią znad bukietów kasztanów. Przechodzimy przez most na Maine. Niebo szare, na ołowianej rzece kilka barek i statek-pralnia. Pochylone lub klęczące kobiety piorą bieliznę w rzece. Biała bielizna aż razi swą białością w tych wszystkich odcieniach ołowiu. Kapie śpiący deszcz. Zakładamy peleryny. Są z oliwionego papieru i sztywne. Wyglądamy obydwoje, jak ciemno-zielone chrząszcze. Jedziemy.

Mijamy malutkie Avrillé — puste i popielate. Szosa jest cicha. Zmoczony asfalt lśni i jedzie się jak po lustrze. Czasem furknie obok rower, czasem minie się kogoś, idącego brzegiem drogi. Gdy zjeżdżamy z góry, wydaje się nam, że płyniemy w próżni. Słychać tylko terkot koła i szelest peleryn. Z drzew przydrożnych dolatuje kwilenie ptaków, to znów ciężka wrona zakraka wulgarnie, lecąc leniwie. Przebiega wystraszony królik. Zza chmur wyszło słońce i rozrzuca rdzawe kolory, sącząc światło poprzez zwały mgły i wilgoci. Deszcz przestał padać. Zatrzymujemy się — mamy czas. Siadamy przy drodze i jemy podwieczorek. Zapach mokrej zieleni. Sok z gruszek cieknie nam po brodzie. Dużo gruszek w tym roku. Przejeżdża kaszlący autobus, gnąc się dziwacznie. Zapalam fajkę i jest mi po prostu dobrze. Bezgranicznie dobrze. Potem dalej, dalej... Rząd kasztanów po bokach rozwiera się na boki, kołtunią się krzaki jeżyn, zwieszając niedbale kiście czarnych owoców. Już wielki staw, a nad nim *château* markiza de C. Pasą się owce i krowy. Woda w stawie jest ciepława i spokojna. Po chwili, spomiędzy dwóch murów jeżyn wpadamy do C. i jesteśmy przed domem Mme B. Otwieram białą furtkę.

Przed dom wyszły obydwie panie. Witają nas. Mme B. całuje nas w czoło i mówi tym językiem francuskim, który odnajduje się jedynie w powieściach z zeszłego wieku. Zbieramy rzeczy i wchodzimy do mrocznego przedsionka. I tu Mme B. z tą wyszukaną elegancją i równocześnie prostą wytwornością mówi nam: „Pomyślałam sobie, że przyzwyczaili się państwo do widoku z okien, do mebli, więc i w tym roku proszę mi zrobić przyjemność i zająć mój pokój na górze".

Stało się ze mną coś dziwnego. Ta zupełnie niedzisiejsza delikatność, ten „widok z okien", rzecz nic nie znacząca, a tak subtelna, całe zdanie wypowiedziane tak, jakby mi je ktoś przeczytał na głos z Balzaca — wybiły mnie zupełnie z epoki. Odnalazłem stracony czas. Pocałowałem ją długo w rękę, szepnąłem *merci* i prawie że łzy zakręciły mi się w oczach. Wchodziłem wolno po schodach i wszedłem do tego żółtego pokoju, do tego samego widoku z okien, do tych samych mebli. Spojrzałem na trawnik, na ogród, na rzekę i na łąki poza rzeką, opasane lasami na wzgórzach. Ten sam widok — po roku. Zdawało mi się, że jestem u siebie. W tym samym widoku, w tych samych meblach pozostała już cząstka mnie. Odnajduję ją teraz i rozmawiam z sobą sprzed roku.

B. usnęła, zmęczona drogą. Daleko śmieją się sowy. Wielka kropla stuknęła w blachę framugi okiennej i po czarnych drzewach przeszedł szum. Zegar na wieży kościoła wybił już pierwszą.

4 SIERPIEŃ.

W tym roku jest tu swobodniej. Może dlatego, że mniej osób. Przynoszą nam śniadanie do łóżka, potem schodzimy na dół. Nie wiem, co dzieje się ze mną, ale nie mam ochoty nawet mówić. Siadam gdzieś w kącie i milcząc kleję

chłopcom mały model samolotu. Potem idę w inny kąt, siadam i patrzę gdzieś przed siebie. Snuję się po domu, pod ścianami ze starą bronią; wchodzę do naszego pokoju i usiadłszy w fotelu, zatapiam się w bezmyślnym przesuwaniu w głowie obrazów. Jest mi dobrze. Nie chcę i nie mogę czytać, nie chcę myśleć i mówić. Patrzę z okien na trawnik przed domem. — B. siedzi na ziemi w kole szeroko rozłożonej spódniczki i maluje. Nad jej rysunkiem pochylają się główki dzieci, siedzących w milczeniu. Mogą tak siedzieć godzinami i patrzeć, jak ołówek biega po papierze, jak po rysunku rozlewa się farba. Są ciche i grzeczne — niemal zaklęte. A dalej chodzi mały Filip, zataczając się w swych pierwszych wędrówkach na nogach. Czasem przysiada, rozgląda się i wygląda tak, jakby bezustannie czegoś szukał i nie mógł znaleźć.

W pokoju jest chłód starego i od lat nieopalanego domu; przez okna wpadają ciepłe powiewy. Zegar kościelny wybija dwukrotnie tę samą godzinę, by tam, w polach, mogli dokładnie ją usłyszeć. Pod wieczór niebo zaciąga się chmurami i przychodzą długie, popielate godziny. Tu wszystko jest bielsze niż u nas i nigdy nie przychodzi mi na myśl słowo „szary". Błądzę po domu i słucham Balzaca. Mówi do mnie obrazami. Gdy o popielatej godzinie oprę się o starą komodę i patrzę na pokój ze schowaną w murze toaletą, z krucyfiksem ponad klęcznikiem, widzę inny dom — ten nad Loire — „La Grande Bretèche". Słucham krótkiego opowiadania doktora Bianchon o Comtesse de Merret. Słucham? Nie. Raczej widzę. I tam mały *cabinet de toilette* w sypialni Mme de Merret miał cztery stopy głębokości. Przymykam oczy i widzę ją opartą o kominek. Słyszała, jak wchodził. On — ten drugi — schował się tam. Comte de Merret zdejmuje ze ściany krucyfiks. „Przysięgam" — szepcą zbielałe wargi. „Głośniej... i powtórz: Przysięgam przed Bogiem, że nie ma tam nikogo". A potem wznoszący się wolno, cegła za cegłą, mur. Giną za nim drzwi małego *cabinet*.

To wszystko wydaje się prawdziwe, jeszcze żyje, było wczoraj. Nigdy dobrze nie wiem, czy zapach pokoi, słowa ludzi i widoki przypominają mi Balzaca, czy też on przypomina mi o nich; czy to wszystko, to on — czy też on jest tym wszystkim. Dopiero w takich godzinach czuje się, że jest to wielkie, nieogarnione Jedno, dopiero tu rozumie się tę wspaniałą uwagę Keyserlinga, że tym, czym był dla średniowiecza Dante i jego „Boska komedia", tym dla 19-go wieku był Balzac z jego „Komedią ludzką". Nie można jej z niczym porównać. I widziałem już mera. Był taki uprzejmy, płaski i encyklopedyczny... Widziałem także księdza chodzącego przed kościołem i czytającego brewiarz wszystkowidzącym wokoło okiem. Powiedziałem mu *Bonjour Mr. le Curé*, a on mruknął mi *Bonjour, bonjour*. Zna już nas, tak jak zna nas całe C.. „To wszystko gaduły o stalowych językach", jak mówiła o Vendôme Rosalie, rozmawiając z Bianchon. A my też wiemy, że stara Comtesse de C., mieszkająca w tym pałacyku, nie może wytrzymać ze swoją służącą, która jest u niej od 45-u lat. Będą musiały się rozejść... To będzie temat do rozmów. Pojutrze ma przyjechać nowy prefekt i przemawiać do rolników. Znowu nowy prefekt. Ciągle się zmieniają. Rząd zaczął tak ścisła

współpracę z Niemcami, że żaden porządny człowiek nie chce współpracować z rządem. W administracji jest ciągły taniec.

Wchodzę do salonu. Jest tu mnóstwo ciekawych książek. „Bernadotte", „Les Amants de Venise" — historia pobytu G. Sand i Musseta w Wenecji i jeszcze jakieś inne. Nie mam siły wziąć ani jednej z nich do rąk. Wolę wychylić się przez okno i słuchać jak wiatr szumi w czarnych świerkach, otaczających dom. Od strony przyległej fermy dochodzi kwakanie kaczek, pisk pompy i szum wody. Czasem w salonie siedzi C. i pisze listy. Chowam się za pianinem i słucham skrzypu pióra po papierze. W zupełnej ciszy wokoło, dźwięk ten ma w sobie coś zupełnie nieziemsko uspokajającego. Słychać, jak ktoś pisze — to śmieszne...

6 SIERPIEŃ.

Michel dzwoni na obiad. Chodzi po całym domu, potrząsając krowim dzwonkiem. Schodzimy na dół i stajemy za krzesłami. Dzieci śpiewają krótką modlitwę straszliwie fałszywym dyszkantem. Mme B. siada — wszyscy za nią. Zaczyna się rozmowa, zawsze trochę bezładna. Wczoraj Rosjanie odebrali Orzeł, Anglicy zdobyli się nareszcie na zdobycie Catany, Amerykanie mają Mundé. Oczywiście nikt nie wierzy w koniec wojny w tym roku. C. zostawszy dyrektorem wielkiej fabryki w N..., zetknął się po raz pierwszy z Niemcami i opowiada o nich. Przypomina to opowiadanie ślepego o kolorach. Nie wydaje mi się, aby jakikolwiek Francuz był zdolny wczuć się w psychikę innego narodu. Są oni jak zły radioodbiornik — łapią tylko jedną stację: *Radio-Nationale*. Toteż zwykle po obiedzie, gdy siadamy w kącie salonu z kawą i cygarem, robię mu krótkie wykłady. Słucha uważnie i jak w każdym Francuzie, budzi się i u niego pewien rodzaj podziwu czy może raczej szacunku dla intelektu; i, jak każdy Francuz, łapie tylko elementy czysto rozumowe. To ciekawe, że ten naród, mający takie zdolności do analizy, nie rozumie niczego, co potrąca o psychologię lub psychoanalizę. Wydaje mi się, iż popełnia się grubą pomyłkę, twierdząc że Francuzi stworzyli „powieść psychologiczną". To są powieści analityczne — rodzaj chemii nieorganicznej w literaturze. Jeden Balzac poszedł dalej, wyszedł poza granice sekcji, zimnej i precyzyjnej — i do dziś dnia pozostał niezrozumiany. Cały świat podziwia go za to, czego Francja nie rozumie zupełnie. Obcy entuzjasta Balzaca, rozmawiając z francuskim miłośnikiem tego Freuda 19-ego wieku, posiada wszystkie szanse niedogadania się do końca życia. Francuz podziwia go za to wszystko, co p o w i e d z i a ł — my skłonni jesteśmy do położenia nacisku na tym wszystkim, czego on n i e powiedział, a co tak wspaniale wyczuwa się. I dialog o Balzacu przypomina szyny kolejowe, które biegną razem do jednego celu, lecz nigdy nie mogą się spotkać. W ogóle wiele rozmów z Francuzami przypomina mi szyny: zdaje mi się, że mnie zrozumiał, a tu okazuje się, iż on tylko biegnie r ó w n o l e g l e. Są mistrzami chemii nieorganicznej w dziedzinie człowieka. Chemii organicznej nie są w stanie pojąć. Jest to zupełne zamroczenie jasnością — irracjonalny racjonalizm.

Pomiędzy jednym łykiem kawy a drugim, ciągnąc mocne cygaro, staram się w naszych rozmowach dostosować do tego; wzmacniam żarzenie, aby przebić się przez te mroki jasnością i trafić do tego najbardziej oddalonego zakątka duszy, jakim jest Prawdziwe Zrozumienie. Jest to dla mnie doskonałą gimnastyką, tym bardziej, że francuski *esprit*, to nie tajemnicza szkatułka: otwiera się ją najczęściej nie zaklęciami i czarną magią, lecz jednym pociśnięciem ukrytego guzika. Guzik ten kryje się zawsze w doborze słów, które budzą francuski temperament lub emocjonalność. Do Francuza najłatwiej trafić poprzez temperament — błyskotką. Gdy mówię o Niemcach, opierając się na doskonałej analizie Keyserlinga o embrionalności charakteru niemieckiego, gdy mówię o ich kulcie siły, wypływającym z głębokiego poczucia wewnętrznej słabości i galaretowatości; o nacjonalizmie narodu, który ceni go tak wysoko dlatego, że stosunkowo najłatwiej wynaradawia się i podlega obcym wpływom, o nadkompensacji — nie rozumiemy się. Ale gdy rzuciłem tytuł artykułu o Niemcach E. Ludwiga, gdy powiedziałem „bandyci i muzycy", szkatułka otworzyła się. Tytuł — błyskotka. Nie mam żadnej trudności w objaśnieniu tezy Ludwiga, że kto tak przeżywa „Dziewiątą" Beethovena wieczorem, temu na rano nie pozostaje wiele z tego, co określa się mianem „szlachetne uczucia". Rano pozostaje bandyta, — wolny, niczym nie skrępowany opryszek. *Vous comprenez — la Neuvième Symphonie constitue le dérivatif pour tous les instincts nobles et généreux — reste le bandit et l'assassin.*

Wstajemy. Rozchodząc się, słyszę, jak C. mówi jeszcze do siebie ze śmiechem: *Bandits et Musiciens.* — Trafiłem na ukryty guzik. Trzy słowa — i kontakt osobisty. Gdy mówiłem mu o nich trzy lata temu, nie chciał wierzyć.

Po południu chodzimy nad rzekę kąpać się; uczę pływać małego Michela. Najstarszy Jacques wykazuje już symptomy „czystego intelektu" — boi się wody i wysiłku fizycznego. Grozi mu wyrośnięcie na jedną z wielu orchidei umysłowych. Żal mi chłopca. Jakże wdzięczny jestem ojcu, że choć nieraz brutalnie, ale uformował mi ciało na obraz i podobieństwo ludzkie. Dziś równie dobrze i łatwo pływam, jak myślę. Myślę całym sobą. Nie mogę natomiast znieść i brzydzę się czystych intelektów. Bywają tak często nieludzkie, są twarde, jak głaz lub oślizgłe, jak gad. Skaczę z mostu i płynę obok B. Jest nam wesoło — rozmawiamy spojrzeniami i uśmiechem.

7 SIERPIEŃ.

Pojutrze jedziemy dalej. Wielka włóczęga po cichych drogach, po cichych miasteczkach. Bez zegarka, bez czasu...

Wieczorem. Pochmurno i ciepło. Powoli zapadał mrok. Drzewa, żywopłoty, zamek były płaskie. Wycinanki. Zboża już dawno zżęte i ścierniska stały się popielate. Każde pole i półko otoczone jest czworobokiem żywopłotu, z którego wyrastają powyginane dziwacznie, poskręcane i co rok amputowane na opał dzikie grusze i jabłonie. W oksydowanym mroku wyglądają jak po-

stacie. Usiedliśmy przy drodze. Była taka cisza, że lecący chrząszcz warczał, jak silnik samolotu. Opadający liść potrącał gałęzie ze stukiem. Powietrze zamarło i nawet smukłe trawki nie drgały. Mówiliśmy szeptem. Czym bardziej ściemniało się, tym warkot latających chrząszczy stawał się częstszy. Od czasu do czasu nurknął bezszelestnie nietoperz i zapadał aksamitnym lotem pod czarne korony drzew. A na małym pólku, naprzeciwko, toczył się królik. Toczył się, jak jajko. Niżej, wyżej... Stanął i słuchał. Za nim wybiegły z żywopłotów dwa inne. Jadły niewyzbierane kłosy. Po chwili wypadło ich więcej. Coraz to nowe dobiegały i pólko zamieniło się w wielką salę uczty. Podskakiwały, toczyły się i zamierały w bezruchu.

Wierzyłem, że rozmawiały, śmiały się i tańczyły. Patrząc na to, staliśmy się dziećmi; szukaliśmy wśród królików jeszcze czegoś... Może wróżki, co zaklęła ten zakątek w ciszę, może małych duszków lub krasnoludków w czerwonych czapeczkach...

8 SIERPIEŃ.

Niedziela. Rano na mszy w kościele. Doskonałe kazanie. Tutejszy proboszcz, grand hiszpański „z domu", posiada tę kulturę, której zazdroszczę im zawsze, gdziekolwiek stykam się z francuskim klerem. Odważne i mocne kazanie, zdecydowanie antytotalitarne. Wspaniały styl, precyzja i umiejętność powiedzenia tylu rzeczy bez nazwania ich po imieniu przygwoździły nie tylko mnie, ale całe audytorium.

Potem słuchałem radia — walce Straussa. Zastanawiałem się, czy wszelkie wynalazki z dziedziny telekomunikacji naprawdę wzbogacają życie. Pozornie wzbogacają, naprawdę tylko urozmaicają. Czuję to specjalnie tu, odczuwam na tle głębokiego wstrząsu, jakim było to poranne kazanie. Dostrzegam najwyraźniej paradoks naszych czasów: czym bardziej technika ułatwia ludziom kontakty, zbliża kontynenty, zbliża człowieka do człowieka, dając mu coraz to lepsze środki porozumienia się na odległość, tym to porozumienie słabnie, tym bardziej ludzie stają się sobie obcy. Znika z życia kontakt osobisty — jedyny, wzbogacający i zapładniający. Dziś na każdym kroku między człowieka a człowieka wciska się Rzecz, przedmiot. Łączą się kontynenty, obcość wzrasta, człowiek staje się też przedmiotem. Znika o s o k a, przedmiot.

Literatura współczesna zaczyna chronicznie chorować na brak Typu i ucieka do akcji, w którą rzuca ciągle tych samych ludzi. Konflikty psychiczne współczesnego człowieka zaczynają coraz to bardziej sprowadzać się do konfliktów seksualnych, z którymi nie może on sobie poradzić, nie mając skąd czerpać odpowiedzi na pytania instynktów, ślepych sił. Powieść współczesna, z małymi wyjątkami, staje się męcząca przez swą jednostajność, popada w zapomnienie, nie zostawia śladu. Zjawisko to ukazuje się we wszystkich dziedzinach sztuki, która ma coraz to większą skłonność do „mechanicznego" oddziaływania na człowieka. Literatura, muzyka, malarstwo działają dziś wstrząsami. Przypomina to elektryzację lub zastrzyk curary. Zamiast przemawiać do tych najszlachetniejszych pokładów w duszy człowieka, starają się one przede wszyst-

kim targać nerwami. Gdy zwiedzam nowoczesne wystawy obrazów, gdy słucham nowoczesnej muzyki lub czytam ostatnie nowości, mam zawsze wrażenie, że podlegam uderzeniom prądu. A tu, ze ścian tego domu, ze słów tych ludzi, co pozostały jeszcze osobami, bije jakieś dziwne ciepło. Po południu byłem u mera ostemplować rubrykę *départ* w naszych kartkach tożsamości. Mr. Co... był znowu niezrównany w swojej płaskości. Należy do tej kategorii ludzi, którzy są na „ty" ze wszystkimi: z całą nauką, polityką, kosmogonią, geografią i solennym tonem wypowiadają wielkie myśli w rodzaju tej, że rzeczą godną uwagi jest fakt, iż wielkie rzeki przepływają u stóp wielkich miast lub wypowiadają światły sąd z zakresu urbanistyki twierdząc, że gdyby miasta budowało się na wsi, to powietrze byłoby w nich na pewno zdrowsze. Dziesięć minut rozmowy, zapach bijący z tej kategorii dwunoga i pałogłowca w jednej osobie działa na mnie, jak zapach letniej wody z cukrem. Nudzi mnie, coś podchodzi mi do gardła. Uwaga Goncourtów, że ludzie tego pokroju pragną mieć w salonie swój portret w mundurze Gwardii Narodowej — w balonie, jest po prostu genialna.

Mówiliśmy z Mr. Co... o wojnie. Jak to długo jeszcze potrwa? Stwierdził figlarnie, iż wprawdzie wszystko przemawia za tym, że wojna ta jest wieczna, ale „nie przerażajmy się — nawet wieczność ma swój koniec". Powiedziałem mu, że jest *très spirituel;* miałem wrażenie, że z nadmiaru zadowolenia zatrze swe krótkie nóżki, schowane pod stołem. W uchylonych drzwiach ukazała się infantka rodu Co..., wystrojona i ruda dziewczynka. Powiedziałem oczywiście kilka pochlebnych uwag pod adresem tej czerwonej jałówki. Mr. Co... powiedział mi „w zaufaniu", że ona jest *très intelligente* i że czyta już *nos classiques.* Nadzwyczajne? I że niedługo będzie się dla niej starał o lekcje łaciny. Jasne? Nie mówiąc o muzyce. Ależ oczywiście. Przypomniałem sobie, że znam już taką jedną — to córka chytrego Roque z „Éducation sentimentale" Flauberta. Ci ludzie wspaniale ulepszają się w swoich dzieciach.

Ostatni wieczór. Po kolacji siedzieliśmy w pokoju Mme B. Stawiała nam kabałę. Wszyscy śmieją się i trochę wierzą. C. wypadło wiele trudności na przyszłość. Na jego nowym stanowisku, bardzo zaszczytnym ale ciężkim, będzie ich miał aż za wiele. Mme C., w ostatnich miesiącach ciąży, wygląda ślicznie. Należy do tych kobiet, które nie są kobietą, gdy nie spodziewają się dziecka. Będzie to już trzecie wojenne.

Wychodząc na górę do pokoju, patrzę jeszcze raz na starą broń i stare sztychy na ścianach, słucham skrzypu schodów.

10 SIERPIEŃ.

Jesteśmy w oberży „Pod Białym Koniem". Wszyscy mówią jednak „Hôtel de Cheval-Blanc". To lepiej brzmi i dodaje powagi patronom.

Wczoraj rano upakowaliśmy nasze bagaże i odprowadzeni przez C... i chłopców do najbliższej wsi, zostaliśmy sami na drodze. Pusta szosa, poranna mgiełka i zupełna cisza. W delikatnych oparach nad polami tańczyły skowronki,

uwieszone w powietrzu jak gdyby na cieniutkiej nitce. Słychać szum skrzydeł przelatujących nisko wron, a daleko przed nami przeskoczył przez drogę królik. Są to te chwile, które staram się zawsze uchwycić, w których udaje mi się nieraz przeżyć naprawdę nieuchwytne t e r a z. Czas. Przychodzą na myśl zapomniane „Wyznania" św. Augustyna. Czas, to przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Przeszłości już nie ma, minęła; przyszłość jeszcze nie nadeszła, a teraźniejszość, rozpadająca się częściowo w przeszłości i w przyszłości, jest nieuchwytna. I właściwie trzy są czasy: teraźniejszość rzeczy przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Jadąc cichą drogą, zatopiony w jakiejś przedziwnej pełności, czuję specjalnie tę wielką fikcję czasu, nieuchwytność teraźniejszości. W człowieku wszystko jest albo przeszłością, albo przyszłością. Teraz przeżywa się p o p r z e z tamte dwa czasy. Bywają jednak momenty, gdy jest tylko to, co jest; chwile tak krótkie, że nie dające się wyrazić żadną jednostką, a jednak wspaniałe, bo pełne. Jedynie poczucie zupełnej pełności pozwala na uchwycenie tego t e r a z. Ale w takich chwilach czas w ogóle znika, nie ma go. I może właśnie ta bezczasowość, to zupełne oderwanie się od matematycznego charakteru czasu, wypełnia nas obydwoje czymś zupełnie nieokreślonym, czymś bardzo, bardzo bogatym.

Setki metrów uciekają w tył, wskazówki zegarka suną naprzód; a ja jestem pomimo to w miejscu. Oczy błądzą po ścierniskach, po łąkach, po kępach drzew, gubią się w linii drogi. Wewnątrz jest cisza — wielka i pełna. Czy można powiedzieć, że się „podróżowało", gdy człowiek pokrywa setki kilometrów w kilku godzinach, zatrzymując się — albo i nie — w pewnych punktach? Jestem przekonany, że przejechawszy z Angers do Le Mans na rowerze, będę miał więcej praw i podstaw do twierdzenia, iż odbyłem prawdziwą podróż, aniżeli osobnik przebywający przestrzeń Paryż—Saigon w trzy dni. Kto z nas dwóch więcej przeżyje? Moja podróż pozwala mi na prze-życie, zbliżając wolno do celu. Cel zaciera się, nie stanowi rzeczy samej w sobie; przestrzeń staje się nie wrogiem, lecz przyjacielem, z którym rozmowa wzbogaca, rozbudowuje. Jest to jak z zagadkami na pierwszej stronie i z odpowiedziami na ostatniej. Przeskoczyć z Paryża do Saigonu, to spojrzeć na zagadkę i, nie zadając sobie trudu, przeczytać rozwiązanie. To przejście od pytania do gotowej odpowiedzi. System ten nie wzbogaca, nie rozwija, nie zmusza do myślenia. Człowiek staje się wówczas istotą najbardziej podobną do pchły, jak mówi Keyserling; żadna pchła nie skakałaby beztrosko, bez pomyłki co do punktu, w jakim ma wylądować, gdyby skacząc, musiała się jeszcze poświęcać kulturze swojego życia wewnętrznego. To, co tworzy jedyność człowieka, to właśnie jego otwartość na świat. Ale jak można utrzymać swą otwartość na świat, jeżeli nie jest się w możności zauważyć nic innego, jak tylko to, co możliwe jest do zobaczenia przy szybkości 500 km na godzinę? Człowiek zamyka się, staje się pchłą.

Ten świat tutaj, te mijane wolno fermy z gnojówkami przy drodze, wielkie, dwukołowe wozy, wszystko jest ciepłe. W Sablé pełno letników. Paryż przeniósł się tu na dwa miesiące. Stroje swobodne i eleganckie, jak na Riwierze.

Wszyscy ci ludzie siedzą tutaj i nudzą się tylko po to, żeby jeść. Jedzenie jest jedyną rozrywką w tym prowincjonalnym miasteczku, posiadającym — o zgrozo — tylko jedno kino. Mnóstwo nowobogackich. Tych odróżnia się od razu. Oni nie są ubrani — są p r z e b r a n i. Jemy obiad. Popołudnie jest parne i duszne; potem dalej. Po kilku godzinach wjeżdżamy do J. Kościół, plac, droga i dwa rzędy domów po bokach. Zatrzymujemy się pod oberżą. Jeden dzień włóczęgi „zdemoralizował" nas zupełnie. Wszedłszy do domu, czujemy się skrępowani. Pokoik jest malutki i ciasny, z widokiem na plac przed kościołem.

Przed kolacją myjemy się w tym głębokim talerzu, zwanym tutaj *cuvette* i schodzimy na dół. Oprócz L. i J. siedzą z nami patroni, jakiś młodzieniec i małżeństwo dentystów z Paryża z histeryczną pięcioletnią dziewczynką. Po sali jadalnej w C., po tym języku czystym i ładnym, jak ładnym może być tylko prawdziwy francuski w ustach ludzi, umiejących się nim posługiwać, tutaj poczuliśmy różnicę. To okropne, do jakiego stopnia ogół Francuzów mówi źle po francusku. W każdym razie dentyści u nas t a k nie mówili. Za to jedzenie, jak z bajki. Pasztet, pomidory w śmietanie, pieczeń, sałata, ciasto i czarna kawa. Ledwo dycham.

11 SIERPIEŃ.

Powoli aklimatyzujemy się. Byłem u mera ostemplować „przybycie". Tutejszy mer ma sklep uniwersalny. Coś w rodzaju „Galeries Lafayette" w miasteczku, liczącym niespełna 700 mieszkańców. Wszelkie sprawy administracyjne chodzi się załatwiać do sklepu. Mer jest stary i sympatyczny. Na codzień pokazuje ludziom twarz o dobrotliwo-głupawym wyrazie. Ale od święta potrafi nadać jej wygląd zupełnie inny i przegląda z niej wówczas głęboka inteligencja człowieka prostego, uszlachetnionego czasem. Po wpisaniu daty w rubryce „przybycie" wyjął z kieszeni starannie owiniętą pieczątkę i przystawił ją na swoim podpisie. Z rozczuleniem zauważyłem, że jest to jeszcze stara pieczątka z Republiką, z tą siedzącą Marianne, opartą ręką o coś i mającą coś wokół głowy. Na moją uwagę, że tak miło spojrzeć na ten tradycyjny symbol, zastąpiony dziś przez „Francisque" Pétain'a, tzn. obosieczny topór w pęku rózg, oczywiście liktorskich (to takie młode, silne, żywe, jak obóz koncentracyjny, bojówki i milicja) — stary mer uśmiechnął się chytrze i wyznał półgłosem: „Dlatego noszę ją zawsze przy sobie, żeby mi jej nie zabrano. Ja pieczątki nie zmienię — *je suis républicain, Monsieur!*" Wobec tych ludzi nie pomogą *Bekanntmachungi*, nakazy, ustawy i nowe, totalne hasła. Republika, z jej swobodą jednostki i poszanowaniem praw człowieka, wchodzi w skład chemiczny krwi tych starych obywateli. Deklaracja praw człowieka i obywatela, wolność i republika są uchwytne, materialne, jak banknot, wino i chleb. Ale dziś, gdy niemiecki renesans III-ej Rzeszy, ogłoszony przez Vichy, wślizguje się coraz to głębiej w organizm Francji i odmładza go donosami, więzieniem, karami i obozami, coraz mniej tych ludzi pozostaje na stanowiskach. Na ich miejsce

przychodzą mali zdrajcy z nowymi pieczątkami. To obosieczne — jak ów topór...

Ale nie tylko mer; prawie cała ludność jest tu „przeciw". To stąd pochodzi ten sławny już dziś w całej Francji jedyny obywatel, który odmówił przyjęcia kartek żywnościowych. Powiedział, że ani jego dziadek, ani ojciec nie używali czegoś „takiego" *(de ça)* i wobec tego on też dziękuje za „to" *(pour ça)*. Ziemia, jaką posiada i uprawia, wyżywi go bez „tego" *(sans ça)*. I tu także jest pewien stary, samotny chłop, co powiedział, że dla Niemców ziemi uprawiał nie będzie, wyniósł się z domu i żyje z pracy u drugich, naprawiając buty, piece, uprząż. Ziemię oddano pod zarząd państwa, a stary chodzi i śmieje się. Ci ludzie tchną czymś innym, ożywczym, bo potrafili zostać sobą; oparli się tym wszystkim zarządzeniom, które nas mają lepiej zorganizować, spoić, zahartować, uodpornić, odmłodzić, zaprowadzić nowy ład i uszczęśliwić teraz i w godzinę śmierci naszej. — Amen. Psiakrew!

Są chwile, w których ogarnia mnie skrajny anarchizm; anarchizm, o jakim nie śniło się nawet tym, co na transparentach obnoszą napis „Śmierć wszystkim"; anarchizm posunięty do histerii, niemal do szaleństwa. Byłbym zdolny mordować z wyrafinowaniem. Rozumiem dziś, dlaczego bezrobotny kuchcik z taką zimną krwią ucinał kieszonkowym nożem głowę komendantowi Bastylii, De Launay. On nie ucinał głowy człowiekowi, lecz Bastylii, systemowi. Okrucieństwa rewolucji były okrucieństwami popełnianymi na systemie, na ludziach, którzy byli jego uosobieniem. Mordowano i znęcano się na systemie poprzez ludzi. Ludzie ci nie liczyli się, nie było dla nich litości, bo mordowano *en passant* — patrząc w dal, słuchając nie jęków ofiar, lecz skrzypu wiązań systemu. Tam, gdzie nie morduje się ludzi, lecz coś poprzez nich, nie może być mowy o litości. Człowiek staje się ślepy, głuchy, nieczuły — staje się tak przedmiotowy i suchy, jak system i organizacja, którą obala w danej chwili. I dlatego ten pierwszy odruch, dziki, potworny w swoich następstwach jest w gruncie rzeczy niewinny. To nie jest zbrodnią. Zbrodnia zaczyna się tam, gdzie mordowanie i gwałt stają się systemem i organizacją, gdzie stają się one planowe. Rewolucje nie są okrutne tam, gdzie wchodzą w grę instynkty nieskoordynowane i w gruncie rzeczy zdrowe, instynkty masy, która „ma dość". Bezrobotny kuchcik, ucinający tępym scyzorykiem głowę De Launay'a, nie był zbrodniarzem; on miał dość i inni mieli dość. Ale ci wszyscy, co nie zabiwszy własnoręcznie nikogo, ze ślepego i sprawiedliwego odruchu zrobili system i z wielkiego i ożywczego płomienia uczynili wolny ogień, ci są największymi zbrodniarzami. Największą zbrodnią jest skalać zbrodnię. Są wyjątki, wielkie i szlachetne, z których nie wolno robić reguły. Do nich należy zbrodnia.

Dziś, dopiero dziś rozumiem krwiożerczość ludzi „mających dość", rozumiem naprawdę tego kuchcika spod Bastylii i — zazdroszczę mu. Zazdroszczę mu i rozumiem go w tych chwilach, gdy będąc zmuszonym do napisania listu i nie znalazłszy w sklepie u mera białego papieru, tylko liniowany, — wyrwałem z tego zeszytu kilka kartek i piszę na nich listy. Bo

rozhisteryzowany anarchizm, może głupi, ale silniejszy ode mnie, uważa pisanie na linii za ograniczenie indywidualności — osoby. Rozumiem go, gdy chodząc w Paryżu po merostwach, widzę rosnące z każdym tygodniem i miesiącem góry kartotek, adnotacyj, informacyj, kwestionariuszy tajnych i jawnych; gdy każdy z nas figuruje nie jako osoba, lecz jako numer i gdy traktuje się nas, jak tekturkę z kartoteki, o ileż ważniejszą od osoby, ode mnie, od tego wielkiego wyjątku, jakim jestem w naturze, będąc człowiekiem; gdy towarzyszę robotnikom skazanym na deportację na komisjach lekarskich, na których bada się na oko, pędząc ludzi, jak bydło w rzeźni; gdy myślę o milionach ludzi za drutami, w celach i gdy boję się domyślać — rozumiem kuchcika spod Bastylii i rozumiem, do jakiego stopnia może zafascynować człowieka dotknięcie w kieszeni — pudełka zapałek i tępego noża.

Tutaj odpoczywam. Śniadanie w pokoju, z ubraniem nie ma kłopotu. Koszulka, lniane spodnie i pantofle na sznurkowej podeszwie. Wychodzimy w pola, biorąc z sobą książkę po to, aby jej w ogóle nie czytać. Okolica pagórkowata. Między pagórkami wąskie, polne drogi. Wielkie łąki, otoczone żywopłotami. Pasą się krowy i owce.

12 SIERPIEŃ.

Nasz stół wzbogacił się o jedną osobę, będącą jego ozdobą. Comte de R., chory do wczoraj na *maladie de vacances* czyli na niestrawność, zjawił się dziś po raz pierwszy za naszej bytności. Znaliśmy go już z opowiadań współbiesiadników. Od pierwszej chwili poczułem do niego sympatię, a przy deserze porozumieliśmy się całkowicie. Nie ma chyba nic przyjemniejszego, jak nawiązanie kontaktu w rozmowie, wznoszącej się krótkimi spiralami szybko w górę. Comte de R., wysoki i przystojny, w wieku ponad 40 lat, jest tym typowym okazem arystokracji francuskiej, który jeżeli nie jest głęboki, to w każdym razie bywa ciekawy i czarujący. W typach tego rodzaju czuje się wspaniałą technikę, wyrobienie i swobodę. Absolutna lekkość poruszania się wszędzie, w każdej roli. Doskonała umiejętność tego, co można by określić szkicowaniem — umiejętność nie do podrobienia. Subtelny dowcip i naturalność. Przemiły brak „serio" — tego „serio" ludzi, co przeżywają życie od A do Z i będąc nawet przy końcu alfabetu nie mogą zapomnieć o jego początku.

Comte de R. zaczął życie od P — stąd kryształowe wyobrażenia, brak poczucia rzeczywistości w nizinach i dziecinna naiwność sądu o dołach. Comte de R. jest demokratą i chłopomanem. Jego demokratyzm i chłopomaństwo są tak idealne i absolutne, jego opinia o doskonałości i zaletach ludu tak wygórowana, jak może się to zdarzyć właśnie tylko u arystokraty, młodzieńca 20-letniego (i to nie w naszej epoce), lub u intelektualnie abstrakcyjnego idealisty. Lecz ten idealizm, przejawiający się przeważnie w formach suchych, bezlitosnych, idealizm Robespierre'a, objawia się u niego w formie pełnej serca i sentymentu, jest pełen śmiechu. Jego pojęcia o uszlachetniającym wpływie natury przepojone są w prostej linii ideologią J. J. Rousseau, a jedyną

do przyjęcia socjologią jest socjologia Ch. Fouriera z jego falansterami. Jest on potomkiem tego odłamu arystokracji francuskiej, która wywołała rewolucję i będąc w obliczu gilotyny, uśmiechała się, wierząc jeszcze ciągle w *bonté innée du peuple*. Toteż sądy jego pomimo całej skrajności nie są wyzywające i nie prowokują. Można traktować je tak samo, jak zamiłowanie do zbierania znaczków pocztowych. Jest to nieszkodliwa mania i czuje się z góry, że człowiek ten mając możność wprowadzenia w czyn swych idei na wielką skalę, nie byłby do tego, dzięki Bogu, zdolny. Wrodzona i wielka kultura byłaby tu naturalnym hamulcem. Widząc ludzi tego rodzaju rozumie się, dlaczego faszyzm odbezpiecza pistolet na słowo „kultura", dlaczego oni tępią wszystkich tych, co zdradzają prawdziwe ślady kultury. Bo ideologia ta wie, iż człowiek tego rodzaju jest jej niepotrzebny; będąc niezdolnym do krańcowości, do zdecydowanej akcji, posuniętej do ostateczności, wymyka się każdemu totalizmowi, czarnemu czy brunatnemu, i zaraża innych.

Kultura, to równowaga w pojęciu Francuza. Comte de R. pomimo swego furieryzmu i przekonań o dobroci ludu — jest zrównoważony. Jego chłopomaństwo i demokratyzm są jednak manią, potępioną i wyzyskiwaną przez jego rodzinę, która uważa go za niespełna rozumu i stara się za pomocą tego chwytu usunąć go od spadku. Spadkiem jest okoliczny *château — cum boris et lasis*. Comte de R. mieszka teraz w J., pod bokiem tegoż zamku, aby z bliska móc krzyżować plany swego brata, pragnącego odziedziczyć zamek w całości dla siebie. *Château* stoi opieczętowany, dochody z dzierżaw wpływają do notariusza, nikt nic z tego nie ma i postępowanie spadkowe trwa. Comte de R. jako były wojskowy, attaché ambasady francuskiej w Wiedniu i w Londynie, żyje teraz ze skromnej emerytury; brat jego, bogaty przemysłowiec, ma czas i przeciąga postępowanie spadkowe, aby wymusić na demokracie zrzeczenie się praw. Widząc takich ludzi, przypomina mi się od razu ta wspaniała w swojej trafności uwaga de Rivarola: „Są ludzie, którzy z całej swojej fortuny nie mają nic innego, jak tylko obawę, aby jej nie stracić". Comte de R. i jego brat nie mają obecnie naprawdę nic innego. Co gorsze, że inni w ogóle nic z tego nie mają... Te historie spadkowe we Francji bywają zupełnie średniowieczne.

Jedząc świetny biszkopt z kremem, mówimy o obecnej rzeczywistości, skaczemy z tematu na temat. Człowiek? Jeżeli dziś człowiek przedstawia tak znikomą wartość, to w pierwszym rzędzie dlatego, iż zapomniał o własnej wartości, że sam siebie w dziedzinie ducha szacuje za tanio i że zatracił poczucie swojej wyjątkowości, kimkolwiek by nie był. Nastąpiła wewnętrzna dewaluacja i deprecjacja człowieka w człowieku. Tylko to mogło doprowadzić do tego, co jeszcze 50 lat temu wydawało się wykluczone.

W szybkiej wymianie myśli, często półtonami, wytyczamy położenie, określamy pozycję, w jakiej znaleźliśmy się. Nauczono nas brać wszystko dosłownie, oduczono myślenia „z tolerancją". Nauczono nas przywiązywać znaczenie do słów, a nie do s e n s u. Oduczono poszukiwania sensu, myląc słowami ślady rozsądnych poszukiwań. Cały 19 wiek nie robił nic innego, jak tylko

uczył ludzi przywiązywania znaczenia do słów, wypowiadanych przez wielkie umysły z większym lub mniejszym poczuciem odpowiedzialności. Zabrnęliśmy w ciemny scholastycyzm, który doprowadził do największego, być może, paradoksu naszych czasów: pokolenie wychowane w kulcie rzeczywistości, zatraciło zupełnie jej poczucie. Człowiek dzisiejszy jest w większości wypadków barografem. Jak barograf notuje zmiany ciśnienia, nie wiedząc i nie rozumiejąc sensu zjawisk, których jest wykładnikiem, tak człowiek notuje tę rzeczywistość nie zdając sobie głębiej sprawy z tego, co się dzieje. Notuje się rzeczywistość w postaci strachu, cierpienia, beznadziejności, chwilowego odprężenia, przypływu nadziei. Ale krzywa tych zmian to tylko rezultat, to nie rzeczywistość, nie jej istota i sens.

Vous savez — Ste-Beuve powiedział gdzieś: *Il faut subir son temps pour agir sur lui.* Trzeba znieść *(jak ból, jak mękę)* swą epokę, by na nią oddziaływać. Ale nie we śnie, nie w narkozie. Są operacje, których nie wolno robić ze znieczuleniem, nawet miejscowym. Naszej epoki nie wolno operować, usypiając się optymizmem i idealizmem — w y j ą t k o w o ś c i ą. Bo coraz bardziej zaczyna chodzić nie tylko o prawa człowieka, ale o człowieka w ogóle.

Jesteśmy sami. Na ścianie tyka zegar, z kuchni dochodzi szczęk zmywanego naczynia. Są rozmowy, które pomimo czarnych konkluzyj, do jakich dochodzi się, wzmacniają. Są ludzie w tych czasach i będą w tych, co nadejdą, którym może uda się uratować resztki tego, co do tak niedawna było bezsprzecznie największą zdobyczą ludzkości: wolność inteligencji, niezależność intelektu.

Na ścianie tyka zegar. „Umysły przebudziły się — tak dobrze jest żyć", pisał cztery wieki temu Erazm z Rotterdamu. Czy czujesz zapach tych słów? Jest w nich wszystko.

13 SIERPIEŃ.

Szukam wody. W tych małych rzeczkach, wijących się pomiędzy pagórkami, nie można pływać. Patron oberży pokazał mi na mapie jakieś małe jeziorko o 5 km stąd. Pod wieczór pojechałem tam. Po półgodzinnym szukaniu wpadłem nagle jakby w inny świat. Leśna dróżka rozszerzyła się w kotlinkę, a rosnące po obu stronach wielkie buki zakryły niebo. Dni teraz już coraz krótsze — tu panowała niemal noc. Po chwili zaczernił się przede mną stary i rozwalony młyn, drzemiący u stóp wysokiego nasypu, przecinającego kotlinkę w poprzek. Z nasypu wylewał się wąski strumień wody i, gubiąc się w ruinach młyna, wypływał spokojnie i cicho spod rozwalonych murów. Wyszedłem na nasyp. Zamknięte z obu stron zalesionymi wzgórzami i oparte o nasyp, spało ciche jeziorko. Niebo było popielate, zapadał mrok i panował wilgotny upał. Temperatura i zapach cieplarni. W tej ciszy zupełnej, absolutnej, w tym zagubieniu, wśród bujnej i mięsistej zieloności wydało mi się, że cofnąłem się nagle o kilka milionów lat, w epokę dinosaurów i innych potworów mezozoicznych. Wra-

żenie to było tak silne, że przez chwilę myślałem o jakichś dziwnych rybach, które muszą tu być, a których nie ma gdzie indziej.

Z prawej strony rozciągała się mała, kamienista plaża. Kamienie były tu czerwonawe, a wśród nich pełno czarnych i suchych poduszeczek o długich kolcach. Jakaś dziwna roślina wodna, wyrzucona na brzeg. Woda miała odcień różowy. Na środku jeziorka coś się plusnęło, a z drugiego końca, pokrytego zupełnie liśćmi nenufarów, dochodziły tajemnicze mlaskania. I znowu na środku ryba zawadziła o powierzchnię wody i przecięła ją bezszelestnie, jak nożem. Z dna wypływały bańki gazu i pękały na powierzchni. Stałem na brzegu, zapatrzony i zasłuchany. Wszystko było tu nie z tego świata. Pierwszy raz we Francji nie czułem się jak w ogrodzie. Pomimo dziwnej obawy i dreszczy wstrętu coś ciągnęło mnie ku tej wodzie. Zdjąłem shorty i koszulkę. Stałem nago i drżąc walczyłem z obrzydzeniem. Dotknięcie ręką jakiejś pływającej łodygi wstrząsnęło mną tak, jakbym dotknął węża. Uczułem grubą fałdę dreszczy na kręgosłupie. Woda była letnia, wygrzana. Ochlapałem się, zmacałem czy coś nie sterczy z dna i jak torpeda poszedłem crawlem na sam środek.

Po kilkunastu sekundach czułem się już „swojo". Opłynąłem całe jeziorko wokoło. Czasem tylko, gdy zawadziłem nogą o dolną warstwę wody, lodowato zimnej, rzucałem się niespokojnie. Czułem się znowu nie na tym świecie. Woda, noc, jakiś tajemniczy czar, milczące i wielkie drzewa, ciemne chmury i duszne powietrze weszły we mnie do tego stopnia że poczułem się stworzeniem, cząstką tej mrocznej natury. I jak wtedy, gdy pociągnięty na morze przez łódź rybacką, odczepiłem się o parę kilometrów od brzegu i wracałem sam w noc księżycową, płynąc dwie godziny, tak i tu odczułem znowu tę pierwotną siłę życia: bulgotanie i pulsowanie krwi, cudowną pracę mięśni i każde uderzenie serca. Każda część mego ciała nie była częścią, była całym mną. Położyłem się na wodzie i widziałem tylko ciemne chmury, sunące po niebie wolno, potoczyście. Piłem do dna tę niesamowitą rozkosz życia. Kiedyż kocha się Boga bardziej jeżeli nie w tych momentach, gdy człowiek czuje się „tak" jego dziełem? Tym tworem natury najbardziej udałym, którego ewolucja jest bez granic, który ma jeszcze tyle przed sobą, by stać się Człowiekiem. W tych krótkich chwilach modlę się nie myślą, nie słowami, lecz całym sobą. Czuję życie.

Wróciłem na brzeg, otrząsnąłem się jak pies i ubrałem się. Jadąc leśnymi i polnymi ścieżkami wróciłem do domu. Cały wieczór rozmawialiśmy z B. o „Dysku olimpijskim" Parandowskiego. Jego humanizm ssałem niemal od dziecka. I może dlatego będę w tych czasach trochę nieszczęśliwy...

15 SIERPIEŃ.

Po obiedzie siadamy na rowery, jedziemy nad jeziorko i siedzimy nad nim do wieczora. Jest prześliczne. Codziennie odkrywamy coś nowego: jakąś dziwną roślinę wodną, wielkie paprocie lub złoże jeżyn, którymi objadamy się po wyjściu z wody. Najczęściej jesteśmy sami, czasem tylko jakiś staruszek

kosi ostrą trawę nad brzegiem na podściółkę dla bydła. Gdy słońce przetoczy się ku zachodowi, połowa jeziorka pogrąża się w cieniu. Na liściach nenufarów siedzą żaby srebrno-zielone i skrzeczą lub mlaskają w martwej ciszy upalnego popołudnia. Niebo jest blado-niebieskie, a woda spokojna i gładka jest jak błękitne lustro, na które chuchnęło się lekko. Delikatna mgiełka odbiera wyrazistość kolorom. Pływamy razem, opływamy wokoło całe jeziorko i suszymy się, siedząc na wielkim, różowym kamieniu. B. siada pod parasolką. Kupiliśmy ją w okolicznym miasteczku w małym sklepiku za 14 fr. Zdziwieni tak niską ceną, dowiedzieliśmy się, że parasolki te są na składzie od 1912 r. Starsza madame pokazała nam nawet fakturę. Kosztowały wtedy 3 fr.

Godziny są długie i idą spokojnie wraz ze słońcem; tak, jak być powinno. Dziś niedziela. Ale nie poszliśmy do kościoła. Proboszczem jest tu ksiądz z pochodzenia Irlandczyk. Nazywa się Cunningham. Nienawiść Irlandczyka do Anglii pozostała w nim wraz z kilkoma szczątkami kropli krwi tych opozycjonistów z natury. Anglicy twierdzą, że pierwszym słowem Irlandczyka, z którym przychodzi on już na świat, jest „Nie". Tutejszy ksiądz uważa więc, że skoro w przeciwnym obozie jest Anglia, to sam ten fakt dyskredytuje go do tego stopnia, iż trzeba darzyć sympatią Niemców. Wygłasza wobec tego skrycie proniemieckie kazania, a jeżeli nie proniemieckie, to w każdym razie antyangloamerykańskie. Mer w ogóle mu się nie kłania i naopowiadał mi na ucho, że *on pourrait être plutôt un sultan qu'un prêtre*... Poza tym kościelny dzwoni w ten sposób, że dostaje się gęsiej skórki i ma się ochotę zgrzytać zębami. Dzwony kościelne to przecież też instrument.

Do naszej wyprawy nad jezioro przyłączył się dzisiaj Comte de R. Pożyczył rower i pojechaliśmy razem. Wspaniały człowiek. Całe dzisiejsze popołudnie upłynęło pod znakiem jego dowcipu. My kąpaliśmy się, a on chodził po brzegu i opowiadał nam o tutejszej okolicy, którą zna od dziecka. Oglądaliśmy tę dziwną poduszeczkowatą roślinę. Podobno w pewnych okolicach to jedzą. Comte de R. przeciął scyzorykiem jedną z tych poduszeczek i zrobił nam „naukowy" wykład. Była to jedna wielka i wspaniała kpina z tej profesorskości — głupiej i napuszonej, jaką niestety tak często spotyka się wśród ludzi nauki. Wspaniale podchwycił ten ton, przedmiotowość suchą i nie podlegającą dyskusji tych ludzi, u których nauka zabiła mądrość, serce i poczucie humoru. Siadłem na ziemi i wiłem się ze śmiechu. Przypomniały mi się niektóre marionetkowe figury moich profesorów, którzy tym tonem zastrzykiwali młodym duszom kult faktu, człowieka abstrakcji i podciągania wszystkiego pod naukę. Comte de R. szalał; wydobywał z siebie cały zapas niesamowitych frazesów, kończąc to patriotyczną przemową o znaczeniu hodowli roślin oleistych dla państwa z powołaniem się na marszałka Pétain'a. Wyłem i płakałem.

17 SIERPIEŃ.

W wolnych chwilach zajmujemy się skupowaniem jedzenia. Zostaliśmy „wprowadzeni" do pewnych ferm, przedstawieni fermerkom i teraz jeździmy po towar. Wysłałem już pocztą do domu dwa kg masła i cztery tuziny jajek.

Patronka przechowa nam to w lodowni aż do naszego powrotu. Ceny są tutaj takie, że wierzyć się nie chce, gdy się płaci. Mam wrażenie, że nie kupiłem, lecz ukradłem. Tuzin jajek 45 Frs. Kg masła 120 Frs. Mija już cztery lata wojny, a tu wydaje się, że wojny nigdy nie było. Gdy wieczorem zajeżdżamy na fermy i rozmawiamy z fermerami (długa rozmowa przed ubiciem targu jest obowiązkiem; inaczej powiedzą, że źle wychowany i nic nie dadzą), mamy uczucie, że śnimy. Na brudnym podwórku przed domem, z zawsze taką samą gnojówką prawie pod progiem, panuje cisza zmroku. Na tle ciemniejącego nieba, rozświetlonego u dołu resztkami słońca, co dawno już zapadło pod horyzont, rysują się ostro czarne drzewa i krzaki. Dopiero o tej porze zaczynają one żyć. Każde jest inne, każde nabiera kształtów jakiejś postaci. Są wśród nich wszystkie typy, a wiek ich można określić z sylwetki. Stare grusze, dzikie, zapuszczone i pochylone, rozczochrane jabłonie. Krzaki i żywopłoty są jak tłum: burzliwe, nieokiełznane, wrzaskliwe. I ileż tu charakterów... Jadąc drogą lub czekając, aż fermerka wyniesie nam z jakiegoś schowku jajka lub masło, mówimy o drzewach, jak o ludziach. Trudno nie uśmiechnąć się na widok starej wierzby klęczącej przy drodze z udaną pokorą dewotki, pełnej uległej złośliwości. Są drzewa dobre, złośliwe, ironiczne, spokojne lub pełne wewnętrznego niepokoju. To wszystko widzi się dopiero o zmroku.

Tak lubimy te godziny, w których księżyc, przykradając słońcu coraz to więcej światła, powleka resztki dnia metalicznym roztworem. Z kurników dolatuje urywany trzepot skrzydeł poprawiających się na grzędach kur. Czasem któraś zagdaka lub kwoknie przed zaśnięciem. Gdy patrzę na nie, usadowione rzędami w ciasnym kurniku, przypomina mi to przedział kolejowy. Mają one miny podróżnych. W takiej pozycji nie można chyba naprawdę spać. Z klatek królików dochodzą odgłosy milczących kłótni. Są to dysputy bez słów, a irytacja wyraża się nagłym tupaniem. Króliki są mistrzami pantominy, a w ich milczącej wściekłości jest więcej wściekłości, niż u jakiegokolwiek innego stworzenia. Skromność środków potęguje efekt. Wsłuchując się w te odgłosy twarde, siekane i brutalne, nie chce mi się wierzyć, że są one dziełem tych zwierząt, u których wszystko jest miękkością. Kaczki lubią włóczyć się po nocy. Z lubością przyklejają łapy do błota i z cichym szeptem, przechodzącym w kwilenie, odklejają je, by przylepić się w innym miejscu. Smakowicie siorbają dziobami w gęstej zupie gnojówki, rzucając od czasu do czasu głośne kwaknięcie. Brzmi to trochę ordynarnie.

Fermerka wynosi czasem przed dom krzesła, siadamy i rozmawiamy. Twarze stają się w mroku jasnymi plamami i pozostają tylko słowa. Wypytują nas o wojnę, o Paryż. Słuchają nas, jak słucha się kogoś, kto przybył z odległych kontynentów. Lubią, gdy mówi się im o głodzie i podgłodzie w miastach, o trudnościach i wstrętnej egzystencji w wielkich skupiskach ludzkich; o bombardowaniu. Zapalają się wtedy w ich oczach iskierki ironii i czuję, że uśmiech ich staje się skurczem setek zmarszczek, z których każda wyraża utajoną radość, tę *Schadenfreude*, pokrytą wyrazami współczucia. Ci z miast, zawsze dumni i butni, pogardliwi, zarozumiali, patrzący z obrzydzeniem na ich brudne

ręce i gnojówki przed domem, są dziś na ich łasce. Przyjeżdżają, poniżają się, skomlą i płacą każdą cenę. Schlebiają, przysyłają prezenty i proszą. Oni to widzą tutaj i śmieją się. Sprzedając, biorąc pieniądze, dają odczuć, że przede wszystkim obdarowują, że „im się tak podoba". Niech tym z miast nie wydaje się, że pieniądz jest wszystkim.

Nas lubią. Wyczuwają jakby instynktownie, że to, co ich otacza, co stało się tak obce i egzotyczne dla Francuza z miasta, dla nas jest zrozumiałe. Czują, że mówiąc z nimi, nie zniżamy się sztucznie, nie chcemy schlebiać. Opowiadamy o Polsce, o biedzie po wsiach, o tej ciężkiej walce z kapryśnym klimatem u nas. U nich połowa odrabia się sama. A kiedy podziwiamy śliczne, stare meble, przechodzące z pokolenia na pokolenie, ciężkie kredensy i wielkie szafy z żelaznymi okuciami, czują oni, że zachwyt nasz nie jest udany, nie jest pochlebstwem.

Wracamy po ciemku. Terczy cicho dynamo, zamaskowane światło reflektorka kładzie się przed nami na asfalcie. Gdzieś daleko śmieje się sowa, a na ciemnym granacie nieba nietoperze kreślą zawiłe linie.

19 SIERPIEŃ.

Pisałem dziś całe przedpołudnie listy. Nie lubię pisać listów, bo nigdy nie potrafię ich pisać w skrócie. Piszę zwykle o tym, o czym nie miałem sposobności porozmawiać z daną osobą. I przyszło mi przy tej robocie na myśl, jak bardzo podupadła dziś umiejętność pisania listów. Dziś właściwie już nie pisze się; jest to albo telegrafowanie, albo telefonowanie po zniżonej cenie na papierze listowym. Kogo nie stać na telefon lub depeszę, ten pisze „list". Ze współczesnego życia znikła korespondencja, a w ślad za nią, lub może równocześnie, sztuka rozmowy. Ludzie przestali być czuli na sposób i formę porozumiewania się zarówno pismem jak i słowem. Styl przemysłowo-handlowy zapanował w tych dziedzinach niepodzielnie. Szkoda. Szkoda przede wszystkim korespondencji tych wielu dobrych pisarzy i wielkich umysłów dzisiejszej epoki, która nie będzie istnieć w wielu wypadkach tylko dlatego, że ludzie ci mogli się porozumieć z innymi w inny sposób, a nie listownie. Przecież najwięcej warta z całego Flauberta jest jego korespondencja. Może właśnie dlatego, że przywiązywał do listów mniejszą wagę i nie torturował tu swojego stylu.

Przedłużyłem sobie urlop o dwa dni i wyjedziemy dopiero 24-ego. Część rzeczy wyślemy autobusem do Le Mans, a sami pojedziemy na rowerach. Są to chyba ostatnie wojenne wakacje. W przyszłym roku nie uda się już pewnie wyjechać. Wojna trwa już cztery lata, ale dla Francji jeszcze się nie zaczęła. Dla niej i w znacznej mierze dla innych krajów zacznie się ona dopiero — po wojnie. Niemcy wytworzyli potworną w swych dalszych skutkach równowagę zupełnej nierównowagi. Gdy to pęknie, zapanuje nieopisany chaos. Francuzi śmieją się, gdy mówię im, aby oszczędzali na później. Gdy mówię fermerom, aby właśnie teraz inwestowali zawartość swych sienników w in-

wentarz i budynki, bo to, co kosztuje teraz 100 Frs., będzie kosztowało po wojnie 500, patrzą na mnie podejrzliwie.

Łapiemy te spokojne chwile i magazynujemy na zapas. W tym roku nie może się już stać dużo więcej. Mogą zająć Włochy, Niemcy cofną się, jak zwykle, w Rosji i zabawa będzie trwała. W lądowanie tymczasem nie wierzę. Drugi front trzeba odłożyć na dużo później. Tymczasem nocami przelatują nad nami chmury ciężkich bombowców, lecących na Niemcy lub na Włochy. Pół godziny, godzinę nieraz, słychać jednostajny ryk setek tysięcy koni — głęboki i złowrogi. Lecą Halifaxy, Stirlingi i długie Lancastery. Zna się je z rozrzucanych przez nie fotografii i słucha się ich wycia ze wzruszeniem. Oczywiście tylko tu, gdzie słucha go się spokojnie... W Paryżu wzruszają nas, ale inaczej.

Mijają dni ciche i słoneczne. Pogoda prześliczna, sierpniowe upały. Pachną rozgrzane drzewa, kamienie i ziemia. Popołudnia są jakby przydymione, a krzaki przydrożnych jeżyn pokryte kurzem. Z dala dolatuje przytłumiony łoskot elektrycznych młockarni. Maszyna cichnie, połykając puszyste snopki, zwalnia i męczy się, a wyrzuciwszy słomę, znowu łomota głośniej, swobodniej. W oddali rzuca przenikliwy świst mała, wąskotorowa lokomotywa, dudni i syczy groźnie, chcąc koniecznie udawać dorosłą. Migają wśród drzew miniaturowe wagoniki czerwone i zielone; wiją się i okręcają, jak pociąg na karuzeli.

Odpocząwszy chwilę po obiedzie, wychodzimy do garażu po rowery. Mrużymy oślepione słońcem oczy, a nagłe przejście z chłodnego pokoju w rozpalony ogród wywołuje dreszcze. Są to chwile, w których chciałoby się nie chodzić, lecz pływać w powietrzu. Ręce i nogi stają się leniwe, myśli plączą się. Czuję się jak mucha siedząca na starym lepie: co odklei się w jednym miejscu, to przykleja się w drugim. Siadamy na rowery i jedziemy. Budzimy się naprawdę dopiero w cieniu drzew, nad wodą lub w odświeżającym chłodzie wielkich paproci. Szukamy grzybów i suszymy je na słońcu. Jemy wielkie jeżyny, rozgrzane i słodkie. Zapachy budzą wspomnienia i napełniają mgłą tęsknoty... Rozmawiamy. Będąc we dwoje i sami, najbardziej odczuwamy pełnię wszystkiego. Miłość i przyjaźń... Trzeba tylko rozumieć, zawsze starać się rozumieć. Miłość? — Jak wszystko, tak i to wymaga pracy — zwyczajnej, codziennej. Nawet miłości nie można puszczać bez steru, na wiatr. Nic nie jest tak omylne, jak tzw. „nieomylne instynkty".

21 SIERPIEŃ.

Pojechałem dziś z tym tutejszym młodzieńcem do Ste Suzanne. Jest to małe miasteczko, odległe od J. o 30 km i uznane *(classé)* jako zabytek architektury. Młodzieniec skończył „Arts et Métiers", ma 22 lata i tytuł inżyniera. Jedynak, typowy tutejszy *fils à papa*. W miarę pewny siebie, w miarę ograniczony, sporo dobrych chęci pomimo storturowania umysłowego, jakiego dopuszczano się na nim bezkarnie przez szesnaście lat. Studiuję go jako okaz tego, do czego doprowadza system wykształcenia abstrakcyjnego, w którym człowiek

jest równaniem algebraicznym, a cały świat i ludzkość królikiem doświadczalnym.

Rozmowa z moim towarzyszem jest trudna. Wszystkie moje usiłowania rozszerzenia natrafiają na zmysł ścieśniania. Żeby przeszło przez szyjkę do butelki. Jeżeli na myśl o przyszłości robi mi się czasem zimno, to właśnie z tej przyczyny. Nikt mnie nie przekona, że niebezpieczeństwo to nie grozi w rozmiarach kataklizmu. Dopiero dziś, właśnie w tych latach wojny, pewne ukryte dotąd rzeczy wychodzą na jaw i widzi się, że pracowano w tym kierunku „dobrze"; szereg objawów zamienia się w cechy stałe.

Ste Suzanne śliczne. Stare miasteczko na wzgórzu, jeszcze częściowo obramowane murami średniowiecznych fortyfikacji. Pomiędzy murami małe domki, małe ogródki i ciasne uliczki. Ażeby dostać się na mury, musieliśmy prosić o klucz od furtki jednego z ogródków. Są one czarujące. Schowane pod murami, pachnące zielenią i jarzynami, pełne sadzonych ukradkiem krzaków tytoniu. Cała Francja sadzi tytoń, suszy, kraje i łata niedobory małej racji kartkowych papierosów. Każdy z tych ogródków, to Francja. Nie można zrozumieć Francji, jeżeli nie „zrozumie" się tych ogródków.

Z murów rozległy widok na przymglone pola i lasy. W środku zamek. Należy on teraz do jakiegoś zbankrutowanego hrabiego włoskiego i został oddany jako kwatera dla kolonii wakacyjnej „Jeunesse Française" czy też jakiejś innej *Pétainjugend*. Wspaniałe i zapuszczone podwórze, na którym jakiś spocony Führer w otoczeniu chłopców budował namioty i budy na jutrzejszy kiermasz. Pełno papierów, szmat, sznurków, desek i płacht.

Zamek sypie się i rozpada na kawałki. Cudowny renesans, odrestaurowany dyskretnie przez rokoko, wali się. Nie zaczepiani przez nikogo i o nic nie pytani, weszliśmy do środka. Trudno wyobrazić sobie coś ładniejszego, a zarazem smutniejszego. We wspaniałych komnatach pozostały resztki mebli. Cudowne stare szafy renesansowe, rzeźbione skrzynie, krzesła i fotele. A wśród tego sienniki młodzieży, rozrzucona słoma, puszki od konserw, resztki świec rozlane na meblach, brud i *Kraft durch Freude*. Byliśmy zupełnie sami. Otworzyłem jedną z szaf i stanąłem, jak wryty. Na półce stał skórzany neseser. Otworzyłem go. Poczerniałe srebro na kryształowych flakonach, ciężkie lustro, szczotki — cacko z czasów późnego Louis-Philippe. Stoi tu zapomniany, niemodny. Miałem wielką ochotę „uratować" go z tego miejsca zagłady.

Gdzie indziej wpadłem na stosy gazet z lat 80-ych rzucone w kąt ręką dynamicznej młodzieży. Siadłem w fotelu i zacząłem czytać wielki artykuł przeciwko gen. Boulanger. Francji groziła dyktatura. Tytuł: „Caveant Consules". Pasjonujące. Ogłoszenia domów mody z cenami. Wspaniałe. Zatraciłem poczucie epoki. Korespondencja z Moskwy. Autor przytacza opinię Napoleona o Rosji, wypowiedzianą na Św. Helenie: „Miałem zamiar iść do Indii. Anglicy bardzo bali się mojego przedsięwzięcia. Oto dlaczego usadowili się ostatnio w Aleksandrii. Ale zobaczą kiedyś, co im się przytrafi z Rosjanami. Ci nie mają długiej drogi do Indii, są już w Persji. Rosja jest potęgą, która idzie najpewniej i największymi krokami ku panowaniu powszechnemu". Oczy-

wiście z Francją, jak sobie tego życzy korespondent. Entente Cordiale nie była w programie. Zabrałem kilka gazet i z emocją archeologa przetrząsałem dalej wszystkie kąty.

W jakimś małym pokoiku na trzecim piętrze znalazłem całą skrzynię albumów nut, wśród tego mnóstwo przepisywanych ręcznie przez jakąś Comtesse de B.. Kto to mógł być? Z albumem walców Straussa, datowanym z r. 1848, stałem i marzyłem. A w prześlicznych rusztowaniach dachu, będących jak koronka z belek, świstał wiatr. W niektórych pokojach zapadły się już sufity i tylko okopcone kominki wiszą jeden nad drugim, przylepione do ścian. Mój młody towarzysz przybiegał do mnie co chwila i wołał: *Venez donc et regardez* — jestem pewny, że to prawdziwy antyk — *ça vaut au moins 100 000 Frs.* Francuski zmysł oszczędności i ukochania przeszłości poprzez kapitał jaki ona reprezentuje buntował się w nim do żywego.

Wracaliśmy obydwaj podnieceni i oburzeni. Stał mi się od razu sympatyczniejszy. Umiał zupełnie nieźle wyznaczyć ceny tych gratów. To już dużo. Może z nim nie tak źle...

Po obiedzie położyłem się i czytałem te stare gazety. Zdawało mi się, że czytając to, kradnę. Rzeczywiście kradłem — kradłem czas, jak wykradało się ze starego kredensu cukier z głowy lub konfitury.

22 SIERPIEŃ.

A dziś byliśmy z Comte de R. w jego *château*. To znaczy nie tyle „w", co raczej „pod". Bo to opieczętowane i nawet on nie ma prawa tam wchodzić. Jest to o jakieś 3 km od J.. Popołudnie upalne, ale w głębokich dróżkach, lamowanych żywopłotami i paprociami, panował wilgotny chłód. Comte de R. opowiadał nam, że Szuani zapuszczali się w te okolice, walcząc z „niebieskimi" Republiki. Stare drzewa z wielkimi dziuplami i te niezliczone pólka, każde obwarowane murem żywopłotu i wałem ziemi, stanowiły setki małych fortec. Właściwie niewiele zmieniło się do dziś. Przybyły jedynie drogi, wytyczone jeszcze przez Napoleona. Drogami spacyfikował tych prawicowców. Ścieżka prowadzi przez pola. Co chwilę otwieramy ciężkie zapory z belek, zamykające pastwiska. Skrzypią i piszczą; pachną starym, rozgrzanym drzewem. W cieniu krzaków lub drzew stoją nieruchome krowy. Są jak posągi. Nad nimi tańczą w szaleńczych zygzakach tysiące much i muszek.

Château jest wielkim i starym domem na wzgórzu. Jak zwykle tył domu, wychodzący na wielki park, jest najładniejszy. Okiennice zamknięte, pustka. Przez środek parku ciągnie się długa aleja. Dwa rzędy olbrzymich, starych drzew tworzą w głębi sinawy i mglisty mrok. Między domem a mrocznym parkiem, ogród. Drzewa owocowe, grządki jarzyn i pienne róże wzdłuż ścieżek.

W składzie z narzędziami znajdujemy sierp osadzony na długim kiju i idziemy do sadzawki naciąć olbrzymich, biało-różowych kwiatów. Nie są to ani lilie, ani nenufary. Zewsząd sączy się melancholia. Patrzę na smukłą sylwetkę Comte de R.. Urodził się tu, zna każdy kąt. Jest u siebie i równo-

cześnie nie u siebie. On też przyszedł tu tak, jak i my: zobaczyć. Klęczę nad sadzawką, obcinam wielkie, mokre kwiaty i czuję jakiś nieokreślony żal. Czy ten dom i park doczekają się kiedyś mieszkańców, którzy, wszedłszy do niego, nie stratują epoki i jej ducha? Jak wczoraj w Ste Suzanne, tak dzisiaj tu poczułem wyraźnie, że coś się kończy; i to kończy się tym tragiczniej, że kończy się d u c h; to coś nieokreślonego, co umiera powoli, ale nieodwołalnie.

Idziemy aleją. Jest jak główna nawa katedry. Po bokach resztki parku. Sztuczne groty, skały i mostki, dziwaczne drzewka i krzaki — cały zasób romantycznej dekoracji. To poczucie końca jest deprymujące. Obchodzimy przyległy las. Comte de R. opowiada nam o komplikacjach majątkowo-rodzinnych, o sprzedażach, lokatach, spłatach, rentach. Jest to tak samo skomplikowane, jak każda intryga finansowa Balzaca. I jak w Balzacu, tak i tu nic z tego nie rozumiem. Rozumiem słowa „notariusz", „podpis", „termin" itd. — mówię *oui* — słucham całości, nie rozumiejąc szczegółów. Dostrzegam w tym tylko, że ta francuska *noblesse* zapomniała już dawno o formułce *noblesse oblige* i że poczucie godności i arystokratyzm ducha są tu tak samo nikłe, jak u wszystkich Francuzów. Być może, iż prawdziwy typ *Grand Seigneur'a* istniał tu kiedyś, ale znikł już od wielu wieków. Prosty Polak, Hiszpan, Węgier lub Turek mają daleko większe poczucie honoru i godności, odznaczają się na pewno większą „pańskością" (w dodatnim znaczeniu tego pojęcia), aniżeli tutejsza *noblesse*. W każdym Francuzie, obok cech nieraz wielkich, tkwi kawałek Figara. Jeżeli tak doskonale potrafię się zawsze dogadać z Hiszpanem, a prawie nigdy z Francuzem, to właśnie dlatego. Jeszcze żadnemu Francuzowi nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego my nie kollaborujemy. Udało mi się kilku przekonać, ale też tylko do połowy. Mówię tu oczywiście o starszym pokoleniu. Młodzi właśnie zaczęli się ruszać masowo. Tu można by być złośliwym i powiedzieć, że dlatego, iż Niemcy dopiero teraz zaczynają deptać po piętach...

Rozmawiając dziś z Comte de R., słuchając jego wywodów, czułem się nieprzyjemnie skrępowany. Są rzeczy, o których z Francuzem, nawet najbardziej kulturalnym, nie można mówić. Pamiętniki Duchesse d'Abrantès, w których ambicja i poczucie godności grają wielką rolę, zarówno gdy chodzi o osoby jak i o cały naród, mogą być przykładem klinicznym, co Francja i przedstawicielka jednej z najstarszych rodzin *noblesse* francuskiej rozumie pod pojęciem „godność własna". Przyjęcie, jakie zgotowano obcym wojskom w Paryżu w 1815 r. i zachowanie się Francuzów było tego rodzaju, że Blucher odmawiał bywania na oficjalnych przyjęciach i pisał „różne rzeczy" o tych *Franzosen* w swych listach do żony... Gdy w r. 1871 Flaubert przyjeżdża do Paryża, pisze do E. Feydeau: „...dla dobrych Paryżan Prusacy nie istnieją już. Znajdują oni wymówki dla panów, Prusaków, podziwiają Prusaków, chcą stać się Prusakami. Nigdy, *mon vieux*, nie miałem tak olbrzymiego niesmaku do ludzi. Chciałbym utopić ludzkość w moich wymiotach..." Miałem ku temu ochotę i ja w czerwcu 1940 r. i mam ją nieraz dzisiaj. Ale, jak w innym z listów

pisze tenże Flaubert, tak i dziś można powiedzieć: „Wcale nie jest miła obecnie ta biedna Francja: naprawdę — ani szlachetna, ani dowcipna; ale w końcu... to Francja".

I tak powiedzą kiedyś wszyscy. Francji, jak pięknej kobiecie, darowuje się więcej, niż komu innemu...

23 SIERPIEŃ.

Rano, w cieniu kościoła, spotkałem mera. Mrugnąwszy figlarnie jednym okiem, powiedział mi: *C'est fini en Sicile...* No — nareszcie. Teraz będą lądować w południowych Włoszech. Znowu wszystkim wydaje się, że to już niedługo koniec. Mnie nie.

Jutro koniec tego snu letniego. Nie wiem, kto wymyślił to powiedzenie, że „praca uszlachetnia". Zamiast żałować ludzi, którzy muszą tracić najlepsze lata na rozbijanie się za kawałkiem chleba, robi się z tego bohaterstwo.

Francuz bardzo rzadko jest całkowicie zrośnięty psychicznie z tym, co robi, aby wyżyć. Francuz przejmuje się tym, co robi poza pracą, w domu. Stąd ta opieszałość w biurach, duża swoboda w fabrykach i nieprzywiązywanie wagi do przepisów, dekretów itd. Bywa to czasem nieznośne, ale pracującemu pozwala być człowiekiem, a nie maszyną. Pod tym względem Francja może stanowić kiedyś doskonałą przeciwwagę. Francuz nie zgodzi się nigdy na zupełne zaabsorbowanie go pracą, nie pozwoli na zrobienie z siebie termita. Uratuje go jego ogródek, jakaś *passion*, przynosząca nieraz więcej dochodu, niż właściwy zawód. Trzy czwarte literatury francuskiej tworzyło się „poza godzinami" lub nawet „w czasie godzin". Ludzie nie wyssani do nitki pracą zarobkową, mogą próbować swych sił poza pilnikiem lub maszyną do dodawania. No i co najważniejsze, że tutaj nikt nie ośmieli się żądać dodatkowej pracy bez wynagrodzenia; pracy dla państwa, dla dobra ogółu itd. Żąda się poświęcenia, ustaliwszy przedtem stawkę. Po czym śpiewa się „Marsyliankę" i wszyscy są zadowoleni, a pan minister ma okazję do wypowiedzenia *sublime discours* i podkreślenia *magnifique geste du peuple.* Gdy mowa o państwie, Francuz wiele zrozumie, lecz zawsze zakończy: *Somnes pas quand même des esclaves...* I pogardliwie patrzy na przechodzącego obok Niemca.

25 SIERPIEŃ.

Czar prysł. Znowu Paryż. Mam go zupełnie dosyć. Myślą jestem ciągle w jakimś domku, w jakimś miasteczku, gdzieś we Francji. Zazdroszczę Comte de R.. Został tam w swoim mrocznym pokoiku, wynajętym u swojej starej niańki. Odgłosy ze świata dochodzą tam, jak odgłosy zza ściany. Dzień i noc mają dwadzieścia cztery godziny. Pomimo trzech tygodni odpoczynku czuję się zmęczony. Jestem zmęczony na zapas; jestem zmęczony tym, że będę zmęczony. To ciągłe życie w czasie przyszłym, zupełny brak teraźniejszości (to, co robi się w danej chwili, staje się automatycznie mało ważne), wyczerpuje najbardziej. Ciągnie się siebie samego za włosy, przeciąga się siebie z dnia na dzień, jak ciężki worek kartofli.

Wyjechaliśmy wczoraj w południe. Serdeczne pożegnanie. Rowery obładowane. Jajka, kogut, masło... J. znikło za zakrętem, pozostał lśniący w słońcu pas asfaltu. Pociąg odchodził z Le Mans po 6-ej po poł. — mieliśmy dużo czasu. Jechaliśmy wolno, pijąc zachłannie resztki tych godzin. Droga prześliczna. Wysokie topole po bokach, smukłe, kolumnowe. Gdzie indziej długa altana z niskich i rozłożystych platanów. Serpentyny na zboczach wzgórz i śpiące miasteczka. Przejeżdżając przez jakąś małą osadę, słyszymy cały komunikat z Londynu. *Ici Londres...* mówi znany głos przez otwarte okno. Stajemy i słuchamy. Na całej drodze jesteśmy tylko my, domy są jak wymarłe. Pali słońce i jest taka cisza, że słychać szelest kąpiącej się w piasku samotnej kury. Rosjanie odebrali Charków. Rozpoczęta 5 lipca wielka ofensywa rozwija się. Spychają Niemców nad Dniepr.

Pod górę wspinamy się wolno. Gdy dojeżdżamy do grzbietu, droga przeważa się, jak huśtawka z deski. Zjeżdżamy cicho, płynnie. Rząd drzew, zamykający się przed nami, otwiera się i ustępuje szybko na boki. Le Mans czuć z daleka. Zapach kurzu unosi się w powietrzu. Gdy wjeżdżamy do miasta, rozglądam się z nienawiścią. Comte de R. zaraził mnie swoim furieryzmem i wiejskim idealizmem. Telepiemy się po kocich łbach Le Mans, uciekając od szyn tramwajowych. Samochody z napędem na węgiel drzewny kopcą jak żelazka i wloką za sobą długie treny śmieci i kurzu. Od dworca kolejki wąskotorowej bucha żar rozpalonego słońcem żelastwa i ciągnie mdłym zapachem smarów. Upał. Po ulicach snują się ludzie spoceni i zakurzeni.

Muszę przemóc się, aby załatwić wszystkie formalności, nadać rowery, kupić bilety. Na peronie stoi już pociąg. Znajdujemy dwa miejsca. Cidre zamknięty w termosie nie wytrzymał i eksplodował. Cieknie z siatki na głowę. Upijam, zatykam, nic nie pomaga. Rośnie w termosie. W przedziale upał. Pluszowe kanapki są lepkie. W końcu ruszamy. Patrzymy na migające domki i pola. Przypomina mi się koniec wakacji, te dawne lata, gdy patrząc na uciekające w tył pola i lasy, łkało się z żalu w głębi serca.

Podróżni zaczynają jeść. Jest to wystawa zbytku, rozpasanie. Nikt nie je zwykłego chleba. Wszyscy wyjmują biały *pain brioché*, masło, jajka na twardo, kiełbasę, szynkę, zimne mięso, pieczony drób, owoce. Z płaskich flaszeczek z metalowymi nakrętkami leje się aromatyczny, bursztynowy calvados. Roztopiony w upale prawdziwy Camembert, zamienił się w gęsty krem o kłującej woni siarkowodoru i amoniaku. Lśniące od tłuszczu wargi mlaskają, tłuste palce oblizywane są z cmokaniem, za okno lecą papiery i łupki. Resztę rzuca się na podłogę. Jest to jakaś orgia i zarazem nabożne misterium, któremu jedni Francuzi potrafią nadać ten zupełnie specjalny ton i klimat. Nie tylko wyczuwa się smak, z jakim oni jedzą, ale widzi się go; jedzenie nie jest tu tylko zaspokojeniem głodu. Jest ono zmysłową rozkoszą. Tu żaden kąsek nie przejdzie przez usta niepostrzeżenie, żaden atom pożywienia nie wymknie się krytyce podniebienia. Mała dziewczynka otwiera ostrożnie pudełko z serem, dotyka go delikatnie paluszkiem i oddaje matce, mówiąc ucieszona: *Maman-il est bien fait*. Francuzi od dziecka znają się na jedzeniu, na gatunku. Ich ła-

komstwo jest wstrętne, ale jest jednocześnie dowodem kultury. Jedzenie z puszek lub z kotła byle czego, żeby tylko uśmierzyć głód, dobre jest dla entuzjastów *Eintopfgericht* i innych barbarzyńców. Kuchnia jest sztuką i wymaga artyzmu. Rozróżnianie gatunków ostryg, owoców, mięsa, serów, wina; umiejętność zestawienia „menu" wymagają takiej samej kultury, jak rozróżnianie dobrych obrazów od złych lub umiejętność zestawienia sobie lektury. Pewien robotnik francuski, pracujący u Niemców, powiedział mi raz: „*Monsieur* — ludzie, którzy t a k jedzą, nie mogą być panami świata".

Słońce chyli się ku zachodowi, łoskotają mijane w pędzie małe stacyjki. Za Wersalem zaczynają się już rozległe przedmieścia Paryża. Małe domki z ogródkami, budowane byle jak, bez ładu i składu. Paryż posiada jedną z najładniejszych okolic wielkich miast i równocześnie najbrzydziej zabudowaną. Z daleka przypomina to rumowisko, z którego wyrastają chwasty. Mijamy Vaugirard, przesuwa się ponury sześcian chłodni miejskiej. Krematorium na zimno. Pociąg zwalnia — huczą mosty nad bulwarami zewnętrznymi.

Gare Montparnasse.

Cieknie ku wyjściu gęsta borowina ludzka. Ciężkie walizki pełne żywności. Na wielkim placu przed dworcem tłum ginie w szczelinach metra. W podziemnych korytarzach zaduch i smród. Dudnią pociągi. Zduszone w koszykach kury gdaczą; z plecaków wystają długie szyje gęsi, otwierających dzioby z pragnienia; w worku rzuca się i wierzga koza. W rękach zwiędłe naręcza polnych kwiatów. Matowe, przyprószone światłem mdłych żarówek, plamy kolorów. Na czole krople potu, ściekające wolno po policzkach. *Dis donc - y - a une place.* Depczą po nogach, pchają się. Grube, tłuste, zapocone śmiechy. Brudna i mokra podłoga wagonu, śmierdząca zepsutymi rybami.

W naszym pokoju gorąco i zapach kurzu. Na stole filiżanki z niedopitą i zapleśniałą herbatą, kawałek zeschniętego chleba, ogryzki z gruszek, nad którymi krążą wstrętne, małe muszki. W pokoju jest jeszcze ciągle 2 sierpnia.

Robimy przeciąg i rozbieramy się. Myję brudne i lepkie ręce.

Minęły dni długie, słoneczne, spokojne. Dni pełne i całe, przesycone... Czym? Nie wiem. Może tym, co brzmi tak skromnie, a tyle mówi: *Douce France.*

KSIĘŻYC WSCHODZIŁ NAD GAMBUTEM

Tobruk. Połowa listopada. Popołudnie. Słońce libijskie nawet o tej porze roku grzeje przyjemnie. Przed schronem odbywam popołudniową siestę. O tysiąc metrów siedzą w okopach Niemcy, ale moje miejsce postoju jest ukryte za górką. Próbuję czytać książkę, którą mi wczoraj dał Adolf Bocheński. Niestety, literatura australijska jest słabą stroną tego kraju. Od czasu do czasu pocisk artylerii przerywa monotonię tobruckiego dnia. W dzień w Tobruku panuje nuda. Stale widzi się to samo — pod nogami piasek i kamienie, nad głową błękitne niebo, w dali siną wstęgę Morza Śródziemnego. Jakżeż ten poeta w Londynie dobrze wyraził posępną nudę tego siedzenia w oblężonej twierdzy, gdy pisał:

Wicher z piasku obnaża
Białą kość pod Tobrukiem...

Dopiero w nocy niknie piasek, niebo i morze. Czarna noc okrywa wszystko całunem. I wtedy zaczyna się wojna. Grają pociski świetlne po niebie, odbijają się jak kule ogniste od ziemi. Na przedpole wychodzą patrole, zaczyna się polowanie na ludzi. Nad portem unoszą się rakiety na spadochronach i wtedy chwilami jasno jest jak w dzień. Ale jeszcze jest parę godzin do zmierzchu.

W schronie dzwoni telefon. Z tamtej strony drutu odzywa się adiutant dywizjonu. Zawiadamia, że o 17-ej odbędzie się u d-cy dyonu odprawa dowódców baterii. Por. Wagner, d-ca 3-ej baterii podjedzie po mnie wozem kwadrans przed terminem.

ODPRAWA W TOBRUKU

Nie lubię odpraw. Zwykle jest to zapowiedź zmiany stanowisk. A wtedy ciężka praca żołnierzy włożona w stare stanowiska, w rycie skały, betonowanie, maskowanie, mierzenie odległości, rysowanie szkiców — idzie na darmo. Jedyną dobrą stroną odpraw jest to, że pułkownik ma świetnego kucharza i zwykle zaprasza nas potem na kolację. Kucharz ten to istny czarodziej: potrafi z konserwy rybnej (na którą już patrzeć nie możemy), sporządzić... karpia

po żydowsku. Czasem nawet można dostać po kieliszku rumu. Poza tym pułkownik zna najnowsze plotki ze sztabu i zwykle chętnie się nimi dzieli.

Kilka minut przed piątą spotykamy się, czterej dowódcy baterii przeciwpancernych Brygady, przed betonowym schronem dowódcy dywizjonu. Więc najstarszy z nas d-ca 2 baterii, kapitan Rożyński. Byłem z nim we Francji na kursie przeciwpancernym w Granville w r. 1940. Wysoki, szeroki w barach, energiczny, zamaszysty, ma w rysach twarzy coś z księcia Józefa, co nawet malarz (i podchorąży) Jarema utrwalił na portrecie. D-ca 3 baterii, porucznik Wagner i ja czeladnikowaliśmy pół roku u kpt. Rożańskiego na plutonach, nim przy ostatniej reorganizacji zaawansowaliśmy na baterie. Ryszard Wagner interesował się kiedyś filmem i szybownictwem, obecnie wolne od służby chwile spędza na malarstwie, specjalizuje się w aktach kobiecych cieszących się po półrocznym pobycie w pustyni ogólnym wzięciem. Wreszcie 1 baterią dowodzi kpt. Kania, śniady, sympatyczny, przystojny góral, znam go stosunkowo najmniej. No i wreszcie ja dowodzę czwartą baterią.

W kazamatach betonowych, siedzibie ongiś jakiegoś dowództwa włoskiego, zaimprowizowano wcale wygodną salę konferencyjną. Malutki wzrostem, ale dzielny duchem zastępca d-cy dyonu (ma za sobą już wojnę światową i na froncie włoskim w 1918 r. dostał się do niewoli... brytyjskiej) zdaje raport pułkownikowi. Pułkownik przeciąga z rosyjska, wesoły, uprzejmy, kawalarz zamiłowany, też stary oficer z pierwszej światówki, lubi opowiadać o swych patrolach nad Dunajem.

Pułkownik rozpoczyna odprawę z na wpół tajemniczą, na wpół promieniejącą miną. Widać, że chciałby nas zaraz zepatować tym, co ma powiedzieć, ale cedzi słowo po słowie. A więc: przyjedzie ktoś bardzo wybitny do Tobruku; tak, wielki dowódca; czy dowódca korpusu lub armii? — o nie, znacznie wyższy; sprzymierzony? — nie, polski; tylko to ściśle tajne, nie wolno nikomu mówić, zwłaszcza piechocie, która chodzi na patrole i gotowa jeszcze stracić jeńca i nieprzyjaciel się dowie; a termin przyjazdu jest tuż, może dziś jeszcze, a na pewno jutro.

Jesteśmy istotnie ustrzeleni. Tego się nikt nie spodziewał. Londyn wydaje się nam tak odległy, jakby na innym świecie. I nagle generał Sikorski zjawi się tu w oblężonym Tobruku? Istotnie wprost nie do uwierzenia! Co za sensacja.

A tymczasem pułkownik uśmiecha się i mówi z dumą:

— Ale to proszę panów dopiero pierwsza nowina. Mam jeszcze drugą, równie ważną i równie tajną!

Wprost wierzyć nie chcę własnym uszom. A pułkownik znów cedzi:

— Jak panowie wiecie, znajdujemy się w oblężonej twierdzy. Z punktu widzenia taktyki dwie są możliwości rozwiązania sytuacji. Albo twierdza zostanie przez nieprzyjaciela zdobyta, co oczywiście wykluczam z mych przewidywań, lub też — nadejdzie odsiecz i odeprze nieprzyjaciela oblegającego twierdzę od 7 miesięcy. Na chwilę tę tak upragnioną czekaliśmy długo, ale właśnie teraz ona się zbliża. Od strony Egiptu dowódca 8-ej armii, generał Cunningham, zdobywca Abisynii rozpocznie ofensywę. Wtedy nieprzyjaciel

odstąpi spod twierdzy, szybko będzie chciał się oderwać. A co my wtedy zrobimy? — przerwał pułkownik i dumnym wzrokiem przeszedł po słuchaczach.

— Pościg! — warknął któryś z nas.

— Tak, proszę panów, pościg. Odpowiednie rozkazy operacyjne opracowuje właśnie sztab Brygady. Ustne dyspozycje podał mi dziś pan generał. Brygada nasza wystawi dwa oddziały pościgowe. Jeden, który będzie działać w kierunku Medauar, drugi po szosie derneńskiej. Oba oddziały w składzie około kompanii piechoty na samochodach, plus kariersy, cekaemy, łączność. Dowodzić pierwszym będzie kpt...., drugim mjr Piłat, zastępca dowódcy I Baonu. Do każdego z oddziałów zostanie przydzielona również bateria przeciwpancerna.

Zamieniliśmy się w słuch. Są cztery baterie, które dwie zatem pójdą, które dwie zostaną?

— Panowie wiecie, że traktuję wszystkie baterie jako równie dobre. Wiem, że po miesiącach siedzenia w okopach wszyscy chcielibyście wziąć udział w pięknie zapowiadającym się zadaniu zaczepnym. Trudny więc miałem wybór. Przy powzięciu decyzji kierowałem się zatem rodzajem sprzętu, w który są wyekwipowane baterie i możliwością najsprawniejszego zwolnienia dział z pozycji. Na tej podstawie uznałem, że pojadą te baterie, które mają najwięcej dział polskich Boforsów, jako wyposażone w nośniki najwłaściwsze dla walki ruchomej, czyli bateria 1-a i 4-a. Postanowiłem, że bateria kapitana Kani weźmie udział w akcji na Medauar, bateria porucznika Pruszyńskiego zaś w kierunku na Dernę.

Nie potrafię wyrazić uczucia, jakie przeżywałem w tej chwili. Myślałem, że świat jest piękny, wojna cudowna, a pułkownik mędrzec prawdziwy.

NIEDOSZŁY ODDZIAŁ POŚCIGOWY

Już nazajutrz od świtu gorączka przygotowań ogarnęła baterię. Kierowcy działonów pobrali nośniki pod działka. Morrisy odziedziczone po Australijczykach, które choć miały za sobą po kilka tysięcy mil przejechanych podczas pierwszej ofensywy Wavella, to jednak zremontowane i pieczołowicie przechowywane w rzucie tyłowym kwatermistrzostwa czekały chwili zakończenia oblężenia. Z kwatermistrzem szły nieustanne targi o każdy galon benzyny. Kwatermistrz złośliwie dowodził, że nasz pościg nie pójdzie dalej jak kilkanaście kilometrów, nikt jednak w baterii nie wątpił, że jak raz się rozpędzimy, to nie zatrzymamy się aż w Dernie. (Ta miejscowość wydawała nam się wówczas niezmiernie daleko). Z każdego działonu któryś z chłopaków udawał się do portu, gdzie stała Kolumna Transportowa, która nie tylko skupiała elitę intelektualną Brygady, ale i nakładała swoiste rogatkowe na zaopatrzenie nadchodzące do Tobruku, choć trzeba przyznać, że szlachetnie nim się z przyjaciółmi dzieliła. Ja też się tam wybrałem by przy sposobności pożegnania ze starymi przyjaciółmi załadować na wóz worek kompotów i dżemów. Działka zostały zluzowane do drugiej linii (przy czym w nocy sa-

mochód wjechał na minę i mieliśmy trzech rannych, dwóch na szczęście lekko; przy stałym braku uzupełnień był to jednak poważny problem) dzięki czemu we względnej niewidoczności ze strony nieprzyjaciela działony mogły wypróbować najlepszy system załadowania na stosunkowo niewielki samochód. Załadowano: działko, pięciu ludzi, 100 naboi, koce, benzynę, wodę i erkaem. Szef, starszy wiekiem wąsaty sierżant, pół-Żmudzin, pół-lwowiak, był bardzo zadowolony z przydzielonej mu na rezerwę zaopatrzenia trzytonówki. Mnie przypadła w udziale lekka, niewielka Chevroletka, która mi potem wiernie miała służyć pod okiem doświadczonego kierowcy od Hartwiga, również lwowiaka, wesołego jak czyżyk Ludwika Bobowicza.

Wreszcie któregoś dnia nadszedł oczekiwany szyfr telefoniczny. Zaalarmowane działony w ciągu dwudziestu minut zajechały na miejsce zbiórki. W mej karierze wojskowej była to chwila niezapomniana, nie dlatego, że wyruszałem na wojnę, ale że po raz pierwszy dowodzić miałem oddziałem zmotoryzowanym. W Polsce we wrześniu wyszło się na wojnę piechotą, w Norwegii mieliśmy muły, potem w Bretanii rowery zarekwirowane Francuzom były szczytem motoryzacji. Teraz wreszcie, w trzecim roku wojny nie będziemy już gorsi od Niemców. Jak imponująco wyglądał nasz oddziałek 25 ludzi! Sześć samochodów stało w szyku rozwiniętym na drodze, na czterech z nich zgrabnie osadzone polskie działka przeciwpancerne (z orłami jako znakiem fabrycznym, napisami „Sto mil" na kołach aż do Tobruku zawędrowały ze Starachowickiej fabryki) szczerzyły groźnie swe paszczki. Żołnierze siedzieli na wozach poważnie, zdając sobie zapewne również sprawę z historycznej chwili, spoglądając z góry na przechodzących żołnierzy z piechoty i kawalerii zostających w okopach twierdzy, podczas gdy myśmy mieli wyjść z twierdzy i ruszyć na nieprzyjaciela.

Gwizdek, ręka do góry — uwaga; potem znak na zapuszczanie motorów; wreszcie sygnał odjazdu. Oddział liczy dwa razy mniej ludzi, aniżeli we wrześniu miał pluton piechoty, ale stał się tak wielki, że głosem już nie można nim dowodzić — samochody ze względu na O. P. L. są rozrzucone na pół kilometra. Jedziemy kilka mil do rejonu d-twa I Baonu, celem zameldowania się u majora Piłata, dowódcy oddziału pościgowego. Tam na miejscu krótka odprawa. Ofensywa z Egiptu już ruszyła. Niemcy mogą w każdej chwili rozpocząć wycofanie spod twierdzy. Na pewno uczynią to nie w dzień, ale w nocy. Patrole nasze będą zatem nieustannie utrzymywały styczność z nieprzyjacielem. Bateria ulokuje się w sąsiednim wąwozie i czekać będzie rozkazu do wymarszu.

Jakiś filozof powiedział: w wojsku naprzód bardzo długo się czeka, potem się okropnie spieszy, a wreszcie i tak się spóźni. Podobnie było i teraz z nami. Poprzednio wraz z działonowymi opracowywaliśmy z dokładnością minut system zaalarmowania i stawienia się do dyspozycji oddziału pościgowego. Tymczasem teraz mijały dnie za dniami i czekaliśmy dalej w wąwozie. Do pobliskiej baterii artylerii chodziliśmy na komunikaty radiowe, by śledzić postęp ofensywy Auchinlecka, której rozpoczęcie oficjalnie obwieścił już był Churchill.

Dowiedzieliśmy się, że uderzenie alianckie spotkało się z mocnym przeciwuderzeniem Rommla, który w dodatku pomieszał szyki aliantów puszczając zagon czołgów na ich tyły, w kierunku kwatery polowej d-cy 8 armii. Wiedzieliśmy, że pod Sidi Rezegh, o kilkanaście kilometrów na południowy-wschód od Tobruku toczy się już od kilku dni bitwa o zmiennym szczęściu. Niemcy w każdym razie ani myśleli o wycofaniu się spod twierdzy, co więcej, któregoś dnia rozpoczęli natarcie na pozycje III Baonu, ale zostali ze stratami odparci. Bardzo prostym zatem sposobem taktycznie uniemożliwiali nam rozpoczęcie pościgu, po prostu nie chcieli ani rusz się wycofać!

Nie martwiliśmy się zresztą tym zbytnio. Byliśmy na tyłach, odpadły nocne tak wyczerpujące w Tobruku służby i czuwania, żołnierze mogli się wyspać przed czekającą ich akcją. Ponadto stwierdziłem, że opodal ma swoje miejsce postoju stary przyjaciel Włodzimierz Ledochowski, z którym tyleśmy miłych chwil razem przeżyli nad pięknym janowskim jeziorem czy w schroniskach tatrzańskich. Teraz zapraszał mnie na kolacje, doskonałe i nawet zakrapiane, ponieważ szef jego baterii właśnie był dostał większą walówkę z Aleksandrii, od przyjaciółki-Greczynki, na pewno nie trzpiota, ale solidnej gospodyni.

Tak minął blisko tydzień. 30 listopada przed południem otrzymuję telefonem krótki rozkaz: bateria stawi się o godz. 16.00 w miejscu (tu następowały zaszyfrowane liczby współrzędnych geograficznych, jak zwykle w pustyni). Z lakoniczności rozkazu wnioskowałem, że tym razem chyba jednak pojedziemy już na wojnę.

RUSZAMY Z TWIERDZY NA „KORYTARZ"

O wyznaczonej godzinie bateria nadciągnęła na obszerną równinę, położoną mniej więcej w środku twierdzy. Czekał nas już tam kwatermistrz z bańką rumu. Podczas gdy sierżant lał do manierek cenny płyn — kwatermistrz w kilku słowach na boku zorientował mnie w sytuacji. Przedwczoraj brytyjskie czołgi i batalion *Black Watch'ów* dokonały wypadu z twierdzy by przełamać linię włoską i przeprowadzić przez nią „korytarz" do Nowozelandczyków, którzy nadeszli z Egiptu i walczą pod Sidi Rezegh. *Black Watch'e* przełamali front włoski, ale straty w samych zabitych wyniosły pół stanu. Wczoraj batalion nowozelandzki wraz z kompanią dział przeciwpancernych został w „korytarzu" rozjechany przez czołgi Rommla, nikt się nie ostał. Dziś wieczór batalion brytyjski Bedfordshire Rgt. wyrusza z twierdzy, by utrzymać „korytarz", zapełnić lukę powstałą po Nowozelandczykach, przeszkodzić wycofaniu się nieprzyjaciela ze wschodu oblegającego jeszcze Tobruk, przy czym nasze dwie baterie przeznaczone do pościgu idą z nim razem. Wkrótce nadjechał dowódca dywizjonu i pułkownik brytyjski, dowódca obrony przeciwpancernej twierdzy. Odbyła się krótka odprawa, która potwierdziła informacje kwatermistrza. Wyruszamy dziś wieczór, dowódca dyonu jedzie z nami, jutro dojedzie do nas bateria kapitana Różańskiego, która kompletuje dopiero samochody.

Na chwilę przed ruszeniem ukazuje się osobowy samochód. Wysiada z niego generał Kopański i zastępca pułk. Peszek. Podchodzą kolejno do działonów. Przyjechali pożegnać baterie. Zapytują, czy mamy kilofy i łopaty, bo będą nam niezbędne dla kopania stanowisk obronnych, gdy wyjedziemy z twierdzy i znajdziemy się na gołej pustyni. Są przygotowane. Generał żegna mnie uściskiem ręki i mówi: „O ile nie dziś w nocy, to na pewno jutro rano będziecie się bić z Niemcami" i z właściwą sobie prostotą kończy:

— Niech was Bóg prowadzi.

Nie potrzebuje mówić więcej. Poznał już w Tobruku żołnierzy swej brygady. Wie ile jest warta piechota i kawaleria. Z kolei jest pewien, że i artyleria przeciwpancerna go nie zawiedzie, że godnie reprezentować będzie Karpacką Brygadę przy boku brytyjskiego batalionu.

Tymczasem wozy dowódcy dyonu i 1 baterii zniknęły w tumanach kurzu, ruszamy za nimi pełnym gazem. Zatrzymuję się na zakręcie, by sprawdzić, czy żaden z wozów nie został. Widzę jak kierowca jednego z działonów bierze mocnym gazem zakręt: wóz się tak przechyla, że o mało działko i działonowy z niego nie wylatują, miga mi się tylko przerażona twarz tego ostatniego, zlatują z wozu zrolowane koce. Tak wyglądają pierwsze kroki motoryzacji! Działon jest tak przejęty i wyjazdem na wojnę i pierwszym marszem w większej kolumnie zmotoryzowanej, że jedzie dalej rezygnując z koców. Ładuję je na mój wóz.

Dojeżdżamy do południowo-wschodniego perymetru twierdzy. Ta część twierdzy jest już wolna od oblężenia. Na wczorajszych pozycjach włoskich dziś stoją w pogotowiu nasze działa przesunięte tu z dawnych pozycyj na tyle. Stoją w pogotowiu czołgi i samochody pancerne, patrolują przedpole. Przez pola minowe brytyjskie i włoskie, przez rowy przeciwpancerne prowadzi już szeroki trakt wyjeżdżony przez czołgi i samochody, widać duży jest stąd ruch korytarzem do Sidi Rezegh. Jest artyleria przeciwlotnicza, zresztą przewagę w powietrzu od początku ruszenia ofensywy mają nasi. Ustawiamy działka na tymczasowych stanowiskach, mamy czekać do wieczora przyjazdu brytyjskiego batalionu, z którym wyruszamy z twierdzy.

Przyjemna niespodzianka. Stanisław Orłowski, adiutant Generała, został przydzielony na oficera łącznikowego między naszym dowódcą dyonu a brytyjskim batalionem. Ze względu na znajomość angielskiego może istotnie okazać się niezbędnym. Poza tym zdaje się, że miał dość sztabu i sam się wprosił na tę wojnę. Wita mnie słowami:

— A co, widzisz, mój sen zaczyna się sprawdzać!

Istotnie, teraz sobie przypominam. Kiedyś, jeszcze w Matruh, Generał przyjechał oglądnąć pozycje, zaś Adiutant w pewnej chwili wziął mnie na bok i powiada: — „Miałem zabawny sen. Śniłeś mi się ty i twoje działka. Byliśmy razem. Czołgi niemieckie nadjeżdżały. Ja ładowałem, ty strzelałeś".

Dziś ostatni dzień listopada, wcześnie zapada mrok. Działony ugotowały już herbatę. Obok nas przejeżdżają czołgi. Z przedpola wracają na tyły — obsługi po całodziennym patrolowaniu korytarza jadą na ciepłą strawę i noc-

leg w którymś z wąwozów tobruckich. Jest coraz ciemniej, księżyc jeszcze nie wszedł. Nagle z mroków wyłania się wóz, za nim drugi, trzeci, dziesiąty. To batalion Bedfordshire Rgt. nadjeżdża. Ciągnie wolno wóz za wozem, blisko, teraz noc, lotnik nie jest już groźny, natomiast łatwo jest zjechać z drogi, wjechać do rowu czy na pole minowe. Podjedliśmy trochę, rozgrzaliśmy się przedtem herbatą, teraz rumem. Czekamy na wozach. Robi się coraz zimniej. Nie wystarczy już kurtka skórzana na battle-dress'ie, trzeba nałożyć płaszcz. Czekamy. Na wojnie zawsze się czeka. Ale nie jak we wrześniu w rowie przydrożnym. Można położyć się na wozie, przykryć kocem gdy zimno. Drzemać. Żołnierz zawsze potrafi spać. Nawet na zapas. I nagle jakby żal za Tobrukiem wkrada się w serce. Ostatecznie w tej poczciwej twierdzy miało się niezłą ziemiankę, łoże sporządzone z noszy dla rannych, nawet lampę naftową, książkę, poczucie bezpieczeństwa za perymetrem, polami min, drutem kolczastym. Właśnie teraz zbliża się godzina gdy spotkaliśmy się z Adolfem, by pogwarzyć o przeszłości i teraźniejszości, pokazać sobie ostatni list z kraju czy z Londynu, wyjść na linię czujek i posłuchać odgłosów dochodzących z okopów niemieckich 300 metrów przed nami. A teraz wyruszamy w nieznane, w czarną noc, nie wiadomo co nas czeka, czy nie los nowozelandzkiego batalionu. Jest nas tylko 60 Polaków. Z dala od czasu do czasu słychać grzechot karabinów maszynowych i huk dział. Normalna noc tobrucka. Tylko przed nami na kierunku od Sidi Rezegh panuje niczym nieprzerwana cisza. Czyżby złowróżbna? Jest coraz ciemniej. Choć oko wykol. I coraz zimniej. Przypomina mi się patrol w trzecim dniu, ostatnim, bitwy pod Kockiem. Na skrzyżowaniu dróg leżała w rowie placówka naszych spieszonych lotników. Przed nimi stali Niemcy, co parę minut oświetlali przedpole białymi rakietami. Od czasu do czasu słychać było huk motorów, jakby zbliżających się do nas. Dowódca placówki informował mnie, że Niemcy są o paręset metrów z przodu. Dzwonił zębami i mówił że mu zimno — był 4 października. I mnie teraz jest coraz zimniej.

— Wicek, daj rumu!

Rozgrzewamy się. W tej chwili z mroku czarnej nocy wyłania się łącznik z dywizjonu. Odprawa. W jednej chwili jestem na nogach. Nie tylko fizycznie ale i moralnie. To tylko to czekanie w zimnym mroku naprowadza jakieś leniwe, złe myśli. Gdy tylko otrzyma się do wykonania zadanie, już jest dobrze: żołnierza myśli i nerwy skupiają się tylko na zadaniu, które ma wykonać. Zapomina wtedy, że jest senny, że jest zimno, że gdzieś daleko na świecie są komfortowe, jasne, ciepłe pokoje.

Stoimy ukryci między wozami. Jest pułkownik, adiutant, oficer łącznikowy i obaj dowódcy baterii. Pochylamy się nad mapą, oświetloną ukradkiem kieszonkową latarką. Zadanie: batalion ma zluzować własny oddział w rejonie oznaczonym na mapie jako „Magen Belhamed" — „grób szeika"; jakieś 12 kilometrów w kierunku 135 stopni; do każdej z czterech kompanij piechoty przydzielone zostaną po dwa działka; czas wyruszenia — pół godziny po wschodzie księżyca; na miejscu w Belhamedzie natychmiast przystąpić do ko-

pania stanowisk, muszą być gotowe przed świtem; stanowiska uzgodnią dowódcy baterii z właściwymi dowódcami kompanii piechoty brytyjskiej; dane o nieprzyjacielu? — spodziewać się w każdej chwili i z każdego kierunku.

Wracam do baterii. Rozdział na plutony, które pójdą z dwiema kompaniami „C" i „D" (w armii angielskiej kompanie nie są oznaczone liczbami ale literami) bardzo mi nie w smak idzie. Nie cierpię dzielić baterii. Przede wszystkim w kupie raźniej, potęga ognia większa. Po drugie jakże lubię tych chłopaków. We wrześniu szedłem na wojnę z żołnierzami, których widziałem dwa dni. W brygadzie Podhalańskiej byliśmy razem trzy miesiące. A teraz z tymi żołnierzami jestem prawie już od roku razem. Kilku z nich tak jak i ja przyciągnęło tu z Francji. Jakżeśmy się zżyli. Wychować żołnierza, wyszkolić — to ciężka praca. Prowadzić go w ogień — to przyjemność. Teraz tę przyjemność ma mieć jakiś nieznany mi jeszcze oficer angielski, którego poznam za chwilę. Już naprzód czuję do niego antypatię, zazdrość prawdziwą, jakby szło o kobietę. Sam będę przy jednym plutonie. Drugiego oficera brak w baterii. Gdyby żył Pieniążek, jakżeby się teraz cieszył z tej samodzielnej funkcji. Niestety już od trzech miesięcy spoczywa na cmentarzu tobruckim. Wiem co zrobię. Do kompanii „C" przydzielę jako dowódcę plutonu sierżanta Brzostka. Sierżant Jezierski pójdzie jako działonowy. Obaj młodzi wiekiem choć starzy doświadczeniem pepancarze odbyli kampanię z 1 dywizją w roku 1940, potem z niewoli w Austrii dołączyli się do Brygady w Egipcie. Wojna dla nich nie nowość, dadzą sobie radę. Działony dowodzone przez kaprali pójdą ze mną przy kompanii „D".

Księżyc wschodzi. Zarządzam zbiórkę baterii. Padają przyciszone słowa komendy: baczność, równaj w prawo itd. Tak najlepiej. Choć wojna i nieprzyjaciel tuż, tuż, może o tysiąc metrów, trzymajmy się regulaminu jak najdłużej można. Na bałagan jeszcze będzie aż za dużo czasu. Szef sprawdza równanie dokładnie jak co dzień na zbiórce porannej. Składa raport. Mówię do żołnierzy. Podaję do wiadomości zadanie baonu i nasze. Że się rozdzielimy chwilowo. Że z plutonem przydzielonym do komp. „C" pójdą obaj sierżanci, starsi nie tylko stopniem ale i doświadczeniem wojennym, że również mają wykonywać rozkazy oficerów brytyjskich, którzy się znajdą przy nich, gdyby mnie nie było wtedy. I kończę:

— Czekaliśmy dwa lata na tę chwilę; w obozach rumuńskich i węgierskich, w niewoli, na pozycjach pod Aleksandrią, w Matruh, w Tobruku; wszyscy wiemy, po cośmy tu przyszli; nikt tu nie przyszedł z musu, wszyscy z własnej woli; wielu nie doszło — zostali w śniegach Karpat, zginęli od kul patroli granicznych, torturowani w więzieniach; o ileż los był szczęśliwszy dla nas — mamy zaszczyt walczyć z zaborcą na polu bitwy; jutro, o ile nie dziś w nocy jeszcze, jak powiedział pan Generał, będziemy mieli przed sobą Niemców; zobaczymy dobrze nam znane szare czołgi z białymi krzyżami; będą to czołgi niemieckie, te same może co we wrześniu strzelały do naszej bezbronnej ludności; mamy działka, których żołnierz nasz najczęściej nie miał we wrześniu; przez rok ćwiczyliście się w strzelaniu, celowniczy zawsze trafiali na poli-

gonie; możecie być pewni siebie; jutro macie strzelać tak samo, ładować, celować spokojnie; jak szlag ma nas trafić — niech trafi, ale w każdym razie drogo życie swe sprzedamy i do niewoli nie pójdziemy; zresztą jestem dobrej myśli, że cało i zdrowo spotkamy się wszyscy jeszcze.

Złoty księżyc wzeszedł nad pustynią libijską i świeci nad baterią. Piasek wydaje się biały jak śnieg. W poświacie księżyca jest jakby cieplej i weselej. Zdaje się wróżyć pomyślnie. „Działonami odmaszerować". Z Brzostkiem idziemy odnaleźć angielskich dowódców kompanii. Ustalamy z nimi szyk marszu, miejsca dołączenia działek do kolumny. Kompanie pójdą w kolejności alfabetycznej, plutony działek w środku. Z boku i z przodu ubezpieczą kolumnę patrole samochodów pancernych.

Obaj dowódcy kompanii mają na sobie imponującej wielkości kożuchy, w których wyglądają wspaniale. Szczęśliwcy — niedawno przyjechali do Tobruku, mogli się na zimową kampanię wyekwipować. Wymieniamy uprzejmości. Podobają mi się sergeant-majorowie kompanijni; pytają zaraz o stan ludzi i do kiedy mamy prowiant. Dobry znak. Byłaby to oryginalna wojna, gdyby istotnie zaopatrywanie normalną drogą miało mieć miejsce.

Powoli wozy ruszają z miejsca, kolumna się rozwija. Jeszcze raz i drugi stanie, jakieś wozy dołączą. A potem wolno, wóz za wozem kolumna będzie się posuwać świeżo wyjeżdżonym szerokim traktem. W prawo i w lewo widzimy schrony, ziemianki, druty, doły, rowy. To wszystko pozycje włoskie, jeszcze przedwczoraj w schronach tych mieszkali ludzie, grali w karty, pili wino, strzelali do nas, prali bieliznę. A teraz jest pustka. Życie zamarło. Zostały w ziemiankach pewnie tylko zdziwione szczury. Ciekawe czy będą jadły trupy swych wczorajszych ludzkich towarzyszy, które przy drodze jeszcze leżą niepogrzebane? Nie powinny. Żołnierze włoscy są bowiem bardzo dobrzy dla szczurów, oswajają je, karmią z ręki. Gdzieniegdzie sterczy smutnie w niebo lufa armatnia, ówdzie przewrócony na bok jaszcz. A tu czołg. Zdaje się, że brytyjski. „Spalony, panie poruczniku", mówi Wicek, który ma kocie oczy. „To pewnie z tych co nacierały tu", mówi kierowca. I wszyscy pewnie myślimy o tym samym — co się stało z załogą, czy spłonęła również, czy zdołała wyskoczyć w ostatniej chwili? A tu drugi czołg, a tam trzeci, a tam dalej jeszcze czwarty majaczy. Czarne, ponure, milczące. Tak, jeszcze kilkadziesiąt godzin temu szalało tu, piekło ognia, dymu. Pół batalionu gwardyjskiego tu poległo. Biedni chłopcy. Jak wspaniale wyglądali w swych gwardyjskich mundurach tam na tyłach, w Kairze. Gdy widziało się ich u Shepheards'a czy w Continental'u, w towarzystwie pięknych kobiet, wesoło szastających pieniędzmi, patrzących z góry swych rodowych tytułów i dwumetrowego wzrostu na plebs wschodu. A teraz? Leżą w jednym rowie ze śmierdzącym, brudnym, zapchlonym chłopem sardyńskim.

Jedziemy dalej. Teraz po obu stronach drogi ciągnie się gładka jak stół pustynia. Widocznie przejechaliśmy już linie włoskie, jesteśmy na ich dawnych tyłach. Samochód posuwa się wolno, kołysze miarowo, usypiająco. Pół-leżę, pół-siedzę na tyle półciężarówki — stąd lepiej widać co się dzieje jak z szo-

ferki. Nad głową lśni pokryte gwiazdami niebo wschodu. Pustynia w poświacie księżyca wygląda jak pole pokryte śniegiem. Coś mi się przypomina. Tak się podróżowało kiedyś dawno, w dzieciństwie, na dalekiej Ukrainie. Sankami przez pokryty śniegiem step. Z Niemirowa do Strzelczyniec. Teraz też świecą nad głową gwiazdy a mróz szczypie w policzki. Przykryłem się kocem, jest ciepło jak pod baranicą. Czuję że zasypiam. Wiem o tym, ale nie usiłuję przeciwdziałać. Skoro dowodzi dowódca piechoty a nie pepanców (co mnie zawsze denerwuje), niech on się martwi o kąt kierunkowy i ubezpieczenie. Zresztą jak będą strzelać, to się zbudzę. Z działek z wozu otworzyć ogień, to kwestia kilku sekund. Trzeba korzystać z tej godziny jazdy, by się zdrzemnąć. Gdy dojedziemy na miejsce, rozpocznie się ciężka pracą budowania stanowisk. A na rano Niemców wszyscy nam obiecali.

PIERWSZA NOC POD BELHAMEDEM

Nie wiem, jak długo drzemię. Wiem tylko, że jest rozkosznie ciepło wśród stosu koców. W pewnej chwili czuję że wóz staje, znów jedzie dalej, znów staje, skręca, jakby zjeżdżał z drogi, znów staje. I już nie rusza. Niedobrze, pewnie już jesteśmy na miejscu. Zrzucam z siebie koce, owiewa mnie zimny mroźny wiatr, zeskakuję z wozu. Po drugiej stronie drogi stoi oddział żołnierzy. Kto to? Aha, pewnie ci, których przyjechaliśmy luzować. Śpieszą się, by wrócić do Tobruku.

Odszukuję Anglika dowódcę kompanii. Już otrzymał rozkazy. Cztery kompanie batalionu zajmą stanowiska na krzyż, dowództwo baonu będzie w środku. Nasza kompania „D" ma bronić kierunku północnego. Saperzy są gotowi do zakładania min, przed świtem powrócą do Tobruku. Piechota, którą luzujemy, zaraz wróci tymi samymi samochodami, które przywiozły towarzyszący nam batalion.

Chodzimy z oficerami angielskiej kompanii po pustyni i ustalamy stanowiska plutonów oraz rozmieszczenie działek. Ciężkie bardzo zadanie — przy księżycu wybrać dobre pola ostrzału.

Wojsko będzie całą noc kopać stanowiska, a tymczasem o świcie może być przykra niespodzianka: widoczność zaledwie kilkaset metrów. A czasu na narady nie ma. Saperzy czekają z minami, żołnierze z kilofami. A więc decyzja: tu koło tego krzaka stanowisko jednego działka, tam opodal, w tym leju drugie. Jest godzina 23.00. Świt o 7-ej. Godzinę przed świtem działka mają stać zamaskowane na wykończonych stanowiskach. Po chwili praca w działonach wre. Na zmianę przy każdym działku jeden żołnierz odpoczywa i jednocześnie obserwuje — gdy kilofy dzwonią, gdy żołnierz zaabsorbowany jest robotą, najłatwiej jest nieprzyjacielowi zaskoczyć. Więcej rozkazywać nie potrzebuję. Działonowi znają swe zadanie: wiedzą, że prócz stanowiska dla działka mają być obok wąskie rowki dla obsługi, schrony przed ogniem artylerii i czołgiem dojeżdżającym do stanowiska, skąd się nań rzuci bombę. Kierowca wie, że ma wykopać dół pod wóz. Działko zdjęte z wozu już stoi na stanowisku tymczasowym, gotowe w ciągu kilku sekund do otwarcia ognia.

Dobrze, z tym plutonem na razie załatwione. Teraz mam czas pomyśleć o drugim. Trzeba go odszukać. Siadam na wóz z gońcem tylko. Kierowca teraz odpocznie, czeka go praca jeszcze. Przyjemnie zresztą poprowadzić samochód w tę piękną noc księżycową. W Tobruku mało było sposobności dla jazdy wozem.

Jedziemy drogą w kierunku, w którym winna stać najbliższa kompania. Trzeba uważać na miny, świeże angielskie i stare włoskie. Istotnie po ujechaniu 800 metrów widzę przed sobą ludzkie cienie i słyszę dźwięk kilofów. Podjeżdżam — to są Anglicy. „*What company?*" — „*Bi*"... „*Are here Polish antitank guns?*" Są, ot, tam, zaraz. Podjeżdżamy. Na nasze spotkanie wychodzi porucznik Kapica — on tu jest z plutonem 1-ej baterii. Dobrze, łączność nawiązana. Odmierzam na busoli kąt do kompanii „D". Pokazuję mu gdzie my stoimy. „A dowództwo dyonu i baonu?" „Podobno tam, o jak ta gwiazda." Zawracamy zatem i jedziemy na wskazaną gwiazdę. (Lepiej gwiazdy nie pomylić — raz w Tobruku to uczyniłem i zaraz wóz trzasł na minie).

Po przejechaniu pół kilometra mijamy jakieś zasieki, wjeżdżamy w rejon gęsto pokryty schronami, wykopami, samochodami. Ruch, wielu ludzi. Tak, to tu. Tylko trudniej odnaleźć swoich. Po chwili znajduję jednak naszego adiutanta. „Pułkownik z Orłowskim na odprawie w baonie. Dobrze że jesteś. Właśnie miałem posłać gońca dla nawiązania łączności." Wskazuję drogę do mnie i do plutonu porucznika Kapicy. „A gdzie kompania „C"? — pytam. „Podobno tą drogą wprost na zachód, potem na południe, nie dalej jak 600 m." Siadam za kierownicą i jazda na poszukiwanie plutonu.

Jedziemy drogą na zachód. Ujeżdżamy z pół kilometra, kilometr, nie ma coś skrętu w lewo. Wysiadamy z wozu. Przykucam na ziemi, tak łatwiej coś dojrzeć w świetle księżyca. Ale nic, cisza. Nie słychać ani motorów, ani głosów ludzkich, ani szczęku łopat. Pustynia jest cicha, milcząca, jakby zaklęta w tej poświacie księżyca. Tylko na południe od nas majaczy się jaśniejszą plamą na tle ciemnego nieba urwista ściana płaskowyżu Sidi Rezegh. Tam, gdzie się od tygodnia toczy uporczywa, nierozstrzygnięta bitwa 8-ej armii z przeciwuderzeniem Rommla. Jakiż urok ma ta poświata księżyca nad Libią! Udaję sam przed sobą, że wypatruję poszukiwanych stanowisk, a w rzeczywistości upajam się majestatycznym spokojem tego jakby zaczarowanego kraju.

— Panie poruczniku, tam coś jest — słyszę nagle głos Wicka.

Istotnie, o kilkadziesiąt metrów majaczy coś czarnego. Co to może być? Podjeżdżamy wozem — z dala od oddziału, zwłaszcza w nocy, lepiej z nim się nie rozstawać. Rozpoznajemy. Jakaś buda, szałas czy namiot. Wysiadamy z wozu. Barak niski, na wpół wkopany w ziemię. Ktoś tu mieszka? Wejść, nie wejść, zastanawiamy się. W tej chwili przypominam sobie ostatnie komunikaty sztabu o zasadzkach zostawianych przez wycofującego się npla. O minach, bombach, granatach, które wybuchają za dotknięciem niewinnego przedmiotu, za potknięciem się o niewidoczny sznurek. Ale ciekawość przemaga. Z pistoletami maszynowymi w ręku uchylamy ostrożnie drzwi (no, huknie czy nie huknie... nie huknęło) i wchodzimy do środka. Kieruję światło latarki

(miła Charlotte przysłała ją niedawno z Aleksandrii, jak się teraz przydaje) i oto co widzimy: mała, niska izba, na środku stół, zastawiony do posiłku, talerze, widelce, łyżki, szklanki, butelki. Na talerzach makaron, sos pomidorowy. W szklankach czerwony napój, szerokie, oplatane butelki z Chianti. Na wpół pełne.

— No, wyrywali co się zowie — stwierdza mój towarzysz.

Przechodzimy do drugiej izby. Łóżka, materace, pościel, walizki, mundury. Kolorowe jedwabne piżamy. Pałasz. Ho, ho, jakaś grubsza szarża tu urzędowała. Przechodzimy dalej. Tu kancelaria. Stoły, papiery z nadrukiem jakiegoś *regimento*. Mapy? Oczywiście zabieramy. Inna izba. Garaż czy magazyn. Stoi kilka motocykli z przyczepkami. I sprzęt saperski. Wielkie nożyce do cięcia drutu. Bierzemy kilka, przydadzą się. Jeśli jutro czas będzie, zajmiemy się motocyklami. Przydałoby się parę dla baterii. Warto by wziąć butelkę Chianti. Tak dawno się nie miało w ustach wina. Kurz ma się w ustach. Ale nie można zbyt często gwałcić regulaminu, który dowodzi, że nieprzyjaciel przed wycofaniem zatruwa studnie, a cóż dopiero alkohol.

Jechać dalej — niebezpiecznie, jeszcze można wjechać na Włochów czy Niemców. Wracamy więc w stronę dowództwa baonu. Przed samym obozem skręca dróżka w prawo, to pewnie ta szukana. Jedziemy nią. Po chwili dostrzegamy piechotę, wkrótce potem i nasze działka. Stanowiska w robocie, robota kilofami gładko idzie, wozy już schowane w dołach, służba i obserwacja gra. Obliczam kąt do dowództwa i do siebie. Wyliczam, że oba plutony dzieli w prostej linii około 900 metrów.

Wracam do siebie. Na 3-ą z rana stanowiska powinny być gotowe, skały na szczęście nie ma zbyt dużo. Z samochodami gorzej, zwłaszcza z trzytonówką. Nie da rady wkopać ją głęboko i angielski kapitan już teraz martwi się, że gdy będzie jasno, zdradzi pozycję kompanii. Ale na to rady nie ma! Trzy godziny, jakie nas dzielą od świtu, chłopcy niech wykorzystają, by przespać się trochę. Pełne pogotowie zarządzam na godz. 6-tą. Nie jest wykluczone, że o parę kilometrów od nas stoją Niemcy.

Zarządzam służbę w poczcie. Będziemy ją pełnić kolejno po pół godziny. Szefa zwalniam, dość się napracował, niech się wyśpi. Ja biorę ostatnią, wolę najwcześniej być na nogach. Pierwszy pełni służbę nowoprzydzielony jako kierowca trzytonówki sierżant Rosiński. (Wspaniały wąsal, fotografia jego przypadkiem zawędrowała na stronę książki mego brata „Poland fights back"). Gdy budzę się przed szóstą, sierż. Rosiński pełni jeszcze służbę. Nie chciał budzić gońców. „Niech się chłopcy wyśpią, ja jestem stary, mniej snu potrzebuję."

SŁONECZNY RANEK 1-GO GRUDNIA

Jest już po dziewiątej. Piękny, grudniowy poranek. Niebo błękitne. Słońce zaczyna grzać, w południe będzie zupełnie ciepło. Zjedliśmy już śniadanie. Apetyty wspaniałe, wczoraj właściwie byliśmy bez kolacji. Szef, stary żołnierz,

wie, że śniadanie na wojnie to grunt — na obiad i kolację może już nie być czasu.

Przyjechał Pułkownik, oglądnął stanowiska. Na ćwiczeniach pieprzylibyśmy się z polem ostrzału godzinami, na wojnie na to nie ma czasu. Zresztą pole obserwacji okazuje się znakomite, widoczność od północy na wiele kilometrów niemal do morza. Od świtu jesteśmy pod nękającym ogniem artylerii nieprzyjacielskiej, która wali zza skarpy Sidi Rezegh. Na skarpie (na południe od nas) stoją Nowozelandczycy, widać ich na górze. Stanowiska naszego baonu widoczne. Nie da się ich ukryć. Niepotrzebnie martwiliśmy się o trzytonówkę. Dziesiątki samochodów, ciągników, ambulansów widać rozrzuconych po pustyni. Trudno się zorientować, które są porzucone zepsute wozy włoskie, a które wozy własne jeszcze całe. Widać porzucone ciężkie działa włoskie. A tam stoją własne działa i prowadzą ogień w stronę Niemców. Co to, wycofują się? Nie, zmieniają tylko stanowiska, widocznie nieprzyjaciel je wymacał. A tam kolumna samochodów jedzie w stronę Tobruku, ambulanse — widać wozy z czerwonym krzyżem — pewnie ranni. A tam pod skarpą posuwa się zwolna sześć czołgów. Wielkie Walentyny. Tam, daleko, z 10 kilometrów na zachód kłębi się w kurzu kilkadziesiąt wozów. Swoje czy niemieckie? Jakżeż ten widok odbiega od pozycji tobruckiej. Tam w dzień nad ziemią nie widziało się nikogo. Pustynia wydawała się wymarła. Tu pustynia żyje, kłębi się ludźmi, sprzętem, kurzem. Te armaty podskakujące na kamieniach za rozbieganymi ciągnikami coś mi przypominają? Jakiś sztych kossakowski z bitwy pod Olszynką, jakiś Bem na czele rozpędzonej baterii?

Ogień artylerii nieprzyjacielskiej staje się jakby coraz bliższy, coraz częstszy i coraz celniejszy. Artyleria angielska znów zmienia stanowiska, przesuwa się do tyłu. Niedobrze... A co tam znowu? Po serpentynie prowadzącej ze skarpy Sidi Rezegh wznoszą się tumany kurzu. Kolumna samochodów. Jadą wozy za wozami. Jadą od strony nieprzyjaciela. Cóż to jest? Czyżby... wycofanie? Wozy wjeżdżają w naszą pozycję, nie zatrzymują się, przejeżdżają nie zważając na ogień artylerii, szybko kierują się traktem na Tobruk. Wozy pełne żołnierzy, Nowozelandczyków. Twarze żołnierzy pokryte kurzem, zmęczone, wzrok nie ten radosny co zwykle. Zły znak. Jakiś samochód nawalił. Kierowca ogląda motor. Podchodzę. Jest oficer? Jest. Pytam co to za oddział, co się tam za skarpą dzieje, skąd i dokąd jadą?

— Jestem eszelonem „Bi" brygady nowozelandzkiej. Batalion nasz został rano rozbity przez czołgi niemieckie — o widzi pan te samochody na górze z sześć mil stąd? Brygadier poległ albo w niewoli. Mamy rozkaz wycofania się do Tobruku.

Zły omen. Czyżby stare dzieje września, Norwegii, Francji miały znów się powtórzyć? Nie, precz z tą myślą!

Więc tam są Niemcy. Stamtąd, od zachodu coś wyjść może. W tej chwili działonowy kapral-podchorąży (i poeta) Kobrzyński melduje:

— Panie poruczniku, na kierunku 60 w odległości około 7 km. widać z piętnaście wozów. Wyglądają na czołgi.

Istotnie. Obserwator Żak dobrze rozpoznał. Widać wozy, chyba czołgi, tylko że są od nas o jakie 10 km, to tylko lornetka przybliża. Po chwili dowódca kompanii jest koło mnie, oczy wciska w lornetkę. Ciemne punkty na horyzoncie jakby rozwijały się w tyralierę, kierują się wyraźnie w naszym kierunku.

— *There are tanks, arn't there?* — pyta kapitan angielski.

— *Yes, I think so.*

— *Enemy's?*

— *I think so.*

W oczach żołnierzy angielskich widzę niepokój. Spoglądają na nas. Na te dwa małe polskie działka i na tych pięciu Polaków skupionych przy każdym działku. Los stu żołnierzy angielskich zależeć będzie może już za kilkanaście minut od tych dziesięciu Polaków i tych dwu małych, zgrabnych działek. Lornetki, których my nie mamy, a mają drużynowi angielscy, przechodzą w jednej chwili do rąk naszych działonowych, celowniczych. Widać teraz kto ważniejszy — piechota czy pepance.

— Da pan radę? — pyta angielski kapitan.

Piętnaście czołgów na dwa działka trochę dużo, ale zrobimy co można. Obsługi w każdym razie są pewne.

Trzeba działać i to szybko. Pierwsza rzecz meldunek do Pułkownika. Już piszę, że z kierunku 060 z odległości 8 km posuwa się na nas około 15 czołgów, proszę o dosłanie jednego działka, może z plutonu przy kompanii „C". Bobowicz z meldunkiem odjeżdża. Potem idę do działonu kaprala Krótkiego. Działko jest nastawione na północny zachód, trzeba je przesunąć na zachód, żeby nie strzelało przez stanowiska piechoty. Działonowy ma dwadzieścia lat, jest rozsądny, energiczny. „Musicie zmienić stanowisko, przesunąć tam w lewo o 100 metrów od Kobrzyńskiego. Macie na to 10 minut czasu. Zdołacie to wykonać?" Działonowy, który dotychczas zawsze nienawidził zmiany stanowisk, który przywykł do robienia jednego stanowiska miesiącami w Tobruku, nie jest pedantem, rozumie o co idzie i że to jest konieczne, odpowiada: „Zrobimy w osiem!" I jak poprzednio obsługa tkwiła nieruchomo przy działku z oczyma i lornetkami utkwionymi w ciemne punkty przed nami, tak teraz, jakby iskrą elektryczną dotknięta, zwija się jak w ukropie. Już kierowca Szukalski podjeżdża z wozem. Już ładowniczy z celowniczym zaprzodkowują działko. Już amunicyjni rzucają na wóz skrzynki z amunicją i worki z piaskiem. Jazda. Nie upływa dziesięć minut, a oba działka stoją na stanowiskach, niedaleko siebie, gotowe na przyjęcie wroga.

Czołgi się wciąż zbliżają. Są już o pięć kilometrów od nas. Widać je wyraźnie gołym okiem. Jadą prosto na nas. Wolno. Ostrożnie.

Wraca goniec od Pułkownika. Orłowski odpowiedział na kartce: „Przyjedzie do ciebie zaraz angielski obserwator artylerii i osłoni cię ogniem". Rzeczywiście po chwili nadjeżdża kurier. Orientuję angielskiego artylerzystę w terenie, sprawdzamy kąty. „Kiedy pan otworzy ogień?" „W ciągu trzech minut". Czołgi są już o trzy kilometry, przez lornetkę wydają się być tuż, tuż.

Są szarozielone, migocą się lufy działek i białe krzyże. Angielski porucznik oblicza spokojnie kąty na mapie, jakby nie widział nadjeżdżających na nas czołgów. Dzieli, mnoży, dodaje liczby. Wreszcie obliczył. Radiotelegrafista rzuca w przestrzeń jakieś liczby. I już po chwili widzimy, jak paręset metrów w lewo od czołgów wytryskają w górę kolumny kurzu: to padła pierwsza seria pocisków. Działa, które je wystrzeliły, są niewidzialne, ukryte daleko od nas. Artylerzysta poprawia obliczenie, radiotelegrafista rzuca w przestrzeń nowe liczby. Czołgi są już o dwa tysiące metrów. Widzimy je gołym okiem jak na dłoni. Po chwili nowa seria kolumn kurzu tryska tuż przed czołgami. Potem jeszcze jedna: kolumny kurzu wznoszą się tym razem dokładniej wśród tyraliery czołgów. Przez szkła lornetki widzę jak z wieżyczki jednego czołgu wysuwa się do połowy człowiek. Zatacza nad głową koła wyciągniętym ramieniem. Tak jakby dawał znaki chorągiewką. I zaraz potem czołg jego zawraca, za nim zawracają czołgi inne. Tak, wycofują się w kierunku skąd przyszły. Artylerzysta znów oblicza, radiotelegrafista znów nadaje nowe liczby, a niewidzialne działa znów obrzucają wycofujące się czołgi fontannami kurzu. Wreszcie czołgi znikną.

— *Good job* (dobra robota) — gratuluję Anglikowi. On też wydaje się być zadowolony. Pytam gdzie są jego działa. Na perymetrze Tobruku. Anglik odjeżdża.

Napięcie nerwowe minęło. Jest jakoś raźniej na duszy. Żołnierze angielscy też jakby poweseleli. Podchodzą do działonu.

— A może szkoda, że pan porucznik sprowadził tego artylerzystę — mówi Karolek (takie ma imię działonowy Krótki). — Teraz albo byłoby już po nas albo byłoby Virtuti!

Ja nie żałuję. Gdyby było trzecie działko, co innego. Trzeba koniecznie mieć tutaj trzecie działko. Ludwik widział koło dyonu włoską Bredę, musimy się o nią postarać.

Od północnego zachodu niebezpieczeństwo minęło, za to od południa wzmaga się i jakby przybliża ogień artylerii nieprzyjacielskiej. Serpentyną od Sidi Rezegh wycofuje się nowa kolumna brytyjskich wozów i odjeżdża traktem do Tobruku. Około południa otrzymuję meldunek od Pułkownika i rozkaz przesłania go natychmiast dowódcy Brygady. Ma jechać z nim do Tobruku trzytonówka. Pismo jest bez koperty, czytam treść. Brzmi ona: „Sytuacja bardzo ciężka. Jeśli nie otrzymamy od dowódcy korpusu rozkazu wycofania się — bronimy się do ostatka". Widać pod Sidi Rezegh pogorszyło się. Żal mi pozbywać się wozu. Ale trudno, trzeba rozkaz wykonać. Na pożegnanie przykazuję kierowcy sierżantowi Rosińskiemu, aby jak najszybciej był z powrotem.

Potem nadchodzi południe. Słońce na dobre praży. Artyleria nieprzyjacielska wciąż nęka nas ogniem, ale straty są małe, ogień głównie dostaje się dowództwu baonu, może dlatego że tam jest największe zgrupowanie wozów. Obserwatorzy alarmują nieustannie działony: od tyłu, z boków, ukazują się coraz to inne samochody, niekiedy czołgi, trudno rozpoznać czy własne czy npla. Nadlatuje eskadra samolotów. Na szczęście leci nad Sidi Rezegh i tam

spuszcza większą ilość bomb, pewnie na artylerię niemiecką, co nam tak dokucza, gdyż ta milknie. Jest już po piątej. W gardle sucho — od rana nic w ustach nie miałem, nikt nie myślał o obiedzie. Toteż z radością przyjmuję zaproszenie Szefa na kolację. Pijemy herbatę, jemy bifa i jakieś pikle. Wszyscy jesteśmy dobrze zmęczeni. Wyrażam nadzieję, że na dziś wojna skończona. Niemcy nie lubią działań nocnych.

— To warto by, panie poruczniku, — mówi Szef — pojechać z wozem do grobowca szeika. Tam w podziemiach jest włoski skład konserw. Nie wiadomo kiedy kwatermistrz co przywiezie.

Przyznaję Szefowi rację. Gdy się ściemni — pojedziemy. Szef i gońcy. Kierowca poszedł do dyonu naprawiać działko włoskie, które mamy dostać dla wzmocnienia pozycji, wobec tego ja też pojadę, poprowadzę wóz. Przyda się przy sposobności rozpoznać teren.

NOC NIESPOKOJNA

Mija godzina szósta, zapada mrok, strzelanina cichnie. Ruszamy. Grobowiec szeika jest to wzgórek położony o pół kilometra od nas na drodze do kompanii „B". Zatrzymuję wóz przed otworem do podziemi, gdzie Włosi mieli swój magazyn. Oglądam wielką pieczarę w skale, ustalamy co weźmiemy. Będzie tego z parę skrzyń konserw. Wychodzę na dwór, siadam w samochodzie, czekam, aż wóz będzie naładowany. Na dworze jest coraz ciemniej.

Wsłuchuję się w ciszę zapadającej nocy. Nagle wydaje mi się, że słyszę jakieś odgłosy. Jakby huk pracujących motorów? I jakby dalekie nawoływania. Dużo krzyków, jakby wołało wielu ludzi. Co to może być? Potem znów krzyki milkną. Znów cisza zapada wraz z nocą nad Libią.

Jest coraz ciemniej. I zimniej. Znów jakby mnie przechodziły dreszcze. Trzeba wracać. Dlaczego Szef tak marudzi z ładowaniem? Pewnie szuka włoskiej wódki.

I nagle w ciszy wieczoru zaterkotał karabin maszynowy. Jeden. Wydaje się, że zagrał tuż, tuż, o kilkaset metrów. I zaraz odzywa się drugi, i trzeci, i dziesiąty. Co się stało? Kto strzela? Burza ognia! I to tuż, tuż przy mnie. Piekielny ogień. Ależ tak nagle! Był taki spokój. Co to jest? Na Boga, kto strzela, do kogo? Nie czekam więcej jak pół sekundy na odpowiedź: nad wozem gwiżdże jedna seria z karabinu maszynowego, druga, trzecia. Tracę głowę, nie wiem co robić, paść na ziemię, uciekać z wozem, kryć się w grobowcu. Świetlne, czerwone pociski prują powietrze, walą w ziemię u stóp wzgórka, na którym stoję z wozem. Aha, wiem już co mam zrobić. Zapalam motor i szybko zjeżdżam do tyłu w dół, kryję się z wozem za wzgórkiem. Z podziemi wybiega Szef i gońcy pytają co robić z resztą konserw. „Pier... konserwy!" — wołam. — „Natarcie niemieckie idzie, wracamy do baterii!". Ruszam, gońcy w biegu gramolą się na wóz. Ale jak teraz jechać? Jest ciemno. Droga w lewo bieleje, ale nie mogę nią jechać, bo jest wprost pod obstrzałem. Trzeba zjechać z drogi, jechać jak najdłużej, mając za sobą pagórek, który nas chroni

przed ogniem. Ale przed pozycją biegnie pole minowe, trzeba będzie zate
po trzystu metrach wrócić na drogę. Jadę niemal na oślep, tyko czekam ja
huknie mina pod kołem lub seria pocisków trzaśnie w wóz. Wołam na go
ców z tyłu: „Jak tam, nikt nie ranny?" „Nie, wszystko w porządku, panie p
ruczniku". Tymczasem burza ognia jakby przycichła, albo myśmy zjecha
z kierunku jego nasilenia. Nagle w lewo dostrzegam cienie jakichś ludzi. I obo
białą wstęgę drogi. Wjeżdżam na nią. Ludzie podbiegają do wozu. Anglic
Siadają w biegu na wóz. Wołają: „Prędzej jechać!" Jadę. Ujechałem już z p
kilometra. Powinny już być tu nasze stanowiska po lewej stronie drogi. Tym
czasem nic nie ma. Pustka. I nagle niepokój czuję w sercu. Niepokój tak wie
ki, że nawet już ogień nieprzyjacielski wydaje mi się drugorzędnym niebe
pieczeństwem: czyżbym zabłądził? W takiej chwili zgubić oddział, dostać s
do niewoli, być uznanym za dezertera! Zatrzymuję wóz. Wysiadam, rozgl
dam się, wyjmuję busolę. Nagle goście na wozie zaczynają krzyczeć, kląć, zł
rzeczyć. „Dlaczego nie jedziesz? Jedź! To dobra droga! Prowadzi prosto d
Tobruku!" Ach, więc to tak? Dobrze żeście mi powiedzieli. Zawracam wozem
jadę z powrotem drogą, skąd przyjechałem, wprost w kierunku na ogień. Sły
szę jak goście na wozie klną, złorzeczą, zeskakują na ziemię. Jadę dalej, widz
skręt w prawo, skręcam. Coś czarnego. Co to? Jakieś groty, namioty? Ah
już wiem, to dowództwo batalionu. Ciężar spada mi z serca, jestem uratowan
wiem gdzie jestem, stąd już mam tylko pięćset metrów do baterii, znam drog
Ale skoro już tu jestem, zajdę, dowiem się jaka sytuacja. Wchodzę do podzi
mi, gdzie się mieści dowództwo baonu. Duża, jasno oświetlona izba. Kilkun
stu oficerów angielskich siedzi za stołem. Z naszych jest kto? Tak, siedzi O
łowski. Podchodzi na moje spotkanie. „Co się dzieje?" pytam. „Idzie jaki
silne natarcie na kompanię „Bi", której dowódca jest tu właśnie na odpraw
dowódców kompanii. Przypuszcza się jednak, że to może Nowozelandczyc
atakują przez pomyłkę naszą pozycję. Choć nasz dowódca plutonu, który ta
jest, porucznik Kapica już dwukrotnie melduje przez telefon, że to na pewn
Niemcy, słyszy niemiecką komendę". „Gdzie Pułkownik?" „Poszedł przej
się po bateriach. Miał być u ciebie, potem miał iść do Kapicy". „Do widz
nia!" „Do widzenia!"

Po chwili jestem z powrotem przy plutonie. Wjeżdżam wozem do dołu
któryśmy dlań wykopali. Nagle spod kół dochodzą mnie krzyki. Co to? Jacy
ludzie. Żołnierze. Anglicy, schowali się tu przed ogniem. Ja jednak muszę t
schować wóz, nie mogę go narażać na zniszczenie. Powoli wjeżdżam w dó
Słyszę przekleństwa, protesty, nic nie szkodzi. Jakoś się mieścimy. Teraz z
czynają z innej beczki, uprzejmie: „*Is't your car?* (To twój wóz?) Jedź z nam
do Tobruku albo daj nam wóz, to sprowadzimy stamtąd czołgi, które t
przyjadą i odpędzą Niemców". Aha, to tak chcecie do Tobruku? „Idźcie d
brytyjskiego dowódcy kompanii, urzęduje stąd pięćdziesiąt metrów, nied
wam da wóz albo po prostu telefon". Nie korzystają z propozycji. Każę ki
rowcy i gońcom pilnować, by wóz w zamieszaniu i ciemnościach nocy n
zginął.

W międzyczasie nadchodzi Pułkownik. Każe mi przypomnieć działonom, że wycofania nie ma. Dobrze.

Jednocześnie zjawia się kapral Serednicki jako goniec od wydzielonego plutonu z meldunkiem, że bombardier Witkowski został ciężko ranny, zaopatrzony i odstawiony na punkt opatrunkowy. Szkoda, dobry żołnierz. Pozostawiam gońcowi wybór stosownej chwili między jedną nawałą ognia a drugą, kiedy ma wracać do plutonu z zawiadomieniem, że wycofania z pozycji nie będzie, obrona do ostatka. Gdy ogień słabnie, kapral Serednicki zrywa się i w tempie stumetrówki biegnie w kierunku swego plutonu. Bez względu na miny i ogień. Woli to od czołgania się. Czy dojdzie?

Pułkownik każe się prowadzić do dowódcy kompanii i telefonuje do dowództwa baonu, do Orłowskiego. Potem bierze z sobą dwóch gońców dyonowych i udaje się tam. Po raz ostatni widzę wtedy pod Belhamedem Pułkownika.

Sierżant Polak z dowództwa dyonu doprowadza działko włoskie, które od rana dla nas montowano. Zgubił w ciemności drogę, ale mimo rady Adiutanta, by zaczekał aż ogień przejdzie, wolał zaraz wykonać zadanie. Dziękuję mu. Działko jakże się przyda. Działonowym zostaje Szef, resztą obsługi będzie goniec i kierowca. Po chwili działo jest już na stanowisku w jakimś rowie. Dwudziestomilimetrowa, szybkostrzelna Breda. Przyda się i na piechotę.

Jest już po godzinie 20-ej. Nagle od strony grobowca szeika słychać dudnienie ziemi, jakby biegli ludzie, tłum ludzi. Co to, kto to, swoi czy Niemcy? Wpatruję się w ciemną noc przede mną. Tak, widać biegnących, biegną jakby bezładna kupa. Swoi czy Niemcy, strzelać czy nie strzelać?! — muszę zaraz, natychmiast mieć odpowiedź! Co robić? Wyskakuję z rowu, biegnę ze 20 metrów na ich spotkanie, staję i wołam: *Stop! Who are you?* Odpowiadają: *Frieds, Bi company.* („Stój! Kim jesteście?" „Swoi z kompanii B"). Są zasapani po forsownym biegu, najbliżsi nie mają broni. Aha, więc to tak. Złość, wściekłość mnie ogarnia. „Gdzie macie karabiny?" — ryczę. — „Gdzie wasza broń?" Nie dostaję odpowiedzi, za to jeden i drugi wyciąga ręce do tyłu, wskazuje na ciemną noc za nimi i pół-mówi, pół-szepce zasapanym głosem: „Niemcy są za nami, tuż, tuż!" Za nimi ciągnie drogą tłum kilkudziesięciu żołnierzy. Czyli cała kompania „Bi" wycofała się. Fatalnie. I że wyszli na nas. Panika jest tak zaraźliwa. A co się stało z Kapicą i działkami naszymi, co były przy tej kompanii? Po chwili mam już odpowiedź. Drogą jedzie charakterystyczny nośnik działka. Zatrzymuję wóz, pytam co się dzieje. Kierowca odpowiada: „Wiozę rannych. Działonowy Organiściak i celowniczy Kłosiński zabici. Pan porucznik Kapica pewnie też. Działka w rękach Niemców, czołgi wjechały wprost na stanowiska". A więc jeden nasz pluton już zniszczony! Rozpacz mnie ogarnia.

Fala wycofujących się przeszła. Teraz choć niepewności nie ma. Przed nami są już tylko Niemcy. Są o siedemset metrów najdalej. Erkaemy, tommy-guny, pistolety, karabiny, działka — na stanowiska. Czekamy. Wpatrujemy się w ciemną noc przed nami. Księżyc wschodzi, widać coraz lepiej. Ale Niemców

nie ma, ogień ustał. Czyżby chcieli nagle ogniem nas zaskoczyć, jak to zrobili uderzając na kompanię „B"?

Mija tak pół godziny. Nagle jakiś dziwny ruch zaczyna się na naszej pozycji. Piechota podnosi się ze stanowisk. Czy się też chce wycofać? Biegnę do dowódcy kompanii. Pytam co się dzieje. Mówią mi, że kompania „Bi" gotuje się do przeciwuderzenia na utracone pozycje, dwa plutony naszej kompanii mają ją wspomóc. Nie wierzę w powodzenie przeciwuderzenia. Jeśli się zaś ono nie uda, co będzie? Trzeba się przygotować na tę ewentualność. Zarządzam zmianę stanowiska działonu kaprala Krótkiego. Przesuwam je między pozostałe dwa działka. W ten sposób wszystkie trzy działka znajdują się blisko siebie. Będą się lepiej wspierać. Będę mógł nimi głosem dowodzić. Z naszą bronią maszynową i karabinami ppanc. będziemy nawet sami zdolni do obrony przed piechotą.

W pewnej chwili słyszę w ciemnościach obok siebie znajomy głos.

— Kto to? Czyżby sierżant Rosinski? Wrócił pan?

— Tak, panie poruczniku, tylko co wróciłem. Meldunek panu generałowi do rąk oddałem, a tu oto rozkaz dla pana pułkownika — wtyka mi kopertę. — Miałem kłopot z powrotem, noc ciemna, wjechałem do rowu, złamałem resor. Wróciłem nie sam, przyprowadziłem baterię pana kapitana Rożańskiego.

— Co? gdzie?

— Tu, stoi pół kilometra z tyłu. Bateria wyjechała z Tobruku przede mną z jakąś kolumną zaopatrzenia angielską. Niedaleko stąd byli, gdy zaczęła się bitwa. Dowódca kolumny zawrócił do Tobruku. Pan kapitan z baterią nie zawrócił, chciał dołączyć do dywizjonu. Wtedy ja nadjechałem. Pan kapitan bardzo się uradował, powiedział, że skoro już tu w dzień byłem, to potrafię poprowadzić. No i szczęśliwie doprowadziłem. Ale bardzo się bałem, żeby nie wyprowadzić na Niemców.

— Świetnie się pan spisał, sierżancie, dziękuję.

Istotnie, dzielny wąsal. Co za szczęśliwe wydarzenie. Zupełnie zapomniałem, że bateria 2-a miała dziś wieczór do nas dołączyć. Cztery działa i broń maszynowa jakżeż są potrzebne. Dowódcę znam doskonale jeszcze z Francji. Wiem że jest dzielny, mam pewność, że dzisiejszej nocy nie zawiedzie. Ostatnie godziny czułem się osamotniony w dowodzeniu. Porucznik Kapica podobno zabity, ktoś tu przed chwilą przyniósł wiadomość, że kapitan Kania podobno w niewoli. Pułkownika od dwu godzin już nie widziałem, Orłowskiego również.

Po chwili już informuję kapitana Rożańskiego o położeniu. Wobec nieobecności Pułkownika on obejmuje dowództwo, jako najstarszy. Działka jego stoją już na tymczasowych stanowiskach w drugiej linii za moimi. Nie odpowiada mi to, gdyż grozi, że w razie natarcia Niemców mogę być z łatwością w nocy wzięty w dwa ognie: npla i własny. Trzeba się porozumieć z piechotą, by ulokować inaczej działka nowoprzybyłej baterii. Z tym porozumieniem z piechotą mamy teraz w nocy największy kłopot. Cały dzień współpracowałem z jednym i tym samym kapitanem angielskim, dowódcą kompanii „Di". Tera

w poświacie księżyca, który wszeszedł nad Gambutem, dwoi on się i troi, raz jest niższy, raz wyższy, i co z nim mówię, to inaczej ocenia sytuację i wydaje inne rozkazy. Nie rozumiem co się dzieje, sprawdzam pypsy (popularna nazwa angielskich odznak oficerskich) na naramiennikach, tak, to jest kapitan angielski. Dopiero po pewnym czasie orientuję się, że prócz mego dowódcy kompanii „Di" działa na naszym odcinku i dowódca wycofanej kompanii „Bi" oraz zastępca dowódcy baonu. Pamięć twarzy była zawsze moją słabą stroną, angielszczyzna również. No i noc. Brak oficera łącznikowego daje nam się mocno we znaki. Adiutant ppor. Gruszczyński wstępuje w jego funkcje. Kapitan Rożański nie chce zmieniać stanowisk, póki nie będzie miał definitywnej decyzji z batalionu. Ppor. Gruszczyński biega od kapitanów do baonu i z powrotem. (Jest przedsiębiorczy na szczęście, w cywilu był handlowcem). Wreszcie około północy ta decyzja przychodzi. Kapitan Rożański zostawi jedno działko na moim odcinku, zaś przy pomocy trzech pozostałych osłoni dowództwo batalionu z kierunku luki powstałej wskutek wycofania kompanii „Bi".

Tak mija reszta nocy: wykańczamy stanowiska, zmieniając ich front; jesteśmy cały czas w pogotowiu. Spać nie można. Niemcy uderzą, czy nie, zachęceni pierwszym sukcesem? Ale Niemcy nie uderzają. Wreszcie zaczyna świtać.

W DZIEŃ DESZCZOWY I PONURY

Dzień 2 grudnia zaczyna się smutno. Ani śladu słońca. Szara chmura zawisła nad pustynią, deszcz mży. Widoczność słaba. Jesteśmy wszyscy bardzo zmęczeni, prawie dwie noce bez snu mamy za sobą. Aby choć gorącą herbatą ogrzać żołądek — mowy nie ma. Z lornetkami przy oczach staramy się wzrokiem przebijać mgłę i szarość świtania. Dostrzec Niemców. Gdzie są, skąd zagrażają. Ta sytuacja, że niemiecki oddział znajduje się o paręset metrów od naszego batalionu, nie może trwać dłużej. Najbliższe godziny, o ile nie kwadranse, muszą przynieść decyzję. Albo angielski batalion i polski dywizjon staną się bezładną kupą trupów i jeńców, albo niemiecki oddział ten los spotka.

Co to? Co słychać? Jakiś głuchy szum miesza się z pluskiem wody spadającej na bodziaki pustynne. Łoskot, warkot. Tak, słychać wyraźnie. Znam dobrze ten huk, wiem co oznacza. To samo co we wrześniu, to samo co w Bretanii i Wandei: czołgi, czołgi niemieckie. Oglądam się na działony. Oni też usłyszeli i zrozumieli. Oni też wypatrują, usiłują wzrokiem przebić brzask i mgłę. Ładowniczy trzyma w ręku gotowy drugi nabój. Pierwszy jest już w lufie. Wystarczy, by celowniczy pociągnął spust.

Głuchy huk motorów wciąż słychać. Ale nic nie widać. O Boże, żeby wreszcie już wyszły, żeby skończyło się to czekanie, ta niepewność. Niech się wreszcie coś dzieje. Niech rozpocznie się znów choćby ulewa ognia. Gdy zaczniemy strzelać, będzie nam raźniej. Lepsze to niż to czekanie.

I nagle, na prawym skrzydle, tam gdzie winny stać działka kapitana Kani

słychać strzały. Krótkie serie erkaemów. Z naprzeciwka odpowiada im płynny, dźwięczny terkot, jakże znany z Tobruku. To *Spandau'y* (niemiecki typ karabinu maszynowego). Strzelanie na wojnie jest zaraźliwe. Już grzechot broni maszynowej przechodzi w środek pozycji, tam gdzie są ukryte działka kapitana Rożańskiego. I już nie mija sekunda — i nasza pozycja wybucha huraganem ognia. Wokół mnie, na skupionych w nocy stanowiskach, ze dwadzieścia karabinów maszynowych wydaje przeraźliwy grzechot, trzask, dym, huk. Najgłośniej trzaska erkaem Wicka, lufa jest o metr od mej głowy. A teraz co to, nagle słychać huk po huku, krótkie serie ale tak głośne, że już i erkaem Wicka wydaje się wobec nich szeptem. To Szef otworzył ogień z automatycznego działka włoskiego. Wali serie po dwanaście naboi, głowa pęka od tego huku. I otucha wstępuje w serce. Ależ jesteśmy silni! Jakżeż potężny otworzyliśmy ogień! Chyba silniejszy jak ten, którym bili w nas wieczorem Niemcy. Dziś wiemy gdzie oni są, gdzie strzelać. Niech cała dywizja tu przyjdzie, a się nie damy! I naraz jak ogień naglę się zerwał, tak teraz zamiera. Próba generalna się udała. Ależ zrobiliśmy Niemcom pobudkę. Pokazaliśmy im kim jesteśmy. Niech się dwa razy zastanowią, nim rozpoczną natarcie. A co ważniejsza, samiśmy sprawdzili nasze siły. Jak od wczorajszego wieczora zwątpienie wkradało się w nasze serca, tak teraz wstępuje w nie otucha, nadzieja, pewność siebie, poczucie mocy swego ognia.

I potem wszystko mi się kłębi we wspomnieniach pierwszej godziny tego ranka.

Nieprzyjaciel został przykuty do ziemi. Nasz huraganowy ogień powoli milknie, zamiera — trzeba oszczędzać amunicję. Tylko od czasu do czasu słychać pojedyncze serie, krótkie i pojedyncze strzały. To polowanie na upatrzonego zwierza. Jak na strzelnicy bojowej na siedemset metrów. Teraz, gdy mgła coraz więcej opada, gdy słońce coraz jaśniej świeci, coraz lepiej widzimy Niemców. O, tam hełm prześwieca zza krzaka, tam nogi widać na tle świeżo rozkopanej ziemi, tam trzy główki obok siebie, jakie widziało się zawsze na strzelnicy — cekaem oczywiście. A tam co, coś większego, ciemnego?... Ależ tak, działko przeciwpancerne! I teraz w dzień stwierdzamy przewagę naszą nad Niemcami: zająwszy w nocy stanowiska nie mogli wybrać ich należycie, wykorzystać terenu, wiele stanowisk jest za płytkich, wiele niezamaskowanych. I zaczyna się polowanie na źle okopanych Niemców. (Potem dowiedziałem się, że grupka Niemców leżała o 400 metrów od naszej 1-szej baterii — kapitan Kania trzech z nich ustrzelił ze zwykłego karabinu.

Nagle przed nami huk wstrząsa powietrzem. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Co się dzieje? Widzę dym, jeden, drugi, trzeci. To nasze działka przeciwpancerne otworzyły ogień. Bateria druga i pierwsza. Patrzę na obsługi działek koło mnie. Znieruchomiały, zastygły w oczekiwaniu, jak zwierz czający się do skoku. Zaraz zacznie się walka o życie. I po kilku sekundach już widzimy, jak ciemne, wielkie potwory wysuwają się zza górki, ze sterczących z wieżyczek luf strzelają świetlnymi pociskami w stronę naszej pozycji. Huk wielki, mają jakieś duże działa. Na szczęście nie jadą szybko. Posuwają się powoli,

ostrożnie. Pewnie boją się min. Pewnie chcą rozpoznać, gdzie są ukryte nasze działka. Jedzie czołg jeden, drugi, trzeci. Jest ich z dziesięć. Dzieli je od nas tysiąc metrów. Jednocześnie widzimy, jak piechota niemiecka podrywa się do ataku. Nie można ryzykować puścić jej bliżej, działka 2-ej baterii to gruchoty włoskie, o niepewnych, sztukowanych celownikach. Otwieramy z działek ogień do czołgów, jednocześnie wszystkie erkaemy pozycji zaczynają grać. A naprzeciw nas coraz więcej Niemców podrywa się z ukrytych dotychczas stanowisk i biegnie. Czołgi jakby podpędzały piechotę naprzód. A my strzelamy, strzela kto może, kto ma z czego. Jednak fala czołgów i piechoty przybliża się do nas nieustannie. Czyżbyśmy źle strzelali? Co to, jeden czołg nagle i szybko skręca, zawraca i odjeżdża do tyłu. Za nim zawracają inne. I żołnierze padli na ziemię, podrywają się znowu, ale już nie biegną do nas, ale uskakują do tyłu. Czołgi odjeżdżają szybko, bardzo szybko, z wyjątkiem jednego, który już nie ruszy z miejsca. Natarcie się załamało. Czołgi zatrzymały się i manewrują o jakieś dwa kilometry od nas. Piechota niemiecka czołga się, aby wrócić do swych dawnych stanowisk.

Dalej prowadzimy ogień. Dopiero teraz dostrzegam, że z wysokiej skarpy Sidi Rezegh słychać grzechot broni maszynowej. To Nowozelandczycy wspierają nas stamtąd ogniem, z flanki, z góry rażą Niemców.

„CZOŁGI Z TYŁU!"

„Czołgi z tyłu!" — woła nagle obserwator. Istotnie, od zachodu widać we mgle poranku na horyzoncie pięć burych mas. Chyba czołgi. Tak, widać coraz wyraźniej. Czołgi, na pewno. I zaraz nowy niepokój wstępuje w serce i pytanie: czyje? Zapominam o batalionie niemieckim, o tym co się dzieje przede mną i z lornetką przyciśniętą do oczu staram się dojrzeć na czołgach które się pojawiły z tyłu rozpoznawcze znaki własnej broni pancernej, na dzień dzisiejszy przewidziane kodem: dwie chorągiewki u szczytu masztu radiostacji. Ale nie mogę ich dojrzeć, czołgi są za daleko, będą od nas o 7 kilometrów. A teraz co tam wyjeżdża zza fałdy terenu? Jakby kretowina się ruszała na horyzoncie dalekim, jedna, druga, trzecia! Zbliżają się, rosną. Wozy. Chyba też czołgi. Tak, widać już wieżyczki. Jest ich też pięć. Jadą w ślad za pierwszymi. Mniej więcej w naszym kierunku, tylko nieco bardziej na północ.

— O, panie poruczniku, rakieta. — Oglądam się. To czołgi niemieckie przed nami wypuściły rakietę zieloną. Komu dają znaki? „O, druga rakieta" — melduje obserwator przeciwnego kierunku. Rzeczywiście, jeden z czołgów, które ukazały się z tyłu, wypuścił rakietę zieloną również. Jakieś bardzo nieprzyjemne uczucie opanowuje mnie. Aha, więc teraz może być koniec zabawy: wezmą nas z dwu stron naraz. I zaraz wydaję rozkazy: Dwa działony — „czołgi z tyłu!" Wszystkie cztery działony: „Pogotowie do zwalczania czołgów z przodu i z tyłu!"

Rozkaz w mgnieniu oka wykonany, dwa działka obrócone o 180 stopni, już słyszę w dwu działonach obliczanie odległości do czołgów z tyłu. Ale czuję,

że działony nie czują się swojo. Tak mija z kwadrans, pół godziny. Cztery czołgi niemieckie z przodu zbliżyły się do nas i w odległości półtora kilometra manewrują ostrożnie po przedpolu. Jednocześnie czołgi z tyłu również wolno i przystając nadjeżdżają w naszym kierunku. Są już o jakie 5 kilometrów. Czołgamy się do punktu obserwacyjnego dowódcy kompanii. Sygnalizowano mu nasze czołgi od zachodu? Nie. Co robić? Gdyby wiedzieć że to niemieckie, byłby jeszcze czas ściągnąć tu działka z pozycji kompanii „C", które inaczej bezczynnie przyglądać się będą, jeśli nasze stanowiska rozjeżdżać będą czołgi wroga. Za wszelką cenę muszę jak najwcześniej rozpoznać te nieznane czołgi! I nagle rozwiązanie przychodzi mi do głowy. „Szefie, proszę objąć dowództwo, pojadę rozpoznać te czołgi". Biorę granat przeciwczołgowy i biegnę kilkaset metrów do tyłu, tam gdzie za fałdą terenu stoją wozy dywizjonu. W jakimś dole leży kierowca. „Zawieziecie mnie?" — wołam. „Już jadę!" — odpowiada. „Dokąd?" „Do tych czołgów". Po chwili kierowca już wali pełnym gazem przez pustynię. Po paru minutach czołgi są od nas już tylko o dwa kilometry. Stop. Lornetka do oczu. Tak, na maszcie dwu czołgów widać chorągiewki. I z boku mają prostokątne otwory: „Walentyny". Ciężar spada mi z serca, wołam do kierowcy: „Nasze, prędko do nich!" Czołgi widocznie zobaczyły wóz, gdyż skręcają i jadą prosto na nas. Po chwili jesteśmy obok nich. Wyskakuję z wozu i podbiegam do pierwszego z czołgów, w którym przez podniesioną klapę w wieżyczce wygląda człowiek. Twarz czerwona, wąsik rude zakręcone w górę nie pozostawiają wątpliwości co do narodowości właściciela. Ma odznaki majora, czarny beret. Podbiegam uradowany, jakby to był ktoś dobrze znany, bliski. Witamy się. „Co pan tu robi?" — pytam „A pan co?" Wyjaśniam sytuację batalionu w kilku słowach, pytam jakie ma zamiary. Major znalazł się tu ze swą kompanią czołgów przypadkiem, wyjechał o świcie z Tobruku dla spatrolowania pustyni, posłyszał odgłosy bitwy więc jechał na huk dział. „No dobrze, ale nie odjedzie pan stąd?" — pytam Proponuję, by natarł na Niemców wraz z nami, na kartce szkicuję pozycje własne i nieprzyjaciela, gdzie niemiecka piechota, gdzie czołgi, gdzie nasze pepance, gdzie pola minowe. Major komunikuje się ze swym dowództwem Słyszę jak nadaje meldunek, gdzie się znajduje i że wszedł w kontakt „z przedstawicielem perymetru obrony". Nie mogę czekać dłużej, muszę wracać. Przed odjazdem proszę, by w każdym razie nie odjeżdżał nie zostawiwszy kilku czołgów dla osłony pozycji batalionu od tyłu. Ponieważ widzę, że od rozmowy naszej może dużo zależeć, podaję swe nazwisko i proszę nawzajem majora o podanie swego. Słyszę odpowiedź: major Prichard. Zapisuję nazwisko w notatniku i wracam do swoich. W jakiś czas potem, Kazimierz Grzybowski, docent U. J. K. i mój kolega z Libii spotkał niedawno w Bagdadzie majora Prichard i przy drinku zgadali się na temat tego epizodu. Świat jest mały.

Sytuacja niezmieniona, obie strony prowadzą ogień. Czołgi manewrują z piechotą, półtora kilometra od nas. Są ostrożne, boją się podejść bliżej. Czołgi majora Pricharda zatrzymały się z tyłu o 3 kilometry od nas.

Około godziny 10-ej czołgi majora Pricharda jadą w kierunku naszej po

zycji. Kierują się wprost na nas. Czyżby się zdecydowały na uderzenie? Gdy są o 20 metrów od mego schronu, wybiegam im na spotkanie — jeszcze wjadą na pole minowe przed nami. Z pierwszego czołgu wychyla się kapitan w czarnym berecie. „Jestem zastępcą majora Pricharda. Uderzamy zaraz na Niemców. Proszę o wskazanie przejścia przez pole minowe". Hurra! Sam poprowadzę. W jednej chwili jestem na szczycie czołgu. Jedziemy. Łoskot, szum, huk. Obsługi działek już zrozumiały, co będzie. Już kilku chłopaków biegnie w stronę pola minowego i na przestrzeni kilku metrów wyciąga miny z ziemi, odkłada ostrożnie na bok. Nim ciężki dwudziestotonowy czołg dojechał do pola minowego, już droga jest wolna. Przejeżdżam pole minowe. Za naszym pierwszym czołgiem jadą dalsze dziewięć, w odstępach kilkudziesięciu metrów. Cudowne uczucie. Czyż to nie sen? Wreszcie po dwu latach wojny zobaczyć na polu bitwy nie czołgi niemieckie, ale własne, duże, wielkie, ogromne. I jechać na zgrzytającym, trzęsącym, huczącym czołgu na pozycje niemieckie. Jakaś niewypowiedziana radość rozpiera mi piersi, jakieś rozkoszne uczucie zemsty, nie jakieś wielkie uczucie zemsty narodowej, ale takie małe uczucie zemsty żołnierza, który wreszcie dorwał się po latach do lepszej, wspanialszej broni, aniżeli ma w tej chwili jego przeciwnik. Patrzę ze szczytu czołgu na mych żołnierzy, co uprzątnęli miny, dostrzegam na ich twarzach uczucie zazdrości — żeby na tych czołgach chcieli pojechać na Niemców. Widok własnych, jadących do ataku czołgów to samo uczynił na nich wrażenie. To mi przypomina obowiązek — muszę pozostać przy baterii. Ostatni raz wskazuję kapitanowi w czołgu pozycje niemieckie. W biegu zeskakuję z czołgu. Przejeżdża koło mnie z chrzęstem i łomotem reszta potworów. Taki huk, że nawet strzelaniny nie słyszę.

I BATALION NIEMIECKI BĘDZIE ZNISZCZONY

I teraz następuje niezapomniany widok. Pierwsze pięć czołgów skręca w prawo i kieruje się na flankę pozycji niemieckiej. Czołgi niemieckie szybko wycofują się do tyłu — są słabsze, nie czują się na siłach podjąć walki z czołgami brytyjskimi. Druga piątka czołgów brytyjskich idzie za nimi w pościg. Piechota niemiecka nie otwiera ognia do czołgów, które wyjeżdżają na jej flankę — widocznie jej działka przeciwpancerne zostały już zniszczone naszym ogniem. Pierwsza linia piechoty niemieckiej podnosi się ze swych stanowisk. Nie strzela. Nie podnosi rąk do góry, jak się zwykło widzieć w filmach wojennych. Po prostu wstała. Dwustu Niemców stoi na polu spokojnie i czeka nadejścia czołgów brytyjskich. Tak, poddają się. Po raz pierwszy widzę tak spokojne poddanie się tak dużej ilości żołnierzy niemieckich. I wtedy w dniu 2 grudnia 1941 pryska w mych oczach raz na zawsze mit nadżołnierza niemieckiego. Ale tam, za nimi, co się dzieje? Kilka setek żołnierzy niemieckich też powstało z ziemi, ale nie stoją w miejscu, tylko biegną do tyłu. Szereg samochodów wyjeżdża z ukrycia i odjeżdża szybko do tyłu. Aha, to

druga linia rezygnuje z walki, ale ucieka przed niewolą. Czołgi brytyjskie już to widzą. I już ogniem z cekaemów sieką po uciekających. Nowozelandczycy z góry też walą do nich. Ogień prowadzony z czołgów stojących w miejscu jest nawet dość celny. Coraz to jakiś wóz się zatrzyma, coraz to któryś z uciekających pada na ziemię, by już nie powstać. Ale jednocześnie patrole nasze i piechoty angielskiej udają się na przedpole, by zafasować te dwie setki Niemców pierwszej linii, które się poddały czołgom.

Po godzinie pierwsze czołgi brytyjskie wracają przez nasze pozycje. Zrezygnowały z pościgu za czołgami niemieckimi, boją się pewnie dać się wciągnąć w zasadzkę, tym bardziej że deszcz znów zaczyna padać i całun mgły przykrywa powoli pustynię. Ostatnie dwa czołgi wjeżdżając w pozycję myją drogę, zjeżdżają w bok i po chwili już wybuchają pod nimi miny. Ale czołgi są sline, miny słabe, urywają im tylko gąsienice. Ale jest jeden ranny. Nagle przelatują nam nad głowami pociski świetlne. To czołgi niemieckie korzystając z mgły podjechały niepostrzeżenie na odległość półtora kilometra i stamtąd otworzyły ogień. Po chwili znów chowają się we mgle i deszczu. Czy nie wrócą jeszcze? Z punktu widzenia obrony przeciwpancernej mego odcinka uznaję za pomyślne wydarzenie unieruchomienie tych dwu czołgów koło nas — przybyły nam dwa opancerzone działka i karabiny maszynowe.

Deszcz mży coraz większy, mgła opada coraz gęstsza. Siedzę w rowie przykryty płachtą z samochodu. Nie spałem prawie dwie doby — ale nawet już nie czuję zmęczenia. Nie jadłem już blisko dobę — ale nie czuję głodu. Nerwy zbyt napięte teraz się powoli rozluźniają w jakiś błogostan. Jak dobrze, jak wygodnie, jak przyjemnie jest tak siedzieć w rowie, mieć spokój i nie myśleć wreszcie o niczym. A tylko w podświadomości zdawać sobie powoli sprawę, że to nie nasz dywizjon zamienił się w trupy i jeńców, ale Niemców ten los spotkał. Że my jesteśmy żywi, tylko jeden biedny Witkowski ciężko ranny. Że ostaliśmy się przy działkach i stanowiskach, a mógł nas tak łatwo był spotkać los plutonu 1-ej baterii. Zaczynam drzemać. Śpię. Ktoś mnie budzi. Zrywam się — co, znowu Niemcy? „Panie poruczniku, pan major ze sztabu przyjechał, szuka pana porucznika". I już po chwili energiczny, rumiany na twarzy oficer operacyjny brygady ściska mi mocno dłoń. „To pan żyje?" — mówi — „do Tobruku przyszła wiadomość, że pan zginął". „Świetnie się czuję" — odpowiadam — tylko los pana pułkownika mnie martwi, poruczników Orłowskiego i Kapicy od wczoraj wieczór nie widziałem, nikt o nich nie wie w baonie, obawiam się że albo nie żyją albo są w niewoli". „Niech się pan przestanie martwić, wszyscy żyją" — odpowiada major — „zbłądzili wczoraj, natrafili na brytyjski działon plot., który ich ostrzelał, pułkownik został lekko ranny, jest w szpitalu w Tobruku". „Więc muszę wam pogratulować" — mówi dalej — „przejęliśmy rano depesze, w których Niemcy skarżyli się na silny opór, który napotkali pod Belhamedem i prosili o wsparcie. Spełniliście więc swoje zadanie. Uniemożliwiliście wycofanie tędy nieprzyjaciela ze wschodniego odcinka Tobruku". Z majorem przyjechał kpt. Jurczyński objąć funkcje dowódcy dyonu. Major częstuje mnie jakimś alkoholem

z manierki i obiecuje, że zaraz po powrocie do Tobruku poleci kwatermistrzowi przysłać nam zaległy prowiant.

Major jedzie do dowództwa baonu. Po godzinie otrzymuję nowe rozkazy. Kompania „Bi" powróci na swe stanowiska opuszczone wczoraj. Ja z dwoma działkami zajmę stanowiska zniszczonych działonów 1-ej baterii. Niezadługo oba działka są ściągnięte ze stanowisk, umieszczone na wozach. Odjazd. Zajeżdżamy na miejsce, gdzie wczoraj wieczorem i dziś rano toczył się najgorętszy bój. Ze wzruszeniem i ciekawością zbliżam się do stanowiska pierwszego działka. Działko stoi samotnie, lufa zwrócona jeszcze w kierunku, skąd zaatakowali Niemcy. Ogon działka zgięty — widać ślady czołgu, który po nim przeszedł, nadjechawszy z boku. A tam wprost przed działkiem widać ślady drugiego czołgu. Jechał wprost na działko i w odległości trzech metrów dopiero się zatrzymał — widocznie pierwszy czołg tymczasem już wjeżdżał na stanowisko. Obok działka leży martwy żołnierz. Twarz ma pokrytą zakrzepłą krwią. Na naramiennikach odznaki podchorążego. To działonowy podchorąży Organiściak. W milczeniu salutujemy. Obok działka leżą wystrzelone łuski naboi. Ile ich jest? Liczę. Dwadzieścia dwie. Czuję się dumny. Dumny z tego żołnierza, co tu w zakrzepłej krwi leży, dumny z tego działonu. Walczył do ostatka. Było ich czterech w działonie. Jeden poległ, dwu rannych, tylko jeden cały został. Gdy piechota się wycofała, gdy czołgi wjechały na stanowisko, dopiero wtedy zaprzestał walki.

Idę do drugiego działka. Też ślady czołgów co wjechały na stanowisko. Też dwadzieścia parę wystrzelonych łusek. Gdzie celowniczy kapral Kłosiński? Leży martwy opodal, głowę ma obandażowaną. Ciężko rannego opatrzyli Niemcy. I im musiał zaimponować żołnierz, co walczył do ostatka. W tym działonie też dwu było rannych, tylko jeden zdrów się ostał, pomógł wycofać się rannym.

O kilkanaście kroków od polskiego działka leży martwy żołnierz angielski. Głowa mu opadła bezwładnie na lufę erkaemu, dłoń kurczowo ściska spust, wystrzelał naboje z magazynku do ostatka. Do końca spełniał swój obowiązek. Salutujemy w milczeniu. „Weźcie ten erkaem" — mówię do towarzyszących mi żołnierzy — „niech pozostanie w baterii, będziemy się starali opiekować nim godnie". Idziemy dalej. Pobojowisko pokryte trupami żołnierzy niemieckich. Twarze wykrzywione w przedśmiertnych skurczach, pokryte soplami krwi, włosy jasne, twarze młode. Oto młodzież niemiecka, której Hitler obiecał panowanie nad światem — a dał śmierć. Rommel rozgrzewał ją mirażami rozkoszy miast wschodu, a żuki pustynne jutro toczyć będą te młode ciała. I wpatrując się w te twarze, doznaję uczucia dziwnej przyjemności, niemal fizycznej rozkoszy: jednego mniej, jeszcze jednego mniej. Opodal stoją pogruchotane wozy. Widać na nich wymalowane wiązanki smukłych białych palm — znak Afrika Korps. I czołgi szare z białymi krzyżami. Tu jeden, tam drugi, tam dalej trzeci, tyle że aż trudno się doliczyć. Będzie ich ze dwadzieścia. Zniszczone przed czterema dniami, gdy rozpoczęła się bitwa o „korytarz", zniszczone w nocy przez pluton 1-ej baterii

i ten z rana. Kierowca tego ostatniego otworzył klapę obserwacyjną. Wspaniale celny pocisk wleciał tym otworem do środka, zabił kierowcę, który martwy zwisa jeszcze nad kierownicą. Czołg nieuszkodzony, będzie go można użyć. Aż pod skarpę Sidi Rezegh rozciąga się dolina śmierci niemieckich czołgów. Rozumiem, dlaczego rano czołgi niemieckie nacierały na nas tak ostrożnie.

Alarm! Zza fałdy pustynnej terenu wychodzi szereg postaci. Już żołnierze przypadli do erkaemów. Ale nie, to nie jest oddział walczący. Idą, wloką się raczej bezładną kupą, na lufach wyciągniętych w górę karabinów powiewają na wietrze wieczoru białe szmaty. Przychodzą się poddać. Niemcy, pewnie żołnierze rozbitego batalionu, co zdołali uciec. Mają dość głodu, zmęczenia. To już nie są ci wspaniali żołnierze, co wjeżdżali w tryumfie do Kopenhagi, Oslo, Paryża, Bukaresztu. To są po prostu ludzie, którzy chcą już tylko pić, jeść i spać. Gdy mieli do wyboru między jeszcze jedną nocą wśród zimnych skał pustyni a nadzieją na kubek gorącej herbaty i angielskiego bifa — wybrali to drugie.

Potem się dowiedziałem, że batalion rozbity w dniu 2 grudnia 1941 pod Belhamedem wchodził w skład 90 lekkiej dywizji niemieckiej, jednej z najlepszych wielkich jednostek Afrika Korps. 90 lekka dywizja niemiecka walczyła do końca w Tunisie i poddała się wreszcie starym znajomym spod Sidi Rezegh i Belhamedu — Nowozelandczykom.

Powoli mrok zapada. Jest coraz ciemniej. Niezadługo znów wzejdzie księżyc nad Gambutem. Co nam tej nocy przyniesie?

(„Nowa Polska", Londyn, lipiec 1943).

JAN DOBRACZYŃSKI

EL-ALAMAIN

(FRAGMENT POWIEŚCI „NAJEŹDZCY")

Noc była ciepła i pogodna, lecz ciszę pustyni płoszył nieustanny przerażający w swym natężeniu, wciąż jednako brzmiący łoskot dział. Dziewiąty już dzień i dziesiątą noc grzmiały bez przerwy armaty angielskie, kierując ogień na pozycje wojsk niemieckich i włoskich pod El-Alamain. Z czymś podobnym jeszcze się w tej wojnie nie spotkali. Pamiętali koncentrację ognia artylerii na froncie zachodnim — ale rozpętane wówczas piekło ognia trwało przeważnie niedługo. Poparty działami atak szedł naprzód, kanonada cichła, zbliżało się zwycięstwo. Tutaj było inaczej. Wróg nie atakował, ale zgrupowawszy jakąś przerażającą liczbę dział na niewielkim odcinku pustyni bił bez wytchnienia w pozycje Rommla. Ani na chwilę strzelanina nie słabła. Z dala nad pozycjami niemieckimi unosiła się chmura dymu i krwawy opar, który świecił nocami niby łuna nad gorejącym neonami miastem. Nie mieli pojęcia, co się tam dzieje na północy. Tutaj nie mąciło nic ich spokoju. Posterunki angielskie na pobliskich pagórkach zdawały się spać smacznie bez myśli o ofensywie. Od słonej pustyni wiatr nie przynosił żadnych dźwięków. Pasmo wzgórza Kattary pławiło się jak dawniej — w dzień w promieniach jaskrawego słońca, nocą w gwiezdnej poświacie.

Mimo to ta potworna strzelanina oddalona od nich zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów nie pozwalała im zanurzyć się znowu w atmosferę cichego spokoju, w jakim trwali od czasu podejścia pod Aleksandrię. Dowódca prawego skrzydła generał Bernard Ramcke — opanowany, o żelaznych nerwach oficer — chodził niespokojnie po obozie, wzywając stacje radiowe do nawiązania kontaktu z komendą główną. Kontaktu tego jednak otrzymać nie mogli. Początkowo, gdy go jeszcze mieli, zakomunikowano im o rozpoczęciu ofensywy angielskiej, o stratach Anglików, którzy utknęli na polach minowych, o sukcesach armii niemieckiej na Kaukazie... Potem został do Ramckego przysłany major Herbert Köstring, łącznik lotniczy przy sztabie armii. Herbert jednak także niewiele mógł powiedzieć o sytuacji. „Wściekłe bombardowanie — określił stan istniejący — Tommy's mają ogromną przewagę w powietrzu, a już

co do artylerii, to chyba tam stoi działo na każdych czterech metrach frontu..." Mniej oficjalnie zakomunikował Köstring generałowi, że Anglicy stosują jakąś nową metodę odkopywania min, co pozwala ich pionierom bardzo szybko wiercić dziury w polach minowych i że oddziały niemieckie, składające się z Polaków zwerbowanych na terenach Warthegau — nagle, znalazłszy się w pierwszej linii — przeszły z bronią w ręku do nieprzyjaciela. „Było to do przewidzenia — mruczał Ramcke — mówiłem „staremu", że nie można im ufać. To żadni żołnierze". „Obawiam się panie generale, że to wcale nieźli żołnierze. Tylko nie nasi..." — „Eh! Mniejsza z tym zresztą! Nie ma obawy, abyśmy się mieli cofać?" — „Pan marszałek kazał zapewnić pana generała, że zrobi wszystko, aby utrzymać pozycję". — „To w porządku. Rommel nie obiecuje tego, czego nie mógłby dotrzymać".

Potem kontakt radiowy zaczął zawodzić. Coś tam jeszcze nadpłynęło o przewadze wroga, o zawziętych atakach, o konieczności trwania na posterunku. Na pociechę wspomniano o zajęciu Nalczyku. Przed dwoma dniami jednak radio w ogóle zamilkło. Równocześnie ustał wszelki dowóz, co było zjawiskiem niepokojącym, bo jeśli nawet amunicji i żywności mieli zapas wystarczający na czas dość długi, o tyle woda wystarczyć mogła tylko na parę dni. A już dwa dni minęły...

Ramcke paląc papierosa obserwował krwawą łunę na horyzoncie. Jednostajne dudnienie dział trzymało na uwięzi uwagę skupionych wokół niego oficerów. W sąsiedztwie pod namiotem dwóch podoficerów siliło się nad uzyskaniem połączenia radiowego z dowództwem.

— Na ile czasu ma pan jeszcze wody? — zwrócił się generał do kwatermistrza.

— Na trzy dni, przy normalnym rozdziale.

— Psia krew! — Ramcke zaklął przez zęby — coś się musi przecież wyjaśnić.

Pułkownik włoski zwrócił się do generała z prośbą, aby przy rozdziale wody nie umniejszać porcji żołnierzom włoskim.

— Jakto, panie pułkowniku? Czy ja krzywdzę pańskich żołnierzy? Jeśli będę zmniejszać porcje, to je zmniejszę wszystkim, nie wyłączając pana i siebie.

— Jeżeli wszystkim, to tak, naturalnie... Ale czasami mówi się, że zadania powierzane żołnierzom niemieckim są cięższe i dlatego... Mam później kłopot z moimi chłopcami. Pan generał rozumie...

— Nic, a nic! — generał parsknął gniewnie.

Zamilkli, wsłuchując się w daleki huk.

— Ależ biją... — ktoś mruknął.

— Mieli się czas przygotować.

— Kto tam teraz dowodzi? Po Wavellu, Ritchiem i Auchinlecku — Montgomerry?

— Montgomerry.

— I jemu da „stary" radę.

— Na pewno. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to Kommla wezwą na front rosyjski. Od razu przyśpieszy ofensywę.

— I bez niego idzie ona naprzód.

— Ale jak wolno.

Nagle spod namiotu wyskoczył podoficer i podbiegł do generała. Na krótkiej, prawie okrągłej twarzy telegrafisty widać było zaaferowanie. Musiał być wstrząśnięty nowiną, którą przyniósł.

— Panie generale — łączność nawiązana. Oto komunikat i rozkaz.

Podał kartkę. Ramcke pochylił się nad nią, ale choć było bardzo jasno, w poświacie gwiezdnej nie mógł treści odczytać. Któryś z oficerów zapalił latarkę.

— Już widzę... dziękuję... aha... Co? — teraz w głosie generała było zdumienie, nawet lekki niepokój — przeczytam panom. Uwaga: „Nieprzyjacielowi udało się wtargnąć w nasze linie i zająć Sidi Abderakman..." — ba, to głęboko. Cóż dalej: „Poległ generał Stumme. Zaginął, a prawdopodobnie dostał się do niewoli generał Thoma... Zarządzam zajęcie nowych pozycyj w rejonie Fuca. Oddziałom generała Ramcke rozkazuję natychmiast zerwać łączność z nieprzyjacielem, a nawiązać ją z wojskami własnymi w rejonie wyżej wymienionym..."

Gdy generał skończył czytać, oficerowie w milczeniu popatrzyli po sobie.

— Coś nowego — rzekł w końcu Herbert. — Ale myślę, że marszałek Rommel nas zadziwi jakimś znakomitym manewrem.

— Na pewno „stary" odskakuje do tyłu, by mieć możność uderzenia. On chce bitwy w miejscu przez siebie upatrzonym. Przecież to znawca Clausewitza.

— Dosyć, nie gadajcie tyle, moi panowie, bo ja chcę teraz coś powiedzieć. — Generał mówił sucho jak dowódca. — Zarządzam alarm. Jest teraz noc. Cicho musimy wyruszyć. Za godzinę odmarsz.

W półtorej godziny później niewielka armia maszerowała już pod gwiazdami, ubezpieczona z przodu i z tyłu przez oddziały pancerne. Posiadany zapas wody został troskliwie załadowany na samochody. Środek kolumny zajęła piechota włoska i batalion spadochroniarzy niemieckich.

Ramcke zabrał Herberta do swego samochodu, w którym także jechał zastępca generała, pułkownik Rechenberg. Jadąc omawiali swe obecne położenie.

— Nie lubię niejasnych sytuacji — twierdził pułkownik.

— Dlaczego? Ja je lubię. Mają one swój wdzięk.

— Ah, od czasu jak trwa ta szalona strzelanina, czuję jak bez przerwy trzęsą mną dreszcze. Przecież się nie boję...

— A może?

— Gdyby tak było, proszę mnie ukarać.

— Głupstwa pan plecie, drogi panie pułkowniku Rechenberg. Mnie też coś trzęsie, ale to z emocji, że się będziemy bili — i zwyciężymy.

— Dałby to Bóg.

— Psst! Dajcie spokój, pułkowniku, z wołaniem Boga. Nie wiadomo, jakby się chciał zapatrywać na nasze zwycięstwo. Lepiej, żebyśmy je zawdzięczali tylko sobie.

Kolumny brnęły w piasku, sapiąc i narzekając. Żołnierze przywykli do tego, że ich wożono na autach, głośno klęli. Nocny pieszy marsz, w pełnym obciążeniu — cóż to za nowe wymysły.

Świt spłynął nagle na płową pustynię falą porannego słońca. Równocześnie prawie usłyszeli przed sobą gwałtowną strzelaninę.

— Straże przednie walczą z czołgami angielskimi — meldował oficer na motocyklu.

— Dobrze — Ramcke szybko wydawał rozkazy — przebijemy się... Piechota naprzód.

Włosi obsadzili linię wzgórz. Herbert poszedł razem z pułkownikiem Bernardi ku tyralierom. Leżąc na pagórku obserwował toczącą się bitwę.

Mieli przed sobą szeroką kotlinę zamkniętą na horyzoncie również pasmem wzgórz, innych niż te, które zajmowali. U stóp ich szła jakaś droga, którą ciągnęły angielskie kolumny. Angielski patrol lekkich samochodów pancernych, zaatakowany przez straż przednią, cofał się ku swoim zostawiwszy na polu jedno płonące auto. Niemieckie czołgi koncentrycznie parły za Anglikami.

— Dobrze się zaczyna... — mówił Bernardi.

Nagle ujrzeli, jak z cienia rzucanego przez tamte wzgórze wysunął się łańcuch nieprzyjacielskich czołgów. Teraz przeciwnik był w przewadze. Działa czołgowe biły zaciekle, utrudniając niemieckiej straży przedniej odwrót. Włosi szybko ustawili swoje „paki".

Nad głowami poczęły świergotać kule. Bernardi położył się na ziemi, dwaj młodsi oficerowie ustawili przed nim peryskop.

— Źle, jak nie ma wywiadu lotniczego... — mruknął.

Za pierwszą linią czołgów angielskich ukazała się druga, potem trzecia. Równocześnie artyleria nieprzyjacielska rozpoczęła ogień w ich stronę. Herbert widział, jak jeden z czołgów niemieckich, trafiony pociskiem w samą wieżę, stanął w płomieniach. Inny ze zwaloną gąsienicą został opuszczony przez załogę, która chyłkiem uciekała do tyłu. Angielskie czołgi, strzelając bez przerwy, parły naprzód. Artyleria rozbiwszy niemiecką straż przednią skierowała swój ogień na piechotę włoską.

Ani się obejrzeli, kiedy otoczył ich świst i jazgot nadlatujących pocisków. Tuż przed wzgórzem, na którym znajdował się Bernardi i Köstring, znajdował się inny piaszczysty pagórek, na którym leżała załoga cekaemu. Jeden z pierwszych pocisków artyleryjskich rąbnął właśnie w szczyt tego wzgórza. Mieli wrażenie, że mają przed sobą mały wulkan. Kłęby dymu i piasku uniosły się w górę. Baniasty szczyt zmienił się w krater-lej, w którym zniknęli żołnierze wraz z cekaemem. Herbert czuł, jak się mu na głowę sypie deszcz piasku. Ale już padały nowe pociski. Jeden z nich poderwał zbocze pagórka, na którym leżeli, sprawiając, że lawina osypującego się piasku poderwała

Bernardiego razem z peryskopem i ściągnęła w dół, do leja. Jeden z adiutantów pułkownika wył z bólu: miał urwaną stopę i poszarpany bok. Nadbiegli sanitariusze z noszami. Wkładali na nie młodego porucznika, którego wycie zamieniło się w dziecinny płacz. Znowu kilka pocisków wyrżnęło we wzgórze przed nimi, rozorując je aż do powierzchni pustyni. Piasek sypał się na głowy, dym gryzł w oczy, huk ogłuszał i otumaniał, tak że nie wiedzieli, w którą stronę mają się obrócić. W przerwie między kłębami dymu Herbert na chwilę zobaczył kotlinę. Czołgi nieprzyjacielskie podchodziły tuż prawie do nich, czekały tylko widać, aż artyleria skończy swoje dzieło, aby się wedrzeć między wzgórza. Zobaczył biegnących do tyłu żołnierzy włoskich. Bernardi coś krzyczał, potem upadł. Köstring podbiegł do niego. Ale pułkownik o wielkim orlim nosie i czarnych, przetkanych siwizną włosach dźwignął się już na nogi. Miał rękę zranioną przez odłamek pocisku. Znowu krzyczał: „Nie cofać się! Avanti!" Żołnierze go jednak nie słuchali. Ogień artylerii ścichł, lecz równocześnie wybuchnął trzask karabinów maszynowych. Czołgi wjeżdżały już na pozycje Włochów, zmiatając strzałami tych żołnierzy, którzy nie zdążyli uciec.

Cofali się od wzgórza ku wzgórzu, bezskutecznie zasłaniani przez włoskie działka przeciwpancerne. Herbert nie wiedział, gdzie się podziewa Ramcke. Do jego samochodu wskakiwali żołnierze w szerokich, bufiastych spodniach, wzywając szofera, aby razem z nimi uciekał. Inni wspinali się na dwie stojące obok ciężarówki. Na jednej z nich stał wielki zbiornik z wodą. Widząc, że się razem z nim nie pomieszczą, żołnierze zepchnęli go na ziemię. Potem trafiły go kule i poprzebijały blachę. Z otworów trysnęła woda, chciwie pochłaniana przez piasek pustyni.

Bernardi znowu upadł, trafiony w nogę. Nikt już się nim teraz nie zajął. Samochody napchane ludźmi uciekały z powrotem w głąb pustyni — próżno gonione przez tych, co nie zdołali na nie w porę wskoczyć.

Herbert byłby na pewno został na opuszczonej placówce, zatrzymawszy się przy rannym pułkowniku, gdyby przy nim nie stanął mały zwiadowczy samochodzik. Siedział w nim Rechenberg. Ten bez ceremonii wciągnął Köstringa do środka.

— Tu ranny... pułkownik Bernardi... — próbował się opierać major.

— Do diabła z nim! — krzyczał Rechenberg ze środka, przekrzykując zamęt bitwy — Anglicy są już tutaj. Patrz pan.

Rzeczywiście czołgi angielskie zsuwały się ze wzgórz i gnały przed sobą resztę rozbitej włoskiej piechoty. Równocześnie z boku wysypała się piechota w khaki mundurach. Błysnęły bagnety. Doleciał ich krzyk: „Za swobodu!".

— Znowu jakieś cholery Słowiany! — warczał pułkownik, kryjąc się za blachę pancerza, bo kulki poczęły już gwizdać mu nad głową. — Serbowie czy Chorwaci — licho wie zresztą kto. Prędzej! — krzyczał na szofera.

Szczęściem mieli szlak przetarty w piasku i dlatego mogli prędko uciekać, a nawet doganiać kolumny.

— Gdzie generał? — pytał Herbert.

Rechenberg machnął beznadziejnie ręką.

— Próbował natrzeć z prawego skrzydła resztą sił pancernych. Ale go rozbili. Zostawiliśmy w polu prawie wszystkie czołgi. Cofa się jak i my. O tam — widzi pan? Jego kolumna zaraz się zjedzie z naszą.

Niedługo rzeczywiście obie kolumny aut, naładowanych po brzegi ludźmi, spotkały się ze sobą. Herbert widział Ramckego, jak szedł wzdłuż łańcucha samochodów, aby się rozpatrzeć w sytuacji. Przedstawiała się fatalnie. Na horyzoncie za nimi widać było wciąż posuwające się czołgi angielskie. Przed sobą mieli pustynię beznadziejnie rozległą, pustynię sięgającą połowy afrykańskiego kontynentu. Na domiar złego dobiegł ich uszu groźny warkot.

Nadlatywała właśnie ze wschodu eskadra dwumotorowych Martinów „Marylandów". Zanim zdążyli się rozproszyć, mieli już nieprzyjacielskie maszyny nad głową. Pomiędzy auta posypały się bomby. Motory szybko stawały w płomieniach, eksplozje następowały po eksplozjach. Herbert razem z Rechenbergiem leżeli obok siebie, oglądając się na drapieżne krążące ptaki. Wyraźnie nie robiły sobie one nic z ognia kilku karabinów maszynowych skierowanych w pośpiechu ku górze. Przeciwnie, to je właśnie rozdrażniało. Zdawały się łopotać skrzydłami, na których wymalowane były koncentryczne koła czerwone, białe i niebieskie — kolory sztandaru Wielkiej Brytanii. Zagrzechotały karabiny maszynowe i ciąć poczęły ogniem po kulących się w dole ludziach.

Minęło może ze dwadzieścia minut, zanim eskadra skończyła wreszcie swoje dzieło i odleciała. Ludzie rzucili się zaraz do aut. Jednak tabor był zdziesiątkowany. Nie było mowy, aby się wszyscy mogli na samochodach pomieścić.

Ramcke stojąc w samochodzie rozkazywał:

— Niech siadają tylko strzelcy spadochronowi. Reszta pójdzie pieszo.

Jakiś major włoski z głową obwiązaną bandażem, spod którego przesączała się krew, wyskoczył nagle z ciżby swoich żołnierzy.

— Panie generale! — wołał porywczo — proszę o zmianę rozkazu. Moi żołnierze nie pójdą piechotą. Idziemy w pustynię...

Ramcke przerwał ten wybuch niemniej wściekłym krzykiem:

— Pan tu nie masz nic do powiedzenia! Wydałem rozkaz i ma się pan do niego zastosować. Chcę zaoszczędzić moich najlepszych żołnierzy. Nie obchodzą mnie pańscy tchórze...

Tłum Włochów krótko zawył. Major włoski, który z rozdrażnienia zrobił się trupio blady, wskazał ręką za siebie:

— Anglicy nadchodzą — pan generał chce, aby Niemcy uciekli, a my żebyśmy za nich ginęli.

Ramcke wzruszył ramionami. Na jego rozkaz spadochroniarze wskoczyli na ocalałe auta.

— Zostawiacie nas bez wody! — krzyknął jakiś porucznik o cienkim czarnym wąsiku i kręcącej się czuprynie.

Nikt mu nie odpowiedział. Kolumna ruszyła, defilując przed rozbitym batalionem. Włosi patrzyli ponuro na odjeżdżających sprzymierzeńców. Niektórzy jednak nie wytrzymali: poczęli biec za autami, starając się na nie wsko-

czyć. Jęczeli żebraczymi głosami: „Kamarad... Kamarad... amico...". Lecz dzielni strzelcy spychali tych, którzy się do samochodu przyczepiali, kopali innych. Wkrótce szczątki rozbitej kolumny i tłum żołnierzy pozostał daleko za nimi wśród piasków.

* * *

Straciwszy kontakt z nieprzyjacielem, skręcili znowu na zachód. Stacja radiowa ocalała, starali się więc nawiązać połączenie z dowództwem. Prawie pół nocy przeszło radiotelegrafistom na bezskutecznych wysiłkach. Wreszcie nadszedł rozkaz Rommla: „Koncentracja przeniesiona do rejonu Marsa Matruh. Poleca się grupie generała Ramcke unikać zbliżenia do Fuca, gdzie tej chwili znajduje się nieprzyjaciel".

Noc znowu była ciepła, nawet duszna. Kwatermistrz oddziału zrobił przegląd pozostałych zapasów wody. Było jej tak mało, że trzeba było zmniejszyć do połowy dotychczasową dzienną porcję. Żołnierze narzekali, klęli, lub leżeli bezsilnie na ziemi ze spalonymi ustami. Z trudem dowództwo zdołało zmusić pluton mechaników do zrobienia przeglądu aut. Pokazało się, że dwie ciężarówki wymagają dużych napraw...

Mimo to trzeba było zaraz, korzystając z mroku, podjąć marsz. Przed świtem dotarli do nadbrzeżnej „littorii" na wysokości zatoki Kanais. Straż przednią kolumny stanowiły dwie pozostałe jeszcze pancerki — na jednej z nich jechał Ramcke, Rechenberg i Köstring.

Z tyłu, od ciągnących za nimi aut dochodził jeden niekończący się jęk: *Wasser... trinken... Wasser...* Przed sobą mieli szeroką drogę, pokrytą tu i tam lejami od bomb, zarzuconą sprzętem i trupami. Nie mówili nic do siebie, ale te same myśli kłębiły się wszystkim trzem pod czaszką. Odwrót Rommla nie był widocznie strategicznym manewrem — odskakiwaniem w tył dla nabrania rozmachu przed uderzeniem. Tutaj, na skraju drogi leżały dziesiątki i setki aut, a obok nich skrzynie z rozsypaną amunicją, z zapasami żywności, środkami opatrunkowymi. Ciała poległych walały się tu i tam obok pozostawionego sprzętu. Widzieli porzucone armaty, jaszcze, karabiny maszynowe. Broń nie była nawet zniszczona, widać wydano ją w ręce wroga pośpiesznie, ledwo mając czas na to, aby ujść z życiem.

— Pamiętacie panowie — mruknął Rechenberg — tak samo wyglądały drogi w Polsce, we Francji...

— Nawet w Rosji... — dorzucił Köstring.

— Tym razem „stary" oberwał — przyznał Ramcke.

— Znalazł może godnego siebie przeciwnika.

— Bardzo prawdopodobne. Sprzęt sam nie zwycięża.

Jakaś sylwetka ludzka wychynęła z czarnej ściany nocy i trzymając ręce podniesione w górę podeszła do ich auta. Zatrzymali się. Dosłyszeli jęczący głos:

— *Acqua... Per Christo... Acqua... amici inglesi...*

— *Wir sind nicht „inglesi". Chi sei tu?*

W twarzy tamtego, oświetlonej nagle ręczną latarką, nie wyczytali za chwytu z tego, że spotkał sprzymierzeńców. Był to podoficer wojsk włoskich Porozdzierany mundur wisiał na nim w strzępach, głowę nakrywał przestrzelony hełm korkowy.

— Anglicy są przed wami — powiedział.

— Gdzie nasze wojska?

— *Chi sape?* — wzruszył ramionami. — Uciekły. Nie ma ich tutaj *Disfatta, disfatta!* Dywizja Arlette wybita do nogi. Dywizje Trento to samo..

Nagle zmienił ton. Mówił znowu jęczącym, błagalnym głosem:

— Dajcie kropelkę choć wody... *Dio...* Cały dzień nic nie piłem...

Odpowiedź Rechenberga była krótka:

— *Krauss! Wasser am Feigling als du? Krauss!*

Pojechali dalej, zostawiając słaniającego się na nogach człowieka na skraju drogi. Skradali się teraz ostrożnie, czując że mogą każdej chwili trafić na wroga. Równocześnie Ramcke podejmował decyzję.

— Nie ma rady. Skręcamy do oazy Siwa. Tu zaraz będziemy mieli drogę

— Ależ generale! To trzysta prawie kilometrów — oponował Rechenberg

— Cóż, nie mamy wyboru. Jeśli świt zastanie nas tutaj, wpadniemy w ręce Anglików.

— A tam zginiemy z braku wody!

— Na jedno wyjdzie. Bo czy myślisz pułkowniku, że nas Anglicy przy życiu pozostawią? Już minęły te czasy, gdy można było liczyć na jakieś porozumienie między nami. Obecnie toczy się walka na śmierć i życie...

— Psst! — Herbert położył rękę na ramieniu generała. Przed sobą na drodze ujrzeli tył jadącej ciężarówki. Przed nią jechała druga, przed tamtą znowu inne. Cały wąż aut.

Nagle znaleźli się na ogonie angielskiej kolumny. Żołnierz w płaskim hełmie, siedzący na stosie skrzyń, pochylił się z góry ku nim.

— *It's you?* — zapytał.

— *Yes Tom* — powiedział Ramcke, wychylając się poza galeryjkę auta

— *I'm not Tom* — powiedział flegmatycznie tamten — *Do you not remember? I called Reggie Biggs.*

— *Sure. I know...*

Teraz trzeba było szybko działać. Trzej oficerowie, nie zatrzymując pancernego auta, które wjechało na ogon kolumny, zeskoczyli na ziemię. Poczęto budzić strzelców śpiących na samochodach. Za chwilę oddział biegł już z karabinami w rękach wzdłuż ciągnących wolno samochodów. Potem nagle rzucono się na konwojujących żołnierzy. Powietrzem targnęło kilka strzałów. Ale wszystko dokonało się zbyt szybko: zaspani żołnierze nie stawiali oporu.

Po bezkrwawym zwycięstwie należało je szybko wykorzystać. Błyskawicznie roztrzęsione jazdą przez pustynię auta niemieckie zamieniono na samochody angielskie. Zabrano beczki z wodą i z benzyną, wyrzucając na drogę wszystko, co było strzelcom niepotrzebne. I zanim się zupełnie rozwidniło kolumna Ramckego zjechała z traktu, by na nowo zanurzyć się w pustynię.

Przelotny deszcz pustynny pozwolił zbiegom lżej odetchnąć. Ramcke zatrzymał kolumnę dla skontaktowania się telegraficznie z Rommlem. Wiadomość nadeszła szybko: wzywano ich do koncentracji w Ras-Haleimie. W Marsa Matruh byli już Anglicy.

— Idą naprzód jak wściekli — Rechenberg uderzył pięścią o pięść. — Nigdy nie zdołamy ich prześcignąć.

Jednakże dzięki temu, że mieli wodę i porządne samochody, mogli jechać szybciej. Parli więc naprzód cały dzień, potem całą noc. Nad ranem zbliżyli się do szosy na wysokości Ras-Haleima. O mało nie dostali się pod ogień włoskich samochodów pancernych, które stały na drodze. Była to straż tylna armii Rommla.

— Gdzie siły główne? — spytał Ramcke włoskiego kapitana, dowódcę straży tylnej.

— Prawdopodobnie na przełęczy Halfaya, *signor generale.*

— Szybki odwrót...

— Trochę za szybki, panie generale. Łatwo uciekać, gdy się zabrało wszystkie auta, ale co ma robić nasza piechota?

Rzeczywiście zaledwie o dwa kilometry dalej spotkali śmiertelnie znużone kolumny cofającej się piechoty włoskiej. Ludzie ci szli bez przerwy dzień i noc i tak nie mogąc zdążyć za głównym trzonem armii. Podczas mijania widzieli utkwiony w sobie gniewny wzrok tamtych. Kilkakrotnie poleciał w ich stronę obelżywy okrzyk, w pewnej chwili zobaczyli zaciśniętą pięść podniesioną ku nim gestem pogróżki.

Osobno, bokiem drogi szła grupa żołnierzy niemieckich. Tych zabrali na auta, lękając się po prostu, że doprowadzeni do pasji sprzymierzeńcy zarżną ich na najbliższym postoju. Wśród zabranych Niemców Herbert ze zdumieniem zobaczył pilota swej eskadry, podporucznika Süskindera.

— Co ty tu robisz, Max? Dlaczego nie w eskadrze?

Młody oficer wyglądał opłakanie. Usta miał spękane do krwi. Włosi nie chcieli im dać kropli wody. Zwilżali więc tylko usta własnym moczem. W nocy trafili na drogę — przedtem błądzili przez całą dobę na pustyni.

— Oh, modliliśmy się, aby spotkać Anglików — szeptał Süskinder, pochylony nad kubkiem wody z winem, jakby nie słysząc pytania.

— Dobrze, ale gdzie eskadra?

— Eskadra? — wydawał się zdumiony tym pytaniem. — Ależ eskadry nie ma. Zaraz w pierwszym dniu ofensywy mieliśmy rozkaz zbombardowania stanowisk artylerii angielskiej. Strącono nam dwa aparaty: Berckholtza i Klagego. Potem napadły na nas Hurricany i amerykańskie Martlety. Straciliśmy znowu dwa aparaty: pańskiego zastępcę, *commodoro* i Mentzla. W nocy rozpoczął się odwrót, a jednocześnie nalot za nalotem. Zniszczono nam na lotnisku wszystkie maszyny... Zostaliśmy rozproszeni... Nie wiem, gdzie są koledzy...

Zbliżali się do pasma wzgórz, które tworzą na pograniczu Cyrenajki i Egiptu spiczasty przyczółek, zwrócony ostrzem na wschód i podchodzący

blisko morza. Za nimi zostało Sidi Barani i Bug-Bug. Przed przełęczą Halfaya dognali główną siłę armii Rommla.

Ale na czułe powitania nie było czasu. Nieprzyjacielskie lotnictwo nadlatywało falami. Ten dzień, gdy długi wąż armii musiał się przeprawić przez wąską w tym miejscu drogę, należał do najstraszniejszych w życiu Herberta. Ani na chwilę nie ustawał atak lotniczy. Niebo pełne było warkotu i szumu. Mieli nad sobą dwumotorowe Bristole „Beauforty", Bristole „Blenheimy", Martin „Marylandy", Douglasy „Bostony", Vickersa „Wellingtony". Wszystko to waliło bomby na wąską drogę, a potem wymiatało ogniem kaemów rozproszonych w pustyni żołnierzy. Noc nie przyniosła poprawy. W świetle palących się rakiet bombardowanie szło dalej. Niemieckich samolotów nikt nie widział od dawna. Artylerii przeciwlotniczej zaczynało brakować amunicji. Przeprawa poszczególnych aut przez przełęcz przypominała zabawę w kota i w myszkę. Nadomiar złego droga w najwęższym swym miejscu była poszarpana przez leje i zarzucona zniszczonym sprzętem.

W Sollum natknął się Köstring na Rommla. Generał siedział w swym samochodzie w cieniu palm i wysłuchiwał raportu oficerów. Jego pełna chłodu twarz nie zdradzała żadnych uczuć. „A, to pan, panie majorze? — zauważył stojącego Köstringa. — Chodź pan tu do mnie. Podobno przeżyliście znowu kilka ciężkich dni?

Nalał sobie z syfonu wody do kubka. Poprawił hełm korkowy na głowie.

— Prawdziwą epopeę — mruknął Herbert.

— Opowiadał mi Ramcke. Włochów zgubiliście na pustyni? Ja robię to samo. Żadne wojsko. Oni chcieliby naprawdę bronić tego tutaj kraju. Śmieszni ludzie. Dla mnie to jest tylko teren walki.

Machnął ręką, sięgnął po fajkę i począł ją starannie napychać.

— Powiada Clausewitz: „Nigdy nie widziano, aby państwo, które w sprawach innego państwa występuje, przejmowało się nimi równie poważnie, jak swoimi własnymi".

— Pan marszałek zna świetnie „Vom Kriege"!

— Tak. Całe rozdziały umiem na pamięć. Zresztą to jest jedyna książka, która mnie interesuje. Poza nią gardzę książkami. Podobno Montgomerry dużo czytuje. Nie wiem, czy mu to pomoże w walce ze mną.

— Pan marszałek pozwala mu iść naprzód?

— Pozwalam. Co mi to szkodzi? Potem nagle zawrócę... Naturalnie muszą mi przysłać więcej lotnictwa...

Znowu zaszczekały działka przeciwlotnicze, zaczął się bowiem wielki nalot na Sollum. Jedna z bomb rozmiotła w ich sąsiedztwie samochód wiozący zbiorniki z wodą. Widzieli jak żar słoneczny zlizuje uciekające śpiesznie w ziemię czarne strużki. Krajowcy, stojąc na progu swych chat, patrzyli na to ze zgorszeniem. W tej ziemi rozlewanie wody uchodzi za ciężki grzech.

Rommel odjechał, Herbert został sam. Miał do dyspozycji motocykl z żołnierzem i nie posiadał żadnych funkcyj. Jego eskadra nie istniała. Po „Muchach", „Wilkach" — „Mikeye" odeszły w kraj niebytu. Nie miał przyja-

ciół. Kolejno znikali z jego życia Walter, Kurz, Kerschensteiner, Kostrzewa, Maries. Nie miał miłości — nie czekały go ramiona żadnej kobiety. Nie miał wiary, nie ufał w zwycięstwo...

Bolała go za to głowa i czuł dreszcze. Może przepalił sobie czaszkę pod promieniami afrykańskiego słońca? Z dala rozlegała się ciągle kanonada — nieprzyjaciel starał się na Halfayi odciąć ogon niemiecko-włoskiej kolumny. Wojska uciekały w coraz większym popłochu. Znowu nad głowami przemknęła eskadra amerykańskich Curtissów, bijąc ogniem karabinów maszynowych po cofających się oddziałach. Nadjechała ciężarówka naładowana żołnierzami niemieckimi. Zatrzymała się pod palmami, aby zwalić na ziemię jakieś skrzynki.

Wtedy podbiegli żołnierze włoscy, pragnąc się dostać na samochód. Odpowiedziano na te próby kopnięciami i uderzeniami pięścią. Jeden z Włochów odbezpieczył granat i cisnął go w środek Niemców. Herbert ujrzał zeskakujących ze samochodu ludzi, wybuch, padających żołnierzy... Zaszczekały pistolety automatyczne...

Nie wiadomo, co by się dalej stało, gdyby nagle tuż spoza domów osady nie wybuchnął potężny i niespodziewany ogień dział i karabinów maszynowych. Na ten hałas wszyscy rzucili się do panicznej ucieczki, przewracając się wzajem, tratując po leżących i krzycząc... Ludzie, którzy niedawno jeszcze stanowili potęgę, która groziła Aleksandrii i Kairo, teraz wyglądali jak wystraszona trzoda. Strzelanina wzmogła się. Herbert ujrzał nagle paru Włochów ciągnących armatkę przeciwpancerną i ustawiających ją za załamaniem murowanego domku.

Podszedł do nich. Ładowali śpiesznie nabój do lufy. „Co się tam dzieje?" — zapytał. Warknęli coś, czego nie zrozumiał. Ale już nie potrzebował się pytać: ujrzał lekki czołg sunący szybko w ich stronę. Armatka huknęła, odrzucając za siebie łuskę. Fontanna pyłu i piasku wytrysnęła za czołgiem nieco z boku. Drugi, trzeci, czwarty raz — nie mogli trafić. Odskoczyli i zarzuciwszy na ramiona pasy od armatki poczęli ją ciągnąć do tyłu na nowe stanowisko. Köstring poszedł za nimi. Placyk, na którym jeszcze przed godziną rozmawiał z Rommlem, był teraz pusty. Motocykl majora znikł. Z innej uliczki wypadł znowu pluton żołnierzy włoskich z cekaemem. Przypadli za pień palmy i poczęli strzelać w stronę, skąd nadbiegli. Herbert posłyszał koło uszu świst kul. Więc i nieprzyjaciel strzelał. Przyklęknąwszy ujrzał, jak na końcu uliczki ukazały się dwa czołgi. Włosi cofali się potrącając go, bo im stał na drodze. Jakiś podporucznik krzyknął: „nie plątać się tutaj". Biegli do tyłu. Herbert pobiegł za nimi. Mignęło mu ciężarowe auto niemieckie, na którym stał żołnierz i machał w kierunku nacierających czołgów białą chustką. „Woli się poddać" — przebiegło Herbertowi przez głowę. Ale nie myślał o niczym. Biegł. Było mu strasznie gorąco. „Przecież to jest Afryka..." czepiały się głowy strzępki myśli. Potknął się, upadł. Zobaczył koło siebie arabskiego chłopca, który wylazłszy z jakiejś nory przypatrywał się ciekawie bitwie. Köstring wstał i biegł znowu. Po chwili znalazł się poza zabudowa-

niami, w małym palmowym zagajniku. Było tu więcej żołnierzy włoskich, leżących za barykadami z poprzewracanych aut i spiętrzonych skrzynek. Gdy znalazł się wśród nich, otoczyły go pełne gniewu twarze. Nagle zrozumiał, że ci ludzie nienawidzą go ze wszystkich sił. Nie odzywano się do niego jak do oficera sojusznika, ale krzyczano w jego stronę *morte, porca tedesca.* Oparł się o pień drzewa, nie wiedząc co ma ze sobą zrobić. Lecz nad furią żołnierzy zapanował jakiś kapitan w podartej koszuli, spod której widać było śniady tors. Powiedział bez szacunku, lecz stanowczo: „Niech pan zostanie, majorze". Zresztą czołgi wysunęły się już spośród domków na pole i szły w ich kierunku. Rozpoczęli przeciw nim chaotyczną, nerwową strzelaninę. Gdy udało się im rozbić jednego pancernego potwora, poczęli wyć z radości: *Eja! Eja!* Przycichli zaraz, bo nagle pocisk armatni roztrącił liście palmy i rozszczepił jej pień. Znowu prasnęło kilka pocisków. Kapitan dał znak do odwrotu. W tej samej jednak chwili padł na twarz, pławiąc się we krwi. Jakiś porucznik objął komendę. Słuchać go jednak nie chciano. Ludzie rzucili się ślepo do tyłu, prosto na wyprażoną słońcem piaszczystą równinę. Dopiero opanowali się nieco, usłyszawszy ostry, stentorowy głos, który ich wzywał do pozostania. To jakiś mnich w białym habicie, który przedtem zajmował się rannymi, teraz począł z niebywałą energią wydawać komendę. Dzięki niemu odwrót nie zamienił się w bezładną ucieczkę. Szli do tyłu, ogniem swych działek utrzymując czołgi w należytej od siebie odległości. Starali się wrócić na drogę i nie dać się zepchnąć w pustynię.

Lecz odzyskany porządek został niespodziewanie zakłócony. To wyskoczył jakiś człowiek, podoficer włoski z czarnymi oczami szaleńca. Skąd się znalazł nagle wśród cofających się piechurów — nikt tego chyba nie wiedział. Wyskoczył jak diabeł z czarodziejskiego pudełka. Nastroszony, z rękami w górze, krzyczący cienkim, przeraźliwym głosem. Nie odrazu zrozumieli to, co im wrzeszczał. Po chwili przyniesiona nowina wybuchła między nimi jak grom. Była groźniejsza, niż pociski, które wybuchały obok nich i niż świst kul koło uszu. Dla tych ludzi walczących na ziemi, którą uważali za własną ojczyznę — wieść ta brzmiała jak powiew nadchodzącej tragedii. Rozumieli ją dobrze, choć dotyczyła miejsc odległych o setki kilometrów dalej na wschód. Nagle napięcie sił utraciło swój wewnętrzny bodziec — wszystko stało się im obojętne i próżne.

Herbert idący wśród cofających się żołnierzy słyszał teraz ciągle ich ponure narzekania:

— *Gli Americani in Algero... Gli Americani in Algero...*

Nowa silna fala ognia ogarnęła oddział. Czołgi podsuwały się coraz bliżej. Na niebie ukazała się eskadra „Marylandów".

KURT E. WOLFF

WIELKA PRZEMIANA

Byliśmy znów w marszu i w wojennej potrzebie. Przez dziesięć dni. Z północy, gdzie w niektóre dni, niczym wspomnienie, czuliśmy słony oddech idącego od morza wiatru, wtargnęliśmy głęboko w białość afrykańskiej pustyni. Aż tam, gdzie płaskie góry dają początek nowym krajobrazom.

Ale nie o tym chcę pisać. Tylko o nocach, które są teraz wokół nas, o tych ciemnych nocach. I o myślach, które powstają pośród takich nocy. Czy wyniknie z tego prawda?

Księżyc już jest w ostatniej kwadrze. Wznosi się dopiero po północy, srebrząc się i drżąc powstaje z nocnej mgły. Przedtem są tylko gwiazdy, u północnego horyzontu dyszel Wielkiego Wozu, powyżej pięć jasnych gwiazd Kassiopei, te dziwne układy południa, których nie znamy z rodzinnego nieba. W marcu i kwietniu na południu jak pozdrowienie wstawał jeszcze Orion, teraz nawet i ta gwiazda już się nie podnosi.

Noce stały się zdumiewająco chłodne. Za dnia dęła burza piaskowa, polepiły się włosy, stwardniały od piasku i potu twarze nasze, ale później wypaliło się na zachodzie słońce, wiatr ustał, nad szeroką równiną zapadło milczenie i ciemność.

Jeszcze przedwczoraj lęk zbierał przed tą ciemnością. Ledwo zalśniły gwiazdy, już słychać było głęboki pomruk angielskich bombowców. Jeszcześmy łykali ciepłą herbatę z kuchni polowej i palili włoskie papierosy, kiedy nad głowami naszymi zawisły oślepiające świece spadochronowe, czyniąc dzień z ledwo rozpoczętej nocy. Niewiele snu nam zostało. Znużeni lecz czujni stanęliśmy w wieżach pancernych i zastygliśmy w tę piekielną noc. Przez trzy, cztery, pięć godzin pękały bomby, raz bliżej, raz dalej, lecz nieustannie to tu, to tam rozbłyskał ogień, czerwony i żółty od chmur piasku wirujących z bombowych lejów. Dopiero gdy blisko już był upragniony poranek, ustawały stopniowo ataki, a znużone powieki na chwilę mogły się zamknąć.

W takie noce wiele odpada od człowieka. Bo za dnia była wtedy walka, mój czołg został rozbity, kierowca ciężko ranny, a teraz nocą, kiedy liczyliśmy na spokój, huczą wokół angielskie bombowce. Wtedy się zdarza, że czło-

wiek przeklina dzień i noc i cały ten kraj i znużony błędnie spoziera przed siebie, nie pojmując już nic z tego co się dzieje. Wtedy przychodzi cierpienie a często nawet zwątpienie i trwoga; a myśli, które z serc tak przeoranych powstają, nie pojmują już chwilami sensu sprawy. Pytania, ciemne pytania, padają kolejno, a odpowiedzi, z nocy na noc, są coraz trudniejsze. Pochodzić pragną z głębi samej, by nie rozwiał ich pierwszy wiatr niczym żółtą ławicę pustynnego piasku.

Gdzie jest sens sprawy?

Ach, nie powiadaj teraz, że myśmy wojny nie rozpoczęli. Nie mów również że chodzi o to, by mógł żyć nasz uciśniony naród. Nie, my to wszystko wiemy, znamy rozstrzygnięcie, o które się zmagamy, znamy drogi życiowe imperium brytyjskiego, matactwa żydowskiego imperializmu, pogląd na świat i porządek i chaos. Nie, my to wszystko wiemy i w długich rozmowach wyjaśniliśmy to jeden drugiemu, lecz co się kryje pod tym wszystkim, co spoczywa głębiej jeszcze, tak głęboko, że nawet szyderstwu śmierci niedostępne, tego nie wiemy.

Kiedy już niewiele czołgów pozostało na naszym odcinku, a reszta tkwi gdzieś nieruchoma i rozbita, z poległymi, których nie możemy pogrzebać i kiedy wówczas na przeciwległym stoku wynurza się trzydzieści, czterdzieści czołgów nieprzyjacielskich i działa przeciwpancerne i polowe, kiedy więc tam jest przemoc, a tu tylko rozkaz ataku, nie mamy wtedy przed oczyma żadnych wielkich zdań, nawet gdyby były prawdziwe; lecz zawsze mamy siłę serc naszych i ta nas wspomaga. Porucznik wyjeżdża naprzód, w ślad za nim jego ludzie, jak do tego przywykli. Kiedy jednak później zapada noc a każdy w tej rozpętanej nocy pozostaje samotny, z sobą jedynie i zagładą u niebios, wówczas zaczyna się dlań ciężka godzina.

Gdzie jest sens sprawy?

Jeden mię o to pyta, i drugi pyta podobnie. Dwie noce; dwóch ludzi, lecz jedno pytanie. Więcej — jedno serce.

Warta nocna jest długa, wydaje się często, że nigdy mieć nie będzie swego końca. Wtedy wiele dociec można.

Sądzę przeto po wielu podobnych nocach, że to jest prawdy bliskie: sens ostateczny tego co się dzieje jest ten, że znów staliśmy się prości.

* * *

Pragnę spróbować wyjaśnić to, aczkolwiek najpewniej wymyka się to wyjaśnieniu. Jak wszelka wiara. Tylko w obrazach, w zestawieniach wypowiedzieć można sądy swoje i zachować nadzieję, że ktoś drugi odnajdzie w obrazie sens. I z tym jest podobnie: trzeba to przeżyć i wiedzieć zarazem, inaczej się nie pojmie.

Kiedy wyruszyłem na wojnę i w moim czołgu wjechałem do Francji, byłem innym człowiekiem, aniżeli dzisiaj. Tam, na polach bitew pod Arras, gdzie u skraju drogi od lat przeszło dwudziestu leży grób mojego ojca, tam się to zaczęło. Otoczył nas szum bitwy i chciał nas przemienić.

Lecz wtedy byliśmy jeszcze za silni, zwycięstwo przyszło za szybko, zresztą był to zaledwie początek i nie nauczyliśmy się jeszcze wszystkiego. Byliśmy wyszkoleni, młodzieńcy pełni wiary, i powróciliśmy do ojczyzny ogorzali i z uczuciem, że tylko z nadmiaru naszej siły dokonaliśmy czynu, który przypadł nam w udziale. Byliśmy zwycięzcami.

A wtedy przed jednym stanęła otworem Norwegia, przed innym Serbia, Grecja i Kreta, przed innym jeszcze Rosja Sowiecka, przede mną Afryka. Na każdego naszła gdzieś trwoga.

A skoro weszliśmy w trwogę, wyszliśmy z niej już inni. Przemienieni! Odpadło od nas wszystko, co nieistotne, co dotworzone, dociągnięte, pozostała tylko istota sprawy, jej byt, jej serce.

Kiedy teraz podnosi się księżyc, smukły srebrny sierp, od którego ziemia staje się biała a czołgi wokół mnie czarne, wiem, co to znaczy: staliśmy się bardziej prości.

Była to zacięta walka, kiedy poległ mój przyjaciel i rozbity pozostał u mego boku; kiedy dwóch młodych poruczników spłonęło w wieżach pancernych; kiedy zdawało się w końcu, że już chyba nikt nie podsunie się pod pozycje na pozór nie do zdobycia; i kiedy wreszcie sam dowódca wysunął się naprzód, twardym rozkazem zgarniając wszystkich obok siebie i kiedy ci, zdawałoby się, na śmierć znużeni ludzie raz jeszcze poszli naprzód, z odwagą zaiste tych, co na wszystko stali się gotowi. I zdobyli pozycję.

Była ta walka i była jeszcze inna. Kiedy i gdzie, czy to ważne? Lecz ważne jest to, kiedy i gdzie wyrosła w nas olbrzymia przemiana serc. Już nie jesteśmy tymi roześmianymi młodzieńcami, którzy ciągnęli przez kwitnące łany Francji, jesteśmy teraz ludźmi przemienionymi, ludźmi innego czasu, którego nie ma dotąd, lecz który kiedyś będzie.

Księżyc stoi teraz u szczytu firmamentu a cienie są krótkie. I gwiazdy bledną nieco od tego blasku. Lecz na prawo i lewo płoną czerwone ognie, padają od nich cienie jaskrawsze niż od łagodnego światła księżyca i gwiazd. Żołnierze z wozów taborowych leżą czujnie w swoich jamach i czekają. W dali poszczekują ciężkie działa przeciwlotnicze i białymi ogniami kreślą niebo.

Kiedy powrócimy do domów, myślimy o tym, kiedy do domów powrócimy, zacznie się całkiem nowe życie, proste życie. Czy będą nas mogły gniewać te tysiące drobnostek, nawet gdyby wojnę przetrwały? Będziemy się śmiać. Na pewno nie będą nas rozumieć, nie całkiem będą nas rozumieć i sądzić będą, że zatraciliśmy stosunek do dnia powszedniego i że znajdujemy się nadal po tamtej stronie dni, w przeszłości; w istocie jednak przezwyciężymy wszystko co małe, powikłane, nieistotne i staniemy w nowym życiu. Kto przez ogień przeszedł, posiadł hart.

Staliśmy się prości i wszystko w nas stało się proste. Nowym okiem widzimy to co się dzieje i co dziać się będzie. Jest w tym poczucie szczęścia, głęboko zakorzenione, którego nikt w nas nie zniszczy. Twarze nasze stały się zapewne bardziej surowe, lecz kiedy powrócimy do chłopców naszych, będziemy się śmiać ze łzami w oczach.

Wiemy, że uprości się również życie narodów. Europa była stekiem błędów, granice pozbawione sensu, traktaty sprzeczne z życiem, narody które rozmijały się z świętym sercem tej ziemi. Teraz zaś pewnego dnia zostaną nałożone nowe prawa, całkiem proste prawa, wyrosłe z rozsądku i serca, według boskiego nakazu. Nie zniknie wrogość i nienawiść, nie jesteśmy marzycielami, lecz kiedy wyrośnie nowy ład, ozdrowieje cały splugawiony kontynent europejski.

*

* *

W tę ponurą noc krążą wciąż nad nami brytyjskie bombowce i ścigają nasze kolumny, dowożące nam wodę i amunicję. Walka jeszcze nie ustała, lecz jest już rozstrzygnięta. Rozstrzygnięta w sercach.

Ludzkość, oto ta rzecz najprostsza, o której myślę. Ona jedna, kiedy wszystko ginie. My zaś, cośmy przez ogień przeszli, straciliśmy nie tylko ostatnią książkę, zabraną ze sobą, nie tylko rapcie, które już były nikomu niepotrzebne i nie tylko miękki jedwabny kołnierzyk, myśmy stracili, powiedziałem to już, przeszłość swoją. Zostało nam jednak życie, życie również poległych naszych, których pogrzebaliśmy, i zdobyliśmy prostotę.

Pustynia jest tak nieskończenie rozległa, a kiedy dniem i nocą byliśmy w drodze, by uderzyć na głębokie tyły przeciwnika, jedne tylko gwiazdy były z nami. I nic ponadto nie było, nic prócz podziałki kompasu i wąskiego szlaku. Kto odszedł od niego, ginął w bezdrożach. Lecz kto przy sprawach prostych pozostał, był przy nim znów, gdy znów się wynurzył. Czerwono wstało słońce na nowy dzień, a kiedy na stokach naprzeciw nas rozpoznaliśmy nieprzyjaciela, znów do ataku zawołał nas rozkaz.

Noc była pełna lęku, żołnierza chwyta bezsilność, kiedy bez broni wydany jest zagładzie, ale teraz, kiedy jest jasno, śmiejemy się znowu i trzymamy równy krok nawet w czołgu. I nic nas teraz nie skruszy, żaden ogień ani żadne pytanie. Kto przetworzony został przez śmierć i od nowa życie dla siebie zdobył, ten stał się tak prosty, że nic już nie potrafi sercem jego wstrząsnąć. Trzeba to rzec: co śmierci nie zdoła zadać, czyni silniejszym. Dla każdego w tej wojnie, jakkolwiekby głęboko, jakkolwiekby najgłębiej zapadał w lęk, stało się to prawdą. Siła jest zawsze rzeczą prostą. Tę siłę dała nam wojna.

Mówię o tym moim ludziom. Wielu z nich rozumie to całkiem dobrze. Bo sięga to na każdy poziom człowieczy. Bo nie jest to żadna górna filozofia, którą trzeba by układać w system, jest to jedynie sens, który wynika dla nas z wojny. Być prostym, kiedy wrócimy do domów, we wszystkim, zaznać znów prostej radości i prostego szczęścia, radości z kwiatów, z drzew, z dzieci, w tym rzecz. Jakimż spojrzeniem ujrzymy znów brzozowe polano śmiejące się na domowym ognisku! Jakżeż powitamy wyniosłe katedry i pieśni stare, których już prawie żeśmy zapomnieli! Na nowo przed bramą swoją pieśń zaśpiewa studnia, zawtórują jej inne, a będzie z tego muzyka całkiem nowa. Pustynia traci swój wymiar, staje się światem całym.

Jakżeż ujrzymy znów gwiazdy, które tuśmy się kochać nauczyli, te jasno błyszczące światła na stropie nad nami. Nie zapomni tego nikt, kto przez ogień przeszedł.

Wojna nie jest niszczycielką, wojna przetwarza. Dopiero kiedy tak blisko znajdziemy się śmierci, wtedy naprawdę rozumiemy życie. Przedtem, ach, zapomnieliśmy każdego *przedtem*, wszystka tęsknota nasza ku temu zmierza, co przyjść ma dopiero. Miłość nasza jest nowa i wiara nasza. Straciliśmy wszelkie związki a zdobyliśmy całkiem nowe.

Ta przemiana sięga również do spraw wielkich, wiemy o tym. To co się odbywa dzisiaj, jest zaledwie początkiem, niedoskonałym często, jak wszelki początek być musi, ale życie narodów również ulegnie odnowie. Że dzisiaj narody się łączą, jest to czymś zewnętrznym, ale jest i znakiem. Święte serce ziemi wzrokiem obdarzy i ślepców, których jeszcze nie brak. Hölderlin śpiewał o tym u początku czasu.

*

* *

Mój kierowca czołgu, ranny przed niewielu dniami, leczy się gdzieś teraz z ran. Nie stać by go było na te słowa, które tutaj spisuję, ale zrozumie je, jeśli przeczyta to sprawozdanie. Kto został przemieniony, przymknie oczy i pozna siebie w napływających obrazach.

Księżyc jest teraz na zachodzie, a po przeciwnej stronie wznosi się już nad równiną czerwona kula słońca. Noc już za nami, czołgi przygotowują się do walki. Jeszcze wiele dokonane być musi, nim się wypełni sens naszych dni.

I wiatr, co tak długo spoczywał, porusza się znów. Od lewej, gdzie formuje się rozrzucona kompania, by stanąć w pogotowiu, nadlatują faliste i żółte pokosy piasku. Motory huczą głucho, w słuchawkach gwiżdżą sygnały.

Afryka, daleki, umiłowany kraj! Tutaj naprawdę krwawiliśmy o zwycięstwo. Lecz piasek zmarłych przyjmuje, jakby jemu byli przynależni. Później wiatr nawiewa żółtą pokrywę, a tylko wielbłądzie ciernie wyzierają spod niej. I one są jedynym życiem tu, na pustyni.

Znów, jak co dzień, poczynają grzmieć baterie angielskie. Lecz nie powstrzymają już naszej drogi. Ich czas jest ograniczony, nasz leży cały przed nami.

przeł. *Kazimierz Wyka*

„Das Reich", 1942, nr 43

Wśród niemieckich wspomnień i impresyj żołnierskich, których tyle podawała prasa niemiecka za okupacji, wspomnień spisanych zawsze według barbarzyńskiego i napastliwego schematu, artykuł powyższy uderzał swoją odmiennością. Ukazał się prawie równocześnie z lądowaniem aliantów w Afryce Północnej i był wówczas pierwszym sygnałem, że żołnierz niemiecki uświadomił sobie, iż stanął w obliczu przeważającej siły. Dlatego przedrukowujemy go jako załącznik do świadectw żołnierza i powieściopisarza polskiego z kampanii afrykańskiej.

PIEŚŃ O HAJAWACIE

WSTĘP

Henry Wadsworth Longfellow (1807—1882) urodził się w Portland, w U. S. A. Ukończywszy studia uniwersyteckie podróżował przez rok po Europie, a potem, jako nauczyciel języków europejskich, zaznajamiał uczniów z twórczością literacką narodów zza Oceanu. W owych latach napisał szereg utworów poetyckich, głównie wierszy lirycznych, spośród których „Psalm Życia", pełen radosnej afirmacji istnienia, od razu zdobył mu sławę wśród czytelników amerykańskich.

Powtórna, tym razem kilka lat trwająca podróż po Europie pozwoliła mu na bliższe poznanie literatur europejskich, co decydująco wpłynęło na jego dalszą twórczość. Zaważyła tu zwłaszcza romantyczna poezja angielska, nie bez wpływu pozostał romantyzm niemiecki i francuski, a także ludowa poezja Północy: sagi skandynawskie i fińska „Kalewala". Również poezja włoska i hiszpańska wywarły na amerykańskim pisarzu duże wrażenie.

Z podróży po Europie wydał Longfellow zajmujące wspomnienia zatytułowane „Outre-mer". Prozą pisał poza tym niewiele — główną dziedziną jego twórczości była poezja. W roku 1839 wychodzi pierwszy zbiorek jego poezji, „Głosy Nocy", następnie ballady i inne poezje, m. in. o niewolnictwie murzynów amerykańskich. W roku 1847 wydaje Longfellow swój pierwszy (pisany heksametrem) poemat pt. „Ewangelina", w którym maluje sielankowe życie pierwszych osiedleńców francuskich w Ameryce. W poemacie tym widoczny jest wpływ „Hermana i Dorotei" Goethego oraz pogodnego na ogół romantyzmu angielskiego. Cechuje ten utwór prostota wyrazu, subtelny wdzięk — zwłaszcza w wyrażaniu uczuć — i plastyka w przedstawianiu przyrody. Właściwości te są znamienne dla całej twórczości epicznej Longfellowa.

W roku 1855 wydał poeta „Pieśń o Hajawacie" („The song of Hiawatha") poemat, będący według określenia jednego z krytyków anglosaskich, „najrdzenniejszym utworem amerykańskim". Następnie ukazał się poemat „The Courtship of Miles Standing", z życia angielskich osiedleńców purytańskich w pierwszym okresie ich pobytu na ziemi amerykańskiej, pełen sentymentu dla owych dalekich przodków i ich tradycji. Wyszło jeszcze kilka zbiorków

poezji Longfellowa, których część poświęcona była ludziom i sprawom przeszłości europejskiej, głównie z epoki średniowiecza (np. „Złote Legendy").

Longfellow był nadto tłumaczem. Przełożył szereg utworów z poezji niemieckiej, francuskiej, włoskiej i hiszpańskiej. Pierwsze miejsce wśród tych prac zajmuje przekład „Boskiej Komedii", wierny treściowo i obrazowo, ale nie rymowany.

Zasadniczym dziełem Longfellowa jest niewątpliwie „Pieśń o Hajawacie". Poemat ten przenosi czytelnika w odległą epokę, wypełnioną bajecznymi przygodami pierwotnych Indian. Poeta wzywa do słuchania jego pieśni tego tylko, „kto miłuje czar Przyrody, kto miłuje ludu baśnie". Longfellow jest pierwszym poetą amerykańskim, który wniósł prawdziwie nowe i głębokie akcenty liryczne do opisów przyrody i życia wzgardzonych ludów tubylczych. Jest on najpełniejszym przedstawicielem romantyzmu w literaturze północno-amerykańskiej. Przyroda, przeszłość i lud — to właśnie trzy światy romantyków, zbuntowanych przeciw zesztywniałym formom życia społecznego. Poeta amerykański ten lud odnajduje naturalnie w pierwotnych mieszkańcach amerykańskiego kontynentu.

Longfellow do tego stopnia pragnie zbliżyć czytelnika do urzekającej go atmosfery przeszłości ludów indiańskich, że często słowo pozostawia „czerwonoskórym". Nie cofa się nawet przed częstym umieszczaniem wyrazów algonkińskich czy irokezkich obok odpowiednich angielskich. Z poszczególnych strzępów legend i baśni, zazwyczaj nieznacznie tylko zmienionych, przy tym bardzo różnorodnych pod względem pochodzenia etnicznego, stwarza całość jednolitą. Powstaje epos o wiele bardziej zwarty i pełniejszy od „Kalewali", na której się wzorował, mimo że autor „Kalewali" nie zmienił formy oryginałów, z których budował swój poemat, a Longfellow z konieczności wprowadził zmiany olbrzymie. Język oryginałów został zastąpiony angielskim. Proza i pieśni o wersyfikacji zupełnie obcej poezji europejskiej i amerykańskiej zostały zastąpione regularnym ośmiozgłoskowcem nierymowanym, zapożyczonym właśnie z „Kalewali".

Longfellow łagodzi niektóre właściwości bardziej krwiożerczych szczepów indiańskich, z drugiej zaś strony stara się wyjaskrawić dodatnie właściwości psychiczne umiłowanego przezeń ludu, jak powaga pełna namaszczenia, zimna krew w połączeniu z niesłychaną krewkością temperamentu, odwaga nieznająca kompromisów, wierność, prymitywny stoicyzm, tak obcy gorączkowej krzątaninie białych.

Longfellow osiągnął swój — świadomy czy nieświadomy — cel. Po „Hajawacie" stosunek społeczeństwa amerykańskiego do wzgardzonych przedtem Indian uległ zupełnej i trwałej zmianie. Wytworzył się nawet swoisty rodzaj snobizmu na punkcie tego ludu, snobizmu, któremu odtąd stale sprzyjała twórczość literacka (Fenimore'a Coopera, Jacka Londona i innych). Kiedy czarni traktowani są po dziś dzień w Stanach Zjednoczonych z mnóstwem rasowych przesądów i fobii, czerwonoskórych te przesądy nie dotykają. Niemała w tym zasługa pisarzy — Longfellowa przede wszystkim.

PIEŚŃ O HAJAWACIE

Gdy spytacie skąd te pieśni,
Owe baśni i powieści,
Pełne tchnień żywicznych boru,
Rosy świeżej z łąk zielonych,
Kłębów dymu z nad wigwamów,
Ryku, szumu rzek ogromnych,
Z ich dzikimi pogrzmotami,
Z ich odhuki stokrotnymi,
Rzekłbyś, gromu łoskot w górach?
Toć odpowiem wam, wyjawię —
„Z onych borów, z onych preryj,
Z wielkich jezior na północy,
Z onej ziemi Odżybwajów,
Z onej ziemi Dakotanów,
Z onych gór, z trzęsawisk, bajor,
Kędy-ci Szuszuga, czapla,
Brodzi w trzcinach, w rogozinie.
A powtarzam, com usłyszał
Z ust wymownych Nawadahy
Przesłodkiego gór śpiewaka".
Gdy spytacie gdzie Nawadah
Zbierał pieśni te, tak dzikie,
Te powieści i podania?
Toć odpowiem wam, wyjawię:
„Kędyś w ptasich gniazdach w boru,
Kędyś w norach bobrów ryżych,
W tropach od bawolich kopyt
I hen aż w orłowych gniazdach!
Leśne mu śpiewało ptaszę
Z nad trzęsawisk i mokradeł,
A z posępnej borów głuszy
Czetowaik drozd to śpiewał,
Pingwin Mang, gęś dzika Wawa,
Tudzież głuszec Muszkodasa
I Szuszuga, czapla siwa".
A gdybyście zapytali —
Kto zacz owy Nawadaha?
Prawże nam o Nawadasze!
Zaspokoiłbym żądanie,
Odpowiedział na pytania
Jak najprościej w słowach takich:

„Hen, w dolinie Tawasenta,
W cichym a zielonym jarze
Ponad rzeczki wartkim nurtem,
Gdzie nadobne wodospady,
Mieszkał pieśniarz Nawadaha.
Wokół wsi indiańskiej — pola,
Dalej łąki i pastwiska,
A za nimi stał bór ciemny,
Stał las sosen śpiewających —
Latem w zielu, zimą w bieli;
Zawsze śpiewał, zawsze wzdychał.
A wesoły nurt ruczaju
Jużbyś z dala mógł wyśledzić
Po rozkosznym szumie z wiosną,
Po olszynie bujnej latem,
Po tych białych mgłach jesienią,
Po tej smudze czarnej w zimie.
Nad rzeczułką mieszkał pieśniarz
Hen, w dolinie Tawasenta,
W cichym a zielonym jarze.
Śpiewał tam o Hajawacie,
Śpiewał pieśń o Hajawacie,
Śpiewał jego dziwny żywot, —
Jak się modlił i jak pościł,
I jak żył, pracował, cierpiał,
By móc ludzki ród podźwignąć,
By móc naprzód wieść swój naród!
Kto miłujesz czar Przyrody —
Promień słońca na murawie
I posępny cień od boru,
Wiatr szumiący skroś konary,
I szarugi, i śnieżyce,
I szum ciągły rzek ogromnych
Skroś szpalery gęste sosen,
I łoskoty gromów w górach
Z odhukami stokrotnymi
By z łopotem orlich skrzydeł, —
Słuchaj dzikich opowieści,
Słuchaj dziejów Hajawaty!
Kto miłujesz ludu baśni
I podania i powieści,
Co jak głosy hen z oddali
Zwą nas, byśmy szli posłuchać
Brzmień ich jasnych i dziecięcych,

Tak, że ledwie ucho pozna
Śpiew to, czyli mowa taka —
Słuchaj tych indiańskich pieśni,
Słuchaj dziejów Hajawaty!
Ty więc, czyje serce proste,
Bogu i Naturze wierne,
Co wiesz, że we wszystkich czasach
Ludzkie serce każde — ludzkie,
I że nawet w dzikich łonach
Są pragnienia, walki, bóle,
— Szczęścia źdźbło czyż zawrą w sobie?
Że bezradne, słabe dłonie,
Błądząc ślepo pośród mroków,
Dotkną Bożej dłoni w mrokach,
I wzniesione są, skrzepione, —
Słuchaj prostych opowieści,
Słuchaj dziejów Hajawaty!
Ty, co czasem w twych wędrówkach
Przez zielone niwy kraju,
Gdzie splątane berberysy
W dół zwieszają jagód grona
Nad murami omszonymi,
Stajesz chwilę u cmentarzy
Poniechanych, by odczytać
Na napisie pół zatartym
Proste słowa, lecz znak każdy
Pełen żalu i nadziei,
W każdym taki patos rzewny
Tego i Tamtego świata; —
Stój i czytaj prosty napis,
Czytaj pieśń o Hajawacie!"

CZTERY WIATRY

„Pokłon tobie, Mudżekwisie",
Krzykną woje, krzykną starce,
Gdy w tryumfie wrócił do dom
Z Wampum, sznurem świętym muszel,
Z państwa Wiatru Północnego,
Z tej krainy Wabasowej,
Z ziem, gdzie królem Królik Biały.
Wykradł on to Wampum święty,

Wykradł z karku Misze-Mokwie,
Gór Wielkiemu Niedźwiedziowi,
Postrachowi wszystkich plemion,
Gdy ten we śnie niespokojnym
Na wierzchołku góry lężał
Niby skały złom omszony
W burych plamach i mchu siwym.
Tak cichaczem wykradł z nagła,
Aż różowy zwierza pazur
Omal dotknął go, zadrapał,
Aż gorący oddech z chrapów
Ogrzał dłonie Mudżekwisa,
Gdy wyciągał Wampum święty
Sponad uszu co nie słyszą,
Sponad oczu co nie widzą,
Sponad nosa i znad czarnych
Znad oparów wzdętych nozdrzy,
Których ciężki, parny oddech
Ogrzał ręce Mudżekwisa.
Wtedy ujął drąg wojenny,
Z ust wypuścił okrzyk, zmierzył
W potężnego Misze-Mokwę,
W środek czoła go uderzył,
Między ślepia go uderzył.
Ciężkim ciosem ogłuszony
Powstał Wielki Niedźwiedź z góry,
Ale nogi pod nim drżały.
I w głos załkał jak niewiasta,
I się chwiejąc, a słaniając,
Pokładł się na drżących bokach,
A potężny Mudżekiwis
Stojąc przed nim nieulękle
Głośną drwiną z niego szydzi,
Z pyszną wzgardą tak doń rzecze:
„Biadać Misiu! Jesteś tchórzem,
A nie mężem jakoś dufał,
Bo nie łkałbyś, nie zawodził,
By niewiasta nieszczęśliwa!
Misiu! wiesz, że nasze rody
Z dawien sobie wzajem wraże, —
Dziś już wiesz, że my mocniejsi;
Idź, a czołgaj się do lasu,
Idź, a chroń się między góry!
Gdybyś mię zwyciężył w walce,

Ani bym nie wydał jęku,
A ty siedzisz tu i beczysz,
Hańbisz własny ród swym krzykiem,
Ni to nędzny Szagodaja,
Ni tchórzliwa baba stara!"
Znowu ujął drąg wojenny,
Znów wymierzył w Misze-Mokwę,
W środek czoła go uderzył,
Strzaskał połik jak lód, kiedy
Lud go łamie dla przerębli.
Tak był ubit Misze-Mokwa,
Wielki Niedźwiedź gór potężnych,
Wieczny postrach plemion wszystkich!
„Pokłon tobie, Mudżekwisie!"
Z krzykiem lud zawoła cały.
„Pokłon tobie, Mudżekwisie!
Niech Zachodnim będzie Wiatrem
Odtąd i na wieczne czasy.
Niech najwyższą ujmie władzę
Nad wiatrami niebieskimi!
Nie będzie się zwał Mudżekwis,
Lecz Kabejun, Wiatr Zachodni!"
Tak był obran Mudżekiwis
Ojcem wszystkich Wiatrów Nieba.
Sobie przybrał Wiatr Zachodni,
Inne dzieciom oddał swoim:
Wabunowi dał Wiatr Wschodni,
Szawondasie — Południowy,
A groźnemu Kabinocce
Wiatr Północy, zły i dziki.

Wabun piękny był i młody, —
To ten, który brzask przynosi,
To ten, czyje srebrne strzały
Pędzą mrok za góry, lasy,
To ten, czyje lica płoną
Najjaśniejszych smug czerwienią,
To ten, czyj głos wioskę budzi,
Wzywa łanię i myśliwca.
Lecz samotny czuł się Wabun,
Choć mu ptaszki w głos śpiewały,
Chociaż bujne łąki kwiecie
Wonią przestwór napełniało,
Chociaż lasy, chociaż rzeki

Jego przyjście mu śpiewały,
Przecież serce miał wciąż smutne,
Bo samotny był w niebiosach.
Raz się przyglądając ziemi,
Kiedy jeszcze wieś drzemała
I mgły rzekę otulały,
Jak duch co po brzasku błądzi —
Ujrzał dziewczę wędrujące
Samo jedno na murawie,
Zbierające muszle, bazie
Ponad wodą na murawie.
Co dnia rankiem gdy spozierał,
Pierwszą rzeczą którą widział,
Było modrych oczu dwoje,
Modre stawy dwa w sitowiu.
I miłował dziewczę, które
Jego przyjścia wyglądało;
Razem byli wszak samotni:
Ona tu, a on na niebie.
Więc zalecał się miłośnie
Swym uśmiechem, słonka blaskiem,
Słowy swymi pieściwymi
I westchnieniem swym i śpiewem,
Cichym szmerem przez konary,
Słodką grą, najsłodszą wonią,
Aż przytulił ją do swojej
Piersi w szatach purpurowych,
Aż ją w gwiazdkę przeobraził,
Drżącą wciąż na jego piersi,
I na zawsze na niebiosach
Widać razem wędrujących
Wabuna i Wabun-Annung,
Wabuna i Gwiazdę Ranną.

A zaś groźny Kabinokka
Mieszkał między lodowcami
W zimnym państwie Wabasowym,
W ziemi Wiatru Północnego.
To ten, czyja dłoń jesienią
Szkarłatem maluje drzewa,
Liście żółci i czerwieni.
To ten, co śle płatki śnieżne,
Syczy, świszcze przez bór głuchy, —
Zamraża jeziora, rzeki,

Pędzi mewy na południe,
I kuliki i rybitwy
Do ich gniazd z turzycy, z trawy
Tam w krainach Szawondasy.
Kiedyś groźny Kabinokka
Wyszedł ze swej śnieżnej chaty,
Z domu swego śród lodowców.
Włosy jego iskrząc śniegiem
Płyną za nim niby rzeka,
Gdy on sunie na południe
Po zamarzłych bagnach, tundrach.
W suchych trzcinach, w rogozinie
Znalazł nurka, Szyngiebisa,
Który wlókł sznur ryb za sobą
Przez zamarzłe błota, młaki
W tundrach cości marudzący,
Choć lud jego dawno ruszył
Do krainy Szawondasy.
Krzyknął groźny Kabinokka:
„Któż się waży mierzyć ze mną?
Któż w mym państwie śmiał pozostać,
Kiedy Wawa wyruszyła,
Kiedy dzika gęś stąd uszła,
I Szuszuga, czapla siwa
Kraj mój dawno opuściła?
Do wigwamu jego wejdę
I dymiący ogień zgaszę!“
Otóż nocą Kabinokka
Szedł ku chacie zły, zgorzkniały,
Zwalił śnieg naokół chaty,
Huknął wściekle w dymnik czarny,
Wstrząsnął chaty tej palami,
Szarpnął matą co przed wejściem.
Nurek ani się przestraszył,
Nurek ani się zatroskał.
Cztery wielkie miał ci kłody,
Każda z nich na miesiąc zimy,
A dla jadła ryb miał dosyć.
Przy ognisku ciepłym siedział,
Śmiał się syty i wesoły,
Śpiewał tak: „O Kabinokko,
Aleś też jest chłop niezgorszy!“
I wszedł oto Kabinokka,
A choć nurek, choć Szyngiebis

Poczuł go przez chłód śmiertelny,
Poczuł tchnienie lodowate,
Nie przerywał pieśni swojej,
Nie porzucał śmiechu swego,
Jeno z lekka pniak obrócił,
Jeno ogień nim rozjarzył,
Aż się skry sypnęły kołem!
Zasię z czoła Kabinokki,
Zasię z pukli śniegiem skrzących
Krople potu ciężkie zwolna
Kapią, znacząc ślad w popiele,
Jak z okapu raz po razu,
Jak z gałęzi zwisających
Kapie śnieg, topniejąc wiosną,
Żłobiąc dołki w zaspach śnieżnych,
Aż-ci wreszcie wstał, porażon,
Nie mogąc już strzymać żaru,
Ani śpiewu wesołego.
Ze zwieszoną pobrnął głową
Poprzez lody rzek i jezior,
Śnieg stwardniając ponad nimi,
Lód zgrubiając ponad nimi.
Wyzwał nurka, Szyngiebisa
By szedł z nim się zmagać dalej,
By szedł z nim się zmagać nago,
Na zamarzłe młaki, błota.
Szedł więc dalej nur Szyngiebis,
Zmagał się z Północnym Wiatrem
Całą noc w szuwarach nago,
Z owym groźnym Kabinokką,
Aż dech tegoż chwiejny zwątlał,
Aż chwyt jego mroźny osłabł,
Aż się chwiejąc i słaniając,
Ruszył słaby, zwyciężony
Do krainy Wabasowej,
Ziemi Wiatru Północnego,
Słysząc jeszcze śmiech burzliwy
Słysząc nurka Szyngiebisa
Taką pieśń: „O Kabinokko,
Aleś też jest chłop niezgorszy!"

Szawandasa tłusty, gnuśny
Mieszka het-het na południu
W niemrawym drzemiącym słońcu,

W lecie trwającym niezmiennie.
To ten, który ptactwo leśne
Zsyła: raszkę więc, Opeczy,
I kolibra śle, Owajsa,
Zsyła Szoszo też, jaskółkę,
Wawę-gęś śle ku północy,
Zsyła tytoń i melony
I szkarłatne winne grona.
Dym powstały z jego fajki
Parą niebios strop napełnił,
Sennym czarem zaś powietrze,
Wzgórza dzikie łagodnością.
To ten, kto indyjskie lato
Wnosi w kraj Północy chmurnej
W osmętniałym Nart Miesiącu.
Zbyt trosk, chcenia Szawandasa!
W jego życiu cień jedyny,
W jego sercu smutek jeden.
Raz, gdy patrzał hen na północ,
Samiuteńki w całej prerii,
Ujrzał dziewczę tam stojące
O kibici smukłej, wdzięcznej,
Samiuteńkie w całej prerii.
Szata jej zielonej barwy
A zaś włosy jak blask słońca.
Co dnia w oną się wpatrywał,
Co dnia dyszał namiętnością,
Co dnia serce wraz z nim samym
Miłość coraz rozpalała
Ku dziewicy złotolokiej;
Lecz zbyt tłusty i leniwy
Był, by o nią miał się starać,
Zbyt opasły, zbyt wygodny,
By ją ścigać, by ją chwytać,
Tak, że jeno smętnie ku niej
Patrzył, dysząc namiętnością,
Ku dziewczynie onej z prerii.
Aż raz spoglądając wkoło,
Ujrzał jej złociste loki
Jakby inne — bielą kryte,
By najbielsze śniegu płatki.
„Hej, ty bracie mój z Północy,
Z tej krainy Wabasowej,
Z ziem, gdzie królem Królik Biały!

Tyś mi wykradł tę dziewczynę,
Tyś swą dłoń położył na niej,
Tyś ją oczarował wątkiem
Baśni kraju Północnego".
Tak nieszczęsny Szawondasa
Tchnął w powietrze smętki swoje.
Południowy Wiatr po prerii
Krążył, dysząc namiętnością,
Westchnieniami Szawondasy,
Aż się ziemia pełna zdała
Płatów śnieżnych gęstych, białych,
Preria — pełna ros tarniny;
Dziewczę z włosem jak blask słońca
Znikło z oczu mu na zawsze.
I już nigdy Szawondasa
Nie obaczył złotolokiej.
O, zwiedziony Szawondaso!
To nie była ci niewiasta,
Na coś patrzył chciwym okiem,
To nie była ci dziewczyna,
Ku czemuś tak tęsknie wzdychał,
Toż to mniszek był preriowy,
Ku któremuś sennym latem
Z takim żarem słał spojrzenia,
Z taką wzdychał namiętnością;
Kwiat, zdmuchnięty już na zawsze
Twymi właśnie westchnieniami!
O, zwiedziony Szawondaso!

Tak więc były podzielone
Cztery wiatry, tak synowie
Mudżekwisa otrzymali
Miejsca stałe na niebiosach,
Miejsca na ich rogach; zasię
Wiatr Zachodni przybrał sobie
Sam potężny Mudżekiwis.

przełożył i komentarzem opatrzył
Bogdan Żyranik

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

AMERYKAŃSKI PIEWCA MURZYNÓW

Springfield — to nazwa, od której roi się w atlasach USA. Springfield w stanie Illinois — to jednak coś niezwykłego. Ta osada, licząca 70 000 mieszkańców, to stolica stanu liczącego 150 000 km² i 7 milionów mieszkańców, w tym 3 miliony w samym Chicago. Stan Illinois, wywodzący swą nazwę od indiańskiego miana Illinois, dopływu rzeki Mississippi, jest co do liczby ludności i uprzemysłowienia trzecim spośród 48 stanów USA i odgrywa wybitną rolę zarówno w gospodarce ekonomicznej państwa jak i w ruchu kulturalnym.

Wytwarza się swego rodzaju kultura chicagowska, pełna rozpędu, szowinizmu, szorstkości, typowo amerykańska, młoda i radosna kultura, która znajduje wyraz w bujnym życiu Chicago. Trzej poeci tej krainy, Masters, Sandburg, Lindsay pochodzą stąd, wyrażają jaskrawo klimat duchowy tego ośrodka, który marzy, że kiedyś zepchnie New York i Washington z naczelnego miejsca i sam poprowadzi USA w przyszłość wielką, imperialną, obejmującą cały krąg ziemi.

Vachel Lindsay, który urodził się właśnie w tym urojonym centrum świata, reprezentuje tezę o przodującej roli, która oczekuje jego rodzinne miasto. Wielkość dziejowa Springfieldu oszołomiła go. Przecież tutaj właśnie przed r. 1860 żył i działał przez szereg lat ojciec demokracji amerykańskiej, Abraham Lincoln. Tu był geometrą, adwokatem, później posłem, kandydatem na prezydenta, a gdy w r. 1865 w kwietniu, przeprowadziwszy epokową zmianę w Stanach przez wygranie wojny domowej i usunięcie niewolnictwa, padł na posterunku w Washingtonie, przeszyty kulami skrytobójcy, aktora Bootha, uważano, że nie gdzie indziej, tylko tutaj, w Springfield, winien być złożony na wieczny spoczynek. Do dziś też wznosi się tu egipski obelisk nad skromnym grobowcem, na starym cmentarzu, na północ od miasta, na wzgórzu zwanym Oak Ridge, Dębowe Wzgórze. Jest to mała budowla z murowaną podstawą i drzwiami prowadzącymi do wnętrza. Stąd w okresie zawieruch wojennych świata wychodzi z grobu ten bohater dobrotliwy, wielkolud o gołębim sercu, przeciwnik wszelkich wojen, sam tragicznie zmuszony do przeżycia bratobójczej rzezi. Wyszedłszy kroczy o północy przez ulice miasta, przystaje przed domem, gdzie mieszkał, przed gmachem gubernatora, przed

Capitolem rządu stanowego i ukoić nie może swego bólu, że znowu się krew ludzka leje... Miasto ma swoją legendę.

Legenda ta jest wciąż żywa, gdyż prądy polityczne przebiegają stan Illinois zawsze bardzo intensywnie. Obywatele jego reagują na każdy przejaw postępu i poprawy, na problemy wolności osobistej i krzywdy społecznej, na prohibicję, na reformy podatkowe i szkolne. Już w wieku XX, za życia i pamięci Lindsaya powstał tu i działał gubernator stanu John P. Altgeld, który ciężkimi prześladowaniami przypłacił swoje szlachetne plany reformatorskie. Vachel Lindsay poświęcił mu wiersz pt. „Orzeł, którego zapomniano".

Wspomina Altgelda również Masters w swoim „Cmentarzu" z Spoon River, mówiąc o pożarze wywołanym przez klikę polityczną, która spaliła stary lincolnowski budynek w Capitolu. W ogóle, czytając arcydzieło Mastersa ma się wrażenie, że to właśnie Springfield jest prototypem jego *rotten borough* z „Cmentarza". Tyle tu właśnie polityki, korupcji i intryg charakterystycznych dla Springfieldu, chociaż prasa twierdzi, że raczej sąsiedni Hanover służył za tło utworu Mastersa. Nawiasem mówiąc, rodzice Mastersa mieszkali w r. 1914 w Springfield i nigdzie indziej nie rozchwytywano tak chciwie zeszytów pisma *Reedy's Mirror* z wierszami Mastersa jak właśnie tu w Springfield.

Do najgorliwszych czytelników należał oczywiście Vachel Lindsay. Urodził się w r. 1879 w domu, w którym do śmierci w r. 1932 mieszkał, a który zrządzeniem przypadku stoi naprzeciw historycznego gmachu państwowego, będącego świadkiem tylu wydarzeń politycznych. Domostwo to należało niegdyś do rodziny Abrahama Lincolna, mianowicie do siostry jego żony. Mieszkanie Lindsay'ów gościło niegdyś aż nazbyt często narodowego bohatera kraju. Młody chłopiec uświadomił sobie te fakty bardzo wcześnie i zostawał zawsze pod ich wrażeniem.

W rodzinnym Springfield ukończył Lindsay szkołę średnią i wyższą, a po kilkuletnich studiach w uczelni Sztuk Pięknych w Chicago i w New Yorku (1902—1905) powrócił do Springfield i poświęcił się malarstwu i poezji.

Wybór tego zawodu wypłynął z tradycyjnych zamiłowań rodziny. Matka poety, Kate Frazee, była nauczycielką malarstwa i literatury w kolegiach stanów Południa. Razem z mężem, doktorem medycyny, spędzała stale wywczasy letnie w Europie, poznając kraje, architekturę miast i muzea, począwszy od Szkocji do Sycylii. Rodzina Lindsay'ów jest pochodzenia szkockiego. Emigrowała do stanów południowych, do Virginii, przed r. 1800. Posiadała poważne dobra w Kentucky przed wybuchem wojny domowej. Straciwszy gromadę czarnych niewolników, zostali Lindsay'owie nadal demokratami południowymi, nawet osiedliwszy się w stolicy ruchu republikańskiego, w Springfield. Ojciec utrzymywał do końca murzynów i murzynki jako służbę domową. Obdarzony pięknym głosem i wielką muzykalnością, śpiewał dzieciom mnóstwo pieśni murzyńskich. Egzotyczny nastrój w domu wzmagał się jeszcze przez to, że w rodzinie błąkała się świadomość o przymieszce krwi indiańskiej ze strony przodków matki, należących ongi do szczepu Mohi-

kanów. Celtycka i indiańska fantazja kazała młodemu Vachelowi kierować się w dziedzinę twórczości artystycznej, iść do instytutów w Chicago i New Yorku.

Przejęty ideami Ruskina, Patera, Wiliama Morrisa, Browninga, prerafaelitów, Berdsleya, sztuką Azteków i Peruwiańczyków, wzorami Egiptu — na który uwagę zwróciły mu, jak sam pisze, nazwy miast stanu Illinois, gdzie znajduje się i Cairo i Karnak i Teby, a nawet Memfis — absolwent sztuk pięknych, Lindsay, powziął plan zreformowania swego otoczenia i całych USA według kategoryj estetycznych, które byłyby syntezą sztuki starożytnej i nowoczesnej, Wschodu i Zachodu.

Te świecko pogańskie ideały przyoblókł w strój purytańsko-mistyczny, zapożyczony z środowiska springfieldowskiego, gdzei krzewiły się bujnie YMCA, Armia Zbawienia, sekty nonkonformistyczne, kółka swedenborgianów i — katolicyzm. Mimo krzyków oburzenia w mieście, gdy wystąpił z inicjatywą wybudowania katedry, zresztą nie katolickiej, lecz interkonfesjonalnej, gdzie byłoby miejsce i na Konfucjusza, Swedenborga i Buddę, odważny inowator ogłosił wszem wobec w „Złotej księdze Springfieldu" i w szeregu innych broszur propagandowych, że

piękne ulice są lepsze niż srebro, zielone parki lepsze niż srebro,
zły smak to prawo motłochu, dobry smak to demokracja;
zły rząd to klątwa sama w sobie;
zły rysownik to zły obywatel;
nagle zdobyta zamożność to surowizna i nonsens, należycie znoszone ubóstwo to wytworność;
nasze obrazy powinny być dobrymi obrazami, nasze pomniki dobrą rzeźbą, nasze gmachy dobrą architekturą;
brzydota — to nierząd.

Vachel Lindsay urobiwszy swój pogląd, nie myślał go, jako prawdziwy Yankes, chować pod korcem. Odrzuciwszy walizy i pieniądze, wybrał się w r. 1906 w świat, żeby głosić swoją „ewangelię piękna". Zatrzymując się po miasteczkach i osadach, rozwieszał swoje rysunki architektoniczne, swoje plany rozbudowy urbanistycznej, swoje fantastyczne rysunki, jak ma wyglądać przetworzony, na wyższy stopień wyniesiony świat amerykański, wygłaszał odczyty, deklamował wiersze, rozdawał za udzielenie dachu nad głową zbiorek pt. „Wiersze w zamian za kawałek chleba".

Postawny, śmiały, obdarzony wspaniałym barytonem, gromadził liczne audytorium i przeszedł po pierwszych nieśmiałych próbach, wahaniach i depresjach w tryumfie stany Południa, Georgię, północną i południową Karolinę, Floridę, Alabamę, wreszcie przerzucił się na zachód od Mississippi, dotarł do Nowego Meksyku, do kolonii artystów, poetów i malarzy w Santa Fé, zbierając bogate żniwo spostrzeżeń, rytmów, melodii — jazzbandu.

Zaczęło się od podróżnego kija i od sakwy, od utrudzeń i głodu, a skończyło

na potężnych manifestacjach, konwentyklach przyjęć, tłumnych owacjach. W przeciągu kilku lat usłyszało poetę przeszło milion słuchaczy we wszystkich stanach USA. Vachel Lindsay recytator stał się głośną, podziwianą, celebrowaną postacią.

Pierwszy tom poezyj pt. „Generał Booth wkracza do nieba" miał znaczny rozgłos. Właśnie w roku poprzednim zmarł był założyciel Armii Zbawienia, pastor metodystyczny, kaznodzieja ludowy, dobroczyńca najbiedniejszych warstw społecznych, usiłujący podnieść je przez wprowadzenie ich do swej organizacji. Lindsay podczas swych wędrówek korzystał nieraz w okresie początkowych niepowodzeń i wyczerpania z noclegów w przytułkach Armii. Odwdzięczył się jej doskonałym poematem.

Następny tom pt. „Kongo — Studium szczepów murzyńskich" (1914) był rewelacją i sensacją literacką całej Ameryki. Przyniósł tysiące zaproszeń na estradę, gdzie autor, więcej śpiewak niż poeta, uzyskał rekord sukcesów.

W „Kongo" wprowadził Lindsay do poezji temat murzyna, tak mu od dzieciństwa znany. Minęła wojna domowa z lat 1860—1865. Element murzyński nauczył się śpiewać, bawić, wnikał coraz bardziej w sztukę Stanów ze swymi motywami, a szczególnie jazzbandem. Żywiołowy rytm synkopy, oryginalna instrumentacja orkiestry, banjo, saksofony wybijające się ponad skrzypce i puzony obiegły Amerykę. Obiegły po wielkiej wojnie Europę i cały świat.

Lindsay uchwycił niepohamowany temperament rasy murzyńskiej, jej wesołość, śpiewność, chęć głośnej zabawy, jej obrzędy, tańce, fantazję naiwną, mieszającą niebo i ziemię w jeden chaotyczny obraz szału i radości. Stworzył kapitalne murzyńskie utwory jak „Szymon Legree: Kazanie murzyńskie", „John Brown", przede wszystkim zaś „Kongo".

Łatwo sobie wyobrazić, czytając uwagi na marginesie „Konga", jak przedstawiała się melodeklamacja utworu przez autora. Mimika całego ciała, ściszanie tonów i przebieganie po całej skali potężnego głosu, towarzyszenie muzyki, taniec ekstatycznego odtwórcy na estradzie — to było upojenie dla publiczności. Przedstawienie raczej niż wieczór cichej liryki. Okrzyki, oklaski, bisy. Poeta upajał się własnym utworem i szarżował coraz jaskrawiej swój występ.

Olbrzymie powodzenie produkcji artystycznych odbiło się ujemnie na dalszej twórczości poetyckiej Lindsaya. „Jazz o Danielu", „Serenada strażaka", „Taniec ziemniaków", „Ryk Kaliopy", są przesadnym nadużyciem hałasu, tubalnych okrzyków i zewnętrznych środków ekspresji przy braku wewnętrznej treści.

To samo dotyczy długiego szeregu wierszy politycznych, aktualnych, błahych, w których Lindsay dał się porywać wymogom chwili, schodząc z roli poważnego poety do poziomu zwykłego wierszoklety politycznego. Uwielbianie przedstawicieli władzy, choćby nawet Teodora Roosevelta czy Woodrow Wilsona, nie mówiąc o histrionie Williamie Jenningsie Bryanie, poprowadziło go na wyraźne bezdroża. Wiele z tych poronionych prób przyniosły dalsze publikacje, m. in. „Złote wieloryby Kalifornii" (1920).

Za to opracowanie tematów dziecięcej pustoty, drobne liryki o księżycu, należą do najudatniejszych wierszy Lindsaya. Jego „Collected Poems" pełne są tych czarujących baśni dziecinnych.

Inna strona twórczości Lindsaya to — egzotyka. Tematy chińskie znalazły piękny wyraz w wielkim poemacie pt. „Słowik Chin". Ten długi, rymowany utwór uważają znawcy za arcydzieło tak charakterystyczne, że w wydaniu zbiorowym postawił go autor na czele całego tomu. Amerykę dziwnie pociąga urok poezji zza Pacyfiku.

Tematy chińskie wracają bardzo często przy lekturze poetów amerykańskich. Eunice Tietjens ogłosiła cały cykl chiński. Lindsay zainteresowany jest osobiście Chinami. Siostra jego i szwagier, Wakefieldowie, pracują w dziedzinie chrystianizacji Chin.

W pamięci ogółu czytelników trwać będzie jednak Lindsay jako autor „Konga". Odnosi się wrażenie, że poeta posiadał za mało własnej, duchowej głębi, za mało zrozumienia problemów życia, za mało introspekcji i powagi. W polu jego świadomości nie jawiła się zaduma, zagadka bytu i losów świata, lecz wyłącznie kalejdoskop zewnętrznych postrzeżeń i wrażeń. Malarz i aktor przygłuszał w nim poetę, rozbudzonego zresztą dość późno i przypadkowo. Hałaśliwość, rekordowość i ekscentryczność cywilizacji USA znalazła w nim właśnie przez te cechy charakterystycznego reprezentanta.

Jeden ze słuchaczy deklamacyj poetyckich, wygłaszanych przez Lindsaya w Anglii, pisze o nim: „Ma on przedziwny instrument głosowy, biegnący od szerokich okrzyków do najcichszych, do najsłodszych melodii. Jest młodym człowiekiem o lśniących oczach i ruchliwej twarzy aktora. Najpierw mówi bezpretensjonalnym głosem konferensiera o genezie danego utworu. Potem, odrzuciwszy głowę wstecz i zamknąwszy oczy, zamienia się we wrażliwy instrument, przez który jego wzruszenia zmieniają się w muzykę". Nawet zblazowana Europa nie umiała oprzeć się urokowi amerykańskiego poety-recytatora.

W r. 1925 ożenił się Vachel Lindsay z panną Elisabeth Connor z Washingtonu. Jako ojciec dwojga dzieci, syna i córki, mieszkał w ulubionym Springfield. Tu w r. 1932 zaskoczyła go przedwczesna śmierć.

KONGO

(Studium szczepów murzyńskich)

I. ICH PIERWOTNA DZIKOŚĆ

(głębokim potoczystym basem)

Tłuste, czarne zbiry, kędy barył wina kram,
winiarniani króle, w podrygach swywolą.
Chylą się, taczają i biegają w kole,
biją po stole,
w pustą biją beczkę aż drży kram,
biją w beczkę i po stole
bum-li, bum-li, bum-li, bam.
Jedwabne wznoszą parasole,
miotły biorą tram,
bum-li, bum-li, bum-li, bam.

Nagle przyszło na mnie Natchnienie.
Nagle przyszło Widzenie.
I nie mogłem się z drwiną odwrócić,
patrząc na ich pląsy i chuci.
I OTO UJRZAŁEM RZEKĘ KONGO
WIJĄCĄ SIĘ W MROKU,
IDĄCĄ PRZEZ DŻUNGLE NA KSZTAŁT
ZŁOTEGO POTOKU.

(rozważniej uroczystym śpiewem)

I nagle na tej rzeki brzegach,
na tysiące mil głęboko,
ujrzałem ludojadów barwionych posoką,
roztańczonych w szeregach.
I pieśń usłyszałem śpiewaną nad Kongiem.
Pieśń krwawych piszczelów uderzanych gongiem.

(gwałtowne stopniowanie szybkości i zgiełku)

„Krwi" zapiszczały piszczałki i drumle wojowników.
„Krwi" zapiszczały twarze-czaszki, twarze-maski czarowników.
— „Kręćcie, kręćcie motowidło,
czar rzucajcie, czar ponury.
Niszczcie, niszczcie wszystkie góry.
I kradnijcie wkoło bydło —
bing — bam, bum-li, bum-li, bam". —

(z filozoficzną pauzą i zadumą)

Potoczysta pieśń murzyńska, pieśń bystrzyca,
płynie, płynie od ujść Konga
do podnóży Gór Księżyca.

(głośnym akcentowanym rytmem)

Śmierć posuwa się jak Słoń.
Oczy ma jak ognie jasne.
Boki pianą zlane, straszne.
Bum — Wykradajcie szczep Pigmejów.
Bum — Zabijajcie szczep Arabów.
Bum — Zabijajcie ludzi białych.
Hoo, hoo, hoo.

(na podobieństwo wichru w kominie)

Posłuchajcie jak duch Leopolda wyje w męce,
płonąc w piekle, że obcinał ludziom ręce.
Posłuchajcie, jak demony wyją wściekle,
obcinając jego dłonie tam w podziemiu, w piekle.
Posłuchajcie ostrzeżenia tajemnego,
które wionie do leż zwierza śródleśnego.
Które wionie obok kopców mrówek białych.
Obok bagien gdzie motyle pieśń śpiewały:

(wszystkie dźwięki „O" złocisto płynnie,
ciężkie akcenty ciężko. Lekkie akcenty lekko.
Ostatni wiersz szeptem)

Uważajcie, co czynicie,
bo Bóg Mumbo-Jumbo, bóg wód Konga,
i bogowie inni Konga
rzucą na was urok zły.
Rzucą na was urok zły.
Rzucą na was urok zły.

II. ICH ŻYWIOŁOWA WESOŁOŚĆ

(tonem cienkim wysokim)

Dzicy gracze w kości z krzykiem aż się odgłos czyni
jumby tan zawodzą w gier jaskini.
Śmieją się, że skonać można. Że drży miasto.
Kpią z policji. Kpią z niej z wrzaskiem:
bum-li, bum-li, bum-li, bam.

(czytaj tak samo jak w części I)

NAGLE UJRZAŁEM RZEKĘ KONGO
WIJĄCA SIĘ W MROKU,
IDĄCĄ PRZEZ DŻUNGLĘ NA KSZTAŁT
ZŁOTEGO POTOKU.

*(połóż nacisk na subtelne obrazy. Suń jak na palcach.
Tak lekko jak tylko można)*

Świat czarodziejski negrów strzelił naraz w górę.
Zalśniła rzeka, sama jak czarodziej.
Sny fantastyczne lśniły na jej wodzie.
Pałac z kości słoniowej wzniósł swe mury
poprzez kwitnące drzewa aż pod zmierzchu chmury.
Inkrustowane bramy i blask promieniały.
Lśniły jak złoto, kość słonia, jak kieł jego biały.
A tłum Murzynów śmiał się, że aż zrywał boki,
widząc jak pawian wkracza w agatowe progi,
słysząc jak kapela papug wabi
krzykami płynącymi z gajów magii.

(z pompą)

Orszak czarowników o zgolonych czaszkach
wyszedł z drzwi agatu w ubiorach i blaskach,
w powłoczystych szatach szytych w liść złocisty,
w kapeluszach z diamentem czystym.
A tłum na dziedzińcu wydał okrzyk w chórze
i zatańczył jumbę przy zamkowym murze.

(z wielkim namysłem i tajemniczością)

Lecz znachorzy uciszyli tłumne gwary
zimnym, gniewnym wzrokiem i przyśpiewem starym:
„Mumbo-Jumbo rzuci na was urok zły".

(z obezwładniającą pewnością siebie, z humorem i napuszenie)

Wtem książęta Króla Tortu tłuści i miluchni,
królewicze w długiej i różanej sukni,
w butach lakierowych wyszli lśniący,
w kapeluszach o barwach jak wino gorących.

(z rosnącą szybkością i wyraźnie zaznaczoną rytmiką taneczną)

Z dumą prowadzili partnerki, dziewczęta.
Perła w ich włosach czarnych jak węgiel zatknięta.
Giezła do kolan strojne w jaśmin słodki.
Nóżki drobne. Dzwoneczki na kostkach wiotkich.
Z śmiechem, krzykiem kpiły pary z masek chudych.
Na nic zdały się śpiewów, gniewów ich obłudy.
(O, niezwykłe to były kpiny, co sprawiły,
że na twarz czarowników wykwitł uśmiech miły).

Wtem Majestat Króla Tortu zaczął wkoło
ciasta chodzić co sięgało mu po czoło,
pod wtór pieśni: bum-li, bum-li, bam.
A znachorzy śmiali się, śpiewali groźnie,
widząc jak wesołość kpiarzy rośnie.

(z zabarwieniem dialektu murzyńskiego i pod koniec możliwie szybko)

„Idź ostrożnie, idź ostrożnie,
bo Mumbo-Jumbo, bóg wód Konga,
i bogowie inni Konga,
Mumbo-Jumbo, rzucą na was urok zły.
Zważaj. Zważaj. Idź ostrożnie.
bum-li, bum-li, bum-li, bam.
Bum-li, bum-li, bum-li bam.
Bum-li, bum-li, bum-li bam.
Bum-li, bum-li, bum-li
bam.

(wolno. Z filozoficzną zadumą)

O, niezwykłe to były kpiny, co sprawiły,
że na twarz czarowników wykwitł uśmiech miły.

III. NADZIEJE ICH WIARY

(ciężkim basem. Z naśladowaniem zgiełku, zachwytów i krzyków meetingu)

Poczciwy stary Negr gromił siostrę w zaułkach miasta,
że w suknię się jedwabną ubrała niewiasta.

Prawił bratu kazanie za obyczaje jego luźne,
włóczęgostwo i opilstwo, kradzież, sprawki różne.
Bił dłoniami o tom biblii, aż poszła na strzępy.
I w końcu zanucił hymn zachwytu wniebowzięty.
A niektórzy mieli wizję tak jak stali w krzesłach.
I śpiewali o Jakubie i drabiny przęsłach.
I kajali się głęboko. Po tysiączne razy.
Za swój upór. Za swą dzikość. Za grzech i za zmazy.
I z hukiem zamykali księgę Hymnów śród ścian
drżących od okrzyku: Chwała. Chwała. Chwała.
I okrzyków: bum-li, bum-li, bum-li, bam.

(podobnie jak w części I)

I UJRZAŁEM RZEKĘ KONGO
WIJĄCĄ SIĘ W MROKU,
IDĄCĄ PRZEZ DŻUNGLE NA KSZTAŁT
ZŁOTEGO POTOKU.

Nagle nieba się otwarły jak zasłony świeże.
Ukazały apostołów strojnych jak rycerze.
W jasnej, lśniącej stali rozsiedli się rzędem,
i śledzili jak się Kongo wiło szlakiem krętym.
I jak było ich dwunastu, jak siedzieli na swych tronach,
poruszyli lasy wszystkie pieśnią o niebiańskich tonach.

(śpiewać na nutę: „Słyszcie, dziesięć tysięcy harf i głosów")

„Mumbo-Jumbo umrze w dżungli.
Nigdy uroku nie rzuci na was już.
Nigdy uroku nie rzuci na was już.

(z rosnącym rozmysłem i radością)

Wówczas wzdłuż tej rzeki pola w krąg na mil tysiące
pokryły szeregami drzewa padające.
Aniołowie siekiernicy torowali drogi.
Dla dzieciątek pod raj Konga. Pod ogrody.
Pod stolice święte. Pod świątynie ludzi.
Znikli czarownicy w maskach chudzi.

(w wysokim tonie, możliwie delikatnie)

Tam, gdzie duchy-bogi zawodziły pieśń żałosną,
miliony łodzi z aniołami rosną.
Fale tną wiosłami z srebra i dziobem z błękitu.
Skrzydła z jedwabiu lśnią w słońcu u szczytu.

Cała się kraina odmieniła w ląd. W Nowinę.
Wiatr przez murzyński naród szumiąc płynie.
I przez wyręby, puszcze i poręby dźwięczy

(na nutę: „Słyszcie, dziesięć tysięcy harf i głosów")

„Mumbo-Jumbo umarł w dżungli,
Nigdy uroku nie rzuci na was już.
Nigdy uroku nie rzuci na was już".

Odkupione zostały lasy, zwierzęta i ludzie.
Odtąd tylko jastrząb, w ciszy złudzie,
w oddali, gdzie Góry Księżycowe,
odważy się zakrakać dawne zwy Kongowe:

(zamierająco, głosem przechodzącym w poszept)

„Mumbo-Jumbo rzuci na was urok zły.
Mumbo... Jumbo... rzuci na was urok zły...
Mumbo... Jumbo... rzuci... na was...
urok... zły".

SAFARI

— Do Capetown wlekliśmy się przeszło trzy tygodnie — mówił kręcąc głową i udając gniew Stelio — po to, by tam stać tydzień na kotwicy i nie wyjść na ląd.

— Wolałbyś stać tydzień dłużej w Nowym Jorku i opróżniać bar twego krewniaka — wtrącił Antek.

— Nie, chciałbym, byśmy jak najszybciej już szli do Aleksandrii. Przyrzekłem krewniakowi, że pozdrowię od niego ciotkę. Ucieszy się bardzo, gdy się dowie, że jej brat przyjedzie po wojnie do Salonik, prawdziwy bogacz z milionem drachm.

Lambro wyciągnięty wygodnie w fotelu uśmiechał się i mówił:

— Słyszałem od oficerów, że tu w Mombasie wyładujemy towar. Może i lepiej, nie będziesz jej łudził.

Hindus w białej koszuli, sięgającej do stóp, w różowej krymce, zbierał puste kufle ze stolika.

— Jeszcze piwo — mówił Antek, zataczając ręką półkole. Miało to znaczyć, że dla wszytkich.

— Cóż to za miejsce — odezwał się niepocieszony Stelio. — W Aleksandrii jak w Grecji: wszędzie słyszysz Kalimera, Patrioto Eleniko, i wszystko jest na nasz sposób.

Lambro spojrzał na Antka i rzucił Steliowi:

— Lepiej powiedz nam co o twoich kuzynkach.

Stelio żachnął się, lubił bowiem mówić o pięknych dziewczętach, ale o obcych.

— Czy nosy mają takie jak Pallas Atena — ośmielał go Antek.

— I kształty jak Helena — dodał radośnie Lambro.

Hindus przyniósł piwo, wziął pieniądze, i odszedł cicho. Stelio przyparty wzrokiem przyjaciół, mówił wolno:

— Dobrze, ujrzycie je. Nie cieszcie się, Lambro. Greków widziały one dużo. Ty, Antek będziesz dla nich bardzo obcy z twoją opaloną skórą i jasnymi włosami.

Pili piwo, patrząc w kufle.

— Dobre — mruknął Antek.

— W koloniach biali piją lepsze, niż w swoich krajach — poprawił Lambro.

Rozparli się wygodnie w fotelach, przyglądając się pijącym. Na wielkiej werandzie, na posadzce z barwnej kostki kamiennej stały liczne okrągłe stoliki. Na nich kufle z piwem, a przy nich, zakopani w fotelach, marynarze z marynarki wojennej w koszulkach i białych spodniach do kolan. Wszyscy pili piwo, pocąc się przy tym obficie.

— Widzicie na czapkach — mówił Antek — *Rewenge*. Ten sam, cośmy go widzieli w Durbanie. Widocznie szedł z boku konwoju.

Przytaknęli mu głowami.

Jarzące światło elektryczne wylewało się z werandy na ulicę, oświetlając ciżbę handlarzy, przeważnie Arabów. Sprzedawali wszystko, nie wyłączając kobiet. Za nimi tłoczyli się ulicą czarni, mieszańcy i Hindusi.

Opodal rozmawiających siedziało dwóch elegantów w tropikalnych, zaprasowanych nienagannie ubraniach. Starszy wyglądał na Anglika — pił whisky. Młodszy był na pewno Grekiem — pił kawę z małej filiżanki.

Dostrzegłszy go, Lambro i Stelio zaczęli między sobą rozmawiać po grecku. Młodzian, który pił kawę, słysząc ich, wstał i podszedł, nawiązując rozmowę. Po chwili przywołał swego towarzysza. Uścisnęli sobie nawzajem dłonie i usiedli razem. Grecy poczęli rozmawiać ze sobą z całą namiętnością swej melodyjnej mowy. Tymczasem Anglik uśmiechnął się i skierował oczy na Antka.

— Napewno plantator — przemknęło Antkowi przez głowę — długo tu siedzi i wie dużo ciekawych rzeczy o tym kraju. — Palnął więc prosto z mostu:

— Co najwięcej opłaca się tu plantować?

— Nie wiem — odparł tamten spokojnie — nie jestem plantatorem, jestem *crack-shooter* — zakończył śmiejąc się.

— Co to za zawód? — myślał Antek, zaniechał jednak dalszych pytań. Szkot, pochodzący z Edynburga, mówił o tutejszym kraju, dając do zrozumienia, iż chwali sobie jego zwyczaje i życie. Śmiał się opowiadając, jak przed dwoma laty był w Szkocji przez trzy miesiące i przez całe trzy miesiące padał deszcz. W rezultacie nabawił się kataru i kaszlu. Wyraźnie mu nie sprzyjał jego rodzinny klimat.

Antek opowiedział mu o zimach w swoim kraju. Szkot wzdrygnął się, jakby na samą myśl o tym zrobiło mu się zimno.

— Gdzie to jest, chyba w Rosji? — zapytał

— Nie, w Polsce.

Szkotowi twarz rozpłynęła się w szczerości:

— Whisky dla wszystkich — krzyknął stojącemu blisko Hindusowi.

Antkowi w głowie utkwiło „wyborowy strzelec". Szkot najwidoczniej zażartował sobie. Ciekawość jednak potęgowała się w nim.

— *Crack-shooter* — co to za zawód? — zagadnął wreszcie.

— Prowadzę Amerykanów w dżungle. Głównie tych, którzy przyjechali na safari strzelać do kotów i słoni.

Antek poderwał się z fotela ze zdziwienia. Oczami szukał Hindusa. Szkot dgadł jego myśli i przerwał mu: —

— Tu nie będziemy pili, za pięć minut zamykają. Pójdziemy na balkon.

Marynarze gromadami opuszczali ze śpiewem werandę. Stelio i Lambro zaierali się do odejścia. Pożegnali się ze swoim krajanem i ze Szkotem, czekając a Antka.

— Ja zostaję — mówił Antek — przyjdę jutro na ósmą do pracy.

Z balkonu słychać było śpiew odchodzących marynarzy. Wreszcie wszystko zamilkło i zrobiło się cicho. Hindus przyniósł w kuble z lodem butelkę ina, nalał do szklanek i wyszedł. Antek był podniecony. Pił więcej niż awsze. Dolewał sobie i Szkotowi. Grek opuszczał ich często, nie chcąc, jak ówił, pić za dużo.

— Opowiedz pan jedno safari — nalegał Antek.

Szkot nie dał się długo prosić. Oczy mu zabłysły i zaczął:

— Przed siedmioma laty z Ameryki przyjechali filmowcy, małżonkowie ohnson. Wyładowali tutaj cały swój bagaż. Był niemały. Prócz kamer, apaatów do kręcenia filmów, strzelb, mieli jeszcze dwa auta na gąsienicach, dwa amoloty, szoferów, pilotów i innych pomocników. Przez osiem miesięcy włóczyłem się z nimi po Kenii i Tanganice. Było nas wtedy trzech strzelców yborowych. Mieliśmy niełatwą robotę. Zwierzęta uciekały z okolicy z nalejściem tak licznej karawany. Musieliśmy chodzić daleko od obozu, by je potykać na ich ścieżkach, legowiskach, miejscach polowania i przy wodopoach. Śmieszne historie przeżyliśmy w Tanganice. Wjechaliśmy w trawiasty raj. Jedziemy wolno, auto za autem. Na dachach aut aparaty filmowe, przy ich Johnsonowie, a obok nich my ze strzelbami. Przed nami podrywają się eopardy, antylopy. Głowy żyraf na wysokich szyjach falują z daleka nad rawą. Wszystko ucieka. Zjeżdżamy na dół w stronę rzeki, trawa coraz wyża. Powinny być tam nosorożce, zawsze je tam spotykaliśmy. Są. Po chwili idzimy je, dwa czarne grzbiety przy sobie. Jedziemy wolniej w ich stronę, ż nagle trawa się kładzie ścieżką w naszą stronę. Kieruje prosto na nas. Zarzymaliśmy wozy. Widzimy czarne grzbiety, suną jeden od drugiego o dziesięć metrów. Koledzy moi biorą na cel pierwszego, który zmierza prosto na as. Drugi na pewno nie zboczy, przejdzie blisko, już ja go przypilnuję. Po hwili dwa strzały. Najbliższy wali się o dziesięć metrów od nas, drugi przechodzi tuż obok. Johnsonowie zadowoleni, mają wspaniały film, a przecież gdyby który wyrżnął w nas, z auta zostałaby kupa szmelcu.

Antek dolewał Szkotowi i sobie wina. Grek częstował ich papierosami. Pali w milczeniu. Była ciemna noc. Konary drzew dosięgały balkonu, wokół cieliła się ciemna ściana drzew. Powietrze nadpływało ciepłe i wonne. Z drzew zedł również szum owadów, granie świerszczów, cała muzyka bogatego ich ycia.

Grek przerwał milczenie.

— Jesteś złym człowiekiem, zabijasz niewinne zwierzęta. Gdybym miał woją zręczność zabijania, zostawiłbym te łagodne stworzenia w spokoju,

a zabijałbym ludzi. Ludzie to bestie. Rwą w strzępy ofiary własnego gatunk i pożerają je.

— Zostaw pan te rewolucyjne problemy zwariowanej Europie, tu jest prz cież nieźle — odciągał go Antek, chcąc usłyszeć więcej od Szkota.

— Co za dziwak z niego — poprawił Szkot. Ten hotel, w którym si dzimy, jest jego ojca, a on o takich rzeczach myśli.

Grekowi zapaliła się sucha twarz. Wycedził:

— Byłem przed wojną na studiach w Grecji i widziałem jak Piękna He lada zamieniła się w brudny rynsztok życia, gdzie lud żyje w takiej nędz że kretynieje. Robią to oczywiście nasi rodacy, burżuje greccy, którzy pa triotyzm i tradycje utopili w śmierdzących brzuchach. Tam wybierzmy s na safari, a ja będę wtedy *crack-shooter*.

Sięgał po wino i nalał sobie pół szklanki. Widząc, że to co powiedział n wywołuje wielkiego zainteresowania, zamilkł.

Antek w duszy przyznawał Grekowi rację, nie chciał jednak, by rozmow wyszła z dżungli. Czuł, że wino coraz bardziej rozpala mu głowę. Zazdrość Szkotowi, że miał takie piękne życie.

— A czy wtedy, z Jonhsonami, nigdy pan nie był w niebezpieczeństwie - zapytał Antek.

— W niebezpieczeństwie to nie, ale raz nabawiła mnie kłopotu Osa John son. Wybraliśmy się na lwy. Niesie ta osoba maleńki aparat do kręcenia fi mów, a ja strzelbę. Wyszliśmy z obozu na daleki pagórek i widzimy — pa starych leży na bokach pod drzewem, a przy nich dwa małe baraszkują śmies nie. Nie ruszamy się z miejsca. Wiemy, że nie możemy do nich podejść. I chwili matka poczuła nas i zobaczyła. Zerwała się i wolno z małymi zaczę odbiegać. Kiedy znikła nam zupełnie z oczu, zaczęliśmy iść w stronę ojc Widział nas dobrze. Podniósł się na brzuch i przysiadł na łapach. Idziem prosto na niego, nie odchodzi jednak za rodziną. Więcej on nas pilnuje, n my jego. Osłania uchodzącą matkę z małymi. Jesteśmy blisko. Wspania samiec, pod brzuchem prawie żółty, na grzbiecie płowy. Jest dobrze odży wiony, ma lśniącą skórę. Ogon leży bezwładnie, wielka głowa z długą grz wą wzniesiona — patrzy na nas żółtymi, poważnymi ślepiami. Osa podchod coraz bliżej. Idę tuż obok niej. Puszcza aparat w ruch, podchodzi jeszcze bl żej, nie odstępuję jej, jesteśmy od lwa o dwadzieścia metrów. Osa ciągle idz naprzód. Nie mówię nic, by go nie poruszyć. Myślę sobie — chyba zwari wała baba. Chce, by jej pozował, a może nawet uśmiechnął się. Naprawd siedział, jakby pozował. Podnoszę kolbę pod ramię, dłonią czule uchwytu szyjkę, palec wsuwam w cyngiel. Idziemy ciągle obok siebie. Film kręci s z sykiem. Już nie mam wątpliwości, muszę go zabić. On nie odejdzie, a n nas się rzuci, gdy będziemy się cofać. Przysiąda na łapach, grzbiet mu s pręży, ogonem bije o ziemię. Warknął gardłowo. Osa się zatrzymuje, ja prz niej. Dzieli nas nie więcej jak dziesięć metrów odległości. Z żółtych ślepió idzie mu ogień, uprzedzam go i strzelam między oczy. Zarzęził i przysiad biję jeszcze raz w to samo miejsce. Wyciągnął się, zaczyna drżeć. Osa wci

kręci film. Podeszliśmy do niego o krok. Kiedy rolka się wysunęła, patrzyliśmy na siebie z odrazą. Ja byłem mordercą, ona sprawcą zbrodni.

— Szkoda go, taki był piękny — wymówiła z żalem Osa.

A wtedy ja na to:

— Jeżeli jeszcze raz tak pani postąpi, pójdzie pani sama. Spotka panią wtedy to, co powinno spotkać każdego rabusia, nachodzącego cudzy dom.

Długą chwilę nic nie mówili. Grek zasnął wyciągnięty w fotelu.

— Która godzina? — pytał Szkot.

— Dochodzi trzecia.

— Pójdziemy spać.

Wstali. Szkot zbudził Greka. Za nim stał Hindus. Wskazując na Antka Grek mówił Hindusowi, by go odprowadził do wolnego pokoju.

— Dobranoc — powiedzieli prawie jednocześnie.

Hindus zamknął cicho drzwi. Antek rozebrał się i skoczył do łóżka. Przeciągnął się dwa razy i zasnął.

Rano ubrał się w kilka minut. Schodził szybko po schodach. Panowała zupełna cisza, w hotelu wszyscy spali. Skierował się na drogę tunelem drzew wiodącą do portu. Drzewa i trawy były skąpane w rosie, bił od nich rzeźwiący chłód. Dochodząc do portu, już z daleka ujrzał, że jego statku nigdzie nie było. Może odszedł w głąb rzeki, albo na redę. Muszę zapytać w kapitanacie portu — myślał. Usiadł na polerze, wspominał minioną noc. Wspaniała noc. Z pobliskiego pancernika płynął radosny, żywy ton sygnału, granego na trąbce. Skierował tam oczy, widział chłopaków, jak on zmywających i czyszczących okręt.

Na przednim pokładzie, pod wielkimi działami, około stu chłopaków w spodenkach rytmicznie i równo gimnastykowało się jak na pokazie. Wielki kuter wiosłowy przybijał do burty, chłopaki w nim byli radośnie zmęczeni. Zdawało mu się, że chciałby być z nimi. Prędko mu jednak odeszła ta chętka. Im się nawet nie śni, myślał z wyższością, jaką ja mam wolność na trampie. Wstał z polera i udał się do kapitana portu.

W biurze kapitan portu z miejsca go ocucił słowami:

— Pański statek ostatniej nocy odszedł do Tangi.

— Gdzie to jest?

— Sto trzydzieści mil stąd, w Tanganice.

— Jak tam można dojechać?

— Co tydzień idzie kuter motorowy. Drogami jadą czasem trokami handlarze, Arabowie i Hindusi.

— A więc dobrze, wejdę na drogę i zajdę do Tangi.

— Drogami jest znacznie dalej, będzie około dwustu mil. Ścieżkami niedaleko brzegu bliżej, ale cóż — zejdzie pan ze ścieżki i zginie. To niemożliwe, utłuką pana czarni, albo hieny zjedzą.

— Zajdę na statek i ani mnie czarni nie zakatrupią, ani mnie hieny nie zjedzą — odparł Antek z całą pewnością.

— Zaczęło się od tego, że przez jakąś murzynkę statek panu uciekł, a te-

raz pan do reszty zwariował. W nocy, w dżungli sam jeden bez broni?! To niemożliwe!

— Możliwe.

— Powodzenia, szczęśliwej drogi.

— Dziękuję bardzo — udał, że nie dostrzega ironii.

Idąc rozmyślał, czy istnieją dla niego rzeczy niemożliwe. Dwadzieścia dwa lata kipiały w nim i pchały go do niebezpiecznego głupstwa. Wspomniał Szkota i odczuł głęboką radość, że chociaż w części przeżyje to samo, co on. Zaczął śpiewać i ruszył w stronę swojego statku, nie myśląc wcale, że dzieli go sto trzydzieści mil. Przyszedł do rzeki, w miejscu gdzie motorowe pontony przewoziły ludzi. Byli to przeważnie czarni. Przychodzili tu z pobliskich wiosek, niektórzy z nich tylko w opasce na biodrach, ale byli też i tacy, którzy mieli rowery.

Antek wyskoczył z pontonu na drugi brzeg i piął się w górę. Kiedy wyszedł na szczyt, obejrzał się za siebie. Wśród zalesionych brzegów płynęła rzeka, a na niej stały okręty wojenne o pięknych, smukłych kształtach. Dalej dzielnica europejska, a jeszcze dalej szare miasto arabskie. Półkolem otaczała to wszystko dżungla, a z drugiej strony zamykało morze. Wydeptaną, szeroką ścieżką wśród traw puścił się na południe. Z lewej strony błyszczał słońcem w zupełnej ciszy ocean. Z prawej, wśród wysokich traw rzadko rosły karłowate drzewa. Dalej wznosiły się pagórki, zieleniejące dżunglą. Blisko ścieżki pasły się małe bure krówki i kozy. Pilnowali ich nieliczni Murzyni.

Minęła go gromada czarnych. Mężczyźni szli przodem, boso, w spodniach i porwanych koszulach. Szli wolno, bez żadnych bagaży, za nimi kobiety obładowane kurami i owocami. Idące z matkami wyrostki rozbiegły się na obie strony ścieżki, przyglądając się Antkowi z obawą. Kiedy ich minął, wchodzili z powrotem na ścieżkę do matek, oglądając się trwożliwie za siebie. Minął go trok walący głośno motorem, załadowany pakami. Przy kierownicy siedział czarny szofer i stłoczeni z sobą trzej pasażerowie. Jechali niewiele szybciej niż Antek szedł. Gdy go minęli, widział jak trok skakał po wybojach i trząsł się. Łamane osie prężyły się, o mało co nie dotykając ziemi. Nie zazdrościł im wcale takiej jazdy. Minęło go kilku mężczyzn. Przechodząc powiedzieli: „dżambo". Co to może znaczyć? — myślał. Uśmiechali się przy tym życzliwie do niego. — Pozdrawiają mnie może, a ja ostatni drań, nawet im nie odpowiadam.

Było południe, słońce stało pionowo nad nim. Paliło go po twarzy i obnażonych po łokcie rękach. Biała, cienka koszula dawała mu prawie przyjemny chłód. Dunkry miał już wyprane kilkakrotnie i miękkie w dotyku. Skórzane arabskie sandały utrzymywały mu gołe stopy w chłodzie i zabezpieczały całkowicie przed kamieniami i suchymi gałęźmi. Szedł raźno, omal że nie chciało mu się biec.

Mijający go Murzyni znów odezwali się do niego „dżambo". Odpowiedział im to samo, mając pewność, że było to pozdrowienie.

Trawa stawała się coraz bardziej zielona, coraz więcej było liściastych drzew.

Ścieżka poszerzała się w drogę. Z obydwu stron rosły wysokie, zbite łodygi bananów, obciążone wielkimi kiściami zielonych owoców. Gorzkie — pomyślał i przyśpieszył kroku. Wśród bananów stały małe szałasy z liści palmowych. W jednej z nich brakowało ściany frontowej. Przy stole z desek i grubych gałęzi siedziało kilku czarnych, którzy ruszając szczękami przyglądali się Antkowi. Przypomniało mu się, że jeszcze nic nie jadł od rana. Od razu poczuł wilczy apetyt i skierował się w stronę chaty. Tubylcy powstali, robiąc mu miejsce na ławie. Usiadł między nimi i przyglądał im się. Byli tak ulegli, że nawet nie byli zdziwieni. Na stole leżały pęki owoców, duża gliniana miska z zimnymi kluskami wielkości pierogów, a przy niej w glinianym garnku — białe mleko. Wyjął z kieszeni szylinga i położył na stole. Wzrok czarnych skupił się na srebrzystej monecie. Może był to duży pieniądz w ich kraju, gdzie jeden pens dzieli się na dziesięć mniejszych pieniążków z dziurkami w środku, by można je łatwiej nosić na sznurku. Antek sięgnął śmiało po pierog. Był dobry, słodki. Murzyn nalał mleka w blaszany kubek i podał mu. Jedząc próbował rozmawiać z Murzynami po angielsku, na co oni wszyscy szczerzyli białe zęby w dobrotliwym, dziecinnym uśmiechu i odpowiadali wzruszeniem ramion. Po zjedzeniu dużej ilości pierogów popitych mlekiem Antek wstał, wziął kilka bananów w rękę, podziękował i odszedł. Szedł przez wieś, jedząc banany. Wieś była duża i wyglądała wzorowo.

Przystanął. Dolatywał go odgłos trąb i bębna. Rozróżnił nawet melodię *God save the King*. Bardzo zdziwiony szedł dalej. Z chat wyglądały kędzierzawe głowy. Nie dziwiła ich jego obecność. Gdyby miał czarne włosy, na pewno wzięliby go za Araba. Między chatami była wolna przestrzeń, a w środku na ławkach siedziała gromadka tubylców o potężnych, nagich torsach i dęła w błyszczące, mosiężne trąby. Czarny dyrygent przyjacielsko uśmiechał się w stronę przybysza.

Minął ich i wyszedł poza wieś. Trąby ucichły i znów był sam. Z tyłu doszedł go szum. Obejrzał się. Piękna, żółta limuzyna chyżo sunęła w jego stronę. Stanął jak wryty. Kontrast jaki widział przechodził jego pojęcie. Limuzyna zrównała się z nim, dygnęła na resorach i zatrzymała się. Wyskoczył z niej zręcznie mężczyzna słusznego wzrostu. Mocne ramiona w krótkich rękawach białej koszuli, pociągła, energiczna twarz. Patrząc przenikliwie na Antka zapytał go podejrzliwym tonem:

— Co pan tu robi?

Antek nie śpieszył się z odpowiedzią. Obejrzał go od stóp do głowy. Spojrzał na auto. Przy kierownicy siedział askar w czerwonej czapeczce, przypominającej nakrycie głowy chłopców hotelowych w Europie. Twarz jego była czarna jak smoła, z bliznami. Na rękawie koszuli koloru khaki miał trzy piątki. Przed nim w rogu na szybie widniała kartka z napisem *Police*. Zrozumiał teraz wszystko. Spojrzał białemu w przenikliwe oczy, by zakłócić ich powagę i miast odpowiedzi zaśmiał się beztrosko.

— Co pan tu robi — powtórzył tamten takim samym tonem jak poprzednio.

— Idę sobie — odpowiedział Antek.

— Dokąd?
— Do Tangi.
— Po co?
— Na mój statek, który mi dziś uciekł z Mombasy.
— Marynarz?
— Tak.
— Dokumenty.

Wyjął z kieszeni wydaną w Anglii kartę rejestracyjną z fotografią i podał mu ją.

Biały czytając oderwał oczy i spojrzał Antkowi w twarz, porównując ją z fotografią. Gdy skończył czytać, skierował się do auta. Nastawił radio i wywołał urząd policyjny w Mombasie. Kiedy mu odpowiedzieli, podał nazwę statku i nazwisko Antka, bardzo je zniekształcając. Czekał chwilę, zanim policja połączyła się z kapitanem portu. Odpowiedź potwierdziła słowa Antka. Wyskoczył więc z auta z legitymacją w ręku i z mniej już ostrym wyrazem twarzy podał Antkowi jego dokumenty, mówiąc:

— Wszystko w porządku. Czasami nam się trafia, że łapiemy przechodzących tędy dezerterów z Abisynii, idących do Południowej Afryki.

— Idą aż tak daleko? — zauważył Antek. — Więc moje sto trzydzieści mil to spacer! Czy udaje im się to chociaż?

— Niektórym tak. Przy pomocy kolonistów niemieckich, holenderskich, skandynawskich i różnych Szwajcarów.

Antek chwilę patrzał na słońce, szykując się do odejścia.

— Daleka droga — powiedział policjant.
— Przyjemniejsza jak pańska w limuzynie.
— Ja też tak kiedyś mówiłem — dodał właściciel limuzyny.

Pożegnali się.

Auto odjechało w stronę wsi. Antek skierował się dalej szlakiem na południe. Szedł coraz szybciej, skacząc przez większe wyrwy. Nogi rwały mu się do biegu. Hamowała go jednak myśl, że może jeszcze będzie zmuszony biec. Słońce grzało łagodnie. Dżungla nie była już tak jaskrawa jak w południe. Nie spotykał teraz tubylców. Ścieżka pięła się coraz wyżej. Pagórki z prawej strony wznosiły się wysokie i bardzo rozległe, pod nimi rosły olbrzymie drzewa, rozłożyste i poskręcane. Baobaby — przeszło mu przez myśl. Słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi. W dolinach kładł się cień. Czuby pagórków błyszczały jeszcze w złotym świetle, ciemniejąc powoli. Niebo również siniało stopniowo, aż zrobiło się ciemnogranatowe. Nie było chłodno, powietrze było wciąż ciepłe, pozbawione jednak słonecznego żaru.

Ściemniło się zupełnie. Jaskrawo błyszczące gwiazdy pokryły ciemny granat nieba, oświetlając dżunglę, od której szła teraz silna woń jej bogatego życia. W ciągu dnia woń była przytłumiona żarem słońca. Teraz, o wieczornej rosie, wszystko dyszało zapachem. Ścieżka pięła się w górę. Nie trudno ją rozpoznać. Jest szeroka i jaśniejsza od wysokiej trawy. Przechodził czasem przez takie miejsca, w których woń po prostu odurzała. Chce się wtedy legnąć na trawie

ak bestia i spać aż do wschodu słońca. Ścieżka schodzi teraz w dół. Karłowate krzaki się skończyły, jest mokro i rośnie miękka trawa. Antek zatrzymał się. Przed nim ścieliło się pole światła. Tysiące świecących owadów unosiło się tuż nad mokrą trawą. Ogniki latając ciągle przecinały się ze sobą jak prawdziwy ogień. Gdyby był zabobonny, na pewno byłby się zląkł. Patrzył na to widowisko w niemym zachwycie. Latały nad jego ścieżką, szedł wśród nich, jakby kąpał się w ich niebieskawym ogniu. Przekroczył po kamieniach maleńką strugę. Zaczął myśleć o niebezpieczeństwie. Gdyby ktoś chciał go skrzywdzić — nie przyszłoby mu to łatwo. Wyjął z kieszeni duży, stalowy, sprężynowy nóż. Otworzył go, z powrotem zamknął i włożył do kieszeni. Pilnował teraz lepiej ścieżki. Uważnie badał oczami krzaki, koło których miał przechodzić. Wsłuchiwał się we wszystkie szmery. Szedł lekko i cicho jak kot. Nie bał się. Był zdecydowany na wszystko.

Zza drzew wyszedł jaskrawy księżyc, oświetlając wygodnie ścieżkę, przez którą wolno przeszły płaszcząc się do ziemi dwa zwierzątka wielkości średnich psów. Skoczył do leżących obok kamieni i zaczął ciskać w trawę kamieniami. Doszedł go gniewny od bólu kwik. Ciskał dalej. Potem nadsłuchiwał. Nie słyszał nic. Wybrał duży, okrągły kamień i trzymając go w dłoni szedł wolno. Przeszedł tak z pół kilometra. Wreszcie zaczął się śmiać sam z siebie i rzucił kamień precz. Hieny — przeszło mu przez głowę. Był teraz dużo pewniejszy siebie i nie czuł się wcale bezbronny.

Księżyc szedł coraz wyżej, srebrząc ciepłe, wonne powietrze i dżunglę. Zdawało mu się, że od strony, ku której idzie, dochodzi go jakiś szmer. Przystanął. Dziwny szmer. Jak gdyby powietrze drgało bardzo delikatnie. Szedł dalej. Chwilami szmer przechodził w łoskot. Znów przystanął. Słyszał słabe bardzo, rytmiczne bicie bębna.

Tam-tam.

Zrozumiał. Chwilami bęben wybuchał z szumem w pojedyncze odgłosy. Przyśpieszał i rwał przeciw taktowi, zwalniał, ale nie milkł. Uczuł radość — przecież tam się ludzie bawią. Bęben bił coraz głośniej. Głos jego był tak doskonały w tej dżungli. Wyiskrzona noc, dżungla, odurzające powietrze drgało od bębna. Tak, to była Afryka — czuł ją. Patrzył na księżyc, takiego jasnego księżyca nie ma w jego kraju. Przez dżunglę płynęła muzyka. Bęben ucichł i wybuchał z większą siłą. Doszła go wrzawa głosów. Ścieżka wciąż wiodła w stronę głosu bębna. Powietrze coraz mocniej drżało. Z boku ścieżki wił się w górę ogień. Skierował się w stronę ognia. Obskoczyły go psy. Ujadały mocno, nie zbliżały się jednak blisko do niego. Przyszedł do skraju polany, na środku palił się wielki ogień. Tubylcy byli tak oddani zabawie, że nie zwracali żadnej uwagi na szczekanie psów. Wszedł w sam środek gromady siedzących ciał. Najbliżsi powstali i stanęli przy nim, nie mówiąc do niego nic. Po chwili przyszedł tubylec z domieszką białej krwi, uprzejmie pozdrowił go po angielsku, rozganiając ciekawych.

Usiedli. Mieszaniec biegle mówił po angielsku, był zbieraczem podatków. Poczęstował Antka papierosem. Antek nie bardzo słuchał jego niekończącej się

mowy, zbyt był pochłonięty tym, co się wokoło niego działo. Wokół ogniska siedzieli lub leżeli nadzy prawie tubylcy. Kobiety miały takie same przepaski na biodrach jak mężczyźni. Były roześmiane i gadatliwe. Często zrywał się śmiech, szczęśliwy pierwotny śmiech. Nie było między nimi czarownika ani wojowników z włóczniami. Nastały dla nich czasy pracy i płacenia podatków. Polowali na nich niegdyś biali piraci i sprzedawali w Ameryce jako czarny towar. Może i Antek byłby wtedy piratem.

W widocznym miejscu siedział smukły, muskularny młodzieniec z bębnem w rodzaju konwi i walił otwartymi dłońmi w jego dwa dna. Ucichł i znów rozpoczął na nowo. Bił szybko i mocno. Bęben huczał rytmicznie, jednostajnie. Z koła siedzących poderwali się młodzieńcy. Rozpoczęli bieg wokoło ognia, po czym stanęli kołem plecami do ognia i w takt podbiegali kilka kroków w różne strony, ciskając przy tym torsami i wymachując rękami.

— Jest to ich taniec wojenny, kiedyś tańczyli z włóczniami — objaśnił go mulat.

Tańczący, zmęczeni, usiedli z powrotem na swoich miejscach.

Młody chłopak przyniósł im w glinianym dzbanku jakiś napój. Mulat nalał go do dzbanka i podał Antkowi. Spróbował. Smakowało jak kwaśne, mocne piwo. Wychylił kubek do dna.

— To dobre — zachwalał mulat — to kokosowe piwo.

— Bardzo dobre — potwierdził Antek. — Do jakiego szczepu należą ci ludzie?

— Swaheli.

Bęben znów huczał tak rytmicznie, że siedzący uderzali się po udach i drżeli. Z gromady wyszła wysoka dziewczyna. W pląsach obiegła wolno ogień. Zatrzymała się. Tupała w miejscu bosymi stopami, ręce dołem wyrzucała do tyłu i patrzyła w ziemię. Bęben przycichał i wybuchał nowymi taktami, rwał i wybijał przeciwtakt. Tancerka wyprostowała się i przegięła w tył. Ręce splotła nad głową, pokrytą pierścieniami włosów. Oczy jej błyszczały dziką namiętnością. Nagie, bujne piersi przybrały kształt okrągły, przylegając jak do posągu. Niżej szczupłej talii biodra z dwoma załamaniami. Biodra pierwotnej kobiety stworzone do błogiego letnistwa i rodzenia dzieci. Pełne uda. Czarne uda są lepsze od białych. Białe kobiety mogą być zazdrosne o te czarne uda. Nogi wcięte w kolanach szły przyciężkawą linią do dużych stóp. Gięła się całym ciałem, zataczała biodrami. Puściła ręce wolno, zgięła nogi w kolanach, ociężale skręcała się w tułowiu, drżąc plecami. Koło otaczających ogień uciszyło się. Antek nie odrywał od niej oczu. Bęben bił coraz szybciej, szybciej i szybciej. Potrząsnęła głową. Biodra i brzuch wirowały wyprzedzając bęben. Z oczu jej bił żar ekstazy. Zaczęła drżeć całym ciałem. Z koła siedzących wyrwało się radosne, dzikie „ja-haaaaa!!" Wyrzuciła ręce w tył, ponad głową. Zdawało się, że upadnie. Podbiegł do niej olbrzym, chwycił w pół, przerzucił przez biodro i odszedł z nią w pobliską dżunglę.

— To jego dziewczyna — wyjaśnił Antkowi administrator.

— Piękna — odpowiedział Antek.

Bęben bił wciąż. Nie było wiele chętnych do tańca. Z dżungli rozległy się nawoływania i radosne śmiechy. Co chwila jakaś para odchodziła od ognia. Nie wszystkie szły spokojnie. Chłopaki ciągnęli za ręce swoje wybrane wśród pisku i śmiechu. Nie zważali na opór, może pozorny, udany opór. Siła decydowała. Pozostałe dziewczęta drżały jeszcze w takt bębna, aż i one odeszły, a za nimi muzykant. Przy ognisku zrobiło się pusto.

Antek poczuł się sam. Szczęśliwi ludzie — myślał. Instynkt jest ich prawem życia.

— Pójdziemy spać — wyrwał go z zamyślenia administrator.

Mulat zabrał go do swojej trzcinowej chaty, zrobił mu posłanie i dał mu bawełnianą derkę do przykrycia. Antek nie mógł zasnąć, w chacie było duszno, cięły go komary. Wstał, wziął derkę i wyszedł z chaty. Przyszedł do opuszczonego ogniska, poprawił je, dosunął grube polana, by długo trzymały ogień. Tu komary przestały go prześladować. Owinął się w derkę i zapadł w sen.

Kiedy wstał rano, wierzchołki drzew błyszczały już w słońcu. Przyjemne, chłodne powietrze orzeźwiało po gorącej, odurzającej nocy. Mulat w chacie już nie spał. Antek zjadł z nim kilka jaj i popił kozim mlekiem. Pożegnał go następnie i wyszedł. We wiosce było cicho, wszyscy spali po nocnych tańcach. Morza już nie widział, widocznie wszedł głębiej w ląd. W tej chwili zresztą morze go nie obchodziło. Najważniejsza była ścieżka i słońce wskazujące mu południe. W miejscach, gdzie trawa nie rosła, widział wyraźne ślady kół samochodowych. Ślady kół wyciskały się tu dwoma koleinami. — Jak w Polsce — pomyślał. — Tylko u nas od chłopskich furmanek, a tu od samochodów.

Słońce grzało coraz mocniej. Szedł coraz prędzej. W dali widział zbite konary rosnących drzew. Ogarnął go w cieniu przyjemny chłód. Ścieżka wiła się między drzewami. Konary mangowców zakrywały zupełnie słońce. Szedł pod nimi w mroku. Często wypatrywał słońca między konarami, porównywał kierunek i szedł dalej. Napił się wody ze strugi, płosząc pięknie upierzone ptaki. Przy skraju drzew z ziemi poderwało się stado maleńkich małp. Zręcznie powdrapywały się na drzewo i przyglądały mu się, zaciekawione. Kiedy je minął, pozłaziły z powrotem na ziemię, i piszcząc zbiły się w gromadkę. Po naradzie jedne powspinały się na drzewa, skacząc po gałęziach, pozostałe w podskokach biegły za nimi. Drzewa się skończyły. Ścieliła się przed nim skąpana w słońcu trawiasta przestrzeń, gdzieniegdzie porosła krzakami i pojedyńczymi drzewami. Sięgała aż do horyzontu. Małpy zatrzymały się. Ich kraj dalej nie sięgał. Bały się wyjść na otwartą przestrzeń, gdzie były łatwym łupem wielkich kotów. Obejrzał się jeszcze raz. Weselej byłoby mu, gdyby pobiegły za nim.

Po przyjemnym chłodzie oblał go żar słońca. Nie było jeszcze południa, słońce nie sięgało największej wysokości. Nie widział wokół żadnych zwierząt. Przyśpieszył kroku. Łatwo mu się szło po wygodnej, prostej jak strzała ścieżce. Szedł coraz szybciej, instynktownie jak najszybciej chciał przebyć tę przestrzeń. Pasące się małe antylopy z poskręcanymi w świderek rogami umknęły na jego

widok w wysoką trawę. Zapadły w jej gęstwie, tylko falująca trawa znaczyła ich bieg. Czuł wzmagający się upał. Przelatywały nad nim wielkie jastrzębie. Wysoko w górze kołowały olbrzymie sępy. — Głodne — pomyślał.

Żar doskwierał mu coraz bardziej. Słońce stało nad samą głową. Opustoszałe niebo błyszczało jasnym błękitem. Słońce zapędziło wszystkie zwierzęta i ptaki w cienie drzew. Samotne drzewa sterczały nieruchomo. Przypomniała mu się wiejąca bryza, dająca świeżość i ochłodę w upalny dzień na pokładzie statku. Z rosnącego tuż przy ścieżce drzewa, z najniższej jego gałęzi, zerwały się niechętnie ociężałe sępy i schowały się natychmiast pod najbliższym drzewem. Skóra Antka zrobiła się sucha. Nie pocił się już więcej. Chciało mu się pić. Zmęczenia jednak nie czuł. Żar już nie wzrastał. Słońce schodziło zwolna niżej. Znów pokazały się po południowej drzemce sępy kołujące na niebie. Antek nie czuł potrzeby wypoczynku. Nogi same go niosły i same odnajdywały ścieżkę. Oddychał coraz głębiej i lżej.

Słońce zbliżało się coraz bardziej do horyzontu. Rosnąca dokoła trawa była teraz zieleńsza i nie tak wyschnięta. Przed nim równą linią, znacznie wyżej od trawy, wznosiły się jakieś zbite łodygi. Trzcina cukrowa — wpadło mu na myśl. Ułamał jedną, grubą jak ręka w napięstku. W ułamanym miejscu skóra podnosiła się płatami. Zdarł ją. Pod skórą wodnił się miękki, trawiasty miąższ. Idąc, niósł w ręce łodygę. Gryząc ją po kawałku, miażdżył zębami i żuł, a wreszcie połykał słodką ciecz, a włókna wypluwał. Gdy skończył jedną, ułamał drugą i znowu jadł. Idąc pił i posilał się. Zbite łodygi wciąż rosły, jak gdyby się miały nigdy nie skończyć. Antek zaprzestał żuć trzcinę. Był prawie najedzony. Z maleńkiej strugi napił się wody.

Słońce dotykało już horyzontu, kiedy naprzeciw, między trzcinami, ujrzał nadjeżdżające odkryte auto. Zeszedł ze środka drogi. Auto wymijając go zwolniło biegu. Z wnętrza przyglądali się Antkowi biały pan, piękna, młoda kobieta i dwoje małych ślicznych dzieci. Na tego rodzaju ludzi Antek zwykle patrzył zadzierzyście i wyzywająco. Poważny pan i piękna pani odwrócili głowy od jego wzroku, zapadając w obojętność. Jedynie zdziwione dzieci przyglądały mu się w dalszym ciągu. Auto szybko zniknęło mu sprzed oczu. Nad trzcinami wystawała olbrzymia rura komina. Ścieżkami wracali z pracy tubylcy z olbrzymimi nożami do cięcia trzciny. — Potężna broń — pomyślał.

Było już szaro, gdy mijał wielkie szopy fabryczne. Pod jedną z nich stały małe wagoniki z trzciną przeznaczoną na cukier. Czarni kończyli pracę i szli do swoich chat. Minąwszy niskie chatki murzyńskie szedł wzdłuż toru, przeznaczonego dla maleńkich wagoników. Pola trzcinowe kończyły się i zaczynała się dżungla. Jadące za Antkiem auto nie obchodziło go wcale. Nagle zatrzymało się tuż przed nim. Z wozu wyszedł wysoki Hindus w białym ubraniu. Stanął na drodze i przyjacielsko przyglądał się Antkowi.

— Dokąd pan idzie? — spytał łagodnym głosem.

— Do Tangi.

— Zna pan drogę?

Antek uśmiechnął się i opowiedział krótko cel swojej podróży.

— Na razie jest to niemożliwe — tłumaczył Hindus. — Zaraz się ściemni. 'a ścieżka po dwóch milach zginie w bagnie, które ciągnie się aż do trzy- ziestu mil na południe.

Mówił tak prosto i przekonywująco, że Antek głębiej spojrzał mu w oczy.

— Jedź pan z nami — proponował Hindus. — Prześpi się pan, a jutro omyślimy o dalszej drodze.

Ujął go pod ramię i prowadził do auta. Antek nie opierał się. Czuł nawet rdzięczność dla Hindusa. Wcisnęli go między młodszego Hindusa i dziew- zynę w jego wieku i ruszyli w milczeniu. Jechali z powrotem przez wieś. tanęli przed fabrycznymi szopami z wielkim kominem. Siedzący przy Antku łodzieniec wyskoczył z wozu i zniknął pośród zabudowań. Antek przyglądał ę dziewczynie, która miała śniadą skórę i krucze włosy, zaczesane w tył gruby węzeł. Czarne, głębokie, marzące oczy omijały jego wzrok. Bardzo yła podobna do cyganki.

Z szopy wyszedł Hindus z Europejczykiem, któremu prawdopodobnie już szystko opowiedział. Ten ostatni bowiem szedł w kierunku Antka z dło- ią wyciągniętą do męskiego uścisku.

— Biorę pana do swego mieszkania.

— Doskonale — odparł Antek z uśmiechem. Odjeżdżającym Hindusom rzyknął podziękowanie.

Stali teraz obok siebie rozmawiając wesoło. Nowopoznany Europejczyk yglądał na człowieka przepracowanego. Skarżył się zresztą na nawał pracy. Wszystkie maszyny były pod jego okiem. Był inżynierem, majstrem i me- anikiem, mając do pomocy drużynę, składającą się ze zdolniejszych tu- ylców.

Tubylcy, ciekawi jak dzieci, zbiegli się z całej wsi, otoczyli ich kołem, rzyglądając się nowoprzybyłemu. Anglikowi nie bardzo się to podobało. awołał po imieniu kilku atletycznie zbudowanych Murzynów. Ci jak gdy- y tylko czekali na to. Z dziką pasją rozpoczęli okładać pięściami swoich spółziomków. Kiedy oczyścili plac, sami stanęli w odpowiedniej odległości.

Biali weszli do podjeżdżającego sportowego auta, prowadzonego przez ubylca i podjechali pod biały bungalow. Szofer otworzył im drzwi. Było emno. Na ganku zabłysło elektryczne światło. Usiedli w skórzanych fo- elach w pełnym dywanów salonie. Czarny lokaj przyniósł na tacy szklanki.

— Odpocznijmy chwilę — mówił inżynier — umyjemy się i pojedziemy a kolację do jedynej żyjącej tu białej rodziny.

— Czyżby ta, którą widziałem na drodze — myślał Antek — o, niech am, co mi to szkodzi.

Po kąpieli ruszyli. Nie było daleko. Szli prosto do oświetlonych okien. iedzący na schodkach murzyn otworzył im drzwi. W dużym, pięknym po- oju siedziała na dywanie piękna kobieta i bawiła się z dwojgiem roześmia- ych dzieci. Mężczyzna na tapczanie czytał książkę.

— Ci sami — pomyślał Antek łagodniejąc.

Mężczyzna przerwał czytanie książki, kobieta wstała z podłogi.

— Przyszliśmy na kolację — mówił śmiejąc się inżynier.
— Myśmy pana widzieli — odezwała się zdziwiona kobieta.
— Tak, to marynarz idący na swój statek do Tangi — wyjaśnił inżynier
Angielska tradycja mówi, że gości przyjmuje się drinkiem. Po dwóch kie liszkach Antek opowiedział cel swojej podróży.
— Czy pan był kiedyś przedtem w dżungli? — zapytał gospodarz domu
— Nie.
— Ma pan sporo odwagi.
— Myślę, że jest bezpiecznie — stwierdził Antek.
— W zeszłym tygodniu blisko nas lampart rozdarł Murzynkę — infor mował Antka gospodarz. Piękna gospodyni domu patrzyła na gościa z zdziwieniem, zarazem z obawą.
— Przecież ja nie jestem Murzynką — zauważył Antek
Gospodarz domu był Anglikiem z Południowej Afryki, żona jego pocho dziła z Londynu. Był to typowy aż do przesady Anglik, powolny, opano wany i pozornie obojętny. Ona natomiast wesoła i bardzo rozmowna. Pytał się o West End, Royal Opera House, Trafalgar Square, Hyde Park, defilady parady i zabawy żołnierskie. Gdy Antek jej odpowiedział, że wszystko o c pyta istnieje — ucieszyła się.
— Chciałabym to wszystko jeszcze widzieć — mówiła.
O, tak, po wojnie pojedzie na kilka miesięcy do Anglii. Na kolację przesz do innego pokoju. Stół był pełen najrozmaitszych potraw i nieznanych m owoców, spiętrzonych na pięknej, stołowej zastawie. Starał się nie jeść ta jak na statku, gdzie jadł szybko, zaczynając od tego, co mu się podobało Piękna gospodyni z zachęcającym uśmiechem podawała mu rozmaite talerz i półmiski. Po kolacji wyszła z dziećmi, położyła je spać i wróciła do sa lonu. Antek zauważył, że przez cały wieczór nie słyszał, by jej mąż powie dział do niej choć jedno słowo. Wyglądała jednak na szczęśliwą kobietę, ni była więc chyba obojętna swojemu mężowi.

Poważnie przejęli się podróżą czekającą Antka. Dowiedział się od nich że chociaż już przebył więcej jak pół drogi, bagna rozciągnięte na południ niepodobieństwem jest przejść.
— A więc trzeba pływać — dopomógł im planować.
— Możliwe — odpowiedział flegmatycznie gospodarz — kilka mil stą mieszkają rybacy, mają łodzie żaglowe. Wczesnym rankiem poślę po nic i rozmówię się z nimi.
— A co to za jedni, ci Hindusi — pytał Antek.
— To właściciele plantacji i cukrowni — odpowiedział inżynier.
Antek ze zdziwieniem pomyślał, że ci wytworni Anglicy pracowali dl Hindusów.

Tej nocy spał we wspaniałym łóżku. Wydawało mu się, że wisi chyb w powietrzu, tak delikatne było łóżko i tak go nie czuł pod sobą. Nic sobi nie robił z komarów latających za moskitierą, głośnych i głodnych. Rankie

rosły tubylec czekał na niego przed gankiem. Pod pachą trzymał dużą paczkę z żywnością, podarunek od pięknej gospodyni.

Inżynier objaśnił go, że wszystko już załatwione.

— Pójdzie pan — mówił — z nim ze dwie mile do rzeki. Tam czekają rybacy z żaglówką. Zabiorą pana trzydzieści mil na południe, a stamtąd już będzie łatwo. Chodzą troki aż do Tangi. Powodzenia.

Niedługo doszli do rzeki. Po drugiej jej stronie leżały nieprzebyte bagna. Rzeka rozlewała się tworząc małą zatokę, w której stało kilka łódek. Na ich widok paru siedzących krajowców poderwało się. Przewodnik dłuższą chwilę energicznie mówił coś do nich. Gdy skończył, wzięli się do roboty. Brodząc w wodzie po kolana wnieśli na największą łódkę wiosła, maszt, niezwykle długi bambusowy bałm, żagiel i jedzenie w węzełkach. Uzbroili łódkę. Trzech smukłych chłopaków wskoczyło do środka, wskazując miejsce Antkowi. Dwóch wiosłowało krótkimi wiosłami z szerokimi, okrągłymi piórami, zakończonymi ostro, trzeci siedział na rufie i sterował takim samym wiosłem. Płynęli szybko środkiem nurtu. Mijali liczne piaszczyste wyspy. Brzegi pokryte były zbitą, poplątaną roślinnością. Gdzie niegdzie strzelały w górę wysokie palmy. Rzucili wiosła, wciągnęli na krótki maszt olbrzymi arabski żagiel na bambusie. Łódź z miejsca zerwała się w chyży bieg. Antek siedział przy sterniku przyglądając się rybakom, byli doskonałymi marynarzami. Patrzył na rzekę i brzegi, był pasażerem i trwał w lenistwie. Błysnął ocean przed nimi, z lewej strony na cyplu na wysokim maszcie powiewał *Union Jack*. Przy maszcie na piasku stała mała chatka. Łódź sterowała do niej. Przybili do brzegu i wyszli. Czekał na nich Arab, czarny jak Murzyn. Sternik rozmawiał z nim chwilę. Arab był kontrolerem ujścia rzeki. Zbliżył się do Antka, pozdrawiając go po angielsku. Krajowcy spuścili żagiel, wyciągając łódź na brzeg.

— Czy oni nie mają zamiaru płynąć? — pytał Antek Araba.

— Za duży wiatr — odpowiedział wskazując głową na morze.

Z północo-wschodu w stronę lądu toczyły się wielkie, zielone wały wody z białymi grzywaczami na wierzchu. Wiatr, chociaż sprzyjający, był za silny. Może się bali, by ich nie zepchnął na bagnisty, najeżony korzeniami brzeg. Krajowcy udali się do przyległej wioski, za nimi szedł Antek, rozmawiając z Arabem.

Za wysokim brzegiem porosłym palmami była wioska. Arab szedł sztywno. Krajowcy pozdrawiali go, nie wszczynając z nim rozmowy. Był tu widocznie ważną osobistością. Chatki jednakowe, okrągłe, pokryte ostrymi, stożkowatymi dachami. Na placu w środku wsi skupiało się całe życie. Najwięcej w nim były czynne kobiety. Przy kilku ogniskach gotowały strawę, znosiły owoce, inne tłukły w dużych konwiach proso kijami, mrucząc i wyjąc jakąś melodię. Mężczyźni leżeli w cieniu i pykali fajki. Bardziej pracowici pędzili krowy na udój i przynosili ryby w wiklinowych koszykach. Za chatami ciągnęły się niewielkie pólka obsadzone warzywami. Dziewczyny tłukące proso podnosiły głowy i przyglądały się Antkowi. Były wesołe i często wybu-

chały śmiechem. Niosące owoce przechodziły blisko niego, by mu się lepiej przyjrzeć. Patrzył na nie z uśmiechem, niektóre były dobrze zbudowane i piękne w swej nagości. Z chat wychodziły inne, jedna z nich miała jaśniejszą skórę i zaokrąglone kształty arabskie, widocznie jakiś kupiec arabski ją tu zostawił. Przechodząc blisko nowoprzybyłego skręciła mocno głowę i patrzyła się na niego, przytrzymując ręką pęk owoców na głowie. On również patrzył na nią. Była zgrabna, szczupła w pasie, drobna w plecach i o pięknie zaokrąglonych biodrach. Wracając bez ciężaru na głowie utkwiła w nim czarne oczy, pełne żaru. Nie było w nich psiej uległości, jaką miały Murzynki. Szła wyprostowana przyśpieszonym krokiem. Arab znacząco spojrzał na Antka z chęcią przywołania jej. Antek potrząsnął głową.

Po chwili skierował się na brzeg, podszedł blisko wyciągniętej łodzi i usiadł na piasku. Był tak obcy tym ludziom, że najlepiej czuł się sam. Czuł się zupełnie szczęśliwy i niczego nie pragnął. Nie odwrócił głowy na odgłos kroków. Przed nim stała pół-krwi Arabka z owocami w dłoniach. Położyła owoce przy nim i usiadła mu u stóp. Patrzyła w oczy żarliwie i ulegle. Próbował z nią rozmawiać. Nie rozumiała jednak angielskiego. Była smutna. Śmiał się do niej, by ją rozweselić. W oczach jej mignął radosny ognik i znów była poważna. Ujął ją pod ramię i przyciągnął do siebie. Była uległa. Podłożyła sobie dłoń pod głowę i legła tuż przy nim. Patrzył na jej obnażone piersi, na opaskę z perkalu na biodrach, gołe uda. Na chwilę oczy jej zabłysły w uśmiechu. Antek pogładził ją po głowie. Ona znów patrzyła na niego. Oczy jej błagały, kusiły, zniewalały. Objął ją wpół i przysunął bliżej.

— A niech tam — pomyślał — niech się dowiedzą biali.

Leżał na mokrym, chłodnym piasku, w sytym zmęczeniu dzikiego, nie myślał o niczym i nie pragnął niczego. Dziewczyna nagle się poderwała. Obejrzał się. Szedł do nich Arab z załogą żaglówki.

Przyszli na brzeg w ciszy, spozierali na ocean. Sternik zaczął głośno krzyczeć — *„Safari"*.

Antek podszedł do nich.

— Co to znaczy *„Safari"*? — zapytał Araba.

— Słowo to oznacza każdą podróż w języku Swaheli — odpowiedział ku jego zdziwieniu.

Safari, to przecież jego Safari. Czuł, że radość w nim kipi i promienieje. Za plecami słyszał kłótnię. Dziewczyna rozpączliwie, ostro kłóciła się z krajowcami.

— Ona chce z panem jechać — objaśnił mu Arab.

— Jak chce, to pojedzie.

Antek zadecydował, uciszył krajowców. Jeden z nich zostanie, a w jego miejsce pojedzie dziewczyna.

— Jak jej na imię? — spytał Antek Araba.

— Rani.

— Chodź, Rani — powiedział. Objął ją wpół i zaprowadził do łódki.

Łepchnęli ją z piasku i wskoczyli do niej. Arab machał do nich ręką na pożegnanie. Wielki żagiel złapał wiatr i lekko popłynęli pod wiatr, oddalając się od brzegu. Uśmiechnięta Rani siedziała przy sterze. Jeden z krajowców wskoczył na przeciwwagę, by zapobiec wywróceniu się. Faluka była doskonałą mieszaniną, kadłub długi na jakie siedem metrów, bardzo wąski, wydrążony z pnia, dwie wystające z obydwu stron polinezyjskie przeciwwagi z pniaków i żagiel arabski trójkątny, na krótkim maszcie, przyczepiony do długiego bambusowego bałmu, idący ukośnie do samej łodzi, zaczepiony luźno na szczycie masztu i wznoszący się wysoko w górę.

Usiadł na rufie przy Rani, która sterowała bardzo wprawnie krótkim wiosłem, wpatrując się w Antka z przywiązaniem i uwielbieniem. — Doskonała łódź wojenna — pomyślał. Faluka pędziła, mogłaby iść w zawody z naszymi jachtami wyścigowymi. Murzyn na przeciwwadze zgięty w kadłubie przysiadał i prostował się, trzymając się obydwiema rękami sztagu. Kiedy schodziły z fali, łódź przez chwilę nie dotykała wody. Sycząc, hucząc i wibrując zjeżdżał na nich wielki bałwan, obrywający się na białym szczycie, pokrytym pianą. Łódź pędziła jak rybitwa, krajowiec na przeciwwadze obejrzał się na resztę płynących. Skulił się, przysiadł, przywarł stopami do pnia, rękoma silnie ujął sztag. Łydki, uda, plecy i ramiona pokryły mu się mięśniami. Pochylił głowę w stronę fali, czekał zwięzły, przyczajony, gotowy. Siedzący w łodzi pochylili się do samych burt.

Faluka wystrzeliła w górę jak koń i opadła w wodę. Z jeszcze większym pędem płynąc w dół, trzeszczała w wiązaniach i maszcie. Antek wypuścił sznur, żagiel załopotał. Oblały ich bryzgi piany. Żagiel złapał z powrotem wiatr, byli daleko od brzegu, płynęli teraz z półwiatrem, miękko i łatwo. Krajowiec, przeważający łódź, szczerzył białe zęby w uśmiechu, wyciskając wodę z przepaski na biodrach. Był cały mokry. Woda błyszczała na nim w słońcu. Antek wskoczył na przeciwwagę i zmienił krajowca. Czuł teraz, że taka błaha z pozoru bezczynność nie jest wcale łatwa. Zdawało mu się, że belka wymyka się spod stóp. Tułów uciekał na wszystkie strony. Krajowcy śmiali się, patrząc na jego skręcające się ciało. Belka usunęła mu się, zawisł na rękach na sztagu, oblała go woda. Podciągnął się rękoma i wskoczył do łodzi. Drugi krajowiec zajął jego miejsce. Zdjął dunkry i koszulę przywiązał do masztu i tylko w spodenkach wskoczył z powrotem na belkę. Krajowiec mu ustąpił.

Odkrył teraz całą tajemnicę. Nie polegał teraz na swojej sile, w którą był zawsze ufny. Wyczuwał kołysanie się łodzi, przewidywał i poddawał się odpowiednio ruchom łodzi. Po półgodzinnym staniu zszedł do łodzi. Rani oddała mu ster, poprawiła opaskę i weszła na przeciwwagę. Stała wdzięcznie i swobodnie, jak gdyby chwaląc się, że i ona to potrafi. Sterując przyglądał się krajowcom wyciągniętym na dnie łodzi i brzegowi porosłemu ciemnozielonym mangowcem. Słońce oblewało żarem, wilgotny wiatr chłodził, faluka sunęła po szafirowej wodzie. To była jego Safari.

Rani zeszła z przeciwwagi, rozłupała kokos i podała Antkowi. Pił słodka-

wy płyn, potem wyjadał miąższ. Krajowcy pożywiali się swoimi pierogami. Rozpakował paczkę podarowaną mu przez Angielkę. Czego w niej nie było! I sznycle i jaja, chleb, ciastka i papierosy. Zostawił sobie tyle, ile mógł zjeść. Resztę oddał Rani, ona podzieliła się znów z krajowcami. Jedli wszyscy, zadowoleni i weseli. Kiedy skończyli, Antek poczęstował ich papierosami. Smakowały im. Często potem kładli palec do ust, prosząc o papierosa. Dawał chętnie, aż wypalili wszystkie. Sam palił potem murzyńskie, skręcane z liści. Z pełnym wiatrem wpływali w zatokę. Z daleka na brzegu stał kamienny, arabski budynek. Słońce zachodziło. Krajowcy skracali sobie drogę, płynąc wąskimi przejściami wśród mangowców. Przemykali się śmiało i zręcznie, żagiel osuwał się o gałęzie. Wpłynęli na czystą wodę, z brzegu przyglądało im się kilku Arabów. Dobili. Do Antka podszedł administrator. Obejrzał jego dokumenty, prosząc go do swego domu. Rani z krajowcami stała przy łałuce, spozierając na niego smutno. Podszedł do niej. Pogładził ją po twarzy, przycisnął do siebie mówiąc:

— Bądź zdrowa.

Uśmiechnęła się nijako.

Krajowcom uścisnął dłonie i skierował się za administratorem. Wioska była mahometańska. Mułła żałośnie śpiewał z minaretu. Kiedy przestał, cisza zalała wioskę. Tej nocy znów spał we wspaniałym łóżku z moskitierą.

Rano Arab długo mu prawił, jak ma dojść ścieżkami do głównej drogi, gdzie prawdopodobnie spotka przejeżdżające samochody ciężarowe. Dał mu przewodnika i pożegnał go z godnością.

Szedł za przewodnikiem. Często ścieżki się przecinały, wchodzili więc na inną, aż doszli do szerszej. Niedaleko była droga. Odprawił przewodnika i sam wszedł na drogę. Na wysokich pagórkach stały małe chatki w kilku milowych od siebie odstępach. Domyślał się, że były to posterunki obserwacyjne, pilnujące brzegu i śledzące przybrzeżne ruchy statku. Wzdłuż drogi ciągnęły się plantacje palm kokosowych, z piramidami wielkich owoców leżących na ziemi.

Napotkał znów wioskę murzyńską. Krajowcy przyglądali mu się. Podszedł do niego starszy Murzyn, skłonił się nisko i niezłym angielskim powiedział, że mister Maber, Anglik, który przebywa w wiosce, prosi przybysza do siebie. Zgodził się na to z radością. Nad brzegiem morza, blisko wioski, na trawie pod cienistym mangowcem bieliły się dwa namioty. W cieniu odpoczywał w hamaku Anglik. Widząc Antka, poderwał się z hamaku i z radością uścisnął mu dłonie. Usiedli przy maleńkim stoliku na płóciennych stołkach.

Maber cieszył się, że widzi tutaj białego, słuchał z zaciekawieniem jego opowiadań. Wnet zaczął sam opowiadać swoje dzieje. Od dziesięciu lat był inspektorem dżungli, o przestrzeni mniej więcej naszego województwa. Podróżował po swoim terytorium, odbywając ciągłe inspekcje. Miał ze sobą trzy strzelby i piętnastu krajowców, tragarzy, kucharzy i służących. Kucharza miał naprawdę wspaniałego, jak się Antek później przekonał. Z wio-

ki dochodził ich hałas, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał. Wsłuchując się hwilę zapytał, co to ma znaczyć?

— Uzdrawiają chorego — odpowiedział z ironią Maber. — Chce pan poatrzyć?

W środku wsi, na placu ciżba rozstąpiła się, zostawiając im przejście. W samym środku stała chora, podtrzymywana przez dwie kobiety. Odziana była w krową skórę i owinięta derą. Pokraczny starzec chodził wokół niej, mamrocząc i sycząc zaklęcia. Gdy przerwał, wszyscy wokół ryczeli i wyli bijąc w bębny, patelnie i inne kuchenne statki. Chora słaniała się, traciła przytomność, oblewali ją wodą i dalej wypędzali z niej złego ducha, który nabawił ją choroby. Antek, nie mogąc się patrzeć na to widowisko, wyszedł z tłumu. Nie mógł jej pomóc. Był pewny, że ją dobijają. Maber skierował się za nim.

Powrócili pod namioty. Maber znał dżunglę dużo lepiej niż *crack-shooter*. Wiedział, ile żyło na jego terytorium lwów, słoni, nosorożców, lampartów. Był zdania, że zwierzęta nie lubią czynić człowiekowi krzywdy. Lew omija człowieka i nie znosi jego towarzystwa. Najpodlejsza jest hiena. Bywały wypadki, że na śpiących krajowców napadały hieny, rozrywając im najprzód twarz. Po kolacji Antek pożegnał się z Maberem. Krajowiec odprowadził go do posterunku granicznego, między Kenią i Tanganiką, gdzie wieczorem miało przechodzić ciężarowe auto.

Posterunek pełnił cywilizowany krajowiec, wychowany przez jakąś misję religijną. Był bardzo uległy i ślepo oddany białym. Mieszkał w okazałej chacie z gliny, pokrytej dachem z liści palmowych. Praca jego polegała na zapisywaniu nazwisk przechodzących ludzi i podnoszeniu szlabanu przejeżdżającym samochodom. Mieszkał z żoną, z małym dzieckiem i siostrą, ładnym, okazałym podlotkiem. Przypomniała mu się Rani.

Ściemniło się. Moskity napastliwe zaczęły dobierać się do skóry Antka. Krajowiec rozpalił ogień ze starego pokrycia dachu. Na szosie błysnęły przyćmione reflektory samochodu. Podszedł do szlabanu. Samochód zatrzymał się. Cywilizowany krajowiec otworzył mu drzwi, mówiąc coś z szoferem w swoim narzeczu. Antek usiadł przy szoferze i samochód przetoczył się pod podniesionym szlabanem. Mały, ciężarowy samochód skakał na wszystkie strony. Szofer musiał znać doskonale drogę. Nie zmniejszał biegu. Zręcznie wymijał kamienie i wielkie bryły zeschłej ziemi. Krzaki coraz częściej wyrastały przy drodze. Światło reflektorów dziwnie sunęło przez dżunglę. W jarzącą smugę wpadł kot wielkości średniego psa. Biegł przed samochodem aż do zakrętu, tu wpadł w dżunglę. Samochód skręcił. Wjechali na dobrą drogę, wysypaną zbitym, drobnym kamieniem. Szofer gnał sześćdziesiątką. Przed nimi w dole pokazały się światła Tangi. Samochód przemknął z sykiem po asfaltowej jezdni miasta. Miasto wyglądało pusto o tej późnej porze.

Uzbrojony askar przepuścił Antka na drewniany pomost. Antek podszedł do pierwszej motorówki.

— Czy „Belgian Airman" jest w porcie? — krzyknął głośno.

— Jest — odpowiedziały mu dwa cienie.

Wszedł do motorówki. Dwaj czarni marynarze w mundurach *H. M. S* zapuścili motor. Jeden usiadł przy sterze, drugi odepchnął dziób bosakiem Łódź szybko mknęła po czarnej tafli spokojnej zatoki. Wdzierała się coraz dalej w czarną ciemność. Po chwili ujrzał światła kotwiczne.

— To twój statek — mówił czarny majtek przy sterze.

Nie odpowiedział mu. Odczuwał radość. Motorówka opłynęła półkolem i stanęła przy trapie. Antek złapał się liny i skoczył na stopień. Z góry oblało go światło elektrycznej latarki, potem usłyszał wesoły głos wachtowego

— Antek, to ty? Myśleliśmy, że cię już więcej nie zobaczymy.

ŚWIĘTO WINKELRIDA

WIDOWISKO W TRZECH AKTACH

NAPISANE WIOSNĄ 1944

PRZEZ

JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO
i JERZEGO ZAGÓRSKIEGO

SKRÓCONE LATEM 1946

OSOBY

KONRAD WINKELRID
BURMISTRZ JAKUB
AGNIESZKA, *jego żona*
GABRIEL, *poeta*
KONSTANCJA, *nauczycielka*
ŁUKASZ, MICHAŁ, KRZYSZTOF, TEODOR — *halabardnicy*
TOMASZ, TOBIASZ — *włóczędzy*
GRUBY KAROL, *właściciel gospody „Pod stu włóczniami"*
RÓZIA, *dziewczę z ludu*
AKTOR I
AKTOR II
LEON, PIOTR, ZENON, EUGENIUSZ — *ławnicy*
LEONOWA, PIOTROWA, ZENONOWA, EUGENIUSZOWA — *ich żony*
POSEŁ KRÓLOWEJ PORTUGALII
MINISTER RZECZPOSPOLITEJ WENECKIEJ
KOMISARZ POLICJI
GENERAŁ WILHELM
POLICJANT I
POLICJANT II
POLICJANT III
STRAŻAK

JANKA
ZOSIA
LUDKA
STEFA
} *dziewczynki*

TADZIO
HENIO
} *chłopcy*

ANZELM, *służący burmistrza*
LEOKADIA, *pokojówka burmistrza*
ROBOTNIK I
ROBOTNIK II
DEKORATORKA
KOBIETA I
KOBIETA II
KOBIETA III
GŁUCHY
GÓRAL I
GÓRAL II

CZŁONKOWIE POSELSTW, AKTORZY, GÓRALE, TŁUM

Rzecz dzieje się w dawnych czasach, w niewielkim górskim, wolnym mieście szwajcarskim.

(Aktor grający w widowisku rolę burmistrza Jakuba wychodzi przed kurtynę)

AKTOR: Panie i panowie! W dzisiejszym widowisku przypadła mi rola burmistrza Wolnego Sfederowanego Szwajcarskiego Obwodu. Uradzono za kulisami, że najlepiej będzie, jeżeli ja wyjdę przed kurtynę i w imieniu wszystkich aktorów powitam zebranych tu na sali. Za kulisami zebrało się bardzo wielu grających. Jest tam syn naszego narodowego bohatera, Winkelrida — młody góral, Konrad Winkelrid. Są moi współpracownicy i podwładni. Jest moja młoda i piękna żona, Agnieszka, poeta Gabriel, dwóch włóczęgów: Tomasz i Tobiasz; Gruby Karol, właściciel gospody „Pod stu włóczniami", nauczycielka: pani Konstancja. Są dostojni przedstawiciele zaprzyjaźnionych mocarstw: poseł królowej Portugalii i poseł Rzeczpospolitej Weneckiej. Poza tym wiele innych osób: aktorzy, policjanci, górale, dzieci i statyści. Wszyscy mamy barwne kostiumy, a mówić będziemy prozą i wierszem, pojedynczo i chóralnie, ponieważ rzecz, która zostanie za chwilę pokazaną, jest widowiskiem historycznym.

W tej chwili, gdy kurtyna jeszcze się nie podniosła, Winkelrid opuszcza swoją chatę na hali i wyrusza w drogę do odległego miasta. Wezwaliśmy go tam na dzień wielkiego święta narodowego ku czci jego ojca. Właśnie nadeszła dwudziesta rocznica dnia, gdy Arnold Winkelrid, wbijając we własną pierś ostrza włóczni nieprzyjacielskich, uratował wolność swojej szwajcarskiej ojczyzny. Zatem, zaczynamy!

AKT PIERWSZY

ODSŁONA I

(Uliczka górskiego miasteczka. Półmrok nocy. Powoli świta. Słychać z daleka sześć uderzeń ratuszowego zegara. Wchodzi ront nocny: dwóch halabardników, Michał i Teodor)

MICHAŁ: Dość tego dobrego! Szósta wybiła, nie zrobię kroku dalej.

TEODOR: Dojdźmy choć do najbliższego zbiegu ulic, dwadzieścia kroków, nie więcej.

MICHAŁ: Choćby trzy!

TEODOR: Nie wypada kończyć nocnego rontu na środku ulicy.

MICHAŁ: Więc idź sam kończyć.

TEODOR: Ja sam nie mogę być rontem nocnym. Musi być nas dwóch.

MICHAŁ: Teodorze, źle skończysz!

TEODOR: Ja?

MICHAŁ: Ty! Kto chce dłużej pełnić służbę, niż brzmi rozkaz, to kandydat na tyrana. Zgubi cię brak umiaru w posłuszeństwie.

TEODOR: A Winkelrid nie zrobił więcej, niż do niego należało?

MICHAŁ: Przeciwnie, Winkelrid zrobił akurat tyle, ile trzeba było. Co jest obowiązkiem żołnierza?

TEODOR: Bronić ojczyzny, zwyciężyć, lub zginąć z honorem.

MICHAŁ: A widzisz! Winkelrid to właśnie uczynił, ani mniej, ani więcej.

TEODOR: A dlaczego został bohaterem? Przecież wtedy wielu zginęło?

MICHAŁ: Jak na wzorowego obywatela zadajesz zbyt wiele pytań. *(słychać w głębi ulicy kroki i głosy)*

TEODOR: Stój, kto idzie?

MICHAŁ: Czego krzyczysz? Służba skończona.

TEODOR: Służba nigdy się nie kończy! Kto idzie?

ŁUKASZ *(zza sceny)*: Jej królewska mość, królowa Portugalii!

(Teodor wyprostowuje się na baczność. Wchodzi jeszcze dwóch halabardników: Łukasz i Krzysztof)

ŁUKASZ: Witajcie, rycerze!

TEODOR: Cóż za głupie dowcipy, moi panowie?

ŁUKASZ: Czy nie wyglądam na królową Portugalii?

MICHAŁ: Jak spaliście na służbie?

ŁUKASZ: Nienajgorzej.

MICHAŁ: A ja z nim przez całą noc musiałem łazić z ulicy na ulicę. Usiłowałem przekonać go, aby pilniej i uważniej wysłuchiwał przemówień naszego burmistrza. Dowiedziałby się wtedy, że od czasu uwolnienia naszego kraju spod przemocy cesarskich, to znaczy od dwudziestu lat, gdy w zwycięskiej bitwie w wąwozie Peterhornu zginął wielki Winkelrid, w Federacji naszej nie zdarzają się żadne rabunki, napady ani tym bardziej morderstwa. Powinniśmy zatem naszą służbę wartowniczą pojmować bardziej symbolicznie.

TEODOR: Moi panowie!

ŁUKASZ: Prawda, dzisiaj święto Winkelrida! *(do Krzysztofa i Teodora)* Wy dwaj, gdy żył Winkelrid, trzymaliście jeszcze koszule w zębach. Ale ja go dobrze pamiętam.

TEODOR: Rzeczywiście?

ŁUKASZ: Chowaliśmy się razem od takich o! małych pędraków.

TEODOR: Z Winkelridem?

ŁUKASZ: Byliśmy sąsiadami. Jego łąka graniczyła z moją.

KRZYSZTOF: Coś blagujesz! Przecież nie masz łąki.

ŁUKASZ: Ba! Dwadzieścia lat temu, przed wojną z cesarskimi, wielu z tych, którzy nic teraz nie mają, było gospodarzami całą gębą.

KRZYSZTOF: Cesarscy nie zabrali chyba z sobą twojej łąki?

ŁUKASZ: Nie, ale wszystko, co rekwirowali cesarscy, po ich wypędzeniu objęła gmina. Jak wróciłem z wojny, to musiałem pożegnać się ze swoją łączką. Nie ja jeden. Żona Winkelrida została z małym chłopakiem i też nie miała do czego wracać.

MICHAŁ: Popatrzcie! i co?

ŁUKASZ: Wywędrowali gdzieś w góry. Co tu mieli robić?

KRZYSZTOF: Diabli to święto akurat dzisiaj nadali! Umówiłem się na popołudnie z Leokadią, pokojówką burmistrza, a zupełnie zapomniałem, że mam służbę na placu miejskim podczas przedstawienia tej historii, co ma być grana.

MICHAŁ: Ja też.

ŁUKASZ: I ja.

TEODOR: Ja także mam wartę na placu. Ale ja mam jeszcze zapowiadać poselstwa mocarstw. Powierzył mi to wyróżnienie nasz dowódca, generał Wilhelm. Wiem również, że królowa Portugalii przysłała w darze dla naszego miasta honorowy miecz.

KRZYSZTOF *(nuci)*: *Raz królowej Portugalii*
Zachciało się kąpać w balii...

TEODOR: Panie kolego!

ŁUKASZ: Przyjaciele, uciekajmy od tego nudziarza! Znam nie opodal milutką knajpkę...

KRZYSZTOF: Niech żyje królowa Portugalii! *(Teodor odruchowo wyprostowuje się na baczność i woła:* niech żyje! *Trzej halabardnicy pośpiesznie ucie-*

kają. Teodor po chwili dopiero orientuje się w sytuacji. Zmierza ku wyjściu, gdy zjawia się Winkelrid)

WINKELRID: Hej, panie żołnierzu! *(Teodor odwraca się i podchodzi)* Powiedźcie, panie żołnierzu, daleko do pana burmistrza?

TEODOR: Prosto na lewo, do placu Wolności... A ty co za interes możesz mieć do burmistrza? Burmistrz nie przyjmuje tak każdego z ulicy.

WINKELRID: To też ja nie jestem każdy!

TEODOR: Oho, coś sobie za hardo poczynasz.

WINKELRID: A pan, panie żołnierzu, coś nie bardzo uprzejmy.

TEODOR: Stawiasz się? Gdzie mieszkasz?

WINKELRID: Daleko!

TEODOR: Nazwisko?

WINKELRID: Winkelrid!

TEODOR: Jak powiadasz?

WINKELRID: Czyście głusi, panie żołnierzu? Nazywam się Winkelrid, syn Arnolda Winkelrida.

TEODOR: Popatrzcie!

WINKELRID: Czyżbyście tego nazwiska nigdy nie słyszeli, panie żołnierzu, że się tak dziwicie? *(Teodor milczy)* Bywajcie zdrowi, panie żołnierzu! Dziękuję za wskazanie drogi.

TEODOR: Poczekaj no, ptaszku, pójdziemy razem!

WINKELRID: Ech, panie żołnierzu! sam zajdę szybciej. *(chce się oddalić)*

TEODOR: Stać!

ODSŁONA II

(Cela więzienna. W głębi zakratowane okno. Na pryczach śpi dwóch więźniów: Tomasz i Tobiasz.

Wchodzi Winkelrid. Za nim zgrzyt klucza we drzwiach. Wchodząc potyka się o stołek. To budzi Tomasza)

TOMASZ: Hej, Tobiaszu! *(po chwili)* Tobiasz! *(na drugiej pryczy porusza się Tobiasz)*

TOBIASZ: Co się stało?

TOMASZ: Tobiaszu, już czas! *(spostrzega Winkelrida)* Oho, panie gość! Za co cię wsadzili?

WINKELRID: Nie wiem.

TOMASZ: A kto będzie wiedział, jak pan nie wie? *(Winkelrid milczy)*

TOMASZ: Świetnie! To widzę, Tobiaszu, jakiś szemrany facet. No, panie gość, od razu na wstępie dam panu światłą radę bywałego recydywisty: grunt nigdy się nie przyznać!

WINKELRID: Do czego ja mam się nie przyznać?

TOMASZ: Coraz lepiej! Pamiętać: zeznanie przed policją nie ma prawnego znaczenia. Grunt nie przyznawać się na śledztwie. Nigdy nie trzeba zanadto ułatwiać nikomu, zwłaszcza władzy. Ludzie, którym zanadto ułatwia-

no, robią się słabsi i władza, której zanadto ułatwia się, także się wyradza, traci swoją krzepkość. Jak pan się przyzna, albo kogo sypnie, nigdy pan przez to swojej sytuacji nie poprawi. A przyznać się, to to samo, co sypnąć samego siebie. Chce pan sypać, czy nie?

WINKELRID: Sypać?

TOMASZ: Coraz lepiej! Sztama, to grunt, na tym się opiera całe społeczeństwo. Prawda, Tobiaszu? Solidaryzm!

TOBIASZ: Prawda. *(znów się kładzie i odwraca na drugi bok)*

TOMASZ: Niech pan nie myśli, że on rozumie cokolwiek z tego, co mówię. To but! Ale powtarza „prawda", bo wie, że nie przyznać mi racji byłoby z jego strony oznaką głupoty. Niech pan spojrzy, znów się położył! *(zegar zaczyna bić siódmą)*

TOMASZ: Tobiaszu, słyszałeś, już siódma!

TOBIASZ: Co? Co?

TOMASZ: Siódma! naprawdę nie słyszałeś?

TOBIASZ: *(płaczliwie)* Naprawdę.

TOMASZ: To nie do wiary! *(Tobiasz wzdycha i rękawem koszuli ociera łzy z oczu)*

TOBIASZ: Przecież wiesz, że na prawe ucho nie słyszę. A teraz leżałem na prawym boku...

TOMASZ: Nie ślimacz się przynajmniej. Łzy nie doskonalą człowieka. Idź lepiej i weź się uczciwie do swojej pracy. Pamiętaj: tylko praca człowieka uszlachetnia!

TOBIASZ: Już, Tomaszku, idę. *(bierze narzędzia, pochodzi do kraty i zaczyna ją przepiłowywać)*

TOMASZ: Widzi pan, wymyśliłem dla niego najbardziej odpowiednie zajęcie. Władze policyjne uznały go za włóczęgę, trwoniciela czasu, rzecz nieużyteczną i dlatego go tu zamknęły. Zwłaszcza przed świętem narodowym trzeba uwalniać miasto od elementów mało reprezentacyjnych. A ja z tego leniwca w krótkim przeciągu czasu uczyniłem jedną z bardziej pracowitych istot. Od tygodnia przepiłowuje kratę przy pomocy metalu, gwoździ i sznurków z siennika. Liczę, że dzisiaj skończy. Aby z wyrzutka uczynić postać pożyteczną, trzeba niewiele, trochę troski o jego duszę, trochę inteligencji połączonej z wyrozumiałością.

WINKELRID: Uciekacie?

TOMASZ: Chce pan się do nas przyłączyć? To sztama! Zawsze w kupie lepiej, niż samemu. Dwu włóczęgów i jeden bliżej nie rozpoznany wystarczą na zawiązanie społeczeństwa, przynajmniej koczowniczego.

WINKELRID: Może mu pomóc?

TOMASZ: Po co? Pan, jak mi się zdaje, nie jest niedołęgą. Takim, jak my, powinna wystarczać sama świadomość pożyteczności wszelkich prac. Pracą niech się zajmują niedorajdy. Gdyby mój ojciec nie poległ w bitwie przy boku Winkelrida...

WINKELRID: Co?

TOMASZ: Nie znaleźlibyśmy się z matką w nędzy.

WINKELRID: Pana ojciec znał Winkelrida?

TOMASZ: Niestety, dopiero na tamtym świecie miał go zaszczyt poznać osobiście. Gdyby odłożył ten zaszczyt cokolwiek na później, ja otrzymałbym odpowiednie wykształcenie i niewątpliwie zasłynąłbym jako znakomity myśliciel. Natomiast jestem przekonany, że gdyby Tobiasz urodził się synem królewskim, to albo bracia wypędziliby go z królestwa, lub — gdyby ich nie miał — poddani uczyniliby to samo. I tak w obu wypadkach Tobiasz stałby się tym, kim jest obecnie, jako syn praczki i nałogowego pijaka. Wniosek z tego — primo: jednych los krzywdzi, secundo: dla drugich jest sprawiedliwy. Hej, Tobiaszu, w jakim stadium znajduje się powierzone ci zadanie?

TOBIASZ: Krata już przepiłowana.

TOMASZ: Niech żyje zatem święto narodowe! A pan chciałby wziąć udział w święcie?

WINKELRID: Pewnie! Po to przyszedłem do miasta.

TOMASZ: To pięknie! Ale za co do licha tutaj się dostałeś?

WINKELRID: Sam nie wiem. Zatrzymał mnie jakiś zbrojny drab...

TOMASZ: Bez przyczyny?

WINKELRID: Bez. Zawlókł mnie do komisariatu.

TOMASZ: Trzeba było krzyczeć.

WINKELRID: Krzyczałem, że muszę się dostać do burmistrza.

TOMASZ: Do burmistrza?

TOBIASZ: Nie dziw się tak głośno, Tomaszu. Może to jest polityczny?

TOMASZ: Może. Ale takich nie lubię. Niepotrzebnie drą nosa do góry. A przecież co drugi normalny przestępca także był zazwyczaj kiedyś polityczny. A może rzeczywiście przybyłeś tu z zamiarem dokonania zamachu na istniejący porządek rzeczy?

WINKELRID: Wezwano mnie.

TOMASZ: A to niedobrze! Jak władza kogo wzywa, nie można mieć pewności co do swego losu. Trzeba było wezwanie zignorować.

WINKELRID: Kiedy ja tu w mieście jestem dzisiaj niezbędny.

TOMASZ: Tym gorzej, młodzieńcze! Nas dwóch władze uważają za nieużytecznych, ciebie za niezbędnego, a mimo to spotkaliśmy się tutaj na równych prawach i z równą szansą wyjścia stąd... *(wskazuje na okno)* tamtędy! Ale dość gadania, do czynu! Tobiaszu, podstaw stołek! Ja wyjdę pierwszy, rozejrzę się, a potem wy za mną, jak gwizdnę. Być może jeszcze się kiedyś spotkamy. Może pan wtedy na nas liczyć. Jak sztama, to sztama! Jak się nazywasz?

WINKELRID: Winkelrid.

TOBIASZ: Aaaaa!

TOMASZ: Czyżby syn wielkiego Winkelrida?

WINKELRID: Tak.

TOMASZ: Teraz wszystko rozumiem, wielkość i więzienie idą z sobą w parze. Jeśli wielkiemu człowiekowi uda się uniknąć krat, to syna na pewno już

one nie ominą. No to, bracie, podaj mi dłoń, bo ja jestem synem kolegi twego ojca. Kolegi po fachu. Twój ojciec jest bohaterem narodowym, a mój także, tylko że nieznanym, bo choć zginął w tej samej bitwie, historia nie wspomina jego nazwiska. Ale usypali mu za to taki sam kopiec. Za miastem ujrzysz dwa kopce: pierwszy nazywa się kopcem Winkelrida, to kopiec ku czci twego ojca, drugi nazywa się kopcem nieznanego bohatera, to kopiec ku czci mojego ojca. Widocznie jednak nad rodami ciąży jakieś fatum, bo oto teraz ty jesteś znanym aresztantem, a ja znów z kolei jestem aresztantem nieznanym.

TOBIASZ: Tomaszu, już czas!

TOMASZ: Słusznie. Na wielki świat! Ty kolego, synu kolegi mego ojca, z nami?

WINKELRID: Z wami! Ale poczekajcie... *(Tomasz i Tobiasz zatrzymują się)* Teraz jestem biedny. Chałupę tylko mam, tam wysoko w górach, jedną krowę. Ale jak mnie wezwano na to święto ojca, to musi tak być, że sobie o mojej matce i o mnie przypomnieli i oddadzą nam łąkę ojcowską, którą zabrali najpierw cesarscy, a po wojnie gmina. Wtedy będę gospodarzem, będę miał piękny dom, cztery krowy, masło i sery i wy, chłopcy, przyjdziecie do mnie w gościnę.

TOMASZ: Słyszysz, Tobiaszu?

TOBIASZ: Ja lubię śmietanę...

TOMASZ: But! Naturę podziwiać, dobre uczucia w sobie wzbudzać! *(do Winkelrida)* W drogę!

ODSŁONA III

(Mieszkanie Burmistrza. Pośrodku łazienka. Na prawo sypialnia. Drzwi do niej od łazienki otwarte. Na lewo gabinet. Drzwi pomiędzy łazienką a gabinetem zamknięte.

W łazience Burmistrz kończy ranną tualetę. W sypialni na szerokim łóżku — Agnieszka)

BURMISTRZ: Obywatele, w dniu dzisiejszym...

AGNIESZKA: Jakubie!

BURMISTRZ: Obywatele, w dniu dzisiejszym święcimy pamięć...

AGNIESZKA: Jakubie, czy zwariowałeś?

BURMISTRZ: Daj spokój, wiesz, że ludzie na moim stanowisku nie wariują.

AGNIESZKA: Zaczynam powątpiewać. *(Burmistrz staje w drzwiach sypialni)*

BURMISTRZ: Lepiej mi powiedz, który gest będzie zręczniej pasował do początku mowy... tak: obywatele! czy może tak: obywatele!

AGNIESZKA: Powinieneś położyć się do łóżka.

BURMISTRZ: Poczekaj... Wiesz jak wielką rolę gest odgrywa w polityce...

AGNIESZKA: Wiem. Ale wiem również, że dla politycznego gestu nie budzi się kobiety.

BURMISTRZ: Posłuchaj, Agnieszko, czy ten ustęp z mego przemówienia będzie dobrze brzmieć? „Dwadzieścia lat mija od chwili, kiedy los pozwolił mi stanąć w jednym szeregu z Winkelridem, ramię przy ramieniu". To powinno dobre zrobić wrażenie, co?

AGNIESZKA: Fatalne! Ten Winkelrid był prostym ciurą, a ty stałeś na czele roty.

BURMISTRZ: Lepiej być towarzyszem bohatera narodowego, niż jego dowódcą. Bardziej jakoś pasuje, więcej taktu.

AGNIESZKA: Nie uważam. Nie widzę powodów, dla których masz się zniżać do kolegowania ze zwykłym kowalem.

BURMISTRZ: Ale jeżeli ten kowal jest bohaterem narodowym? Zapominasz, moja droga, że życie bohatera liczy się dopiero od jego śmierci. Co było przedtem, kim był, co robił, jest zupełnie nieważne. Całkiem odwrotnie, niż z nami wszystkimi...

AGNIESZKA: Nie rozumiem, jak taki człowiek, jak ty, może kierować sprawami miasta.

BURMISTRZ: O, rządzenie nie jest rzeczą łatwą! W każdym razie nie polega ono na mówieniu wszystkiego, co się wie, ani na czynieniu wszystkiego, co się należy. Te bowiem dwie drogi prowadzą zawsze niezawodnie do utraty władzy.

AGNIESZKA: Więc po co tak starannie przygotowujesz się do tej mowy?

BURMISTRZ: Właśnie po to, żeby przez pomyłkę nie powiedzieć wszystkiego, co wiem, ani nie powiedzieć jej tak, jakby ją właściwie należało powiedzieć. *(za drzwiami gabinetu słychać hałas)*

AGNIESZKA: Co to jest?

WINKELRID *(zza sceny)*: Panie, mówię, że jestem wezwany na rano. Mam osobiście stawić się u pana burmistrza.

ANZELM: Pan burmistrz o tej porze nie przyjmuje.

WINKELRID: Odsuń się pan! mnie przyjmie.

LEOKADIA: Anzelmie, pan będzie się gniewał. Anzelmie, proszę nie wpuszczać.

AGNIESZKA: Jakubie!

BURMISTRZ: Zobaczę, co się tam dzieje.

AGNIESZKA: Jakubie, bądź ostrożny!

BURMISTRZ: Na własnych śmieciach? *(przez łazienkę przebiega do gabinetu. Drzwi zostawia pootwierane. W tej chwili lewe drzwi od gabinetu uginają się i wpada przytrzymywany przez Anzelma i Leokadię Winkelrid)*

AGNIESZKA: Może to zamachowiec?

BURMISTRZ *(do Winkelrida)*: Czego?

WINKELRID: Gdzie jest burmistrz?

BURMISTRZ: Do mnie?

WINKELRID: Jestem Konrad Winkelrid.

BURMISTRZ: Anzelmie, Leokadio... proszę nas zostawić. *(Anzelm i Leokadia wychodzą)*

BURMISTRZ: Więc powiadacie, że jesteście Konradem Winkelridem? Synem wielkiego Arnolda jesteście?

WINKELRID: Tak, panie burmistrzu.

BURMISTRZ: Witaj, chłopcze! Kolegowałem z twoim ojcem. Zaszczytne to koleżeństwo. To pięknie, że przybyłeś na święto swego ojca.

WINKELRID: Zostałem wezwany przez pana burmistrza.

BURMISTRZ: Tak, tak, wiem. Musiałeś daleką odbyć do nas drogę, co? Nie pamiętam już, gdzie mieszkasz, w górach gdzieś.

WINKELRID: Pod Peterhornem.

BURMISTRZ: A! Peterhorn, Peterhorn... stare dzieje. Walczyłem tam wtedy razem z twoim ojcem. A ty, widzę, wyrosłeś przez ten czas na dzielnego chwata. Potrzeba nam takich ludzi.

WINKELRID: U nas w górach wszyscy chłopcy są tacy.

BURMISTRZ: Dużo was przyszło na święto?

WINKELRID: Będzie z dziesięciu.

BURMISTRZ: O, to świetnie! Cała delegacja!

WINKELRID: Co proszę?

BURMISTRZ: Delegacja, mówię. Przedstawiciele ludności.

WINKELRID: E, nie! to moi druhowie. Przyszli, bo to święto mojego ojca. Ale ja ich zostawiłem po drodze, bo chciałem być prędzej w mieście. Przyjemnie jest, panie burmistrzu, odbierać po tylu latach ojcowiznę.

BURMISTRZ: Ojcowiznę, powiadasz? no tak. Nie każdy ojciec zostawia synowi taki piękny spadek. Szczęśliwy powinieneś się czuć, mój chłopcze. Szczęśliwy i dumny.

WINKELRID: O tak, panie burmistrzu! Co swoja własna ziemia, to swoja własna. Dla nas, górali, to wielka rzecz.

BURMISTRZ: Dla wszystkich, mój chłopcze, to jest wielka rzecz. Cieszę się jednak, że tak myślisz. Twój ojciec mógłby być dumny z takiego syna.

WINKELRID: Dziękuję, panie burmistrzu. Moja matka zawsze mi mówiła, że ojciec bardzo kochał swoją ziemię.

BURMISTRZ: Wiemy o tym dobrze, mój chłopcze. Wiemy i pamiętamy. Jestem naprawdę szczęśliwy, że w twoim młodym sercu odnajdę tę samą miłość. To najszlachetniejsza z ludzkich miłości, mój chłopcze, kochanie swojej ziemi.

WINKELRID: Pan burmistrz musi być dobrym gospodarzem.

BURMISTRZ: Ja? Cóż, w miarę sił gospodaruję... Ale pogadajmy o twojej sprawie.

AGNIESZKA *(z łazienki)*: Jakubie!

BURMISTRZ: Przepraszam cię, chłopcze, za chwilę. *(przechodzi do łazienki, zostawiając drzwi nieco uchylone)*

AGNIESZKA: Kto to jest, Jakubie? Dlaczego tak długo rozmawiasz?

BURMISTRZ: Chcesz zobaczyć zwierzaka?

AGNIESZKA: Zwierzaka?
BURMISTRZ: Zajrzyj przez szparę.
AGNIESZKA: Wcale ładny zwierzak!
BURMISTRZ: Coś ci się zanadto ostatnio podobają młodzi ludzie.
AGNIESZKA: Myślisz? Co to za jeden?
BURMISTRZ: Syn Winkelrida.
AGNIESZKA: Zostawiasz go na śniadaniu?
BURMISTRZ: Zwariowałaś? Zaraz go spławię. *(wraca do gabinetu)*
BURMISTRZ: No, chłopcze, przystąpmy zatem do twojej sprawy. Wybacz, że powiem krótko, w kilku słowach, ale obowiązki dzisiejszego dnia wzywają mnie. Otóż, jak ci wiadomo, przypada dzisiaj dwudziesta rocznica uwolnienia naszego kraju spod ucisku cesarskich. Jest to tym samym święto ku czci twego bohaterskiego ojca. Zatem... *(ogląda się ku zamkniętym drzwiom łazienki)* Zatem... *(wstaje i szybko zmierza ku łazience. Agnieszka, która przez cały czas podglądała przez dziurkę od klucza, odskakuje w porę i staje przed lustrem)*
BURMISTRZ: Zdawało mi się, że mnie wołałaś?
AGNIESZKA: Ja? Nie, kochanie. *(burmistrz wraca do gabinetu)*
BURMISTRZ: Zatem, krótko mówiąc... wiesz, mój chłopcze, najlepiej będzie, jeżeli udasz się do pana Gabriela. To jest nasz znakomity poeta, on wyjaśni ci wszystko, co trzeba. Anzelmie! *(wchodzi Anzelm)* Mój Anzelmie, proszę temu młodzieńcowi wskazać drogę do pana Gabriela. No, chłopcze, żegnaj tymczasem. Mam nadzieję, że będziesz zadowolony.
WINKELRID: O tak, panie burmistrzu, to się rozumie. Bo gdyby mnie się to nie należało...
BURMISTRZ: Ależ należy ci się. Komuż jak nie tobie?
WINKELRID: Ja wiem. Teraz wszystko będzie inaczej. Moi chłopacy też się ucieszą.
BURMISTRZ: To chwała Bogu! Dzisiaj wszyscy powinniśmy się czuć braćmi. Twój ojciec bardzo wiele zdziałał dla idei demokratycznej... To jest, wiesz, taka idea, która stara się, żeby wszystkim ludziom było dobrze na świecie.

ODSŁONA IV

(Podmiejska willa Gabriela. Taras, schody, w głębi widok na góry. Po prawej stronie mur, w nim niska furtka)

GABRIEL:

Samotność... Nie jest łatwo, kiedy dotknę piórem
Papierowej pustyni, wydobyć wzruszenie.
Martwe wstają postaci, które moja twórczość
Nadaremnie próbuje wywoływać z pustki.
Może to jest bolesna na tej ziemi kara
Za tę jakąś straszliwą obojętność, którą

Noszę w swojej istocie dla wszystkich spraw ludzkich,
Brak miłości być może, czy jej niedostatek
Sprawia, że pusto dźwięczą w mych ustach wyrazy,
A dzieła... dzieła moje martwo urodzone,
Jak jagnięta na futra dla wykwintnych kobiet,
Mają w sobie wytworność, lecz brak im trwałości
I ciepła, które daje im rację istnienia...

(przez furtkę wchodzą Winkelrid i Anzelm)

O kobiety okrutne! Z was może niejedna
Potrafiła i własne dziecko zabić w łonie...

ANZELM: Psst! Nie trzeba mu przeszkadzać, wiersze mówi.
WINKELRID: Sam do siebie?
ANZELM: Tss! Fanaberie. Z nudów.
GABRIEL:

Chłód idzie od gwiazd nocnych. Nad zmęczoną ziemią
W pogromie groźnym czasu przemijają noce
I zda się, że słyszycie tupot nowych plemion,
Który nas jak lód cienki na rzece druzgoce.
Gdy pęknie lód niebieski ciemna woda miga
I myślisz, że odłamki pokruszone zniesie,
Lecz wędrowcy przechodzą i ślad ich zastyga
I znowu szklistym lodem, ciemna wodo, jesteś!
Tak i po mnie niejedno przebiegło doznanie:
Czar natury, kobieta, dążenie narodu,
Lecz wobec mojej duszy ich zbyt lekki taniec
Miał znaczenie po lodzie marznącym pochodu.
Tak wszystko, co nas miażdży, dzwoni pustym hukiem
I nade mną jak tupot nierealny mija.
I czekam przy mej drodze jak żebrak o kiju
Kiedy Bóg mnie przeorać raczy swoim pługiem...

WINKELRID: Jeszcze?
ANZELM: Tss!
GABRIEL:

Wiele rzeczy uczynić pragnę: pieśń bojową
Dać swojemu krajowi, lub rozważną radę
Kupcowi, gdy w sumieniu swym zechce co zważyć.
Także chciałbym się ujrzeć jak na koniu jadę
Przy weselu przepysznym jako pierwszy drużbant.
Ale już nade wszystko chcę opiewać męstwo,
Heroizm, wielkość ducha, dzielność samą w sobie.
Skok człowieka w nieznane, zryw ogólnoludzki.

WINKELRID: Może już? *(Anzelm wysuwa się nieco i chrząka)*
GABRIEL:

Pod takim baldachimem w nieśmiertelnych grobie
Ujrzałbym swoją postać na indyjskim słoniu.
...I znów do siebie wracam. O przeklęty biegu
Mych skojarzeń...

(Anzelm chrząka głośniej)

GABRIEL: A, to ty Anzelmie? Jak się masz?
ANZELM: Dziękuję. Pan burmistrz kazał się panu kłaniać.
GABRIEL: A twój towarzysz?
ANZELM: To pan burmistrz polecił przyprowadzić go do pana.
GABRIEL: Rzeczywiście?
WINKELRID: Tak, panie. Nazywam się Winkelrid.
GABRIEL Więc to pan, przyjacielu? Nareszcie cię widzę. Witam cię! Tak sobie właśnie wyobrażałem, że młody Arnold Winkelrid musi wyglądać.
WINKELRID: Mnie jest na imię Konrad.
GABRIEL: Konrad? To piękne imię, bohaterskie! Tak, ten sam wzrost, to samo spojrzenie... *(cofa się o krok)* Tak, właśnie tak! Chwileczkę... niech pan powie głośno i wyraźnie, niech pan za mną powtórzy: „niech stracę łąkę i zagrodę i gaje, gdziem w dzieciństwie latał..."
ANZELM: Przepraszam, czy będę jeszcze panu potrzebny?
GABRIEL: Możesz odejść, Anzelmie. Dziękuję ci. Pan Winkelrid zostanie tutaj.
ANZELM: Pozwolę sobie zatem pożegnać pana. *(do Winkelrida)* Do widzenia, młody człowieku.
GABRIEL: Świetnie, że jesteśmy sami. Która to godzina? No, mamy jeszcze trochę czasu. Tym lepiej. Niech pan tu stanie, o tu, na schodach, tak będzie najlepiej. Niesłychane, żeby rzeczywistość tak idealnie potwierdzała poetycką wizję. Nigdy bym ci, przyjacielu, nie przebaczył, żebyś był na przykład krępym i piegowatym chłopakiem. Wszystko byłoby na nic. *(ustawia Winkelrida na schodach)* O tak, tutaj. Teraz proszę za mną powtórzyć: „niech stracę łąkę..." *(Winkelrid śmieje się)* Wspaniale! Jeżeli ma pan głos tak samo dobry, jak śmiech, to wszystko pójdzie znakomicie. Ale zaraz, zaraz... czy burmistrz o wszystkim ci dokładnie opowiedział?
WINKELRID: O wszystkim, to nie, ale co najważniejsze. Dalej, powiedział, to już mamy załatwić razem.
GABRIEL: Świetnie! więc wiesz o dzisiejszym przedstawieniu?
WINKELRID: Co proszę?
GABRIEL: Ech, widzę, że starszy pan niewiele powiedział. Słuchaj więc, przyjacielu. Żeby uczcić pamięć zwycięstwa, jakie nasz Związek odniósł dwadzieścia lat temu nad cesarskimi, rzuciłem myśl, aby co roku w rocznicę wielkiej bitwy pod Peterhornem odbywały się u nas w mieście narodowe misteria.

WINKELRID: Misteria?

GABRIEL: To znaczy wielkie, uroczyste przedstawienie, widowisko pod ołym niebem, na rynku. Pośrodku estrada, dokoła widzowie...

WINKELRID: Aha!

GABRIEL: Myśl została przyjęta i mnie powierzono napisanie tego mi-terium. W ten sposób co rok, jednego i tego samego dnia, każdy obywatel ędzie mógł osobiście przeżywać to wielkie zdarzenie naszej historii, własny-ni oczami oglądać nieśmiertelną walkę, nasz tryumf, a przede wszystkim po-tać tego, którego bohaterska śmierć przyniosła żyjącym wolność.

WINKELRID: Mówi pan o moim ojcu?

GABRIEL: Oczywiście! W moim misterium twój ojciec ma trwać zawsze ednakowy, żywy, nieśmiertelny, rozumiesz? Winkelrid sam jeden zastępu-jący drogę nieprzyjacielowi. Winkelrid wbijający włócznie cesarskich we własną pierś. Pokolenia przechodzić będą po pokoleniach, zmieniać się tu bę-dzie na tej ziemi wiele rzeczy, jak wszędzie wszystko zmianom podlega, tyl-ko on jeden — za sto lat, za dwieście, za trzysta — ukazywać się co ok z tym samym gestem i z niezmiennymi słowami, wśród chóru Szwajcarów nieprzyjaciół. Pojmujesz mnie?

WINKELRID: Nie bardzo. Przecież mój ojciec nie będzie pokazywany na stradzie?

GABRIEL: Ależ tak, on przede wszystkim!

WINKELRID. To znaczy, że ktoś się musi przebierać za mego ojca?

GABRIEL: O, wcale nie „ktoś", żaden pierwszy lepszy. Nie domyślasz się, przyjacielu, kto może odtworzyć postać twego ojca? Ależ ty, ty sam!

WINKELRID: Ja?

GABRIEL: Któż większe, niż ty, miałby prawo przemawiać słowami twe-go ojca? Ty jeden możesz to uczynić. Po tobie twój syn...

WINKELRID: Pan żartuje!

GABRIEL: Nie, skądże? Wszystko już gotowe. Tylko ciebie czekamy.

WINKELRID: I co by też nasi, co razem ze mną przyszli, powiedzieli na to? Obśmieliby mnie, jak nic, gdyby mnie zobaczyli na estradzie udającego, że estem moim własnym ojcem.

GABRIEL: Przeciwnie!

WINKELRID: Pan wie swoje, a ja swoje. Nie po to przyszedłem na to święto.

GABRIEL: Nie chcesz chyba, żeby ktoś pierwszy lepszy grał twego ojca?

WINKELRID: A co będzie z łąką?

GABRIEL: Z jaką łąką?

WINKELRID: Nie wie pan? Pan burmistrz powiedział, że pan wszystko załatwi.

GABRIEL: Ja mam załatwić z łąką?

WINKELRID: Powiedział pan burmistrz.

GABRIEL: Plączesz coś, przyjacielu. Nic nie wiem o żadnej łące.

WINKELRID: Jakto, panie? Po ojcu moim łąka! Mam ją teraz z powrotem dostać. Powiedział pan burmistrz, że mam do pana pójść, to pan wszystko załatwi.

GABRIEL: Poczekaj, przyjacielu, jakieś tutaj musiało zajść nieporozumienie.

WINKELRID: Pan burmistrz wyraźnie powiedział.

GABRIEL: No może, może... wyjaśnimy to jeszcze. Może burmistrz zapomniał mi ó tym powiedzieć?

WINKELRID: Przecież nie żartował?

GABRIEL: Nie, na pewno nie!

WINKELRID: Bo to byłaby wielka dla mnie krzywda. Należy mi się ojcowska ziemia, nie? Myśmy się nie upominali — ani matka, ani ja. Ale jak teraz jest święto mojego ojca, to nam się należy.

GABRIEL: Tak, tak, oczywiście. Teraz pojmuję, że to wszystko, co mówiłem, mogło cię trochę zaskoczyć. Słusznie! Ale dojdziemy chyba do porozumienia?

WINKELRID: Z czym, panie?

GABRIEL: Żebyś jednak wziął udział w przedstawieniu? No? Zastanów się, ludzie będą ci za to wdzięczni. Kto wie, ile serc podniesie na duchu to co będziesz mówił. Wszyscy, którzy przyjdą składać hołd pamięci twego ojca, ujrzą jego postać wskrzeszoną przez jego własnego syna. Twoi drukowie nie będą się śmiać, zawierz mojej znajomości ludzkich uczuć. Bohaterstwo nigdy nie budzi śmiechu.

WINKELRID: Przecież ja nie zrobię nic bohaterskiego.

GABRIEL: Przypomnisz ojca. Więc jak? *(po chwili)* W przedstawieniu biorą także udział dzieci, dużo dzieci. Zdaje się, że one mają prostszy do tego stosunek, niż ty, mój przyjacielu. Śpiewają hymn do bohatera... *(deklamuje przyciszonym głosem):*

Winkelridzie! Winkelridzie!
Federacji bohaterze,
Kiedy twoje święto idzie,
Niech pod niebo pieśń uderzy...

WINKELRID: To dzieci śpiewają?

GABRIEL: Tak. Za chwilę odbędzie się ostatnia próba. Niedaleko stąd w szkole. Będą tam wszyscy: aktorzy, chóry, dzieci... Ciebie by tylko brakowało?

WINKELRID: Ale tam nikt nie gra własnego swego ojca?

GABRIEL: Przyjacielu, jeden był tylko Arnold Winkelrid.

ODSŁONA V

(Wielka sala gimnastyczna w szkole. Konstancja i dzieci. Dzieci kończą właśnie recytację Hymnu)

CHŁOPCY:

Włóczni wrogów tyś w pierś własną
Cały pęk skierował śmiało.

WSZYSCY:

Dzięki temu inni łatwiej
Mogli walkę skończyć z chwałą.

KONSTANCJA: Doskonale, moje dzieci. Dzięki waszej pilności nie będziemy zmuszeni tego prześpiewywać. Mamy jeszcze sporo czasu. Możemy sobie pogawędzić. Może was interesują jakie kwestie. Proszę, pytajcie! Znajdziecie u mnie zawsze chęć i cierpliwość dla waszych młodziutkich problemów.

JANKA: Proszę pani!

KONSTANCJA: Słucham.

LUDKA: Niech pani nam opowie, jak to było wtedy.

TADZIO: Naprawdę!

HENIO: Czy pani to widziała?

STEFA: Nie przeszkadzaj!

KONSTANCJA: Więc moje dzieci, byłam wtedy sama pięcioletnim bobasem. *(dzieci śmieją się)* Ale powiadali mi rodzice, bo bardzo im utkwiły w pamięci te czasy. Z powodu najazdów nieprzyjacielskich cierpieli niedostatek, a nawet musieli opuścić zagrody i przenieść się do szałasów na halach.

TADZIO: A po co przyszli cesarscy do nas?

KONSTANCJA: Cesarscy uważali, że wszystko powinno do nich należeć, że cały świat powinien być poddany ich kontroli i zorganizowany, jako jedno wielkie imperium. Stąd właśnie przyszło tyle nieszczęścia. Uważali, że wszyscy powinni im oddawać cześć jak jakimś bogom i ustępować im z drogi.

LUDKA: To cesarskich musiało być strasznie dużo?

KONSTANCJA: No, więcej niż my mogliśmy wystawić, ale nie tak znowu zawrotnie dużo. Najwyżej dwie kompanie. Ale błyskawicznie przebiegali z miejsca na miejsce i strasznie głośno krzyczeli chórem.

HENIO: To rozumiem wojna!

KONSTANCJA: Wreszcie po dwóch dniach nieprzerwanej walki cesarscy zaczęli się w końcu wycofywać, co zmieniło się w paniczną ucieczkę. Na przełęczy Peterhornu zastąpiły drogę cofającym się nieprzyjaciołom nasze wojska. Największym bohaterem okazał się Winkelrid.

HENIO: I zginął!

KONSTANCJA: Gmina wyszła z tej wojny poważnie wzmocniona. Obywatele raz uszeregowani w bojowych szykach, później byli już bardziej uspołecznieni i karni, a poza tym miasto przejęło na swoją własność nie tylko zagrody obywateli, którzy zginęli chwalebnie, lecz i te wszystkie łąki i pola,

które przedtem zarekwirowali cesarscy. Gmina słusznie wychodziła z założenia, że skoro obywać się mogli bez tych dóbr w trudnym czasie wojennych zamieszek, tym bardziej dadzą sobie radę w czasie pokoju.

HENIO: A czy dali?

KONSTANCJA: Na pewno! Teraz, moje dzieci, na dzisiaj koniec lekcji. Za chwilę przyjdzie tu do nas pan Gabriel. Pamiętajcie...

LUDKA: Proszę pani!

KONSTANCJA: Cóż znowu masz dziecko do powiedzenia?

LUDKA: Widziałam Winkelrida!

KONSTANCJA i niektóre dzieci: Niemożliwe!

TADZIO: Tak, Ludka go naprawdę widziała.

KONSTANCJA: Całe życie poświęcam na to, żeby im wybić z głowy bajki, żeby umysły ich uczynić krytycznymi i niedostępnymi dla rojeń i fantasmagorii, a tu...

LUDKA: Proszę pani! Za miastem, tam wysoko w wąwozie za kotlinką stoją cztery świerki, a pod świerkami góralska chatka...

KONSTANCJA: Zupełna bajeczka!

LUDKA: Wczoraj poszłyśmy z Zosią i Janką szukać poziomek. W tamtej kotlince są największe i najwięcej. Umówiłyśmy się, że która najwięcej nazbiera, to zje wszystkie, i swoje i cudze... I pod świerkami spotkał nas jeden pan...

TADZIO: Był zupełnie siwy!

STEFA: Nie przekręcaj!

LUDKA: Właśnie, że młody! I spytał nas skąd jesteśmy... i gdy dowiedział się, że z miasta, to powiedział, że się tam urodził i jego rodzice mieli tam kiedyś zagrodę, domek, kawał pola i łąkę, ale jak była wojna, to zagrodę zagarnęli im cesarscy i potem przejęła to gmina, zupełnie jak pani nam opowiadała... i jeszcze mówił...

KONSTANCJA: No, chwała Bogu! Nieprawdopodobne się wyjaśnia. Więc mamy do czynienia na szczęście nie z duchem... *(wchodzi Gabriel prowadząc Winkelrida)* Dzieci, powitajcie pana Gabriela! Cieszycie się, że mamy dziś w szkole takie odwiedziny?

JANKA, ZOSIA, TADZIO I LUDKA: Witamy! Witamy! Witamy!

STEFA: Wielkie wydarzenie.

HENIO: Cześć Panu Twórcy!

GABRIEL: Dziękuję wam, moje dzieci. Jestem szczęśliwy, że mimo tylu zajęć mogę się właśnie w tym uroczystym dniu znaleźć pomiędzy wami: przyszłością i nadzieją narodu. Człowiek, o ile chce w społeczeństwie odegrać przynależną mu rolę, powinien się dwoić i troić.

HENIO: I czworzyć!

GABRIEL: Brawo, chłopcze! Co za śmiałość myśli. Przyglądaj się życiu, a zostaniesz także kiedyś twórcą, jak ja.

KONSTANCJA: Panie Gabrielu, dzieci moje umieją ocenić pana i pańską rolę społeczną. Powiedz, Janko, kim jest pan Gabriel?

TADZIO: Naszym duchowym przewodnikiem!

GABRIEL: Przesada, mój chłopcze. Pani Konstancjo, powiemy lepiej dzieciom, kogo tu ze sobą dziś do nich przyprowadziłem. *(wypycha Winkelrida)*

LUDKA: Bohater!

GABRIEL: Skąd wiesz, kto to jest?

JANKA, ZOSIA: To Winkelrid, Winkelrid!

STEFA: Idiotki!

KONSTANCJA: Panie Gabrielu, niech to pana nie dziwi. Dzieci są z natury bardziej spostrzegawcze, niż sądzimy, a młodzież szkolna nieraz jest znacznie lepiej poinformowana o tym, co się dzieje, niż starsze pokolenie.

LUDKA: Ten pan, to Winkelrid, syn naszego wielkiego bohatera narodowego!

TADZIO: I przyszedł tutaj, żeby wziąć czynny udział w narodowym święcie i wystąpi w roli głównej, odegra postać swego ojca w sztuce, którą pan napisał, a w której my także wystąpimy wobec, wobec...

HENIO: Burmistrza, władz, przedstawicieli mocarstw.

TADZIO: I historii!

GABRIEL: Rzeczywiście wszystko wiedzą! Podziwiam, pani Konstancjo, rozwój jej wychowanków. Zatem pozwoli pani sobie przedstawić tego, tego... górala *(przedstawia)*. Panie Winkelridzie, przedstawię pana pani Konstancji, naszej czołowej pedagogiczce miasta. Pani Konstancjo, to jest jedyny syn Arnolda Winkelrida, Konrad Winkelrid, który skupi dziś na swojej osobie oczy całego miasta.

KONSTANCJA: Witam pana. *(powoli wchodzą na scenę Aktorzy, którzy mają wziąć udział w przedstawieniu)*

GABRIEL: Zaczynamy zatem! *(do Winkelrida)* Pańska rola w misterium jest bardzo ważna, choć krótka. Taka, jaka zazwyczaj bywa rola bohaterów. W momencie, gdy dzieci wraz z Wielkim Chórem odśpiewają hymn, a potem aktorzy grający cesarskich wypowiedzą swoje, ja panu dam znak, pan wyskoczy na estradę i wypowie swoją tyradę, tu ją pan znajdzie... *(podaje mu wielką teczkę-rękopis)* o tu! na tej stronie. Na razie przeczytamy to sobie razem. Pani Konstancjo, gdzie są piki?

TADZIO, HENIO: Tu są, proszę pana! za drabiną gimnastyczną! *(wyciągają pęk włóczni i rozsypują je na środku)*

GABRIEL: Przyjaciele, umiecie już swoje role?

AKTORZY: Tak! Tak!

GABRIEL: Generalna próba, panowie! Czy wódz cesarskich może mi powtórzyć swoją tyradę? *(Aktor I chwyta włócznę i wbiega na środek sali)*

AKTOR I:

Los nakazuje iść przez doliny
I strome góry cesarskim rotom.
W mieście ojczystym maleńki synek
Leży w kołysce pod flag łopotem.

O mój syneczku, twój ojciec ciągle
Po obcych ziemiach śmierć będzie ścigał.
Czekasz na ojca przez rok okrągły,
Leżysz w kołysce jak w pestce migdał.

Pestka wyrośnie w ogromne drzewo,
Da rolnikowi cień i rycerzom,
A nasze wojska w prawo i w lewo
Posłuch cesarskim rozkazom szerzą.

Wielką jest siła woli cesarskiej,
Pochód nasz nie zna kresu ni miedzy.
A jeśli wrogów spotkamy garstkę,
To ją włóczniami zgnieciem, koledzy!

GABRIEL: Świetnie! *(do Winkelrida)* Widzi pan, wódz cesarskich, choć nasz wróg, nie został w moim dziele pozbawiony cech ludzkich.

KONSTANCJA: Uważajcie, dzieci! W ten sposób autor zamierza osiągnąć wyższy poziom artystyczny.

GABRIEL: Teraz wy — Chór Cesarskich!

CHÓR CESARSKICH:

Hej wystąp wrogu! Odsłoń przed nami,
Jeżeliś mężny, swą obcą pierś!
Kto umie walczyć z przeciwnikami,
Potrafi także im oddać cześć!

GABRIEL: Uwaga! Teraz Arnold Winkelrid, czyli pan, wyskakuje zza skały i następuje pańska partia. Zaczynamy! *(Gabriel czyta, za nim nieswoim głosem powtarza Winkelrid)*

GABRIEL I WINKELRID:

Ha! Umiecie cześć oddać? Ha, nikczemni zbóje,
Którzyście pogwałcili mej ojczyzny prawo!
Czyn mój was wobec świata zaraz spostponuje!
Ujrzą, jak na jednego umiecie iść ławą!

GABRIEL: Jak na początek zupełnie nieźle. Potem pójdzie jeszcze lepiej. Teraz Chór Szwajcarów!

CHÓR SZWAJCARÓW:

Nikczemny jest przeciwnik!
Bo na jednego skacze
Ogromną siłą ciżby.
Niech zbrodnię świat zobaczy!

GABRIEL: To, rozumie pan, śpiewają towarzysze Winkelrida zza sceny. Tymczasem cesarscy!

CHÓR CESARSKICH:

Odsuń się wrogu! Zrozumże to,
Że mamy rozkaz i czas nasz drogi.
Cały świat podbić musi nasz grot.
Odsuń się wrogu! Odsuń się wrogu!

GABRIEL: Teraz przechodzimy do kulminacyjnego momentu naszego misterium. Winkelrid wypowiada przewodnią myśl utworu. Na pana kolej! Niech się pan niczego nie boi, nauczy się pan i tego. Tymczasem razem powiemy.

GABRIEL I WINKELRID:

Mam przed wami ustąpić? Nie! Niech stracę łąkę
I zagrodę i gaje, gdziem w dzieciństwie latał,
I rzeczkę, kędy trzody mojej grały dzwonki,
Ale czyn mój zatarga niech sumieniem świata.

Życia nie chcę żałować, ni żony, ni dziecka,
Niech zostanie sierotą w rozsławionej wiosce.
Odsłoniła się wrogów nikczemność zbójecka,
A śmierć niech moja będzie natchnieniem ludzkości!

GABRIEL: Niech pan dobrze uważa! W chwili, gdy pan powie: „Czyn mój zatarga niech sumieniem świata" chwyci pan pęk włóczni, które przeciwnicy kierują ku panu i przyciśnie je pan do swojej odkrytej piersi. Następnie osunie się pan na ziemię wraz z włóczniami. Wrogowie porwani ciężarem pańskiego ciała zbijają się w kupę, ślizgają się, wywracają na ziemię... Po czym pan zaczyna konać i w chwili, gdy padają ostatnie słowa: „śmierć niech moja będzie natchnieniem ludzkości", wydaje pan ostatnie tchnienie.

WINKELRID: To okropne!

GABRIEL: Po czym Szwajcarzy wypadają zza skał i wybijają pozbawionych włóczni nieprzyjaciół. Szwajcarzy, wasza kolej!

CHÓR SZWAJCARÓW:

Napadli kupą świnie,
On jeden — a ich więcej,
Lecz sprawiedliwość czynią
Mścicieli mocne ręce.

GABRIEL: Tutaj właściwie mogłoby się przedstawienie skończyć. Rzecz jednak nie osiągnęłaby skończonej całości, gdyby duchy pobitych wrogów, odlatując do Walhalli, nie śpiewały na odchodnym. Duchy!

CHÓR DUCHÓW:

I gdzież my się podziejem,
Znaczeni takim wstydem,
Tam światło nie istnieje,
Gdzie nasze duchy idą.

Na wieczne potępienie,
Na wieczne ośmieszenie
Idą duchy skazane
Przez Gabriela natchnienie.

Żywi nas wypędzili,
Odepchną nas umarli.
Pewnie nie trzeba było
Napadać na Szwajcarię!

AKT DRUGI

ODSŁONA I

(Gospoda „Pod stu włóczniami". Stara, o niskich sklepieniach izba. W głębi schodki, u ich szczytu drzwi wejściowe. Długi szynkwas, za nim drzwi. Drewniane stoły i zydle)

KAROL: Pamiętaj, moje złotko, że gościom niczego nie należy odmawiać.

RÓZIA: Mnie zawsze jest przykro, jak trzeba odmawiać.

KAROL: Ale jeśli tylko się da, to trzeba dawać mniej niż żądają. Rozumiesz mnie?

RÓZIA: Bardzo dobrze, proszę pana.

KAROL: Następnie: zapamiętaj sobie, że gościowi wszystko jest wolno.

RÓZIA: Wszystko?

KAROL: Od tego jest gościem. Ale ponieważ prawdziwa wolność polega na walce z tym, co wolność ogranicza, więc skoro gość wykracza poza ramy przyzwoitości, należy policzyć mu to w rachunku. Pojmujesz mnie?

RÓZIA: Oczywiście, proszę pana. Ale jaką wtedy pozycję wpisać?

KAROL: Nic się nie pisze. Czy wiesz, moje złotko, co to jest powietrze?

RÓZIA: Powietrze, proszę pana?

KAROL: Tak, powietrze.

RÓZIA: No jakże? To jest to, czym się oddycha.

KAROL: Świetnie! Oczywiście, że powietrze to jest to, czym się oddycha. Ale czy widzisz powietrze?

RÓZIA: Nie, proszę pana, skądże?

KAROL: Znakomicie! Nie widzisz go, ale ono jest. Więc tak samo, moje złotko, bywa z pewnymi pozycyjkami w rachunkach: są, ale ich nie widać. Po prostu powietrze! Za to cały rachunek oddycha tą pozycyjką. Pojmujesz mnie?

RÓZIA: Tak, proszę pana, to bardzo mi się podoba.

KAROL: To świetnie! Coraz bardziej przychodzę do przekonania, że będę miał z ciebie pociechę.

RÓZIA: Tak, proszę pana, ja też tak myślę. Jeden gość jest lepszy, a drugi gorszy.

KAROL: O to, to! Widać po tobie, że pochodzisz z ludu. *(słychać gwar z drzwiami, na ulicy)*

RÓZIA: Ktoś idzie, proszę pana!

KAROL: Sądząc po hałasie, powinni to być dobrzy goście. *(wchodzą trzej ha labardnicy: Łukasz, Michał i Krzysztof)*

ŁUKASZ: Jak się masz, stary grubasie!

KAROL: Mam nadzieję, że przy dzisiejszym święcie będę się miał nieźle.

ŁUKASZ: Przyprowadziłem ci dwóch moich znakomitych przyjaciół. Ot jest Michał, a to Krzysztof. Ten zaś mój stary przyjaciel nosi świetne imi cesarzy, Karol, i słuszny przydomek Gruby. Kochajcie się!

KAROL: Zatem?

ŁUKASZ: Cztery największe, gorące grogi!

KAROL: Słusznie. Róziu, złotko moje, cztery największe, gorące grogi. *(Rózi wychodzi)*

ŁUKASZ: Skąd wytrzasnąłeś tę dziewuszkę? To nowa, co?

KAROL: Ładniutka?

KRZYSZTOF: Niczego sobie. *(siadają przy jednym ze stołów)*

ŁUKASZ: No, przyjaciele moi, mamy niecałą godzinę czasu. Możeby tak coś przed grogiem spróbować?

KRZYSZTOF: Dobra myśl!

KAROL: Dostałem wczoraj antałek wódki holenderskiej.

ŁUKASZ: Cztery największe Holandie! *(Karol idzie za szynkwas i nalew wódkę)* Przyjaciele, czuję, że jestem gotów zostawić tutaj dzisiaj co najmnie moje trzymiesięczne pobory. *(Karol przynosi wódkę i rozstawia ją na stole* Zapach znakomity! Na czyją cześć wzniesiemy toast?

KAROL: Winkelrida?

ŁUKASZ: Słusznie! Należy mu się coś za to, że od dwudziestu lat leży nie borak samotnie na wierzchołku góry. *(wchodzą Gabriel, Winkelrid i Aktorzy*

KAROL: Witam!

ŁUKASZ: Kogóż to licho przynosi? Kto to jest?

KAROL: Nie poznaje pan mistrza Gabriela? A ci panowie, to członkowi Towarzystwa Propagowania Utworów Społecznych. Ale wśród nich jest jaki nowy gość, którego nie znam. *(do Gabriela)* Moje uszanowanie! Cześć zespołow TPUS! Róziu, proszę obsłużyć panów gości. *(cicho)* Proszę zająć się i tym pa nem. Na wszelki wypadek grzecznie. Zjechało się teraz tylu różnych ludzi, że nigdy nie wiadomo, z kim się ma do czynienia. *(Rózia podchodzi do Winkel rida, który usiadł nieco z boku)*

RÓZIA: Pan sobie życzy?

WINKELRID: Czegoś gorącego.

KAROL: Słusznie, czegoś gorącego. Wino grzane z korzeniami?

WINKELRID: Niech będzie.

AKTOR II: Cóż to, panie Karolu, a o innych pan zapomina?

KAROL: Do usług, do usług! Różieńko, nie zapominaj o panu Mistrzu i jeg plejadzie.

RÓZIA: Czym możemy służyć?

AKTOR II: My zawsze kompanią, niech więc i dla nas będzie wino grzane z korzeniami. Jak jeden, tak wszyscy!

AKTOR I: Wszyscy za jednego!

AKTOR II: Jak w wojsku.

GABRIEL: Bo i jesteśmy przecież wszyscy żołnierzami sztuki.

ŁUKASZ: Słyszycie, co oni bredzą?

MICHAŁ: Z kim to oni się porównują?

KRZYSZTOF: Patałachy!

KAROL *(do Winkelrida)*: O ile się nie mylę, pan nie jest tutejszy?

WINKELRID: Ja? Urodziłem się tutaj.

KAROL: Ach tak! I przyjechał pan teraz zapewne odwiedzić rodzinne strony z okazji święta Winkelrida?

WINKELRID: A tak, rzeczywiście.

KAROL: Mam nadzieję, że ma pan tutaj w mieście jakichś znakomitych krewnych?

WINKELRID: Nie...

KAROL: Nieee?

WINKELRID: Nie mam tu nikogo.

KAROL: To bardzo przykre, taka samotność.

ŁUKASZ: Karolu, jeszcze trzy Holandie!

KAROL: Zaraz, tamci goście się niecierpliwią. Róziu, wino dla pana Gabriela i jego towarzyszy ma być dobrze podgrzane. To nasi najważniejsi i najczęstsi goście. *(wskazując na Winkelrida)* Tym może się nie zajmować, to chłystek, nietutejszy.

ŁUKASZ: Chodź, Karolu, wypijemy zdrowie Winkelrida! Niech mu łaskawi bogowie przebaczą jego lekkomyślny czyn.

AKTOR II: Co on powiedział?

GABRIEL: To bluźnierstwo!

AKTOR I: Banda!

KRZYSZTOF: Czy pan też znał Winkelrida?

KAROL: Oczywiście. Przychodził tu często wieczorem.

ŁUKASZ: Trzeba wam wiedzieć, że ten czcigodny lokal nie nazywał się w owych czasach „Pod stu włóczniami". Była to po prostu „Gospoda pod Jeleniem". Przyznaj się, stary, że dobry interes zrobiłeś na Winkelridzie?

MICHAŁ: Bodaj to być bohaterem narodowym! Można swoją sławą przysparzać innym dochodów.

ŁUKASZ: A ja wam mówię, że to kiepski interes. Co on na tym zarobił?

GABRIEL: Słyszycie?

AKTORZY: Słyszymy.

ŁUKASZ: Chłop był młody, zdrowy... kowalem, co prawda, nie był tęgim.

AKTOR II: Ściąga go z piedestału!

ŁUKASZ: Żonę miał, syna małego... Żyłby sobie, jak się żyje. A tak co?

AKTOR II: Jakto co?

KRZYSZTOF: No jednak... sława!

GABRIEL: Sława!

ŁUKASZ: I co mu z tego?

KAROL: Ja mam na to inny pogląd. Zgadzam się z Łukaszem, że człowiekowi nie na wiele się zda, jak mu kadzą po śmierci. Ale to się i tak nie dla faceta robi.

ŁUKASZ: A co, dla nas? Nam to po co?

GABRIEL: Nie słuchajcie, koledzy!

KAROL: Ja, uważacie, lubię zdrowy rozsądek. Trzeba mieć łeb na karku żeby się w tym wszystkim, co się dzieje na świecie, nie pogubić. *(wchodzi Rózia z kubkami grogu na tacy)*

ŁUKASZ: Gorący?

RÓZIA: Tak, proszę pana, bardzo dobry. U nas zawsze grog jest dobry

KRZYSZTOF: A panienka lubi grog?

RÓZIA: To zależy, proszę pana.

KRZYSZTOF: A od czego?

RÓZIA: Z kim go piję, proszę pana. *(halabardnicy śmieją się, Karol zaciera dłonie)*

KAROL: Udała się ta mała, co? *(Rózia wychodzi)* Trzeba mieć zatem, jak powiadam, zdrowy rozsądek. A ponieważ pochlebiam sobie, że go posiadam zadam wam jedno pytanie.

ŁUKASZ: Jazda!

KAROL: Lubicie chodzić po starym parku?

ŁUKASZ: Po parku? Skąd ci to znowu?

KAROL: Odpowiedzcie najpierw.

MICHAŁ: To zależy. Jeżeli jest pogoda...

KRZYSZTOF: I ma się przy boku przyjemną dziewuszkę.

MICHAŁ: I jeszcze zaśpiewa słowik.

KAROL: Więc lubicie, czy nie lubicie?

AKTOR II: Słuchajcie koledzy, to coś ciekawego!

ŁUKASZ: Powiedzmy, że lubimy. I co z tego?

KAROL: Bardzo wiele. A teraz odpowiedzcie na jeszcze jedno. Czy ten kto park zasadzał, może po nim spacerować?

GABRIEL: Koledzy, jesteśmy u źródeł zrozumienia historii!

KRZYSZTOF: No, nie bardzo... trzeba przecież lat...

KAROL: Żeby drzewa wyrosły! A widzicie! Trzeba więc, żeby ktoś najpierw zasadził park, aby potem inni ludzie mogli po nim chodzić. To i tak jest z bohaterstwem. Jednego człowieka diabli biorą, a potem, jak się odleży wszyscy mają z tego przyjemność.

ŁUKASZ: A chciałoby ci się zasadzać drzewa?

KAROL: Mnie nie, ja mam zdrowy rozsądek. Ale lubię spacerować pomiędzy starymi drzewami, więc jak się ktoś znalazł, kto je zasadził, to dobrze

KRZYSZTOF: Rzeczywiście racja! Ja też bym drzew nie sadził, ale lubię

pójść do parku z ładną dziewczynką. Krótko mówiąc — bohater to dobra rzecz!

GABRIEL: Widzicie!

KAROL: Co pomnik, to pomnik. Dobrze jest czasem zdjąć kapelusz, to podnosi na duchu i odświeża. Co tu czarować? Prawdziwa demokracją domaga się bohatera, jak kot słowika. Winkelrid zrobił, co mógł zrobić najlepszego. Ja na jego cześć jeszcze wczoraj wywiesiłem chorągiew i bardzo to sobie chwalę. Dobrze jest zrobić czasem takie coś, nie za często, ale akurat raz do roku.

GABRIEL: I tak przez wieczność!

ŁUKASZ: A ja mówię, bzdury! Co mnie z tego, że w mieście udekorowano domy na cześć tego dryblasa? Ja bym wolał, żeby siedział teraz ot tak, jak my tu sobie siedzimy. A bitwę i bez niego byśmy wygrali, bo gdy jemu strzeliło do głowy rzucić się na garstkę cesarskich, to bitwa i tak była wygrana. Więc co z tego wszystkiego? *(Winkelrid, który przed chwilą podniósł się zza stołu, podchodzi do halabardników)*

WINKELRID: Przepraszam panów...

KAROL: Zaraz panu podadzą.

WINKELRID *(do Łukasza)*: Znał pan Winkelrida?

ŁUKASZ: Bo co?

WINKELRID: Powiedział pan, że to nie Winkelrid odniósł zwycięstwo.

ŁUKASZ: Powiedziałem.

WINKELRID: To kłamstwo!

GABRIEL: Tak, kłamstwo!

KAROL: A co, nie miałem racji, że bohaterowie są potrzebni?

WINKELRID: Gdyby pan znał Winkelrida...

ŁUKASZ: To co?

WINKELRID: To by pan nie kłamał.

GABRIEL: Słusznie!

KAROL: I cóż ty na to, Łukaszu? Broń się! Co nam nabujałeś, stary blagierze? *(Łukasz podnosi się i przygląda Winkelridowi)*

ŁUKASZ: Chcesz wiedzieć prawdę?

WINKELRID: Chcę, żeby pan odwołał wszystko, co pan powiedział.

GABRIEL: Tak, my też tego żądamy!

AKTORZY: Odwołać, odwołać!

GABRIEL: Czy wiecie, panie żołnierzu, kto stoi przed wami? Wiecie kim jest ten młody człowiek? Syn Winkelrida! *(ogólne poruszenie)*

ŁUKASZ: To prawda?

WINKELRID: Tak.

ŁUKASZ: Pamiętam cię, gdy byłeś małym jeszcze pędrakiem...

GABRIEL: Aha, wycofujesz się pan?

ŁUKASZ: Więc ty jesteś Konradek? I to z tobą robią tą całą szopę?

GABRIEL: To za wiele, panie żołnierzu!

ŁUKASZ: A wiesz, co powiedziałby twój ojciec, gdyby mógł się teraz znaleźć między nami? *(Winkelrid milczy)* Podszedłby do mnie, położyłby mi rękę na ramieniu i tak by powiedział: „Jak się masz, Łukaszu? Walczyliśmy dwadzieścia lat temu razem, więc wiemy, jak to było tam w górach. Nasza rota miała bronić przejścia u wylotu wąwozu Peterhornu. Gdy zaczęła się bitwa, nie wiedzieliśmy, że w ciągu nocy trzem naszym rotom udało się przejść przez Kozią Przełęcz i z pierwszym świtem z góry napaść niespodziewanie na tyły wojsk nieprzyjacielskich. Ucieczkę rozgromionych wrogów wzięliśmy za natarcie. Nasz kapitan Jakub, który teraz jest wielkim panem i burmistrzuje, krzyknął: „Żołnierze, od was zależy los ojczyzny..." *(po chwili)* A ja bym z kolei spytał Winkelrida: „Arnoldzie, stary druhu, czy wówczas, gdy wyrwałeś się z szeregu i stojąc na skalnej drożynie chwyciłeś oburącz skierowane ku sobie włócznie cesarskich, myślałeś, że zbawiasz ojczyznę?" — odpowiedziałby mi na pewno: „Bóg jeden wie, Łukaszu, co myślałem wówczas, bo ja nie wiem".

WINKELRID: Bóg? A Winkelrid?

ŁUKASZ: Czy to ci nie wystarcza? *(Winkelrid stoi z pochyloną głową)*

WINKELRID: Nie wiem.

ODSŁONA II

(Rozległy plac rynkowy. Estrada z desek obitych czerwonym płótnem. Po bokach wnęki, arkady. Robotnicy kończą swoją pracę)

ROBOTNIK I: No, panie Wincenty, co do nas należało, zrobione!

ROBOTNIK II: *(uderza młotkiem w rusztowanie)* Jeszcze ten gwóźdź gdzieniegdzie sterczy. Mógłby kto nieostrożny portki sobie podziurawić.

ROBOTNIK I: Kto chce siadać, tego rzecz uważać.

DEKORATORKA *(kończąc przypinanie fantazyjnych dekoracji)*: Tak dobrze! Panowie, zajdźmy teraz w cień podziwiać nasz trud. Niedługo tu się już zacznie, publiczność się schodzi.

ROBOTNIK II: Chodźmy! Teraz i my będziemy publicznością. Prędzej żeby zająć dobre miejsca.

ROBOTNIK I: Kto chce zająć miejsce, winien znać obejście. *(schodzi się publiczność. Wchodzą Tomasz i Tobiasz)*

TOBIASZ: Tomaszku, Tomaszku! Zobaczymy wielkie rzeczy... burmistrza ławników i posłów i święto... Mój Boże, jakże jestem strasznie wzruszony!

TOMASZ: But, uważaj na siebie! Właź tam pod arkadę! Chcesz zobaczyć dobrze, ale nasza rzecz trzymać się w cieniu. Dawaj nura w kąt, idzie wojsko

(Dobosze z bębnami. Wchodzą halabardnicy i w milczeniu ustawiają się u stóp rusztowania)

GŁOS MĘSKI: Najważniejsze będzie to, co powie przedstawiciel Rzeczypospolitej Weneckiej. Rzeczpospólita...

GŁOS II: Potwornie dużo ma pieniędzy.

KOBIETA I: On musi być bardzo interesującym mężczyzną.

KOBIETA II: I miewa olśniewające pomysły.

KOBIETA III: Mięsa nie włoży do ust bez takiej o! warstwy szafranu.

KOBIETA I: Wszystkie potrawy teraz od szafranu i imbiru robią się zupełnie żółte.

KOBIETA III: Nie łatwo jest teraz mężom wygodzić! Powariowali, coraz wykwintniejszych potraw żądają. Bez imbiru, muszkatu i szafranu mój nic do ust nie włoży.

KOBIETA I: Cóż, mody weneckie.

GŁOS MĘSKI: Na tych weneckich modach kupcy weneccy fundują swoją potencję. *(tłum rośnie. Wchodzi Konstancja z dziećmi)*

KONSTANCJA: Uważajcie, moje dzieci, żebyście się nie pogubiły. Będziecie świadkami chwil bardzo wzruszających.

JANKA I ZOSIA: Ale pani będzie nam objaśniała wszystko. My chcemy wiedzieć wszystko po kolei.

LUDKA: A gdzie jest pan Winkelrid?

KONSTANCJA: Winkelridem zaopiekował się pan Gabriel. Na pewno przyjdą tu niedługo.

GŁOS Z TŁUMU: Wielki to honor dla naszego kraju, że mocarstwa zechciały z nami rozmawiać przez swych przedstawicieli. *(tłum zwiększa się. Gruby Karol opuszcza swoją gospodę. Za nim wymyka się Rózia)*

KAROL: Panowie, przepuśćcie nas bliżej!

RÓZIA: Panie Krzysztofie...

ŁUKASZ: Dla starych przyjaciół miejsca nie zabraknie.

KRZYSZTOF: A jak trzeba będzie, to się i panienkę podniesie.

GŁOSY W TŁUMIE: Idą! Idą!

TEODOR: Proszę się rozsunąć! Proszę się rozsunąć!

(W tłumie robi się korytarz. Wchodzą burmistrz z Agnieszką oraz ławnicy z żonami. Leonowa — zalotna, Piotrowa — blada, bardzo tęga. Eugeniuszowa — surowa i sztywna, Zenonowa — głupio się śmieje. Za nimi generał Wilhelm, komisarz policji, obywatele miasta)

KOBIETA I: Widzi pani, jakie mają suknie!

KOBIETA II: Według ostatniej mody weneckiej.

TEODOR: Proszę się rozsunąć! Nie pchać się! *(wchodzi Gabriel z Winkelridem)*

GABRIEL: Przejście dla syna wielkiego bohatera!

(W tłumie poruszenie. Tobiasz pod arkadami wspina się na palce i wymachuje postrzępionym kapeluszem. W grupie młodych górali ożywienie)

TOBIASZ: Niech żyje syn Winkelrida!

GŁOSY: Niech żyje! Wiwat!

(Dzieci powiewają chusteczkami. Halabardnicy podnoszą swoje halabardy)

GŁOS MĘSKI: Hej, Konrad! Jesteśmy tu!

GŁOSY: Niech żyje! Niech żyje!

KOBIETA I: Jaki młody!

KOBIETA II: A wzruszony chłopaczyna...
(Gabriel przepuszcza Winkelrida i idzie za nim. Dochodzą do trybun. Ko
misarz policji na widok swego niedawnego więźnia aż się podnosi ze zdu
mienia. Burmistrz kiwa ku Winkelridowi przyjaźnie ręką. Rózia rzuca bu
kiecik fiołków. Podnosi je Gabriel)

TEODOR: Proszę się rozsunąć! Proszę się rozsunąć! Przejście dla przedsta
wicieli mocarstw!

KOBIETA III: Słyszy pani?

TEODOR: Rozsunąć się! Poseł królowej Portugalii! *(fanfary. Poprzedzon*
czterema trębaczami wchodzi wspaniały orszak. Poseł ubrany w bogate szaty
Przed nim i za nim świta. Na poduszkach dwa ogromne miecze)

TADZIO *(Do Henia):* Widzisz, dwa miecze!

BURMISTRZ: *Parbleu!* Miał być jeden, a niosą dwa.

LEON: Być może w tym się zawiera jakaś głębsza aluzja polityczna.

EUGENIUSZ: Wiadomo, Portugalia zawsze...

ZENON: Dążyła do równowagi sił.

PIOTR: Aby nastąpiła idealna równowaga, potrzebne są dwie jednakow
rzeczy. *(orszak podchodzi do trybuny. Burmistrz i Ławnicy podnoszą s*
z miejsc).

POSEŁ PORTUGALII: W imieniu jej królewskiego majestatu, najdostojnie
szej mojej pani, królowej Portugalii, cesarzowej ziem nad Amazonką i Brazyli
skich puszcz, jako też wielu przylądków rozmaitej Nadziei, Kolonii, lądów i wys
od ziemi Ognistej na zachodzie, aż do wyspy Timor, która jest ostatnią wysp
świata na wschodzie, a poza nią kryje się już tylko białe nieznane pole na gl
busach w naszym imperialnym muzeum w Lizbonie, pozdrawiam cię, o sławn
miasto Szwajcarskie, i ciebie, głowo tego grodu, czcigodny i sławetny burmistrz
Jakubie! Portugalia zawsze przychylnym okiem patrzyła na rozkwit swobod
w krajach europejskich. Portugalia nie widzi dla siebie przeszkód dla serdecz
nego odnoszenia się do miast, które nie życzą sobie, by groźna w równej mierz
dla Portugalii, jak i dla całego świata supremacja cesarska miała szanse powo
dzenia. Ta wspólnota interesów i niezawodnych uczuć nakazuje w równej mi
rze miastom Szwajcarskim, jak Portugalii, podtrzymywać ze sobą stosunk
przyjacielskie. Przyjaźń oparta na wspólnocie interesów nie kruszy się i n
rdzewieje, jak te oto stalowe miecze, które w imieniu królowej przywiozłem a
tutaj. Już dawno, dwadzieścia lat temu, nazajutrz po wielkiej bitwie pod Pete
hornem, która przypieczętowała losy świata na lat dwadzieścia, ojciec Jej Kr
lewskiego Majestatu i poprzednik na tronie, król Ferdynand Uważny, powzi
pamiętną decyzję ofiarowania bohaterskiemu a dalekiemu grodowi honorowe
miecza. Płatnerz, u którego obstalowano ów miecz, więcej dbał o artystyczn
precyzję i jakość dzieła, niż o terminy, a skoro obecna Królowa po śmierci J
Dostojnego Ojca zechciała u płatnerza ową rzecz wykupić, tak się jej ten miec
spodobał, że zamówiła drugi taki sam. „Nie uszczuplę decyzji mego ojca –
rzekła — jeśli ją potraktuję ekstensywnie".

Panie Burmistrzu! Zechce pan w dwudziestą rocznicę decyzji króla Ferdy

nanda Uważnego przyjąć szlachetne dary jego dynastii. Oto dwa miecze! Pierwszy królowa zgodnie z wolą swego ojca przeznacza bohaterskiemu miastu i składa w pańskie ręce. Drugi, królowa tak bardzo sama przywiązana do pamięci ojca, taką wagę przypisując zasadzie ciągłości i dziedziczenia, przekazuje dla rodziny bohatera, dla jego potomków. Niech w ich rękach przypomina im, że wolność, sprawiedliwość i prawdziwa demokracja zawsze idą w zgodzie z cnotami, honorem i dostojeństwem, jakie na wszystkich szczeblach społecznej hierarchii dziedziczy się po zasłużonych przodkach. Oto miecz dla Miasta bohaterskiego! Racz go przyjąć, panie Burmistrzu! *(podaje miecz dwu przedstawicielom świty. Ci biorą go za dwa końce i podają z kolei Michałowi i Krzysztofowi, którzy niosą miecz do burmistrza. Burmistrz wstaje, całuje miecz poniżej rękojeści i oddaje halabardnikom)*

GŁOS Z TŁUMU: To ci komedia!

POSEŁ PORTUGALII: Ten zaś miecz jest dla rodziny bohatera.

WINKELRID *(podnosząc się)*: To dla mnie!

GABRIEL: Przyjacielu, nie teraz...

POSEŁ PORTUGALII: Proszę! *(dwaj inni członkowie świty biorą drugi miecz i podają go Teodorowi i Łukaszowi)*

WINKELRID: To nie oni! To dla mnie! Tu jestem!

GABRIEL: Niech pan czeka, wszystko musi się odbyć prawidłowo.

WINKELRID: Kiedy go dostanę?

GABRIEL: Później, później.

GŁOS MĘSKI: Obywatele, uwaga! Idzie Wenecja!

TEODOR: Rozstąpić się, rozstąpić się! Poselstwo Rzeczpospolitej Weneckiej!

KOBIETA II: Ach! Ach!

KOBIETA III: Mówią, że mają nieprawdopodobną ilość pieniędzy! *(wkracza poselstwo weneckie. Zażywni, bogato ubrani, szybcy w ruchach).*

MINISTER WENECJI: Szwajcaria ma swego Winkelrida, który jest natchnieniem świata, my Wenecjanie mamy pałac Dożów, kościół Świętego Marka i wiele innych cennych budowli. W niektórych z nich znajduje się tyle skarbów, że wartość ich wystarczyłaby na sfinansowanie wojen we wszystkich częściach świata w ciągu wszystkich wieków historii ogólnoludzkiej. Szwajcaria i Wenecja — natchnienie świata i finanse świata — czyż można wyobrazić sobie silniejsze podstawy dla politycznej sympatii i współzależności? W naszych bankach depozyt waszego bohaterstwa da niebywały procent historyczny. Wenecja gotowa jest darzyć opieką Wolne Miasto Szwajcarskie. Kupujcie od nas korzenie i tkaniny! Mamy ich bardzo dużo. Jak bardzo jesteśmy bezinteresowni, już możecie się przekonać. Trzy pierwsze transporty otrzymacie całkowicie darmo w uznaniu zasług, jakie dla ocalenia świata przed cesarskim szałem ponieśli bohaterowie Peterhornu!

ŁAWNIK PIOTR: Teraz kolej na naszego burmistrza, zobaczycie jak im odpowie. Musimy stanąć na poziomie.

ŁAWNIK ZENON: Jako przedstawiciel mocarstwa niewielkiego powinien przynajmniej postarać się, żeby jego mowa była odpowiednio długa.

BURMISTRZ: Obywatele! Dwadzieścia lat mija od chwili, kiedy los po zwolił mi stanąć w jednym szeregu z Winkelridem, ramię przy ramieniu. O wieków na naszej ziemi walczą ze sobą dwie idee: idea szwajcarska i idea cesarska Cesarska idea zwierzchnictwa siły i szwajcarska idea związku wolnych z wol nymi i równych z równymi. Idea zwierzchnictwa siły już się zaznacza w mi cie Siegfrieda, ale najdoskonalszy swój wyraz znajduje w postaci Fausta. Faus po niemiecku oznacza pięść i jest to najpełniejszy wyraz materialistycznej chęc użycia i zaspokojenia popędów, choćby to były popędy starcze...

(Żony ławników sykają do siebie. Agnieszka rumieni się)

Faustowska pogoń za młodą kobietą jest najlepszym symbolem tego, że ide cesarska jest martwa i bezpłodna w założeniu, czyli *in radice*. Natomiast ide szwajcarska jest wiecznie młoda i płodna. Wilhelm Tell miał syna! Oto naj wspanialszy dowód naszej zdolności regeneracyjnej w przebiegu historycz nym. Przecież Wilhelm Tell jest najwspanialszym wyrazem naszej idei równo ściowej. „Jak ty mnie, tak ja tobie!" — powiedział Tell do kija i od tej chwi zaczęła się szwajcarska równość. A drugim naszym równie wielkim bohaterem jest Winkelrid. „Nie ty, wrogu, będziesz rozstrzygał, kto z nas polegnie, lec zdecydują o tym wolni Szwajcarzy!" — krzyknął Winkelrid rzucając się n włócznie przeciwników i pakując je wszystkie w swoją pierś. Fausta porwa diabli, a Winkelrid jest nieśmiertelny odkąd zabalsamowane jego zwłoki spo czywają na szczycie góry. A w naszym mieście odradza się we wspaniałyc misteriach, jakie od dnia dzisiejszego co roku będzie się święciło w rocznic jego zgonu. Aby lepiej powiązać jego kult z zadawnionym już w tym kraj kultem Tella, warto sobie przypomnieć, że Winkelrid także ma syna, co je znamienne dla naszych czasów. W misterium, jakim Związek uczci w dni dzisiejszym pamięć zwycięstwa, wystąpi w głównej roli bohatera jego własn syn.

GABRIEL: Słyszysz, przyjacielu?

WINKELRID: A łąka? A miecz?

GABRIEL: Tsss!

BURMISTRZ: Obywatele w sposób doskonały będą mogli zobaczyć, ja syn Winkelrida w roli swego ojca łamie faustowską ideę siły, czyli realizu pełnię życia i rzuca się na włócznie, jakie przemoc wystawiła przeciw bohat rom. Bohaterstwo, czyli zupełna pełnia życia, jest zaprzeczeniem zygfrydowsk faustowskiej przemocy, a przemoc ku swej hańbie chcąc nie chcąc daje boh terów prawdziwej demokracji!

ODSŁONA III

(Ten sam rynek widziany pod innym kątem. Estrada, trybuny. Na trybuna te same osoby, co w scenie poprzedniej. Ogromny tłum widzów zalega pla

Wielki chór: dzieci szkolne, aktorzy śpiewają hymn)

CHÓR:

Winkelridzie! Winkelridzie!
Federacji bohaterze,

Kiedy twoje święto idzie,
Niech pod niebo pieśń uderzy.

Wojowników obyczajem
Niechaj pieśń co zabrzmi w porę
Niesie sławę ponad krajem
I okryje lud honorem.

W górach dzwoni echo mężne,
Koronuje cię wawrzynem.
Demokracje wszechpotężnę
Cześć oddają swoim synom.

Winkelridzie, w bitwie ważnej,
Zawdzięczamy twej strategii,
Że wróg straty miał poważne,
Choć ty w boju sam poległeś.

Bohaterów ludzkich mnóstwo
Niech podąża twoim śladem.
Opiekuńcze wioski bóstwo
Dało ci zbawienną radę.

Włóczni wrogów tyś w pierś własną
Cały pęk skierował śmiało,
Dzięki temu inni łatwiej
Mogli walkę skończyć z chwałą.

(Na środek estrady wbiega Aktor I)

AKTOR I:

Los nakazuje iść przez doliny
I strome góry cesarskim rotom,
W mieście ojczystym maleńki synek
Leży w kołysce pod flag łopotem.

Wielka jest siła woli cesarskiej!
Pochód nasz nie zna kresu ni miedzy,
A jeśli wrogów spotkamy garstkę,
To ją włóczniami zgnieciem, koledzy!

GŁOS KOBIECY: O Jezu!
GŁOS MĘSKI: Cicho! *(na estradę wkracza majestatycznie Chór Cesarskich)*

CHÓR CESARSKICH:

Hej wystąp wrogu! Odsłoń przed nami,
Jeżeliś mężny, swą obcą pierś,
Kto umie walczyć z przeciwnikami,
Potrafi także im oddać cześć!
Hej wystąp wrogu! Hej wystąp wrogu!

GŁOS MĘSKI: Teraz on wystąpi!
KOBIETA I: On! On!
KOBIETA II: Ach! Ach!
CHÓR CESARSKICH *(półgłosem, ale dobitnie)*:

Hej wystąp wrogu! Hej wystąp wrogu!

TOBIASZ: Tomaszu, to będzie wspaniałe! Jak mi serce bije...
KAROL: Panie, zdejm pan kapelusz z łaski swojej. To oburzające!
GŁUCHY: Proszę?
KAROL: Kapelusz! Syn bohatera wystąpi!
GŁOS W TŁUMIE: Tssss! *(Winkelrid stoi nieruchomy)*
GABRIEL: Winkelrid, opamiętaj się człowieku, za późno cofać się. Wszysc
czekają na ciebie!
CHÓR CESARSKICH *(natarczywiej)*: Hej wystąp wrogu! *(forte)* Hej wy
stąp wrogu! *(fortissime)* Hej wystąp wrogu! *(Winkelrid wypchnięty przez Ga*
briela wchodzi na estradę)
TOBIASZ: Niech żyje syn Winkelrida!
GŁOSY W TŁUMIE: Niech żyje! Niech żyje!
GABRIEL *(podpowiada)*: Ha! Umiecie cześć oddać? Ha, nikczemni zbój
GŁOSY W TŁUMIE: Kto zbój? Co to jest?
GABRIEL: Ha! Umiecie cześć oddać?
GŁOS Z TŁUMU: Hej, Konrad, trzymaj się!
WINKELRID: Panie burmistrzu!
GABRIEL *(krzyczy już na głos)*: Ha! Umiecie cześć oddać?!
GŁOSY W TŁUMIE: Tss! Tss!
WINKELRID: Panie burmistrzu, ja nie chcę robić z siebie widowiska! Mn
tu skrzywdzono... Mieliście mi oddać moją łąkę! *(w tłumie poruszenie. Bu*
mistrz podnosi się)
WINKELRID: To moje prawo, to mi się należy!
GŁOSY W TŁUMIE: Co to jest? Co to znaczy? Hańba! Kto mu zabrał?
KONSTANCJA: Dzieci, spokojnie! Tadziu! Heniu!
ŁAWNIK LEON: Oszalał!
ŁAWNIK EUGENIUSZ: Opamiętaj się, młody człowieku!
GŁOS Z TŁUMU: Nie ustępuj, Konrad! Co twoje, to twoje!
GŁOS KOBIECY: O Jezu!
GŁOS MĘSKI: Niech żyje Winkelrid!
GŁOS MĘSKI: Precz!

GŁOSY W TŁUMIE: Niech żyje! Precz! Niech żyje! Precz!
GABRIEL: Szwajcarzy, prędzej! Chór Szwajcarów, śpiewajcie swoje!
AKTOR II: Panie mistrzu, nie umiemy śpiewać, jeżeli wątek się straci.
AKTOR Z CHÓRU: Jakie są ostatnie słowa poprzedniej osoby?
GABRIEL: Boże, oszaleję! Cesarscy, śpiewajcie! *(poddaje)* Odsuń się wrogu...
CHÓR CESARSKICH *(nieswoimi głosami)*:

Odsuń się wrogu! Zrozumże to,
Że mamy rozkaz i czas nasz drogi.
Cały świat podbić musi nasz grot,
Odsuń się wrogu, odsuń się wrogu!

GŁOS KOBIECY: Patrzcie, chcą go przepędzić!
GŁOS MĘSKI: Nie daj się, Konrad!
GŁOSY W TŁUMIE: Niech żyje! Precz!
TOMASZ: Panie Wu, my tu jesteśmy, gwizdnij tylko!
CHÓR CESARSKICH: Odsuń się wrogu! Odsuń się wrogu!
WINKELRID: Nie pójdę! Oddajcie wpierw, co moje!
BURMISTRZ: Obywatele!
WINKELRID *(spostrzega miecz)*: Oddajcie mój miecz!

AKT TRZECI

ODSŁONA I

(Sala na ratuszu. Na scenie znajdują się następujące grupy osób: 1) Burmistr siedzi na wpół leżąc na głębokim krześle. Dyszy ciężko. Obok niego ławnik Pio próbuje mu rozpiąć kołnierzyk. Piotrowa trzyma miseczkę z wodą. Agnieszk macza w niej chusteczkę i kładzie na czole burmistrza. Przy nich ławnik Eug niusz ze swą sztywną małżonką. 2) Poselstwo Portugalii zachowuje się spokojn i dostojnie. Przy nich uwija się ławnik Zenon ze swą głupio śmiejącą się żon 3) Poselstwo weneckie. Rozsiedli się wygodnie, jak u siebie w domu. Przy nic ławnik Leon i jego zalotna małżonka. 4) Gabriel i komisarz policji stoją n razie blisko burmistrza, potem w rozmowie ze sobą oddalają się nieco w kie runku drzwi. Za oknami co pewien czas odgłosy zgiełku)

ŁAWNIK PIOTR: Pani Agnieszko, niech pani pozwoli sobie złożyć wyraz uznania jako dzielnej szwajcarskiej kobiecie! Pani pierwsza nie straciła głow i chwyciła pani od razu za rękę pana burmistrza.

KOMISARZ: My blisko stojący myśleliśmy, że to już koniec. Pan burmistr zrobił się czerwony i siny, myśleliśmy, że runie na wznak, a pani go za rękę od razu z tłumu i tu na górę.

GABRIEL: O, kobiecie szwajcarskiej należą się słowa jeszcze dotychczas n napisane!

POSEŁ WENECJI *(podbiega do Agnieszki):* Nie tak, nie na czoło, tu n kark!

AGNIESZKA: Spokojnie, uspokój się, Jakubie. Tu sami swoi.

BURMISTRZ: Chwała Bogu, myślałem, że to już rewolucja...

ŁAWNIK ZENON: Panie pośle, nie potrzebuję Jego Ekscelencji zapewnia że włos z głowy tu nie spadnie żadnemu przedstawicielowi obcego mocarstw Kordony policyjne strzegą placu i parku. Została zmobilizowana obywatelsk straż ogniowa. Poza tym skorzystaliśmy z tego, że aktorzy grający cesarskic i Szwajcarów byli uzbrojeni we włócznie i halabardy. Ujęci w kadry związk artystycznego mogą być w razie potrzeby oddawani do dyspozycji państw Jest to prawdziwy tryumf propagowanej u nas idei cywilnej służby. Z wojsk na razie nie zdecydowaliśmy się skorzystać...

POSEŁ PORTUGALSKI: To bardzo słusznie, panie obywatelu zaprzyjaźnionego narodu. Wojsko... tylko w razie krańcowej ostateczności wolno użyć wojska do interwencji wewnętrznej. Chyba takiej ostateczności panowie nie przewidują?

ZENONOWA: Panie pośle — hi hi! — kiedy on krzyknął — hi hi! — „Oddajcie mój miecz!" i potem się rzucił, to w pierwszej chwili żołnierze chcieli go zatrzymać. Ale — hi hi! — potem coś między sobą poszeptali — hi hi! — i zamienili się w sztywne mumie — hi hi! — i ani drgnęli — hi hi! — Dopiero ktorzy rzucili się na tego Winkelrida. Była straszna walka — hihi! — Rzucili go na ziemię, a on jakoś im się wywinął, skoczył pod arkady — hi hi! — wizdnął w palce, o tak! — hi hi! i wtedy jak się nie rzucą mu na pomoc dwaj acyś oberwańcy. Też skoczyli pod arkady, a tamten jeszcze zawołał: „Chłoaki!" — hi hi! i wtedy — hi hi! — coś się zaczęło robić. Było na placu sporo órali spod Peterhornu — hi! Gdyby nie nadjechała nam na pomoc straż porna — hi hi! — to na pewno nas by pozabijali — hi hi! i mój mąż by nie ył — hi hi! i ja i pan, panie pośle — hi!

KOMISARZ: Wybaczy pan. Na służbie umiem być twardy, energiczny zdecydowany. Ale to jest tylko moja maska. Prywatnie jestem zwykłym, pornym, niepewnym siebie, wątpiącym człowiekiem. Czy pan, panie mistrzu, ie uważa, że ten góral miał trochę racji?

GABRIEL: Panie komisarzu!

KOMISARZ: Ja pana rozumiem. Pan chce powiedzieć, że jeżeli królowa decydowała się przysłać ten drugi miecz dla rodziny bohatera, to przecież nie o to, by rdzewiał gdzieś pod schodami, czy na stryszku jakiejś wiejskiej chaupy w idiotycznym otoczeniu. Po to jest społeczeństwo i po to kultura jest organizowana...

GABRIEL: Niestety, ten młody Winkelrid...

KOMISARZ: Tak, ten prosty chłopak nie umiał tego zrozumieć. *(gwar się zmaga, gdzieś słychać brzęk tłuczonego szkła. Wbiega Policjant I, ręka na emblaku, oko podbite)*

POLICJANT I: Panie komisarzu, najgorsze wiadomości!

KOMISARZ: Co?

POLICJANT I: Chór Szwajcarów przeszedł na stronę Winkelrida.

KOMISARZ: Tak?

POLICJANT I: Już tylko my, straż ogniowa i połowa aktorów stoi przy oku rządu. Winkelridowcy mają w mieście liczebną przewagę.

KOMISARZ: Więc?

POLICJANT I: Panie komisarzu, trzeba chyba prosić pana burmistrza o zwrócenie się do wojska! *(coraz większy gwar. Kamień rozbija szybę i wpada)*

ŁAWNIK EUGENIUSZ: To straszne!

POSEŁ WENECJI *(podbiegając do Posła Portugalii)*: Wobec obrotu wydarzeń w mieście, jakie jest pańskie stanowisko w sprawie ustroju wewnętrznego miasta?

POSEŁ PORTUGALII: Wyczekujące.
POSEŁ WENECJI: A moje pełne zaciekawienia.
POSEŁ PORTUGALII: No, my dwaj zawsze się z sobą jakoś porozumiemy

ODSŁONA II

(Ulica. Chór Szwajcarów z włóczniami. Aktor II stoi u stóp pomnika Wilhelma Tella)

AKTOR II: Koledzy! Przejście nasze na stronę Winkelridowców nie je aktem politycznym.
GŁOSY: Słusznie! Tak, tak! Nie jest!
AKTOR II: Jest natomiast aktem głęboko ideowym.
GŁOSY: Tak, tak!
AKTOR II: Jest aktem moralnym. My, artyści, dążący do ciągłego udosk nalania naszej sztuki, my, którzy traktujemy nasze powołanie w sensie wy soko mierzącego posłannictwa, wsłuchujemy się pilnie...
GŁOSY: Tak, tak!
AKTOR II: Wsłuchujemy się pilnie w te wszystkie szmery i głosy budzące się życia, których czystość brzmienia pozwala nam wierzyć w doskonalszeg człowieka i doskonalsze jutro.
GŁOSY: Brawo! Tak, tak!
AKTOR II: Wypadki dzisiejszego dnia nie zastały nas nieprzygotowanych
GŁOSY: Nie, nie!
AKTOR II: Nasza decyzja jest wynikiem i niejako ukoronowaniem cał naszej życiowej, wspólnej drogi. Przeszliśmy wszyscy przez twardą szko pracy społecznej. Stwardniały w niej nasze charaktery. Zahartowały się serc Jak cement osiadło w nas poczucie odpowiedzialności. Jesteśmy mężczyznam koledzy!
GŁOSY: Tak, tak! Brawo! Jesteśmy!
AKTOR II: Wypadki dzisiejszego dnia, który na pewno będzie dniem hist rycznym, uświadomiły nam, że w tym momencie przełomowym u zbiegu dwó epok stają przed nami nowe wielkie zadania i nowe się przed nami otwiera horyzonty. Epoka, która nadchodzi, będzie erą rozwoju ludzkiej osobowoś erą walki o pełnię człowieczego indywiduum.
GŁOSY: Tak, tak!
AKTOR II: Przyświecają nam w tej walce trzy ideały, trzy wielkie pł mienne Wu: Wolność zdyscyplinowanej jednostki, własność pojęta w sens moralnej odpowiedzialności jednostkowej i zbiorowej, oraz Winkelrid! Tr Wu!
GŁOSY: Winkelrid! Winkelrid! Trzy Wu! Niech żyje!
AKTOR II: Na każdym z nas spoczywa wielka, surowa i nieubłagana odp wiedzialność. Tęsknimy do moralnej wielkości. Chcemy być wspaniale pokorn

GŁOSY: Trzy Wu! Trzy Wu! *(aktorzy podnoszą do góry sporządzony przed chwilą transparent z napisem: Trzy Wu!)*

AKTOR II: Dziękuję, koledzy! Pozdrawiamy cię, godło naszych odrodzonych serc, znaku naszych heroicznych walk i płomiennych nadziei! *(chwila ciszy)* A teraz, koledzy, spełnijmy nasz obowiązek żołnierski pojęty w duchu nowej epoki. Naprzód, koledzy!

(Formuje się pochód z transparentem i z Aktorem II na czele. Wśród zmieszanych okrzyków i szczęku włóczni pochód rusza w głąb ulicy. Aktor II intonuje rewolucyjny hymn-improwizację)

AKTOR II:

W burzę dziejów płyń okręcie!
Wiatr dodaje żaglom tchu,
Gdy na złotym transparencie
Płonie znak: potrójne WU!

CHÓR:

Gdy na złotym transparencie
Płonie znak: potrójne WU!

AKTOR II:

Cały świat wzburzonym morzem!
W głębi gór wulkany wrą!
Stanie młodzian, dziewczę hoże
Pod zwycięską cyfrą tą!

CHÓR:

Stanie młodzian, dziewczę hoże
Pod zwycięską cyfrą tą!

AKTOR II:

Droga wierzbo, stój przy drodze,
Gałązkami żegnaj mnie!
Spójrz dziewczyno, jak w bój chodzę,
Może zjawię ci się w śnie!

CHÓR:

Spójrz dziewczyno, jak w bój chodzę,
Może zjawię ci się w śnie!

AKTOR II:

Dziewczę, Wierzbo, Morze, Góry,
Przyjaciele moich lat!
Tak pęczniejąmiasta mury,
Rośnie człowiek, rośnie świat!

CHÓR:

Tak pęczniejąmiasta mury,
Rośnie człowiek, rośnie świat!

GŁOS W TŁUMIE: Koledzy, stać! Uwaga!

GŁOSY: Co się stało? Naprzód, naprzód!

(W głębi ulicy ukazuje się Chór Cesarskich)

AKTOR II: Kto idzie?

AKTOR I: Obrońcy porządku. A wy?

AKTOR II: Budowniczowie porządku. *(chwila ciszy)* Koledzy! jesteście z nami, czy przeciw nam?

AKTOR I: Bronimy prawa.

AKTOR II: Budujemy prawo.

AKTOR I: Mistrz Gabriel...

GŁOSY WŚRÓD CHÓRU SZWAJCARÓW: Precz, precz!

GŁOSY WŚRÓD CHÓRU CESARSKICH: Zdrada, zdrada!

AKTOR II: Jesteśmy wierni prawdzie i naszym sumieniom! Gabriel reprezentuje epokę, która wypełniła swoje posłannictwo i musi teraz odejść. Gabriel także!

GŁOSY WŚRÓD CHÓRU SZWAJCARÓW: Niech żyją TRZY WU! *(wśród cesarskich milczenie)*

AKTOR II: Koledzy! Czyżbyśmy mieli wystąpić przeciw sobie jako wrogowie? My, na których spoczywa odpowiedzialność wznoszenia nowej rzeczywistości? My i wy?

GŁOSY Z CHÓRU CESARSKICH: Czy otrzymamy większe pensje?

AKTOR II: Tak, obiecuję to wam! Każdy obywatel będzie odtąd posiadał własny domek, łąkę i krowę.

GŁOSY Z CHÓRU CESARSKICH: Mało jedna!

AKTOR II: Żonaty — dwie krowy! Od jednego dziecka — jedna krowa!

AKTOR I: A przydział paszy?

AKTOR II: Dla dwojga dzieci — hektar pastwiska!

GŁOSY Z CHÓRU CESARSKICH: Brawo, brawo!

AKTOR II: Tylko we własnych ścianach i na skrawku własnej ziemi można czerpać soki, które wykarmią moralną pełnię człowieka. Wolność, Własność, Winkelrid!

GŁOSY Z CHÓRU SZWAJCARÓW: TRZY WU! TRZY WU!

AKTOR II: Przysięgacie na TRZY WU?

CHÓR CESARSKICH: Przysięgamy! Naprzód, naprzód!

ODSŁONA III

(Placyk w miasteczku. Zmierzch. Wchodzą ławnicy Eugeniusz i Zenon ze swoimi żonami)

EUGENIUSZ: Misja, którą wzięliśmy na siebie, nie jest łatwa.

LEON: Powiem, że jest nawet natury bardzo delikatnej.

LEONOWA: Nie bój się, Leonie, pomogę ci ją przeprowadzić.

EUGENIUSZ: Oto oni! *(z drugiej strony placyku ukazuje się czterech halabardników: Łukasz, Michał, Krzysztof i Teodor)*

LEON: Panie oficerze!
TEODOR: Stać! Kto idzie?
EUGENIUSZ: Jesteśmy wydelegowani...
KRZYSZTOF: Przez kogo?
MICHAŁ: Pewnie przez komitet TRZECH WU.
LEON: Przez rząd!
ŁUKASZ: Rząd? Tyle rządów...
TEODOR: Rządy się zmieniają a wojsko zawsze trwa.
LEON: My właśnie dlatego.
EUGENIUSZ: Wobec dramatycznej sytuacji w mieście i niebezpieczeństwa, że zamieszki mogą się przekształcić w jawny bunt, a przesilenie grozi rewolucją, rząd pragnie oddać się pod opiekę armii.
ŁUKASZ: Słyszycie, przyjaciele? Sami zawsze naknocą, a jak źle, to do nas.
TEODOR: Jak śmiesz tak mówić? Dyscyplina wojskowa nie pozwala na wypowiadanie takich sceptycznych poglądów!
LEONOWA *(do Krzysztofa)*: Panie żołnierzu!
TEODOR *(do Krzysztofa)*: Nie wyłazić z szeregu!
LEONOWA: Panie dowódco!
TEODOR: Jestem tylko prostym, wzorowym żołnierzem.
LEONOWA *(patrzy zalotnie w stronę Łukasza)*: A kto jest dowódcą?
ŁUKASZ: Dowódcy nie ma. Jesteśmy armią bez wodza. Wódz nasz oddalił się. Pogrążył się w samotności, aby w sumieniu swoim rozważyć, co ma czynić armia w podobnej sytuacji. Wódz nasz, generał Wilhelm, nie lubi wtrącać się do politycznych rozgrywek. Tylko czasem, bardzo rzadko, zapada jego decyzja. Ale wtedy jest to decyzja sumienia! Nim ta decyzja zapadnie, władzę wojsku złożył chwilowo w ręce Quadrumwiratu żołnierzy.
EUGENIUSZ: Tłum krzyczy, rzuca kamieniami, wznosi okrzyki i transparenty!
MICHAŁ: Na czyją cześć tłum wznosi okrzyki?
LEON: Na cześć bohatera narodowego, Winkelrida.
ŁUKASZ: Więc wojsko ma pójść przeciw Winkelridowi?
LEON: Przecież postać Winkelrida podważa elementarne podstawy naszego ładu rzeczy!
MICHAŁ: A na czym oparł się nasz porządek rzeczy?
LEON: Na prawdziwie pojętej postaci Winkelrida.
ŁUKASZ: Otóż to! A o co jeszcze prócz tego walczy tłum?
LEON: O swoiście rozumiane pojęcie wolności.
MICHAŁ: A na czym opiera się nasz ustrój?
LEON: Na właściwie interpretowanej idei wolności.
ŁUKASZ: Otóż to! My jesteśmy po to, by kraju bronić przed wrogiem zewnętrznym...
LEONOWA: Panowie wojskowi...

ODSŁONA IV

(Gospoda „Pod stu włóczniami". Rózia obsługuje pijanego gościa)

GOŚĆ: Wódki! Gdzie gospodarz?

RÓZIA: Pan Karol walczy, czym mogę panu służyć?

GOŚĆ: Wódy!

RÓZIA: Pan Karol wprawdzie sam czynnego udziału w walkach nie prz
muje, ale w sztabie Winkelrida odgrywa ważną rolę...,

GOŚĆ: ...ódy!

RÓZIA: Rachunek może przekroczyć pańskie możliwości.

GOŚĆ: Pić! *(za oknami, na ulicy, powstaje zgiełk)* Pić! *(okno zostaje r
gle wyważone. Wpadają policjant II i strażak)*

RÓZIA: Jezus! Co panowie?

STRAŻAK: Proszę nas schować! Na nas wali cały tłum!

POLICJANT II: My dwaj ostatni nie zorientowaliśmy się i zostaliśmy
stronie rządu...

RÓZIA: To panowie są wrogami Winkelrida?

POLICJANT II: Skąd znowu?

STRAŻAK: Ale nie zorientowaliśmy się i teraz...

GOŚĆ: Wódy!

POLICJANT II: Całe miasto nas ściga. Nawet reszta strażaków i po
cjantów.

RÓZIA: To dlaczego panowie nie zorientowali się wczas?

GOŚĆ: Pić!

POLICJANT II: Niech pani na nas nie krzyczy. Zawsze ktoś się m
zorientować pierwszy i ktoś ostatni. Biada nam! Ratunku! Niech pani
schowa...

RÓZIA: Mogę panów najwyżej aresztować.

STRAŻAK: Co pani?

POLICJANT II: Zwariowała!

STRAŻAK: Proszę bez błazeństwa!

POLICJANT II: Na wszelki wypadek ja panią tymczasem aresztuję!

GOŚĆ: Zostaw ją!

POLICJANT II *(do strażaka)*: Panie, a pan tego! Pod ścianę! *(ustawi
pod ścianą dumnie trzymającą się Rózię i pijanego gościa)* Na wszelki wyp
dek proszę jej przetrząsnąć torebkę!

STRAŻAK: Puszek, chusteczka, lusterko, trzy męskie fotografie z dedyk
cjami — a żmijka! — kredka do ust, zasuszony fiołek, trochę pieniędzy... C
mam zarekwirować?

POLICJANT II: Nie trzeba, wszystko w porządku. A u tego?

STRAŻAK: Metryka urodzenia, legitymacja ubezpieczeniowa... Cóż u d
bła? W portfelu mężczyzny ani grosza. O, jeszcze jakiś dokument. Aha,
nadania przez gminę łąki w pobliżu młyna.

POLICJANT II: Wszystko w porządku! W swoim czasie gmina ziemię rzejętą po cesarskich, nie mogąc sobie sama dać rady z jej zagospodarowaiem, rozdawała obywatelom darmo.

GOŚĆ: ...armo! *(zgiełk za oknami to zbliża się, to milknie)*

STRAŻAK: Burza zdaje się przechodzić obok nas. Na razie opanowaliśmy sytuację.

POLICJANT II: Chwila spokoju! Czas na powzięcie decyzji. *(drzwi otwierają się z hukiem. Ukazują się: Karol, policjant III i Leokadia, pokojówka burmistrza)*

KAROL: Zwycięstwo! Wojsko nie wystąpi przeciw nam. Milczące porozumienie między wojskiem i ludem zawarte!

POLICJANT III: Panie, coś tu się święci niedobrego.

KAROL: Coo? *(strażak i policjant II przyjmują postawę obronną)*

LEOKADIA: Na nich!

KAROL: Do boju! Lecę po posiłki! *(Karol wybiega po schodkach. Policjant i Leokadia rzucają się na strażaka i policjanta II. Po chwili na schodach ukazują się aktorzy śpieszący na pomoc. Policjant II daje się od razu rozbroić. Strażak ucieka między stolikami)*

POLICJANT III: Kolego! My winkelridowcy w stosunku do jeńców zachowujemy się honorowo. Swoją niewolę może pan traktować jako prewencyjny areszt aż do ostatecznego wyjaśnienia sytuacji. Będzie to rodzaj aresztu domowego, ściślej mówiąc: areszt restauracyjny.

POLICJANT II: Kolego! Przyznam się, że dopiero teraz mam czyste sumienie.

POLICJANT III: Policjant tylko wtedy ma czyste sumienie, gdy kogoś aresztuje, albo sam jest aresztowany. Ale niech pan się nie martwi, kolego. Nowy ustrój będzie w niemniejszym stopniu niż dawny potrzebował sił fachowych.

GOŚĆ: Piiiiić! *(tymczasem strażak usiłuje uciec przez okno. Wskakują zamtędy młodzi górale oraz pozostali aktorzy z chóru Szwajcarów i Cesarskich)*

GŁOS I: Wściekły psie!

GŁOS II: Pijawko!

LEOKADIA: Na latarnię!

STRAŻAK: Panowie!

LEOKADIA: Powiesić! *(na schodach ukazuje się Karol w towarzystwie Winkelrida, aktora II i komisarza policji)*

KAROL: Widzę, że sytuacja jest całkowicie opanowana.

KOMISARZ *(do Winkelrida)*: Nadzwyczaj się cieszę, że nasze dzisiejsze ranne nieporozumienie przybrało taki obrót rzeczy. Dziwny to przypadek, że przestępstwo dwóch notorycznych włóczęgów dało rezultat społecznie korzystny.

STRAŻAK: Panie Karolu, stary przyjacielu! Co oni chcą ze mną zrobić?

LEOKADIA: Powiesić!

STRAŻAK: Od dziecka jestem strażakiem. Zawsze, jak tylko w mieśc wybucha pożar, rzucałem się do walki z ogniem. Dziś miałem nieszczęśc rzucić się do walki z płomieniem rewolucji!

KAROL: Obywatele! Z pozoru najsłuszniejszą karą dla tego pomyleńc byłaby istotnie latarnia. Spójrzcie jednak na tę latarnię, która chwieje s nad wejściem do mego lokalu, dziś przeznaczonego na lokal sztabu nasz go stronnictwa. Spójrzcie i powiedzcie, czy ta latarnia nadaje się na to, b kołysać ciało wisielca?

GŁOSY: Nie, nie!

GOŚĆ: Wódy!

KAROL: Czyż ta kolorowa, ciemnowiśniowa, zielona i niebieska lata nia nie daje nam milszych skojarzeń prócz szubienicy?

GŁOSY: Daje, daje!

KAROL: A więc, czy nie należałoby w stosunku do tego zbója zastos wać innej, mniej hańbiącej nasze ręce kary?

GŁOSY: Ale jakiej, jakiej?

KAROL: Zamiast powiesić, czy nie należałoby go utopić?

GOŚĆ: Pić!

KAROL: Złote słowo! Utopić w morzu wódki! *(aktorzy i górale rzuc ją się na strażaka i zalewają go na belę)*

KOMISARZ: Ale z pana demagog pierwszej wody!

GOŚĆ: Nie wody, a wódki.

KAROL: Złote słowo!

WINKELRID *(wskazuje wzrokiem na gościa)*: Co to za jeden?

KOMISARZ: Chciałbym się panu jakoś przysłużyć, jakoś zatrzeć przykre poranne spotkanie, dać jakąś satysfakcję. Mogę panu udzielić i formacji, że ten pijak, to obecny posiadacz gruntu pańskiego ojca.

WINKELRID: Mojej ziemi? Hej, chłopacy, słyszycie? *(zaciska pięś i podchodzi do gościa. Górale schodzą się całą gromadą)*

GÓRAL: Konrad, bić go?

GOŚĆ: Czego chcesz?

WINKELRID: Mojej ziemi!

GOŚĆ: Daj wódki!

KAROL *(do Rózi)*: Na miłość boską, prędzej wódki, bo będzie nieszcz ście! *(do Winkelrida)* Niech się pan nie unosi, wszystko będzie dobrze!

KOMISARZ: Wszystko się załatwi. *(wchodzą Tomasz i Tobiasz, nios jakiś długi, zawinięty w opakowanie przedmiot)*

KOMISARZ: Aaa! Starzy znajomi.

TOMASZ: Czy tu jest sztab Winkelrida?

KAROL: Tu! Ja wszystko załatwiam w imieniu Bohatera.

TOBIASZ: My w sprawie osobistej.

KOMISARZ: Co to jest?

AKTOR II: Co to? *(Tomasz i Tobiasz rozpakowują miecz)*

TOMASZ: Zdobyliśmy! Łup! Trofeum wojenne!

TOBIASZ: Zaszparowaliśmy! Z muzeum!

KAROL: Pokażcie! *(bierze i ogląda miecz)* Śliczny! Przydałby mi się tu na ścianę... i autentyczny napis jest... Bohaterze, niech mi pan go powierzy na przechowanie!

WINKELRID: Mój miecz! Dziękuję wam, przyjaciele.

TOMASZ: Drobiazg! Zwykła przysługa, jaką sobie od czasu do czasu oddają zaprzyjaźnione rodziny. Pamiątka wspólnego pobytu w celi. *(aktorzy górale otaczają z zaciekawieniem Karola trzymającego miecz)*

AKTOR I: Piękna robota!

GÓRAL II: Udał ci się, Konrad, ten miecz, co?

GÓRAL I: Z tysiąc franków musiał chyba kosztować?

AKTOR I: A jaki ciężki!

AKTOR II: Obywatele! Ten miecz jest symbolem naszego zwycięstwa. W tej uroczystej chwili pragniemy...

GOŚĆ: Wódki! *(zamieszanie)*

GÓRAL I: Konrad, to ten łobuz ukradł twoją łąkę?

KOMISARZ: Spokojnie, panowie! Nazywać to kradzieżą byłoby przesadą. Natomiast ten pan istotnie przypadkiem posiada łąkę, która przed wojną należała do wielkiego Winkelrida.

GÓRAL: My go zaraz...

KAROL: Panowie, spokojnie! Ja to wszystko załatwię. Od czego ten łeb Karola? Tylko chwila cierpliwości.

GOŚĆ: Wódki! *(Karol lewą dłonią, podczas gdy w prawej trzyma miecz, odsuwa tłum i nagle zwraca się groźnie do Gościa)*

KAROL: Najpierw zapłacić!

GOŚĆ: Na kredę...

KAROL: Dość na kredę! Spójrz pan, tu jest policja!

GOŚĆ: To co?

KAROL: To znaczy, że każę pana zamknąć za niezapłacone rachunki. Zebrało się tego, przebrało! Chyba, że dojdziemy do porozumienia. Sprzedaj pan co!

GOŚĆ: Sprzedaj...

KAROL: Choćby łąkę, która pana nic nie kosztowała.

GOŚĆ: Łąkę? Matka ziemia...

KAROL: Zgoda?

GOŚĆ: Wódki!

KAROL: Kupione! Róziu, więcej temu wódki. Pij, obywatelu! To coś powiedział, to tak jakbyś złożył na ołtarzu ludzkości.

KOMISARZ: Od kiedy chce pan wypasać bydło?

KAROL: Niech pan czeka! *(do Winkelrida)* Bohaterze, kupi pan ode mnie ziemię, która należała do pańskiego ojca?

WINKELRID: Ja?

GÓRAL: Kupuj, Konrad!

KAROL: Nie jest pan ubogi! Ma pan nie tylko bohaterstwo, miłość ludu nie tylko tłum wiernych...

GŁOSY: To my, my!

KAROL: Tu w ręku trzymam pański wielki skarb. Ja znam jego cenę Ten miecz w twojej chałupie może mieć tylko skromne pamiątkowe znaczenie. A jeżeli ja go tu powieszę, to mnie on zwiększy obrót kolosalnie. Drzwi nie będą się zamykały. *(do komisarza)* Czy nie powinna każda rzecz dostać się w ręce najbardziej powołane? *(do Winkelrida)* Ja go przechowam. Bo co się zdobywa za swoją pracę, a nie jako dar, to się umie ocenić. Lepiej go ty przechowam, niż ty, Bohaterze, w swojej chacie i niż ci panowie z muzeum

AKTOR II: Oto duch nowych czasów! Nowe mieszczaństwo zaczyna osiągać nieoczekiwany stopień samowiedzy kulturalnej.

KAROL: Proponuję handel zamienny. Sprzedaj mi ten miecz, a ja ci za tę samą cenę sprzedam ziemię, którą miał twój ojciec. Zgoda?

GÓRAL: Sprzedaj, Konrad! co ziemia, to ziemia.

TOMASZ: Panie Wu! ten miecz...

KOMISARZ: Milczeć!

GÓRAL: Po co będziesz dźwigał to żelastwo? Co ci po nim?

GÓRAL: Pewnie! Co się namyślasz? Raz, dwa!

WINKELRID: Zgoda! Niech będzie.

TOMASZ: Ach, panie Wu, co pan zrobił? Konkret, konkret!

KOMISARZ: Milczeć, powiadam!

WINKELRID: To łąka jest moja?

KAROL: Twoja, wodzu! A miecz mój. *(poruszenie, radość)*

GÓRAL: Konrad, idziemy obejrzeć łąkę?

WINKELRID: Idziemy, chłopcy!

GÓRAL: Skończyło się święto!

KAROL: Jak to, pan nas opuszcza, Bohaterze? Tu jest pański sztab. Różiu, co za honor! Schowaj miecz. Pan zatrzyma się tu dłużej...

AKTOR II: W imieniu zwycięskiego społeczeństwa...

KOMISARZ: Mamy nadzieję, że nie opuści pan teraz miasta?

GÓRAL: Słyszysz, Konrad?

WINKELRID: Nie, ja wracam do siebie. Czeka mnie dużo pracy.

KAROL: Ależ...

WINKELRID *(do Tomasza i Tobiasza)*: Do widzenia, chłopcy!

TOMASZ: Ach, panie Wu!

WINKELRID: Przyjeżdżajcie! Do widzenia, panie Karolu!

KAROL: Ano, trudno. Ale niech pan pamięta, Bohaterze, że od dziś gospoda „Pod stu włóczniami" nazywać się będzie gospodą „Pod mieczem Winkelrida".

GŁOSY: Brawo, brawo!

WINKELRID: Do widzenia, panie komisarzu! *(wychodzi razem z góralami)*

AKTOR II: Koledzy, uważajcie dobrze! Winkelrid dał nam przed chwilą wielką lekcję, jak należy pojmować odrodzone pojęcie własności.

GŁOSY: Tak, tak!

AKTOR II: Przez powrót do ziemi Winkelrid nawiązał do tradycji, a wyrzekając się miecza dał nam do zrozumienia, iż od tej chwili wszystkie swoje siły poświęci na wykucie własnego życia, które będzie jego bronią. Ta podwójna symbolika... *(otwierają się drzwi i schodzą na dół halabardnicy, prowadząc pomiędzy sobą Gabriela)*

KAROL: Niech żyje armia!

AKTOR I: Patrzcie, patrzcie, Gabriel!

TEODOR: Panie komisarzu, ujęliśmy tego oto osobnika, gdy próbował agitować ludność za byłym rządem. *(Gabriel spostrzega aktora II)*

GABRIEL: Pan tu? Zdrajcy!

KOMISARZ: Panie, nie tak śmiało!

AKTOR II: Pańska sztuka jest przebrzmiałym rekwizytem...

GŁOSY: Precz z obcymi agenturami!

AKTOR II: Wygwizdać! O tak! *(gwiżdże)*

GŁOSY: Tak, tak! *(zewsząd rozlegają się przeraźliwe gwizdania. Gabriel chce coś powiedzieć, wreszcie odwraca się i ucieka po schodkach)*

AKTOR II: A teraz, obywatele, pod ratusz! Strącić ostatni symbol minionej epoki!

GŁOSY: Pod ratusz! Pod ratusz! Precz z burmistrzem! *(tłocząc się, śmiejąc i pokrzykując skierowują się zebrani ku wyjściu. Zostają tylko: Komisarz, Policjant II i Policjant III popijający przy stole w głębi, Karol z Rózią, którzy chowają miecz, oraz Tomasz i Tobiasz)*

KOMISARZ: Nareszcie wszystko wraca do porządku! *(w drzwiach ukazuje się Policjant I, ręka na temblaku, oko podbite)*

POLICJANT I: Panie komisarzu!

KOMISARZ: Aaa! Pan... gdzie pan się zawieruszył?

POLICJANT I: Od trzech godzin szukam pana komisarza po całym mieście, żeby się zgłosić...

KOMISARZ: Zgłasza się pan na służbę?

POLICJANT I: Tak jest!

KOMISARZ: Czuję, że równowaga prawna została odzyskana. Rząd może runąć, ustrój zostać obalony, ale prawo zawsze zostaje prawem.

RÓZIA: Panie szefie, nie mogę zmieścić.

KAROL: Jak to nie możesz zmieścić? Ta skrytka nie takie rzeczy przechowywała!

RÓZIA: Ale tu już zupełnie zapchane.

KOMISARZ: Cooo! *(do policjantów)* Proszę zrobić rewizję! *(policjanci wyciągają ze skrytki w podłodze drugi miecz)*

KOMISARZ: A to co?

KAROL: Stary przyjacielu, kupiłem i tamten miecz.

POLICJANT I: To paserka!

KAROL: Przecież kupiłem od samego dyrektora muzeum.

RÓZIA: Pan dyrektor powiedział, że w związku z grabieżą w muzeum jest w stanie przed sporządzeniem inwentarza strat i ten miecz zapisać na stracone.

POLICJANT III: To tranzakcja na lewo!

KAROL: Panie komisarzu, przecież kupiłem to za własne pieniądze!

KOMISARZ: O nowi zdobywcy! jakże wam daleko do tego subtelnego dreszczu, który się nazywa poczuciem prawa!

POLICJANT II: Oddawaj ten miecz!

KAROL: Ale ten jeden będę mógł sobie zatrzymać?

KOMISARZ: Tamten tak. Kupił go pan od prawnego właściciela.

KAROL: No to jakoś, Róziu, nie damy się skrzywdzić. Na jednym się zyska, na drugim straci. Jakoś się wyjdzie na swoim. A teraz, złotko moje, śpieszmy do walki!

ODSŁONA V

(Mały salon na ratuszu. Na prawo wysokie drzwi prowadzą na balkon. Jest już noc. Palą się świeczniki. Burmistrz, Agnieszka, Poseł Portugalii, Minister Wenecji, ławnicy Piotr i Zenon z żonami. Za oknami gwar, na razie jeszcze dość odległy. Burmistrz chodzi nerwowo, co chwilę spogląda w stronę drzwi balkonowych. Piotrowa siedzi nieruchomo, Zenonowa śmieje się sama do siebie. Poseł Portugalii rozmawia półgłosem z Posłem Wenecji. Na stolikach filiżanki herbaty)

AGNIESZKA: Herbaty, ekscelencjo?

POSEŁ PORTUGALII: *Madame... (Agnieszka dzwoni)*

MINISTER WENECJI: Czy pańskie stanowisko jest nadal wyczekujące?

POSEŁ PORTUGALII: Tak. Obawiam się jednak, że rano będę musiał złożyć wizytę nowemu burmistrzowi.

MINISTER WENECJI: To byłoby bardzo interesujące. *(Agnieszka dzwoni po raz drugi)*

AGNIESZKA: Jakubie, zdaje mi się, że w tym salonie trzeba będzie koniecznie położyć nową posadzkę. Ta okropnie skrzypi *(dzwoni po raz trzeci. Wchodzi Anzelm)*

AGNIESZKA: Anzelmie, proszę podać herbatę.

ANZELM: Nie ma herbaty!

AGNIESZKA: Anzelmie!

ANZELM: Niech pani sama poda. Ja nie mam czasu na takie głupstwa. *(wychodzi)*

AGNIESZKA: Jakubie, słyszałeś?

BURMISTRZ: Owszem.

AGNIESZKA: Jakubie!

BURMISTRZ: Trudno, moja droga.

MINISTER WENECJI: Nie przypuszczam, żeby nowy rząd ośmielił się zerwać z nami traktat handlowy...

POSEŁ PORTUGALII: Oczywiście. Szkoda, że nie podają nam herbaty. Moim zdaniem zaburzenia wewnętrzne i wojny nie powinny wpływa na zmianę godzin posiłków. *(wbiega Gabriel, blady i rozstrzęsiony. Ogólne poruszenie)*

GŁOSY: I co? Co słychać? Jakie nowiny?

GABRIEL: Fatalne!

PIOTROWA: Ach!

GŁOSY: Co się stało? Mów pan!

GABRIEL: Wygwizdano mnie.

PIOTROWA: Ach!

ZENONOWA: Hi hi — to okropne — hi hi...

AGNIESZKA: Niech się pan uspokoi, panie Gabrielu. Mój mąż szybko przywróci porządek.

GABRIEL: Kto? Pani mąż? Przecież on w tej chwili jest nikim! Ze-ro! Ex-burmistrz!

BURMISTRZ: Co? Pan się ośmiela... Czy wybrano nowego burmistrza?

GABRIEL: To bez znaczenia!

ZENON: A wojsko? Nasi koledzy?

AGNIESZKA: A komisarz? Policja, strażący?

PIOTR: A pańscy koledzy?

GABRIEL: Co mnie to obchodzi? Zdrajcy! Wszyscy zdrajcy!

GŁOSY: A Winkelrid? co Winkelrid?

GABRIEL: To bez znaczenia! Poszaleli! Wymyślili sobie jakieś bzdurne hasło, Trzy Wu, czy coś takiego...

GŁOSY: Trzy Wu? Co to znaczy?

GABRIEL: Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi. Za chwilę tu będą. Słyszycie?

PIOTROWA: Ach! Ach! *(minister Wenecji podchodzi do balkonu)*

MINISTER WENECJI: Rzeczywiście widać blask pochodni *(do Posła Portugalii)* Niech pan spojrzy, panie kolego, bardzo piękny widok!

AGNIESZKA: Jakubie!

BURMISTRZ: Powiada pan — Trzy Wu?

GABRIEL: Co? Co?

BURMISTRZ: Trzy Wu?

GABRIEL: A dajże mi pan spokój! Co mnie to obchodzi.

MINISTER WENECJI *(podchodzi do Gabriela i klepie go po ramieniu)*: Głowa do góry, młody człowieku! Mam nadzieję, że pana nie powieszą. Pan może zrobić karierę w Wenecji!

GABRIEL: Ja?

MINISTER WENECJI: Tu się panu powinęła noga? Gwiżdż pan sobie na to! Proponuję panu interes.

GABRIEL: Słucham.

MINISTER WENECJI: Prócz tego, że jestem członkiem rządu Rzeczpospolitej Weneckiej, jestem także prezesem wielkiej wytwórni filmowej „Laguna"...

GABRIEL: Aa!

MINISTER WENECJI: Przyszedł mi do głowy kapitalny pomysł. Nakręcimy film o Winkelridzie. Wojna, bohaterstwo, góry, folklor... Pan napisze scenariusz!

GABRIEL: To nie jest zły pomysł.

MINISTER WENECJI: Jeżeli w życiu Winkelrida nie było żadnego romansu, to pan wymyśli.

GABRIEL: Romantyczna miłość? To może być interesujące... *(przechodzą w głąb salonu)*

POSEŁ PORTUGALII: Obawiam się, panie burmistrzu, że może się pan znaleźć w kłopotliwej sytuacji...

BURMISTRZ: Tak pan sądzi, ekscelencjo? *(gwar narasta. Słychać już pojedyńcze okrzyki: precz z Jakubem)*

GŁOSY *(za sceną)*: Precz z Jakubem!

POSEŁ PORTUGALII: Zarówno ze strony pana jak i jego uroczej małżonki zaznałem tyle wzruszających dowodów gościnności, iż zdaje mi się, że będę bliski wyrażenia życzeń mojej królowej, jeśli w jej imieniu i w imieniu jej rządu zaproszę pana wraz z małżonką do Portugalii... *(po chwili)* Byłby pan rzecz oczywista gościem moim już od chwili obecnej... *(znów po chwili)* W pięknych zameczkach pod Lizboną zawsze przebywa w gościnie u nas kilku zdetronizowanych królów oraz kilkunastu maharadżów i wybitnych polityków, którzy zapragnęli odsunąć się chwilowo od zgiełku publicznej działalności. *(tłum słychać już pod samymi oknami)*

PIOTROWA: Piotrze! Ach!

POSEŁ PORTUGALII: Zatem? Czy mam wydać odpowiednie dyspozycje?

AGNIESZKA: Jakubie, odpędź tych ludzi!

POSEŁ PORTUGALII: *Madame...*

AGNIESZKA: Odpędź ich! W przeciwnym wypadku...

POSEŁ PORTUGALII: *Madame...*

BURMISTRZ: Ekscelencjo, pozwoli pan, że za trzy minuty dam panu odpowiedź.

POSEŁ PORTUGALII: Czy nie sądzi pan, że termin jest zbyt długi?

BURMISTRZ: Być może skrócę go. *(nie patrząc na nikogo idzie pewnym siebie krokiem ku drzwiom balkonowym. Otwiera je szerokim gestem. Z zewnątrz wpada krzyk tłumu. Blask pochodni)*

PIOTROWA: Ach!

PIOTR, ZENON: Panie burmistrzu!

GABRIEL: Zwariował! *(burmistrz wychodzi na balkon, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Scena obraca się w taki sposób, iż z lewej strony widać tylko wysoko wzniesiony baldachim z burmistrzem, w dole tłum. Ukazanie się burmistrza powitane jest gwizdami i krzykiem)*

GŁOSY: Precz! Precz! *(burmistrz chwilę czeka, wreszcie obie dłonie składa w ten sposób, iż tworzą one imitację litery W. Spogląda na swoje ułożone w ten kształt ręce, potem wyciąga je przed siebie tak, że tłum dostrzega znak. Krzyki przycichają cokolwiek)*

BURMISTRZ: Obywatele! Dzień dzisiejszy jest wielkim dniem...

KAROL: Wiemy to, panie starszy!

GŁOSY: Cicho! Posłuchajcie!

BURMISTRZ: W dwudziestą rocznicę sławnego zwycięstwa wkraczamy w nową epokę historii!

KAROL: To granda, panowie!

RÓZIA: Tsss, proszę pana.

BURMISTRZ: Dziękuję wam, że przyszliście tutaj! Jestem z wami!

GŁOSY: Słuchajcie! Słuchajcie!

BURMISTRZ: Wznoszę okrzyk na cześć TRZECH WU, symbolu odrodzenia! Chwała Sfederowanego Szwajcarskiego Obwodu!

GŁOSY: Chwała, chwała!

INNE GŁOSY: Precz z Jakubem!

BURMISTRZ: Niech żyją TRZY WU!

GŁOSY: Niech żyją!

KAROL: Niech żyje burmistrz!

GŁOSY: Niech żyje!

AKTOR II: Panie burmistrzu, jako przedstawiciel...

BURMISTRZ: Dziękuję wam! I proszę panów przedstawicieli na ratusz. *(żegnany hucznymi okrzykami burmistrz wraca do salonu. Tam wszyscy stoją wpatrzeni w drzwi. Agnieszka wyciąga obie dłonie w stronę męża. Burmistrz całuje ją w rękę, potem spogląda na zegarek i na posła Portugalii)*

BURMISTRZ: Zdaje mi się, ekscelencjo, że nie przekroczyłem terminu?

POSEŁ PORTUGALII: Gratulacje!

MINISTER WENECJI: Winszuję, to była pierwszorzędna robota.

BURMISTRZ *(do Gabriela)*: Opuszcza nas pan?

GABRIEL: Tak. Ale wrócę.

BURMISTRZ: Ojczyzna będzie czekać na swego odrodzonego syna. *(zwracając się do zebranych)* Niestety, muszę teraz państwo opuścić. Za chwilę zjawią się u mnie przedstawiciele społeczeństwa. Muszę zaznajomić się z ruchem ideowym, na którego czele stanąłem.

LAMENT

Zwracam się do was kapłani
nauczyciele sędziowie artyści
szewcy lekarze referenci
i do ciebie mój ojcze.
Wysłuchajcie mnie!

Nie jestem młody
niech was smukłość mego ciała
nie zwodzi
ani tkliwa biel szyi
ani jasność otwartego czoła
ani puch nad słodką wargą
ni uśmiech cherubiński
ni krok elastyczny

nie jestem młody
niech was moja niewinność
nie wzrusza
ani moja czystość
ani moja słabość
kruchość i prostota

mam lat dwadzieścia
jestem mordercą
jestem narzędziem
tak ślepym jak miecz
w dłoni kata
zamordowałem człowieka
i czerwonymi palcami
gładziłem białe piersi kobiet.

Okaleczony nie widziałem
ani nieba ani róży
ptaka gniazda drzewa
świętego Franciszka
Achillesa i Hektora.
Przez sześć lat
buchał z nozdrza opar krwi.
Nie wierzę w przemianę wody w wino
nie wierzę w grzechów odpuszczenie
nie wierzę w ciała z martwych wstanie.

NIEPOROZUMIENIE W TRAMWAJU

Matka ciemna jak oliwka
ze srebrnym księżycem w uchu
nuci piosnkę której nie pojmują:

Pan wysoki
w celuloidowym kołnierzyku
który dłonią poleruje łysinę

pani która
dwa różowe podbródki
jak naszyjnik trzęsie

panna wiotka z uśmiechem
który frunie figlarnie
jak ptaszek na rzęsie.

Tylko garbus
w kąt wciśnięty z workiem
zrozumiał piosnkę i brzęk berbecia
okrągłego jak miedziany grosz.

Ale
nim się uśmiechnął
porażony swą śmiałością umknął

a garb w mgnieniu oka patrzących
urósł na jego plecach
w potworną górę.

Nad maleństwem zalśnił
cygański srebrny księżyc.

RÓŻA

Róża to kwiat
albo imię umarłej dziewczyny

Różę w ciepłej dłoni można złożyć
albo w czarnej ziemi

Czerwona róża krzyczy
złotowłosa odeszła w milczeniu

Krew uciekła z bladego płatka
kształt opuścił suknię dziewczyny

Ogrodnik troskliwie krzew pielęgnuje
ocalony ojciec szaleje

Pięć lat mija od Twej śmierci
kwiat miłości który jest bez cierni

Dzisiaj róża rozkwitła w ogrodzie
pamięć żywych umarła i wiara.

OCZYSZCZENIE

Nie wstydźcie się łez
nie wstydźcie się łez młodzi poeci.

Zachwycajcie się księżycem
nocą księżycową
czystą miłością i pieniem słowika.

Nie bójcie się wniebowzięcia
sięgajcie po gwiazdę
porównujcie oczy do gwiazd.

Wzruszajcie się pierwiosnkiem
pomarańczowym motylem
wschodem i zachodem słońca.

Sypcie groch łagodnym gołębiom
obserwujcie z uśmiechem:
psy kwiaty nosorożce i lokomotywy.

Rozmawiajcie o ideałach
deklamujcie odę do młodości
ufajcie obcemu przechodniowi.

Naiwni uwierzycie w piękno
wzruszeni uwierzycie w człowieka.

Nie wstydźcie się łez
nie wstydźcie się łez młodzi poeci.

Wiersze wyjęte z tomu poezyj, kt
ukaże się nakładem *Czytelnika.*

* * *

Leonora pieśń rzuciła — różę,
wykwitającą z głębi fortepianu;
niżej motory szły. Złote kałuże
w pierwszej zorzy błyszczą. Jest poranek.

Z daleka kocz pocztowy, trąbek granie,
obce godło, dwa klucze złączone i mitra,
dach katedry to trzy dni w Mediolanie,
dach katedry był jak złota Kolchida.

Niżej motory szły. Kurzem okryci,
złotem smarów, szoferzy dwaj w kapturach,
wsparci o siebie, jak rzeźba, tyndarydzi:
wyżej szedł gołąb pocztowy, biała chmura.

PRAWDZIWY SMAK SNU

Południa chłodny dym. Jak porfir sztor
zamykał dzień, jak sztuczną była noc.
I sen fałszywy był. Ucieczką pachniał chlor,
i zastygała krew, jak węże wił się włos.

Pamiętam nad Sekwaną zachód nieprawdziwy
i szelest kart, i okno wpółotwarte,
zapewne tak mieszkańcy złej Niniwy
w wieku zbyt późnym wspominali Spartę.

Pamiętam: w tej epoce jeszcze czarny węgiel
rósł w formacjach Devonu drzewem rozłożystym,
pamiętam: sen był długi, pamięcią nie sięgam,
otwórz zastygły sen, tak jak otwierasz listy.

Gdy wszystko nieprawdziwe było, jeszcze
wytrwałą dłonią przecież kowal kuł,
drwal drzewa rąbał. Tak spadały deszcze
umarłych ptaków na wysokość czół.

Po pracy chłodny sen. Jak palców pięć
odbity ślad, prawdziwa była noc.
Prawdziwy sen. Smak snu — to twarda pięść.
Rodzi się dzień i z pełnej piersi głos.

PRAWDZIWY SMAK WODY

Źródełko już nie bije, ustało jak serce,
zaczerpnij nieprawdziwej wody z Aretuzy.
Niż górską wodę pić, zapewnę wolą muzy
to źródło greckie.

Jak obcy tu płynąłem. Był na kanonierce
marynarz młody. On zapewne dzieckiem
myślał o morzach. Z granatowej bluzy
lazur morski wytryska w żółte Syrakuzy.

I kolor wód i smak jej tak mi obcy
wspominam, niosąc zwykłej wody wiadra.
Powiedz tym, którzy przyjdą w sto lat po mnie, chłopcom:
woda wierniej odbija niż piękne zwierciadła.

PRAWDZIWY SMAK CHLEBA

Czesławowi Miłoszowi

Jak gorzkim chlebem wspominania
karmiłem czas nienasycony,
i nieznajome biegło ptactwo
na puchy śniegu, w kraje spania,
i wykradało wczesne plony,
by żywić moich lat tułactwo.

Bez dziejów, korytarzem, Arno
lub falą idzie żółty Tybr,
bez dziejów brzegi rzeźbi Amur,
okrutne ptactwo dziobie ziarno,
bijąc skrzydłami w światło szyb,
strącając pióra w marmur framug.

Ja słodkim chlebem własnych dziejów
nasycam niezmierzone głody,
by ptaki ku mnie już nie biegły.
Od źródeł aż do mórz pięknieją
zamknięte ludzką dłonią wody,
i moja dłoń na cegłach stawia cegły.

AN HULEWICZ

POLSKI RUCH WYDAWNICZY W W. BRYTANII W LATACH WOJNY 1940—1945

1.

Ruch wydawniczy polskiej emigracji wojskowej i cywilnej na Zachodzie nie łynął jednym korytem, lecz przeciwnie, w rozmaitych środowiskach wytwa-zał odrębne swe formy. Liczba i rozsianie ludności polskiej, różnorodne jej otrzeby intelektualne, odmienne warunki bytowania w rozmaitych krajach, ostępność książek polskich nadających się do przedruku, ułatwienia względ-ie utrudnienia stawiane przez władze lokalne, ograniczenia wojenne w uzy-kiwaniu papieru, położenie finansowe poszczególnych skupisk emigracyjnych, akt obecności zawodowych polskich wydawców-księgarzy — oto był splot óżnorodnych czynników, które kształtowały rozwój polskiego ruchu wydaw-iczego. Nie ma jednolitego polskiego ruchu wydawniczego w latach wojny 939—1945 na Zachodzie, lecz jest właściwie tyle jego ośrodków, ile było sku-ień polskich na Zachodzie Europy. Już sama odległość i związane z tym rudności komunikacyjne powodowały, że o transporcie książek z jednego raju do drugiego nie można było marzyć, że poszczególne ośrodki musiały iemal całkowicie być dla siebie samowystarczalne. Cyrkulacja wzajemna siążek pomiędzy rozmaitymi terenami była niezwykle utrudniona. Do tego ołączały się odmienne warunki egzystencji politycznej w rozmaitych krajach, okąd wojna zagnała Polaków. W wyniku działania tych różnorodnych czyn-ików odmiennie musiał się kształtować polski ruch wydawniczy w Anglii czy Szwajcarii, odmiennie na Węgrzech czy we Francji, jeszcze inaczej we Wło-zech czy w Niemczech.

Ktoś z Anglików zauważył, że tam gdzie znajdzie się trzech Polaków, zaraz owstać musi polska gazeta. W tym na wpół ironicznym, na wpół pochlebnym twierdzeniu dochodziło do głosu spostrzeżenie narzucające się cudzoziemcom wielkiej polskiej aktywności kulturalnej nawet w najbardziej niesprzyjają-ych warunkach. Wszędzie, gdzie pojawił się żołnierz polski czy uchodźca ywilny, natychmiast wyrastała gazeta powielana, potem przychodziło czaso-ismo drukowane, wreszcie jawiła się książka.

Obraz bibliograficzno-statystyczny tylko w przybliżeniu pełny tego ruch dają trzy zestawienia bibliograficzne: „Rocznik bibliograficzny druków w ję zyku polskim oraz w językach obcych o Polsce wydanych poza terytoriu Rzeczypospolitej Polskiej" w opracowaniu Tadeusza Sawickiego. Trzy tomik (czwarty był w przygotowaniu w lecie r. 1945), jakie się dotąd ukazały w Edyn burgu, objęły okres od 1. IX. 1939 do końca roku 1943, uwzględniając w za sadzie wszystko co ukazało się poza krajem, w rzeczywistości jednak rejestru jąc przede wszystkim dorobek polski na terytorium Imperium Brytyjskiego Uzupełnieniem węższym terytorialnie są Adama Vetulaniego „Bibliographi des études scientifiques publiées en Suisse par les internés militaires polonais (1944) i Jana Bielatowicza „Bibliografia druków polskich we Włoszech. 1. IX 1939 — 1. IX. 1945" (Rzym 1946).

W tym ruchu wydawniczym polskim na Zachodzie produkcja prasow i książkowa środowiska angielskiego wysuwa się na czoło nie tylko wczesno ścią pojawienia się (lato roku 1940) i przewagą liczbową, ale także zgroma dzeniem stosunkowo największej ilości pisarzy i publicystów, całkowitą niema swobodą wypowiadania się, dużymi dość możliwościami finansowymi teg ośrodka, wystąpieniem zorganizowanym polskich firm wydawniczo-księgar skich. Skoncentrowanie życia politycznego polskiego nada tej produkcji bardz silne piętno polityczne, pociągnie za sobą duży rozrost prasy politycznej, wy woła przewagę publicystyki. Przez cały czas swej egzystencji książka polsk w Anglii walczyć musi z brakiem papieru, restrykcje wojenne w zakresie do staw papieru, przestrzegane dość skrupulatnie przez Anglików, działają hamu jąco na rozwój prasy i książki. Nie ma tych trudności na Bliskim Wschodzie stąd na terenie Imperium Brytyjskiego największy ośrodek druku masoweg polskich podręczników szkolnych powstanie nie w Londynie, lecz w Jerozo limie. Ograniczając się na tym miejscu do sumarycznego scharakteryzowani polskiego ruchu wydawniczego w Imperium Brytyjskim, nie można go oderwa od takiegoż ruchu we Francji w latach 1939—1940, z którym łączy się cza sowo także podobnym środowiskiem ludzkim.

2.

Ubóstwo książek i rozrost prasy cechują polski ruch wydawniczy we Francj Bliskość kraju, skąd w plecakach żołnierzy przenikających przez zielone gra nice nieraz znalazły się polskie książki, łatwość otrzymania książek polskic w bogato zaopatrzonej Bibliotece Polskiej w Paryżu, duże stosunkowo księgo zbiory w środowiskach emigracji robotniczej, zwłaszcza na północy Francji — to wszystko powodowało, że mimo obecności zawodowych wydawców polskic nie myślano o podjęciu na większą skalę zakrojonej akcji wydawniczej. Praw dopodobnie na dnie rezerwy w tym kierunku tkwiło głęboko zakorzenion dość powszechne, przeświadczenie, że działania wojenne nie potrwają nazby długo. Dopiero gdy wypadki dziejowe rozwieją tę iluzję, wtedy powstani podłoże psychologiczne dla rozwoju ruchu wydawniczego. Trochę broszur po

ZBIGNIEW PRONASZKO: PORTRET POETY

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

litycznych, gdzie tematyką zasadniczą jest analiza klęski wrześniowej, nielicz przedruki z literatury pięknej i jedno cenne dla historyka wydawnictwo o cjalne rządu, zawierające zbiór depesz posłów polskich za granicą do M. S. z okresu przed wybuchem wojny — oto było ubogie pokłosie książkowe okre francuskiego.

Kto chce szukać świadectw dążeń i przekonań, nastrojów i poglądów em gracji, ten musi sięgnąć do bogato od razu rozrodzonej prasy polityczn Utrzymały się stare rywalizujące ze sobą pisma emigracji zarobkowej, „Wiar Polski" w Lille pod redakcją St. Nawrockiego i „Narodowiec" w Lens p kierunkiem Michała Kwiatkowskiego. Do nich szybko zaczęły się dołącz pisma emigracji wojskowej i politycznej, napływającej po klęsce wrześniow Organem oficjalnym rządu stało się pismo codzienne „Głos Polski". W pier szym wielkim obozie rekrutacyjnym odradzającej się armii polskiej w Co quidan zrodziło się pismo wojskowe „Polska Walcząca" pod redakcją Tymo Terleckiego, które miało z czasem stać się centralnym organem sił zbrojny Osiągnęło szybko nakład 17 tysięcy egzemplarzy, było czytane chętnie nie tyl przez żołnierzy, ale i przez emigrację robotniczą. Poszczególne kierunki po tyczne zaczęły tworzyć własne periodyki: P. P. S. rozpoczęła pod redakcją rzego Szapiry wydawać „Robotnika Polskiego we Francji", Stanisław Ma kiewicz wznowił przedwojenne „Słowo" w formie tygodnika, lewica demok tyczna, genetycznie wywodząca się z obozu piłsudczyków, wydawała pod dakcją Czesława Poznańskiego „Czarno na Białym", w którym głos decyc jący miał płk. January Grzędziński. „Głos Ludu", organ rządowy, był pism dość anemicznym, zaś zarówno z jednej strony „Czarno na Białym", jak z d giej „Słowo" Mackiewicza były w opozycji do rządu Wł. Sikorskiego.

We wszystkich tych pismach tematem najbardziej pasjonującym była an liza przyczyn klęski wrześniowej. Pisma te mało miejsca poświęcały zagadn niom życia kulturalnego, toteż początkowo z radością powitano pojawienie tygodnika „Wiadomości Polskie", który miał być pismem przede wszystk literackim. Jako redaktor figurował Zygmunt Nowakowski, ale był on tyl nominalnym kierownikiem pisma, gdyż faktycznym redaktorem, istotn motorem pisma stał się od razu redaktor dawnych „Wiadomości Literackich Mieczysław Grydzewski. Pismo też miało wszelkie zalety i wady dawny „Wiadomości Literackich": było redagowane bardzo żywo, starało się być a tualne, dążyło do skupienia na swych łamach wszystkich wybitniejszych sarzy emigracji. To były jego niezaprzeczalne zalety. Ale niepokój i zdum nie wzbudzić musiał fakt, że na łamach pisma ukazał się artykuł Ignace Matuszewskiego, który w zawoalowanej formie próbował przeprowadzić habilitację obozu sanacyjnego, przerzucając odpowiedzialność za klęskę wr śniową na inteligencję polską. Był to pierwszy sygnał tendencyj, które w nych zmienionych okolicznościach miały silniej dojść do głosu w „Wiadom ściach Polskich" już na gruncie angielskim.

3.

Fala wielkiej tęsknoty za krajem, jaka ogarnęła emigrację polską w Anglii latem i jesienią roku 1940 i zrodziła głód książki polskiej, była tym motorem, który stworzył potrzebny klimat dla pojawienia się żywego ruchu wydawniczego. Kraj oddalił się — prysły iluzje, że wojna może skończyć się szybko, wszyscy uświadomili sobie, że zaciąga się ona na długie lata. Ilość poloniców w British Museum była jakże mała w porównaniu z zasobnymi zbiorami Biblioteki Polskiej w Paryżu. Nie było tutaj niemal zupełnie prywatnych księgozbiorów polskich, jakże częstych wśród robotniczej Polonii francuskiej. Nagle książka polska stała się czymś rzadkim, cennym, drogim, trzeba było nieraz szukać poszczególnych jej egzemplarzy w dalekiej Ameryce czy Brazylii lub marzyć o sprowadzeniu jej przez kurierów z kraju. W burzliwym lecie roku 1940 książka polska dla emigranta w Anglii przybliżała kraj, koiła nostalgię, dawała poczucie jakiejś więzi psychicznej, zaczepienia o zbiorowość, od której został nagle brutalnie oderwany. Poczucie wyobcowania, o wiele dotkliwiej odczuwane na początku pobytu w Anglii, aniżeli we Francji, potęgowało ten pęd do książki i czasopisma polskiego.

Mała bardzo znajomość języka angielskiego, zwłaszcza na początku pobytu, dość wysoki żołd wojskowy — to były dalsze czynniki sprzyjające rozwojowi ruchu wydawniczego. Wojsko czekało na zapowiadaną inwazję niemiecką — wyjąwszy lotników i marynarzy, miało bardzo dużo wolnego czasu. Zmienił się także profil socjalny wojska: we Francji istniała równowaga liczbowa między elementem inteligenckim, który napływał z kraju, a elementem robotniczo-chłopskim z emigracji przedwojennej we Francji. Teraz ta równowaga została na dłuższy okres czasu zachwiana, zaznaczała się przewaga elementu inteligenckiego, który starał się powetować sobie długie odcięcie od książki. Istniały zatem predyspozycje dla produkcji książki polskiej. Były też trudności: Anglia zaczęła wchodzić w okres restrykcyj papierowych, — nie lada zabiegów trzeba było dokonać, by wyciągnąć z wojska zecerów polskich, znaleźć czcionki polskie. Ale nie były to tego rodzaju zapory, które by mogły powstrzymać narastającą falę głodu książki polskiej. Nim ona mogła się ukazać, polska Szkocja przeżyła istny zalew powielanych gazetek czy jednodniówek. Niemal każda większa jednostka wojskowa miała swój własny organ. Szybko wygasły, gdy pojawiła się drukowana prasa. Ale w pierwszej fazie pobytu te powielane gazety zaspokoiły tęsknotę za polskim słowem drukowanym[1]).

4.

Istniały zatem wszelkie warunki ekonomiczne i psychiczne dla pojawienia się książki polskiej w Anglii latem roku 1940. Trzeba było tylko ludzi, którzy by potrafili urzeczywistnić te tak żywe pragnienia zbiorowości polskiej.

[1]) Dobrą charakterystykę tej atmosfery i rodzącej się prasy daje książka Kazimierza Koźniewskiego „Rok ziemi obcej. 1940—1941". (Kraków, 1946).

Znaleźli się księgarze-wydawcy, a ich zasoby materialne, inteligencja, a ponad wszystko stosunek uczuciowy do książki polskiej miał w dużej mierze przesądzić o charakterze ruchu wydawniczego jedynego niemal w tym czasie wolnego i niezależnego w pełni środowiska polskiego. Szczególnie zły zbieg okoliczności sprawił, że w Anglii nie znalazł się wtedy żaden wydawca polski w wielkim stylu, który by miał istotne ambicje rozległej działalności kulturalnej. Nie było tu nikogo, kto by mógł wskrzesić tradycje dobrych polskich księgarzy XIX czy XX wieku. Jedyny wydawca z prawdziwego zdarzenia na emigracji, dr Stanisław Lam, ugrzązł we Francji okupowanej i dopiero w lecie roku 1945 mógł rozwinąć działalność wydawniczą w Paryżu. Czynniki rządowe w chwili przybycia do Anglii zbyt były pochłonięte odbudową wojska, nawiązaniem utraconej łączności z krajem, rozlicznymi trudnościami politycznymi, dysponowały zresztą zbyt małą ilością ludzi, by mogły przejąć na siebie ten dział pracy.

W tych warunkach przez dłuższy okres czasu monopolistyczne niemal stanowisko w zakresie druku książek polskich zachować miała pierwsza polska firma M. J. Kolin (Publishers), która występowała na angielskim rynku wydawniczym jako producent książek angielskich o Polsce czy tłumaczeń z języka polskiego pod firmą „Minerva Publishing". W gruncie rzeczy był to ten sam kapitał zakładowy (główni akcjonariusze p. Kohn i p. Lindenfeld), ta sama filia warszawskiego wydawnictwa Przeworskiego, stworzona w Londynie przed wybuchem wojny i prowadzona przez p. Lindenfelda. To był jednak tylko technik wydawniczy, który nie miał w sobie nic z ambicyj edytorskich czy horyzontów intelektualnych Altenberga czy Mortkowicza, miał za to chęć jak najszybszego wzbogacenia się. Jego doradcami literackimi stali się redaktorzy „Wiadomości Polskich", Mieczysław Grydzewski i Zygmunt Nowakowski. Ci narzucili wydawnictwu Kolina szybko dość określoną barwę polityczną; zamiast wzmocnić rozmach jego pracy, dać potrzebne wydawnictwu horyzonty intelektualne, których brakowało wydawcy, całą energię włożyli w „Wiadomości Polskie", które coraz bardziej z upływem czasu stawać się zaczęły trybuną publicystyczną obozu piłsudczyków.

Start Kolina był dobry, zapowiadał wydawcę energicznego. Wydał sporo dobrych przedruków z beletrystyki, kilka oryginalnych książek polskich o Anglii, sporo tomików poezyj. Miał zresztą na początku szanse wyjątkowe — przez długi czas był bez konkurencji, nakłady książek polskich dość wysokie rozchodziły się bardzo szybko. Wystarczy tylko wskazać, że nawet tomiki poezyj rozchodziły się w kilku wydaniach (np. „Alarm" Słonimskiego miał pięć wydań, „Wielka podróż" Balińskiego trzy wydania). Ale ten początkowy rozpęd bardzo szybko się wyczerpał: widoczne było, że wydawca idzie tylko na rzeczy bezwzględnie pewne, dające z góry zapewnione wysokie zyski. Szereg zapowiedzianych w początkowym okresie wydawnictw nigdy się nie ukazał, Lindenfeld zamiast Pawlikowskiej, której rękopisy drugiego tomiku wierszy trzymał latami, wolał wydawać pamflety, czy wątpliwej wartości pseudohistoryczne prace St. Mackiewicza. Zamiast popierać młodych

pisarzy, mieć ambicje wyławiania nowych talentów, wolał wydawać pokupne kalendarze czy słowniki. Odmawiał płacenia honorariów literackich Kuratorowi dla ochrony praw autorskich[1]) za utwory pisarzy przebywających w kraju. Kurczyły się i zwężały ambicje widoczne na początku, rosły w miarę czasu zacietrzewienia polityczne. Upadek finansowy firmy w ostatnich latach był dość nieoczekiwany, kończył żałośnie los wydawnictwa, które miało wyjątkową sytuację na początku, ale niestety nie potrafiło rozwinąć swoich możliwości.

W tych warunkach ze strony czynników rządowych (z inicjatywy profesora Stanisława Kota) wyszły inspiracje w kierunku założenia drugiego ośrodka wydawniczego polskiego w Anglii. Nie było jednak tutaj księgarzy-wydawców[2]), trzeba było wyjść poza krąg zawodowców. Wiosną roku 1941 pojawiły się pierwsze książki „Książnicy Polskiej" w Glasgow, na której czele stanęła dziennikarka krakowska, p. Jadwiga Harasowska. Zaczynała ona pracę w warunkach o wiele trudniejszych od Kolina, w momencie coraz większych ograniczeń papierowych. Wolna była od tendencyj politycznych, które obciążały Kolina, miała bardziej bezinteresowny stosunek do książki[3]). Dziennikarskie zainteresowania pochłaniały stale Harasowską. Wydawała ną początku codzienny biuletyn informacyjny dla Polaków w Szkocji, potem „Ogniwo Przyjaźni" (The Clasp o'Frien'ship), dwujęzyczny tygodnik poświęcony sprawom ugruntowania przyjaźni polsko-szkockiej, od roku 1942 popularne pismo dla Anglików „Voice of Poland". To odciągało ją po trosze od spraw wydawniczych, nie pozwalało skoncentrować na nich wyłącznie swej uwagi i energii. I ona wydała sporo przedruków z beletrystyki i publicystyki (m. in. Żeromskiego, Reymonta, Orzeszkową, Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy"); z rzeczy wydanych w kraju pod okupacją przedrukowała warszawską „Antologię poezji współczesnej" i wstrząsające jako dokument świadectwo losu Ziem Zachodnich „Z pierwszej linii frontu". Z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej wydała wielki podręcznik nauki języka polskiego dla Anglików w opracowaniu M. Corbridge-Patkaniowskiej, zbiorową książkę Pen Clubu „Wielka Brytania — Kraj — Ustrój — Kultura", tłumaczenie historii Stanów Zjednoczonych Nevinsa, dwutomowe „Straty Kultury Polskiej 1939 — 1944". Z namowy piszącego te słowa wydała wybór pism politycznych St. Thugutta, rzecz publicystyczną Stanisława Grabskiego „Myśli o dziejowej drodze Polski", wyniki obrad zjazdu nauczycielskiego zawarte w książce „O przyszłość szkoły polskiej".

---

[1]) Był nim od lata r. 1940 do jesieni 1943 r. piszący te słowa, potem w latach 1943—1945 adwokat wileński dr Stanisław Kodź.

[2]) M. Kister w tym czasie przedostał się z Hiszpanii do Stanów Zjednoczonych A. P. wznowił z powodzeniem w Nowym Yorku wydawnictwo „Roju". Miał szersze ambicje kulturalne, których brakło Kolinowi, największym jego osiągnięciem było utorowanie drogi na amerykańskim rynku wydawniczym i wywalczenie sukcesu dla tłumaczeń Z. Kossak-Szczuckiej.

[3]) „Książnica Polska" i powstała jeszcze później „Składnica Księgarska" Amelii Laskowskiej wywiązywały się ze swoich zobowiązań w zakresie honorariów autorskich w stosunku do autorów przebywających w kraju.

„Składnica Księgarska" Amelii Laskowskiej w Edynburgu była trzecią poważniejszą imprezą wydawniczą polską w czasie wojny [1]). Niestety rozwinęła ona swą działalność zbyt późno (rok 1943) i dlatego nie zdołała zarysować wyraziście swej fizjognomii. Wydała kilka opowiadań lotniczych (Porucznika Herberta — Janusza Meissnera, B. Pomiana), z których rzeczy Meissnera wśród samych lotników cieszyły się większą popularnością niż książka Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303", wydana przez Kolina, najbardziej może głośna z rzeczy emigracyjnych w kraju pod okupacją.

Wokół angielskiej firmy Mildnera skupiło się środowisko oenerowskie, które jednak nie rozwinęło większej działalności w zakresie wydawnictw oryginalnych, zadowalając się głównie przedrukami literatury religijnej.

Czynniki wojskowe, poza prasą wojskową, bardzo bogatą, drobnymi wydawnictwami o charakterze użytkowym, większej działalności wydawniczej nie rozwinęły.

Sfery rządowe własnej akcji wydawniczej raczej nie prowadziły, ograniczając się do subwencjonowania. Kierunek ich pracy nastawiony był raczej na czytelnika angielskiego. Zwłaszcza ministerstwo informacji i propagandy wybrało drogę działania wyłącznie niemal poprzez wydawców angielskich, z których zarówno londyński Hutchinson jak Allen Unwin czy edynburscy Nelson lub Oliver and Boyd podejmowali się chętnie wydawnictw polskich. Cały szereg drobnych firm wydawniczych angielskich pomagał stale Polakom. Nelson i Oliver and Boyd drukowali trochę podręczników szkolnych.

Referat wydawniczy ministerstwa oświaty nie rozwinął szerszej działalności w zakresie druku podręczników (najwięcej jeszcze stosunkowo podręczników dla szkół zawodowych i średnich). Wielka centrala wydawnictw podręczników szkolnych wyróść miała w latach 1942—1945 w Palestynie, gdyż zresztą na Bliskim Wschodzie powstała w tym czasie najgęstsza sieć polskiego szkolnictwa powszechnego, średniego i zawodowego. Fundusz Kultury Narodowej subwencjonował i inspirował szereg wydawnictw podejmowanych przez „Książnicę Polską" w Glasgowie, udzielał zasiłków na wydawanie kilku czasopism („Ekonomista Polski", „Polish Science and Learning", „Biuletyn Stowarzyszenia Techników", „Nowa Polska", „Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich").

5.

Poznaliśmy ośrodki wydawnicze polskie w Anglii. Przypatrując się samej produkcji można wyróżnić prasę i książkę. Poznanie ruchu czasopiśmienniczego ujawni obok wydawców prywatnych także środowiska ideowo-polityczne i stowarzyszenia zawodowo-fachowe, które występują w roli inicjatorskiej.

Góruje prasa wojskowa. Chcąc ją naprawdę dobrze poznać, należałoby jej samej poświęcić osobne, wyczerpujące studium. Trzeba by przekopać się przez ową masę powielanych gazet zwłaszcza w początkowym okresie pobytu w Szko-

[1]) Już po ustaniu działań wojennych w lecie r. 1945 rozpoczął na większą skalę działalność wydawniczą Światowy Związek Polaków Zagranicą.

cji. Nie były to tylko przelotne efemerydy, jednodniówki o krótkim życiu, choć tych nie brak było. Lokalne ambicje poszczególnych jednostek wojskowych, pora ilość zawodowych dziennikarzy w szeregach wojska sprawiły, że niektóre z tych pism utrzymały się wcale długo. Oto np. powielane „Wiadomości z Batalionu Strzelców" w Szkocji do końca r. 1941 wydały 280 numerów. Pismo codzienne Centrum Wyszkolenia Lotnictwa w Blackpool, „Wiadomości ze Świata", utrzymuje się w formie powielanej przez blisko 2 lata. Drukowany „Dziennik Żołnierza", który z powielonego pisma 10 Brygady Kawalerii Pancernej rozrósł się do głównego pisma I Korpusu w Szkocji, utrzymał się aż do r. 1943, by potem zlać się z organem rządowym „Dziennikiem Polskim". Są w tej prasie wojskowej i takie niezwykłe okazy jak powielana gazetka okrętowa załogi statku wojennego pod nazwą „Tu mówi Piorun", czy pisemko uczniów Polskiej Szkoły Morskiej w Southampton „Znów razem". Nie brak i pism humorystycznych, jak w trudnym okresie roku 1940 wydawane w małej mieścinie szkockiej, w Broughton-Biggar, „Hocki-klocki na sposób szkocki". Dla poznania myśli i nastrojów wojska, zwłaszcza w przełomowym momencie klęski Francji i odbudowy jednostek w Anglii, materiał, jaki przynosi ta bogato rozwinięta prasa wojskowa, ma wartość cennego świadectwa dokumentarnego.

W miarę stabilizowania się stosunków pisma lokalne zaczęły powoli wygasać, utrzymało się przez cały okres kilka pism centralnych. Sztab kontynuował wydawanie przedwojennego pisma „Bellona". Poważny miesięcznik służył pogłębianiu znajomości wojny, przynosząc wiele studiów o przebiegu poszczególnych kampanij, ze szczególnym uwzględnieniem wkładu polskiego. Tu np. pojawiło się studium Mariana Kukiela dające porównanie kampanii rosyjskiej Napoleona z kampanią Hitlera, które zwróciło uwagę prasy angielskiej. Tygodnik „Polska Walcząca" przynosił masę reportaży i szkiców z walk jednostek polskich na wszystkich frontach. Tu debiutowało wiele młodych talentów literackich, które ujawniła wojna. Jego filie niejako wyrastały w innych ośrodkach, gdzie formowały się polskie jednostki wojskowe: „Orzeł Biały" powstał na gruncie Związku Radzieckiego, „Odsiecz" w kanadyjskim Windsorze z przeznaczeniem dla Ameryki. Szczególnie doniosła rola polskiego lotnictwa znalazła swój wyraz w dwóch periodykach: „Skrzydła — Wiadomości ze Świata", dwutygodnik, przynosiły liczne reportaże z walk załóg bombowych i pilotów myśliwskich, częstokroć pisane przez samych uczestników walk. Część materiału drukowana była w języku angielskim. „Myśl Lotnicza", miesięcznik, miała spełniać na terenie lotniczym tę samą funkcję co „Bellona" na gruncie ogólno wojskowym.

Silny rozrost prasy politycznej cechuje polskie środowisko londyńskie. Rządowy „Dziennik Polski" o przeciętnym nakładzie 10—15 tysięcy egzemplarzy (restrykcje papierowe nie pozwalały na jego powiększanie) mimo wielu redaktorów, jacy przewinęli się przez czas jego trwania, nie zabłysnął wysokim poziomem. Koalicyjny charakter rządu, nadmierna ingerencja pierwszego ministra propagandy (Stanisława Strońskiego) krępowały inicjatywę redaktorów. Był nim początkowo Jan Tabaczyński, potem przez najdłuższy stosunkowo okres Marceli Karczewski, następnie Stanisław Sopicki, Mieczysław Szerer (był to może

jeszcze najlepszy etap rozwoju pisma), wreszcie Jan Czarnecki. Pismo było ata kowane ostro przez organa opozycyjne, nieraz może nawet nazbyt zjadliwi napastowane. Ale anemiczność pisma, jego braki wyrządzały szkody, gdyż dl rządu najpierw Wł. Sikorskiego, potem St. Mikołajczyka był to główny instru ment oddziaływania publicystycznego na masę emigracyjną, przeciwko którem występował zgodnie dość liczny zespół tygodników opozycyjnych.

Prawe skrzydło tego zespołu tworzył dwutygodnik „Myśl Polska" pod re dakcją Mariana Rojka, wyrażający postawę tych kół Stronnictwa Narodo wego, które na emigracji skupiły się wokół Tadeusza Bieleckiego. Był w ostre bardzo bezwzględnej opozycji wobec rządu Sikorskiego od chwili zawarci paktu polsko-rosyjskiego w lipcu 1941. Opozycja ta znacznie zaostrzyła się o śmierci Sikorskiego, wyrażając się w gwałtownych atakach na rząd St. Miko łajczyka. Pismo miało głównie charakter polityczny, mało poświęcało stosun kowo uwagi zagadnieniom kulturalnym.

Przez blisko rok (od sierpnia 1940 do maja 1941) miejsce na najskrajniejsze prawicy zajmowało czasopismo „Jestem Polakiem", wydawane przez grup O. N. R-u. Wydawcą był ks. Stanisław Bełch. Zrodzone w pierwszych chwilac pobytu na gruncie angielskim, wykorzystało moment depresji po klęsce francu skiej i w sposób niemalże jawny ujawniło swe sympatie prototalistyczne. Był otwarcie antysemickie. Przyniosło ono sprawie polskiej wiele szkody, jego wy danie wywołało dużo nieżyczliwych dla Polski komentarzy w prasie angie skiej. Pod naciskiem opinii publicznej zostało przez czynniki angielskie za mknięte. Prawdopodobnie te same lub zbliżone przekonaniowo i personalni sfery zaczęły po zamknięciu „Jestem Polakiem" wydawać powielaną, nielegaln „Walkę". Była ona tajnie kolportowana w wojsku, jej treść niemal całkowici wyrażała się w walce z rządem Sikorskiego. Można i trzeba powiedzieć be obawy popadnięcia w przesadę czy wyrządzenia niesprawiedliwości, że oba t pisma, wykorzystujące liberalizm Anglików, były dowodem całkowitej zatrat orientacji politycznej. W chwili walki całej zbiorowości angielskiej z totalizmem ujawniać sympatie w tym kierunku było przecież nadużywaniem gościnnoś gospodarzy. Ale i w środowisku polskim spotkały się te pisma z należytą od prawą.

W opozycji do rządu Sikorskiego pozostawała też prasa piłsudczyków. J prawe skrzydło wyrażała publicystyka Stanisława Mackiewicza. Napastliw mocno zalatująca zręcznie użytą demagogią, nie cofająca się nawet przed ka lumniatorstwem, była ona dość poczytna na początku, potem jej wziętość znacz nie zmalała. Nie mogąc uzyskać licencji na wydawanie pisma ze względu n ograniczenia papierowe, ogłaszał on w odstępie niemal co miesiąca broszurę i t drogą starał się wyrównać brak własnego pisma. Wydał przeszło 40 takich bro szur. Walka z polityką zagraniczną Sikorskiego i Mikołajczyka, zwalczanie ten dencyj do reform społecznych w polityce wewnętrznej (znamienne namiętn ataki na przedruk krajowego Programu Polski Ludowej, ogłoszonego prze P. P. S.), kult Piłsudskiego wyrażały treść tej publicystyki, niezmiernie częst gubiącej się na mieliznach napaści personalnych.

Od tego nie były niestety wolne także i organy lewicy piłsudczyków. Powielane „Listy z Londynu" wyrażające poglądy grupy naprawiaczy starały się scementować wspólny front opozycji, przyjęły radośnie utworzenie rządu Arciszewskiego.

Lecz istotna siła prasowa obozu piłsudczyków tkwiła nie w powielanych „Listach z Londynu", nie w broszurach czy „Listach Wołyńskich" Aleksandra Hauke-Nowaka, nie w akcji prasowej „Światowego Związku Polaków Zagranicą" (tzw. Światpolu) skąd dyskretnie infiltrowano te hasła w Polonię poza terytorium Brytyjskim, nawet nie w brutalnej demagogii Mackiewicza — lecz przede wszystkim w „Wiadomościach Polskich". Pozornie było to pismo literackie, usiłowało przez dążenie do skupienia całego wachlarza pisarzy zachować pozory organu niezależnego. W rzeczywistości dominowały w nim zagadnienia polityczne, a inspiracje piłsudczyków były niezaprzeczalne. Wpływ i oddziaływanie tego pisma na emigrację były znaczne. W piśmie odbijała się swoiście osobowość obu jego redaktorów: Zygmunta Nowakowskiego i Mieczysława Grydzewskiego. „Wiadomości Polskie" były redagowane żywo, z rozmachem publicystycznym, uprawiały eklektyzm w doborze autorów, miały świetną kolumnę dawnej prozy i poezji pod tytułem „Skarbnica Polska", która zaspakajała tęsknotę za książką polską. To były zalety pisma, które wnosił dawny redaktor „Wiadomości Literackich". Grydzewski, rozmiłowany w pracy redakcyjnej, sam prawie nie piszący, dbały o nienaganność zewnętrznego wyglądu pisma, umiejący dbać o jego pokupność, raczej zniżający się do czytelnika niż go podnoszący, miał tę cechę, że właściwie nie potrafił nadać sam kierunku ideowego pismom, które redagował. Skutkiem tego czynili to zawsze współpracujący z nim ludzie. Taką rolę prawdopodobnie odegrali w przedwojennych „Wiadomościach Literackich" Antoni Słonimski i Julian Tuwim. Obecnie tę rolę spełnili piłsudczycy, których tubą publicystyczną stał się Zygmunt Nowakowski. Niestety ton jego felietonów, nie wychodzących prawie nigdy poza opłotki partykularza polskiego, zagubionych w plotce personalnej, nie cofających się przed insynuacjami, nie przyczyniał się do podniesienia poziomu pisma. Brak wyrobienia politycznego jego redaktorów wyraził się w chwili zawarcia umowy polsko-rosyjskiej w lipcu 1941 demonstracyjnym umieszczeniem reprodukcji Matejki „Batory pod Pskowem". Raz znalazłszy się na linii tej orientacji politycznej nie zeszli z niej do końca, atakując zaciekle koncepcje polityki zagranicznej Sikorskiego i Mikołajczyka. Ona była też przyczyną zamknięcia pisma przez władze angielskie w r. 1943.

Obóz rządowy nie dysponował dostatecznie silną przeciwwagą prasową. Nie był nią na pewno oficjalny „Dziennik Polski". „Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii", dwutygodnik P. P. S-u, nie wykazywał konsekwentnej linii w związku z rozbieżnościami przekonaniowymi, jakie nurtowały w Komitecie Zagranicznym partii. Nie powiodła się próba wznowienia „Zwrotu" przez członków Stronnictwa Pracy, która nie wyszła poza dwa numery. Nie utrzymał się też długo „Zielony Sztandar", organ ludowców pod redakcją Stanisława Młodożeńca.

Prasie popierającej linię polityczną Sikorskiego czy Mikołajczyka brakło publicysty w dużym stylu. Stał się nim po przybyciu z Rosji Stanisław Grabski. „Jutro Polski" pod jego redakcją wyrażało właściwie jego własne koncepcje polityczne. Ale zarówno w zakresie polityki wewnętrznej jak bardziej jeszcze zagranicznej koncepcje Grabskiego zbiegały się z dążeniami rządu. Był to może największy sukurs publicystyczny dla kół skupionych wokół Sikorskiego. W roku 1944 St. Grabski ustąpił licencji na wydawanie pisma ludowcom, którzy wznowili „Jutro Polski" pod kierunkiem St. Młodożeńca. Stało się ono teraz wyrazem opozycji ludowcowej przeciwko rządowi Arciszewskiego.

Chęć przeciwdziałania wpływom „Wiadomości Polskich" doprowadziła w r. 1942 do powstania miesięcznika „Nowa Polska" pod redakcją Antoniego Słonimskiego. Skupiła tych pisarzy, którzy nie mogli się zmieścić na kartach „Wiadomości Polskich". Była ona może ze wszystkich pism emigracyjnych najbardziej organem literackim (tu pojawiły się m. in. „Kwiaty Polskie" Tuwima, poezje Broniewskiego, Pawlikowskiej i młodych). Dała sporo przedruków z tajnej prasy krajowej (głównie socjalistycznej i ludowcowej). Stroniąc od bieżącej publicystyki politycznej wyrażała swą postawę ogólną przez humanitaryzm redaktora, przez umieszczanie przedruków lewicowej publicystyki krajowej, przez aluzyjność niektórych szkiców Ksawerego Pruszyńskiego (np. rzecz o Wielopolskim).

„Nowa Polska" wiedzie nas już do dalszej grupy pism emigracyjnych — do czasopism fachowych. W „Nowej Polsce" zagadnienia literackie graniczyły z politycznymi, choć te pierwsze miały już zdecydowaną przewagę. W wydawaniu pism politycznych motorem były stronnictwa i grupy ideowo-polityczne. Czasopiśmiennictwo fachowe opierało się na stowarzyszeniach, które korzystały z subwencyj rządowych.

Na pograniczu między tymi dwoma typami pism znajdował się „Biuletyn Zachodnio-Słowiański", który zajmował się przez krótki okres swego istnienia (1940—1941) sprawą rewindykacji Ziem Zachodnich i organizacją polityczno-gospodarczą Europy środkowo-wschodniej.

Z czasopism fachowych wysuwa się ze względu na wysoki poziom bezsprzecznie na pierwsze miejsce „Ekonomista polski" pod redakcją Stanisława Ożgi. Ruchliwe i liczne Stowarzyszenie Ekonomistów prowadziło żywą akcję odczytową, ich pismo zawarło wiele cennego materiału informującego o myśli ekonomicznej świata anglo-saskiego w ciągu wojny. Część artykułów „Ekonomisty Polskiego" drukowana była w języku angielskim, zaznajamiając czytelników obcych z polską problematyką gospodarczą.

Towarzystwo naukowe lekarzy wojskowych wydawało „Lekarza wojskowego" korzystając z pomocy personelu naukowego Polskiego Wydziału Lekarskiego w Edynburgu[1]). „Biuletyn Stowarzyszenia Techników" — w przeciwieństwie do „Ekonomisty Polskiego" — raczej zwracał uwagę na rejestrację przejawów zawodowego życia świata technicznego, mniej na naukowe oświetlanie problemów. „Wiadomości Wydawnicze" przyniosły zaledwie kilka

[1]) Na Bliskim Wschodzie ukazywało się „Czasopismo Lekarskie".

numerów, zawierających bibliografię druków polskich, po czym ich wydawca Tadeusz Sawicki zaczął publikować „Rocznik Bibliograficzny".

Potrzeby oświatowe, pedagogiczne i naukowe emigracji zaspakajało kilka pism. Potrzebom najszerzej pojętej oświaty dorosłych w wojsku, w szczególności organizacji życia świetlicowego i czytelnictwa, starał się służyć „Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawany w formie miesięcznika przez polską Y. M. C. A. pod redakcją Antoniego Wójcickiego. Przyniósł sporo materiału instrukcyjnego dla działaczy oświatowych i świetliczarek, nacisk główny położył jednak na wydawanie tematowych zeszytów monograficznych zawierających przedruki tekstów literackich. Ta inicjatywa, podobnie jak i kolumna „Skarbnicy Polskiej" w „Wiadomościach Polskich", pokazują jak mimo działalności kilku firm księgarskich emigracja stale odczuwała żywo brak książki polskiej.

Świat nauczycielski i uniwersytecki wyłonił dwa pisma, jedno w języku polskim, drugie w angielskim. „Wiadomości Nauczycielskie" wydawane przez Zrzeszenie Nauczycieli Polaków pod kierunkiem piszącego te słowa i Michała Stopy starały się utrwalić doświadczenia pedagogiczne polskie na obczyźnie i zaznajamiać nauczycielstwo na emigracji z przemyśleniami zbiorowego tajnego ruchu nauczycielskiego w kraju. Zrzeszenie profesorów i docentów polskich szkół akademickich zainicjowało w roku 1942 czasopismo periodyczne „Polish Science and Learning". Jego redaktor dr J. Borucki — pod którym to pseudonimem ukrywał się, co już dziś ujawnić wolno, docent uniwersytetu poznańskiego Julian Rzóska — dobrze przysłużył się tym wydawnictwem polskiemu życiu naukowemu. Szczególnie numery monograficzne (kopernikowski, medyczny, pedagogiczny) doskonale wprowadziły czytelnika angielskiego w zagadnienia polskie. Pismo informowało stale o martyrologii polskiej nauki w kraju. Dla czytelnika krajowego kronika życia naukowego za granicą zawarta w tym piśmie jest właściwie jedynym w tej chwili drukowanym źródłem informacyjnym o rozwoju nauki polskiej za granicą w czasie wojny.

6.

Przypatrzenie się zestawieniu liczbowemu produkcji wydawniczej w „Roczniku Bibliograficznym" T. Sawickiego tak jak ujawnia z jednej strony dominowanie liczbowe ośrodka angielskiego nad innymi centrami ruchu wydawniczego, tak z drugiej pokazuje, że pod względem treściowym góruje publicystyka polityczna, literatura piękna, wspomnienia i materiały dotyczące wojny nad wszystkimi innymi działami.

Książki wojenne, rzecz naturalna, cieszyły się szczególną poczytnością. Zalany był nimi rynek wydawniczy angielski. Wystarczyło rzucić okiem na jakąkolwiek wystawę w którejś z wielkich księgarń londyńskich, by spostrzec, jak przez cały okres 1940—1945 rozpanoszyła się niemal wszechwładnie książka o wojnie. Masa reportaży korespondentów wojennych, sprawozdań oficjalnych z rozmaitych frontów, wydawanych masowo a tanio przez „His Majesty's

Stationery Office", oświetleń sytuacji w krajach okupowanych przez Niem ców, fachowych studiów pisarzy wojskowych, tworzyły tę przewagę literatur związanej z wojną. Czytelnik polski mógł się w niej pławić. Dlatego też wy dawcy polscy nie byli w stanie konkurować pod tym względem z angielskim rynkiem wydawniczym, musieli rezygnować z wydawnictw ogólnych (choć tro chę przekładów polskich dał jednak Kolin i Harasowska), a zacieśnić się d prac o udziale polskim w wojnie. Analiza kampanii wrześniowej i wkład pol ski w dalsze etapy wojny — oto tematyka tej twórczości. Czytelnik, któr chce ją naprawdę poznać dokładnie, nie może też pominąć czasopism, szczegól nie „Polski Walczącej", „Bellony" i „Skrzydeł". Tu rodziły się nieraz pierw sze fragmenty utworów, które potem rozrastały się w książki.

„Kampania wrześniowa 1939 w Polsce" Mieczysława Norwid-Neugebauer (polskie i angielskie wydanie), oparta na dostępnej części materiałów archiwal nych i relacjach uczestników, stanowiła pierwszą próbę analizy wojskowej Romana Umiastowskiego „Bitwa Polska" a zwłaszcza polemiczna broszur „12 mil do Warszawy, 30 mil do Paryża" były nieudaną próbą obrony i re habilitacji sfer politycznych i wojskowych odpowiedzialnych za klęskę wrze śniową. Zarówno książka Neugebauera jak zwłaszcza wystąpienia Umiastow skiego rozpętały polemikę. Broszura Ksawerego Pruszyńskiego „Księga ponu rych niedopowiedzeń. 1000 mil od prawdy", Stanisława Doma „Uwagi o kam panii wrześniowej 1939 r." atakowały zaniedbania polskich czynników woj skowych i politycznych odpowiedzialnych za załamanie się państwowości pol skiej. Kulminacyjnym punktem tej demaskującej literatury stała się książk płk. Ludwika Schweizera „Wojna bez legendy".

Posypały się też liczne wspomnienia: pamiętnik jednego z uczestników woj skowych obrony stolicy Stanisława Ordona „Łuna nad Warszawą", broszur o roli P. P. S-u w „Obronie Warszawy", relacje Lucjana Łagniewskiego „Wrze sień w Polsce", Zygmunta Szyszki Bohusza, Marty Korwin. Adama Epler „Ostatni żołnierz polski kampanii roku 1939", najpierw wydany w Palestynie potem przedrukowany w Londynie, to opowiadanie o walkach dywizji generał Kleeberga. Ale największym sukcesem literackim najpierw na rynku angiel skim, potem polskim, stała się anonimowo wydana książka Angielki „My Na me is Million".

W porównaniu z ilością wspomnień i opisów poświęconych wrześniowi inn kampanie wykazują daleko mniejszą ilość pozycji książkowych. Wartość doku mentarną odtwarzającą odbudowę armii i walki oddziałów polskich we Fran cji mają oficjalne „Boje polskie 1939—1941" wydane przez Wojskowe Biur Propagandy i Oświaty i zbiorowa książka pokazująca wkład emigracji fran cusko-belgijskiej w tworzeniu kadr armii pod tytułem „Emigracja zbrojna po mocą Polsce". Może najżywszym obrazem z kampanii francuskiej jest relacj F. S. „Między Marną i Loarą. Ze wspomnień Polaka, uczestnika kampani niemiecko-francuskiej w czerwcu 1940". Kampania norweska przyniosła świe tny dokumentacyjny materiał fotograficzny („Żołnierz polski w Norwegii. Re portaż fotograficzny z bojów pod Narvikiem"), trochę wspomnień i opisów

ADAM MARCZYŃSKI: KOBIETA PRZY STOLE

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

(np. Czesława Jeśmana, A. Jaśkowskiego) i mocno dyskutowaną, sporną pró bę odtworzenia nastrojów i dążeń ideowych wojska u Ksawerego Pruszyńskieg „Droga wiodła przez Narvik". Walki lotnictwa są tematyką książek Arka dego Fiedlera, Janusza Meissnera (wydawanych pod pseudonimem porucznik Herberta), B. Pomiana. Wśród samych lotników najpoczytniejszy był Meis ner, największy rozgłos, jeśli mierzyć ilością tłumaczeń na obce języki, osią gnął Fiedler. Burzliwe koleje polskiej marynarki wojennej i handlowej two rzyły kanwę opowiadań Stefana Gazła („Z morza i portów"), Łaszkiewicza Jana Papugi, „Najpiękniejszy rejs" 1945, Eryka Sopoćki. Śmierć tego osta tniego, który dwiema książkami („Orzel's Patrol. The Story of the Polis Submarine" i „Gentlemen, the Bismarck has been sunk") debiutował na sta wiającym w tym zakresie szczególnie wysokie wymagania rynku angielskim była dużym ciosem dla polskiej literatury marynistycznej.

Nie tylko walka żołnierzy na frontach przykuwała uwagę emigracji, ale w c najmniej równym, jeśli nie większym stopniu, opór i zmagania ruchu podziem nego w kraju. Przedruki wydawnictw krajowych — jak warszawskiej „Anto logii poezji współczesnej" czy książki poświęconej losowi Poznańskiego i Pomo rza „Z pierwszej linii frontu" lub relacji o Oświęcimiu „Obóz śmierci" czy „Ka mieni na szaniec" — były podejmowane przez różne środowiska na emigracj

Ale nie tylko poprzez przedruki materiałów krajowych wyrażała się uczu ciowa i myślowa łączność emigracji z życiem w kraju. Pojawiły się też usiło wania intelektualnego uświadomienia sobie ogromu poniesionych strat i oce ny dorobku kulturalnego lat 1918—1939. Taką próbą podsumowania bilans strat osobowych polskiego świata kulturalnego w kraju, ujętą w formę wspo mnień osobistych, stały się dwutomowe „Straty kultury polskiej. 1939—1944 pod redakcją Adama Ordęgi i Tymona Terleckiego.

Zalew najprzeróżniejszych, drobnych i większych broszur politycznych by tak duży, że trudno kusić się tu o bardziej wyczerpujący obraz tej gałęz piśmiennictwa. Poszczególne środowiska polityczne zabiegały o wydawani przedruków dawnej literatury politycznej czy popularyzację myśli zrodzon w podziemiach kraju. Sfery katolickie dały sporo przedruków drobnych bro szur. Ludowcy przedrukowali wybór pism Stanisława Thugutta, kilku bro szur krajowych, z których najważniejsze to może wybór tajnej prasy pod ty tułem „Światło w podziemiach". Koła socjalistyczne, zwłaszcza skupione koł „Polskiej Informacji Społecznej", prowadziły bardzo ruchliwą i docierając dość głęboko w angielskie środowisko robotnicze akcję propagandową o ży ciu kraju poprzez masowe wydawnictwo tanich, popularnych broszur. Moż najtrwalszą wartość zachowa duży tom zawierający wybór z polskiej poste powej literatury politycznej p. t. „Antologia polskiej myśli demokratycznej" Jej wydawcy przebywający w Stanach Zjednoczonych — Władysław Mal nowski, Józef Wittlin, Manfred Kridl — mieli trafne wyczucie potrzeby ta kiego wydawnictwa pokazującego dawność i bogactwo tradycyj polskieg ruchu postępowego. Wydane najpierw w Ameryce (po polsku i angielsku ukazało się też i w Anglii.

Adama Doboszyńskiego rzecz o kwestii ukraińskiej i książki Stanisława Mackiewicza wyrażają produkcję skrajnej prawicy. „Historia Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r." to próba ujęcia dziejów dwudziestolecia ze stanowiska publicysty konserwatywnego. Skomponowana w formie krótkich artykułów dziennikarskich stanowi ona raczej zbiór materiałów do tej historii, i to ujętych bardzo jednostronnie. Na poły krytyką, na poły obroną polityki Becka była książka Mackiewicza „O jedenastej — powiada aktor — sztuka jest skończona. Polityka Józefa Becka". Najbardziej dziwaczną, domagającą się gruntownej odprawy była wyznawcza publikacja „Klucz do Piłsudskiego". Masa tu fałszów i nieścisłości w oświetleniu wielu faktów historycznych, zwłaszcza związanych z dziejami P. P. S-u, tu też w apoteozie dynastii Romanowów mamy wymowny przejaw na jakich bezdrożach gubił się publicysta wileńskiego „Słowa".

Przeciwległy ideowo biegun stanowi publicystyka Stanisława Grabskiego. Jego „Myśli o dziejowej drodze Polski", „Uwagi o inteligencji ludowej" i zwłaszcza namiętnie dyskutowane „Nil Desperandum" — to najostrzejszy może na emigracji porachunek z obozem sanacyjnym, to ciągle podkreślana konieczność przebudowy ustroju gospodarczego i społecznego, to najśmielszy głos za nowym unormowaniem stosunków sąsiedzkich ze Związkiem Radzieckim. Żałować należy bardzo, że Grabski nie dokończył druku swych pamiętników w „Jutrze Polskim", które przynoszą niezwykle ciekawy materiał, dziś wobec zniszczenia archiwów szczególnie cenny dla historii życia społeczno-politycznego i kulturalnego ostatnich dziesiątków XIX wieku. Czy znajdzie się w kraju wydawca, który potrafi nakłonić autora do sfinalizowania tej pracy i wyda ją?

Z ekonomicznych prac dużą poczytnością cieszyła się książka Henryka Tennenbauma „Europa środkowo-wschodnia w gospodarce światowej" i Ferdynanda Zweiga „Rzecz o planowaniu" i tegoż „Poland between two wars", zarys krytyczny dziejów gospodarczo-politycznych lat 1918—1939.

Stosunkowo dość dużo wysiłku włożono w poznanie i przedstawienie otaczającej rzeczywistości kulturalnej i społecznej angielskiej. Niezbyt bogata przed wojną ilość studiów i książek polskich na te tematy została dość wydatnie zwiększona. Publicyści i literaci oddali tu główną przysługę. Oblicze zmieniającego się na oczach polskich skutkiem bombardowania Londynu usiłowały pochwycić książka Bolesława Leitgebera „Londyn. Oblicze i maska" i obszerne studium esseistyczne Tymona Terleckiego w zbiorowej książce „Wielka Brytania". Przez długi okres czasu przewodnikiem niemal jedynym była „Anglia — wyspa nieznana" Zbigniewa Grabowskiego (1941), który tłumaczeniami i artykułami starał się pogłębić znajomość życia wysp wśród Polaków. Zbiorem felietonowych szkiców głównie o politykach angielskich była Floriana Sokołowa „Kawalkada angielska". Najtrwalszą wartość zachowają zbiorowa książka polskiego Pen-Clubu „Wielka Brytania". Kraj — Ustrój —

1) Ukazało się też drugie wydanie na Bliskim Wschodzie.

Kultura"[1]), usiłująca objąć całość zagadnień oraz wprowadzająca w mechanikę parlamentaryzmu i obyczajowości politycznej rzecz Mieczysława Szerera „Naród w parlamencie". Spółdzielcy polscy wydali tłumaczenie książeczki o osiągnięciach angielskiego ruchu spółdzielczego. Wszystkie te prace tworzone były wysiłkiem polskim. Tylko w zbiorowej „Wielkiej Brytanii" wzięli udział obok Polaków autorzy Anglicy. Stosunkowo późno zakrzątnęli się sami Anglicy wokół spopularyzowania własnej kultury wśród licznych emigrantów obcych przebywających w czasie wojny w Anglii. Nie wyszli jednak poza kilka drobnych broszurek bez większego znaczenia, wydanych przez British Council.

Co uderza w dorobku ściśle literackim emigracji, to brak wybitniejszej pozycji powieściowej i dominowanie poezji. Widać, że przeżycia września lub wojny były zbyt bliskie, gdyż nie pojawiła się żadna wybitniejsza próba literackiego ujęcia tego okresu. Jest rzeczą krytyki literackiej osądzić czy Ksawerego Pruszyńskiego „Droga wiodła przez Narwik" lub Marii Kuncewiczowej „Klucze" mogą sobie rościć pretensje do zajęcia takiego stanowiska. Ucieczka w krainę wspomnień, skłonność do idealizacji przeszłości, która nie wróci, cechują zbiorową książkę pisarzy wydaną przez Kolina „Kraj lat dziecinnych". Dobór autorów, a jeszcze bardziej ziem, z których pochodzą, sprawił, że dominują w niej z wyraźną jednostronnością problemy życia Ziem Wschodnich, przy niedocenianiu wkładu wartości kulturalnych Ziem Zachodnich a nawet centralnych. Wina takiej kompozycji książki obciąża bardziej jednak redaktorów (byli nimi Mieczysław Grydzewski i Ksawery Pruszyński) niż autorów.

Bujny, obfity i różnostronny dorobek poetycki, w którym obok pokolenia skamandrytów wystąpiło wielu młodych, dojrzałych w ciągu wojny pisarzy, stanowi — jak mi się wydaje — najwyższe osiągnięcie twórczości kulturalnej emigracji. Dorobek ten zasługuje na uważną, głębszą analizę ze strony krytyki literackiej. Winien być co rychlej w przedrukach udostępniony krajowi. Zanim się pojawi takie udokumentowane studium, w niniejszym przeglądzie wystarczy proste zarejestrowanie faktów i zjawisk. Musiała ta poezja być istotnie głęboko związana z odczuwaniami zbiorowości emigracyjnej, skoro była tak rozchwytywana i poczytna. Niemal regułą było, że każdy zbiorek miał po dwa wydania, niektóre wychodziły jednocześnie w Anglii i na Bliskim Wschodzie (np. Władysława Broniewskiego „Bagnet na broń") lub w Ameryce i w Stanach Zjednoczonych (np. Kazimierza Wierzyńskiego „Ziemia wilczyca"). Niektóre tomiki osiągały liczbę trzech (Baliński), a nawet pięciu wydań (np. „Alarm" Słonimskiego). Tylko zagnani losem wojny na ubocze, jak Łobodowski w Hiszpanii, czy Iłłakowiczówna w Siedmiogrodzie lub młodzi na Węgrzech pozostawali z dala od tego głównego nurtu, który rozwijał się na terenie krajów anglo-saskich: na Wyspach brytyjskich, na Bliskim Wschodzie i w Ameryce. Motyw tęsknoty, nostalgii, zatopienia się we wspomnieniach przeszłości przewija się zarówno przez „Kwiaty polskie" Tuwima, przez „Wielką podróż" Stanisława Balińskiego, silnie tętni w zbiorkach poetyckich Kazimierza Wierzyńskiego, Władysława Broniewskiego, Antoniego Słonimskie-

i Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Czasopisma literackie („Wiadomości Polskie", „Nowa Polska", jerozolimska „W Drodze") i wojskowe („Polska Walcząca") zawarły wiele tego dorobku, nie zawsze jeszcze dotąd ujawnionego w wydaniach książkowych. Wiele z dorobku Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej — przygotowany do druku nowy tom — zalega dotąd u wydawców. Z kół zbliżonych do przedwojennego „Prosto z mostu" na emigracji pracował literacko Jerzy Pietrkiewicz. Wojna przynosi ujawnienie wielu młodych: z tych na terenie angielskim najdojrzalej prezentują się Jan Rostworowski („Dni ostatnie i noce pierwsze" (1945) i „Na cięciwie" (1945), Bogumił Andrzejewski i Jerzy Faczyński.

7.

Już niejednokrotnie przyszło nam potrącać o książki wydane w języku angielskim. Wyrąbanie miejsca dla problemów życia polskiego na angielskim rynku wydawniczym dla książek polskich autorów lub dla pisarzy angielskich, zajmujących się problemami polskimi, jest niewątpliwie jako zjawisko masowe wynikiem ostatniej wojny, a jeszcze więcej pobytu Polaków na Wyspach brytyjskich. W roku 1940, nawet jeszcze w r. 1941 Polacy byli modni. Dziś ta fala, której sprawcami byli w dużej mierze lotnicy polscy, opadła, ale raz obudzone zainteresowanie pozostało. W czasie wojny narosła w Anglii ciekawość dla zagadnień Europy środkowo-wschodniej. Przedtem niejednokrotnie Niemcy lub rzadziej Francuzi byli pośrednikami i po przez ich okulary patrzono na sprawy polskie. Mała była stosunkowo ilość Anglików mających z autopsji nasz kraj, nie wielu miało dostęp do źródłowych materiałów o Polsce. Było w tym bardzo dużo naszej własnej winy, gdyż nie wkładaliśmy ani poważniejszego wysiłku w penetrację kulturalną na terenie angielskim, ani nawet nie dbaliśmy o należyte zaopatrzenie w polonica podstawowych księgozbiorów angielskich. Ilustracją tych zjawisk może być choćby wysoce przypadkowe bezplanowe zaopatrywanie w książki i czasopisma polskie w British Museum[1]). O ileż celowiej postępowali pod tym względem Czesi, którzy wkładali duży wysiłek w rozbudowanie swego działu w School of Slavonic Studies. Ileż usług oddał im swymi kontaktami i działalnością naukową i publicystyczną R. W. Seton-Watson, autor obszernej, w czasie wojny (1943) wydanej „A history of Czechs and Slovaks". Wojna przyniosła pewną poprawę stosunków dla nas, przybliżyła problemy polskie Anglii. Odpadli jako pośrednicy Niemcy. Pobyt masy polskiej w Anglii obudził i pogłębił chęć poznania dalekiego kraju. Rynek wydawniczy angielski wykazywał wielką chłonność na książki polskie i o Polsce. Masa drobnych i większych broszur politycznych, reportaży o udziale Polaków w poszczególnych kampaniach wojny, opisów życia kraju pod okupacją niemiecką przeniknęła w grunt angielski. Przy czym rzecz charakterystyczna cenna jako wskazanie na przyszłość, że największą poczytnością, rzeczywi-

[1]) O tych sprawach piszę obszerniej w artykule o polskim życiu uniwersyteckim w Anglii w okresie wojny w „Nauce i Sztuce" (1946, nr 4).

stym oddźwiękiem w poważnych czasopismach cieszyły się solidne, gru towne książki na poły naukowe, lub wybitne dzieła literackie.

Trzy książki o Polsce w czasie wojny miały największy sukces, wzbudzi najsilniejszy rezonans. Pierwszy tom „Czarnej Księgi", opublikowanej prz polskie ministerstwo informacji, poświęcony głównie samej inwazji niemie kiej („The German Invasion of Poland", 1940) nie wbudził tak szerokie zainteresowania. Natomiast tom drugi „The German new order in Polan (1941) mimo stosunkowo dość wysokiej ceny rozszedł się szybko, miał ma recenzyj i komentarzy prasowych. Obraz okupacji niemieckiej zawarty w ty tomie za okres od września 1939 do czerwca 1941 był — bez żadnej przes dy — rewelacją dla czytelnika angielskiego nie zdającego sobie sprawy z gr zy stosunków i daleko idących zamierzeń Niemiec hitlerowskich na kont nencie europejskim[1]). Jest rzeczą wiadomą, że tom ten cieszył się pokupn ścią wśród angielskiej klasy robotniczej.

Nowy przekład „Krzyżaków" Sienkiewicza, dokonany przez profeso anglistyki w uniwersytecie poznańskim Masseya[2]), z przedmową lorda Van sittarta, przedstawiciela najbardziej antyniemieckiego kierunku w publicysty angielskiej, wydany został w roku 1943 dzięki staraniom Alicji Tyszkiewicz wej przez edynburskiego wydawcę Nelsona. Był to drugi wielki sukces w dawniczy polski. Trudno ocenić w jakiej mierze zadecydowała o tym pow dzeniu aktualność tematyki, w jakim zaś stopniu przemówiły do Anglikó czysto literackie walory dzieła. Prawdopodobnie jedne i drugie momenty od grały swą rolę. W roku 1945 taki sam rozgłos prasowy jak dawniej wokół dr giego tomu „Czarnej Księgi" powstał w związku ze zbiorową, w kraju przyg towaną „The Nazi Kultur in Poland". Już samo przejęcie tego wydawnictw przez „His Majesty's Stationery Office", państwowe wydawnictwo, mające ni słychanie szeroko rozpostartą w całym kraju sieć kolportażu, było osiągni ciem przesądzającym z góry niejako o powodzeniu książki. Pani Violetta Garv włożyła sporo wysiłku i dobrej woli w przygotowanie angielskiego wydani Mimo że książka przychodziła w trudnym dla spraw polskich momenc w chwili, gdy były one przedmiotem zażartych kontrowersyj politycznych, ba dzo szybko utorowała sobie drogę do angielskiego czytelnika. Recenzje w cz łowych tygodnikach[3]) podnosiły wysoką wartość publikacji. Imponowała gru towność i bogactwo zebranego materiału, obiektywizm w naświetleniu zaga nienia. Uwypuklano, że książka ma charakter nie propagandowo-publicystyc ny, lecz że przedstawia wartość dokumentarnego studium naukowego.

To były szczytowe, najgłośniejsze momenty powodzeń książki polskiej angielskim rynku wydawniczym. Ale także większość innych prac, nawet do specjalnych, rozchodziła się szybko, wskazując na zapotrzebowanie i chłonno

[1]) Jego uzupełnieniem stała się wydana na gruncie amerykańskim „Czarna Księga polskie żydostwa." (The Black Book of Polish Jewry).

[2]) Oddał on wiele usług Polakom jako tłumacz w czasie wojny.

[3]) Żałuję bardzo, że nie mając do dyspozycji numerów „Spectatora" czy „Time and Tid nie mogę przytoczyć cytatów z tych recenzyj.

angielskiego czytelnika[1]). Przygotowana jeszcze przed wojną zbiorowym wysiłkiem polskich i angielskich historyków „The Cambridge History of Poland" mimo wysokiej ceny (30 szylingów), mimo, że dawała tylko obraz czasów nowszych (XVIII—XX wiek)[2]), nawet mimo niektórych nieprzychylnych recenzyj ze strony młodszych historyków, bardzo szybko była wyczerpana w handlu księgarskim. Stanisława Kota „Five centuries of Polish Learning", tekst wykładów w uniwersytecie oxfordzkim o rozwoju nauki polskiej, miały dwa wydania. Popularne zarysy historii polskiej Oskara Haleckiego i Olgierda Górki szybko znikały z półek księgarskich. Broszura Marii Danilewiczowej o rozwoju bibliotek polskich (polskie i angielskie wydanie) czy Józefa Rudnickiego okolicznościowa książeczka o Koperniku nie pozostawały bez echa w czasopismach fachowych. W. J. Rose, jeden z nielicznych Anglików świetnie z długoletniego pobytu znający Polskę, wydał kilka drobnych publikacyj i gorąco dyskutowaną w polskich kołach politycznych większą pracę o rozwoju polskiej demokracji („The Rise of Polish Democracy"). Dał też przekład pamiętników Jana Słomki, a jako redaktor wznowionej w r. 1945 „The Slavonic and East European Review" pilnie dba o należyte postawienie działu polskiego, sam publikując dwa wspomnienia, rozrastające się do obszernych studiów o Władysławie Sikorskim i Ignacym Paderewskim.

Zarówno książki informujące o rozwoju życia gospodarczego jak artystycznego Polski, czy tłumaczenia utworów literackich, mogły liczyć na powodzenie. Ferdynanda Zweiga „Poland between two wars. A critical study of social and economic changes 1944" jest sprawdzianem pierwszej grupy. Szybko rozchodziły się też wydawnictwa o rozwoju sztuki polskiej jak np. Henryka Gotliba zarys dziejów malarstwa polskiego („Polish Painting"), czy zbiór rysunków Jerzego Faczyńskiego („Studies in Polish Architecture"), czy popularna broszura reprodukcyj zabytków polskich Romana Sołtyńskiego „Glimpses of Polish Architecture". Przekład wyboru noweli polskiej, tłumaczenie wybranych utworów poetyckich czasu wojny, przekłady Parandowskiego, Tetmajera, Żeromskiego wydane przez Minerwę, jeszcze bardziej znamienne pojawienie się u jednego z czołowych wydawców, Hutchinsona, „Cudzoziemki" M. Kuncewiczowej — to wszystko były dowody powolnie ale stale narastających zainteresowań angielskiego czytelnika dla twórczości polskiej. Zupełnie wrośniętym w grunt angielski był Feliks Topolski, którego szkice i rysunki z okresu bombardowania Londynu, z życia wojska i uchodźców w Rosji czy na Bliskim Wschodzie cieszyły się wielką popularnością.

Zarówno tłumaczenie dobrej powieści jak solidna książka naukowa czy zręczny reportaż Polaka zawsze mogły liczyć na wydawcę. Poważnym utrudnieniem był brak — poza Masseyem, M. Corbridge-Patkaniowską, C. Wie-

[1]) Kilka monografij ściśle naukowych (z historii, filologii klasycznej, chemii, klimatologii) ukazało się w Stanach Zjednoczonych A. P. nakładem Polskiego Instytutu Naukowego.

[2]) Tom pierwszy nie był w chwili wybuchu wojny ostatecznie zamknięty, brakowało w nim kilku artykułów, skutkiem tego najpierw ukazał się tom drugi. Tom pierwszy — o ile mi wiadomo — nie ukazał się aż do jesieni 1945.

niewską, T. Lutosławskim — wyrobionych tłumaczy. To bardzo krępowało rozmach ruchu wydawniczego. W tym względzie dużym ciosem była śmierć Moniki Gardner, zasypanej w małym domku na Hampstead, wypełnionym poważnym zbiorem książek polskich, przez bombardowanie niemieckie. Była to bezinteresowna, oddana całkowicie literaturze polskiej entuzjastka twórczości polskich romantyków.

Innym wskaźnikiem wzrostu zainteresowań polskich był rosnący popyt na podręczniki nauki języka polskiego. Popularny podręcznik Józefa A. Teslara miał kilka wydań, ukazał się też gruntownie naukowo opracowany owoc wysiłku kilku lat, podręcznik Marii Corbridge-Patkaniowskiej. Narastanie książek i broszur angielskich o Polsce było tak znaczne, że w czasie wojny pojawiły się dwukrotnie bibliograficzne wskazówki dla czytelnika w opracowaniu J. H. Baxtera i W. J. Rose'a.

Wojna stworzyła korzystną koniunkturę dla książki polskiej w języku angielskim. Kilku poważnych wydawców chętnie podejmowało się druku książek na tematy polskie. Pojawiła się liczna kategoria czytelników-odbiorców tej produkcji. Jest już teraz naszym zadaniem, by tego dorobku wojennego nie zatracić, by tę koniunkturę raz wytworzoną pogłębić i rozszerzyć. Wobec widocznych objawów załamywania się dotychczasowego prymatu kulturalnego Francji, wypierania w świecie znajomości języka francuskiego przez angielski, mocne usadowienie się książki polskiej lub na tematy polskie na rynku wydawniczym anglo-saskim miałoby bardzo duże znaczenie. Czy stać nas będzie na ten wysiłek, który utrwaliłby koniunkturę stworzoną przez losy wojny, przez pojawienie się masy polskiej na zachodzie Europy?

8.

Dość silne nici wiązały ruch wydawniczy na Bliskim Wschodzie z Londynem. Z Anglii szły środki finansowe i ogólne całkiem wskazania co do kierunku ruchu. Ale Bliski Wschód miał w pewnym okresie większe możliwości w zakresie dysponowania przydziałami papieru. Miał też do czynienia z o wiele większą liczbowo masą polską, której potrzeby duchowe inaczej się kształtowały aniżeli w środowisku polskim w Anglii. Stąd samoistność i odrębność ruchu wydawniczego na Bliskim Wschodzie, powiązanego jednak stale z Anglią.

Brygada Karpacka formowana na Bliskim Wschodzie pod dowództwem generała Kopańskiego — to było pierwsze środowisko czytelnicze. Składała się ona z żołnierzy kampanii wrześniowej napływających z obozów rumuńskich czy węgierskich, czy z armii polskiej we Francji, lub wreszcie z elementu ochotniczego z kraju, ciągle przeciekającego przez zielone granice. Było w niej bardzo dużo elementu inteligenckiego. Pochłaniał on zarówno książkę angielską jak francuską, silnie zwłaszcza rozpowszechnioną w Syrii. Książki polskie z Londynu docierały tu przy wojennych trudnościach komunikacyjnych bardzo rzadko i skąpo, z wielkimi opóźnieniami. Tylko bardzo nieznacznie mogły łagodzić tę tęsknotę do książki polskiej dość zasobne prywatne księgozbiory Ży-

ów polskich w Palestynie. Czasopisma wojskowe jak „Ku Wolnej Polsce" zy „Nasze Drogi" czy dla ludności cywilnej w późniejszych latach ukazujący ię „Polak w Iranie" lub „Polak w Afryce" czy „Polak w Indiach" nie mo-ły zaspokoić tego głodu książki polskiej. Ona przecież przybliżała na dale-ich przestrzeniach Egiptu, Iranu czy Libii wymarzony a odległy kraj, dawała oczucie jakiejś więzi z ojczyzną, koiła nostalgię.

Rodząca się w szeregach tego wojska obficie poezja pozostanie świadec-wem jego nastrojów i dążeń. Tomik „Poezja karpacka", zbiór wierszy żoł-ierzy Brygady Strzelców Karpackich, wydany w Jerozolimie z przedmową ana Bielatowicza, jest ważnym dokumentem historycznym walk i tułactwa ołnierza polskiego. Podobnym przekrojem zbiorowej twórczości rodzącej się w szeregach wojska jest druga książka zbiorowa „Azja i Afryka. Antologia oezji polskiej na Środkowym Wschodzie" (1944), również pod redakcją Jana ielatowicza. Antologie te pokazują twórczość nie tylko pisarzy dobrze zna-ych przed wojną, jak Stanisława Młodożeńca, Beaty Obertyńskiej i Mariana Iemara, ale co ciekawsze ujawniają oblicze poetyckie młodych pisarzy ukształ-owanych w czasie wojny. Są między nimi: Bogumił Andrzejewski, Jadwiga zechowiczówna, Bolesław Kobrzyński i Tadeusz Sowicki. Prozę czy publicy-tykę Brygady Karpackiej reprezentowali Mieczysław Pruszyński i poległy pod nconą Adolf Bocheński.

Drugie całkiem odmienne środowisko czytelnicze narosło z masą polską, któ-a po układzie rosyjsko-polskim z lipca 1941 r. zaczęła wychodzić ze Związ-ku Radzieckiego i tworzyć ośrodki rozsiane po całym Bliskim Wschodzie, w Iranie, Palestynie, Egipcie, Kenyi i Ugandzie[1]). Dużo było tu młodzieży, poro elementu chłopskiego. Inne były całkiem potrzeby czytelnicze. Wtedy to a Bliskim Wschodzie powstaje rozległa sieć polskich szkół powszechnych, śred-ich i zawodowych. Trzeba na gwałt polskich podręczników szkolnych. Pol-ki Londyn nie może tej potrzeby zaspokoić. W Jerozolimie samorzutnie po-wstaje wtedy polska placówka wydawnicza. Formalnie jest ona filią londyń-kiego ministerstwa oświaty, ale faktycznie stoi wysiłkiem, uporem, rozma-chem gorączkowym pracy jej kierownika, lwowskiego historyka szkolnictwa, docenta Łukasza Kurdybachy. Zwolniony z powodu choroby z wojska, z go-ączkowym pośpiechem zaczyna przedrukowywać podręczniki dla szkół po-wszechnych i średnich, oczyszczając niektóre z rażących w nowej sytuacji na-eciałości ery sanacyjnej. To wywołuje u niektórych wojskowych czynników olskich ataki przeciwko jerozolimskiej placówce wydawniczej. Ale Brytyj-czycy dają tutaj papier tak trudny do zdobycia w czasie wojny, o którego brak rozbija się wiele polskich poczynań wydawniczych w samej Anglii. Zdobycie siążek, z trudem wyławianych w księgozbiorach Żydów polskich, wyszuki-

[1]) W tym środowisku działał przez dłuższy czas Marian Czuchnowski, którego książka „Cofnięty czas" (wydana w Londynie w r. 1945 przez Światowy Związek Polaków za granicą) charakteryzuje zetknięcie się Polaków z Bliskim Wschodem, moment powstawania armii pol-skiej i początków organizowania się zbiorowego życia polskiego masy, która wyszła ze Związ-ku Radzieckiego.

wanych w bibliotece uniwersytetu palestyńskiego, wyciąganych z plecaków żoł nierzy polskich z kraju, wynajdywanie czcionek polskich czy zecerów — ot kłopoty, które towarzyszą narodzinom nowej książki polskiej. W Jerozo limie wyrasta szybko wielka centrala wydawnicza podręczników szkol nych, coś w rodzaju miniaturowego emigracyjnego państwowego wydaw nictwa książek polskich. Egipt i Iran, Kenya czy Uganda, potem w r. 1945 p trosze Włochy i Francja uczą się z jerozolimskich wydań podręczników szkol nych. Ich wydawca ma ambicje szersze: czuje, że przedruki samych podręczni ków nie wystarczą, że trzeba materiału lekturowego. Ten przynosi „Szkoln Biblioteczka na Wschodzie". Jej osiemdziesiąt tomików arcydzieł literatury pol skiej w lecie 1945 (dziś już może setka!) to wynik uporczywej, nie liczącej si z trudnościami pracy edytorskiej Łukasza Kurdybachy. Niektóre tomiki, mim niesprzyjających warunków dla polskiej pracy intelektualnej na Bliskim Wscho dzie, mogą się kusić o rywalizację z wzorowymi tekstami dawnej „Bibliotek Narodowej".

Drugi ośrodek wydawniczy polski narasta wokół czasopisma „W Drodze" redagowanego przez Wiktora Weintrauba. I tu sporo przedruków: tom Bobrzyńskiego, Askenazego, czy londyńskiej zbiorowej „Wielkiej Brytanii". T powstaje ambitny plan, częściowo zrealizowany, przekładów angielskiego wy dawnictwa „Oxford Pamphlets". Ale istotna waga wydawnictwa leży w czyn innym: pozwala ono ujawnić się tym indywidualnościom, nie mającym dotą możliwości pełnego uzewnętrznienia się w czasopismach, które przecież w dal szej perspektywie stanowić będą o miejscu, jakie historia wyznaczy twórczość Bliskiego Wschodu w ogólnym dorobku kulturalnym emigracji. Nie reporta że z kampanii libijskiej, cenne jako dokument czasu, nie dwutomowa powieś historyczna Teodora Parnickiego „Srebrne Orły" zajmą miejsce pierwsze w t twórczości, lecz raczej skromne zbiorki poetyckie. Jest ich sporo (z pisarz znanych przed wojną przede wszystkim Władysław Broniewski), — ale dw niewątpliwie pokazują najciekawsze indywidualności dojrzałe w ciągu wojn na Bliskim Wschodzie: Zdzisława Broncla (tom „Łaska nocy") i Tadeusza Sc wickiego (tom „Zwrotnik wilkołaka").

Podręczniki szkolne i tomiki wierszy — oto z czym w dziwnym trochę po łączeniu wchodzi Bliski Wschód do ogólnego dorobku wydawniczego emigrac polskiej na Zachodzie.

ANIELA MIKUCKA

CZYTELNICTWO MŁODZIEŻY KRAKOWSKIEJ

I

Charakterystyka czytelnictwa młodzieży rzuca ciekawe światło zarówno na jej zainteresowania, zamiłowania i wyrobienie umysłowe i postawę uczuciową, jak i na życie pewnych autorów, książek i rodzajów literackich wśród czytelników — w zależności od szeregu czynników ubocznych. Do tych elementów ubocznych zaliczyć należy przede wszystkim płeć, wiek biologiczny i społeczny, środowisko, a także jakość księgozbiorów, którymi czytelnicy rozporządzali. Ze stanowiska badawczego, teoretycznego obydwa punkty widzenia: charakterystyka oblicza młodzieży na podstawie czytelnictwa, jako cenny przyczynek do jej psychologii rozwojowej, jak i sprawa poczytności autorów, książek i rodzajów literackich — klasyczne zagadnienie z dziedziny nauki o czytelnictwie, jako jednego z działów księgoznawstwa — posiadają znaczenie jednakowe. Należy jedynie rozstrzygnąć, które ujęcie jest dla nas w chwili obecnej i dla celu, który sobie stawiamy, ważniejsze i dogodniejsze. Bibliotekarze, wydawcy i do pewnego stopnia nauczyciele operują książką, którą mają doprowadzić do czytelnika, upowszechnić, odnaleźć wśród powodzi książek — najwłaściwszą dla danego odbiorcy. Najlepszą, to znaczy najbardziej upragnioną i najodpowiedniejszą, to znaczy nie za trudną i nie szkodliwą. Wynika z tego, że potrzebna jest bibliotekarzowi, nauczycielowi i wydawcy zarówno znajomość indywidualności czytelnika czy całych grup czytelniczych, jak i wiedza o książce, o jej powodzeniu czy niepowodzeniu, przyjaciołach, wielbicielach, miłośnikach czy zwolennikach tylko. Wiedza o książce pod tym względem jest pewnym wskaźnikiem jej wartości i znaczenia społecznego i indywidualnego, różniącego się pod wieloma względami od jej wartościowania literackiego i artystycznego, które należą do historii literatury i nauki o literaturze. To odmienne podejście do książek: uszeregowanie ich mnogości z punktu widzenia oddźwięku jaki znajdują u czytelników i ich oceny, jako odbiorców literatury, stanowić może cenną pomoc w pracy nauczyciela, wydawcy i bibliotekarza w terenie. Książki ulubione są najczęściej książkami najwłaściwszymi, bo odpowiadają zainteresowaniom najżywszym młodzieży, ale nie zawsze są książkami najodpowied-

niejszymi, ponieważ nie każde ujęcie jest istotne i trafne. Zapoznanie się z po czytnością książek wśród młodzieży doprowadzić powinno do afirmacji tych spośród istniejących zjawisk, które z punktu widzenia wychowawczego możemy uznać jako dobre, a w każdym razie nie szkodliwe i do korektury tych, które te poprawki wymagają.

W badaniu poczytności wysuwa się kilka zagadnień równorzędnych a oświetlających w różnorodny sposób to zjawisko. Stopień poczytności auto rów świadczy o upodobaniu do pewnego stylu w opisach i ujęciu postaci, do swoistego języka pisarza, do jego sposobu traktowania faktów i przeżyć, do jego postawy uczuciowej. Natomiast poczytność książek (nie zawsze jedno znaczna z poczytnością autorów) mówi o zamiłowaniu do pewnej tematyki do określonych zagadnień, epok czy faktów. Oczywiście poczytność pewne określonej książki nie jest obojętna w stosunku do dalszych losów poczytności jej autora, ale nie jest to zjawisko stale występujące. Charakterystycznym przykładem jest stosunkowo duża poczytność „Chłopów" przy niewielkiej właściwie popularności Reymonta, jeśli chodzi o całokształt jego twórczości Odrębnym zagadnieniem będzie poczytność różnych rodzajów literackich i różnych form (proza, poezja, dramat, powieść, nowela).

II

Badania nad zainteresowaniami i czytelnictwem młodzieży, podjęte przez Instytut Badania Czytelnictwa przy Wydziale Wydawniczym „Czytelnika" a prowadzone w ścisłej współpracy z Zakładem Księgoznawstwa i Bibliotekar stwa Uniwersytetu Łódzkiego (tzn. pod ogólnym kierunkiem prof. Jana Musz kowskiego i siłami uczestników Zakładu), stawiają sobie obydwa te zadania Instytut jest placówką badawczą „Czytelnika" o charakterze ściśle nauko wym, ale jednocześnie pragnie dzielić się wynikami swych badań z działaczam na polu pedagogii, pracy kulturalno-oświatowej, bibliotekarskiej i wydawni czej, chce w ten sposób służyć pomocą w planowaniu tych prac, a jednocześni od pracowników i działaczy w terenie zdobywać dodatkowe obserwacje i do świadczenia, które łącznie z materiałami z ankiety oraz indywidualnymi wy wiadami z osobami badanymi i eksperymentami mogą dopiero stanowić o moż liwie wszechstronnym i obiektywnym oświetleniu zagadnienia.

Dane o czytelnictwie młodzieży szkół średnich w Krakowie zostały zesta wione na podstawie materiału z ankiety, przeprowadzonej przez Instytut Ba dania Czytelnictwa na jesieni ubiegłego roku m. in. w Krakowie przy czynne współpracy dr Franciszka Bielaka. Pytanie w kwestionariuszu (który w zasa dzie dotyczył zainteresowań czytelniczych młodzieży z zakresu tematyki wy dawnictw popularno-naukowych), odnoszące się do poczytności autorów i książek brzmiało: „Wymienić pięciu autorów i pięć książek ulubionych". Odpowiedz były wszystkie anonimowe. Uzyskano ich w Krakowie 1251, z czego odpo wiedzi chłopców jest dwa razy więcej niż dziewcząt (67,9%, 32,1%), co w pewnym stopniu utrudnia bardzo szerokie uogólnienia.

JAN CYBIS: INDYKI

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

Z punktu widzenia środowiska społecznego młodzieży badanej utworzon trzy zasadnicze grupy na podstawie odpowiedzi na pytania, dotyczące zawod ojca i matki („zawód ojca", „zawód matki"). Zasadą łączenia mniejszych gru zawodowych w trzy zasadnicze grupy był poziom wykształcenia, wyrobieni myślowego i atmosfery intelektualno-uczuciowej, która niewątpliwie wpływ na zainteresowania i czytelnictwo młodzieży. Ponieważ dysponowano wy łącznie danymi, zaczerpniętymi z odpowiedzi młodzieży, należało utworzy z konieczności obszerne grupy zasadnicze, aby możliwie uniknąć błędów i nie dokładności, nieuniknionych przy tego rodzaju metodzie zbierania materiał socjograficznego. Pierwszą grupę stanowi młodzież ze środowiska o najwyż szym stopniu wykształcenia, drugą — o średnim stopniu wykształcenia, trze cią — o najniższym stopniu wykształcenia. Środowisko pierwsze dla upro szczenia w toku dalszych rozważań będziemy nazywali grupą pierwszą, śro dowisko drugie — grupą drugą, trzecie — grupą trzecią.

Najliczniej reprezentowana jest grupa trzecia — 40,4%, następnie druga — 36,1%, wreszcie pierwsza — 20%. Najwięcej jest młodzieży 15, 16 i 18-let niej, najmniej dwunastoletnich (17,3% — 20%), przy czym 12 i 13-letnic mamy z Krakowa tylko chłopców. Największą grupę stanowi młodzież z 2 i klasy gimnazjalnej, najmniej jest uczniów z II licealnej (47,14% — 24,8% 5,9%). Prawie cała młodzież (96,5%) przebywała na terenach okupowanych reprezentuje środowisko miejskie 3/4 badanych (78,3%, wiejskie aż 21,7%) Dostęp do książek był w Krakowie stosunkowo najnormalniejszy, gdyż na wet po powstaniu nie uległ przerwie i zmianie.

W zestawieniu niniejszym chodzi o przedstawienie poczytności literatur pięknej, przy czym uwzględnione zostały tylko te pozycje, co do któryc można było stwierdzić z całą pewnością autora (młodzież podaje bardz często tylko tytuły), aczkolwiek z tytułów wynika, że większość tych pozycy dotyczy literatury przygodowej, sensacyjnej czy kryminalnej na bardz niskim poziomie, względnie mało znanych lub bardzo słabych książek mło dzieżowych, wreszcie literatury religijnej o przemijającej wartości. Przy wy borze zagadnień do analizy kierowano się przede wszystkim autorami i tytu łami najpoczytniejszymi, a następnie szeregiem pozycji nie najbardziej po czytnych, ale natomiast ciekawych i ważnych z punktu widzenia psycholo gicznego czy wychowawczego. Interesującym będzie w pierwszym rzędzie jacy autorzy i jakie książki są najpoczytniejsze i jak się kształtuje ich poczyt ność zależnie od płci, wieku biologicznego i społecznego i środowiska, następ nie jak wygląda poczytność w związku z wyżej wymienionymi wpływam ubocznymi w odniesieniu do autorów i książek, które nie są specjalnie po czytne, jednakże ich znaczenie i wartość są wybitne. Zanim jednak spraw te zostaną omówione — należy w ogólnym zarysie scharakteryzować typ autorów i rodzaje literatury, którą młodzież wymienia jako najbardziej lu bianą. Zestawiane tu będą hasła autorskie, zależnie od typu piśmiennictwa a mianowicie: twórcy prozy i jej typy — powieść obyczajowa, historyczna przygodowo-podróżnicza, kryminalna, fantastyczna, lotnicza (poddział przy

odowo-podróżniczy), dalej poezja i dramat, a wreszcie autorowie „klasyczni", tzn. nazwiska o ustalonej wartości literackiej i wysokim poziomie, v odróżnieniu od literatury miernej i słabej — współcześni i dawni oraz polscy i obcy (do współczesnej literatury „klasycznej" zaliczeni zostali tylko utorowie żyjący i zmarli w okresie wojny). Osobno uwzględniono autorów bcych.

III

Na 820 wszystkich wymienionych haseł autorskich (zsumowano kolejno asła w każdej grupie wieku) 730 dotyczy prozy, zaledwie 90 poezji i dranatu, 570 odnosi się do wszelkiego typu powieściopisarzy. Najwięcej haseł vymieniają z grupy powieści obyczajowej, następnie przygodowo-podróżniczej, przy czym należy stwierdzić, że zainteresowanie powieścią obyczajową ośnie wyraźnie z wiekiem, natomiast zamiłowanie do powieści przygodowej naleje już od 16-go roku życia (przy analizie poczytności występuje to samo jawisko). Na trzecim miejscu stoi powieść historyczna i zamiłowanie do niej est trwałe i ma charakter wzrastający, a stoi dopiero na miejscu trzecim dla braku materiału! Powieść kryminalna i lotnicza ma też zwolenników, ednakże zainteresowanie to w odniesieniu do powieści lotniczej kończy się oczywiście u starszej młodzieży z braku materiału, a powieść kryminalną zatępuje typowa dla niej powieść przygodowa, a i to upodobanie z wiekiem gaśnie, jako typowe dla młodszej młodzieży. Interesujące jest zjawisko, o ile młodzież zalicza do autorów ulubionych autorów „klasycznych", o ile zaś do najmilszych należą autorowie słabsi i literatura młodzieżowa przeciętna. Z tego będzie można wnioskować o sile wpływu szkoły i możliwościach wyrabiania smaku literackiego i wrażliwości estetycznej przez szkołę — i to mimo ciężarów lektury obowiązkowej i uzupełniającej, albowiem młodzież w wieku szkolnym silniej podlega wpływom szkoły niż jakiejkolwiek biblioteki, jeśli weźmiemy pod uwagę większość chłopców i dziewcząt. Niemal połowa haseł autorskich należy do „klasyków", zarówno polskich jak i obcych, przy czym „klasyków" polskich wymieniają dwa razy więcej niż obcych i więcej dawnych niż współczesnych (widoczny wpływ lekcji języka polskiego), a także polskich klasyków współczesnych mniej niż dawnych (znów wpływ szkoły). Świadczy to o niewielkim zainteresowaniu literaturą współczesną. Stoi to w związku z szeregiem innych zjawisk z dziedziny czytelnictwa i zainteresowań młodzieży, o czym będzie mowa później. Zainteresowanie literaturą obcą jest stosunkowo dość silne, gdyż na 820 wszystkich haseł wymieniają 317 autorów obcych. Tłumaczy się to przede wszystkim tym, że wśród literatury młodzieżowej, przygodowej i kryminalnej mamy bardzo dużo tłumaczeń. Ciekawym jest fakt, że ilość haseł autorskich rośnie z wiekiem, ale tylko do pewnego punktu i u starszej młodzieży zatrzymuje się, jakby się wyczerpywał zasób tych możliwości, czy też malało zainteresowanie czytaniem w najwyższych klasach w związku z przygotowaniem do matury.

IV.

Przechodząc do charakterystyki czytelnictwa młodzieży szkół średnic w Krakowie należy zaznaczyć na wstępie, że chodzi tu niejako o poczytnoś (zarówno autorów jak i książek) „wyższego rzędu", gdyż pytanie kwestio nariusza brzmiało: „Wymienić pięciu autorów i tytuły książek ulubionych" a więc wyodrębnione zostaną książki i autorowie najpoczytniejsi wśród ulu bionych, a nie najbardziej poczytni wogóle. Bliżej analizowana będzie w da szym ciągu poczytność autorów najpopularniejszych, następnie reprezentujący repertuar „klasyczny młodzieżowy" (Defoe, Zaleska itp.), wreszcie najuli bieńsze i najbardziej pożądane typy książek (Spyri, Zarzycka, Leblanc itp

Według ilości otrzymanych głosów poczytność poszczególnych autorów wybranych z tych czy innych względów do szczegółowej analizy, wygląd jak następuje: Sienkiewicz, Prus, Mickiewicz, Rodziewiczówna, Kraszewsk Żeromski, Orzeszkowa, May, Makuszyński, Reymont, Kossak-Szczucka, Ver ne, Curwood, London, Gąsiorowski, Przyborowski, Kipling, Meissner, Umiń ski, Wyspiański, Defoe, Dickens, Cooper, Marczyński, Dumas, Zane Gra Anczyc, Zaleska, Zarzycka, Leblanc, Czarska, Spyri, Mayne Reid, Beeche Stove, Amicis, Domańska, Buyno-Arctowa, Conan Doyle. Autorami tymi in teresuje się od 87% do 0,6% młodzieży. Pierwszych dwunastu należy d szeregu najpoczytniejszych, pozostałych uwzględniono z innych przyczyn.

Pierwsze i bezkonkurencyjne miejsce zajmuje Sienkiewicz (87% głosów) i ja ko najpoczytniejszy autor i jako autor trzech najpoczytniejszych książek „Trylogii", „Krzyżaków", „Quo Vadis". Cieszy się on trochę większą popu larnością wśród dziewcząt niż wśród chłopców, u których to zainteresowan maleje z wiekiem, natomiast u dziewcząt zdecydowanie rośnie. Wpływ wiek społecznego jest nieco odmienny — gdyż w klasach wyższych zamiłowanie d Sienkiewicza i u chłopców i u dziewcząt zmniejsza się. Najsilniej reprezento wani są miłośnicy Sienkiewicza w grupie trzeciej i drugiej, słabiej w grup pierwszej. Stosunek do Sienkiewicza (na podstawie wypracowań) *) jest niesłycha nie żywy, bliski i bezpośredni. Młodzież znajduje w nim zaspokojenie szereg najsilniejszych instynktów i tęsknot, pokrzepienie wewnętrzne, zadowolen dumy narodowej, graniczącej chwilami z megalomanią, radość z przeżywan zwycięstw i triumfów polskiego oręża, wielki zasób humoru i wesołości, nau kę historii w sposób przyjemny i łatwy, ożywianie patriotyzmu, rozkoszow nie się odrębnością świata, opisywanego przez Sienkiewicza, zaspokojenie in stynktu wojowniczości i głodu silnych wrażeń, które daje przygoda i to w do datku „prawdziwa". Sienkiewicz jest poza tym jednym z niewielu autorów w stosunku do których młodzież używa argumentów natury literackiej. Poc noszą piękno jego stylu, plastykę opisów, dzięki czemu odnajdują czytelnic tak bardzo potrzebne im poczucie bliskości z bohaterami i żywość akcji, kto ra przykuwa uwagę i pozwala na całkowite jej pochłonięcie przez rzeczyw

*) Stanowiły one badanie wstępne, tematy związane były z książką i stosunkiem do ni i miały wprowadzić młodzież w tę sferę zagadnień, jako przygotowanie myślowe do ankiet

ość książki, będącej pewną ucieczką od powszedniego życia. Jak dalece real- jest rzeczywistość Sienkiewicza świadczy fakt, że zarówno chłopcy, jak dziewczęta wymieniają pośród bohaterów, których życiorysy pragnęliby czy- — bohaterów Trylogii i innych powieści Sienkiewicza, a w Krakowie ołodyjowski zajmuje ósme miejsce w szeregu najpopularniejszych bohaterów ko upragniony temat do życiorysu)! Sienkiewicz jest autorem niesłychanie pularnym, chociaż inne książki jego i nowele rzadziej wymieniane są jako ubione, np. „Rodzina Połanieckich" i „Bez dogmatu" dopiero u najstarszych aczej u dziewcząt.

Drugie miejsce z kolei zajmuje Prus (46,2%), a książki jego najpopularniej- zajmują 8, 9, 11 i 13 miejsce. Prusem bardziej interesują się dziewczęta niż łopcy i u dziewcząt upodobanie to wyraźnie rośnie, u chłopców raczej słabn, a najsilniej występuje w grupie trzeciej (autor łatwy i prosty) i pierwszej owód wyrobienia zmysłu literatury). Stosunek młodzieży do Prusa jest nie- chanie ciepły, bliski i serdeczny, ich wypowiedzi w tej materii cechuje du- subtelnego odczucia i duża umiejętność formułowania myśli i przeżyć, co iadczyłoby o tym, że trafia on do tych czytelników przede wszystkim, któ- posiadają pewną delikatność i większe wyrobienie literackie. Młodzież mó- o prostocie Prusa, który przez swoją łatwość i właśnie ową prostotę tra- do najmłodszych nawet (a młodzież odczuwa w ogóle potrzebę rzeczy pro- ch i łatwych, nawet do pewnego stopnia „łatwizny"), a jeden z czytelni- w podnosi niesłychanie ciekawy moment, należący do kategorii argumentów erackich, mianowicie zwraca uwagę na technikę powieściową Prusa, który stawia czytelnikowi pole do wyobraźni, nie stawiając kropek nad „i" w epi- gu. Pociąga do Prusa jego stosunek do człowieka, nauka wielkiej mądrości — być dobrym, znakomita psychologia, pogoda, postawa społeczna. Nie- óre nowele Prusa, te dłuższe szczególnie, cieszą się dużą popularnością, tak o Prusie można powiedzieć, że jest autorem popularnym i autorem bardzo pularnych książek.

Na trzecim miejscu stoi Mickiewicz (41%), zarówno lubiany przez dziew- ęta i chłopców i najbardziej w grupie pierwszej, przede wszystkim i prawie łącznie jako autor „Pana Tadeusza", który znajduje upodobanie u mło- ieży, jako poemat historyczny, a w stosunku do którego nie spotkałam w wy- acowaniach niemal ani jednego argumentu natury estetycznej i literackiej. zie to w parze z małą popularnością poezji, którą młodzież uważa za oder- aną od rzeczywistości przez swą sztuczność i nie odczuwa jej należycie przez niedbane od lat budzenie wrażliwości estetycznej, którą pielęgnować powinna koła i biblioteka. Możliwość i zakres oddziaływania literatury na czytelni- w zwęża się niesłychanie przez brak silnych odczuwań artystycznych u mło- ieży, a jednocześnie pozbawia się ją w wysokim stopniu jednej z najwię- zych radości w życiu. Młodzież czuje pewne rzeczy, ale nie uświadamia ich bie. Zadaniem nauczycieli i bibliotekarzy jest zmiana tego stanu rzeczy. długim szeregu ulubionych autorów obok Mickiewicza spotykamy na 6-ym iejscu Słowackiego i na 20-ym dopiero Wyspiańskiego!

Czwarte z kolei miejsce zajmuje Rodziewiczówna (36,7%), której książ cieszą się ogromnym powodzeniem, ale prym wśród nich trzyma „Dewaj i „Lato leśnych ludzi", pozostałe pozycje, w olbrzymiej ilości 26, mają z lenników, ale powodzenie to jest bardziej rozproszone. Jest ona ulubioną torką dziewcząt, najstarszych nawet, ale w wyższych klasach zainteresowa to słabnie, natomiast we wszystkich grupach jest niemal jednakowe. Rodz wiczówna jest dla młodzieży atrakcyjna przez swą postawę moralną, pat tyzm, pogodę i wiarę w człowieka. Należy ona do najpopularniejszych au rek i można przypuszczać, że stanowi pewną namiastkę tak bardzo pożąda a właściwie nie istniejącej niemal powieści dla dziewcząt. Jeden z czytelnik w ciekawy sposób wypowiada się zresztą o stosunku do Rodziewiczówny, n nowicie uważa ją (w jednej linii z poezją) — za nieaktualną obecnie po w nie, kiedy aktualnym i dobrym powinienby być Dołęga-Mostowicz ze sw sprytem i realizmem!

Drugi po Sienkiewiczu a piąty z kolei autor historycznej powieści — to K szewski (25,5%), którego poczytność o tyle przypomina Rodziewiczównę, ogranicza się właściwie do dwóch książek: „Stara Baśń" i „Chata za ws a pozostałe 16 znajdują zwolenników, ale głosy ich są całkowicie rozproszo Jest to jednakże jeden z najpopularniejszych autorów — przede wszyst przez swoją historyczną tematykę, najbardziej przez młodzież pożądaną, łączącą urok przeszłości, wdzięk prawdziwej bajki i napięcie wspaniałej pr gody! A na dodatek popularyzujący łatwo i przyjemnie historię. Kraszew lubiany jest bardziej przez dziewczęta, najpopularniejszy w grupie trze (łatwość).

Żeromski (22,8%) zajmuje szóste miejsce z kolei (22,8%) głosów) i cie się większą popularnością wśród dziewcząt (dla swej siły uczuciowej i cz nika erotycznego) niż wśród chłopców; popularność ta rośnie z wiekiem b logicznym i społecznym (co należy raczej do zjawisk rzadkich), występu niemal jednakowo we wszystkich trzech grupach, najsłabiej w trzeciej, m dla swej społecznej postawy. Obok Sienkiewicza Żeromski jest drugim au rem, w stosunku do którego młodzież używa argumentów literackich, zach cając się jego językiem.

Siódmy z kolei Słowacki (12,4%), znacznie mniej poczytny w porówna z 6 pierwszymi autorami, cieszy się większą popularnością u dziewcząt u chłopców i u dziewcząt zamiłowanie to rośnie z wiekiem. Występuje najsilniej w grupie trzeciej, trochę słabiej w drugiej i pierwszej.

Orzeszkowa (11,3%) jest ulubioną pisarką dziewcząt, przede wszyst jako autorka „Nad Niemnem" i „Marty", przy czym wszystkie niemal utwory są bardzo lubiane, ale ustępują pierwszeństwa dwom wyżej wym nionym książkom. Najwięcej zwolenników ma Orzeszkowa w grupie drug następnie w pierwszej i w trzeciej.

Następny z kolei Karol May (10,6%) jest zdecydowanie autorem dla chł ców, jednakowoż popularność jego z wiekiem szybko maleje, najsilniej wy pując u czternasto- i piętnastoletnich w drugiej i trzeciej klasie i w dru

rzeciej grupie. Najpopularniejszą jego książką jest „Winnetou". Następne ejsce za Mayem, który jest przedstawicielem tak bardzo przez chłopców młodzież w ogóle ulubionego rodzaju powieści przygodowo-podróżniczej — jmuje Makuszyński (8,1%) i jego „Szatan z 7-ej klasy", czytany zarówno zez chłopców jak i przez dziewczęta, ale trochę więcej ma zwolenników ród dziewcząt, przy czym największe nasilenie tego zamiłowania przypada wiek 14 i 15 lat, i na grupę pierwszą, najmniej na grupę trzecią. Przedatni z dwunastu najpoczytniejszych autorów, Reymont (7,9%), jest poczyym właściwie tylko dzięki „Chłopom" i poczytność jego jako autora jest najniejsza u najstarszych i w grupie pierwszej i trzeciej i bardziej u dziewcząt, ż u chłopców. Wreszcie Kossak-Szczucka (7,6%), przede wszystkim jako torka „Krzyżowców" i „Złotej wolności", której książki są na ogół bardzo biane, popularna zarówno wśród chłopców jak i wśród dziewcząt i najrdziej w grupie pierwszej, najmniej w trzeciej i z popularnością z wiekiem snącą.

Spośród dalszych 27 autorów, których wyróżnienie jest interesujące, można worzyć kilka grup, specjalnie dla nas ciekawych. I tak grupą zasadniczą jest upa autorów powieści historycznych, najbardziej upragnionych przez młoież jako pokrzepienie, odtworzenie życia bohaterów i zbiór wzorów do popowania, jako ucieczka od szarzyzny życia, historia wojen innych, niedobnych do zmechanizowanej wojny współczesnej, obraz wspaniałej i świeej przyszłości narodu. W grupie tych autorów pierwsze miejsce zajmuje Gąrowski, przede wszystkim jako autor „Huraganu", bardzo poczytny wśród łopców czternasto- i piętnastoletnich, najbardziej w grupie pierwszej. Przyrowskim zupełnie nie interesują się dziewczęta, a wyłącznie chłopcy, baro słabo młodzież z grupy trzeciej, najmocniej z grupy pierwszej. Bardzo oddłe miejsce zajmuje Dumas (przede wszystkim „Trzej muszkieterowie"), najpularniejszy wśród młodzieży z grupy trzeciej i prawie wyłącznie u chłopw.

Książka przygodowo-podróżnicza, zaspakajająca u młodzieży potrzebę silch wrażeń i pokonywania przeszkód, jest reprezentowana wśród pierwszych denastu książek tylko przez Maya, w grupie 28-miu — przez 9 autorów, śród których pierwsze miejsce zajmuje Verne (z „Tajemniczą wyspą" i „Dzieni Kapitana Granta" na czele), najulubieńszy ze wszystkich, bo łączący pierastki fantastyczne z przygodami i podróżami. Jest on ulubieńcem chłopców lat piętnastu, przede wszystkim z pierwszej i drugiej grupy. Poza Kiplinem („Księga Dżungli" przede wszystkim), który jest najpopularniejszy w gruie pierwszej i najmniej popularny w grupie trzeciej i jednakowo wśród chłopw i dziewcząt, wszyscy pozostali, a mianowicie: Curwood, Umiński, Coor, Marczyński, Zane Gray, Mayne Reid — są najpopularniejsi u chłopców, zede wszystkim u młodszych i w grupie trzeciej i drugiej, London — w pierwej. Zastanawia mała popularność Mayne Reida, jak gdyby przestał być nodnym", a wieczna „młodość" Karola Maya! Z grupy pokrewnej — autow powieści kryminalnych — dwóch przedstawicieli wysuwa się na czoło:

Leblanc i Conan Doyle, ale miejsca mają bardzo odległe, znajdując miłośnikó tylko u chłopców i przede wszystkim w grupie pierwszej i drugiej (Con Doyle). Jedyny naprawdę poczytny przedstawiciel tak bardzo ulubionej prz chłopców powieści „lotniczej", Meissner, ma najwięcej zwolenników u mło szych chłopców i najmniej ich z grupy trzeciej.

Powieść obyczajowa — najpopularniejszy rodzaj powieści, obok powieści storycznej — reprezentowana jest m. in. kolejno przez Dickensa (z Davide Copperfield na czele), Zarzycką, Czarską, Spyri i Buyno-Arctową. Dicke przyjaciel dziewcząt starszych i przede wszystkim z grupy pierwszej, bije rekord, drugie miejsce ma Zarzycka (wyróżniona w szeregu dla swej specyfi nej „wartości") — i okazuje się, że jest autorką ulubioną dziewcząt w grup trzeciej. Czarska — znów brana pod uwagę dla swego szczególnego charakteru fascynuje dziewczęta 15 i 16-letnie w niższych klasach gimnazjum i też prz de wszystkim z grupy trzeciej. Spyri, lubiana bardziej przez dziewczęta, a również i przez chłopców, ma zwolenników tylko w grupie drugiej i w trz ciej. Wreszcie Buyno-Arctowa — jednakowo popularna u chłopców i u dzie cząt — i to u najmłodszych oczywiście i w grupie trzeciej — mimo swo znikomej wartości przetrwała jako autorka ulubiona nawet w gimnazjum! J dyny przedstawiciel poezji poza Mickiewiczem i Słowackim, Wyspiański, j najbardziej lubiany przez dziewczęta, mniej przez chłopców, i przez młodzi starszą i najstarszą i oczywiście z grupy pierwszej. Najpoczytniejszym utwore jest „Wesele", inne jego dramaty wymieniają czytelnicy tylko sporadyczn jako książki ulubione.

V

Tylko trzech jest autorów — wszyscy trzej spośród pisarzy o tematyce storycznej — którzy są popularni jednakowo u chłopców i u dziewcząt — m nowicie Sienkiewicz, Mickiewicz i Kossak-Szczucka. Specjalnie lubiani prz chłopców są wszyscy autorowie literatury przygodowo-podróżniczej, poza ty Gąsiorowski i Przyborowski; dziewczęta lubią specjalnie Prusa, Rodziewiczó nę, Kraszewskiego, Słowackiego, Reymonta, Orzeszkową, Dickensa, Wyspia skiego. W grupie pierwszej występuje przede wszystkim zamiłowanie do Pr sa, Mickiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Makuszyńskiego, Kossak-Szczucki Gąsiorowskiego, Przyborowskiego, Kiplinga, Dickensa i Wyspiańskiego a więc poza Makuszyńskim, którego tematyka jest bliska elicie umysłowej, a torowie najwybitniejsi. W grupie drugiej zarysowuje się predylekcja do Orze kowej, w grupie trzeciej do Prusa (łatwość), Kraszewskiego (to samo) i S wackiego (!). Tylko Sienkiewicz i Rodziewiczówna cieszą się równą popula nością we wszystkich grupach.

Przeglądając szereg 39 wyżej wymienionych pozycyj autorskich, gdzie prezentowani są autorowie najpoczytniejsi i najbardziej lubiani w ogóle (a jako autorowie najulubieńszych książek z wyjątkiem Reymonta) — musi stwierdzić, że 29 pozycyj odnosi się do literatury nie współczesnej, co jest d

arakterystyczne dla obecnej młodzieży, najsilniej reprezentowaną jest wśród najulubieńszych książek proza, a bardzo słabo poezja i dramat, większość anowią autorzy powieści historycznych i obyczajowych.

VI

A teraz zjawia się pytanie, jaka jest poczytność najulubieńszych książek? a pierwszych dziewięciu miejscach mamy kolejno: „Trylogię", „Krzyża- ow", „Quo Vadis", „Pana Tadeusza", „W pustyni i w puszczy", „Starą Baśń", Dewajtis", „Placówkę", „Faraona". „Trylogia" pasjonuje jednakowo chłop- w i dziewczęta i zainteresowanie to rośnie do lat szesnastu i występuje bez iększych różnic w grupach. „Krzyżacy" w podobny sposób znajdują zwolen- ków, tylko od 15-go roku życia zamiłowanie to lekko maleje. „Quo Vadis" st raczej ulubioną książką dziewcząt, bez różnic w poszczególnych grupach z tendencją zwyżkową aż do lat 17-tu. „Pan Tadeusz" lubiany jest trochę rdziej przez dziewczęta niż przez chłopców, z wiekiem zamiłowanie to sil- e rośnie, szczególnie od 15-go roku życia i bez widocznych różnic w gru- ach. „W pustyni i w puszczy" jest cztery razy bardziej lubiane przez chłop- w niż przez dziewczęta, maksimum zamiłowanie to osiąga w wieku lat 12 otem spada, ale mimo to pozostaje książką ulubioną, znajdując zwolenników zede wszystkim w grupie trzeciej, najmniej w grupie pierwszej. „Stara aśń" cieszy się popularnością u chłopców i u dziewcząt i popularność ta, ro- ąc gwałtownie do 15-tu lat, potem spada i utrzymuje się na poziomie jedna- owym, występując najsilniej w grupie trzeciej, najsłabiej w pierwszej. „De- ajtis" jest ulubioną książką dziewcząt (dwukrotna różnica), zamiłowanie to śnie do 16-tu lat, potem lekko opada, najsilniej występując w grupie pierw- ej, w drugiej i trzeciej słabiej i jednakowo. „Placówka" cieszy się powodze- em takim samym u chłopców i u dziewcząt, wzrastając w swej popularno- i do lat 16-tu, najsilniej występuje w grupie trzeciej. „Faraon" ma więcej olenników wśród dziewcząt i zamiłowanie do tej książki rośnie do 17-tu t, występując najsilniej w grupie drugiej i trzeciej.

W dalszym ciągu rozważając losy poczytności książek najpopularniejszych leży stwierdzić co następuje: „Nad Niemnem" interesuje bardzo mało chłop- w i popularność tej książki rośnie od 14 do 18 roku życia, najsilniej wy- ępując w grupie drugiej, najsłabiej w grupie trzeciej. „Lalka" posiada trzy- otnie więcej wielbicielek wśród dziewcząt niż wśród chłopców i zaintere- wanie tą książką rośnie od 14 do 18 roku życia i poprzez wszystkie klasy, jsilniej zarysowuje się w grupie pierwszej i trzeciej. „Syzyfowe prace" od- owiadają bardziej chłopcom i coraz silniej z biegiem lat, aż do 17 roku ży- a, w trzeciej grupie najsłabiej. „Anielka" znów musi być zaliczona do ulu- onych książek dla dziewcząt (czterokrotna różnica) i to aż do 16 roku ży- a występuje to zjawisko z tendencją wyraźnie zwyżkową i najmocniej w gru- e trzeciej.

„Latem leśnych ludzi" zachwycają się trochę bardziej chłopcy niż dziewczęt
i zamiłowanie to opada nieznacznie w wieku lat 18-tu, występując mocnie
w grupie pierwszej, najsłabiej w trzeciej. „Chata za wsią" znowu należy d
najulubieńszych książek dziewcząt (czterokrotna różnica), najsilniej występują
w okresie lat 13-tu i 15-tu i w grupie pierwszej, najsłabiej w trzeciej. I „Pc
pioły" też trzeba zaliczyć do ulubionych książek dziewcząt, dwukrotnie silnie
występuje to zamiłowanie u nich niż u chłopców i najmocniej w grupie drugie
najsłabiej w trzeciej. Wreszcie jako ostatnia pozycja spośród najulubieńszyc
książek z literatury „klasycznej" — „Ludzie bezdomni" — czterokrotnie silnie
interesuje dziewczęta niż chłopców, ale zainteresowanie to zaczyna się doś
późno, bo dopiero w 15-tym roku życia i maksimum osiąga w wieku lat 18-t
i w II licealnej, najsilniej zarysowując się w pierwszej grupie, najsłabi
w trzeciej.

Ostatnie sześć książek, które należałoby tutaj zanalizować — to „klasycz
ne" książki młodzieżowe, których przetrwanie, jako książek ulubionych aż d
gimnazjum jest niesłychanie charakterystyczne i ciekawe, tym bardziej ż
są to książki stare. I tak „Robinsonem Cruzoe" interesuje się minimalny od
setek dziewcząt i raczej tylko chłopcy do lat 14-tu, najwyżej w 1 klasie gimna
zjalnej i najwięcej w trzeciej grupie, to samo zupełnie można powiedzie
o „Duchu Puszczy" Anczyca. „Młody wygnaniec" Zaleskiej nie różni się n
czym od dwóch poprzednich książek, tyle tylko, że najsilniej występuje jeg
poczytność w drugiej grupie. „Chata Wuja Toma" czytana jest z zamiłowa
niem podobnie, jak poprzednie książki, tylko w grupie pierwszej nie wyst
puje wcale. „Serce" Amicisa, jako książkę ulubioną, spotykamy tylko u chłop
ców i to aż do lat 16-tu i we wszystkich grupach. Dopiero „Historia żółt
ciżemki" Domańskiej interesuje i chłopców i dziewczęta w 13 roku życia na
więcej i w grupie trzeciej.

Z powyższego zestawienia 17 najulubieńszych powieści widać, że należą on
wszystkie do literatury polskiej, „klasycznej", nie współczesnej, 7 pozycji do
tyczy powieści historycznej, 9 powieści obyczajowej, 1 — powieści przygodo
wo-podróżniczej. Najsilniejszą pozycję mają jednak powieści historyczne, gdy
zajmują cztery pierwsze miejsca.

VII.

Na podstawie przeszło dwustu wypracowań, z których większość miała z
temat: „Dlaczego czytam", względnie „Dlaczego lubię czytać"[1]), inne zaś do
tyczyły ulubionych autorów, ulubionych książek, upragnionego księgozbior
własnej biblioteczki, czy wreszcie książek, do których się powraca[2]) — można
w pewnym zakresie scharakteryzować stosunek młodzieży do książki, jej wy

[1]) Patrz str. 6. Wypracowania te zostały udostępnione Instytutowi Badania Czytelnictw
przez dr Bielaka z materiałów konkursu na wypracowanie, zorganizowanego przez Świę
Oświaty w dniach 1—3 maja 1946.
[2]) Patrz str. 6.

CZESŁAW RZEPIŃSKI: PEJZAŻ

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

magania w tym względzie i nadzieje i oczekiwania z książką związane. Jest to niejako dopełnieniem obrazu poczytności, wyjaśnieniem szeregu zjawisk z tej dziedziny i ciekawym przyczynkiem do psychologii wieku młodzieńczego.

Duży procent wypracowań stanowią wypowiedzi szczere, żywe, o cechach indywidualnych, a nawet o wielkiej śmiałości i niezależności. Inne natomiast są często zbiorem komunałów, zdań zasłyszanych w domu, szkole, czy przeczytanych w prasie, są poniekąd zdawkowym wyjawieniem przeciętnych sądów i przeżyć. Jednakże pod pokrywką niektórych spośród nich daje się wyczuć coś więcej, co jednak, przez brak umiejętności w formułowaniu przeżyć i myśli o rzeczach abstrakcyjnych, nie może znaleźć wyrazu w słowach. Zresztą są i tacy, którzy wręcz stwierdzają, że nie umieją odpowiadać na pytania: „Dlaczego czytam" czy „Dlaczego lubię czytać", ponieważ jest to pytanie dotyczące rzeczy najintymniejszych, rzeczy zarazem prostych, a jednak bardzo trudnych, z dziedziny spraw powszednich, to jest takich, o których nie myśli się pod kątem wypowiadania ich na piśmie.

Jest rzeczą znamienną i ciekawą, że spotykamy szereg wypowiedzi, w których młodzież uwzględnia linię rozwojową swojego stosunku do książki, pisze dużo o pierwszych wspomnieniach z książką związanych i o zmianach, jakim ten stosunek podlegał, kilkakrotnie wspomina o książce, która stanowiła przełom w życiu i o tym, czym była w czasie okupacji i jaka w związku z tym powinna być teraz. Ewolucja stosunku do książki nie u wszystkich wygląda jednakowo. Przytoczenie kilku przykładów pozwoli na ogólną orientację i wyodrębnienie punktów stycznych. I tak zdarza się, że na początku stosunek do książki wypływa z nakazu, a potem dopiero nabiera cech stosunku opartego na przyjemności, a następnie z kolei przekształca się na współżycie z książką — pomimo przeszkód i trudności dzięki temu tylko, co w niej tkwi i czym ona jest w swej istocie. W innym wypadku pierwsza książka — to bajka, zaspokojenie potrzeb uczuciowych i fantazji, potem zjawia się stosunek krytyczny — rozczarowanie na skutek konfrontacji i zetknięcia z życiem, następnie poszukiwanie w książce tylko elementów estetycznych (a więc w dalszym ciągu stosunek wyłącznie uczuciowy), wreszcie na końcu — dążenie poprzez książkę do wiedzy, jako przejaw osiągnięcia już większej dojrzałości wewnętrznej. W wielu wypadkach młodzież podkreśla bardzo zdecydowanie, że pierwszy okres stosunku do książki cechuje gwałtowne, niemal bez pamięci pochłanianie jej — bez względu na jakość. Potem dopiero następuje potrzeba i możliwość selekcji, wyboru z różnych punktów widzenia i różnymi sposobami. I tak w pewnych wypadkach rozpoczyna się to od smakowania książki (postawa estetyczna i w dalszym ciągu uczuciowa) i poprzez rozważania, które stanowią podłoże do wyrabiania się intelektualnego, dochodzi młodzież do postawy krytycznej, wartościującej, do analizy treści i poglądów. Dzięki temu osiąga wyższy stopień wyrobienia zarówno intelektualnego jak i estetycznego. Dalszym etapem tego jest świadomy dobór lektury pod kątem widzenia intelektualnym, uczuciowym i estetycznym, zakończenie definitywne okresu

„połykania" książek, a początek i pierwsze próby twórczej krytyki własnej, uzupełnianej i pogłębianej krytyką innych. Okres pierwszy we wszystkich niemal wypadkach cechuje przewaga elementów uczuciowych i czynnika fantazji, książka jest światem odrębnym, oddalonym od życia, a czytanie bywa instynktem, nałogiem, przyzwyczajeniem, naśladownictwem nieraz, potem dopiero staje się świadomie źródłem odpowiedzi na pytania: co i dlaczego, zaspokojeniem pierwotnej (a potem głębszej) ciekawości — aby wreszcie stać się najszerszym i najbardziej dostępnym sposobem zetknięcia się z materiałem poznawczym, zbiornicą wiedzy. W tym momencie książka zaczyna służyć już do nauki (nie w pojęciu szkolnym i nie jako podręcznik), daje rozkosz pokonywania trudności myślowych, pozwala na budowanie światopoglądu na podstawie krytycznego stosunku do treści. Wskutek tak kształtującej się postawy wewnętrznej wobec książki różne są typy książek, po które młodzież kolejno sięga: najpierw więc bajka, potem książka podróżnicza i historyczna, owa bajka prawdziwa, wreszcie książka zawierająca „wiedzę", jak oni sami ją nazywają, tzn. książka popularno-naukowa, już poważna i konkretna, bliższa książce naukowej niż literaturze pięknej.

Elementem przeważającym w życiu psychicznym młodzieży jest element uczuciowy i to samo przejawia się i w stosunku do książki. Przeżycia kategorii emocjalnej są decydujące w tej dziedzinie i stanowią tło i klimat, w którym rozwija się współżycie z książką. Należy jednak bardzo dokładnie rozgraniczyć świat uczuć w ogóle od świata uczuć estetycznych, gdyż ta dziedzina jest dla młodzieży stosunkowo obca i tylko w niewielu wypadkach przejawia się wyraźnie i świadomie wobec książki. Przyjemność, rozkosz z obcowania z książką opiera się na szeregu czynników: na możliwości przeżywania tego samego co bohaterowie, na współczesności w doznawaniu tego, co jest ich udziałem, na wstrząsach uczuciowych, które wywołuje książka, na tym, że ona uczuciowo porywa, zagarnia, na widzeniu rzeczy opisywanych (tutaj radość płynie albo z aktywności wyobraźni, albo też może z cech rzeczy widzianych, a więc z ich piękna i tu byłby jeden motyw natury estetycznej). W jednej z wypowiedzi spotykamy nieudolne, ale rzeczywiste i istotne ujęcie pojęcia katarsis, przeżywanego wyłącznie w stosunku do „klasycznej" literatury pięknej.

Źródłem przyjemności w obcowaniu z książką jest nieraz sam proces czytania, a także to, że jest ona realizacją marzeń, uzmysłowieniem tego, co się wydawało tylko snem i fantazją.

Aczkolwiek życie uczuciowe ma znaczenie decydujące dla młodzieży i stanowi ono podłoże jej stosunku do książki w ogóle, a przede wszystkim w pierwszym jego okresie, to jednak na dnie tego stosunku leżą często czynniki niemal pierwotne, które choć stanowią właściwie zjawiska wtórne, następcze szeregu oddziaływań świadomych i nieświadomych, mają wszelkie cechy instynktu, działania pod wpływem praw biologicznych. Mianowicie w szeregu wypowiedzi spotykamy się z wyznaniem, że czytanie jest koniecznością, chlebem powszednim, czymś nieodzownym, punktem szczytowym życia, jego składnikiem podstawowym, konieczną funkcją organizmu(!), że wreszcie

książka „przezwycięża przymus", tzn. mimo że istnieje nakaz, nawet przymus czytania w szkole i poza szkołą — to jednak czytanie jest rozkoszą i czynnością dobrowolną!

Wypowiedzi na temat dostrzegania, świadomego doznawania piękna są bardzo skąpe i występują dopiero właściwie u starszej młodzieży i u nielicznych wyjątków. Jako piękna oceniana jest właściwie tylko poezja, rzadko bardzo proza, może dlatego, zgodnie z jedną z wypowiedzi, że fabuła zabija piękno, nie pozwala na obcowanie z nim, zmusza do zwrócenia całej uwagi na to, co się dzieje, a nie na słowo i obraz. Jednakże słowo ma duże znaczenie. Wiele z wypracowań zawiera wyznanie, że książka jest nauką dobrej i pięknej mowy, poprawnego wysławiania się na piśmie i wzbogaca język. W opinii tej widać duży wpływ szkoły, czasami mechaniczne powtarzanie zasłyszanych zdań i wskazówek, jednak w wielu wypadkach wyczuwa się, że jest to szczere przekonanie młodzieży, a zresztą życie i obserwacje potwierdzają to. Poezja — najdoskonalszy a często jedyny przejaw piękna dla młodzieży w literaturze — jest także możliwością wyżycia się uczuciowego, szczególniej dla dziewcząt.

Młodzież wiąże z książką m. in. to, że wywołuje ona silny wstrząs uczuciowy. Skala tych wstrząsów jest bardzo rozległa i, zależnie od poszczególnych typów psychicznych czytelników, te albo inne kompleksy uczuciowe odgrywają inną rolę. Jeden jest jednak zespół przeżyć emocjonalnych, który jest bardzo charakterystyczny dla obecnej postawy młodzieży i jest w ścisłym związku z ogólnym charakterem jej obecnych zamiłowań i jej czytelnictwa, mianowicie potrzeba tak silnego przekonania o realności i bliskości rzeczywistości literackiej, aby zasłoniła i zastąpiła rzeczywistość prawdziwą. Potrzeba plastyczności opisów, żywości akcji, siły sugestywnej treści i jej ujęcia, pochłaniającej całą uwagę bez reszty — jest charakterystyczna dla młodzieży w ogóle, dla jej tęsknoty za silnymi wzruszeniami i mocnymi wstrząsami. Jednak motywy, czemu właśnie obecnie jest to tak upragnione i pożądane, odsłaniają pewne przeobrażenia i dyspozycje (raczej nabyte, niż trwałe), które świadczyć mogą o silniejszym i bardziej destruktywnym wpływie wojny i okupacji, niż jesteśmy skłonni przypuszczać. Mianowicie w wielu bardzo wypowiedziach spotykamy następujące wyznania: książka jest ukojeniem, zapomnieniem, pocieszeniem, książka stanowi inny świat, w którym się ż y j e (a więc świat realny), realność świata książki jest silniejsza, niż rzeczywistości, ciekawsza, piękniejsza, całkowicie odrębna, książka jest ucieczką (wypowiedź bardzo częsta), daje to, czego nie ma w życiu, jest ochroną przed nim, jest ciszą i odpoczynkiem, jest wytchnieniem moralnym i złudą, która przesłania rzeczywistość, jest wreszcie realizacją, a więc konkretnym urzeczywistnieniem rzeczy niemożliwych, jest czymś co pochłania bez reszty, choć nie musi bynajmniej dotyczyć wytworów fantazji.

Ta postawa ma w sobie dwa momenty ciekawe i o dużym znaczeniu. Mianowicie wskazuje na niesłychaną siłę sugestywną literatury, nadto, jak subtelnym i obdarzonym nieograniczonymi możliwościami narzędziem oddziaływania jest i może być książka. Z drugiej strony odsłania pewne nastroje w psy-

chice młodzieży, które jej każą szukać ucieczki, zapomnienia, otuchy, innego, odrębnego świata, który by zasłonił codzienność, odsunął troski i smutki. Ta strona psychiki młodzieży — to memento — dowodzi, że zmęczenie wojną jest i nie minęło jeszcze, że rzeczywistość nie ukazała dotąd młodzieży w dostatecznym stopniu swojego atrakcyjnego i właściwego oblicza, że stan powojenny trwa i wymaga bacznej uwagi i natychmiastowego działania, aby te nastroje okazały się tylko dyspozycją nabytą i przejściową, a nie trwałą. Sądzę, że w tym właśnie zakresie rola książki i odpowiedniego organizowania czytelnictwa stanowić może jeden z najskuteczniejszych i najwłaściwszych środków zaradczych.

Właściwie prowadzone czytelnictwo — zarówno w zakresie polityki wydawniczej, jak i upowszechniania książki — musi uwzględniać postawę czytelników, ich nadzieje i pragnienia, ale także musi się liczyć z motywami sięgania po książkę, z bodźcami, które stanowią o tym, że jest ona potrzebna i uznana za pożyteczną, przyjemną, wartościową i konieczną. Niewątpliwie jednym z takich motywów jest wyżej wspomniana potrzeba odgraniczenia się od rzeczywistości, znalezienia odrębnego i fascynującego świata fikcji, (opierającego się wprawdzie na wątkach rzeczywistych), ale jednak świata dla młodzieży realnego. Nie jest to wszakże jedyny motyw i jest ich w zasadzie wiele i bardzo różnorodnych. Młodzież wspomina o nich często i z dużą dozą szczerości i bezpośredniości.

Do motywów o charakterze zewnętrznym i raczej powierzchownym należy zaliczyć: naśladownictwo, chęć dorównania starszym, dodania sobie powagi, snobizm, dążenie do „wykazania się" wobec kolegów czy nauczycieli, zdobycie tematu do rozmowy, zabicie czasu, wreszcie przyzwyczajenie. Motywy również natury zewnętrznej, narzucone przez innych — to przymus i obowiązek, pierwszy działa za pomocą pewnego rodzaju przemocy, drugi — zawiera już pewną dozę podporządkowania się i zgody wewnętrznej, ale nie jest czymś spontanicznym i bezpośrednim tak, jak będą nim dalsze motywy sięgania po książkę, o których młodzież wspomina w swych wypracowaniach. Mianowicie jednym z motywów głównych i najgłębszych jest ciekawość, instynktowna, wrodzona ciekawość wieku młodzieńczego, która jednak jest jakby pierwszym stopniem zaciekawienia, drugi bowiem stopień stanowi potrzeba wiedzy, pęd poznawczy. Ciekawość dotyczy raczej faktów, zjawisk, całej strony anegdotycznej książek — potrzeba wiedzy, pęd poznawczy zmierza ku wyświetlaniu istoty zjawiska, ustalaniu praw, wyciąganiu wniosków ogólnych. Młodzież świadomie odróżnia te drugie odmiany motywów i każdy z nich dominuje w innym okresie życia: ciekawość odnosi się raczej do młodszej młodzieży, potrzeba wiedzy, pęd poznawczy spotykamy właściwie dopiero u starszych i to znacznie rzadziej. Materiał poznawczy, który jest w książkach dostępny, klasyfikuje młodzież w sposób dosyć prosty: poznawanie ludzi, ich psychiki, rozwiązywanie zagadki człowieka, następnie poznawanie życia, to jest zdobywanie pewnej swoistej mądrości, nabywanie doświadczenia! Wreszcie ta postać poznawania, którą młodzież nazywa zdobywaniem wiedzy, to jest

zdobywanie zasobu wiadomości o charakterze naukowym, czerpanych z literatury popularno-naukowej, podczas gdy tamto poznanie ludzi i życia ogranicza się przede wszystkim do przeżywania i analizowania literatury pięknej. Widać z tego, że młodzież usiłuje ściśle oddzielić znaczenie i rolę poszczególnych gałęzi piśmiennictwa i że stosunek jej do tych zagadnień jest świadomy i nie powierzchowny.

Odrębną odmianę motywów stanowią motywy natury emocjonalnej: potrzeba przeżywania rzeczy przyjemnych, upodobanie w czytaniu, głód wrażeń, wreszcie pewność, że w książce znajdą najlepszą pożywkę dla wyobraźni, a także ideał i wzór wychowawczy. Do kategorii motywów emocjonalnych należy również zaliczyć te wszystkie czynniki, które czynią z książki drogę do zapomnienia o troskach i odnajdują w niej inne, lepsze życie.

Te wszystkie motywy i postawa, z której one wynikają, odnoszą się raczej do biernego, intymnego niejako spożytkowania utworów literackich przez młodzież, czytelnik jest tutaj odbiorcą, który przeżywa, dowiaduje się, otrzymuje odpowiedź, któremu jest przyjemnie, zacisznie, bezpiecznie, który marzy i rozkoszuje się silnymi wrażeniami albo doznaje wstrząsów uczuciowych. Na tym jednak nie wyczerpuje się stosunek młodzieży do książki. Młodzież zdaje sobie sprawę, że dzięki książce osiąga pewne korzyści o charakterze twórczym, że za pośrednictwem książki następują trwałe zmiany w jej psychice i umysłowości. I tak książka stanowi dla nich środek do wyrabiania się myślowego, do tworzenia światopoglądu, osiągania postawy krytycznej, jest impulsem i źródłem siły do działania, uczy obserwacji, studiowania, szperania, dążenia do wszechstronnego oświetlenia zjawisk i zagadnień, jest wreszcie sportem umysłowym, daje rozkosz pokonywania trudności myślowych. Ta ostatnia wypowiedź nie jest częsta, gdyż młodzież raczej żąda rzeczy prostych, łatwych, przystępnych i popularnych i stroni od zbytniego wysiłku intelektualnego. Fakt, że istnieje jednak potrzeba pokonywania przeszkód myślowych, jest objawem bardzo dodatnim. Natomiast zbyt łatwe przyswajanie treści książek prowadzi nieuchronnie do powierzchownego przeżywania, odczuwania i myślenia.

Stosunek do książki nie dotyczy tylko jej treści, dotyczy także jej autora i jej strony zewnętrznej. Kilkakrotnie zjawia się wśród wypowiedzi młodzieży zdanie, że dużą siłę atrakcyjną w książce stanowi nie tylko jej treść sama w sobie, ale poznawanie za jej pośrednictwem autora, jego poglądów i psychiki, nawiązanie bliskiego i bezpośredniego niemal kontaktu między nim a czytelnikiem. Z drugiej strony ciekawą jest wypowiedź jednego z czytelników, że nazwisko autora (nie mówiąc już o recenzjach) wywiera zgubną sugestię i uniemożliwia obiektywną ocenę i sąd. Potrzeba autentyzmu u młodzieży, to wiecznie zjawiające się pytanie: „Czy tak było naprawdę?" sprawia, że jeden z czytelników uznaje za wartościowe i rzeczywiście ciekawe tylko te książki, które autor pisze o czasach, ludziach i rzeczach sobie współczesnych!

W równie ciekawy sposób mówi młodzież wielokrotnie o stronie zewnętrznej książki. Mianowicie podkreśla jej — w gruncie rzeczy — niepozorny wy-

ląd — rzędy drobniutkich czarnych znaczków na białym tle — jako „no-icieli" tych wszystkich wartości i bogactwa, jakie książki zawierają. Ta obser-vacja dowodzi chyba bardzo głębokiego stosunku uczuciowego do książki, ewnego rozrzewnienia i roztkliwienia na jej widok, posiada cechy szczerego żywego sentymentu.

Motywem, który przewija się w większości wypracowań, jest ocena książki ako środka poznania rzeczy odległych w czasie i przestrzeni i oparcie na tej asadzie głównego podziału większości książek na historyczne i podróżnicze. Te dwa typy piśmiennictwa najlepiej zaspakajają ciekawość młodzieży, potrze-ę tworzenia odrębnego, fascynującego świata, dostarczają łatwych i potrzeb-ych wiadomości, są zbliżone tematycznie do przedmiotów nauczania (histo-ia i geografia). Młodzież uważa książkę za uzupełnienie tego, co daje szkoła dom, a jednocześnie za pomoc w nauce szkolnej i włącza do tego zarówno siążki popularno-naukowe jak i beletrystykę. Beletrystyka przez swą pla-tyczność i umożliwianie silnych, uczuciowo ugruntowanych skojarzeń stanowi edług nich nieocenioną pomoc w nauce historii czy geografii, jest ilustracją popularyzacją szeregu zagadnień. Głębokie związanie i sentyment do książki yraża się w pragnieniu rehabilitacji podręczników i stworzenia z nich książ-i równie lubianej jak inne.

Jest rzeczą nieuniknioną, aby młodzież nie powtarzała mniej lub więcej bez-myślnie opinii i ocen starszych, ale jest równie naturalne, aby wobec niektó-ych poglądów i stanowisk nie zajmowała postawy negatywnej i nie zacho-ywała się przekornie. Tego rodzaju nastroje występują również i w wypo-iedziach na temat stosunku do książki. Młodzież wspomina o książkach do-rych i złych, o znaczeniu pierwszych i bezwartościowości drugich, ale nie kreśla bliżej, co ma na myśli pod terminem „książka zła". Najprawdopodob-iej chodzi tu o książkę przeciętną, o miernej wartości literackiej. Natomiast edna wypowiedź jest pod tym względem bardzo ciekawa i oryginalna. Mia-owicie jeden z chłopców z gimnazjum wspomina o tym, że nie ma książek łych, gdyż przeczytanie książki złej jest ostrzeżeniem przed tego rodzaju wy-lawnictwami, jest zdobyciem doświadczenia, które pozwala na zajęcie posta-wy czynnej, na wyciągnięcie praktycznych wniosków na przyszłość. Różni-ę zdań między młodzieżą a starszymi spotykamy w opinii jednej z dziewcząt liceum (wypadek sporadyczny zresztą) o literaturze erotycznej. Uważa ona en typ literatury i te wątki i motywy za konieczne i pożądane, gdyż są wy-razem naturalnych zainteresowań i popędów młodzieży i jasno wypowiada ię o zgubnych skutkach zakazów, które prowadzą tylko do czytania tego ty-pu książek w ukryciu i do wyboru miernot pod względem treści i formy.

Stosunek do książki jest pełen prawdziwego i głębokiego sentymentu, wyczu-va się, że jest bliski i bezpośredni i nieraz wyraża się w bardzo subtelnych formułowaniach I tak jeden z chłopców wspomina, że książka właściwie nie zaspakaja, ale budzi coraz inne tęsknoty i pragnienia, podnieca ciekawość i po-rzebę czytania. Z całą wnikliwością stwierdzają też, że czytanie treści i czy-

tanie „prawdziwe" — to dwie zgoła różne rzeczy, obydwie pełne uroku, al
o odmiennej wartości.

Książka jest niewątpliwie dla młodzieży przyjemnością, odpoczynkiem, mło
dzież pragnie znaleźć w niej m. in. ład i pokrzepienie, happy end, spokój, cisz
Inni jednak tęsknią do wyjaśnienia dręczących ich zagadek (do zagadnień rel
gijnych włącznie), tajemnicy ostatniej wojny i chwili obecnej, domagają si
książki o realnej prawdzie i zachowującej i uwzględniającej doświadczeni
ubiegłego okresu. Jest to w ścisłym związku z występującą silnie (szczególni
u starszej młodzieży), przede wszystkim w stosunku do Prusa i Żeromskieg
Rodziewiczówny i Sienkiewicza, potrzebą kształcenia charakterów, szukani
prawdy życiowej. Młodzież stwierdza, że ideały i wskazania Prusa i Żerom
skiego już nie wystarczają, potrzebne są im jeszcze i nowe, obok tych dawnyc
i znanych. Nie dość na tym, niezależnie od potrzeby pogody i spokoju pragn
gorąco humoru, który odnajdują w Makuszyńskim i Nowakowskim, w Prusi
i Sienkiewiczu i którego zawsze jest im mało. Wymagają i pragną wiele i w ca
łej pełni zdają sobie sprawę z tego, co tkwi w książce z osiągnięć i docieka
całej ludzkości i z tego, że właśnie nic innego nie udostępnia i nie zbliża ta
prosto i łatwo tych wszystkich wartości jak książka.

KAZIMIERZ WYKA

ROMANTYCZNA NOBILITACJA POWIEŚCI

Czytelnik lub krytyk roku 1900 zapytany, jaki jest górujący gatunek literacki, odpowie bez wahania, że powieść. Czytelnik roku 1800 o to samo zapytany, będzie zapewne wymieniał różne gatunki literackie, ale powieści jego miejsca nie przyzna. Powieść zatem dopiero w ciągu XIX wieku zdobyła swoje obecne stanowisko w systemie gatunków literackich, a rozważania poniższe będą stanowiły próbę odpowiedzi, kiedy się to stało i w wyniku jakich okoliczności. Ale genealogia powieści jako panującego dzisiaj gatunku literackiego posiada pewne szersze i bardziej w przeszłość sięgające perspektywy.

Przede wszystkim genealogia ta jest bodaj że najmniej opracowana w polskiej nauce o literaturze, mimo że istnieją cenne prace, dotyczące poszczególnych ogniw rozwoju powieści. Zachodzi tu paradoksalne zjawisko: oto np. dzięki pracom prof. J. Krzyżanowskiego („Romans pseudohistoryczny w Polsce XVI wieku", „Romans polski w XVI wieku") doskonale wiemy, jak wyglądała dawna powieść straganowa, uprawiana przez drugorzędne pióra i takim samym gustom odpowiadająca, całkiem zaś nie wiemy, jakim prądom powieść w ogóle zawdzięcza obecne swoje miejsce. „Historia powieści" Wojciechowskiego tych zadań nie spełnia, raczej za to dobrze (i mimo woli, nawiasem mówiąc) wskazuje na przyczyny zjawiska, któreśmy co dopiero stwierdzili: nawet literatura polska posiada w dziedzinie powieści dorobek tak obfity, że historycy literatury, począwszy pracować na jednym pokładzie, odkrywają oraz to nowe jego odgałęzienia. Odkrywają szczególnie w bliższych nam okresach, nie bardzo pamiętając, kiedy ten pokład cały powstał.

Na tym rozdrobnieniu badań najbardziej ucierpiała genealogia powieści w dobie romantyzmu. Znów rzecz zrozumiała, dlaczego: romantyzm uchodzi za prąd przede wszystkim liryczny, indywidualistyczny oraz idealistyczny. Te zaś reprezentatywne swoje właściwości romantyzm realizował w formach poetyckich, a nie prozaicznych. Ponadto formą, w jakiej romantyzm dokonywał na Zachodzie swej głównej rewolucji, była tragedia, za odkryciem wzoru szekspirowskiego przetwarzana z tragedii pseudoklasycznej w tragedię romantyczną. Dość wspomnieć Viktora Hugo i jego przedmowę do „Cromwella".

Tymczasem romantyzm, jeżeli chodzi o gatunki literackie, dokonał podwój-nej rewolucji. Pierwszej, której ostrze wymierzone jest w normatywizm pseu-doklasyków i dawnych poetyk (do czego za chwilę powrócimy), drugiej, która się wyraża w fakcie, że w nowym układzie gatunków, wbrew świadomym za-łożeniom, wbrew czysto literackiemu programowi romantyzmu, głównym spad-kobiercą, i nie tylko spadkobiercą, ale i wyrazicielem jego zdobyczy okazała się powieść. Sprawa ta nie jest tak wyraźna na tle literatury polskiej jak na tle literatur zachodnich, ale i tutaj można prześledzić jej wyraźne objawy. Tym objawom oraz ich znaczeniu pragnę poświęcić niniejsze uwagi.

Stwierdzić należy, że zrozumienie dla postawionego tutaj problemu poja-wia się u historyków literatury całkiem niedawno. Jedyny Albert Thibaudet w bilansie romantyzmu zestawionym w jego pośmiertnej „Histoire de la littérature française de 1789 à nos jours" twierdzi, że „romantyzm jest rewolucją literacką nie tyle dzięki liryce i teatrowi, ile powieści. Nie było wielkiego pi-sarza, wielkiego poety romantycznego, który by nie uważał za swój obowiązek złożyć ofiary nowemu bóstwu, który by za jego pośrednictwem nie pragnął roz-głosu. Vigny, Hugo, Musset, Lamartine, nie posiadając głębszych w tej dzie-dzinie uzdolnienień pisali powieści, ponieważ kierunek romantyczny tego wy-magał. Sukces romantyzmu był zupełny, droga była wolna jedynie w dwóch rodzajach literackich: liryka i powieść".

Można by takiemu twierdzeniu zarzucić, że jest słuszne tylko w kraju Bal-zaca, Stendhala, George Sand, gdzie z największego poety-romantyka zna się za granicą przeważnie powieści, — naciągane zaś w Polsce, gdzie pierwsze pokolenie romantyków, generacja trzech wieszczów, Mochnackiego, filozofów romantycz-nych, jest generacją wybitnie poetycką, która w swym składzie liczy tylko jed-nego powieściopisarza: Czajkowskiego. A jednak... Spróbujmy się rozpatrzeć w kształtach przybieranych przez powieść w Polsce w pierwszych dziesiątkach XIX stulecia, zobaczymy, że twierdzenie Thibaudeta także i u nas otwiera ważny aspekt romantyzmu.

Czym była powieść przed romantyzmem i czym się staje na przedpolu tego prądu? Historię powieści jako odrębnego gatunku zwykło się rozpoczynać od starożytności. „Metamorfozy" Apulejusza, „Satyricon" Petroniusza stawiane są w ten sam szereg rozwojowy, co powieść współczesna. Na setki lat przed romantyzmem powieść wydaje takie dzieła jak „Gargantua i Pantagruel", jak „Don Kichot". A i w Polsce powieść, przede wszystkim w XVII wieku, może się poszczycić znakomitymi skądinąd piórami — Samuel Twardowski, Wacław Potocki, Hieronim Morsztyn. Mimo to cały ten rozwój odbywa się na marginesie literatury oficjalnej; w zespole form, po jakie wolno sięgnąć sza-nującemu się pisarzowi, powieść nie istnieje. Poetyki normatywne, chociażby „L'art poétique" Boileau i „Sztuka rymotwórcza" Dmochowskiego dostarczają szczegółowych przepisów dotyczących np. sielanki, elegii, trenu, a o powieści w ogóle nie wspominają. Krasicki dla celów praktyczno-dydaktycznych nie zawaha się posłużyć powieścią, jednakże i on w teorii tego gatunku nie uznaje.

Ta nieobecność powieści w oficjalnej poetyce posiada swoją dosyć ciekawą

mowę oraz historię, której warto króciutko się przyjrzeć. Fakty tej historii należą do literatury polskiej, której wówczas — będziemy mówić o XVI XVII wieku — daleko do teoretycznych rozważań nad powieścią. Mimo to arto po nie sięgnąć, stanowią bowiem one najdalszą w czasie zapowiedź spo- w na temat powieści, które rozgorzeją, kiedy ten gatunek w XIX wieku po- nie zwyciężać. Oto we Włoszech XVI wieku, kiedy prawidła poetyki Ary- telesa stały się szerzej znane, przed krytyką stanął problem, jak uzgodnić nienie powieści z treścią prawideł Arystotelesa, nie obejmujących powieści ko odrębnego gatunku. Chodziło przede wszystkim o „Orlanda Szalonego" iosta. Powieść nie mieściła się w regułach dotyczących epopei, brakowało ku temu jedności.

Powstały dwa obozy, jeden rygorystyczny, za ten brak zgodności z Arysto- esem odmawiający powieści praw do dzieła sztuki, drugi przekładający fakt nienia i powodzenia powieści nad tę zgodność. Przedstawicielem rygory- rcznej postawy został głównie Sebastiano Minturno w swej „Arte Poetica" 564). Argumentował tym, że powieści skromne swoje powodzenie zawdzię- ają tylko uważaniu żywionemu dla ich twórców, ich pewnemu autorytetowi, ten w kwestii tak zasadniczej, jak sprawa miejsca powieści w systemie ga- nków literackich nie może się równać z powagą Arystotelesa i Horacego. ociaż znaleźli się przeciwnicy tego stanowiska dowodzący, że w takich wąt- wych wypadkach powagą jest sam twórca i jego dzieło, a nie krytyk-pra- odawca, chociaż kończący spór Torquato Tasso („Discorsi dell'arte poetica n particolare del poema heroico", 1587) przechylił się na stronę przeciwni- w rygoryzmu — spór do Francji XVII wieku i jej poetyki normatywnej zeniósł się nierostrzygnięty.

Więcej — chociaż dla Tasso powieść pomieści się w obrębie poetyki Arysto- esa, jeżeli tę poetykę pogłębić i należycie zinterpretować — nie pomieści się n dla Boileau, którego „Sztuka poetycka" będzie urabiać smak i sądy. Boileau ał we Francji przeciwników przede wszystkim w arcybiskupie Avranches anielu Huet i jego rozprawie „Essai sur l'origine des romans" (1670), mimo jego stanowisko przeważyło w sądach, choć nie w praktyce twórczej. Boileau „L'art poétique" nie wspomniał o powieści ani słówkiem. Nie ograniczył jednak do walki przez przemilczenie. Napisał przeciwko powieści ironicz- pamflet, zrazu rozpowszechniany tylko w odpisach — „Les héros de ro- an". Napisał na kilka lat wcześniej, nim zasiadł do swej „Sztuki poetyckiej". mysł tego dialogu wzorowany jest na „Rozmowach umarłych" Lukiana, ale dmiarem dowcipu nie grzeszy. Oto przed Plutonem i sędziami podziemia awiają się głośne postacie historii, jak np. Cyrus, Horatius, Cocles, chętnie prowadzane przez ówczesną powieść francuską, a przemawiające podobnie dniosło-sentymentalnym językiem, jakim każe się im posługiwać głównie nna de Scudéry. Karta czułości rozwijana przed oczyma zdumionego Plu- na wygląda zabawnie, w ogóle cały czułostkowy i konwencjonalny sposób cia romansowego okazuje się niedopasowany do tych osób — Boileau z iro- ą to podkreśla, z tej właśnie ironii czyniąc cel swego pamfletu.

Ale ta rozprawa była zarazem pewną autoterapią. Dopiero w kilkadziesi lat po jej powstaniu Boileau do tego się przyznał. „Byłem jeszcze całkie młody, kiedy wszystkie te powieści, tak panny de Scudéry jak Calprenède i wszelkich innych, cieszyły się wielkim rozgłosem, czytywałem je, podobn jak wszyscy, z wielkim podziwem i uważałem za arcydzieła naszego język Kiedy mi jednak przybyło lat i kiedy rozum otwarł mi oczy, rozpoznałe całe dzieciństwo tych dzieł". O tych młodzieńczych grzechach Boileau nie sł szeli najpewniej późniejsi obrońcy powieści — w każdym razie na ślady t kiej wiedzy u nas nie natrafiłem. Bo chociaż odwołane, grzechy te świadczył że nie masz, ktoby się mógł ustrzec działaniu powieści.

Tak więc przedromantyczne objawy istnienia powieści nie tyle należą jej historii jako gatunku świadomego i znającego swe prawa, ile raczej skł dają się w tym względzie jakby na prehistorię. Nie znaczy to naturalnie, aż by powieść w jej wszelakich dawnych wydaniach nie była powszechnie czyt wana. Najlepszym tego dowodem — obok zupełnego nieraz zaczytania st rych romansów — są zbyt liczne jak na nieuznawany gatunek literacki skar na jego zgubne działanie. Większość tych skarg przytacza Chmielowski w ro prawie „Poglądy na powieść", zamykającej jego „Dzieje krytyki literacki w Polsce". Ton owych skarg najlepiej poddają słowa Jana Śniadeckiego p sane na marginesie „Malwiny" ks. Wirtemberskiej: „W romansach... zmyślo przypadki świata, żywo zazwyczaj odmalowane, rozwalniają i zapalają dw najdzielniejszego wieku młodego władze: imaginację i czułość, które by, osob wie w charakterach żywych i drażliwych, powściągać i na wodzy trzymać n leżało... Patrzałem nieraz na okropne skutki lekcji romansowych: na chorol nerwowe, na stępioną ustawicznym drażnieniem tkliwość serca, na wygór waną w imaginacji czułość, na niestateczność i dziwactwo humoru, na nu życia w świecie rzetelnym, gdzie trudno spotkać romansowych bohaterów, zg ła na ruinę zdrowego rozsądku i pokoju duszy".

Ta niechęć do powieści trwała bardzo długo, aż w drugą połowę stulec Przytoczyć chciałbym fakty nieznane Chmielowskiemu, bo później dopie udostępnione. Nie dziwimy się stwierdzając, jak bardzo naszpikowana je złośliwościami wobec powieści korespondencja Franciszka Wężyka z Kajetane Koźmianem, jaką ci pisarze wymieniali między sobą po 1850 roku. „Trzeb trzeba karcić i ohydzie wieków podawać tych „Bezimiennych", tych „Morc lionów", mordujących moralność, cnotę, zdrowy rozsądek". Lub inaczej: „ od czasu jego (Kraszewskiego) powiastki Kordecki przestałem czytać je tworów na obstalunek gazeciarski pisanych, a ten prawdziwy „Diabeł" skrz wionego talentu aż do żółci krew we mnie zburzył, że nawet gazetę odrzuca gdy w niej jaką powiastkę, chociażby nawet demokratycznego Korzeniowskie ujrzę".

Nie dziwimy się zacietrzewieniu Koźmiana. Ale Norwid w listowej rc prawce pt. „Romans" przesłanej Konstancji Górskiej argumentować będ przeciwko powieści całkiem jak stary pseudoklasyk: „W wieku obecnym n większa liczba zapisanego papieru na świecie nazywa się r o m a n s e; pierv

mans) ...był tylko momentem jednym, strofką jedną, nutą jedną, ale nigdy
: był osobnym rodzajem, wydającym osobne i rodzajem najliczniejszym
wszystkich rodzajów pisania ...gdyby od tego co się nazywa romans, od-
efekta zdobywane skutkiem dramatu niestałości uczuć, związków, przy-
ni etc., nie byłoby całej strony i interesu dramatycznego... przez pół wieku
y prawie rozmach i czynność myśli obrócone są na to, ażeby na niestałości
zuć ludzkich i najbliższych człowiekowi wygrywać *marche funèbre* dla dru-
j części ludzkości, dla czytelnictwa".

Tak wygląda stosunek do powieści przed jej nobilitacją jako gatunku literac-
go: nieobecność powieści w systemie poetyki normatywnej, zgryźliwa nie-
ć i moralistyczna bojaźń przed powieścią jako faktem literackim. Mimo to
przedpolu romantyzmu zachodzi w traktowaniu powieści doniosła zmiana,
iana nie tyle uświadamiająca się ówczesnej teorii literackiej, ile spontanicznie
chodząca w praktyce. Powieść wychodzi ze swej roli marginesowej i poczyna
osić elementy, zapowiadające nowy prąd. Tej roli zapowiedzi i przygotowa-
powieść dotąd nigdy nie spełniała. Towarzyszyła wprawdzie w wieku XVII
ntastyce barokowej, towarzyszyła w pokoleniu stanisławowskim dydaktyce
tylitaryzmowi tego pokolenia, dopiero jednak romantyzmowi nie tyle towa-
szy jako zjawisko wyzyskiwane przez dany prąd bez troski o jego prawa
wnętrzne, ile poczyna uczestniczyć w samym stwarzaniu romantyzmu. Każdy
ówczesnych typów powieści, a mianowicie: romans grozy, niesamowitości,
chów, przygód romansowych, jaki uprawia przede wszystkim Mostowska,
nans sentymentalny, analiza serc czułych uprawiana przez Wirtemberską,
eszcie romans historyczno-obyczajowy Niemcewicza, Bernatowicza, młodego
asińskiego, każdy z tych typów wnosi pierwiastki, które w romantyzmie po-
staną na stałe. Udowodnimy to pokrótce na romansie sentymentalnym i histo-
cznym.

Najpierw jednakże dwie ważkie kwestie. Dlaczego te elementy preroman-
czne wnosi właśnie powieść, dlaczego wyrażają się w niej one dużo śmielej,
iżeli w równoczesnych gatunkach poetyckich? Jest to zysk wynikający z faktu,
powieść nie była przewidziana w poetyce normatywnej pseudoklasyków
obec tego posiadała swobodę w doborze motywów nieprawomyślnych ze sta-
wiska pseudoklasycyzmu. W uznawanych przez siebie gatunkach pseudokla-
cy mogli wykluczać te motywy, jeśli chodziło o ich własną twórczość, mogli
kwestionować u drugich, mogli więc np. potępiać młodego Wężyka za kult
tragedii szekspirowskiej, ale nie mogli przeciwstawić się pierwiastkom ro-
ntycznym w powieści, skoro ten gatunek lekceważyli. Powieść stała się przeto
nich koniem trojańskim.

Kwestia druga, przez nikogo bodaj nie podkreślana, to fakt, że powieść pre-
mantyczną uprawiają w dużej liczbie kobiety. Wirtemberska, Hoffmanowa,
ostowska, Jaraczewska, Rautenstrauchowa. Po raz pierwszy w literaturze pol-
ej pojawia się grupa piszących kobiet — dotąd pisarki były sporadycznymi
yjątkami. Czyżby przypadek? Bynajmniej. Powieść, romans dlatego były ga-
nkiem lekceważonym przez ludzi statecznych, ponieważ przeznaczone dla

niewieścich zainteresowań nie przekraczały często w ogóle kręgu miłości i cz
łych wzdychań. Nic więc dziwnego, że właśnie w tym gatunku ówczesne pić
kobiece znalazły swobodne miejsce. Emancypacja uczuciowa kobiet poprzed
ich emancypację społeczną i zawodową, a powieść jest jednym ze wskaźnikó
tego następstwa. Kiedy więc pod koniec zeszłego stulecia popularne pismo wa
szawskie dla kobiet będzie nosić tytuł *Tygodnik mód i powieści*, w tytule tak
mimo woli trafnie zostały ujęte główne zainteresowania kobiet na tym etap
ich rozwoju socjologicznego, kiedy kobieta przestała już być przedmiote
użytku domowego, a jeszcze nie przeszła pełnego kręgu emancypacji. Mo
i romanse...

Wymienioną przyczynę znał już w XVII wieku Stanisław Hierakliusz Lub
mirski, kiedy w „Rozmowach Artaksesesa z Ewandrem" dowodził, że „we Wł
szech i we Francyej osobliwie najwięcej takich ksiąg (czyli romansów) ludz
znaczni u dworów, same nawet panny i damy pospisowały, które uczonym st
lem i dowcipu swego (nad męski czasem) pamiątką życzyły sobie być sławn
Nawiasem mówiąc Lubomirski powtórzył tutaj pogląd wspomnianego j
obrońcy powieści arcybiskupa Huet, który przewagę powieści francuskiej n
powieściopisarstwem innych krajów wyprowadzał stąd, że damy francuskie p
siadają najwięcej swobody towarzyskiej. (Rozmowa Lubomirskiego pochod
z roku 1683, rozprawa Huet z 1670).

Ten wstępny dopiero stopień emancypacji kobiet jest również powodem z
wska, którego działanie ukaże nam szerzej twórczość Żmichowskiej. Oto k
biety, które nie są jeszcze obecne w pełnym życiu zbiorowym, tym samym
nieobecne wśród literatury opiewającej, epicko-bohaterskiej. Ich zainteresow
nia artystyczne są bardziej intymne i bardziej kameralne i takimi zasadnicz
mimo dokonanej emancypacji, pozostają po dziś dzień. Analiza serc wyma
na pierwszym miejscu imtymności i precyzji. Sztyrmer jeden z rozdziałó
„Czarnych oczu" opatrzył w zmyślone motto: „Są tak dziwne charaktery,
filozof pogardzi nimi, a kobieta je odgadnie i oceni. Jest to osobliwszy prz
wilej serca". Dlatego zapewne ten sam Sztyrmer, lubujący się w takich właś
dziwnych charakterach, wolał występować pod kobiecym pseudonimem.

A teraz sprawa powieści historycznej i romansu sentymentalnego w ich prz
gotowawczej wobec romantyzmu roli. Preromantyczny romans sentymental
rodzi się ze skrzyżowania dwóch tendencyj i dwa też pierwiastki jako wkł
stały wnosi romantyzmowi. Te dążności to przede wszystkim sentymentaliz
rokokowy, panujący w stuleciu nazwanym słusznie *le siècle des petitesses*, k
intymnego drobiazgu, marzenia idylliczne, umowna sielankowość, której na p
czątku stulecia nie wystarczy już samo czułostkowe wzruszenie, która poczy
mieć rozleglejsze ambicje — oto dążność pierwsza, starsza. Romans sentyme
talny wyprowadza z niej dalsze konsekwencje — pyta o przyczyny wzrusz
o powody przemian duchowych, pod pozorami śledzenia czułości i sentymen
nawiązuje między postaciami pierwsze, dosyć nieporadne nici analizy psych
logicznej. Na razie się ta analiza nie usamodzielnia, dokonają tego późn
Sztyrmer i Żmichowska.

FRANCISZEK MASIAK: GŁOWA
SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

Dość, że rodzi się drugi, o niespodziewanych skutkach pierwiastek, jaki wej dzie w skład romantyzmu. Romantyzm bowiem rozwija obydwie wskazane ten dencje powieści preromantycznej. W pierwszym pokoleniu romantyków dzie się to nie w powieści, ale w liryce i dramacie romantycznym. Dopiero drug generacja podejmie te właściwości w formie powieściowej. Na razie wystarcz nam wniosek, że zarówno sentymentalizm romantyczny („książki występne wymieniane przez Gustawa w „Dziadach" to przecież powieści) jak analiz psychologiczna z dorobku XVIII wieku w dorobek romantyzmu weszły za po średnictwem gatunku literackiego, który nigdy dotąd nie spełniał tak doniosł roli. Naturalnie te dążności przenikały również niezależnie od powieści — dzia łalność Rousseau — przenikały z większą siłą i skutecznością dzięki waloro takiej jak Rousseau osobowości, ale jeżeli chodzi o pewien system gatunkó literackich, o tym zaś przede wszystkim mówimy, przenikały za pośrednictwe powieści.

Zrazu w formacji romantyzmu dużo większą rolę odegra powieść historyczn narodzona z ducha Walter Scotta. Nie posiadamy studium, które by w cał pełni ukazywało, jak niezwykłą rolę grał w polskim — i każdym — roman tyzmie historyzm, odkrycie psychologicznej i obyczajowej różności a zaraze kontynuacji minionych epok. Istota filozoficzna sporu pomiędzy pseudoklasy kami a romantykami polegała na tym, że klasycyzm i racjonalizm naucza wiary w normę, typ, który panuje nad każdą epoką i rzeczywistością, podcza kiedy romantyzm nauczał pluralizmu duchowego, wskazywał, że ideały arty styczne i duchowe muszą być zmienne, zależne od minionych i mijających epo To odkrycie historii dokonywało się po raz pierwszy i stąd tyle wnosiło barw ności, tyle radosnego olśnienia, wywołanego nowym spojrzeniem na przeszłoś „Gdyby filozofowie zamienić mogli wszystkie strumienie ludów w jeden ocea powszechnej ludzkości, nie pozostałoby poetom, jak wzdłuż strumieni wraca się do źródeł i do gór, które się wznoszą na widnokręgu historii" — oto świa dectwo tego olśnienia spod pióra Mochnackiego.

Naturalnie artysta romantyczny nie kroczył, jak my, od zasady filozoficzn do jej skutków artystycznych, ale rozpoczynał od skutków artystycznych, o zachwytu estetycznego nad rycerskością i uduchowieniem średniowiecza. Te zaś zachwyt wnosiła powieść Walter Scotta i jej naśladownictwa. Czego spo dziewano się po romansie historycznym, najlepiej ukażą słowa autora studiu „Walter Scott i jego wiek spółczesny" *(Gazeta Polska,* 1828). I styl i argument wskazują, że autorem jest chyba Mochnacki, mimo że studium tego nie włączy Śliwiński do jego „Pism po raz pierwszy edycją książkową objętych".

Według autora „wszelka przeszłość, a szczególnie przeszłość narodów, c zniknęły, jest sama przez się poetyczna i tylko w teraźniejszości mistrzuje proz podobnie jak z kraju, w którym żyjemy, radzibyśmy wzlecieć dla oglądan wielkich panoram ludów i nasycić dusze niezliczonymi obrazami i uczuciam Niektórzy poeci przenoszą myśli, uczucia, potrzeby, sposób myślenia stronnict teraźniejszego czasu w upłynione wieki i dopuszczają się tym sposobem isto nego grzechu poetycznego. Każdy czas ma własną swoją poezję, a właściwoś

ej nie należy fałszować. Poeta na ziemi rzeczywistości powinien zostawić poezję aką, jaką sama natura w ziemi tej zaszczepiła". — Kiedy zaś poeta spełni ten varunek — „dziwne dostrzeże powaby w rzeczywistym życiu teraźniejszości przeszłości, w rzeczywistym bycie ludzi i ich działaniu... będzie umiał oddzielić pośród ludu pospolitego człowieka, dlatego tylko, że człowiek ten należy do ego ludu, do tego stanu, że w tej okolicy i w pewnym tylko żyje czasie, a to vszystko nada wdzięk romantyczny... Nie ujrzymy w tym człowieku osoby, ohatera, pasterza, karykatury, ale znajdziemy w nim reprezentanta jego ludu, ego czasu i jego obyczajów".

Nadzieje wiązane z powieścią historyczną można ująć krótko w tym twierdzeniu: wierność historyczna i obyczajowa jako warunek prawdy i piękna. „Każdy czas ma swoją własną poezję".

Wpływ Walter Scotta przenosił się również do form poetyckich, kształtował owieści poetyckie, formował „Pana Tadeusza". Powieść historyczna spełniała arazem rolę uświadamiającą odrębność narodu i narodowy charakter literatury omantycznej. „Od czasu, gdy wspaniałe fikcje Ariosta północy doszły do naszego kraju, od czasu, gdy nam okazał prawdziwą poezją życia codziennego, owzięliśmy nadzieję posiadania piśmiennictwa narodowego" — pisał Słowacki v „Królu Ladawy". Tak więc romantyzm staje się prądem, który na wielką kalę zaszczepia powieść historyczną i jest to drugie, bodaj że najdonioślejsze wycięstwo powieści w obrębie tego prądu. Zwycięstwo podwójne: ustala się owiem powieść historyczna jako gatunek o wymaganiach, które od czasu romantyzmu nie ulegną pomniejszeniu, sama zaś historyczność, wniesiona przez en rodzaj literacki, zabarwi wszystkie typy form literackich oraz rodzaj romantycznego odczuwania.

Polski historyzm romantyczny posiadał pewne dosyć wyraźne fazy, w jakich ię formował. Jego rozwój daje się dobrze zilustrować na tle tych trzech chociażby powieści: Niemcewicza „Dwaj panowie Sieciechowie", Goszczyńskiego „Król zamczyska" i Rzewuskiego „Listopad". „Dwaj panowie Sieciechowie" pochodzą z roku 1815 i stanowią najwcześniejszy objaw rozbudzonego zainteresowania dla powieści historycznej. Pamiętać należy, że wpływ Walter Scotta dotrze do Niemcewicza dopiero w „Janie z Tęczyna", późniejszym o dziesięć lat od „Sieciechów", tak że przyczyny, dla których w tej powieści sięga Niemcewicz do historii, są szczególnie wymowne, bo spontaniczne i wolne od wszelkiej zależności literackiej. Jak wiadomo, „Dwaj panowie Sieciechowie" oparci są na motywie kontrastu między dwoma epokami odległymi o całe stulecie; ten motyw kontrastu dwóch obyczajowości powszechnie się przyjmie, dość wspomnieć „Pana Tadeusza" i „Listopad". Silne kontrasty pomiędzy dawną, na prowincji szlacheckiej jeszcze całkiem żywotną obyczajowością sarmacką, a późniejszą modą francuską i ostatnim chronologicznie poczuciem patriotyczno-państwowym, które tak mocno podkreśla Niemcewicz, te kontrasty znachodziły się wówczas na każdym kroku. One są rodzimą przyczyną, dla której historyzm powieściowy tak się przyjął w Polsce.

Czasy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego były okresem

silnych rozbieżności pomiędzy odmiennymi formami życia zbiorowego: trw
jeszcze nietknięta stanisławowskim racjonalizmem szlachetczyzna, a już pows
wały kadry współczesnej inteligencji, krystalizował się aparat urzędniczy nov
czesnej państwowości. We współczesnej powieści historycznej doskonale te sp
wy ukaże Berent w „Nurcie". U Niemcewicza zaś scena w modnej restaura
gdzie przy jednym stoliku siedzą kontuszowcy strapieni, że nie rozumieją ka
francuskiej i zamawiają dla bezpieczeństwa sztukę mięsa, przy innym zaś stol
„liwerant" oblewa z urzędnikami intendentury nadużycia przy dostawach
wojska, ta scena ma znaczenie, śmiem rzec — symboliczne. Nic dziwnego prz
że na tle tak żywych kontrastów obyczajowych poczucie odmienności typ
środowiskowo-czasowych, generacyj i obyczajów, jednym słowem poczucie his
rii znajdowało chętny grunt, było po prostu codziennym doświadczeniem epo
Mimo że porządek kultury i obyczajowości szlacheckiej przetrwa w Pol
jeszcze całe stulecie, aż po pierwszą wojnę światową, przemiany, jakie zac
nają się dokonywać pod wpływem francuszczyzny w dobie stanisławowsk
nabierają znaczenia definitywnego. Okazuje się, że istniejący od wieków por
dek społeczno-kulturalny odchodzi w cień i przełom o tej doniosłości staje
współtwórcą romantycznego historyzmu. Ten historyzm obróci się wnet
przeszłości, będzie nauczał kultu dla sarmackich form życia, ale jego począ
są dosyć specjalne, zainaugurowane nie ślepym zapatrzeniem w przeszłość, l
uczestnictwem kraju w epoce napoleońskiej i w wytwarzaniu form życia, z
miennych dla wieku XIX.

„Król zamczyska" reprezentuje historyzm romantyczny w jego pośred
postaci. Pomiędzy oceną krytyczną, której nie brak Niemcewiczowi, a b
względną apologią przeszłości, w jaką historyzm przejdzie u Rzewuskiego, s
nowisko Goszczyńskiego zajmuje miejsce przejściowe. Jest to utwór charakte
styczny dla romantyzmu nie tyle przez swe związki z typem i wymagania
powieści historycznej, bo nie ma przecież w „Królu zamczyska" jakiegoś ma
widła obyczajowego, nie ma kontrastów środowisk, ile raczej przez połącze
historii z fantastyką, samotnictwem, poszukiwaniem niezwykłości. Te przes
nie romantyczne cechy nie istnieją tu jednakże same dla siebie, ale zmierzają
budzenia poczucia narodowego. Wspomniany bowiem zwrot myśli romanty
nej do świata mijającego pogłębiony jest w Polsce o jego znaczenie narodo
i ten właśnie moment szczególnie silnie występuje u Goszczyńskiego. Cechy
wieści historycznej tutaj się nie urzeczywistniają, prawom gatunku nie staje
z pozoru zadość, a jednak wystarczy związek z narodowym znaczeniem histo
by „Król zamczyska" stał się znamienny dla polskiej powieści romantyczn
historycznej.

Wreszcie „Listopad" Rzewuskiego. Stosunek Rzewuskiego do romantycz
powieści historycznej jest nader ciekawy. Nie dlatego odtwarza on przeszło
by tęsknił za jej zjawą artystyczną jak romantycy, ale dlatego, że sam był
gdyby zabytkiem tej przeszłości, człowiekiem cofniętym duchowo — nie ar
stycznie! — wiek bez mała, człowiekiem, dla którego nie istniało właściw
wszystko, co zaszło od czasów Stanisława Augusta. Romantyzm emigracyj

stęskniony za krajem, wyrwany ze swego szlacheckiego podłoża, cofając się ku przeszłości, apoteozując ją, napotykał na swej drodze Rzewuskiego, który bez przymusu, bez potrzeby tej regresji był najczystszą apoteozą przeszłości szlacheckiej. „Listopad" nie jest więc, ściśle biorąc, powieścią napisaną przez romantyka, ale jest powieścią adoptowaną przez romantyzm, albowiem ten zapóźniony tradycjonalista najlepiej spełniał tendencje, których sami romantycy nie umieli urzeczywistnić w sposób równie doskonały artystycznie. Pod piórem Rzewuskiego romantyzm okazuje się tradycjonalistycznym zachwytem nad przeszłością, jej stanowczym uwielbieniem. Ani śladu potępienia tych objawów przeszłości, które na to zasługiwały, ani śladu ironii, której nie szczędził jeszcze Niemcewicz, nie mówiąc już o pisarzach stanisławowskich — historia staje się bezwzględnym kultem przeszłości i obyczaju narodowego. U Rzewuskiego ratuje poniekąd sytuację jego artyzm, ale jeszcze krok dalej, pozostanie sam zachwyt niepoparty prawdą artystyczną i będziemy mieć Pola, Syrokomlę, gawędę szlachecką z jej naiwnym olśnieniem szlachetczyzną.

Tak więc trzy omówione książki pozwalają wyraźnie nakreślić rozwój powieści historyczno-romantycznej w Polsce: od poczucia żywych kontrastów, nauczającego kolorytu epok, biegnie ten rozwój — przez związki historii z świadomością narodową — do bezwzględnego kultu przeszłości szlacheckiej. Na tym ogniwie usycha.

Przedstawione losy powieści dzieją się przeważnie u wstępu do romantyzmu. Czas pełnego rozkwitu powieści romantycznej przypada u nas na inne lata, na drugie pokolenie romantyków. Pierwsza generacja romantyków, która kształciła się na powieści sentymentalnej i niezwykłe nadzieje przywiązywała do powieści historycznej, bawi w ogromnej większości na emigracji i nie wpływając na bieg życia literackiego w kraju, gdzie właśnie teraz, to znaczy po roku 1840, powieść zagłusza wszelkie inne gatunki. Ale ciekawa jest rzeczą, dlaczego ci starsi romantycy, chociaż niekiedy jak młody Krasiński rozpoczynali od powieści, całkowicie ją zaniedbują na emigracji. Sądzę, że powody tego zjawiska najlepiej ujął Stanisław Baczyński w „Losach romansu": „Wzmożony kult rymowanego słowa wycisnął znamiona swoje na całej literaturze XIX wieku aż do czasów pozytywizmu, a przyczyną niewątpliwą była tu z jednej strony ideologiczna strona poezji, jej narodowy i polityczny charakter po 31 roku, z drugiej zaś wierność tradycjom klasycznym, których nasi romantycy nie zarzucili do ostatka. Potwierdza to całkowite zaniedbanie romansu na emigracji... rodzaj sam nie odpowiadał pojęciom wygnańców o wzniosłości i patosie poetyckim i dlatego parali się nim raczej pisarze, związani prozą codziennego życia z krajem... gdyż romans siłą swej bezpretensjonalności ogarnia sferę życia codziennego, jest trybuną dla tych spraw życiowych, które przez swą potoczność rzadko dają natchnienie patetycznej poezji".

Kto pozostał w kraju, a szczególnie kto wszedł dopiero w życie społeczne po powstaniu listopadowym, ten pozostał związany przede wszystkim z tą prozą codziennego życia. W literaturze krajowej po roku 1840 powieść staje się gatunkiem tak przodującym, jak jest nim dzisiaj. Staje się błyskawicznie, na

przestrzeni kilku lat i co najważniejsze — za zupełną zgodą ówczesnej krytyk i publiczności. Michał Grabowski, Kraszewski, Cieszkowski, Ziemięcka, Sztyr- mer, Marcinkowski, Leszek Dunin Borkowski i wielu innych krytyków chętni przyświadczało temu zwycięstwu powieści. Ciekawe, że znaczenie powieści naj- lepiej rozumiał i wcale się nim nie gorszył filozof Cieszkowski w rozprawi „O romansie nowoczesnym" *(Biblioteka Warszawska,* 1846). W tych latach cc roku parę tomów rzuca na rynek Kraszewski, pierwsze swoje powieści pisz Korzeniowski, u szczytu sławy jest Rzewuski, debiutują Żmichowska i Sztyr- mer. Ten rozrost powieści jakiś ówczesny złośliwiec porównywał z karier ziemniaków „dla ich jednakiej płodności, łatwości rozłożenia się w każdy gruncie i tej wspólnej im właściwości, że raz zakosztowane, zmieniają się w po trzebę".

Rozwój powieści posiada w tych latach dosyć skomplikowane oblicze i ro mans ówczesny trudno podciągnąć pod jeden mianownik. Przykłady wskażą Weźmy „Kollokację" i „Poganke". Powstanie tych książek dzieli kilka zaledwi lat, ale nie sposób mówić, by „Kollokacja" Korzeniowskiego była typową po wieścią romantyczną, jak jest nią „Poganka" Żmichowskiej. „Kollokacja" t powieść napisana w okresie romantyzmu, „Poganka" to powieść romantyczna Cóż to znaczy? Należy obecnie uczynić dygresję, która ukaże utajoną i prawi nigdy nie podkreślaną, ale według mojego przekonania najbardziej istotną przy czynę, dla której powieść w okresie romantyzmu staje się gatunkiem głównym chociaż program literacki romantyzmu tego nie przewidywał.

Romantyzmowi, zwłaszcza na Zachodzie Europy, towarzyszą objawy, ja kie ten prąd w swoim egotyzmie i idealizmie zrazu dumnie pomija, by późnie niespodziewanie z nich skorzystać. Oto romantyzm pragnie być buntem prze ciwko światu w imię wszechwładzy ja romantycznego; usuwa więc ze swe świadomości siły determinujące społecznie to ja. Protest indywidualistów ni zmienia jednak istoty ewolucji społecznej. Cechą zaś tej ewolucji jest cora większy wzrost świadomości mieszczaństwa na Zachodzie. Przez świadomoś rozumieć należy tutaj tendencje społeczno-poznawcze, dążność do ustaleni pozycji danej warstwy w świecie powstającego kapitalizmu. Są to tendencie które wcale nie wiodą do romantycznego buntu i dojrzewają równocześni z przełomem romantycznym, choć przez ten przełom nie są przewidziane. N jeden przynajmniej szczegół ważny dla kampanii romantycznej chciałbyn wskazać, mianowicie na rozwój dziennikarstwa. Jest on doniosłym przejawen tych poznawczych, społeczno-analitycznych dążeń, a dokonuje się przecie w tym samym czasie, co romantyczny zwrot ku średniowieczu. Wszak i w Pol sce kampania romantyczna ze strony młodych odbywa się głównie w gazetach graniczy z biuletynem giełdowym i zapiskami meteorologicznymi, a Mochnac ki z zawodu jest dziennikarzem. Czym zaś ten zawód był dla pseudoklasyka łatwo poznać z pewnego listu Koźmiana do Wężyka. Oto Andrzejowi Koź mianowi udało się namówić ojca, by dał artykuł do *Gazety Codziennej:* „Sy mnie na to upokorzenie naraził przez przyjaźń dla Przeździeckiego". Tak arena sporu gorszy nawet Brodzińskiego.

W romantyzmie jednak głoszącym nawrót do średniowiecza, idealizację ludu, odkrycie świata baśni i duchów, podnoszącym powagę pierwiastków spirytualistycznych, nie ma zasadniczo miejsca na wspomniane dążności społeczno-poznawcze. Takie tendencje musiały jednak dotrzeć do literatury i dotarły w miejscu najmniej obciążonym dawnymi serwitutami, w powieści. Powieść za plecami oficjalnego romantyzmu staje się przede wszystkim gatunkiem literackim o charakterze poznawczym, stawia sobie za cel opis środowisk społecznych, typów ludzkich, obraz społeczeństwa. Wszak rówieśnikiem Wiktora Hugo jest Balzac, romantyk tylko przez ocierające się o mistykę romantyczną tematy niektórych swoich dzieł, zresztą wyzyskujący pomijane przez czoło romantyzmu dążenia poznawczo-socjalne.

Powstaje rodzaj powieści równoczesny z romantyzmem, ale nie z ducha romantyzmu poczęty: u nas powieść Korzeniowskiego i znaczna część twórczości Kraszewskiego. Samemu romantyzmowi zawdzięcza ta powieść jedynie wierność obyczajową, tak silną u Korzeniowskiego. Owa wierność nie służy wszakże egzotyzmowi lokalnemu, ale staje się jednym ze sposobów poznawania społeczeństwa przez powieść. Z tej poznawczej roli powieści, zmieszanej jednakże jeszcze z „romansownością", poetycznością i specjalną intrygą, zdano sobie u nas na dobre sprawę dopiero po roku 1840. Poprzednio świadomość tego jest bardzo rzadka. Właściwie tylko jeden sąd wygłoszony już wówczas, kiedy mało kto przewidywał przyszły rozwój powieści, umiem przytoczyć. Pochodzi on spod pióra wspominanego już anonimowego autora ciekawej i rozsądnej rozprawy „O romansach" *(Ćwiczenia naukowe,* 1818). Autor ów dowodzi, że w układzie romansów „rzecz może być w części lub nawet zupełnie zmyśloną, ale tak ją wystawić należy, iżby jak najbliżej przystępowała do prawdy historycznej, jeżeli ma swe źródło w historii, jeżeli zaś ją bierzemy z niedawnych lub obecnych wydarzeń, dosyć na tem, gdy mieć będzie w gruncie swoim jak największe z nimi podobieństwo. W takim więc względzie uważane romanse nie są zmyślonymi płodami wyobraźni, bo ich zasadą nie jest bajeczność, ale prawda moralna wyciągnięta z głębokiego poznania ludzi... Romanse powinny być rzetelnym obrazem towarzystwa ludzi".

Jak zaznaczyłem, na szerszą skalę z tej roli powieści zdano sobie sprawę dopiero po roku 1840. Warto przytoczyć dwa sądy. Pierwszy pióra L. Dunin Borkowskiego w rozprawie „Powieściarstwo polskie" *(Tygodnik Polski,* Lwów 1848). Dla Borkowskiego najważniejszym elementem powieści jest „socjalizm", przez co rozumie on po prostu odczytywanie przez powieść dążności społecznych czasu. „Trzeba wielkiej umysłowej wprawy, wielkiej mocy ducha, wielu wiadomości, wielu doświadczeń, jasnego przejrzenia całej budowy społecznej, ażeby dopatrzeć jej niedogodności i zabrać się do jej przestawiania... i dlatego powieść socjalna przyczyniając się do takich zamierzeń, ułatwiając środkami swoimi takową pracę, zajmuje najwyższe w rodzaju swoim stanowisko, stanowisko postępowe". Jeszcze dokładniej wyznacza powieści tę rolę niepodpisany autor oryginalnego studium „O romansie, jego przekształceniu, rozpostarciu się i wpływie na społeczeństwo" *(Biblioteka Warszawska,* 1842), pisząc, że „romans

obyczajowy w ścisłym znaczeniu tego wyrazu jest, że tak powiem, wcieleniem prawd filozoficzno-moralnych, plastycznym przedstawieniem prawd oderwanych. — Jeżeli więc dotknie się go pisarz z wyższymi pojęciami nad pojęcia ogółu, z znajomością świata i miłością dobra publicznego, nadaje mu filozoficzną wartość mimo trywialnej formy... Ale (romans) w łonie swoim nosi grzech pierworodny. Poruszając się na polu graniczącym między refleksją i fantazją, ma zmięszaną naturę obydwu, jest hermafrodytem w literaturze. Refleksja dotyka wszystkich ważnych zadań towarzyskich, psychologicznych, moralnych lub naukowych, ale fantazją unoszony, ślizga się po ich powierzchni, zasypuje je kwiatami marzeń, gubi w ciżbie rzeczy obcych lub obojętnych, niweczy na reszcie uganianiem się za poetycznymi obrazami i efektem teatralnym. Refleksja znowu i jej językiem — prozą — rozdziera poetyczny urok i harmonią".

Romans więc poznaje, rządzi się refleksją, ale mimo to jest hermafrodytem literatury. Słowa nieznanego krytyka wprowadzają w samo centrum przewrotu dokonanego przez powieść w celach stawianych poszczególnym gatunkom literackim. Doniosłość tego przewrotu trzeba mocno uwydatnić, zwłaszcza dlatego że w badaniach naukowych tę nową rolę powieści przyjmuje się jako coś oczywistego. Tymczasem poznawcza głównie rola gatunku literackiego może być czymś oczywistym z naszego stanowiska, bośmy się do niej przyzwyczaili i to właśnie za sprawą powieści, ale nie jest ona taką oczywistością ze stanowiska przedromantycznych zadań literatury pięknej. W dawnej, przedromantycznej literaturze żaden z gatunków nie stawiał przed sobą wymagań poznawczych. Żaden nie zmierzał specjalnie ku refleksji rozpoznającej i odsłaniającej istotny mechanizm rzeczywistości. Jeżeli niekiedy spełniał te wymagania (np. satyra) to jedynie ubocznie, niezależnie od głównego zamierzenia. W satyrze np. jako produkt uboczny powstawał dokładny, nieraz bardzo realistyczny obraz czasu, ale ze stanowiska gatunku był to naprawdę produkt uboczny, sam bowiem gatunek miał na celu przede wszystkim pewne zadania moralizujące, a obrazek rzeczywistości posługiwał się tylko jako środkiem do ich wypełnienia.

Głównym bowiem zadaniem gatunku literackiego w epoce przedromantycznej jest rozpracowanie, realizacja pewnego schematu, pewnej normy estetycznej, może to być przepisany i dziedziczony wygląd gatunku, może być typ wzruszenia, jakie w danej formie powinien poeta budzić. I dlatego normatywizm literatury przedromatycznej, istnienie poetyk, które obecnie wydaje się skrępowaniem, wcale nim nie było dla tamtych pisarzy. Było po prostu kodyfikacją stanu istniejącego niezależnie od poetyk. Poetyka normatywna nie tyle mogła narzucała, ile wyczuwała przepisy, które realizowały się „same". Rozumiemy teraz ostatecznie, dlaczego powieść nie mieściła się w zakresie normatywizmu, skąd pochodziły trudności odczuwane już we Włoszech XVI wieku. Powieść nie posiadała ani odziedziczonego wyglądu, ani swoistego typu przedstawiania wzruszeń, mogła być i elegijna i sielankowa i satyryczna i dydaktyczna. Spełniać mogła najrozmaitsze usługi. Zwycięstwo powieści jest przeto ostateczną klęską tego dawniejszego pojmowania literatury jako urzeczywistniania piękna gatunku, przesuwa bowiem zadania piśmiennictwa ku poznawaniu świata,

nalizie rzeczywistości. Formy zaś tego poznawania nie dadzą się nigdy prze-
idzieć, ponieważ zależne są od coraz to nowego materiału i muszą być tak
ieprzeliczone, jak nieprzeliczone są kształty rzeczywistości. W ten to sposób
spółcześnie z romantyzmem rodzą się obowiązujące do dzisiaj zadania po-
ieści.

Skoro pamiętamy o tych momentach wywołanych przez same przemiany spo-
eczne, cechy powieści okresu romantycznego nabierają przejrzystości. Rozkłada
ę powieść w tym okresie na dwie odmiany. Jedna z nich jest realistyczno-
połeczna: stendhalowskie zwierciadło czasu; odmiana ta z romantyzmu czer-
ie tylko precyzję obyczajową. Oprócz niej istnieje powieść ściśle i prawdziwie
omantyczna. Nie znaczy to, ażeby pomiędzy obydwoma odmianami nie było
adnej łączności. Wszak powieść poznawczo-społeczna wywiodła się również
braku normy formalnej, która by obowiązywała ten gatunek, skutkiem czego
ogła podjąć nieznane dotąd literaturze zadania. Brak normy jest zatem pomo-
em łączącym obydwa łożyska powieści, przez ściśle romantyczne tendencje
yzyskanym w sposób, pogłębiający formalną dowolność tego *de facto* nowego
atunku literackiego.

Cechą bowiem główną romantycznego pojmowania wszelkiej formy literac-
iej jest to, że artyście wolno stale, we wszelakiej postaci interweniować w utwo-
ze, naświetlać go ironią, liryzmem, wyrażać swój sąd przy pomocy dygresji —
owem utwór nie istnieje nigdy dla romantyka w postaci tak obiektywnej, jak
tniał dla klasyka. W ten sposób bowiem romantyk dokumentuje swoje zerwa-
ie z przepisami, uwydatnia na każdym kroku swoją swobodę twórczą. Jak
dyby obawiał się podejrzeń o skrępowanie, stale czytelnikowi narzuca swoją
olność, nie pamiętając, że taka wolność dopiero krępuje, ponieważ jest nie-
owtarzalna, niemożliwa do przekazania, podczas gdy jedyną wolnością praw-
ziwą jest rozsądna norma. „Beniowski" jako przykład romantycznego trakto-
ania formy najlepiej świadczy o tej pozornej swobodzie. Tę samą sprawę —
e właśnie rozumna norma jest wolnością — ma zapewne na myśli w „Theorie
es Romans" G. Lukacs, kiedy tak ujmuje związek między istotą powieści
istotą romantyki, w danym wypadku niemieckiej: „Romantyzm niemiecki,
hociaż może nie wyświetlił pojęcia powieści aż do jego podstaw, połączył je
ciśle z pojęciem romantyczności. Uczynił to z wielką słusznością, albowiem
orma powieści jest jak żadna inna wyrazem transcendentalnej bezdomności".

I czyż był poza powieścią gatunek, który by pozwalał na równie szeroką
ealizację tej swobody, na rozbijanie narracji, na jej komplikowanie, mnożenie
lanów, opowiadanie akcji to przez usta postaci głównej, to głosem obserwa-
ora, na konfrontowanie tych relacyj? Właściwością przeto typowo romantycz-
ych powieści staje się wyzyskiwanie tych możliwości ogólnoromantycznej
fantazji", jako — możliwości gatunku. Wspomnijmy chociażby swobodę kom-
ozycyjną „Poganki" ujętej jako opowiadanie w gronie osób zebranych przy
ominku. Naturalnie chwyt jest dawny, wywodzi się jeszcze od „Dekamerona";
zecz więc w jego psychologicznie wyrafinowanym użyciu, już u wstępu do
omantyzmu zapowiedzianym przez Jana Potockiego „Rękopis znaleziony w Sa-

ragossie". W Polsce majstrem w tym względzie staje się Ludwik Sztyrme wszystkie swobody i wyrafinowania formalne, które np. tyle czaru nadają p wieściom Conrada, spotykamy już u niego jako świadectwo rozleglejszego, r się zwykło pamiętać, romantycznego rodowodu obecnej techniki powieściow

Poruszane tu zagadnienie bardzo mocno podkreślał tak autorytatywny c romantyzmu estetyk jak Jean Paul powiadając, że w formie powieści mogą zawrzeć i pogodzić wszelkie inne formy, zapytując dalej, czemuż to powieść r mogłaby dać czegoś w rodzaju poetyckiej encyklopedii, poetyckiej wolnoś wszelkich poetyckich wolności? („Vorschule der Aesthetik") Z polskich teoret ków mało kto był świadom trudności wewnętrznych nowego gatunku, zawa tych w tej pokusie formalnej. Świadomym przoduje znowu anonimowy aut z *Ćwiczeń naukowych*: „Może tu autor nad wydarzeniami przez siebie w r mansach wprowadzonymi czynić oddzielne uwagi: może wydawać swoje zapa i uniesienia, niby wyzywając wcześnie swoich czytelników, aby się równie j on zajmowali losem osób przez niego stworzonych lub ożywionych... Co niebezpieczna wolność, której nadużycie zbyt łatwe i często nieuchronne, g albo przedmiot pisarzowi, albo pisarz przedmiotowi swojemu nierówny... łatwość pozorna, którą postrzegamy w ułożeniu romansu, ukrywa trudn rzeczywistą i ta to mniemana łatwość jest prawdziwą skałą rozbicia, której uszło wielu najcelniejszych pisarzów".

Dalszą, doniosłą i rozpowszechnioną cechą powieści romantycznej jest d ność do samodzielnej analizy psychologicznej. Jak już mówiliśmy, tenden ta narodziła się z powieści sentymentalnej, a raczej za pośrednictwem tej pow ści została przekazana ze źródeł bardzo rozmaitych. W pierwszym pokole romantyków dążność do analizy krzewiła się na peryferiach głównych zain resowań, nie było bowiem formy, w której mogła by się wyrazić swobodnie. tendencja wciskała się przemocą w wielkie kompozycje dramatyczne, jak „Dz dy", „Nieboska komedia", „Kordian", sprawiając, że owe dzieła stawały w znacznej mierze autobiografią i autoanalizą poety. Wątek dramatyczny, r szczepiony na zwalczające się postacie, służy w nich w istocie rzeczy nie t obiektywnemu konfliktowi dramatycznemu, ile — jak w „Nieboskiej kor dii" — autoanalizie za pośrednictwem tych postaci. Ze stanowiska dram były to nieraz wtręty, rozsadzające formę dramatyczną, niezgodne z jej wyr ganiami. Szczególnie dobitnym świadectwem jest tu „Kordian".

Dopiero powieść stwarza naturalne ujście dla analizy psychologicznej. Syt cja normuje się, kiedy Sztyrmer pisze prozaiczną i ironiczną replikę „Godz myśli", swego „Pantofla, historię mojego kuzyna". Nie zestawiamy natural bezwzględnej wartości poetyckiej tych utworów. Chodzi jedynie o to, o ile charakterystyczne dla roztrząsanego problemu. Sztyrmer wreszcie stawia p gram dla powieści psychologicznej, kiedy powiada w „Frenofagiuszu i Fre lestach": „Każde dziecko, każdy prostak, głupiec i nawet wariat, są to mo niezgłębione, których zwierzchnie tylko widzimy bałwany. W ich łonie dusza ludzka, co w sobie więcej zawiera tajemnic, niż gwiazd naliczyć mo na niebie. Kto nam powie, co się dzieje w głębiach morza rozumu i morza gł

stwa? i czy jest jaka różnica pod powierzchnią rozumnych i głupich bałwanów?"

Tej analizie psychologicznej sam Sztyrmer nadawał posmak rozrachunku z romantyczną przesadą. Z kompleksu analizy znanego Słowackiemu czy Krasińskiemu odrzucił poetyckość, pogłębił za to szperactwo duchowe. Lubował się w skrzywieniach psychicznych, i to nie tylko romantyczno-fantazyjnych, ale wszelakich, o takiej skali, że pomieści się w nich zarówno analiza duszy gruźlika, przez niego pierwszego dokonana w „Duszy w suchotach", jak i wspaniały, nieustępujący Zagłobie czy Papkinowi okaz żołnierza-samochwała w postaci Tarabankiewicza z opowiadania „Paliwoda". Co się tyczy rozbicia przez analizę przesady i poetyczności, najbardziej znamienny jest wspomniany co dopiero „Pantofel". Bohaterem powieści jest młodzieniec romantyczny, burzący w marzeniach świat; marzenia są mu ucieczką od nudy biurowego gryzipiórka w tonących w błocie Kozienicach. Ten to młodzieniec w wiejskim dworku składa czułe wizyty ukochanej i wyidealizowanej pannicy, nie widząc, że jego odwiedziny służą przemyślnej osóbce do swoistej korespondencji: oto pod podszewką czapki zakochanego młodzieńca przesyła ona za każdym razem listy swemu prawdziwemu ukochanemu. Rozczarowany zakochuje się później w niewieście, z którą równocześnie plenipotent jego prowadzi i wygrywa proces (o tym romantyczny miłośnik naturalnie nic nie wie).

Jak widzimy, jest to splot sytuacji dobranych tak rozmyślnie i tak złośliwie, by skompromitować i „uziemić" marzenia, by pokazać, że ich twórcami byli tacy oto niezaradni i zabawni jak nasz Pantofel młodzieńcy. Zdemaskowanie uczuć zapewnia jednak samej tendencji żywotność, ponieważ czyni z niej element lepszego wniknięcia w duszę ludzką, aniżeli mogło by się to dokonać za pośrednictwem ślepej na rzeczywistość poetyczności, sentymentalnego solidaryzowania się z przedmiotem analizy. Ostatecznie więc cechą wspólną rozbieżnych nurtów powieściowych okazuje się ten sam cel poznawczy, tyle że przy problemie dociekliwości psychologicznej ten cel wynika z postawy czysto romantycznej pomnożonej o rozczarowanie, a natomiast inne, niezależne od romantycznego programu tendencje, czyniły z powieści instrument poznania społecznego. Ale chociaż z całkiem rozbieżnych punktów wyjścia, chociaż odmiennymi drogami — powieść jako gatunek literacki kieruje się ku tym samym celom.

Odmienną wymowę posiada twórczość Żmichowskiej. Tłem które najlepiej ją tłumaczy jest feminizm romantyczny. Kiedy Żmichowska debiutuje po roku 1840, ów feminizm cieszy się w Polsce powodzeniem i budzi ogólne zaciekawienie. Początki tego ruchu, pierwsze namiętne dyskusje kreśli źródłowo J. Hulewicz w książce „Sprawa wyższego wykształcenia kobiet w Polsce w wieku XIX" (Kraków, 1939). Tutaj z ówczesnego ruchu feministycznego wystarczy wspomnieć kwestie ważne dla literatury pięknej, a w szczególności dla Żmichowskiej. Feminizm, mimo że stanowi jedną z odnóg romantyzmu społecznego (por. feminizm sait-simonistów), nie posiada jeszcze w Polsce zabarwienia tak społecznego, jakiego nabierze w pozytywizmie głównie dzięki Orzeszkowej.

Ogranicza się do zainteresowania dla psychiki kobiecej, jej odrębności od psy chiki męskiej, zmierza ku wykreślaniu różnic i właściwości obu psychik. Ta większa w porównaniu z pozytywizmem bezinteresowność wypływa naturalni stąd, że dla kobiet pokolenia Żmichowskiej problem samodzielnej pracy zarob kowej nie stawał jeszcze tak jaskrawo, jak stanie dla generacji następnej. Je steśmy ciągle na wstępnych stopniach emancypacji.

Prąd feministyczny ciekawie odbije się w powieściach Żmichowskiej. On t sprawia, że jedynymi postaciami, które ta pisarka potrafi odtworzyć artystycz nie i zrozumieć psychologicznie, są kobiety. Żmichowska to pierwsza nauczy cielka nierzadkich we współczesnej literaturze polskiej pisarek, które tylk wobec postaci kobiecych są psychologami introspektywnymi i sięgają do faktów wewnętrznych, męskie natomiast postacie jedynie opisują według objawów ze wnętrznych, nie usiłując prawie nigdy zrekonstruować od wnętrza ich prawdy psychologicznej. U Żmichowskiej stanowisko takie było świadome. Uważała ona, że wobec ciągłego rwania się polskiej tkanki obyczajowej i kulturalnej na skutek nieszczęść narodowych, tylko kobieta, wsłuchująca się wiernie w prze rywane tętno tradycji, potrafi ją odtworzyć i psychologicznie uprawdopodobnić „Autobiografie zastanawiającej się nad sobą kobiety", jak zwała to Żmichowska stanowią zarazem historię psychologiczną pokoleń i opis dusz, które z musu przeżywając biernie wstrząsy dziejów, jak to było udziałem kobiet ówczesnych skazane są na analizę własnych reakcji, jako na jedyne świadectwo zdolne za notować i przekazać potomności ten kobiecy udział we wstrząsach sprawy. Naj lepsze powieści Żmichowskiej, „Biała róża" i „Czy to powieść" są takimi wła śnie historiami psychologicznymi pokoleń, kreślonymi przez pisarkę z równi trafnym artyzmem, jak i programową świadomością zamiarów — cechy, któr nie zwykły chodzić ze sobą w parze.

„Między dojrzałymi i dorastającymi w tej chwili generacjami wszystkim bra kuje tradycji, osobistej, rodzinnej tradycji — nitki się porwały śmiercią lub apatią, całe tłumy sierot musiały się bez ojców i matek chować — od stu la (za dwa lata) jedna warstwa po drugiej załamywała się i tylko pamięć ogólne katastrofy można było przechować. Szczegóły ginęły, na inne znów warstwy lodowy występował smutek — nie lubili mówić o tym co przebolałe, czemu si bezskutecznie poświęcili, lub przeciw czemu ciężkie były ich grzechy" — i t właśnie jest obowiązana wypowiedzieć za nich pisarka w formie analizy duszy kobiecej. („Kontur ogólny" do „Czy to powieść"). W ten sposób zarazem godz Żmichowska społeczno-poznawczą i analityczno-psychologiczną rolę powieści zapowiadając najwyraźniej, że „pomimo różnego marnotrawstwa i wszelkich niedoborów, uzbierałam jednak mój własny, mój zupełnie szczególnego gatunku kapitalik: a n a l i z ę wewnętrzną — tym mogę ludziom służyć".

Naturalnie powieści romantycznej jej smak, jej że tak powiem zawiesistość nadaje, jak w każdej zresztą epoce, specyficzna tematyka. Te ulubione tematy najlepiej wskaże przypomnienie pisarza, bez którego obraz powieści romantycz nej byłby mocno niezupełny. Kraszewski. Nie da się jego twórczości zacieśni do jednego tylko ze wskazanych nurtów. Górują w Kraszewskim dyspozycje

realistyczne, objawiające się przede wszystkim w niesamowitej wszechstronności tego pisarza: nie było w ciągu długiego żywota Kraszewskiego przemiany społecznej, prądu umysłowego, zjawiska narodowego, które by on pominął jako artysta. Tak samo nie pominął niczego, co istniało w tematyce powieści romantycznej. Na miejscu pierwszym — zagadnienie artysty romantycznego (w takich powieściach jak „Poeta i świat" oraz „Sfinks"). Znał ten problem Krasiński; w drugiej generacji romantycznej stosunek artysty do społeczeństwa jest rozstrząsany po wiele razy. Artysta trwa naturalnie w niezgodzie z rzeczywistością, nasycony jest skargami i rozczarowaniem, ale mimo to losu swojego nie pomieniałby z nikim przynależnym do szarych śmiertelników; Kraszewski moralizuje wprawdzie nad jego głową, ale sam wygląd problemu podaje w całkowitej zgodzie z wymaganiami estetyzmu romantycznego.

Na drugim miejscu tematów — ludowość przeszczepiona do powieści (np. „Ulana", „Chata za wsią" etc.). Ludowość znali doskonale pierwsi romantycy, ale przed rokiem 1830 występywała ona w otokach sentymentalizmu, pośród poszukiwań u ludu czarów i niezwykłości, podań i fantastyki. Ta ludowość udaje się obecnie lepiej, ponieważ pozbyła się, lub przynajmniej pragnie pozbyć sentymentalizmu i fantastyki, a na ich miejsce wprowadza realizm obyczajowy. Kraszewski jest pierwszym w tej ożywiającej przemianie.

Trzeci typ tematów, to niespotykane w tym wyglądzie ani później, ani wcześniej powieści filozofujące, pełne zagadnień teoriopoznawczych, pełne zwątpień bardzo a bardzo zasadniczych, jak np. „Pamiętniki nieznajomego", „Tomko Prawdzic". One to właśnie najlepiej oddają koloryt myślowy epoki, zwłaszcza kiedy połączy je pisarz z fantastyką i ironią, kiedy wśród niezwykłych przygód, czy w niecodziennym otoczeniu poczyna snuć swe rozmyślania filozoficzne. Tak jest np. w miłej historyjce Kraszewskiego „Maciek i Maciuś", opisującej filozoficzne posiedzenie kotów na dachu. Jeden z fragmentów kociej filozofii tak przedrzeźnia ludzką zarozumiałość:

„— Stworzenia, którymi otoczeni jesteśmy, oczywiście wszystkie dla naszego dobra i użytku są stworzone. Panowanie nasze nad nimi jest niezaprzeczone.

— Niezaprzeczone! — powtórzyło zgromadzenie.

— Niezaprzeczone więc także, ciągnął dalej mówca, są zasługi tych, którzy usiłują coraz mocniej poddać pod wyłączną władzę naszą wszystkie stworzenia nierozumne. Najużyteczniejszym z tych zwierząt jest człowiek, powolny, usłużny, całe życie usiłuje tylko przypodobać się kotom i wiernie im służy. Karmi ich, chowa przy sobie, ma staranie o młodych, daje chleb starym paraitykom, głaszcze ich, chucha i ogrzewa. Bezwątpienia ze sług naszych to najlepszy...

— Wnoszę pytanie, zawołał jeden, czy zwierzęta większe mają więcej rozumu od małych?

Cichość panowała powszechna, jeden powstał i zawołał:

— Gdyby tak było, człowiek więcej by miał rozumu od kota. A jednak tak nie jest, bo kot żyje i myśli, a człowiek rusza się tylko jak mysz. Gdyby miał

rozum, jadłby myszy i nie służyłby kotom, wypada więc, że nie ma rozumu a stworzony jest dla nas wyłącznie.

— O! — zawołał inny poeta. — Co za pocieszający widok, że cały ten świa jest naszym i dla nas tylko stworzonym, że wszystko nam służy, że noc przy bywa, abyśmy spali smaczniej, dzień dla połowu łatwiejszego, lato dla owo ców, zima dla odpoczynku i hodowania, wychowywania dzieci. Jakaby po winna być duma nasza widząc wywyższenie w jakim nad wszystkie niero zumne bydlęta pozostajem. My, koty!!

I wszyscy westchnęli rozczuleni".

Tak wyglądają główne właściwości oraz główne, w bardzo szkicowym skró cie nakreślone, etapy i formy rozwojowe powieści w okresie romantyzmu Streszczając to, co tutaj poruszano, można powtórzyć, że powieść u wstęp do romantyzmu po raz pierwszy w swojej karierze staje się rodzajem zapo wiadającym nowy prąd; zapowiedzią jest przede wszystkim powieść histo ryczna i romans sentymentalny. Najpierw urabia postawę romantyków po wieść historyczna; elementy analityczne przekazywane za pośrednictwem po wieści sentymentalnej poczną działać dopiero w drugim pokoleniu. W tym to pokoleniu ujawniają się również główne aspekty powieści romantyczne powieść jako obraz przemian społecznych, powieść jako urzeczywistnieni romantycznej swobody we władaniu formą literacką, powieść wreszcie jak zalążnia współczesnej analizy psychologicznej. Mianownik zaś wspólny brzm zwycięstwo gatunku literackiego pozbawionego rygorów normatywno-artystycz nych, zmierzającego do coraz skrupulatniejszego poznawania świata i czło wieka.

Pozostaje ostatnie pytanie. Dlaczego romantyczne pochodzenie powieści, ja ko gatunku samodzielnego i świadomego, rzadko bywa podkreślane przez ba daczy? Sądzę, że dlatego, ponieważ udzielne dziedzictwo, pozostawione prze powieść romantyczną, stało się później czymś oczywistym i poczęło przypa dać każdemu z następnych prądów literackich. Odpadły, naturalnie, pewn specyficzne tematy tego okresu, ale same typy powieści, wraz z określonym już wówczas ich zadaniami, — same te typy, jak przede wszystkim powieś historyczna i obyczajowa, wchodziły po kolei w skład dalszej fazy życia lite rackiego Równie dobrze realizmu, jak neoromantyzmu, czy powieści współ czesnej. Wszystkie jakości artystyczne, charakterystyczne dla powieści roman tycznej, uległy jak gdyby zneutralizowaniu. Zapomniano o ich romantycznym rodowodzie.

Romantyczna genealogia powieści posiada nadto pewną szerszą wymowę, je żeli od strony powieści spojrzeć nie w poromantyczną przyszłość tego gatun ku, lecz w jego niedawną — ze stanowiska romantyzmu naturalnie — przy szłość. Ta genealogia jest zarazem czymś w rodzaju no bilitacji. Bo chociaż liczne typy powieści są już w XVIII wieku przygo towane, ich pozycję w hierarchii gatunków ustala dopiero romantyzm. Rodo wód tej hierarchii jest romantyczny, jeżeli nań patrzeć z obecnego stanowiska

Stanowi nobilitację faktów już wcześniej się zarysowujących, jeżeli go oceniać
e stanowiska stulecia XVIII.

Powieść współczesna jest niczym podróżnik, który długo zwiedzał rozmaite
rainy. Który wszędzie się zadomowił, każdego nauczył języka, aż zapo-
niano, jakie to obywatelstwo ma wpisane w dokumentach. Chociaż pocho-
dzi z dawniejszych przodków, *de facto* jest to obywatelstwo romantyczne: za-
ówno programowo-romantyczne, jak — przede wszystkim — osiągnięte poza
rogramem literackim romantyzmu. Tego faktu nie godzi się pomijać, zarów-
o dla dobra romantyzmu, jak dla dobra samej powieści.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

DROGI POLSKIEJ POWIEŚCI XIX W.

Gdy chodzi o powieść, może nie tylko gdy chodzi o powieść, dwudziestolecie minione rozpatrywane być musi jako zamknięcie poprzedniego okresu politycznego rozbicia. W pewnym sensie wiek dwudziesty zaczyna się w Polsce po roku 1918. Niemniej wyraźnie w dziedzinie społecznej i ekonomicznej, jak w dziedzinie uprawy umysłowej. U progu tego okresu stoi Żeromski z „Przedwiośniem" i „Wiatrem od morza", ten Żeromski o którym Brzozowski napisał, że jest jak niewolnik, śpiewający na murach zwalonego Ilionu. U jego kresu — pokolenie nowych, młodych pisarzy, którzy nie zdążyli wydać przed wojną więcej nad jedną lub dwie książki. W nowym pokoleniu pisarskim spotyka się problemy, wyrosłe z nowych warunków ówczesnej polskiej i europejskiej rzeczywistości. Ale nikt z tego pokolenia, zarówno jak z pokolenia poprzedniego, urodzonego i wychowanego przed wojną 1914 r., nie daje żadnej wielkiej propozycji myślowej i moralnej, nie daje tego, co może dawać literatura: koncepcji życia, koncepcji kultury, koncepcji, wykraczającej poza świat jednostki.

Zasadniczym zagadnieniem kultury jest człowiek — i to uświadomienie zdaje się przenikać do głębi twórczość literacką dwudziestolecia. Rozpatrując jednostkę jako samowystarczalną monadę, nigdy jej nie zrozumiemy. Rozumiemy człowieka dopiero w otoczeniu środowiska. Zbiorowość jest nie tylko kręgiem zainteresowań i warunków, nie tylko sposobem, w jaki człowiek przeżywa swój czwarty wymiar czasu — jest faktem kulturalnym. Człowiek jako jednostka nie kształtuje działań społecznych, tak samo jak pojedyncza kropla wody nie określa kierunku nurtu. Działanie społeczne jest zawsze wynikiem starć tendencyj społecznych, obrazem zwycięskiej ideologii. Nie wystarczy więc kusić się o psychologiczne portrety pisarzy, trzeba odnieść ich do środowiska, z którego wyszli — i do tradycji kulturalnej, którą odziedziczyli. Ideologia rodzi się w grupie społecznej jako wyraz jej potrzeb i przez te potrzeby jako dążenie do określonych celów. Z innej strony, dialektyka idei nie daje obrazu niezłomnych praw, które wystarczy poznać, aby rozumieć bądź nawet przepowiadać bieg historii. Tego rodzaju pojmowanie socjologii, tworzące z niej teodyceę, jak najbardziej mija się z prawdą.

Początkowo rozwój człowieka mógł być dalszym ciągiem przyrodniczej ewolucji. Narodziny kultury zmieniły bieg spraw: rozwój człowieka odbywa się odtąd przez walkę z przyrodą, odbywa się po odrębnym, humanistycznym torze. Terenem rozwoju człowieka staje się związek społeczny, naród, klasa, a nigdy jakieś anonimowe środowisko. Życie, przez które człowiek przechodzi, ma swoją barwę, swój kolor — zmienny w epokach, uwarunkowany głęboko. Człowiek, tworzący własne dzieje, nie jest bezimienny. Analiza jako metoda jest słuszna tam, gdzie podkopuje istnienie przesądu, gdzie obala niekontrolowane fetysze. Zawodzi, gdy hamuje zdolność działania, gdy sama dla siebie staje się celem, gdy — wreszcie — stwarza mit myśli od życia niezależnej. Ten mit uniemożliwia poznanie prawdy, bo podkreśla zewnętrzny charakter życia społecznego, bo życie widzi jako pustynię, w której błąka się człowiek, nieszczęsna „naga dusza". Taka analiza hipnotyzuje siebie maskaradami i jałowieje w końcu w próżni.

Taką postawę duchową już Brzozowski w „Legendzie Młodej Polski" i w „Głosach wśród nocy" uważał za jedną z najzjadliwszych form oświeconego barbarzyństwa: uznawanie kultury jako gotowego wyniku, za który się nie ponosi odpowiedzialności, nagromadzenie na jednej płaszczyźnie myśli różnych epok. Nie tu jest bez wątpienia miejsce na wyczerpanie obecnego stosunku do Brzozowskiego. Wiele poglądów Brzozowskiego, z jego wiarą w czyn i w moc na czele, przeszło przez bankructwo i musi być opatrzone naklejką: uwaga, zbliżać się do tych miejsc krytycznie. Nie można jednak Brzozowskiego pomijać, gdy rozpatruje się kulturalne oblicze polskiego wieku XIX: odgrywa on dla nas tę mniej więcej rolę, co w swoim czasie dla Anglii Carlyle. Jeżeli jednak Spencer w swojej „Autobiografii" skarży się, że Carlyle był przejęty potrzebą wieszczenia i przeklinania jednocześnie, że codziennie szukał nowego celu dla swoich przekleństw, to Brzozowski inny styl ma myśl przywodzi: jego dar profetyczny, którego patos dzisiaj razi, jest skierowany przeciw pomnikom, przeciw patynie, którymi porosły. Brzozowski był rewizjonistą w wielkim stylu. Burząc, wskazywał jednak nowe wartości, spoza tynków małowartościowych fresków, spoza tynku wygodnego stosunku do kultury — dobywał nowe zasady powinności.

Niewątpliwie odzyskanie politycznej niepodległości nie ziściło tych nadziei na rozwój twórczości literackiej, które kołatały się wśród Polaków sprzed wojny 1914 r. Odzyskanie niepodległości miało przynieść wielką literaturę koncepcji i rozstrzygnięć. Nadzieje te okazały się utopią o szklanych domach. W literaturze dwudziestolecia dogasa co prawda kontynuacja prądów XIX stulecia, ale jaskrawo wybija się niesamodzielność powieści polskiej w stosunku do sztuki europejskiej, lęk przed dojrzeniem człowieka na tle jego rzeczywistego środowiska. Autor lubi się zamykać z postaciami literackimi w pokoju, w którym pisze. To był ten „wspólny pokój" z powieści Uniłowskiego. Analiza psychologiczna jednostki, odciętej od środowiska, może pretendować do estetycznej nieomylności. Tu, w tym pokoju, pisarz jest papieżem. Bronią go estetyczne pseudodogmaty.

Faktem niewątpliwym jest nieufność tego okresu wobec zbiorowości, zwłaszcza wobec tej formy zbiorowego życia, jaką jest państwo z „Wyzwolenia", na które czekano przecież lat 150. Może ktoś powiedzieć, że wielka sztuka rozwija się w inny sposób i że wielu wielkich pisarzy w ciągu całej swej twórczości nie spotyka się w ogóle z zagadnieniem państwa — ani Conrad, ani Hamsun, ani Flaubert, ani inni francuscy pisarze. Zarzut ten byłby połowicznie słuszny, a w całości zaś jest sztuczny. Nie chodzi o persyflaż wymierzony w ludzi z polityki jak „Mateusz Bigda", ani o ciąg dalszy Wyspiańskiego. Idzie tylko o stwierdzenie, że rok 1918 był w życiu polskim ważnym przełomem, tej wagi co najmniej co dla Francuzów rok 1789. Jest przeto naturalne, że bezpośrednio po r. 1918 nie zerwały się wichry literackie. Może jednak dziwić, że gdy około r. 1930—35 literatura wyraźnie już odpoczęła i gdy produkcja literacka tego okresu tak wielką zaznaczyła się różnorodnością, przewagę zyskiwać sobie zaczął rodzaj powieści-mitu, powieści o psychologicznym pseudonimie i dopiero kilka ostatnich lat przed wojną ukazywało słaby zaczątek reakcji.

Przyczyny tej nieufności wobec życia historycznego leżą głęboko. Podstawowym typem myśli ludzkiej jest prawo. Przez więcej niż stulecie ta dziedzina twórczości była dla Polaków zamknięta. Społeczeństwo przyzwyczaiło się w formach prawa publicznego, a więc w państwie, upatrywać czynnik narzuconego przymusu, czynnik konieczności. Romantyzm utwierdził przekonanie, że prawo istniejące, pozytywne — jest wynikiem przemocy. Doktryna o szkodliwym i bezdusznym prawodawcy, podjęta przez Rousseau, trafiła u nas na specjalne warunki: odpowiedzialna za losy narodu w w. XVIII warstwa szlachecka ugięła się przed przemocą siły. Prawo narodów w r. 1815 dało swą sankcję rozbiorom. Romantyzm działał jako „pokrzepienie serc" i przeprowadzał psycho-moralną sublimację rzeczywistości. Nie mogąc rozegrać kampanii o Polskę w sferze historii, traktował duch szlachecki swoją klęskę jako akt niesprawiedliwej krzywdy. Powstawała wiara w nadejście epoki sprawiedliwej, kiedy nie siła dziejowego działania, związana z gospodarczo-społecznym podłożem, lecz etyczna doskonałość będzie rozstrzygać. Romantyzm polski z idei cierpienia tworzy kanon przyszłej epoki. Goethe ukazał estetyczne znaczenie mitu, polski mit romantyczny w literaturze — i poza literaturą — stał się transpozycją i rozszerzeniem znaczenia cierpienia. Eloa, zrodzona z łzy litosnej Chrystusa, z de Vigny'ego, objęła tron w polskiej twórczości romantycznej. Emigracja, oderwana od codziennych procesów społecznych kraju, została z cierpieniem sam na sam.

Naród żyje w historii i w twórczości kulturalnej. Bunt przeciw rozumowi, który na Zachodzie nie odniósł zwycięstwa poza opłotkami literatury, w polskich warunkach, osiągnąwszy tryumf w poezji, osiągnął tryumf całkowity. Teraz poezja stawała się myślą, a cierpienie wznosiło się jako problem nie tylko przed emigracją, lecz przed całym narodem: jeśli by się załamał pod ciężarem cierpienia, zginąłby, nie doczekawszy lepszej przyszłości. Czyniąc z cierpienia próbę moralną przez poświęcenie i wyrzeczenie, dała literatura romantyczna narodowi środek ratunku przed zagładą, a także formę świadomości kulturalnej.

JERZY WOLFF: CZYTAJĄCA

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

Jako narzędzie politycznego przetrwania zbawienny, na cierpieniu oparty mit kulturalny nie mógł na długo wystarczyć narodowi, który bronił się przed grobem, lecz i przed ograniczeniem życia.

W mroźnym milczeniu lat najbliższych po załamaniu się 1863 r. rosło przeświadczenie, że cierpienie, nawet heroiczne, nie tworzy warunków zwycięstwa i nie wystarcza jako czynnik, który by nadał narodowi koncepcję polityczną. Załamanie się powstań i rozwój przemysłu w kraju oraz reformy włościańskie przyśpieszyły powoli się posuwający proces likwidacji warstwy szlacheckiej. W pierwszej połowie XIX w. wielka rewolucja przemysłowa, która stanowiła pole doświadczeń Marksa i Engelsa, ograniczyła się właściwie do Anglii. Potęgę przemysłową Niemiec na wielką skalę tworzy dopiero Bismarck po r. 1870. W Polsce tworzy się wówczas nowy typ panującej świadomości, oparty na warstwie mieszczańskiej. Literatura z kierowniczej dotąd roli przeszła do charakteru służebnego: miała pomagać, miała być doradcą, nawet nauczycielem.

Mieszczaństwo polskie stanowi formację dość wyjątkową. Na Zachodzie kapitanowie przemysłu wywodzili się z dawnej ludności handlowej. W Polsce przemysł wielki jest tworzony przez ręce obce, żydowskie bądź niemieckie. Niemcy ulegają w masie asymilacji, Żydzi pozostają jako republika obcych. Rdzennie polskie mieszczaństwo poza światem rzemieślniczym występuje w całkiem nikłym procencie. Po r. 1863 rozpoczyna się dopływ przedstawicieli warstwy szlacheckiej, którzy bądź jak Połaniecki biorą się do handlu, bądź osiadają w miastach jako przedstawiciele zawodów wolnych, a później — szczególnie w Małopolsce — przenikają do administracji publicznej. Swój pobyt w mieście przedstawiciele warstwy szlacheckiej traktują początkowo jako stan przejściowy i żyją, jak Połaniecki, myślą o Krzemieniu. Rzeczywistość w większości wypadków chce inaczej. Proces asymilacji tych ludzi ze środowiskiem miejskim jest jednak powolny i trudny. Nie rozumieją swojej nowej roli, w wytwórcy, człowieku świeżej daty, pozbawionym tradycji, widzą na ogół tyle, ile Łączcy z „Lalki" Prusa dostrzegają w Wokulskim. Szlachecka tradycja staje się momentem wyższości, obroną przed zdeklasowaniem. Brak udziału w procesach wytwórczych poczytywany jest za drugi moment wyższości. Powstająca w mieszczaństwie grupa inteligencka podkreśla ważność faktu, iż jej znaczenie oparte jest o myśl niezależną od pracy wytwórczej, od warsztatów i kantorów z „Ziemi Obiecanej" Reymonta.

W końcu XIX w. następuje w mieszczaństwie rozdział na grupę drobnomieszczańską i grupę inteligencką, która wchłonęła prócz zawodów wolnych i pracowników umysłowych także zamożniejsze mieszczaństwo. W ten sposób do świadomości inteligenckiej przenika w skąpy sposób pierwiastek ideologii mieszczańskiej. W szerszym za to stopniu przedostają się w jej obręb pierwiastki psychiki szlacheckiej w ich poromantycznych formach, mianowicie w kształcie usprawiedliwienia swej życiowej porażki, w kształcie niewygasłej tęsknoty za utraconymi siedliskami. Ludzie, wyrwani z warunków swej warstwy, z nią jedną się ciągle liczą, z jej opinią. Ten motyw świetnie uchwyciła Dąbrowska w stosunku Barbary Niechcicowej do Krępskich.

Gdy wziąć linię rozwojową powieści polskiej w XIX w., uderzy w niej — w porównaniu z literaturą francuską — brak wielu ogniw. Nie ma w niej Balzaca, nie ma w niej Stendhala, oczywiście nie w roli genetycznych czy psychologicznych odpowiedników, lecz w sensie historyczno-literackiej roli tych pisarzy. Różnica jest zresztą bardziej jeszcze zasadnicza. We francuskim wieku XIX istnieje bilateralizm, dwutorowość tradycji klasycznej XVIII w. i tradycji romantycznej. Tego rozdwojenia w terenie polskiej powieści nie ma. W skali tego, co jest ważne, a nie tylko w skali bibliograficznych zapisków, powieść polska zaczyna się od Kraszewskiego. Jako powieściopisarz, jako artysta, wytyczył on drogę rozwojowi powieści w Polsce: nie analiza pobudek postępowania, nie analiza charakteru i nie rysunek namiętności ludzkich jest osią jego powieści, lecz zagadnienie stosunku bohatera do idei, do czegoś, stojącego na zewnątrz duszy człowieka, do czegoś, co można by nazwać imperatywem społecznym. Treść tego imperatywu społecznego u Kraszewskiego nie jest jednolita. We wcześniejszej fazie wzrasta na glebie romantycznej, w późniejszej — imperatyw ten nabiera cech bardziej osobistych, bardziej wewnętrznych. Narodziny owego imperatywu mają źródło w treści polskiego romantyzmu, w obowiązkach moralnych, które romantyzm nakładał każdemu Polakowi.

Imperatyw społeczny jako oś zainteresowań powieści przetrwał w okresie późniejszym, pozytywistycznym, zarówno u Prusa jak u Orzeszkowej. Zmienił w sposób wyraźny swą treść; została ona dostosowana do ducha popowstaniowej postawy pozytywistycznej, a zarazem wzbogaciła się o nowe widzenie społeczne, o rys humanitarny. Jednocześnie, szczególnie w powieści Prusa, na powierzchnię wypływa zagadnienie charakteru, które Kraszewskiego zajęło wyraźniej dopiero pod koniec jego twórczości. Rysunek bohatera pod wpływem powieści francuskiej staje się u Prusa wyrazistszy i nie podporządkowany już tak całkowicie wymaganiom społecznego imperatywu. Charakter zyskuje autonomię, nabiera własności indywidualnych. Bohaterowie Prusa są o wiele bliżsi światu Balzaca niż współczesnej Prusowi powieści francuskiej. Rzecki jest ileż — zresztą — mocniejszy w rysunku niż napoleonidzi Balzaca, niż nawet generał Hulot!

Prus wydaje się najprawdziwszym pisarzem polskiego mieszczaństwa. Wokulski daje miarę, jak bardzo mieszczaństwo polskie czuło się zależne od szlacheckiej tradycji — w braku własnej, jak w tych warunkach styl inteligencko-szlachecki musiał nabrać cech orientacji kulturalnej. We Francji mieszczaństwo miało tradycję wielkiej rewolucji, w Anglii — zwycięstwo nad Stuartami, Cromwella i tryumf wigów w XVIII w., tryumf ostateczny, którego przypieczętowaniem stało się w XIX w. zniesienie ceł zbożowych i reformy ordynacji wyborczej. U nas zaledwie wątły epizod Dekerta i Kilińskiego, szczypta wigów i jakobinizm w maleńkich porcjach. Ideologia mieszczaństwa zachodnio-europejskiego w początkach XIX w., w okresie rewolucji przemysłowej, jest wytworem radykalizmu i idei demokracji. Na dobrą sprawę, przetrwa w tej formie do czasów Gladstone'a. Wtedy dopiero zaznaczy się konserwatywna reakcja jako wynik utrwalenia swojej zdobyczy. Radykalizm nabiera cech herezji; two-

rzy się już jednak idea, która go przyjmie jako wyznanie: marksizm w jego różnych odmianach.

Na Prusie i Orzeszkowej kończy się krótkotrwały w Polsce okres mieszczańskiego radykalizmu w literaturze. Świętochowski, wódz duchowy pokolenia, przesuwa się ku pozycjom umiarkowanym, wytyczonym na rumowiskach poglądu na świat, opartego na wierze w zdobycze nauk przyrodniczych, w buckle'owski i mechanistyczny model świata. Wizja naturalistyczna, której chronologiczne opóźnienie w stosunku do literatury francuskiej jest widoczne, kołacze się w polskiej literaturze niesłychanie długo — od Dygasińskiego do Reymonta. Pod piórem Reymonta powstają najcelniejsze powieści polskiego naturalizmu — „Chłopi" i „Ziemia obiecana". Bohaterowie Reymonta, inaczej niż bohaterowie Zoli, nie noszą w sobie zarodków dekompozycji. Naturalizm Reymonta jest przeniknięty głęboko — powierzchownym, mimo wszystko — optymizmem. Bohaterów Reymonta cechuje pewien prymitywizm psychiczny: nie dlatego, że nie istnieje dla nich imperatyw społeczny w rozumieniu Prusa czy Orzeszkowej. Od tych obowiązków ludzie Reymonta są uwolnieni, ich motorem działania jest nieomal fizjologiczne uczucie potrzeby, która — inaczej niż u Zoli — może być zaspokojona.

Cykl Zoli „Rougon Macquart" dają obraz świata, w którym nie można wytrzymać, który musi się kończyć Sedanem — takim czy innym. Bohaterowie „Ziemi Obiecanej" są przystosowani do mechanizmu nieludzkiego swego życia, duszą się we własnym ciśnieniu, ale potrafią mu sprostać. Jad otoczenia, jad środowiska przenika ich tak głęboko, że go nie czują. Nie czują potrzeby protestu. Pod tym względem Połaniecki jest do nich podobny: ani na chwilę nie zastanawia się, że jego metody handlowe są typową spekulacją. Połaniecki wytrzymuje klimat wilczej walki o powodzenie i wróci do Krzemienia. Wróci i podejmie nić tradycji szlacheckiej, do końca nie zrozumiawszy, że jego powrót nie jest moralny, bo chociaż legalny — nie daje mu możności nawiązania istotnego do tradycji. Imperatyw społeczny Połanieckiego jest fałszywy już nie tylko etycznie i społecznie. Sienkiewicz intronizuje rodzinę pani Maryni w Krzemieniu nie bez tryumfu, choć my oczekiwalibyśmy ironii, tej ironii, z jaką Flaubert w ostatnim zdaniu swej powieści zapowiadał, że pan Homais ma być odznaczony Legią Honorową.

Bohaterowie polskiego naturalizmu budzą niechęć lub obojętność. Druga część zdania dotyczy np. Borynów. Konflikty Borynów rozgrywają się pod zamkniętą pokrywą i w tym znaczeniu są podwójnie wewnętrzne. Dzieją się w świecie izolowanym społecznie i ten moment umniejsza wagę „Chłopów". Natomiast Sienkiewicz był twórcą, który treść imperatywu społecznego położył u fundamentów swego pisarstwa. Imperatyw społeczny nie tyle jest sprawą jego bohaterów, ile jego własną, sprawą autora. Jest to niemal wyjątkowe w literaturze europejskiej, ale nie wyjątkowe w polskiej, zjawisko twórczości o typie dydaktycznym. Powieść historyczna Sienkiewicza, inaczej niż u Walter Scotta, nie jest eksploracją przeszłości, ale też w całkiem ograniczonym sensie służy do mówienia o czasie współczesnym. Jej zadanie stanowi „krzepie-

nie serc", jedna z tych funkcyj, które nakładała na siebie literatura romantyczna. Sienkiewicz nie sądzi ani współczesności, ani nawet przeszłości: szuka kamienia węgielnego dla nadziei. W takich wypadkach musi się być optymistą. Jest to *parti pris* — i dlatego sąd Sienkiewicza o przeszłości jest w większości wypadków nieprawdziwy, dowolny; czasami nie jest wcale sądem, a jak „Quo Vadis" — malowidłem à la Siemiradzki.

Dlatego to Sienkiewicz w sposób mimowolny wykazuje, jak trudno było inteligencji polskiej zerwać z tradycją szlachecką. Hasło postępu, ogłoszone przez Świętochowskiego, opierało się na idei obowiązku i sprawiedliwości. Sienkiewicz i jego zwolennicy przeciwstawili się treści tego hasła, czego miarą stało się „Bez dogmatu". Albo też zostawiwszy na tarczach słowo postęp, za obowiązek uznali przyjęcie racjonalizmu nauk przyrodniczych, z doktryną spencerowskiej ewolucji włącznie, a natomiast za sprawiedliwość — pobłażliwe wyrozumienie i optymizm wobec tradycji historycznej. Wobec tradycji królewiąt, tradycji Jeremiego, Sienkiewicz jest zresztą wyrozumialszy, niż uznany za herolda ginących praw arystokracji Weyssenhoff wobec Zbąskich i Zbaraskich w „Sprawie Dołęgi".

Przybyszewski jest tym — obok Reymonta — wybitnym powieściopisarzem dziewiętnastego stulecia, który jest niezainteresowany imperatywem społecznym. Bohaterowie jego są wsparci o koncepcję namiętności, o wizję życia nacechowaną pesymizmem i piętnem samotności. Koncepcja ta nie wyrosła z polskiej literackiej tradycji, lecz zjawiła się z obcych europejskich literatur i zapewne dlatego „naga dusza" oddziałała na współczesne pokolenie poetów, lecz nie wyżłobiła dróg oddziaływania na powieść. „Mocny człowiek" Przybyszewskiego jest jak bohaterowie europejskiego modernizmu, jak Nagel z „Misteriów" Hamsuna, jak postacie z ówczesnej literatury niemieckiej, oderwany od historii, oderwany od społeczeństwa. Duszę rozszczepia mu charakterystyczna szczelina. Przy całej tęsknocie do mocy, przy całej sile namiętności — jest niezdolny do czynu, a zdolny tylko do histerii. Jego namiętność jest fałszywa, zamierzona, a nie osiągnięta. Jest ostatecznie rodzajem pozy i daje ten efekt, na jaki poza się zdobyć potrafi — dziwactwo i kaprys. W tym właśnie jest znaczenie Przybyszewskiego, że przyswoił naszej literaturze te formy szamotania się z niemocą, które przeżywała ówczesna literatura europejska. Jego znaczenie można by porównać do potężnej dawki narkotyku: zażycie tego narkotyku wzmocniło przebieg reakcji, dało jej patologiczne formy, podkreśliło charakter tej reakcji, jej destrukcyjną wymowę. Destrukcyjną wobec osobowości. Mocny człowiek — to najstarszy z synowców Połanieckiego, młodszy brat Płoszowskiego. Pustka wewnętrzna Połanieckiego i Płoszowskiego tworzyła głód, który musiał być jakoś zaspokojony, nasycony.

Ale przeświadczenia, które wnosi mocny człowiek, są czymś, co nie u nas zostało wytworzone. Do tych przeświadczeń dochodzi inteligencja polska jako do gotowego wyniku — w tym sensie jest to narkotyk i w tym sensie na jaw wydobywa się rozpaczliwa niesamodzielność ówczesnej polskiej kulturalnej myśli.

Schyłek XIX w. jest w Europie, ogólnie ujmując, okresem pesymizmu i pustki okresem, kiedy zanika koncepcja treści twórczej. „My żyjemy cieniem przeszłości — powtarzał Brzozowski słowa Renana — czym będzie żyła przyszłość?" „Żaden z naszych okresów poetyckich nie obejmował poetów tak dosłownie werbalnych — pisze Thibaudet w artykule o symbolizmie z marca 1912 r. — i którzy z tego zdawali sobie sprawę i którzy dlatego cierpieli. Względna bezpłodność Mallarmé pochodzi stąd, że nie znalazł on nic, co mógłby opiewać a to, o czym mówił, było właśnie brakiem, niedostatkiem bytu... Symbolizm był próbą poezji czystej, próbą usunięcia z wiersza wszystkiego, co wywodzi się z prozy, z logiki łączącej, z konwencji i ze zwyczaju". W tym poczuciu załamania się wartości bierze początek nieufność w stosunku do pojęcia stałego czasu jaką Mann kładzie w duszę Castorpa z „Czarodziejskiej Góry". To ogólne zjawisko należy zrozumieć i ocenić; nie chodzi o to, aby je potępiać, ale aby zrozumieć kulturalne tło epoki, odmalowanej w najpełniejszy sposób w „Próchnie" Berenta. Zdarza się często w literaturze, że warunki mijają, lecz ciążenie tradycji jeszcze wciąż działa. Takie tradycje bezsilne i pasożytnicze należy wykryć i odrzucić.

W essay'u „Kryzys literatury rosyjskiej" starał się Brzozowski wykazać źródła tego dreszczu obrzydzenia do życia, którym ogarnięta była umysłowość europejska u schyłku XIX stulecia, kiedy świat duchowy — jak w zakończeniu „Buddenbrooków" dla młodego ich bohatera — staje się przedmiotem estetycznego opracowania i duchowej kontemplacji, kiedy zatraca się zdolność snucia linii. Na tym tle rodzi się owo pełne nagany — i obłudy — westchnienie bohaterów Przybyszewskiego: „podłe życie, co ono zrobiło z człowieka".

Dramat schyłku XIX w. jest dramatem intelektualistów, który objął całą niemal inteligencję. Przybyszewski to świadectwo, że dramat ten ogarnął również polską świadomość kulturalną. Próby pokonania trudności, które w takiej Francji wiążą się z działalnością Barrèsa, Gide'a czy Romain Rollanda, będziemy widzieli i w Polsce.

Działalność pisarska Balickiego czy Dmowskiego wywarła w Polsce na literaturę wpływ dużo mniejszy, niż we Francji pisma przywódców „Action Française". Inteligencja tzw. postępowa, dla której hasło postępu coraz bardziej staje się okopami św. Trójcy, skąd myśl niezależna od rozwoju życia, a kierowana przez racjonalizm logiki, ma uporządkować świat zewnętrzny, pod koniec XIX wieku częściowo odpływa w stronę sztandarów Balickiego. Zjednuje tej część inteligencji jego realizm i trzeźwość oraz działalność wsparta o zasadę nowej etyki, że realne dobro konkretnego społeczeństwa, do którego jednostka należy, jest ostateczną wartością. Ze strony obozu Dmowskiego pada potępienie powstań zbrojnych, podobne myśli Popiela i St. Tarnowskiego — w imię narodowego *vetera et tradita*. Tradycjonalizm tego obozu, z pozoru tak rewolucyjny w swoim historycznym rewizjonizmie, nie rezygnuje ze staroszlacheckiego spadku dobrej Rzeczypospolitej, odnowionego niedawno przez Sienkiewicza. Przejmuje linię antyromantycznej reakcji po roku 1863.

Kiedy to się dokonuje wśród przemian inteligenckich, powieść staje się do-

eną innych bogów. Neoromantyzm Żeromskiego i Struga wysuwa kult boha-
rstwa i poświęcenia, bohaterstwo i poświęcenie stają się treścią odnowionego
nperatywu społecznego powieści. Żeromski i Strug wydobywają się poza kre-
owe koło schyłkowego intelektualizmu. Pada nie wołanie o czyn, lecz tworzy
ę gloria poświęcenia. Romantyczny problem Gustawa z „Dziadów" odżywa
konflikcie duchowym dra Judyma. Bohater powieści nie jest rozpatrywany
ko charakter, lecz charakter jego jest traktowany pod kątem zdolności do
fiary, do rezygnacji ze siebie, do poświęcenia na ołtarzu imperatywu. Za Że-
omskim i Strugiem staje pewna ideologia społeczna, ideologia postępowej in-
ligencji, która zawiera sojusz z socjalizmem. Imperatyw społeczny Żerom-
kiego i Struga, jak kiedyś imperatyw Prusa i Orzeszkowej, zawiera nie tylko
eść narodową, lecz przede wszystkim socjalną. Szczególnie Żeromski znalazł
ę na tej linii. Stanowi to bowiem cechę charakterystyczną literatury polskiej,
„serce" oznacza w niej solidaryzowanie się ze sprawą upośledzonych i po-
żonych, z walką o sprawiedliwość społeczną. Nie oznacza spraw indywi-
ualnych, „tajników serca" w rozumieniu spowiedzi miłości, w rozumieniu po-
ieści francuskiej.

Wpływ Żeromskiego na współczesnych był ogromny. W jego cieniu po-
staje twórczość Struga i Daniłowskiego, w jego cieniu stoi jedna z pierw-
ych powieści Nałkowskiej „Książę". Charakterystyczne, że wpływ ten urya
a się w dwudziestoleciu 1918—1939. Tak na Żeromskim kończy się w lite-
aturze polskiej wiek XIX, wiek imperatywu społecznego.

Staraliśmy się wykazać poprzednio, jakimi drogami doszło we Francji do
aniku bohatera w powieści. W literaturze polskiej, pod wieloma względami
k czułej na etapy rozwoju powieści francuskiej, zwłaszcza w drugiej poło-
ie XIX wieku i w okresie powojennym, koleje bohatera literackiego są inne:
dy literaturze zabraknie imperatywu społecznego, bohater w powieści polskiej
aje się *moribundem*. Studium namiętności, koncepcja życia, nigdy, poza
rzybyszewskim i Reymontem, nie były zasadniczą ambicją pol-
kiej powieści. Ale już u Reymonta była to ambicja w ograniczonym mocno
ydaniu. W tych warunkach tradycja bohatera stanowiła tradycję impe-
atywu społecznego. Ale nawet pod tą formą od czasów Prusa rysunek cha-
akteru staje się linią dekompozycji. Nie w tym sensie, aby bohaterowie pol-
kiej powieści byli coraz gorsi moralnie, ale w tym znaczeniu, że są coraz mniej
ojeni psychicznie, że ulegają procesowi rozluźnienia wewnętrznych więzów —
zasadzie podobnemu, acz mniej wyrazistemu, niż w literaturze francuskiej.
Najsilniejszym w sensie literackim, najbardziej wyrazistym jako koncepcja
ycia, pozostanie po XIX w. Wokulski Prusa. Tej doskonałości rysunku lite-
ackiego nie osiągnięto i w dwudziestoleciu międzywojennym. Nie osiągnął tej
yrazistości, nie mówiąc już o Sienkiewiczu, nawet Żeromski — poza może
ostacią Cezarego Baryki. Z tym wszystkim należy podkreślić, że imperatyw
ołeczny jest wizją życia, jest tym, co może zastąpić namiętność, co może
ać się namiętnością wewnętrzną. Będzie on jednak stanowić klucz do zro-
umienia tajemnicy, dlaczego powieść polska XIX w. — z niewielu wyjątka-

mi — jest nieczytelna w znaczeniu europejskim. Jej koncepcje życia są umi
scowione geograficznie. Egzotyzm powieści rosyjskiej ma psychologiczny ch
rakter — i ostatecznie nie Gleb Uspieński i nawet nie Gogol zdobyli Euro
lecz Dostojewski i Tołstoj. Egzotyzm powieści polskiej wymaga nie tylko zn
jomości geografii, lecz i historii.

Jedną tylko można wskazać powieść polską tego okresu, która dla Eur
py nie byłaby w tym sensie egzotyczna, a mianowicie „Pałubę" Irzykowskieg
cóż kiedy ta właśnie powieść jest egzotyczna dla polskiej publiczności. N
wiem, czy możnaby naliczyć wśród żyjących dwudziestu czytelników „Pałuby
Nie jest to jednak powieść w ścisłym sensie tego pojęcia, a raczej dzieło z z
kresu teorii literatury jako premia twórczości pisarskiej, co jednak nie osłab
jego wyjątkowej wymowy.

Dlatego to, jeżeli twierdzimy, że wiek XIX sięga w literaturze polskiej
wojnę światową, to nie z uwagi nawet na konstrukcję imperatywu społeczneg
lecz na linię problematyki. Pokolenie, dla którego pisali Wyspiański i Żero
ski, wykarmione pokarmem Buckle'a, Darwina i Spencera, żyło zarazem w ż
wych tradycjach polskiego romantyzmu, było związane spadkiem tradycji szl
checkiej, było pozbawione państwa. Cały problem tradycji szlacheckiej był z
gadnieniem winy wobec utraty państwa, był problemem niedojrzałości. P
wieść polska XIX wieku podjęła tę sprawę — jak uzyskać ma naród swoją
storyczną dojrzałość. Nie było to przekroczeniem granic literackiej komp
tencji, ani jakąś funkcją służebną, narzuconą literaturze. Nie istnieją zagadn
nia pozaliterackie, istnieje tylko kwestia ich należytego artystycznego op
nowania, jak wykazuje przykład „Czarodziejskiej góry", obficie wypakow
nej wiadomościami *de omni re scibili*, nie wyłączając biologii i chemii. Nie
to jednak zewnętrzne części powieści, lecz ogniwa kompozycji, niezbęd
wprost w tym dramacie człowieka, który wobec nieskończoności czasu i prz
strzeni stoi samotny i dla siebie nieznany.

Ten centralny problem powieści XIX wieku wygasł na progu dwudziest
lecia. Podjęty już nie został w minionych latach międzywojennych. Na pod
cie czeka.

WSPOMNIENIA M. PRUSZYŃSKIEGO ORAZ J. PAPUGI, DRUKOWANE W L
TACH WOJNY W LONDYŃSKIM MIESIĘCZNIKU „NOWA POLSKA" ZŁOŻO
ZOSTAŁY REDAKCJI TWÓRCZOŚCI BEZPOŚREDNIO PRZEZ AUTORÓW I UK
ZUJĄ SIĘ NIEZALEŻNIE OD ICH PRZEDRUKU W ANTOLOGII LITERATU
NA EMIGRACJI (ŁÓDŹ 1946). W TEKŚCIE M. PRUSZYŃSKIEGO PODAJEMY PI
NE NAZWISKA WYSTĘPUJĄCYCH OSÓB.

SPRAWOZDANIA

SALON WIOSENNY W WARSZAWIE

Salon wiosenny o charakterze ogólnopolskim, urządzony przez Związek Zawodowy Artystów Plastyków w Warszawie w salach Muzeum Narodowego, stanowi niewątpliwie poważne wydarzenie w naszym życiu artystycznym. Pierwsza to po wyzwoleniu manifestacja polskich artystów, zakrojona na taką skalę. Wprawdzie we wrześniu ub. r. z okazji zjazdu wszystkich związków artystycznych odbyła się w Krakowie również wystawa o znaczeniu ogólniejszym, reprezentowany na niej był jednak prawie wyłącznie Kraków. Miasto to przedstawia najżywotniejsze środowisko artystyczne, jeśli chodzi o plastyków, ale zebrane dzieła nie obrazowały dostatecznie aktualnego stanu sztuki polskiej. Zadanie to spełnia dopiero obecny Salon Wiosenny.

W ramach programu artystycznego przewidywane są co roku dwie duże wystawy, wiosenna w Warszawie, jesienna w Krakowie. Organizować je będzie Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków, co daje gwarancję możliwie daleko posuniętego obiektywizmu w doborze dzieł, jeśli idzie o ich tendencję artystyczną. Sądząc bowiem z dotychczasowych wystaw krakowskich, stracił Związek Zawodowy Plastyków bojowość, przejawianą w latach przedwojennych. Dziś, gdy spada nań przede wszystkim obowiązek czuwania nad interesami zawodowymi artystów — zmaganie się dążeń artystycznych odbywa się jak gdyby na planie dalszym. Stoimy wobec przemiany w sztuce polskiej, przemiany już dokonanej i zwycięskiej. Dla artystów i ludzi związanych z sztuką zmiana ta nie stanowi żadnej niespodzianki. Jest ona produktem dłuższego rozwoju, który w ciężkich latach okupacji dojrzał i nabrał cech pewnej trwałości. Dla tych więc, którzy czy to twórczo, czy w roli obserwatora brali udział w formowaniu się nowych podstaw twórczych współczesnego malarstwa polskiego, obecny Salon Wiosenny jest tylko potwierdzeniem wartości, o które walczyło w latach przedwojennych świadome swych dróg i idei pokolenie artystów. Salon Wiosenny roku 1946 jest jakby kamieniem granicznym między dwiema epokami, przedwojenną i tą, która nadchodzi. Sumuje zdobycze i ukazuje braki.

Salon Wiosenny daje bilans wysiłków twórczych i naprawdę długoletnich, jeżeli dodać lata okupacji. Okazuje się, że te lata tylko z pozoru nie są zapisane w naszej ewolucji artystycznej. W rzeczywistości pogłębiły one nader wydatnie te sprzeczności, które już przed wojną się wyczuwało, sprawiły, że zapóźnieni w rozwoju zapóźnili się jeszcze bardziej. Dzisiaj w sposób definitywny „wykończyły się" różne, mniej czy bardziej oficjalne „wielkości" artystyczne, które przed wojną tylko dzięki różnym stosunkom utrzymywały się jeszcze na widowni, mimo oczywistego już wtedy epigonizmu. Daleko posunięty obiektywizm, jaki narzuca charakter zawodowy Związku Plastyków, musiał dopuścić tych malarzy na obecny Salon. Stąd w jednej ze sal wystawowych „straszy" wspomnieniem dawnej „Zachęty", ale to nie szkodzi; tym bardziej prawem kontrastu zaznacza się twórczy wysiłek pokolenia artystów, które obecnie doszło do głosu.

Tendencję artystyczną, która góruje w dzisiejszym malarstwie polskim, określa się powszechnie nazwą kapizmu (nazwa od *Komitetu Paryskiego* uczniów profesora Pankiewicza, K. P.). Jest to o tyle niesłuszne, że nie wszyscy artyści wyszli z kapizmu, zresztą dzieła wielu z malarzy ozna-

czanych tą nazwą zbiorową są zaprzeczeniem programu kapistów. Kapiści stanowili grupę o zupełnie zdecydowanym światopoglądzie malarskim. Nawiązując do zdobyczy impresjonizmu, ściślej mówiąc postimpresjonizmu, kształtowali swą barwną wizję świata przy pomocy plam i plamek barwnych, o których układzie decydował jednak odmienny niż u pierwotnych impresjonistów stosunek do świata zewnętrznego. Ten odmienny stosunek sprawiał, że w ich postawie nie było epigonizmu, lecz że była ona związana z nowszymi prądami artystycznymi. Jedni z kapistów nawiązywali do dzieł pierwszych impresjonistów, inni zaś, zasugerowani czarodziejską wizją Bonnarda, podejmowali jego sposoby malowania. Nie da się zaprzeczyć, że w malarstwie polskim doby ostatniej wysiłek kapistów stanowi jeden z najżywotniejszych, jeśli nie głównych przejawów artystycznych. Związek bowiem niewątpliwy i bardzo ścisły z malarstwem francuskim nie stanął na przeszkodzie wyzwoleniu się pewnych odrębnych, tylko naszym artystom właściwych cech, które przejawiają się w elementach formalnych, w ukształtowaniu wizji barwnej.

Przede wszystkim jednak stworzyli kapiści wysokie wymagania dotyczące świadomości plastycznej. Salon Wiosenny ten wpływ mocno potwierdza. O istocie poszukiwań naszych czołowych malarzy decyduje obecnie jedynie troska o wartości czysto artystyczne. Uboczne czy zbędne dodatki, jak tematyka lub poszukiwanie stylu narodowego w powierzchownych akcesoriach, co stawało się niejednokrotnie klątwą naszego malarstwa, zeszły na plan całkiem drugorzędny. Stało się to niewątpliwie za sprawą kapistów, ale nie tylko za ich sprawą. W całym żywotnym malarstwie polskim dominuje dzisiaj zagadnienie koloru. Ukaże to przykład artysty, którego dzieła niewątpliwie wybijają się w Salonie, a który przecież rozpoczynał pracę pomiędzy formistami. Tak więc problem koloru jest obecnie określeniem szerokim, a jego ujęcie przez kapistów swoistym, odrębnym systemem kształtowania tego problemu.

Salon Wiosenny 1946 w doborze zebranych dzieł pozwala na sformułowanie naszego stosunku do osiągnięć malarstwa polskiego w dziedzinie koloru i do osądzenia wysiłków samych kapistów, pozwala wreszcie na wyciągnięcie wniosków ogólniejszej natury. Przed tym jednak zajmiemy się samymi dziełami interesujących nas artystów.

Siłą indywidualności wysuwa się na plan pierwszy Zbigniew Pronaszko. Sąd ten popieram zarówno kryteriam obiektywnej oceny jak i wynikiem subiektywnego przeżycia, potwierdzonego ponadto w rozlicznych dyskusjach z artystami z różnych dziedzin twórczości. Dwa wystawione obrazy Pronaszki utwierdzają jego stanowisko w przodującej stawce malarstwa polskiego. *Gitarzysta* (wystawiony w grudniu w Krakowie, najlepszy obraz minionego sezonu wystawowego) jest studium portretowym starszego mężczyzny w żółtym, stylowym stroju, w czerwonej czapce na głowie, na czerwonym tle, siedzącego w fotelu. Mamy tu równocześnie dwa problemy, kolorystyczny (formalny), który łączy się z drugim zagadnieniem: pogłębienia wyrazu psychicznego. Problem formalny — współdziałanie dwu barw gorących, żółtej w kostiumie i czerwonej w tle, ich wzajemne relacje, wprowadzenie pewnych elementów dla ich uciszenia w partii nóg, w fotelu, a przede wszystkim w twarzy, która pozostając w zimnych partiach cieni nabiera szczególnej ekspresji. Postawienie problemu kolorystycznego wynika z malarskiego spojrzenia na świat artysty, jest to w przeciwieństwie do kapizmu i pokrewnych mu dążeń ujęcie niewątpliwie głębsze, gdyż nie ogranicza się do gry świateł i barw na powierzchni obiektów, lecz kształtuje obraz malarsko wgłębnie, t. zn. formuje kształty trójwymiarowo. Nie rozdrabnia się więc artysta w gierkach barwnych, lecz szerokimi, określającymi pociągnięciami pędzla kształtuje jego barwną całość. Stąd nie rozprasza się wcale w drobnych relacjach barwnych, nie ślizga się po powierzchni, lecz daje sumę barwnych doświadczeń. Działanie barw podnosi nadto niezmiernie szlachetna faktura obrazu.

Pomimo całej głębi wyrazu dominuje jednak w *Gitarzyście* zagadnienie koloru. Idealne zespolenie elementów formalnych z treściami psychicznymi osiąga Pronaszko dopiero w *Portrecie poety*. O ile w *Gitarzyście* mimo całego modernizmu Pronaszki znać doświadczenie minionych epok, *Portret poety* jest realizacją na wskróś nowoczesną. Jego ujęcie wynika ze światopoglądu malarskiego; artysta kształtuje dzieło przy pomocy zdecydowanego, syntetycznego koloru. Pociągnięcia pędzla stają się bardziej zdyscyplinowane, a łączność poszczególnych elementów formalnych ściślejsza. Stąd to postać poety związana jest doskonale z dwuwymiarem płótna, ale i sama postać zostaje ujęta w schemat zwartego organizmu formalnego. Zespoły barw są

bardziej różnorodne niż w *Gitarzyście*, tworząc mimo to całość jednolitą. Partie ciepłe i zimne wyrównują się i równoważą przez bardzo skomplikowany układ, polegający na ustawicznym przeciwstawianiu kontrastujących części obrazu. Postać *Gitarzysty* była fantastyczna, *Poeta* staje się jeszcze bardziej irrealny, nie tylko dlatego, że artysta przybrał go w czerwony tużurek i zielony szalik, ale też dlatego, że barwom w całości dzieła nadał działanie absolutne, a portretowanemu odebrał cechy materialnej egzystencji, ale z tego najgłówniej powodu, że Pronaszko doskonale wyzyskał właściwości modelu (poeta Jerzy Zawieyski) o bardzo charakterystycznym wyglądzie zewnętrznym. Ten wygląd, odpowiadający głębokim pokładom psychicznym modelu, umiał Pronaszko połączyć ze swą koncepcją formalną, umiał mu nadać taką siłę wyrazu, że portret Zawieyskiego przestaje być portretem czysto indywidualnym. Głębokie spojrzenie w siebie celem poznania własnej istoty i niepokoju epoki, oto treść psychiczna tego wyjątkowego portretu. Mimo silnych elementów wyrazowych nie łączę tego znakomitego obrazu z ekspresjonizmem jako zdecydowanym prądem artystycznym, lecz stwierdzam tylko pojawienie się elementów tego prądu w twórczości Zbigniewa Pronaszki. Jest to jeden z etapów zapewne szczytowych w rozwoju tego artysty, który na tle zmieniających się haseł umiał zawsze zachować swą odrębność.

Pronaszko za wyjątkiem swej wczesnej przynależności do formizmu stał zawsze z dala od walk artystycznych. Z malarstwem Jana Cybisa wchodzimy w krąg innych problemów malarskich. Jesteśmy *en plein* szkoły kapistów. Malarstwo Jana Cybisa jest najsilniejszym potwierdzeniem niewygasłej słuszności jego ideowo-malarskich założeń. Wystawione cztery obrazy wskazują na dość istotne przemiany, które można dostrzec w ostatnim okresie rozwoju tego artysty. Związek artystyczny z motywem obrazów, to znaczy z przedmiotami malowanymi, okazuje się ściślejszy, gdy dawniej konstrukcja kolorystyczna obrazu była bardziej niezależna. Wpływa to również na fakturę, ale mimo to koncepcja formalna decyduje nadal o ukształtowaniu obrazu i jest jego dominantą *(Piwonie, Indyki)*. Zawsze jednak nie przedmiot, ale jego wartość kolorystyczna stanowi problem dla artysty i — co jest bardzo istotne — kolor z uwzględnieniem jego zmienności spowodowanej przez wzajemne relacje i wpływy atmosfery. Nie jest to wprawdzie otwarta przestrzeń malarska krajobrazu XIX w., mimo to kolor u Cybisa posiada wartość przestrzenną. Silna przymieszka bieli sprawia równocześnie, że artysta operuje raczej półtonami, tak że można mówić o chromatyce barwnej. Półtony te nie są tylko wynikiem zmienności oświetlenia, lecz tkwią w ujęciu kolorystycznym Cybisa.

Z pierwotnych swych założeń zatrzymuje Cybis analityczny charakter swych wizji barwnych. Nie są one dla niego jednolitym zjawiskiem, którego istotę pragnąłby utrwalić. Rozkłada tę istotę na poszczególne elementy. O doborze tych elementów decyduje oczywiście indywidualność artysty, pragnąca ją uzgodnić z dwuwymiarem płótna, co oczywiście wpływa na układ plam barwnych. Jest to rys istotny kapistów, przejęty z pierwotnego impresjonizmu i konsekwentnie później realizowany. Kapizm nie powstał bowiem na podstawie jakiejś określonej doktryny formalnej, jednak w miarę rozwoju twórczości kilku artystów wytworzył pewne własne podstawy teoretyczne. W obrazie *Piwonie* zaznacza się nowy w twórczości Cybisa element, który powoduje silniejszy związek między poszczególnymi plamami barwnymi, przez co obraz staje się bardziej jednolity. Różnica ta występuje zwłaszcza przez porównanie z *Krajobrazem nad Ikwą*, gdzie skala barw jest bardziej różnorodna, sam obraz jednak nie stanowi konstrukcyjnie zwartej całości.

W *Portrecie pani W.* osoba portretowana nie interesuje artysty jako idywiduum ludzkie, ale przedstawia dlań pretekst do stworzenia elementu przede wszystkim kolorystycznego w barwnej przestrzeni. W malarstwie istniała dawniej przestrzeń linearna, Cybis kształtuje swój świat konsekwentnie w przestrzeni barwnej. Indywidualność artysty sprawia, że taki świat malarski posiada prawo istnienia.

Hanna Rudzka-Cybisowa oparła swą wizję barwną o sztukę Bonnarda. Zdawało się ostatnio, że artysta oddala się twórczo od swego pierwowzoru, ale nadesłany na Salon *Portret skrzypka* wskazuje na silniejszy znowu związek. Portret posiada niewątpliwie duże zalety kolorystyczne, niektóre partie zwłaszcza w tle, np. po prawej kwiaty na stole, partia ścian, choć zbyt żywo przypominająca Bonnarda, są piękne, w całości jednak obraz nie jest jednolicie skomponowany. Postać portretowanego, jak też i pudło skrzypiec, ustawione ukośnie po prawej, nie wiążą się dostatecznie z tłem, stanowiąc obcy element

w kompozycji całości. Wynika ta niekonsekwencja z nadmiernego rozbicia kolorystycznego obrazu. W analitycznym przedstawieniu wizji barwnej na obrazie zachowanie związku między poszczególnymi elementami jest sprawą bardzo istotną i trudną, jak się okazuje. Jeżeli np. Jan Cybis w *Krajobrazie nad Ikwą* pozornie dał obraz konstrukcyjnie niezamknięty, a od przestrzeni różniący się swą innością, widzimy, że artysta świadomie do tego zmierzał. Układ plam barwnych został w myśl tych zamierzeń przeprowadzony konsekwentnie i dlatego mimo wszystko obraz stanowi jednolitą całość.

Szczepański Stanisław związany jeszcze z kapistami w bardzo ładnej zresztą *Martwej naturze*, w *Krajobrazie* stwarza już nową wizję świata. Oparta ona jest również o kolor, lecz ulega prawom zdecydowanej konstrukcji, narzucającym jej ład i porządek. Również w układzie plam barwnych, które zdają się zanikać na rzecz pewnej stałości, decyduje silniejszy związek z przedmiotowością zjawisk. On to zapewne sprawia, że kolor staje się bardziej zdecydowany i określony. W *Krajobrazie* tak drobny z pozoru sztafaż jak krowy staje się ważnym ogniwem formalnym w kompozycji całości.

Zbliżony kiedyś bardzo do kapistów Czesław Rzepiński konsekwentnie i świadomie walczy o realizację swej własnej wizji barwnej, której charakter staje się coraz to bardziej syntetyczny. Równocześnie sam przedmiot jako taki, świat zewnętrzny zaczyna interesować artystę, który wiąże go ze swą wizją barwną. Wynika stąd swoisty realizm, który zaznacza się zwłaszcza w portretach. *Portret pani N.* jest równocześnie pięknym rozwiązaniem kolorystycznym (umieszczenie postaci w czerni na tle bardziej urozmaiconym), podczas gdy w *Portrecie pani Z.* pojawia się konstrukcyjne rozczłonkowanie całości. Postać młodej aktorki mieści się doskonale w ukazanej nam części wnętrza, tak że nawet we fragmencie wnętrza, podkreślam to specjalnie, zaznacza się tektonika całości. Najbardziej znamienny jednak dla twórczości Rzepińskiego jest *Pejzaż*, w którym artysta świadomie i konsekwentnie daje syntetyczny obraz barwy świata z przejrzystym rozczłonkowaniem całości. Artysta posługuje się nadal plamą barwną o mocnym i zdecydowanym natężeniu. Ta plama jednak nie zanika w ogólnym układzie całości, lecz służy dla określenia motywów przedmiotowych i, stanowiąc element kolorystyczny całości, zachowuje pełną autonomię formalną. Stąd wypływa to specjalne zadowolenie estetyczne, kiedy np. na planie pierwszym dostrzegamy przy określaniu zagonów czy grządek plamy czysto barwne. Takich partii jest wiele, podkreślić jednak trzeba, że mimo to są one doskonale zespolone z całością.

Malarstwo Adama Marczyńskiego zaliczam do najcenniejszych przejawów współczesnej plastyki polskiej. Artysta konsekwentnie rozwija swój program w oparciu o zdobycze nowoczesnego malarstwa, z którego czerpie wprost i z pierwszej ręki, by te zdobycze swoiście zastosować do własnej koncepcji. Marczyński w obecnej generacji artystów posiada chyba najbardziej żywą i zdecydowaną świadomość malarską. Istotnym jego dążeniem jest przekonstruowanie bryły przez wizję barwną i ujęcie jej w pewne kanony formalne. Układ plam barwnych jest ściśle określony, przy czym każda z nich służy dla zaznaczenia bryłowatości kształtów przestrzeni. Zasadę tę spotykamy w malarstwie Cézanne'a, ale działanie i charakter plam w obrazach Marczyńskiego są samoistne. Jeśli wskazałam na tę pewną analogię, było mi to potrzebne dla określenia założeń decydujących o odrębności Marczyńskiego. Nie zadowala go bowiem samo uzyskanie bryłowatości poszczególnych kształtów lub nawet zbudowanie pewnej kompozycji obrazu. Celem artysty jest skonstruowanie ściśle przemyślanego schematu kompozycyjnego, w którym znać przejście przez kanony kubizmu, oczywiście bardzo już zaadaptowanego. Ta myśl konstrukcyjna sprawia, że obrazy Marczyńskiego, mimo określonego związku z przedmiotowością zjawisk, posiadają pewną wartość absolutną, podobną do tej, jaką uzyskuje Pronaszko przez swój kolor. Marczyński również w zastosowaniu koloru nie ulega bezpośredniej wizji, lecz podporządkowuje ją swym koncepcjom z wyraźną wolą dominowania nad nią. Oba wystawione jego obrazy *(Martwa natura, Kobieta przy stole)* zaliczam do najlepszych dzieł obecnego Salonu.

Prawdziwie akademicką dojrzałość zyskują dwaj artyści: Zygmunt Radnicki i Jerzy Fedkowicz. Określenie „akademizm" zostało zastosowane w najbardziej pozytywnym znaczeniu, dla wyrażenia pełni osiągnięć w stosunku do zamierzeń i scharakteryzowania ich jako ostatecznego wyrazu pewnych dążeń nurtujących epokę. W wyrazie plastycznym obaj artyści różnią się od siebie. Radnicki, który ongiś wyszedł z Cézanne'a, może dziś z zadowoleniem spoglądać na swe dzieło. W malarstwie tym dominuje zagadnienie koloru,

którym artysta posługuje się dla modelunku i plastyki kształtu. Forma jest bowiem u Radnickiego silna i zwarta. Pociągnięcia pędzlem, jakkolwiek się zaznaczają, są jej podporządkowane. Radnicki, który długo walczył o czysty koloryt — pamiętam jego okres o intensywnej zieleni i mocnych fioletach, bardzo trudnych dla oka — posiada dziś paletę jasną, czystą i raczej interesuje go gradacja tonów niż kontrastowanie barw (*Amorek* — obraz, który daje prawdziwą radość estetyczną). W *Martwej naturze* jest zestawienie dwóch zasadniczych barw, srebrzysto-popielatej w dużej skali i czerwieni terrakotowych. Również *Studium portretowe* świadczy o wysokim stopniu umiejętności artystycznej Radnickiego.

Fedkowicz jest zasadniczo inny w kolorze, używa skali barw bardziej bogatej i urozmaiconej. Sądzę, że w obrazach jego zaznacza się pewna łączność z tradycją malarstwa polskiego. Zastrzegam się, że używam tego porównania w najbardziej pozytywnym znaczeniu, gdyż tak barwne i kontrastowe zestawienie kolorystyczne, zwłaszcza zieleni i czerwieni, świadczą o dużej odrębności malarstwa Fedkowicza na tle ogólnym. Zwłaszcza że zagadnienie koloru dominuje u niego, a forma, chociaż określona, jest mu całkowicie podporządkowana. Uwagi te odnoszą się zwłaszcza do *Martwej natury II*, w *Akcie* natomiast pojawia się pewne dążenie do dekoracyjności.

Omówieni dotychczas artyści, mimo że bardzo różni indywidualnością, inni w swym wyrazie plastycznym, dadzą się jednak uporządkować według pewnych górujących u nich zagadnień. O ich pozycji malarskiej decyduje stosunek do formy i koloru. Ostatnie ich osiągnięcia są logicznym wynikiem dłuższego rozwoju, który nie jest czymś nieoczekiwanym, z wyjątkiem jednego chyba Pronaszki (*Portret poety*).

W obliczu całkiem innych problemów stawia nas malarstwo Eugeniusza Eibischa, Jerzego Wolffa i Wacława Taranczewskiego.

Eugeniusz Eibisch nadesłał tylko jeden obraz, *Portret*, który zdecydowanie nosi na sobie indywidualne piętno artysty. Na tle całego Salonu obraz ten wyraziście się odróżnia. Nic w tym dziwnego, gdyż sztuka Eibischa ukształtowała się w Paryżu, z dala od dokonujących się w kraju przemian. Dlatego Eibisch, chociaż zagadnienie koloru jest u niego dominujące, różni się istotnie od kapistów, pracujących przecież według tej samej zasady barwnej. Tę inność malarstwa Eibischa sprawia nie tylko związek z aktualnymi tendencjami, ale i mądre korzystanie z doświadczeń starych mistrzów. Niewątpliwe jest też mistrzostwo Eibischa w operowaniu pędzlem, co każdy niezależnie od stosunku swego do jego założeń malarskich przyznać musi. Wystawiony obraz jest portretem pięknej pani o zdecydowanej silnej karnacji brunetek, siedzącej na wprost widza z pochyloną nieco głową, z dzbanem szklanym w rękach. Po lewej ustawiony talerz czy taca, całość zaś na tle neutralnym, brunatnym, ale bogato zróżnicowanym. Treścią artystyczną płótna jest rozwiązanie zagadnień kolorystycznych, wzajemne relacje barw i oddziaływanie świateł. Nowością w malarstwie Eibischa jest świadome wyzyskanie właściwości materialnych przedstawionych obiektów dla podniesienia efektów kolorystycznych i świetlnych. Stąd, gdy chodzi o przedstawienie np. przejrzystej tkaniny liliowo-różowej na brunatno-gorącym ciele portretowanej i przeciwstawienie tych partii kolorystycznych ciemnej reszcie szaty, grają dla nas nie tylko zespoły tych barw, ale współdziała też przejrzystość tkaniny i gorąco karnacji portretowanej. Te same efekty mamy w przedstawieniu dzbana i rąk damy. Nie tylko ich kolor, nie tylko gra barw i światło na powierzchni lśniącego szkła, ale i czysto materialne właściwości zostały użyte jako elementy służące do stworzenia obrazu. Eibisch przejawia w tym operowaniu niewątpliwie mistrzostwo (podkreślam to powtórnie), ale mistrzostwo, które go doprowadza do niebezpiecznego zakrętu. Na razie zachowany jeszcze został właściwy stosunek między elementami czysto artystycznymi a wyzyskaniem właściwości materialnych malowanych przedmiotów i wierzę w intuicję artysty, że zachowany on zostanie nadal, a artysta nie pójdzie na drogę czyhających za tym zakrętem łatwych efektów.

Jerzy Wolff przejawia w swych obrazach niewątpliwie dużo świeżości i bezpośredniości w formowaniu wizji barwnej. Stoimy wobec całkiem innego świata. Wolff świadomie przekreśla zdobycze impresjonizmu i jego pochodnych i nawiązuje do wczesnego Maneta (*Czytająca*). W krajobrazach jest bardziej skomplikowany, znać oddziaływanie malarstwa XIX w., pojawiają się też jego nastroje i sentymenty. Płyną one nie z samych przedstawionych motywów (*Zielony staw, Olszynka*) ale przede wszystkim z zespołów barw. Artysta ogranicza się do współdziałania kilku barw,

czasem jednej zieleni, ale za to w różnych jej odcieniach i natężeniach. W rozwiązaniu tych zagadnień znać dużo powagi, wysiłków i skupienia, przyznam też, że obrazy Wolffa dają zmęczonym nieco kolorowością obecnego malarstwa polskiego i powszechnego w nim dywizjonizmu pewne uspokojenie i wytchnienie. Ale czy nawrót do zagadnień francuskiego malarstwa przedimpresjonistycznego (w zasadzie dopuszczalny) odpowiada istotnie naszym dążeniom artystycznym i pragnieniom? Na razie zbliżył nas Wolff do tej innej problematyki, stwarzającej wiele możliwości, ale przekonywujący nas pomost z dzisiejszej rzeczywistości do tamtego świata nie jest jeszcze utrwalony. Być może w najbliższych swych dziełach zdoła nas Wolff przekonać.

Niestety nie przekonał nas tym razem do swych koncepcyj formalnych Wacław Taranczewski i jeśli wypowiem uwagi krytyczne, to w niczym nie pragnę pomniejszyć znaczenia jednego z czołowych artystów polskich. Zresztą jedna z wystawionych *Martwych Natur* utwierdza w zupełności jego pozycję w nowszym malarstwie polskim. Artysta operuje barwą jasną i syntetyczną, konstruując swój obraz kolorystycznie z mądrością jakiegoś Chardin'a. Natomiast w innych dziełach wszedł w fazę eksperymentowania. Postawił sobie za zadanie stworzenie malarstwa monumentalnego, którego brak niewątpliwie odczuwamy. Nadesłał wobec tego na Salon dwie kompozycje większych rozmiarów. W rozwiązaniu tego nowego zadania pozostał nadal kolorystą, operującym dużymi plamami barwnymi, które są do siebie zbliżone w kształcie i wprawione w jakiś rytm przestrzenny. Skala barw jest bardzo jasna i ograniczona do kilku. W rozwiązaniu kompozycji znać związek z dawną twórczością Taranczewskiego, nawet motyw się powtarza. Świadczą te prace o wysiłku artysty, który jednak jeszcze nie daje przekonywującego wyniku. Brak skoordynowania poszczególnych elementów, motywy figuralne nie wiążą się dostatecznie z wibracją plam barwnych. Może zbyt jasna skala barw albo niedostosowanie koncepcji do większych rozmiarów płótna jest tu winowajcą. Być może, że ten sam obraz w pomniejszeniu odpowiadałby wszystkim wymaganiom, trudno orzec. Tym niemniej — podkreślam to specjalnie — jedynie Taranczewski w całym malarstwie polskim posiada dziś odwagę eksperymentowania i odczuwa potrzebę tego. Gdyby ostatnie obrazy Taranczewskiego umieszczono odpowiednio na tle architektury współczesnej, ich rytm przestrzenny i pierwiastek dekoracyjny znalazłby dopiero właściwie warunki.

Maria Jarema idzie nieomylnie swą drogą. Ona i Kantor są w tej chwili jedynymi oficjalnymi przedstawicielami kierunków postkubistycznych. Jaremianka idzie zdecydowanie po linii Picassa i to zarówno w *Kompozycji* jak w *Pejzażu*. Malarstwo jej posiada program ustalony. Tadeusz Kantor dał jedną kompozycję, w której pojawia się wątek treściowy, doskonale jednak związany z czynnikami formalnymi. Kantor znajduje się w stadium przezwyciężania kubizmu i przyswaja sobie formy bardziej określone i zdecydowane. Skoro już jesteśmy przy młodym Krakowie, nie wolno pominąć Tadeuszą Łukomskiego, obdarzonego wybitnym poczuciem koloru.

Dotąd mogliśmy płótna Salonu Wiosennego omawiać, grupując je wedle pewnej problematyki szerszej aniżeli twórczość jednego artysty. Poza takim ujęciem pozostaje jednak niejeden z artystów, na których warto zwrócić uwagę. Stąd na zakończenie działu malarskiego garść luźnych spostrzeżeń.

Marek Żuławski reprezentowany jest tylko przez jedną *Martwą naturę*. Niestety nie widziałam ostatnio w Warszawie wystawy zbiorowej tego artysty, który całą wojnę spędził na Zachodzie, ostatnio w Londynie. Na podstawie tego jednego obrazu — podobno słabszego od innych z wystawy zbiorowej — trudno ocenić cały wysiłek artysty. Jedno jest pewne: Marek Żuławski uległ w czasie wojny daleko idącym przeobrażeniom. Pamiętam obrazy jego z wystawy u Bernheima 1938 w Paryżu. Rozwój poszedł w kierunku pogłębienia kolorystycznego i opanowania faktury. W sposobie malowania jest bardzo różny od tego, co czynią obecnie w kraju. Żuławski ze swą kulturą malarską jest pozycją nader dodatnią.

Cygańska Helena należy niewątpliwie do zjawisk ciekawych, posiada duże wyczucie koloru *(Martwa natura)*, ale — co jest w naszych stosunkach rzadkością — uwzględnia motywy z aktualnej rzeczywistości. Okazuje się, że jakoś wcale to nie prowadzi do konfliktu z zagadnieniami formalnymi. Jej *Kompozycja na temat Warszawy* świadczy o wysokim poziomie artystycznym, tętni życiem i prawdą realistyczną.

Dobry jest *Pejzaż* Aleksandra Radziewicz-Winnickiego, poważnym artystą jest niewątpliwie Marek Włodarski, świadczy o tym specjalnie

Martwa natura I. Wczesnego Utrilla przypomina Konstanty Mackiewicz. Jan Książek nadesłał dwa charakterystyczne dla siebie obrazy, Bandura Jerzy szuka natchnienia u dawnych Holendrów, Arct Eugeniusz zmienił się dodatnio, zbliżył się poprzez poznanie impresjonizmu do zagadnień czysto kolorystycznych. Stanisław Teisseyre, bliższy kapistom, posiada jednak bardziej indywidualny koloryt *(Kompozycja).* Jego *Martwa natura* jest dobrze przemyślana. Borysowski znajduje się w jakimś impasie. Jan Seweryn Sokołowski w swym dużym *Krajobrazie* posiada odmienny od innych koloryt, może nieco jednostajny, ale konsekwentnie rozwinięty. Dużo dekoracyjnej świeżości i umiejętności wnosi Leokadia Bielska-Twarowska. Kulturę kolorystyczną posiada niewątpliwie Stefan Nacht-Samborski; po części zawdzięcza ją Matisse'owi. Leon Ormezowski *(Szkot z fajką, Jabłka)* zwraca uwagę powagą swych wysiłków. Eustachy Wasilkowski jest interesujący w kolorycie, Teresa Tyszkiewiczowa posiada wyczucie nowoczesności i wiele temperamentu malarskiego. Zaremba-Cybisowa, zbliżona do kapistów, osiąga ładny koloryt z przewagą tonów szarych.

Tyle o malarstwie. Rzeźba na Salonie reprezentowana jest ilościowo dobrze, gdyż na 442 pozycje katalogu — 51 obejmuje rzeźby. Rzeźba jednak bardzo ucierpiała w czasie wojny. Ksawery Dunikowski pięć lat przebywał w obozie w Oświęcimiu, Edward Wittig zmarł, August Zamoyski przebywa w Ameryce, Jacek Puget chorował ostatnio. Nieobecność dzieł czołowych rzeźbiarzy musiała się odbić ujemnie na ogólnym poziomie.

Zresztą jest jeszcze jeden poważny powód, który bardzo hamująco wpłynął na rozwój rzeźby. Jak wyobrazić sobie w ciężkich warunkach okupacji pracownię rzeźbiarską przy ścieśnionych możliwościach mieszkaniowych, kiedy Polacy ustawicznie nagabywani przez urzędy niemieckie kilkakrotnie musieli zmieniać swe mieszkania. Jakże tu mogła istnieć pracownia rzeźbiarska, nie mówiąc już o tym, że sama praca rzeźbiarska wymaga większego nakładu trudu i aparatu pomocniczego, niż jakakolwiek inna dziedzina sztuki. Przy tym wszystkim podziwiać trzeba polskich artystów, którzy jednak zdobyli się na wysiłek i nadesłali aż 51 prac do Salonu.

Na czoło młodszej generacji rzeźbiarzy wysuwa się Franciszek Masiak. Jego *Głowa w granicie* jest najlepszą rzeźbą Salonu. Głowa starszej kobiety o rysach niewątpliwie słowiańskich nie była łatwym motywem do opracowania, zwłaszcza w granicie. Masiak przezwyciężył wszelkie trudności, dał całość zwartą i umiał związać z bryłą głowę starej kobiety, zachowując przy tym pełną prawdę życia. Przy dążności do akcentowania bryły nie pominął strony psychologicznej, której elementy przenikają formy. Opracowanie techniczne granitu na wysokim poziomie. Równocześnie wystawia Masiak szereg brązów, np. *Będziesz ukrzyżowany:* — Madonna unosi Dzieciątko, którego układ przypomina krzyż. Rzeźby te winny się znaleźć w naszych ogołoconych przez wojnę kościołach, jako poważna próba stworzenia sztuki kościelnej. Jeśli idzie o genezę artystyczną tych pomysłów, to Masiak niewątpliwie uległ wpływowi Bourdelle'a, choć jest bardziej od niego syntetyczny i zwarty. Pewne niebezpieczeństwo tkwi w silnej przewadze dekoracyjności, która specjalnie w rzeźbie jest obcym czynnikiem. Bardziej rzeźbiarsko pojęty jest mały brąz *Madonna prosząca.* Na drugim miejscu wymienić należy *Głowę* (brąz) rzeźbiarza Bazylego Wojtowicza, która odpowiada wszystkim wymogom nowoczesnej rzeźby. Jest to dzieło poważnego skupienia. *Główka kobieca* (brąz) Zofii Szczęsnowicz należy do najlepszych rzeźb Salonu, Stanisław Rzecki dał dzieło kulturalne.

Franciszek Strynkiewicz nadesłał pięć prac, które świadczą o wszechstronnych zainteresowaniach artysty: *Kompozycja* (marmur), *Tors kobiecy* (gips), *Chrystus* — fragment grobowca (granit czarny), *Portret art. mal. K.* (brąz), *Kompozycja* (brąz). Wszystkie rzeźby świadczą o rzetelności wysiłku, są bardzo poprawne, ale występująca chęć stylizowania nadaje im charakter nieco manieryczny. Pewne zdezorientowanie wykazuje Alfons Karny. Ten dobrze zapowiadający się rzeźbiarz, który posiada w swym dorobku kilka naprawdę dobrych rzeźb, zdecydował się na źle pojęty realizm. Np. *Głowa Solskiego* (brąz) jest po prostu tylko wierną podobizną głowy znakomitego aktora, która nie tłumaczy się ani formą rzeźbiarską, ani nie posiada elementów wyrazu. Niewątpliwie z tego impasu Karny zdoła wyjść.

Również i dział grafiki nie posiada zdecydowanego charakteru, brak reprezentantów tak świetnej przed wojną szkoły warszawskiej. Chrostowski i Kulisiewicz nie wystawiają. Mrożewski zaniedbał stro-

nę artystyczną na rzecz czysto ilustracyjnej. Jego ilustracja do *Boskiej Komedii* jest wręcz przykra. Brak w katalogu również nazwisk wielu znakomitych grafików. Albo zaginęli na wojnie, albo zmęczonych przejściami wojennymi nie stać na twórczy czyn. Ten stan polskiej grafiki powojennej jest tym bardziej przykry, gdy zważy się jej świetny rozwój w Polsce międzywojennej.

Z przypadkowego zespołu nadesłanej grafiki wyłowię kilka nazwisk. Najwięcej żywotności przejawia Ludwik Tyrowicz, znany grafik lwowski, przebywający obecnie w Łodzi. Stać go było nawet na zmianę stylu w drzeworycie o silnym indywidualnym piętnie. Twardej natury Tyrowicza nie złamały przejścia wojenne, zdobył się nie tylko na inny system techniczny, ale też na nowe ujęcie rzeczywistości. Tyrowicz jest w grafice najsilniejszą pozycją Salonu 1946.

Stopka Andrzej dał jak zawsze bardzo ładne o dużej kulturze rysunki *(Głowa Wiculi* — tusz). Specjalnie w technice węglem *(Babcia)* zyskuje ładne przejścia tonów i półtonów.

Na ogół jednak unikają artyści drzeworytu czy innej techniki graficznej i wystarcza im w tej chwili rysunek, gwasz czy akwarela. Wskazywałoby to na pewne niezdecydowanie czy wahanie. Szukając nowych dróg artystycznych, artyści jeszcze nie wiedzą, która technika odpowiadałaby ich nowym zamiarom. Tym tłumaczę nieobecność wielu znanych grafików na wystawie.

Z wystawionych rysunków chciałabym wymienić ładne rysunki Karola Fërstera, Antoniego Uniechowskiego, specjalnie zaś podkreślić monotypie Joanny Karpińskiej, które są nie tylko na wysokim poziomie artystycznym, ale wykazują też silny związek z życiem. Tematyka wzięta z naszych dni jak *Ucieczka, Rekonwalescenci, Repatrianci zza Bugu, Po bombardowaniu* — znów nie kłóci się z walorami formalnymi. Podkreślam to, ponieważ w dziedzinie grafiki tematyka aktualna mogłaby się łatwiej odzwierciedlić, tymczasem brak nawet dobrych ilustracyj książkowych.

Wobec smutnego stanu rzeźby i grafiki w Polsce powojennej trudno w tych działach stawiać jakieś ogólniejsze prognozy. Jedynie stan malarstwa pozwala już na wyciągnięcie wniosków ogólniejszej natury. Wypada zresztą odpowiedzieć na pytania sformułowane na wstępie tych uwag. Jakie są istotne dla rozwoju obecnego malarstwa polskiego dążenia i jaki jest ich charakter? Nie ulega wątpliwości, że dominuje w nim zagadnienie koloru, przejawiające się wszakże raczej w kontynuacji dzieła Pankiewicza niż bardziej nowoczesnych zdobyczy takiego Waliszewskiego czy Czyżewskiego. Obecny modernizm w malarstwie polskim, który tak bardzo przeraża jego zapóźnionych przeciwników, jest bardziej tradycyjny, niż im się wydaje. Szkoła kapistów, która dla reakcji artystycznej stanowi najczarniejszą *bête noire* i której znaczenie we wstępie do krytyki omawianego Salonu umyślnie mocno podkreśliłam, wcale nie jest już w obecnych warunkach grupą rewolucyjną. Była nią zapewne przed laty, w chwili swego powstania, zwłaszcza gdy szło o to, by w szerszych kołach społeczeństwa obudzić zrozumienie dla czystych problemów artystycznych. Otóż zasadniczym rysem obecnych dążeń w malarstwie polskim jest skoncentrowanie wysiłków nad sprawami czysto artystycznymi. Kwestia ta stanowiła troskę kilku pokoleń malarzy i stanowić ją będzie zawsze: nareszcie nie obawiamy się, że ulegnie przerwie. Dlatego właśnie czas na problem dalszy: czas uzgodnić z rytmem życia rytm sztuki, zwłaszcza że tu pozostaje wiele do zdziałania.

Jest to tym konieczniejsze, że człowiekowi naszego pokolenia, które przeszło przez koszmar wojny, nie wystarcza już obiektywne, analityczne przedstawienie świata, nie wystarcza samo rozwiązywanie najbardziej nawet konsekwentne teoretycznych problemów malarskich. Przemówi do niego przede wszystkim indywidualność o nowatorskich i rewolucyjnych dążeniach w plastyce, które by stanowiły odpowiednik do przemian, dokonywujących się w świecie. Oczywiście nowatorstwo winno się przejawiać przede wszystkim w dziedzinie formy, wprowadzenie bowiem jakiegoś aktualnego tematu, naiwne nawiązanie do rzeczywistości nie rozwiązuje sprawy. Poprzez nową formę przemówią nowe czasy.

W tej formule mieści się punkt ciężkości zagadnienia. Nie rozwiąże go realizm czy jakiś inny „izm". Dzisiejsze malarstwo polskie doszło do poważnego poziomu. Wytworzyło systemy świetnych czynników kształtowania, ale za mało w nim fermentów i niepokojów, za wiele zadowolenia z osiągnięć. Jedna czujna świadomość Zbigniewa Pronaszki, Marczyńskiego czy eksperymentowanie Taranczewskiego nie wystarczą.

Salon Wiosenny 1946 dał możność stwierdzenia, że artyści polscy nie zmarnowali przeważnie lat okupacji, utrzymując formalny poziom swej sztuki, a w obliczu lat tak ponurych jest to wiele. Ten sam Salon rodzi w nas jednak pragnienie fermentu i zmian.

Helena Blumówna

KONCERTY KRAKOWSKIE

SPRAWA MEMORIAŁU

Czerwcowy numer *Ruchu Muzycznego* rozpoczyna się „Memoriałem w sprawie potrzeb muzyki polskiej" — zaś pierwsze już zdanie owego memoriału brzmi alarmująco. Cytuję: „Jest faktem bezspornym, że stan spraw muzycznych w Polsce jest w obecnej chwili wysoce niepokojący. Doceniając powagę sytuacji, grono muzyków w Krakowie zainicjowało szereg zebrań dyskusyjnych... wysunięto następujące postulaty". Następuje ośm punktów wskazujących na główne i najgroźniejsze nieprawidłowości i potrzeby naszego życia muzycznego. Spróbuję je streścić, cytując momenty zasadnicze. A więc:

1. Punktem wyjścia dla stworzenia właściwych warunków muzyki w obecnej polskiej rzeczywistości powinien być dokładnie przemyślany i opracowany plan dotyczący całości życia muzycznego... Dotkliwie daje się odczuć brak ośrodka planującego i organizacyjnego, który reprezentując najwybitniejsze siły fachowe miałby równocześnie szerokie oparcie we wszystkich polskich środowiskach muzycznych. Dlatego też z radością powitać należy zapowiedź utworzenia Centralnej Rady Muzycznej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki...

2. Na pierwszy plan potrzeb życia muzycznego wysuwa się sprawa opieki nad twórczością muzyczną, tym bardziej, że twórczość ta znajduje się obecnie w fazie bujnego rozwoju... Kompozytorzy nasi w większości wypadków... znajdują się w warunkach materialnych uniemożliwiających im swobodną pracę twórczą... Pomoc winna być z jednej strony doraźna (przez konkursy, zamówienia, nagrody, stałe subwencje), z drugiej pomyślana na dalszy dystans. Tu momentem najważniejszym jest

3. Popieranie ruchu wydawniczego.

Następują propozycje tyczące się głównych wytycznych przyszłej polityki wydawniczej:

a) obowiązek popierania twórczości współczesnej,

b) akcja wydawania literatury związanej z kwestią upowszechniania muzyki,

c) akcja wydawania dawnej muzyki,

d) specjalnie ważna i pilna, a ostatnio zaniedbana ze względu na brak funduszów akcja popierania badań i wydawnictw poświęconych muzyce ludowej,

e) uruchomienie dostatecznej ilości drukarń i sztycharń nut.

4. Poważnego poparcia wymaga dalej szkolnictwo muzyczne... Potrzebujemy całej sieci muzycznych szkół dla dzieci, gimnazjów, liceów muzycznych oraz paru Akademii... Potrzebujemy jeszcze większej ilości szkół muzycznych dla laików...

5. Szczególnej uwagi wymaga gruntowna i szybka reforma nauki śpiewu i muzyki w szkołach ogólnokształcących drogą

a) włączenia w plan zajęć szkolnych obowiązkowych, stałych i systematycznie ułożonych koncertów,

b) zmiany samych metod nauczania śpiewu, z czym równocześnie wiąże się

c) problem utworzenia kadr odpowiednio ukwalifikowanych nauczycieli...

6. Następnym ważkim czynnikiem w procesie upowszechnienia muzyki jest odpowiednia organizacja ruchu koncertowego. Tu panuje ostatnio zdecydowany chaos... Istnieje zasadnicza konieczność wyprowadzenia planowej gospodarki zrzeszonymi i nie zrzeszonymi dotąd w zespołach solistami, ustanowienia przy filharmoniach Rad Artystycznych, kontrolujących poziom i linię repertuarową oraz zapewnienia filharmoniom odpowiednich uposażeń... Należy tu również sprawa Centralnego Biura Koncertowego, w rękach którego spoczywa cały ruch estradowy w Polsce, koncerty szkolne, robotnicze itp.... Nie można dopuścić, by brak odpowiednich sił, instrumentów, środków lokomocji i poparcia finansowego uniemożliwiał Centralnemu Biuru Koncertowemu pracę o tak pierwszorzędnym znaczeniu społecznym.

7. Niemniej ważnym czynnikiem umuzykalnienia kraju jest opera. Koniecznym jest uruchomienie kilku odpowiednio wy-

posażonych scen operowych, które poza swoją rolą wychowywania mas odbiorców dałyby równocześnie oparcie licznym rzeszom artystów.

8. Na koniec zebrani ustalili, że już w roku bieżącym powinny rozpocząć się przygotowania związane z obchodem stulecia śmierci Fryderyka Chopina. Szczególnej uwagi wymaga sprawa sejmowego wydania dzieł Chopina, wydawnictw naukowych i popularyzatorskich, organizacji międzynarodowego konkursu, pomnika, wystawy pamiątek. Również i dziesięciolecie śmierci Karola Szymanowskiego... winno być odpowiednio wykorzystane dla propagandy jego muzyki...

A oto uwaga końcowa:

„Oświadczenie powyższe podyktowane zostało głęboką troską o los muzyki polskiej. Postulaty tu wyrażone — zwłaszcza powołanie do życia Centralnej Rady Muzycznej — wymagają jak najrychlejszej realizacji. Należy pamiętać, że o ile sytuacja nie ulegnie poprawie, nastąpić może okres zastoju, który spowodowałby nieobliczalne wprost szkody dla polskiej kultury muzycznej".

Memoriał podpisali poza muzykami także przedstawiciele literatury, plastyki i prasy, doceniający powagę sytuacji, która istotnie musi ulec zmianom na lepsze. Ostatnie zdanie owego oświadczenia — które ukazało się również w *Odrodzeniu* — nie jest przesadnym, co więcej: śmiem twierdzić, że jest raczej dość powściągliwym określeniem istniejącego stanu rzeczy. Poza memoriałem ów numer (11-12) *Ruchu Muzycznego* zawiera szereg artykułów, których autorzy (Z. Drzewiecki, E. Rudnicki, R. Palester, Z. Mycielski, T. Ochlewski, St. Łobaczewska, S. Wiechowicz, B. Podoska-Palestrowa, T. Szeligowski, A. Rieger, S. Głowacki) mniej lub więcej szczegółowo omawiają poszczególne punkty memoriału. Ciekawych odsyłam do wymienionego numeru *Ruchu Muzycznego*. Chodzi tu bowiem o co innego — o ogólny sens memoriału i jego wagę powszechną — a dalej: o to, aby nie pozostał on pozycją wyłącznie papierową. Można bowiem dyskutować kwestie taktyki, receptury itp. techniczne problemy w leczeniu nieprawidłowości. Ale absolutnie nie można pozostawić spraw naszej muzyki dotychczasowemu biegowi rzeczy.

Nikt świadomy prawd nie będzie twierdził, jakoby nasze społeczeństwo było skłonne zająć się mecenatem sztuki naprawdę dobrej, a przede wszystkim sztuki współczesnej. Istnieje wprawdzie pewien powszechny głód estetyczny, lecz nie należy przeceniać jego powszechności ani trwałości. Zresztą wolę być pesymistą i mylić się, niż mylić się będąc optymistą. Dlatego sądzę, że z konsumpcją sztuki w Polsce jest źle, że społeczeństwo *en gros* lekceważy sobie jej potrzeby i jej znaczenie, że nie potrafi, a co gorsza nie bardzo chce zapewnić jej właściwych warunków dla rozwoju, nie mówiąc już o rozkwicie.

Pozostają więc *patres patriae*. Manifest Lipcowy, poszczególne, oficjalne wypowiedzi i wiele faktów konkretnych są dowodami na to, że państwo docenia konieczność zaopiekowania się sztuką. Gdzież więc przyczyny rozpoczęcia memoriału tak alarmującym i ostrzegającym zdaniem: „jest faktem bezspornym, że stan spraw muzycznych w Polsce jest w obecnej chwili wysoce niepokojący"? — Oto odpowiedź: „dotkliwie daje się odczuć brak ośrodka planującego i organizacyjnego", słowem: Rady Muzycznej. Tu jest punkt newralgiczny i główna przyczyna zła.

Sprawa Centralnej Rady Muzycznej toczy się od pierwszych miesięcy roku 1945. Już wtedy złożono na ręce wicemin. Wendego memoriał, wskazujący na konieczność powołania jej do życia — a zjazd delegatów okręgowych Zaw. Zw. Muzyków potwierdził uchwałą ów postulat. Zjazdy rektorów Wyższych Szkół Muzycznych (październik 45 i kwiecień 46) również poruszały ów problem. Tymczasem upłynęło półtora roku i... nic.

Jest tajemnicą poliszynela, że sprawa Centralnej Rady Muzycznej odwleka się przede wszystkim dzięki polityce t. zw. góry Zawodowego Związku Muzyków, która nie zamierza ustępować swych kompetencyj nikomu i pragnie nadal zachować decydujący głos we wszystkich sprawach polskiej muzyki. Pomijając wszystkie teoretyczne dyskusje i argumentacje, wystarczy przypomnieć, że po upływie półtora roku dotychczasowi opiekunowie owych spraw nie mogą się wykazać zbyt świetnymi rezultatami swego opiekuństwa. Wniosek? Nietrudny do sformułowania.

Z szacunku dla możliwie obiektywnych ocen nie można obciążać pełną odpowiedzialnością centrali Związku. Druga przyczyna zła i równie wymagająca zmiany na lepsze (co już się stało) to fakt, że budżet Ministerstwa Kultury i Sztuki stanowił 0,7% ogólnego budżetu państwowego. Nie znam dokładnie sum przeznaczonych na sprawę myzyki, lecz wiadomo że poparcie finansowe Filharmonii krakowskiej było absolutnie zbyt skromne, a pozycja przeznaczona na potrzeby Centralnego Biura

Koncertowego (w skali ogólnopolskiej aż... 15.000 zł) słusznie otrzymała miano humorystycznej. Powiedziałbym nawet kompromitującej. Należy mieć nadzieję — oby niepłonną — że będą to fakty niepowtarzalne, że niezbyt szczęśliwy monopol centrali Związku Muzyków skończy się stworzeniem Rady, że budżet polskiej muzyki nie będzie miał pozycji humorystycznych ani kompromitujących. To znaczy — należy mieć nadzieję, że memoriał ogłoszony w czerwcowym *Ruchu Muzycznym* nie pozostanie na papierze i nie zginie w aktach. Nie powinien — nie może ulec takiemu losowi.

W tradycji naszej leży obyczaj wystawiania wielkich czeków entuzjazmu przy małych pokryciach faktycznych. Tu geneza dość tromtadrackiej i cielęcej „radosnej twórczości". Wiadomo, jakie osiągnęła wyniki. I dlatego — pamiętając o nich — wydaje mi się, że nie można pomijać ani chować pod korzec żadnych nieprawidłowości. W muzyce polskiej nie jest dobrze. A raczej: muzyce polskiej czyni się zło. Jej poziom, możliwości produkcyjne i eksportowe, ładunek talentów i intelektów — wszystko to stoi w rażącej dysproporcji do udzielonej jej opieki. Mniejsza już o problem — kto zawinił. Ważne jest to, by sytuacja uległa poprawie.

Cytowany tu memoriał nie jest objawem przesadnej troskliwości ani żadnej histerii — przedłużanie się istniejącego stanu rzeczy może istotnie wyrządzić „nieobliczalne wprost szkody" polskiej kulturze muzycznej. Ta groźna prawda musi być doceniona przez społeczeństwo w jego własnym interesie. Bo mądrość po szkodzie jest objawem jeszcze smutniejszym od rzeczywistej głupoty.

FILHARMONIA

Sprawa krakowskiej Filharmonii była omawiana wielokrotnie i wielokrotnie atakowano kierownictwo tej placówki. Zanim jednak spróbuję sporządzić bilans jej pracy, zacytuję niektóre dane umieszczone w sprawozdaniu z działalności Filharmonii. Oto one:

„Państwowa Filharmonia w Krakowie dała w sezonie 1945/46 r. ogółem 60 koncertów, przygotowanych 140 próbami — z udziałem 48 solistów, wykonawszy 133 różne utwory. Przez koncerty te przewinęło się 52.400 osób publiczności". „Filharmonia, w której skład wchodzi 84 instrumentalistów, dała wielkich piątkowych koncertów symfonicznych 28, okolicznościowych wieczornych 4, poranków 22 i specjalnych akademii 6". Z tego: „5 bezpłatnych (m. in. dla żołnierzy, urzędników, świata pracy), 3 dobroczynne... 2 dla młodzieży, 4 dla robotników oraz 10 rocznic i akademii". Przechodząc do szczegółowego sprawozdania przypomnę, że w 4-tym numerze *Twórczości* omówiłem pracę Filharmonii od listopada 45 do połowy marca b. r. Obecnie — przed próbą końcoworocznego bilansu — pozostaje omówienie dalszych.

A więc:

14 marca dyrygował W. Bierdiajew *Szkicami symfoniczynmi* Zygmunta Mycielskiego i *Symfonią Jowiszową* Mozarta. *Szkice* to muzyka silnie związana z nowoczesną Francją, zdyscyplinowana intelektualnie, bardzo oszczędna w emocji, interesująca. Mycielski — uczeń Dukasa i Nadi Boulanger — reprezentuje dość surowy radykalizm, tendencje „atonalistyczne" a zarazem dąży do prostoty w konstrukcji i fakturze. Szkice zostały wykonane częściowo — tego zwyczaju powinno się unikać zarówno dla dobra kompozytora jak i słuchacza — z odegranych fragmentów najbardziej przekonywującą zdaje się być Aria.

Poranek z 16. III. należał do najciekawszych i najbardziej udanych występów orkiestry. Dyrygent — Artur Malawski — poprowadził *Kaprys hiszpański* Korsakowa i *Małą Serenadę* Mozarta. *Kaprys* był bardzo poprawny — miejscami doskonały. Natomiast Mozart, mimo usterek w czwartej części, to niewątpliwie najlepszy Mozart, jakiego Kraków słyszał w tym sezonie. Czystość i klasyczna jasność dźwięku, rygoryzm rytmiczny a równocześnie pełna swoboda w prowadzeniu poetyckiej frazy, doskonała dyscyplina dynamiki i temp — oto zasługi Malawskiego. Dlaczego słyszymy go tak rzadko!?

22. III. wykonano program poświęcony Beethovenowi — W. Bierdiajew dyrygował *Eroiką* i *Leonorą* znakomicie, z pełnym wyczuciem stylu i monumentalnych konstrukcji. Niestety najbliższy poranek z *Egmontem* i *Patetyczną* Czajkowskiego — prowadził B. Lewandowski — znowu był obniżeniem poziomu w porównaniu do poprzednich koncertów.

Ostatnim koncertem marcowym — 29-go, dyrygował A. Panufnik. W programie: *Symfonia* Dankowskiego, wstęp do opery *Daniel* A. Marczewskiego oraz *IV Mazurek Symfoniczny* Wróbla. Wieczór raczej nieciekawy — zarówno jeśli chodzi o program, jak o jego wykonanie — chwilami *(Daniel)* wybitnie nieinteresujący.

Początek kwietnia był okresem uroczystości związanych z dziewiątą rocznicą śmierci Karola Szymanowskiego. Nie mogąc być niestety na nich obecny, przytoczę zdania krytyka *Odrodzenia* dr. St. Łobaczewskiej: „Centralnym punktem uroczystości był koncert w Filharmonii, na którym wykonano *Stabat Mater* i *I koncert skrzypcowy*. *I koncert skrzypcowy* — to Szymanowski w żywiołowym rozpędzie młodości... Ta sama siła emocji przemawia do nas i z partytury *Stabat Mater*. Tylko tu uczucie zostało pogłębione, Szymanowski osiągnął już pełną dojrzałość wewnętrzną, posiadł sztukę mądrego, oszczędnego dysponowania środkami artystycznymi i ową prostotę dostępną już tylko największym.

Pod względem wykonawczym reprezentują oba te dzieła nie tylko olbrzymi wysiłek, ale i duże osiągnięcie artystyczne orkiestry, chóru, solistów i W. Bierdiajewa jako dyrygenta. Poziom koncertu był bardzo wysoki... Chórom Filharmonii należy się największe uznanie za ogrom pracy i entuzjazmu, włożonego w przygotowanie *Stabat Mater*... rezultaty były bardzo piękne".

12. IV. dyrygował *IV Symfonią* Brahmsa, *La procession nocturne* Rabauda i *Uczniem czarnoksiężnika* Dukasa Zygmunt Latoszewski. Najbardziej — jeśli chodzi o wykonanie — interesującym punktem wieczoru był Rabaud, muzyka zresztą typowo „niemiecka", wagneriańska i poza znakomitym rzemiosłem nie wykazująca zbyt wielu zalet. W *Uczniu czarnoksiężnika* zawiodła technicznie orkiestra, w *IV Symfonii* zawiódł dyrygent. Brahms w ogóle nie ma szczęścia w krakowskiej Filharmonii. Jego klasycyzm, pełen głębokiej emocji i wewnętrznego napięcia, został tu potraktowany zbyt sucho i formalistycznie.

W Wielki Czwartek — 18. IV. — słuchaliśmy muzyki religijnej: powtórzenie *Stabat Mater* (ze zmienioną obsadą solistów), wstępu do oratorium *Powrót syna marnotrawnego* Feliksa Nowowiejskiego i *Pieśni wielkopostnych* Jana Maklakiewicza. *Stabat Mater* to bardzo niebezpieczny kontekst dla konwencjonalnej, nieinteresującej kompozycji Nowowiejskiego, a szczególnie dla *Pieśni*. Było to — chodzi właśnie o *Pieśni* — przeciwstawienie prostoty jako najwyższej konieczności artystycznej „prostocie programowej", będącej raczej spłyczaniem niż sztuką — powściągliwości i dojrzałości wewnętrznej niezbyt wybrednemu efekciarstwu. *Pieśni* zostały prawdopodobnie pomyślane jako t. zw. „zamówienie społeczne" z tym, że termin i sens owego zamówienia został przez kompozytora zrozumiany bardzo błędnie lub po prostu niezrozumiany. Sprawa jest dosyć prosta i nie powinna zadawać kłopotu; dzieło sztuki zaczyna spełniać zamówienie społeczne przede wszystkim od tego, że wykazuje się wysokimi zaletami artystycznymi. Natomiast zła robota artystyczna jest zawsze zaprzeczeniem zamówienia społecznego z tej oczywistej przyczyny, że społeczeństwa nigdy nie zamawiają złej sztuki.

26-go kwietnia W. Bierdiajew przedstawił *Symfonię* Kalinnikowa i *Divertimento* Witolda Rudzińskiego napisane w 1940 roku. *Symfonia* — muzyka „ładna" lecz niezbyt interesująca — została świetnie zrobiona przez Bierdiajewa, który zdaje się lubi muzykę z rodziny Czajkowskiego. *Divertimento* — powściągliwe w konstrukcji i technice kompozytorskiej, doskonałe formalnie, dokumentujące poważny, intelektualizujący talent — również należy zapisać na dobre konto zarówno dyrygenta, jak i zespołu.

Maj rozpoczęto dwoma okolicznościowymi i — jak zwykle w tych wypadkach bywa — nieciekawymi koncertami. Swego rodzaju rehabilitacją był trzeci z wieczorów o charakterze okolicznościowym (w dniu Święta Zwycięstwa), na którym W. Bierdiajew prowadził *II Symfonię* Palestra, znaną już z zeszłorocznego Festivalu — a należy powtórzyć: jedno z najwybitniejszych dzieł polskiej symfoniki. Dzieło to jest dokumentem zamierzonego i spełnionego odwrotu od ideologii formistycznej — zasada eksperymentu dla eksperymentu, odkrywczości *par force* itp. Wszystko to zostało odrzucone i pominięte na rzecz wypowiadania sensów wewnętrznych, powiedzmy: filozoficznych. Widać w *Symfonii* pracę nad tworzeniem sztuki naprawdę nowej i oryginalnej.

17-go i 19-go maja wystąpił Zdzisław Górzyński. Jest on dyrygentem, którego słucha się z najwyższą muzyczną satysfakcją, niewątpliwie jednym z pierwszych w Polsce a, jak mi się wydaje, najbardziej frapującym. Tym bardziej wypada żałować, że przedstawił programy zdecydowanie błahe; szczególnie poranek obfitował w utwory na pewno godne zapomnienia. Tak świetny talent jak Górzyński powinien chyba dawać publiczności nieco więcej niż pokazowe lekcje techniki dyrygenckiej na np. muzyce baletowej z grafomańskiej *Giocondy*. Na koncercie z 17-go wykonano — jako jeden z „jasnych punktów" — *Koncert fortepianowy* Szeligow-

skiego (solista St. Szpinalski). Jest to muzyka bardzo dobra, lecz nie zanadto rewelacyjna; stanowi dowód kultury, dobrego smaku i muzycznego poczucia humoru; jest doskonale — przede wszystkim w trzeciej, wirtuozowskiej części — przeprowadzona pod względem konstrukcji i faktury. Niewątpliwie należy uznać ów koncert za poważną pozycję w naszej współczesnej literaturze fortepianowej.

W dniu 23 maja L. Krzemieński dyrygował kulturalnie, lecz nie bez braków uwerturą do *Uprowadzenia z Seraju* Mozarta i *V Symfonią* Szostakowicza. Dymitr Szostakowicz uchodzi za jedną z najwybitniejszych indywidualności współczesnej muzyki rosyjskiej i światowej, w każdym zaś razie należy do najpopularniejszych kompozytorów naszego czasu. Niestety *V Symfonia* nie wydaje mi się być dobrą legitymacją jego wielkości. Jedynie Largo, pełne spokoju i skupienia niemalże bachowskiego, oparte na długiej, majestatycznej frazie, jest sztuką wysokiej próby — inne części, szczególnie zaś Scherzo, absolutnie nie przekonywują. Wspominając znane mi pierwszą i trzecią Symfonię tego autora mogę śmiało stwierdzić, że V-ta nie daje właściwego obrazu. Dłużyzny, brak konsekwencji konstrukcyjnej a nawet stylistycznej, dość grubo zrobiona instrumentacja — oto jej wady.

25-go maja dyrygował na jubileuszu H. Ottawowej Anatol Zarubin. 31-go W. Bierdiajew poprowadził ostatni koncert sezonu. Był to *Oberon* i *II Symfonia* Beethovena, bardzo z wdziękiem, po „haydnowsku" i lekko pomyślana — całkowita rekompensata za bardzo słaby akompaniament do *I Koncertu fortepianowego* Brahmsa (solista J. Hoffman) i nie całkiem udanego *Oberona*.

Za definitywne jednak zamknięcie sezonu filharmonijnego należy uznać dopiero Święto Muzyki Polskiej w ostatnim tygodniu czerwca, na które złożyły się dwa wieczory poświęcone pieśni chóralnej i trzy koncerty symfonicznej. Całość była pomyślana — jak na Kraków przystało — bardzo uroczyście, z dziedzińcami wawelskim i Biblioteki Jagiellońskiej jako scenerią uroczystości. A więc nikt nie powinien dziwić się patetycznemu tytułowi.

Wieczory chóralne — pierwszy z nich został mianowany Świętem Pieśni (aby było jeszcze świąteczniej) — nie wniosły nic ciekawego, poza wykonaniem dwu zgrabnych pieśni Szeligowskiego i *Pięciu ludowych pieśni na soprany i 5 instrumentów dętych* Panufnika, których wdzięk znamy jeszcze z zeszłorocznego festiwalu. Należy się jednak cieszyć, że mnożą się i dobrze pracują zespoły chóralne — ważny instrument w akcji umuzykalniania społeczeństwa.

Koncerty symfoniczne prowadziło trzech dyrygentów — 25-go W. Bierdiajew, 27-go Z. Górzyński, 29-go Z. Latoszewski. Pierwszy z wieczorów to uwertura do opery *Paria* Moniuszki, tańce weselne z baletu *Pieśń o ziemi* Palestra, ciekawy *Koncert skrzypcowy* Perkowskiego (solista T. Wroński) i *Pieśń Roxany* oraz trzy *Wokalizy* Maklakiewicza (solistka A. Sari). Najbardziej udanym momentem był Palester — muzyka świetnej techniki i wielkiego polotu. Na drugim wieczorze Górzyński dyrygował ładną i pełną przyjemnej naiwności uwerturą do *Królowej Jadwigi* Kurpińskiego, *Stańczykiem* Różyckiego i *Symfonią* współczesnego kompozytora polskiego Czesława Marka. Symfonia ta, to pokaz bardzo umiejętnego rzemiosła kompozytorskiego, lecz niezbyt odkrywczej, dość kompromisowej inwencji, wyobraźni nawet konserwatywnej — w sumie: dobra i bardzo potrzebna muzyka „średniej rangi". Poza tym usłyszeliśmy *Koncert skrzypcowy* Maklakiewicza (solista W. Niemczyk), jaskrawo odbiegający swym wysokim poziomem od ostatnich prac tego kompozytora. Maklakiewicz powinien zerwać z pamięcią o *Grunwaldzie*, kolędach i pieśniach wielkopostnych, a nawiązać do linii koncertów skrzypcowego, wiolonczelowego, symfonii, kreujących go na talent pierwszej wielkości. Na ostatnim wieczorze H. Sztompka wystąpił z *Fantazją* Paderewskiego, zaś Latoszewski bardzo interesująco poprowadził poemat symfoniczny Karłowicza *Stanisław i Anna Oświęcimowie* oraz *Harnasiów* Szymanowskiego, na których zabrakło już widać świątecznego gestu, by wykonać je w całości.

Jako miły gest orkiestry i solistów należy podkreślić bezpłatne powtórzenie solowych części koncertów we wtorek 4 lipca na dziedzińcu wawelskim. Słuchały tego koncertu tłumy równie liczne, co np. na zawodach piłkarskich: kilkanaście tysięcy entuzjastycznych słuchaczy.

Oceniając ogólnie Święto Muzyki Polskiej można by użyć niby wulgarnej, lecz w tym wypadku rzeczowej przenośni o górze rodzącej mysz. Istotnie — wspaniały tytuł i świetne nazwiska wykonawców zapowiadały nieco lepsze rezultaty, niż okazało się na koniec. Oto najłatwiejszy zarzut: jakież to święto bez Chopina? A dalej: jeśli już „święto", to powinno się usłyszeć także muzykę kameralną, przynajmniej jedno „prawykonanie", *Harnasiów* nie w fragmentach itp. itp. — słowem brak tu było świątecz-

ności naprawdę solennej i dającej lepsze świadectwo polskiej muzyce, niż to miało miejsce. W efekcie dałoby się powiedzieć, że całość miała charakter pewnej... improwizacji.

Wydaje mi się, iż podobny zarzut da się postawić kierownictwu Filharmonii obliczając bilans całoroczny. Chociażby nawet określenie „improwizacja" uznał ktoś za przesadne, faktem pozostaje, że o konsekwencji i logice linii repertuarowej niewiele pięknych słów da się powiedzieć. A nawet za mało. Faworyzowanie muzyki łatwej a mało wartościowej — pomijanie polskiej twórczości współczesnej — pomijanie łatwej a wysokowartościowej starej muzyki — niezręczne układanie programów poszczególnych koncertów — kilka imprez o programach poprostu żenujących — oto zdecydowanie ujemne pozycje bilansu. Szczególnie np. drażniące było trzykrotne wykonanie *Marii* Statkowskiego, podczas gdy np. *Symphonia concertante* nie doczekała się ani jednego, a jeden z poranków zatytułowany — o ile pamiętam — *Tańce* nadawał się programem raczej do niezbyt wybrednego teatrzyku rewiowego niż do Filharmonii. Geneza podobnych faktów oczywista: zbyt wiele myśli się o „kasie" — zbyt mało o dobrej sztuce.

Jednak chcąc zachować możliwie ścisłą sprawiedliwość należy z miejsca podkreślić, że nie za wszystkie winy odpowiada kierownictwo Filharmonii. W sprawach księgowości jestem absolutnie ignorantem. Jednak używając słowa „bilans", przypomnę dwa inne: „aktywa" i passywa". A nawet przy swojej ignorancji nie trudno było mi się zorientować, że aktywa i passywa Filharmonii w najmniejszym stopniu nie kojarzą się z pojęciem równowagi, ponieważ passywa cierpią na wyraźną hypertrofię. Zajmując się swego czasu gdzie indziej tymi sprawami, użyłem między innymi kilku retorycznych pytań —spróbuję zacytować je z pamięci. A więc: dlaczego w Krakowie, który uchodzi za poważne centrum kulturalne, Filharmonia „mieszka kątem"? Dlaczego miesięczne zarobki instrumentalistów znaczniejszej placówki muzycznej w Polsce wahają się w granicach 1—4000 zł, podczas gdy zarobki dzienne muzyków kawiarnianych dochodzą do 2000 zł? Dlaczego chór, „który brał udział w 10 koncertach, przygotowawszy się do nich na 90 próbach" — najlepszy chór w Polsce — pracował bez żadnych gaż, subsydiów, czy choćby przydziałów? Dlaczego — pozornie drobnostka — publiczność koncertowa musi oddychać powietrzem skonsumowanym uprzednio przez publiczność dwu filmowych seansów i dlaczego w braku odpowiednich izolacji akustycznych w koncertach biorą pełny a głośny współudział przejeżdżające obok tramwaje? Dość! Nie są to pytania wesołe.

Jak widać Filharmonia wiele może przedłożyć na swoje usprawiedliwienie. Nie znaczy to, że wyrówna wszystkie minusy i całkowicie oczyści się z grzechów. Jednak należy przyznać, że część ich była — powiedzmy tak — grzechami sytuacyjnymi, że jak widać postulaty memoriału są słuszne, a równocześnie należy chyba mieć nadzieję, że w przyszłym roku termin grzechu „sytuacyjnego" zdezaktualizuje się całkowicie.

SOLIŚCI

Listę pianistów rozpoczyna Jan Hoffman, który wystąpił z *Koncertem d-moll* Brahmsa. O ile akompaniament orkiestry dążył do utrzymania tradycji „złego Brahmsa" w krakowskiej Filharmonii, to bezsporną zasługą Hoffmana jest przełamanie tej tradycji — i to w świetny sposób. Brahms jest próbą artyzmu specjalnie wysoką przez swe kontrasty: klasycystycznego rygoryzmu formy i kolosalnego napięcia wewnętrznego, ścisłej konstrukcji i wielkiej emocji; dlatego wymaga wrażliwości opanowanej przez intelekt. Posiada ją Hoffman w postaci kierowania wzruszeniami właśnie intelektem, wysoką wiedzą o konstrukcji i stylu. Do tego dodać należy doskonałą mechanikę, piękny dźwięk — i tajemnica przezwyciężenia owej „złej tradycji" stanie się całkowicie jasna.

Natalia Hublerowa wystąpiła dwukrotnie — z koncertami Czajkowskiego i Chopina. Reprezentuje ona w realizowaniu dzieła sztuki „metodę czystej emocji". Metoda taka może czasami — przy doskonałym technicznym poziomie Hublerowej — dać bardzo dobre wyniki. Przykładem Czajkowski, muzyka zresztą typowo emocjonalna. Jednak kierowanie się samą wrażliwością potrafi sprawić zawód. Przykładem Chopin, którego już dzisiaj absolutnie nie można realizować bez kontroli intelektu — w przeciwnym razie grozi fałsz lub sentymentalny anachronizm.

Władysław Kędra jest największą chyba nadzieją młodego pokolenia pianistów polskich. Świetny muzyk, technik niemal całkowicie dojrzały, może śmiało sięgać — powiedzmy tak — po laury Europy. I więcej jeszcze. Jedynie sprawa wiedzy o stylach pozostaje kwestią otwartą — rok temu Schumann był zbyt klasycystyczny, tym razem Liszt za mało wirtuozowski.

Z interesującą i przemyślaną koncepcją *Es-dur koncertu* Beethovena wystąpił A. Kopyciński.

Helena Ottawowa obchodziła swój jubileusz 50-lecia pracy artystycznej, występując z *Koncertem e-moll* Beethovena i *Wariacjami symfonicznymi* Francka na jednym koncercie. Siedemdziesięcioletnia pianistka, zasłużony artysta i pedagog, wykazała się zdumiewającą wprost żywotnością, muzycznym temperamentem, pięknym dźwiękiem i bardzo dobrą mechaniką. Koncert jej nie był jubileuszową formalnością, lecz poważnym przeżyciem artystycznym.

Halina Sembrat wystąpiła z recitalem o kulturalnie pomyślanym programie. Jest to artystka o niezaprzeczalnym talencie, jednak przeszkadza jej w osiągnięciu wybitnych wyników wyraźna nerwowość — typowe zahamowanie psychiczne.

Henryk Sztompka przedstawił *Fantazję polską* Paderewskiego. Kompozycja ta — eklektyczna i raczej nieciekawa — nie stawia zbyt wielkich wymagań, lecz Sztompka, o ile można tak powiedzieć, naddał jej wartości. Jego koncepcja godności i spokoju, dramatyzowanie frazy nawet nieprzekonywującej i elegancja *brillant* w momentach pustej wirtuozerii były dziełem artystycznym pierwszej próby.

Bolesław Woytowicz w *Koncercie* Saint-Saënsa wykazał się wysoką kulturą i smakiem, dobrą techniką lecz niezbyt nośnym dźwiękiem. Szkoda, że muzyk tak wybitny wystąpił z tak mało wartą i nieciekawą nawet pod względem faktury kompozycją.

Listę pianistów zamyka Jerzy Żurawlew, który dał recital chopinowski. Wypada mi powtórzyć zarzuty, które już raz postawiłem koncepcjom Żurawlewa. Reprezentuje on t. zw. subiektywną postawę w sztuce odtwórczej, która w Chopinie przejawia się już nie tylko w zmianach agogicznych i bardzo swobodnym traktowaniu frazy, lecz nawet w zmianach rytmicznych. Całość nosi przeto cechy dość nawet łatwego sentymentalizmu. Nie ulega wątpliwości, że Żurawlew jest pianistą wysokiej klasy. Wydaje mi się jednak, że w muzyce chopinowskiej obrał drogę najmniejszego oporu, a zarazem drogę anachronizmu.

Wacław Niemczyk jest przede wszystkim wirtuozem, toteż prawie zawsze wywołuje entuzjazm. Jednak gdy magia wielkiego dźwięku i zdumiewającej, czasami ekwilibrystycznej łatwości technicznej przestaje działać, otwiera się pole do dyskusji i sprzeciwów. Wirtuozeria grozi spłycaniem koncepcji — jest drogą łatwą i zazwyczaj „wdzięczną", ale równocześnie nie całkiem artystyczną. W efekcie w obu koncertach — Karłowicza i Maklakiewicza — z którymi Niemczyk wystąpił, znalazły się miejsca „puste" i dzięki płytkiemu ujęciu np. kantyleny nieinteresujące, choć całość entuzjazmowała.

Alfred Szenker dał recital o niezbyt zręcznie pomyślanym programie, przedstawiając w ekwiwalencie ładny, dość zresztą konwencjonalny dźwięk, dużo inteligencji i kultury.

Eugenia Umińska wystąpiła w *Koncercie* Szymanowskiego. Wydaje mi się, że niewielu skrzypków potrafiło by dać w tym dziele równie wysokiej próby przeżycie artystyczne. Umińska jest emocjonalistką i ta przede wszystkim cecha pomogła jej w pełni zrealizować dzieło sztuki tak wielkiego napięcia, jak właśnie ów koncert.

Na koniec Tadeusz Wroński, który ukazał się z *Koncertem* Perkowskiego. Jest on skrzypkiem wysokiej klasy — oszczędnym, powściągliwym, bardzo wielkiej muzykalności i kultury. Wydaje mi się, że należy go z satysfakcją zaliczyć do polskiej „ekstraklasy" oczekując na jego nowe, równie wysokie osiągnięcia artystyczne.

Listę śpiewaków otwiera Czesław Finze — tenor wyraźnie operowy, o pięknym, bardzo prawidłowo postawionym głosie i dużej muzykalności.

Stanisława Hoffmanowa śpiewała altową partię w powtórzeniu *Stabat Mater*. Jest to artystka o niezwykle wysokiej kulturze wewnętrznej i technicznej, o bardzo pięknym materiale głosowym i należy żałować, że słyszymy ją tak rzadko. Wykonawczyni tej partii z 5. IV. Z. Hrabi-Szałkiewicz wykazała się wybitną inteligencją i muzykalnością.

Barbara Kostrzewska należy niewątpliwie do najwyższej klasy naszej wokalistyki — kultura, muzykalność, bardzo piękny głos o pełnym wdzięku, jak gdyby nieco infantylnym brzmieniu — doskonała, jak mawiają, aparycja, oto zalety predystynujące ją do opery. Jest to okazja do przypomnienia, by Kraków zdobył się nareszcie na swą operę, której mu bardzo brakuje.

Aniela Szlemińska śpiewała partię sopranu w *Stabat Mater*. Był to pokaz artyzmu wokalnego, obcego wszelkim efekciarstwom i łatwiznom, pokaz wielkiej sztuki odtwórczej. I. Winsch-Pawlikowska wystąpiła w powtórzeniu *Stabat Mater*, legitymując się wysokim kunsztem technicznym, ładną, logiczną frazą i subtelnie dozowaną dynamiką.

Irena Wiskida — sopran — wzięła udział w wieczorze poświęconym twórczości Feliksa Nowowiejskiego, który w istocie był

jej recitalem. Pisząc o tej śpiewaczce, należy przede wszystkim wspomnieć o kulturze i muzykalności. Wiskida reprezentuje pod tym względem (podobnie jak np. Szlemińska czy Hoffmanowa) poziom rzadko spotykany wśród wokalistów nie tylko Polski, lecz i Europy. Zrozumienie funkcji intelektu w pracy nad odtwórczym dziełem sztuki, pietyzm dla konstrukcji i stylu, wysoka wiedza muzyczna — oto zalety pasujące ją na śpiewaka wysokiej rangi.

Partię barytonową w *Stabat Mater* wykonał muzykalnie Antoni Wolak, tenorową w *Harnasiach* Franciszek Bedlewicz.

MUZYKA KAMERALNA

W okresie, któremu jest poświęcone to sprawozdanie, odbył się tylko jeden koncert muzyki kameralnej. Fakt charakterystyczny i co najmniej kłopotliwy — dokładnie zaś mówiąc: kompromitujący. Niedocenianie, a nawet lekceważenie jednego z najpiękpiękniejszych gatunków muzycznych jest bardzo wyraźnym wskaźnikiem stopnia umuzykalnienia naszego społeczeństwa. I nie należy ukrywać, że ów stopień jest kompromitująco niski. Można by osądzić, że społeczeństwo mało umuzykalnione nie potrzebuje zespołów kameralnych, że ważniejszą sprawą jest pierwszy stopień wtajemniczenia — freblówka estetyczna w rodzaju dobrej operetki lub dobrej orkiestry salonowej. Byłby to, rzecz prosta, kapitalny nonsens. Chociaż nasze społeczeństwo potrzebuje na razie więcej „freblówek" estetycznych niż „uniwersytetów", tym bardziej właśnie należy dbać o zespoły o poziomie „uniwersyteckim", o grupy, które powinny — w oparciu o szeroką akcję typu uniwersyteckiego — przeprowadzać kooptację grup niższego poziomu.

Jak na razie — i niestety — jest do zaobserwowania sytuacja spokrewniona z tamtym kapitalnym nonsensem: muzyka kameralna, stopień wysokiego wtajemniczenia, leży odłogiem. Na domiar złego freblówki o dobrym poziomie również należą do unikatów. Coś tu jest nie w porządku, gdzieś szwankuje logika w planowaniu akcji o zasięgu społecznym, brakuje dobrego instrumentu intelektualnego. Należałoby uradzić, jak przeciwdziałać złu. Oto pole działania dla przyszłej Rady Muzycznej.

Ów jedyny koncert, o którym mowa, był występem Kwartetu Polskiego Radia z Poznania (Zdzisław Jahnke, Ludwik Kwaśnik, Tadeusz Szulc, Dezyderiusz Danczowski). Program ciekawy: dwa kwartety współczesnych polskich kompozytorów — Tadeusza Jareckiego i Antoniego Szałowskiego — oraz kwartet Schumanna. Najbardziej interesującym momentem był *Kwartet* Szałowskiego — kompozycja znakomita i odkrywcza pod względem faktury, bardzo zdyscyplinowana konstrukcyjnie, o ile można tak powiedzieć: spekulatywna i intelektualistyczna. Szałowski jeszcze raz dokumentuje tu swe związki krwi z współczesną Francją, ostro negującą emocję jako zasadę, jako podstawowy sens dzieła sztuki. W efekcie postawa taka stosowana rygorystycznie prowadzi do pewnej oschłości, do zubożeń inwencji, będącej już raczej wynikiem spekulacji niż wewnętrznej konieczności. Jednak kwartet Szałowskiego — mimo podobnych tendencji — jest niewątpliwie dziełem artystycznym wysokiej próby i przede wszystkim wirtuozowskiej nieomal techniki kompozytorskiej.

Kwartet Jareckiego to inny świat muzyczny — zarówno historycznie, jak i ideologicznie. Widać tu wyraźnie „zasadę emocji", i to niezbyt przekonywująco kontrolowanej przez intelekt — równocześnie zaś język tego utworu jest dość konserwatywny, gdzie niegdzie transponowany we współczesność, lecz i tu ani ściśle własny ani wyrazisty.

Sam zespół wyłamywał się z podstawowego prawa kwartetu — jednego instrumentu w czterech osobach. Zarówno synchronizacja barwy dźwięku, jak dyscyplina rytmu i frazy były nie całkiem ściśle przestrzegane. Najwięcej pochwał dałoby się jeszcze powiedzieć o instrumentach niższego rejestru, najmniej o pierwszych skrzypcach. Jednak muszę wyjaśnić jedną ważną sprawę: mimo owych usterek, koncert był wydarzeniem z punktu widzenia muzyków świątecznym. Choćby z tej prostej przyczyny, że chcąc w Polsce słuchać często zespołów kameralnych, można jedynie zadowolić się radiem — i to w większości wypadków słuchając stacji zagranicznych.

Jak dotychczas jedyną instytucją opiekującą się koncertową praktyką kameralną jest Centralne Biuro Koncertowe. Dlatego spróbuję nakreślić bilans tej instytucji. O ile mi wiadomo, finansowe aktywa C. B. K. (w zasięgu ogólnopolskim) wynoszą 15.000 zł miesięcznie. Ten fakt nie wymaga komentarzy i wiedząc o nim można by przypuścić, że w efekcie C. B. K. nie potrafi wylegitymować się żadnymi pozytywnymi rezultatami swej pracy. Otóż nie. Instytucji tej w sporządzaniu końcoworocznych obrachunków należą się słowa najwyższego uznania. Wydaje mi się, że

ożna ją stawiać za wzór bezkompromisowej walki o sztukę najlepszą, i to walki granicach ludzkich możliwości — wyranej.

SZKOLNICTWO

Jest sprawą oczywistą, że problem szkolictwa zajmuje w hierarchii potrzeb naszeo życia muzycznego miejsce naczelne. Reormy dokonywane obecnie w tej dziedzinie mogą stworzyć przewrót w historii naszej kultury muzycznej — przewrót jak ajbardziej pozytywny. Sprawa owych reorm, porzucenia metod tradycyjnych większości wypadków już zdyskredytoanych, stworzenia i stabilizacji nowych rogramów — oto, jak mi się wydaje, zaadnienia kapitalne. Intensywna praca ad wychowaniem nowego profesjonalisty szkołach zawodowych i nowego dylenta w szkołach umuzykalniających gwantuje szybki rozwój muzycznej kultury Polsce; pozostawienie szkolnictwa dawemu biegowi rzeczy gwarantowałoby rozrój minimalny, stagnację lub jeszcze gorze perspektywy.

Obserwacja przedstawionych na końcorocznych popisach wyników pracy krakowskich państwowych szkół muzycznych prawnia w pełni do optymizmu. Popisy ańsтw. Szkoły Dziecięcej (dyr. Adam Rieer), Państw. Szkoły Średniej (dyr. Artur aube) i Państw. Wyższej Szkoły Muzycznej były przeglądem dużej ilości poważych talentów, pracujących pod właściwym ierunkiem pedagogicznym. Szczególnie wyęp uczniów P. W. S. M. (rektor Zbigniew rzewiecki) stał na bardzo wysokim poiomie. Ten „uniwersytet muzyczny" mona uznać — zarówno jeśli chodzi o wyładowców, jak i o zespół uczniowski — za wietne osiągnięcie krakowskiego świata uzycznego. Z występujących należy wynienić Barbarę Muszyńską i Reginę Szmenziankę — dwa bardzo poważne talenty ianistyczne, oraz, jako najciekawszą indyidualność, kompozytora i dyrygenta Staława Skrowaczewskiego.

Z wykładowców wymienię Z. Drzewiekiego, J. Hoffmana, H. Sztompkę, St. Taroszewicza, E. Umińską, W. Bierdiajewa, . Bandrowską, A. Sari, B. Romaniszyna, . Zawadzką, St. Kisielewskiego, St. Łobazewską, A. Malawskiego, R. Palestra, St. Wiechowicza. Jest to zatem elita. Nie przeadzę w twierdzeniu, że istnieją możliwości tworzenia z krakowskiej P. W. S. M. ośrodka o zasięgu europejskim. Niestety i w szkolnictwie przeraża wiele faktów, które absolutnie powinny zostać zlikwidowane — np.: Państwowa Szkoła Średnia posiada zaledwie jedną (!) salę wykładową na kilkuset uczniów. Państwowa Szkoła umuzykalniająca na 342 uczniów posiada 5 sal wykładowych (w tym cztery jednookienne i jedną dwuokienną) — podobnie przedstawia się sprawa lokalu P. W. S. M., absolutnie nie odpowiadającego potrzebom i możliwościom uczelni. A dalej: wolę nie cytować danych o uposażeniach profesorskich, funduszu stypendialnym, Bratniej Pomocy, bursie dla zamiejscowych studentów czy pomocy naukowych — są one bardzo żenujące.

Należy mieć jednak nadzieję, że w odpowiedzi na świetne wyniki pracy całorocznej muzyczne szkolnictwo krakowskie otrzyma wprost proporcjonalne do swych wyników poparcie. Bo i tu chyba znajdzie się ktoś, kto potrafi złu zaradzić. Może Rada Muzyczna?

UWAGI

Na koniec — jak zwykle — ciekawostki:

a) Przed kilkoma miesiącami Henryk Sztompka zamierzał powtórzyć swój recital chopinowski dla młodzieży szkół średnich i uniwersytetu po cenach zniżonych do mniej więcej jednej czwartej normalnej stawki. Do koncertu nie doszło, ponieważ za jednorazowe wypożyczenie sali kina *Świt*, w której mieszka kątem Filharmonia — zażądano 25.000 zł (!) Grosza mniej. Pięknie. Młodzież akademicka, szukając kulturalnych wrażeń, mogła udać się za to na *Profesora Wilczura* lub *Skłamałam* z Jadwigą Smosarską, co należy uznać za nowy poważny krok w akcji upowszechnienia kultury, organizowanej przez Zarząd Kin w Krakowie.

b) W Krakowie nie znalazło się dotąd miejsca dla opery, operetki ani baletu — choć (to jest pewne) teatr opery, operetki i baletu byłby najbardziej dochodowym teatrem Krakowa. Bowiem Kraków zgłasza zamówienia społeczne na operę, operetkę i balet (a niewątpliwie potrafi je opłacić). I dobrze się stanie, jeśli pomoże się Kostrzewskiej do nieśpiewania a Wójcikowskiemu do nietańczenia... po kabaretach. I tych dwoje, i inni warci są estrad i desek z innego zdarzenia.

Jerzy Broszkiewicz

NOTY

JUBILEUSZ BERNARDA SHAW

26 lipca obchodziła Anglia osobliwą uroczystość: dziewięćdziesięciolecie (sama długość słowa jest prawie symboliczna) Bernarda Shawa. Nazywam tę uroczystość osobliwym świętem z niejednego powodu. „Solski Wielkiej Brytanii" jest bezsporną gwiazdą i autorytetem literackim. Churchill nazwał go niedawno (z pewną przesadą) „największym żyjącym pisarzem świata anglosaskiego". Film wiernie wykrojony ze sztuki Shawa *Antoniusz i Kleopatra* został wyprodukowany z olbrzymim nakładem kosztów (zbudowano w tym celu specjalne sztuczne miasto!) Na uniwersytetach brytyjskich wykładają już profesorowie o „wpływie Shawa na nowoczesny teatr angielski". Książki o „G. B. S." rodzą się tuzinami. (Ostatnio jedną z nich wydał — nasz Feliks Topolski). Na 90-lecie wyjdzie specjalna księga essay'ów ku czci Shawa jako „dramaturga, autora, krytyka, dziennikarza, mówcy publicznego, społecznego reformatora i laureta Nobla". Współpracownikami tej książki będą: Gilbert Murray, Aldous Huxley, J. B. Priestley, poeta John Masefield i inni. W repertuarze wielu teatrów Shaw figuruje stale; najsławniejszy dziś zespół *Old Vic* zalicza autora *Kandidy* do swych żelaznych pozycji, na równi z Szekspirem i Ibsenem.

Otóż bardzo niedawno jeszcze Shaw był w Anglii — zaledwie tolerowany. Nie myślę już nawet o jego niezmiernie trudnych i ciężkich początkach. Wiadomo, że 9 lat żył w Londynie, próbując na próżno zwrócić na siebie uwagę. Szamotał się w sieci niepowodzeń i nędzy. Nosił wtedy tabaczkowe ubranie, niemożliwie zniszczony kapelusz i czarny płaszcz, ze starości przeświecający zielenią. Podejmował się różnych zajęć zarobkowych; zarabiał 6 funtów, z tego 5 układaniem tekstów reklamowych. Powoli zdobywał sobie możność ogłaszania recenzyj muzycznych i teatralnych oraz politycznych felietonów i „gloss". Efektownością stylu starał się zwrócić na siebie uwagę. Wreszcie w roku 1892 (mając już lat 36!) Shaw zyskuje sławę pierwszą swą głośną sztuką pt. *Widowers houses (Domy wdowca).*

Ale w tej sławie jest jeszcze niejedno ziarenko goryczy. Więcej w niej skandalu — niż uznania. „Jeśli tak dalej pójdzie — ostrzegał go ktoś — będzie pan miał samych wrogów". „Z panem będziej gorzej, — odparował natychmiast Shaw — nie będzie pan miał ani jednego nieprzyjaciela". Dumne to słowa, ale czy nie miały trochę smaku przysłowiowych kwaśnych winogron? Faktem jest, że Shaw miał początkowo znacznie większe powodzenie za granicą, niż w Wielkiej Brytanii. Nawet tak niewinna na pozór sztuka, jak *Nigdy nic nie wiadomo* została w Anglii wycofana wskutek nieporozumień z aktorami i kierownictwem teatru. Działo się to w r. 1906. A jeszcze w roku 1929 premiera *Wielkiego kramu* nie odbyła się w Londynie — tylko w Warszawie.

Nic dziwnego! Sztuki Shawa godziły we wszystko, co Anglicy przywykli szanować. W ich przywiązanie do religii, tradycji, surowości obyczajowej i autorytetów. I nie tylko konserwatyzm bywał tu ośmieszany, ale i angielska postępowość. Nie tylko wyzyskiwacze byli demaskowani — ale i reformatorowie, pragnący wyrównania krzywd. Nie tylko obłudnicy, ale i ludzie szczerzy. Krytyka Shawa nie dotyczyła takiego czy innego stronnictwa angielskiego, takiego czy innego stanu umysłu, takiej czy innej instytucji. On krytykował całą Anglię. Podgryzał się pod budynek społeczny, starając się zachwiać wszystkim: od fundamentów do poddaszy. Na kontynencie i w Ameryce oklaskiwano Shawa nieraz przez „Schadenfreude": myślano, jak to musi irytować Anglików. W roku 1936 w pewnym mieście manifestacyjnie podkreślano brawami wrogie Anglii aforyzmy *Męża przeznaczenia.* Wiele innych utworów Shawa miało charakter wybitnie an-

tybrytyjski. W komedii *Nad Przepaścią* rzucił nawet pisarz złośliwe hasło — „niepodległości... Szkocji".

Można żywić pewne wątpliwości, czy Shaw w ogóle jest Anglikiem. Wychował się w Wielkiej Brytanii, tu spędził całe życie; jego sposób myślenia jest typowo brytyjski; nie podobna go sobie wyobrazić na tle żadnego innego kraju. Ale Shaw sam niejednokrotnie podkreślał swoje pochodzenie irlandzkie (choć po irlandzku ani słowa nie napisał i językiem tym wcale nie włada). A i Anglicy sami dziś jeszcze, z okazji rocznicy 90-lecia, mówią o nim: *great Irish playwright*. Więc choć jest ich sławą narodową — jednak nie uważają go za Anglika...

Jakaż jest więc przyczyna wielkiej popularności Bernarda Shawa i nadzwyczajnych jego zwycięstw? Tylko z wielkimi zastrzeżeniami można przyjąć nadany mu epitet „społecznego reformatora". Prawda, że już w latach 90-tych ubiegłego stulecia był członkiem socjalistycznej *Fabian Society*, przemawiał w hotelach i na rogach ulic. Wkrótce potem przejął się marksizmem, marksistycznie nastrojona jest jego powieść *Socjalista na ustroniu* i sztuki takie jak *Szczygli zaułek* czy *Profesia pani Warren*. Napisał także *Przewodnik po socjalizmie dla inteligentnych kobiet*. Ale, jeśli się dobrze wsłuchać w jego komedie, uderzy nas ton snobizmu. Ludźmi silnymi, dzielnymi, imponującymi, inteligentnymi i obdarzonymi urokiem są u Shawa prawie wyłącznie arystokraci. Ten snobizm jest zupełnie wyraźny w *Kandidzie* i *Pigmalionie*. Na zagadnienie klas patrzy Shaw chwilami (zapewne mimowiednie) okiem feudała. Gdyż założenia Shawa są często sprzeczne z jego konkluzjami. Pisarz wikła się w sprzecznościach — i zdaje sobie z tego doskonale sprawę. Komiczna i tragiczna zarazem postać kaznodziei-ateisty ze sztuki *Zbyt prawdziwe aby było dobre* wydaje się autoportretem samego Shawa. Kaznodzieja jest częstą postacią w utworach Shawa, powracającą w tej twórczości raz po raz od najwcześniejszych do najpóźniejszych utworów. Kilka swoich komedii nazwał nawet Shaw „kazaniami scenicznymi". Ale jakaż jest treść tych kazań, czego uczą, do czego zmierzają? Właściwie — do niczego! Mózg pracuje bezbłędnie, słychać prawie jak obracają się jego tryby — ale konkluzji nie ma! W ostatniej, przedwojennej sztuce Shawa, w *Genewie* zapozwani są na sąd trzej dyktatorzy Europy, trzej, jakbyśmy dziś powiedzieli, zbrodniarze wojenni. Wina ich zostaje udowodniona przed trybunałem sumienia; rozprawa jest przeprowadzona z całą świetnością shawowskiej dialektyki. Ale cóż! Wyrok zdumiewa swą nielogicznością i zadziwiającą niesprawiedliwością. Ten wyrok obejmuje całą ludzkość, wszystkie winne i niewinne narody, krzywdzicieli i pokrzywdzonych, dyktatorów i prześladowanych. Wskutek nagłej zmiany klimatu „czapka lodowa" przesuwa się do bieguna ku równikowi i pochłania cywilizację. Wszyscy zostają skazani na zamarznięcie, za winy zbrodniarzy płaci cała ludzkość. I mimo woli myślimy sobie, że ta „czapka lodowa" jest symbolem zlodowaciałej, nieczułej na prawdę i nieprawdę, słuszność i krzywdę umysłowości samego Shawa. Przypomina się scena w *Podróży do kresu nocy*", gdy dwaj tubylcy afrykańscy przychodzą do białego sędziego z prośbą o rozstrzygnięcie sprawy cywilnej. Sędzia każe im dać obu po porcji kijów. Wyrafinowana umysłowość mistrza paradoksów jest analogiczna do tej „sprawiedliwości" kolonialnych prymitywów.

Aktualność Shawa? Churchill opowiada, że zaprosiwszy swe dzieci na *Majora Barbarę* po pierwszej światowej wojnie, doznał zadziwiającego wrażenia, iż sztuka ta nie zestarzała się wcale. Dzieci Shawa nie chciały uwierzyć, iż od napisania utworu minęło lat 20; i to 20 lat, które zmieniły oblicze ziemi, dokonały olbrzymiego przewrotu w dziedzinie politycznej, geograficznej, obyczajowej, kulturalnej, społecznej. W *Majorze Barbara* nie było ani jednej sceny, ani jednej myśli przestarzałej.

Minęło od tego czasu nowych lat 20. Tym razem świat Shawa nie oparł się już działaniu czasu, za przykład może służyć *Kandida*. Poeta Marchbanks nie przemawia tu językiem poezji współczesnej. Lirycy dzisiejsi myślą i mówią zupełnie inaczej. Są precyzyjni, ściśli, obciążeni poczuciem odpowiedzialności za słowo, zatroskani o przyszłość świata. Frazesy o „mieczu ognistym", puste przechwałki anarchizmu, nieopatrzne wyskoki myśli, jednostronność erotycznych manii — wszystko to byłoby im obce. A z drugiej strony także i pastor ukazuje się nam w nowym świetle. Bylibyśmy skłonni bronić go przed atakami Shawa. To co mówi i do czego dąży nie wydaje nam się tak puste i głupie. I kiedy w finale sztuki nadchodzi piękny (najświetniejszy chyba w całej twórczości Shawa) moment decyzji Kandidy, gdy wybiera ona słabszego (gdyż w duszy prawdziwej, stuprocentowej kobiety instynkt opieki i macierzyństwa wobec mężczyzny, współczucie dla bezradności i nieszczęścia są na pewno silniejsze od imponującego wrażenia zwycięstwa) — my bylibyśmy

skłonni raczej przestawić pozycje. Nie jest dla nas tak pewne, czy pastor jest stroną słabszą, a poeta silniejszą. Nie wiemy kto jest naprawdę mocny, a kto tylko udając siłę — obnaża swą słabość, godną wzbudzić miłosną litość kobiety.

Gdzie więc szukać przyczyn niezaprzeczalnej świeżości Shawowego świata? Czym tłumaczyć wpływy i uznanie, które na przekór wszystkim własnym impertynencjom i cudzym przesądom zdobył w Anglii „G. B. S."? Mam wrażenie, że źródłem jednego i drugiego jest uparta walka Shawa z banałami i truizmami. Nie na próżno jedna z antypatycznych postaci *Pierwszej sztuki Fanny* nazywa się: Bannal. Shaw nie cierpi komunałów i stale wykazuje nicość zdań utartych. Otóż banał nie tylko jest nudny; najczęściej jest fałszywy. Zaprzeczać banałom, wyzwalać się z ich dławiącej przemocy — to już połowa drogi ku prawdzie. A ponieważ banały są fałszem, więc w sprawach społecznych łączą się najczęściej z krzywdą. Kto banały rozbija, nie tylko pomaga ludziom jaśniej myśleć — ale nawet ułatwia im lepszę ułożenie międzyludzkich stosunków.

Anglicy potrafili to ocenić. I dlatego dziś w Londynie rozlegają się fanfary na cześć pisarza, który całe swe życie Anglię zwalczał, Anglików starał się ośmieszyć i wrogom Anglii przekornie przyznawał rację.

Wojciech Natanson

„JĘZYK POLSKI MI NIE NAWALIŁ..."

Przed kilkoma miesiącami omawiał Jan Kott na łamach *Odrodzenia* głośną dzisiaj we Francji powieść Romain Gary'ego *Wychowanie europejskie*. Przypominamy, że smakiem tej książki szczególnie interesującym dla czytelnika polskiego jest to, że jej akcja odbywa się w latach okupacji na Wileńszczyźnie, w środowisku polskich partyzantów walczących z Niemcami.

Romain Gary przebywa obecnie w Bułgarii, gdzie pracuje w Sofii jako pierwszy sekretarz Poselstwa Francuskiego. Z polecenia ministra pełnomocnego Polski w Bułgarii, Zalewskiego, dostarczono Gary'emu artykuły Kotta, prosząc go równocześnie o wyrażenie swojego zdania na ich temat, jak również pytając, skąd Gary tak dobrze orientuje się w stosunkach polskich. Leży właśnie przed nami tekst przedłożonej pisarzowi „ankiety", na której pytania Gary odpowiedział własnoręcznie i po polsku. Nie zmieniliśmy ani słowa w jego odpowiedziach.

Rozpoczyna się ów wywiad od pytania, wiążącego się ze słowami krytyka francuskiego Roberta Kempa w *Les Letrres Françaises*, jakoby w Polsce krzywiono się na powieść Gary'ego. — Jak Pan widzi z podanych recenzyj, w Polsce nie patrzą krzywo na Pańską powieść.

Muszę się przyznać, że polskiej krytyki bardzo się bałem. W tym wypadku uważam, że polska krytyka ma ostatnie słowo: miała prawo powiedzieć reszcie świata nie tylko co o mojej książce myśli, ale i to, co o niej t r z e b a myśleć. Kott mnie trochę podrapał, ale na to on i Kott, żeby drapać.

Czy Pańska biografia, przedstawiona przez Jana Kotta, odpowiada rzeczywistości?

Nie. Nie jest to zresztą winą drapieżnego Kotta, ale prasy francuskiej, która się w tym wszystkim trochę poplątała. No, ale to drobnostka. Urodziłem się w roku 1914. Matka była artystką francuską, ojciec z pochodzenia Rosjaninem, znaturalizowanym Francuzem. Ojciec się kiedyś nazywał Krasser, zmieniliśmy nazwisko we Francji. Ojciec umarł. Trzy lata przeżyłem z matką w Polsce, gdzie miała salon mód. Siedem lat w lotnictwie francuskim, od sierżanta do majora. Biłem się w pustyni Tibesti, potem w Abisynii, Libii, Syrii, nad Grecją, od końca 1942 roku w Anglii, latając na froncie zachodnim. Przedtem się nie biłem, ale mnie dużo bito. Ale to wszystko drobnostki.

Czy posiada Pan przyjaciół i znajomych w Polsce?

Posiadałem. Nie wiem, czy jeszcze posiadam.

Czy chciałby Pan zobaczyć teraz nasz kraj i coby Pana najbardziej w nim ciekawiło i interesowało?

Bardzo bym się chciał do Polski dostać. Najbardziej mnie ciekawi Warszawa, nowe warunki życiowe i nowa literatura polska.

Czy zechciałby Pan już teraz powiedzieć kilka słów do nas, może w szczególności do dzieci Warszawy? Pan wie, powstanie warszawskie nie było ani należycie przygotowane, ani konieczne w tym czasie. Ale podczas powstania i wcześniej znalazło się najwięcej Janków, Jóźków, a przed tym w ghetcie — Srulków, małych bohaterów odbierających i kończących swoje europejskie wychowanie w walce na śmierć.

Już słowami się dawno nic nie mówi i chyba nowy język wynaleźć trzeba, żeby czegoś wielkiego i czystego jakimś używanym słowem nie zabić. Może mi się i uda-

ło w książce mojej coś poza słowami przeszmuglować i chciałbym, żeby ta moja kontrabanda doszła do tych wszystkich, którzy bez niej żyć nie mogą.

Odsyłając wypełnioną ankietę, Romain Gary załączył do niej list do min. Zalewskiego, który podajemy bez komentarza, bo dostatecznie sam za siebie mówi:

Szanowny Panie Ministrze.

Załączam odpowiedź na łaskawie postawione mi pytania. Mam nadzieję, że się bez błędów wyraziłem i że mi mój polski język, że tak powiem, nie nawalił.

Kreślę się z wyrazami głębokiego szacunku

Romain Gary

PODOBNE TROSKI

Przy lekturze dzisiejszych czasopism angielskich i francuskich uderza jedno zjawisko: codzienne troski artystów nie różnią się w tych krajach ani na jotę od codziennych trosk artystów w Polsce. Te same skargi na niezrozumienie prawdziwej sztuki przez społeczeństwo, ta sama konieczność pracy zarobkowej, te same wreszcie żądania wzmożonej opieki ze strony państwa. Podamy niżej garść tych podobnych trosk, tym ciekawszych, że dowodzą one, iż sytuacja artysty w krajach liberalnej demokracji bynajmniej nie jest różowa (a iluż w Polsce sądzi przeciwnie), oraz że środki zaradcze wyglądają w tych krajach tak samo jak u nas: gdy w Polsce się krzywią na mecenat społeczny, tam o ten mecenat proszą...

PAŃSTWO A SZTUKA WE FRANCJI

Były szef Dyrekcji Sztuk Pięknych w Paryżu, Jerzy Huisman, poruszył w *Soirées de Paris* bardzo interesujący problem stosunku państwa do sztuki. Wojna zniszczyła Francję, zmniejszyła wydajność jej przemysłu, usunęła towar francuski z rynku międzynarodowego. „Ale duch Francji we wszystkich swoich przejawach artystycznych, literackich i naukowych zachował swą nienaruszoną siłę twórczą i swoją niezmienną potęgę promieniowania". Upłyną zapewne jeszcze długie lata, zanim handel, rolnictwo i przemysł francuski powrócą do swego stanu przedwojennego; malarze natomiast rzeźbiarze, pisarze, muzycy nie przestali ani na chwilę pracować, przyczyniając się w dalszym ciągu do wielkości Francji, która jest przede wszystkim wielkością jej twórczego ducha i jej cywilizacji. Jest to atut bardzo ważki i cenny, przez rząd francuski — jak twierdzi Huisman — nigdy należycie nie oceniany. Pierwszy lepszy samochód amerykański może być równie dobry jak francuski, pszenica argentyńska ma te same zalety co pszenica z Beauce, nikt jednak nie zastąpi sztuki francuskiej, która zajmuje wszędzie miejsce honorowe i jest przez świat cały podziwiana.

Mimo to Francja nie miała nigdy Ministerstwa Sztuk Pięknych. Trzy Dyrekcje Generalne, opiekujące się literaturą i sztuką, kinomatografem i architekturą, czynią wszelkie wysiłki, aby spełnić swoje zadania, są jednak bezsilne wobec wymagań równowagi budżetu, strzeżonej przez nieugięte ministerstwo skarbu. I nie było jeszcze we Francji takiego premiera, który by w ustawicznych sporach między wymogami budżetu a najżywotniejszymi interesami sztuki stanął otwarcie po jej stronie, rozumiejąc, że pieniądze na ten cel poświęcone oddadzą Francji o wiele większą przysługę, niż miliony wyrzucane bez żadnej często potrzeby — skarży się dalej Huisman. Z ministrów wychowania narodowego nie zgłosił też żaden swej dymisji, kiedy mu przyznano śmiesznie niskie kredyty dla rozwoju sztuk pięknych, a minister skarbu wprowadzał coraz to nowe opłaty od widowisk, opłaty rujnujące stale teatr i produkcję kinomatograficzną. Ministerstwu Skarbu pomagał zawsze senat, skreślając np. kredyty na zakup dzieł Picassa lub na założenie nowego muzeum!

Wydatki państwa na teatry przedstawiają się we Francji następująco: w ostatnim roku budżetowym przyznano *Komedii Francuskiej* 14 milionów 750 tysięcy fr., *Odeonowi* 8 milionów 640 tysięcy, *Popularnemu Teatrowi Narodowemu* sześć i ćwierć miliona. Do tych subwencyj należy doliczyć bardzo wydatne zasiłki państwowe dla funduszu emerytalnego artystów powyższych teatrów, dalej 16 milionów wypłaconych innym teatrom paryskim i prowincjonalnym, osobne zasiłki na urządzanie t o u r n é e s teatralnych, 585.000 fr. dla teatrów Alzacji i Lotaryngii, oraz 256.850 fr. dla teatrów na wolnym powietrzu, a między nimi także dla słynnej na cały świat areny w Orange.

Subwencje te są zdaniem Huismana niewystarczające. *Komedia Francuska*, doskonale administrowana przez Piotra Duke'a, przedłożyła budżet przewidujący najniezbędniejsze wydatki na 70 milionów — przyznano jej tylko 36 milionów, wobec czego czcigodny „Dom Moliera", budzący powszechne zainteresowanie, musi zamykać swoje podwoje przez trzy miesiące w ro-

ku, a co gorsza, bywa zmuszany do wystawiania od czasu do czasu sztuk kasowych, aby tylko powiązać jako tako koniec z końcem!

Największą bolączką scen francuskich są niezwykle wysokie opłaty podatkowe, od których nie są zwolnione także teatry rządowe. W ten sposób jedną ręką rząd daje, a drugą odbiera to co dał. Dyrekcja teatru nie może wskutek tego ryzykować wystawiania sztuk nie dających pewności powodzenia. Jeden z najwybitniejszych aktorów francuskich, Jouvet, który miał tak duże powodzenie w Stanach Zjednoczonych, nie mógł przez dłuższy czas zdecydować się na powrót do Paryża, bo dyrekcja *Athénée* nie wiedziała czy będzie mogła wystawić *La Folle de Chaillot* Jean'a Giraudoux i czy teatr mający tylko 700 miejsc może zdobyć się na tego rodzaju eksperyment!

Do opłat podatkowych należy ponadto doliczyć pobieranie dodatku dla biednych. Posłuchanie cudnego wiersza Corneille'a czy Racine'a, Marivaux czy Musseta jest widocznie w pojęciu państwa zbytkiem, za który należy zapłacić karę w postaci obola dla biednych — ironizuje Huisman. Słusznie też pisze, że należałoby wreszcie zdobyć się na odmienne traktowanie fiskalne prawdziwej literatury dramatycznej niż zwariowanych wodewilów i fars, które ściągają stale tłumy publiczności, a ze sztuką nie mają nic wspólnego.

W ojczyźnie Debussy'ego, Ravela i Pawła Dukasa na muzykę wydaje się około 120 milionów. *Towarzystwo Koncertów Paryskich* otrzymuje 11 milionów, konserwatoria prowincjonalne 9 milionów, a 3 miliony przeznaczone są na zakupno partytur i pomoc dla zubożałych kompozytorów. Do tej kategorii należałoby zaliczyć teraz wszystkich, bo kompozytor, nie pracujący dla kinematografu, może umrzeć z głodu. Najlepsi dyrygenci, pianiści, skrzypkowie itd. są zmuszeni do dawania lekcji i nie mają czasu na całkowite poświęcenie się swej sztuce. Państwo powinno znaleźć możność zapewnienia muzyce francuskiej korzystniejszych warunków rozwoju, chociażby przez wprowadzenie dodatkowych opłat od aparatów radiowych, od widowisk zbytkowych, od przemysłu artystycznego, w przeciwnym bowiem razie muzyka zejdzie z tego piedestału, na jakim przez tyle lat stała, a co lepsi jej przedstawiciele wyemigrują do Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej.

A cóż się dzieje w świecie palety i dłuta? *L'École de Paris* zajmowała do niedawna pierwszorzędne stanowisko, przyciągając uczni z obu kontynentów. Państwo nie uznaje wszakże wagi tego faktu i przeznacza dla *Szkoły Sztuk Pięknych* i *Szkoły Sztuk Dekoracyjnych*, razem z rzymską Villa Medici — 7 i pół miliona, 12 milionów na zakup dzieł sztuki, a 6 milionów na zasiłki artystów. Jest ich we Francji około 25.000, więc na każdego z nich przypada kwota około 1320 fr., czy to w formie zasiłku, czy zakupna ich prac!

Krytykując ostro dotychczasowe postępowanie rządu, który pod różnymi pozorami wzbraniał się zakupić dla zbiorów publicznych dzieła reprezentujące nowe kierunki w sztuce, a teraz nie ma za co nabyć Renoira, Cézanne'a, Gauguina, Seurata i in., Jerzy Huisman w ten sposób kończy swoje wywody: „Pierwszym obowiązkiem państwa jest przede wszystkim wiedzieć, czego ma się domagać od autorów dramatycznych, od muzyków i malarzy w celu podniesienia poziomu duchowego najszerszych warstw społeczeństwa, oraz zdobyć się na powszechny program wychowania artystycznego, aby kultura Francji była należycie zrozumiana i odczuwana przez cały naród, a nie tylko przez wybrane warstwy społeczeństwa. Poza tym rząd powinien otaczać twórczość artysty opieką administracyjną, zapewniającą poszanowanie jego własności i obronę przed wyzyskiem i spekulacją. Należy jak najszybciej stworzyć „urzędy własności artystycznej", gdzie każdy malarz, rzeźbiarz, rytownik i dekorator składałby fotografię i opis swego dzieła. W rejestrach tych musiałyby być notowane wszystkie zmiany właściciela danego dzieła, tak, by autentyczność jego i miejsce gdzie się znajduje mogły być każdej chwili i bez wątpliwości stwierdzone.

Ułatwiać twórczość, ustalić walory artystyczne w ich właściwym miejscu, ochraniać artystów i ich pracę, zapewniać promieniowanie kultury danego kraju w świecie — oto piękne zadanie państwa! Problematyka opieki nad sztuką nie przedstawia się we świetle wywodów Huismana inaczej we Francji niż w Polsce.

A. T. W.

STENY NA PIÓRA.

Gdy zasiadamy, tak zwolna, do naszych pokojowych zawodów, gdy jeden po drugim zamieniamy mundury polowe na ubiór ogrodowy z weekendu i ośmielamy się wymawiać tradycyjne powojenne żądanie, aby

Oswojone króliki w naszych śpiżowych się
legły armatach
Albo łagodne gołębie, których młode tam
się karmić będą.
Aby w lufach rusznic
Myszy wznieciły kłótnie
O swoje mieszkanie. By brzuchomówcy
bęben,
Jak na wakacjach prawnicy, znowu był
niemy, —

Wówczas to dla młodego, zdemobilizowanego pisarza staje się rzeczą możliwą spojrzeć w przyszłość i policzyć szanse. Jaką punkację widzi wypisaną kredą na tablicy?

Wygraną na jego korzyść stanowi fakt, że jego potencjalny mecenas — publiczność, w ostatnich kilku latach, jak żaba w bajce, rozdęła się do tego stopnia, iż dzisiaj jest czterokrotnie większa niż przed wojną. Godne zastanowienia: W jednym z ostatnich numerów *The Bookseller*, gdzie prawda o tych rzeczach została przemilczona epami, stwierdzono, że przeciętny nabywca książki przypada na tych zarobkujących, którzy mają nie mniej niż siedem funtów, a nie więcej niż dwadzieścia funtów tygodniowo. Obecnie *Lista Dochodu Narodowego* wykazuje, że liczba osób, których dochód nie podlegający opodatkowaniu osiąga 250 do 500 funtów rocznie, wzrosła między 1938/9—1944/5 z 1,820.000 do 5,050.000, podczas gdy grupa 500—1.000-funtowa podwoiła się. Mój mecenas — mógłby młody pisarz wnioskować — trzyma zatem kasę. Ogólne podniesienie się poziomu kulturalnego, które nowy *Akt szkolny* ma popierać dalej, powinno w nadchodzących latach zapewnić mu opiekuna nie tylko z kasą, ale i z potrzebą kupowania jego książek. I każdy księgarz powie mu, że publiczność w rzeczywistości kupuje książki jak nigdy przed tym.

Inne punkty na jego korzyść są: 1) Radio Brytyjskie oferuje rozszerzający się rynek na skrypty, szkice i pogadanki, nawet jeżeli honorarium jest ograniczone. 2) Mnożą się magazyny literackie, wymagając dla siebie towaru — spójrzcie tylko na nie: *Polemic, Horizon, Focus, Orion, Windmill. New Writing.* 3) Brak większej ilości magazynów popularnych jest chwilowy i można się spodziewać, że gdy znów powrócą, będą dawały szerokie pole dla pisarzy, nawet jeżeli niektóre z ostatnich przedsięwzięć nasuwają myśl, że nowoczesny wydawca uważa tekst jedynie za dodatek dekoracyjny dla popisywania się zręczną, kolorową fotografią i drukiem. 4) Obrywki w formie napisów filmowych mogą łatwo wzróść.

Oto główne wygrane na całej tablicy — mogłoby się wydawać. Młody pisarz odpowiada: „Tak, lecz popatrzcie na fakty: Niedawny *list do Autora* napisany przez powieściopisarza o ustalonym nazwisku, którego dzieła tłumaczono na wiele obcych języków, wykazał, że zyski z publikacji około piętnastu powieści przyniosły mu przeciętnie 235 funtów rocznie. Wybitny publicysta Walter Harrap stwierdził ostatnio przed australijskim urzędem taryfowym, że przeciętna sprzedaż powieści przed wojną wynosiła około 1200 egzemplarzy. Dla mnie — pisarza — oznacza to 75 do 100 funtów za jakieś sześć miesięcy pracy. Albo: Ja jestem poetą. Jestem szczęśliwy, jeżeli ponad 1000 egzemplarzy mojego szczupłego tomiku po cenie sześciu pensów zostanie sprzedane. Płace za mój wysiłek fantazji są pożywieniem kurczaka...

„A dalej — ciągnie młody zdemobilizowany pisarz — o ile zgadzam się, że z różnych źródeł jakie oferujecie: BBC, filmy, ogłoszenia literackie, dziennikarstwo, mógłbym być w stanie przy wysiłku wyskrobać razem tyle, aby dać żonie i rodzinie przyzwoite utrzymanie w tym Londynie, gdzie trzypokojowe mieszkanie kosztuje nas 150 funtów rocznie — to dla mnie jako poważnego pisarza jest to właśnie *Owoc Martwego Morza*, a potomność nie będzie myślała wiele o waszym rozumowaniu. Nie mam zamiaru, nie chcę pisać jednodniowych błahostek, które ukazują się w czasopiśmie, albo wygłasza się w radio, a potem ślad po nich ginie... Ja chcę powiedzieć za Horacym, że zbudowałem pomnik bardziej trwały od spiżu, albo za Herrick'iem

Patrz na to życie,
Ja wspinam się dla siebie,
Aby nigdy nie być zrzuconym
W dół — zazdrosny Czasie — przez ciebie.

Jeżeli jestem poetą, będziecie mi płacić, abym dawał odczyty, jeżeli jestem powieściopisarzem, oferujecie mi pogadanki o książkach, jeżeli próbuję być poważnym krytykiem literackim, nie dajecie mi po prostu miejsca, gdzie mógłbym działać. Czego ja chcę, to urządzić się gdzieś jako obdarzony swobodą pisarz z prawdziwego zdarzenia, nie jako skryba, pismak, układacz napisów".

Każda ze stron miota celnie swoje pociski. Lecz jak rozwiążemy antytezę? Przeważnie w każdym okresie literackiego ożywienia był w Anglii gotowy opiekun z kasą, pod warunkiem, ażeby pisarz był skłonny

produkować towar ku zadowoleniu smaku swego patrona. Koła dworskie Elżbietańskie i Stuartów, ośmnastowieczna szlachta, szersza publiczność wiktoriańska ze swoimi moralnymi uprzedzeniami. A nasz wielki nie jest pierwszym, w którym poważny pisarz ma ochotę właśnie produkować kompozycje obce smakowi swego patrona...

Wielu pisarzy znalazło w przeszłości sposób zręcznego manewrowania pośród granic, określonych przez płatnika swego czasu. Jeżeli idąc za swoją gwiazdą nie potrafili wykonać swego dzieła według gustu i głodowali, to nowoczesny pisarz jest może nieszczery, gdy oczekuje innego traktowania. Lecz faktem niespodziewanym jest to, że on właśnie oczekuje. Dając odpowiednio do swych zdolności, oczekuje zapłaty odpowiednio do swych potrzeb i nie jest zadowolony jeżeli znajduje, że każde pisanie, z wyjątkiem tego z szerokim, popularnym rozgłosem i stosownym obniżeniem jakości — przynosi mu małą, jeżeli nie głodową zapłatę.

Oczywista odpowiedź brzmi: Wynaleźć jakąś formę poparcia państwowego, które by zapewniało pisarzom środki do życia bez pozbawiania ich samodzielności i bez zamieniania ich w lejki, przez które sączyłaby się tylko polityczna propaganda. Ta teza dźwiga jej własną antytezę — za wiele, aby tu uzasadniać. Lecz w co wierzę, to w to, że problem pisania w świecie zmierzającym do socjalizmu musi być jasno postawiony i twardo rozgryziony.

Ronald Lewin
(Tribune, 10. V. 1946)
przełożył *Utis*

SZTUKI PIĘKNE W ANGLII

Nowoczesna namiętność do „odkrywania faktów" rozciągnęła się obecnie na sztukę. Niedawno właśnie ogłoszone sprawozdanie firmowane przez *Dartington Hall Trustees (Sztuki plastyczne,* Oxford, 1946) pełne jest informacyj o ekonomicznej stronie malarstwa i rzeźby w dzisiejszej Anglii, o nauczaniu tych sztuk i o podobnych sprawach. Niektóre z tych odkryć zadziwią wielu. Nie więcej jak siedmiuset malarzy i trzydziestu rzeźbiarzy zarabia na życie swoją sztuką. Kilku może modnych portrecistów zarabia duże sumy, ale przed wojną bardzo niewielu poważnych artystów zarabiało ponad pięćset funtów rocznie. Trudno to nazwać szczodrym uposażeniem sztuki w kraju liczącym czterdzieści milionów mieszkańców, który nadal należy do najbogatszych na świecie. Istnieje nadto kilka tysięcy artystów rynkowo traktujących swój zawód, rysowników przemysłowych i nauczycieli sztuki, którzy zarabiają, a których prace są albo dobre, albo złe, albo obojętne, stosownie do ich zdolności i poziomu estetycznego ich pracodawców. Lecz rozmach, „tnące ostrze", — jakby nie było — rozwoju artystycznego, tworzą zazwyczaj „poważni artyści", a ci, razem zebrani, z trudem zapełniliby balkon niewielkiego kina.

Sprawozdanie analizuje ciekawie powody spadku popytu na dzieła sztuki, jaki nastąpił po wielkim ożywieniu w dziewiętnastym wieku. Są to — przytłaczający skutek wysokiego opodatkowania i opłat spadkowych po prywatnych właścicielach, rozczarowanie do oficjalnego „przodownictwa" sztuki po krachu handlowych wartości dziewiętnastowiecznej sztuki akademickiej, niemożność wyżycia kupców ze sprzedaży sztuki współczesnej i tym podobne.

Dla kupca sprzedaż przedmiotów współczesnej sztuki angielskiej ma tendencję do przerodzenia się w najmniej zyskowną gałąź tego interesu. O wiele mu łatwiej sprzedać dzieło Degasa za pięć tysięcy funtów, aniżeli obraz nieznanego artysty za piętnaście funtów. I jest w rzeczy samej wątpliwe, czy jaki kupiec mógłby żyć, nie handlując starymi mistrzami albo dziewiętnastowiecznymi obrazami francuskimi.

Rynek zaś dla poważnej sztuki jest zbyt mały — i to nawet na obrazy po kilka gwinei, co jest przeciętną ceną, jaką artysta dostaje po odciągnięciu jego kosztów własnych. W latach międzywojennych było niewiele więcej jak tuzin stałych mecenasów na większą skalę, tak że gdyby dwóch lub trzech z nich umarło albo zgoła doznało spadku swoich dochodów, skutek byłby widoczny natychmiast. Ani państwo, ani oficjalne instytucje centralne czy lokalne nie wkroczyły, aby zapełnić tę lukę. Podczas kiedy pieniądze na „starych mistrzów" zawsze gdzieś da się wyskrobać — Dyptyk Wiltona został nabyty w roku 1920 za cenę dziewięćdziesięciu tysięcy funtów, — *Tate Gallery* nigdy nie zrobiła zakupu, pomimo zaleceń każdego komitetu i komisji dotyczących zbiorów narodowych.

Wiele dobrego można się będzie spodziewać po nowych *Radach Sztuki* i *Radach Rysunku Przemysłowego.* Sprawozdanie odzwierciedla wiernie osiągnięcia i braki tych wszystkich instytucyj związanych ze sztuką i daje wiele sugestyj, zmierzających do podniesienia poziomu galeryj sztuki i nauczania sztuki, zarówno zawodowego jak w ramach wykształcenia ogólnego. Lecz

zy reforma administracyjna może przynieść w rzeczywistości radykalną poprawę, est pytaniem, które pozostaje bez odpowiedzi.

W sztuce duch wieje tak tajemniczo, jak w innych sprawach i nikt lepiej od autora sprawozdania nie jest tego świadom, że tworzyć wielkiej sztuki, ani zamiłowania do sztuki w narodzie nie można jedynie przez organizację albo patronat. Przyuszczalnie można jedynie stworzyć odpowiednie materialne warunki i — nadzieję na najlepsze.

(The Listener, 16. V. 1946)

przełożył *Utis*

ZBOMBARDOWANE KOŚCIOŁY JAKO POMNIKI WOJNY

Dr Nikolaus Pevsner wysunął niedawno w radio argument za pozostawieniem w obecnym stanie niektórych naszych zbombardowanych kościołów, jako „ogrodów pamiątkowych". W samych tylko czterech hrefach Londynu zostało zburzonych lub szkodzonych w ciągu wojny ponad pięć ysięcy kościołów lub kaplic. W całym raju liczba ich wynosi czternaście tysięcy. Co więc powinno się z nimi począć? Czy mają być odnowione, odbudowane, czy sunięte, czy zastąpione? Powinny zostać dnowione, jeżeli uszkodzenia były lekkie, ub gdzie ciągłość istnienia danego kościoa jest sprawą narodowego interesu, z powodu jego wielkiej tradycji i udziału, jaki miał w historii kraju. Może też być uzadnione, że pewna ilość zburzonych kociołów powinna być odrestaurowana ze zględu na doniosłość ich piękna architektonicznego. Lecz jestem przekonany, że akie, które nie mogą być i nie będą odbuowane lub zastąpione przez hale paraialne lub ośrodki społeczne, byłyby idealymi pomnikami wojny. Sensem takiego omnika byłoby pomóc przywodzić pamięć ych, którzy zginęli. A czyż można to czynić w sposób bardziej wzruszający, ak przez ruiny szlachetnej świątyni, przeworzonej przez wrażliwych architektów ogrodników?

Pomyślcie o takim kościele, który znacie o który się troszczycie. Wyobraźcie go obie wśród młodych drzewek puszczających pączki, w otoczeniu starych, ciemych drzew, z mnóstwem kwiatów, irysów, tokrotek, tulipanów i kamelii, a także ierzbiny, kaczeńców i innych dzikich roin, które znalazły sobie drogę do gruzów rumowisk. Do pokrycia części zasklepioych murów możnaby użyć roślin pnących. Na taflach kamiennych umieszczonych na lepiej zachowanych murach byłyby wyryte spisy honorowe. A kolumny wewnątrz mogłyby pozostać tak, jak je pozostawiły bomby i ogień, zwęglone i obtłuczone, lecz otoczone darnią. A jeśli któraś kolumna w ogóle zniknęła, mogłoby ją zastąpić drzewo. Jeżeli kaplica lub ołtarz pozostały, mogłyby być odprawiane okolicznościowe nabożeństwa południowe lub wieczorne, wewnątrz kaplicy lub pod gołym niebem. Albo możnaby wybudować specjalną pamiątkową kaplicę z imionami poległych i krzyż i brukowaną ścieżkę wiodącą do niej. Struktura byłaby współczesna, prosta, wykładana płytami z pięknego kamienia, przeciwstawiona na tle muru zużytego przez czas i starej wieży.

Powinny być też i siedzenia dla ludzi, którzy chcą spocząć — a jakże, i dla tych którzy chcą zjeść swój chleb z masłem. Dlaczegóż by nie? Pozwolić żyjącym korzystać z tego, co jest tak prawdziwym pomnikiem dla umarłych. I niechże się dzieci bawią w jakimś zakątku na zewnątrz samego kościoła. Lecz uważać, aby projekt nie miał nic z urzędowego stylu, który jeszcze ciągle marudzi po miejskich parkach — z kolistą grządką z kwiatową w środku i symetrycznymi chodnikami żwirowymi i siedzeniami uszykowanymi w porządku. Trzeba wyobraźni a nawet fantazji, aby stworzyć jedność przeszłości z teraźniejszością, śmierci z życiem.

(The Listener, 16. V. 1946)

przełożył *Utis*

Drukowane w 4. zeszycie *Twórczości* opowiadania *Dzień na Harmenzach* oraz *Transport Sosnowiec — Będzin* otrzymaliśmy z Niemiec za pośrednictwem Jerzego Zagórskiego, który poinformował redakcję, że autorem drugiego z powyższych opowiadań jest Krystyn Olszewski. Obecnie po powrocie do kraju Tadeusza Borowskiego dowiadujemy się, że zaszła tutaj pomyłka; autorem opowiadania *Transport Sosnowiec — Będzin* jest również T. Borowski.

Korektorzy *Twórczości* musieli z przykrością w tekście *Święta Winkelrida* dokonać skreślenia, które obecnie przywracamy. Tyradę Aktora (str. 141—2) składający tekst dramatu ob. Józef Przybyło zaopatrzył dopiskiem — *Heil... heil...* Ponieważ takiego dopisku tekst Andrzejewskiego i Zagórskiego nie przewidywał, musieliśmy go usunąć, mimo że ob. Przybyło w intencję autorów utrafił, zdaje się, bezbłędnie.

WYKAZ TREŚCI

Str.

NDRZEJ BOBKOWSKI: Douce France 5
IECZYSŁAW PRUSZYŃSKI: Księżyc wschodził nad Gambutem 34
AN DOBRACZYŃSKI: El-Alamain 61
URT E. WOLFF: Wielka przemiana 73
ENRY W. LONGFELLOW: Pieśń o Hajawacie (przełożył i komentarzem opatrzył Bogdan Żyranik) 78
'ANISŁAW HELSZTYŃSKI: Amerykański piewca murzynów 90
ACHEL LINDSAY: Kongo (przełożył Stanisław Helsztyński) 95
AN PAPUGA: Safari 101
ERZY ANDRZEJEWSKI — JERZY ZAGÓRSKI: Święto Winkelrida 121
ADEUSZ RÓŻEWICZ: Lament, Nieporozumienie w tramwaju, Róża, Oczyszczenie 174
AWEŁ HERTZ: * * *, Prawdziwy smak snu, Prawdziwy smak wody, Prawdziwy smak chleba 178
AN HULEWICZ: Polski ruch wydawniczy w W. Brytanii w latach wojny 1940—1945 181
NIELA MIKUCKA: Czytelnictwo młodzieży krakowskiej 205
AZIMIERZ WYKA: Romantyczna nobilitacja powieści 225
ŁODZIMIERZ PIETRZAK: Drogi polskiej powieści XIX w. 246

PRAWOZDANIA

ELENA BLUMÓWNA: Salon wiosenny w Warszawie 257
ERZY BROSZKIEWICZ: Koncerty krakowskie 265

OTY

OJCIECH NATANSON: Jubileusz Bernarda Shaw 274
OMAIN GARY: „Język polski mi nie nawalił" 276
ED: Podobne troski 277
T. W.: Państwo a sztuka we Francji 277
ONALD LEWIN: Steny na pióra 278
**: Sztuki piękne w Anglii 280
**: Zbombardowane kościoły jako pomniki wojny 281

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski i Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 65 zł. Prenumerata kwartalna 195 zł., półroczna 390 zł.

Cena niniejszego zeszytu podwójnej objętości wynosi 130 zł.

CZYTELNIK